

Marek  
Kędzierski

OSTATNIA  
ROZGRYWKA



## ROZDZIAŁ 1

Przedstawienie lalkowe w bibliotece miejskiej na wrocławskich Krzykach powolutku zbliżało się do końca. Spora gromadka dzieci wypełniała największe pomieszczenie. Maluchy siedziały wpatrzone w scenę zaimprovizowaną przez dwójkę profesjonalnych skądinąd aktorów. Ukryci za kotarą zrobioną ze zwykłych prześcieradeł poruszali energicznie prymitywnymi kukielkami własnej roboty, odgrywając kolejną wersję *Czerwonego Kapturka*. Dla postronnego dorosłego obserwatora cały ten niezwykle ubogi teatr wyglądał nieszczególnie atrakcyjnie, lecz dzieciarnia była zachwycona. Działała tu magia teatru umiejętnie stworzona przez dwoje aktorów przedstawiających historię Kapturka, wilka i babci.

Adam Gawlik nachylił się do żony. Barbara Roszak-Marchewka owdowiała w 2002, lecz cztery lata temu zdecydowała się wyjść za niego. Był jej pierwszą wielką i prawdziwą miłością jeszcze z początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Jednak dziwne koleje losu rozdzieliły ich na tyle lat, by w końcu pozwolić się im spotkać i ostatecznie połączyć w małżeństwie. Była wreszcie w pełni szczęśliwa u boku mężczyzny, który stanowił jej dopełnienie i był wspaniałym ojcem dla jej dwójki dzieci z poprzedniego małżeństwa. Trzecie, ich wspólne, czteroletni Franek, siedziało w pierwszym rzędzie całkowicie pochłonięte wydarzeniami z bajki.

- Skąd wytrasowałaś to miejsce? - spytał ją półgłosem.

Kilkoro spośród rodziców tłoczących się w wejściu popatrzyło na niego z dezaprobatą. Przeszkadzał w oglądaniu.

- Internet - szepnęła w odpowiedzi. - Lokalne fora internetowe.

Historia Czerwonego Kapturka osiągnęła punkt, gdy wilk zmierzał do chatki babci. W wersji przedstawianej w bibliotece wilk zgubił się. Spytał publiczność, co ma teraz robić. Dzieciaki jeden przez drugiego wykrzykiwały instrukcje: „Babcię zjedz!” „Za tobą jest!”, „Odwróć się, bo ci ucieknie!”. Wydarzenia potoczyły się dalej. Babcia została zjedzona, a niedługo potem jej los podzielił Czerwony Kapturek. Aż nadszedł myśliwy i wydobył nieszczęśniczki z brzucha wilka. Babcia naturalnie w przyływie litości zaszyła brzuch zwierzakowi, a gdy wilk cudownie ożył, myśliwy zwrócił się do dzieci z pytaniem, co z nim zrobić. Oprócz standardowych odpowiedzi z sali, by go wypuścić, padły również nietypowe:

„Wlać mu kijem w tyłek!”, lecz powodującą największą wesołość wśród dorosłych okazała się: „Dać mu wilczy bilet!”. Adam Gawlik śmiał się bodaj najgłośniej, do momentu, gdy źródłem okrzyku okazał się nie kto inny, tylko sam Franciszek Gawlik. Adam na krótką chwilę poczuł się lekko zakłopotany występem syna. Popatrzył na żonę, która wzrokiem dała mu do zrozumienia, że naprawdę nie ma się czym przejmować. A zgromadzeni rodzice zachodzili w głowę, co tak naprawdę maluch miał na myśli. Nie mógł przecież znać znaczenia zwrotu rodem jeszcze z czasów realnego socjalizmu.

Po spektaklu dzieciarnia tłoczyła się wokół aktorów. Każdy chciał wziąć do ręki kukiełkę lub choćby jej dotknąć. Panie bibliotekarki uwijały się wśród rodziców z pociechami i namawiały jeszcze niezdecydowanych do zapisania się do biblioteki i wpłaty symbolicznych dziesięciu złotych. Większość ludzi wyszła z budynku z wypożyczonymi książeczkami dla dzieci. Franek też niósł pod pachą bogato ilustrowaną książkę o 101 dalmatyńczykach w twardej oprawie formatu A4.

- Genialny pomysł z tym teatrykiem - stwierdził Adam, kiedy szli do samochodu.

Licznie zaparkowane wokół biblioteki samochody zaczęły odjeżdżać. Mieszkańcy z sąsiednich domów będą mogli wreszcie znaleźć miejsce postojowe dla siebie.

- Już prawie rok, jak się tu przeprowadziliśmy - powiedziała Basia. - Wrocław, duże miasto. Trzeba coś było dla Franka znaleźć.

- Ej, chłopie - zwrócił się do syna. - Czemu powiedziałeś, żeby dać wilkowi wilczy bilet?

Był autentycznie zaintrygowany komentarzem malucha. Wiadomo nie od dziś, że dzieci są fenomenalnymi obserwatorami, ale nie miał pojęcia, gdzie czterolatek mógł usłyszeć ten zwrot.

- Nie wiem - chłopczyk wzruszył ramionami. - Tata, weźmiesz mnie na wielbłąda? - Ucieszył się, że wpadł nagle na genialny w jego mniemaniu pomysł.

„Wzięcie na wielbłąda” oznaczało posadzenie malca okrakiem na ramionach i trucht przed siebie przy wtórze radosnych okrzyków zainteresowanego. Okoliczności raczej nie sprzyjały tego typu zabawie. Ojciec wolał się wykręcić.

- Franuś, wezmę cię na wielbłąda, jak przyjedziemy do domu. OK?

- Teraz - nie dawał za wygraną chłopczyk. - Ostatni raz.

Klasyczna sztuczka Franka. „Ostatni raz”, gdy nie było nawet pierwszego. Adam jeszcze nie znalazł sposobu, by się przed takim chwytem przekonująco obronić.

- Dobra, ale powiedz skąd znasz „wilczy bilet”.

- Z Cartoon Network - odparł chłopczyk. - Tam koty tak mówili.



- Mówiły - poprawił syna. - Ty nie jesteś za mały na Cartoon?

- Weź już mnie na wielbłąda.

Franek podskakiwał i próbował wspiąć się na ojca. Gawlik chwycił go pod pachy i posadził na karku.

Chłopczyk był wniebowzięty. „Biegnij!” padła komenda i ojciec posłusznie podbiegł kilkanaście metrów do samochodu. Mimo protestów ściągnął malucha przy drzwiach.

- W domu się pobawimy. Wskakuj. - Otworzył mu tylne drzwi. Franek wgramolił się do środka i usiadł na foteliku.

- Sam się zapnę. - Nałożył na ramionka pasy i wcisnął klamrę zapięcia w zatrzask. - Widzisz? Umie.

- Tak jest. Jesteś dzielny jak prawdziwy rycerz. Przybij piątkę.

Basia wsiadła na fotel pasażera. Adam włączył silnik.

- Ty wiedziałaś, że Franiu ogląda ten agresywny Cartoon Network? - spytała męża.

- Jak ja mu włączam, to tylko Mini Mini. Wyłącznie. Bajki bez żadnej agresji. Tak jak kazałaś - odparł, spojrzawszy w lewe lusterko i wyjechał na drogę. - Może nauczył się sam przełączać.

Odwróciła się i popatrzyła na synka.

- Przecież on jest jeszcze taki malutki - powiedziała czule. - Mój śliczny synek. Tata, widziałeś kiedyś takiego ślicznego chłopczyka?

Na twarzyczce Frania odmalowało się zadowolenie i duma.

- Nie, nie widziałem - odpowiedział specjalnie głośno Adam. - Ani takiego ślicznego, ani takiego dzielnego. Jak rycerz.

- Jak komandos - poprawił go malec.

- Tak, tak. Jak komandos, oczywiście. Zapomniałem. - Wyjechali na ulicę Krzycką. Gawlik przyspieszył. - Co do oglądania Cartoon Network, to chyba z Michałkiem trzeba będzie pogadać. Franuś stara się go we wszystkim naśladować. W końcu starszy brat.

Jazda do domu zabrała im pół godziny. Kiedy wjeżdżali na osiedle, zobaczyli idącą na podwórko kobietę z dwójką dzieci. Rodzina Koreańczyków wynajmowała mieszkanie klatkę obok.

- Bardzo sympatyczna ta pani z Korei, wiesz? - zauważyła Basia. - Trochę rozmawialiśmy na podwórku. Jej mąż pracuje w fabryce LG na Bielanych. Dzieci też naprawdę dobrze ułożone. Zupełnie inne niż polskie.

Adam zatrzymał się przed bramą do garażu podziemnego. Nacisnął guzik na pilocie i czekał, aż się otworzy. Nie odpowiadał Basi. Szturchnęła go łokciem, domagając się reakcji.

- Jakoś nieswojo się czuję, jak widzę Koreańczyków w sklepie, w mieście i pod domem.

- Dlaczego?

- Zaszłości z przeszłości. Kiedyś z pewnym Koreańczykiem nie bardzo się polubiliśmy.

- No tak. Znając ciebie, to pewnie wdałeś się w jakąś awanturę i go pobiliś. A to taki porządny naród.

- Taaak. Naród wyjątkowo porządny. Chociaż ja tam wolę naród rosyjski. Miałem tam kiedyś prawdziwych przyjaciół.

Wjechali do garażu.

- Na przykład z Afganistanu? - spytała z przekąsem.

- Na przykład. Ale miałem tam też pod koniec lat osiemdziesiątych takiego jednego podwładnego. Witalij Jakuszyn się nazywał. Był niesamowicie...

- Dobrze, że to już wszystko przeszłość - przerwała mu. Nie chciała, by dawne wydarzenia wracały. Miała dosyć jego przerażających opowieści, które kiedyś sama od niego z niemałym trudem wyciągała. Dzisiaj wolałaby o tym wszystkim zapomnieć i na pewno chciałaby, żeby on sam też zapomniał. - Teraz twoje życie jest normalne. Całkiem normalne. Jest i będzie. Wśród normalnych, zwyczajnych ludzi. Zwyczajnych znajomych, którzy wojnę oglądają na amerykańskich filmach.

Wyłączył silnik.

- I tak już jestem za stary na pewne sprawy. - Cmoknął ją w policzek.

- I całe szczęście. Chociaż nie za stary na pewne inne sprawy... - uśmiechnęła się zalotnie.

Ścisnął jej dłoń.

- No, Franuś, wysiadka.

Wypiął syna z fotelika i wyciągnął z samochodu.

## ROZDZIAŁ 2

*Kolonia karna, JUK 25/6, Sol-Ileck, południowy Ural, Rosja.*

Życie w najcięższym rosyjskim więzieniu dla najgorszych, najbardziej niebezpiecznych więźniów toczyło się leniwie. Ogromna większość „pensjonariuszy” to mordercy, „smiertniki” - ludzie skazani na śmierć. Każdy ich dzień wygląda tak samo. Funkcjonują według z góry ustalonego, obowiązującego regulaminu. Uchylenie okna, gdy w celi jest duszno, lub zdawkowe, nieszczerze życzenia noworoczne od naczelnika kwitowane są regulaminowym, gromkim okrzykiem: „Spasiba, grażdaniin naczałnik”. Nawet ich sen jest ściśle regulowany: głowa od strony drzwi, nie zasłaniając twarzy. Każdorazowe naciągnięcie kołdry na głowę wywoływało natychmiastową reakcję strażnika i cała czwórka mieszkańców celi musiała bez chwili zwłoki zerwać się z łóżek, by przyjąć pozycję wyjściową z rękami do tyłu i głową opartą o mur. Odpowiedzialność zbiorowa - system, który świetnie się tu sprawdzał.

Borys Pietrucha siedział na pryczy i snuł swą opowieść. Był to wątyły chłopina, z którym nikt wcześniej nie chciał siedzieć w jednej celi. Było nie było - ludożerca. Aż trafił tutaj. Dwóch więźniów słuchało go z zainteresowaniem. Witalij Jakuszyn starał się go ignorować. Był zniesmaczony. Pisał list w kajecie na kolanie.

- Popilim nietęgo, a potem towarzysz zaczął się stawiać, to mu przypierdoliłem butelką. - Wykonał szeroki zamach dla zademonstrowania ruchu. - Film mi się urwał, a jakem się rano obudził, facio nie dychał. Tom go w łazience porąbał i ugotował. Wieczorem chłopaki przyszli, tośmy podjedli.

- Nic nie wiedzieli? - zagadnął więzień.

- A co ja tam będę gadał. Smaczne było, nie? To po chuj gadać. Parę flaszek przynieśli, tośmy rozpracowali i było git.

- Wszystko żeście zeżarli?

- Gdzie wszystko. Na bazarze trochę sprzedałem. Mówiłem, że mięso z kangura i ludzie brali. Niedużo sprzedałem, z pięć kilo chyba. Kupiłem denaturat i w chałupie na zakąskę pierogi z mięsem zrobiłem. Chłopaki przyszli, tośmy znowu pojedli. Ja se serce, wątrobę i nerki zostawiłem. Smakowały mi, kurwa. A co se będę żałował. A jak miesiąc

minął, tom zech jednego frajera...

- Zamknij się już, Pietrucha, bo jak ci przypierdolę, to ci się odechce gadać na zawsze  
- nie wytrzymał Jakuszyn. - Morda w kubek!

- No co, co? - obruszył się ludożerca. - Co to, pogadać już też nie można?

Pozostali więźniowie popatrzyli na niego z wyrzutem. Nikt mu się nigdy nie odważył postawić. Szkolony w Specnazie. Parę razy pokazał, co potrafi. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się z nim popробować. Każdy chciał żyć, nawet w tym piekle. A konflikt z tym człowiekiem był śmiertelnym niebezpieczeństwem. Jego niezwykle umiejętności zabijania gołymi rękami były powszechnie znane, również wśród strażników, którzy sami czuli się nieswojo, gdy był w pobliżu.

W zamku zachrząścił klucz. Cała czwórka jak oparzona rzuciła się do najbliższych ścian. Oparli się głową o mur na wysokości kolan, podnieśli ręce, rozczapierzyli palce, zamknęli oczy i z otwartymi szeroko ustami w tej niewygodnej pozycji czekali na rozkazy.

- Do raportu! - krzyknął dyżurny strażnik.

Jest to niezmiennie sygnał dla starszego celi. Raportuje nazwisko każdego z osadzonych, paragraf i za co jest skazany. Im starszy celi krócej raportuje, tym krócej osadzeni muszą wytrzymać w niewygodnej pozycji. Dlatego formułka jest wykuta na blachę i więzień wyklepuje ją z prędkością ognia z karabinu maszynowego.

- Cela do przeglądu! - pada kolejna komenda.

Skazańcy po kolei podbiegają z rękami założonym za plecy do kraty oddzielającej drzwi od „pomieszczenia mieszkalnego”. Taka sama krata oddziela celę od okna umiejscowionego niemal pod samym sufitem. Strażnik zakłada każdemu z nich kajdanki. Na komendę wyjścia z celi wybiegają z zamkniętymi oczami na korytarz i ponownie przyjmują niewygodną pozycję. Zostają drobiazgowo przeszukani, po czym strażnik nakazuje powrót do celi.

- Rozkaz, towarzyszu naczelniku! - krzyczą skazańcy chórem i wbiegają po kolei do pomieszczenia.

- Jakuszyn! - zatrzymał jednego z nich oficer. - Zostajesz. - Mężczyzna zamyka celę. - Wychodzisz, blać - powiedział do skazańca z niesmakiem. - Rusz dupę.

Więzień został wyprowadzony na podwórze, gdzie założono mu worek na głowę. Ciekawscy lokatorzy bloków mieszkalnych ulokowanych kilkaset metrów od więzienia nie mieli szans rozpoznać tożsamości osadzonych prowadzonych przez dziedziniec.

Witalijowi Jakuszynowi nie dane było ostatni raz przyjrzeć się kompleksowi, w którym spędził trzy lata. Trzy trzypiętrowe bloki, jeden z czerwonej cegły z masywnymi



dębowymi drzwiami. Na wprost wejścia znajdowały się dwie niewielkie fontanny z figurkami czarnych delfinów. Stąd wzięła się popularna nazwa więzienia „Czarny delfin”. Podobno jeszcze na początku dwudziestego wieku naczelnik kazał jednemu z więźniów, rzeźbiarzowi, żeby ozdobił dziedziniec jakimiś figurkami, najlepiej ssakami, ale żeby nie były to niedźwiedzie. Jak artysta wpadł na pomysł z delfinami - nie wiadomo.

Jakuszyn wiedział, że opuszcza więzienie na dobre. Był pewny, że nigdy tu już nie wróci. Wolałby umrzeć. Ale jednocześnie daleki był od myślenia o śmierci. Wręcz przeciwnie, już od dawna układał sobie w głowie misterne plany wielkiej kariery niekoniecznie zgodnej z prawem.

Ciężarówka z więźniem pilnowanym przez sześciu uzbrojonych strażników opuściła dziedziniec. Kolonia karna ponownie zapadła w letarg, jedynie na krótki moment wybudzona niezwykłym wydarzeniem w postaci wyjścia jednego z osadzonych na wolność.

#### *Moskwa, budynek rządowy*

Andriej Mikulin, nieduży, szczupły człowiek z wielkimi okularami na nosie, wyglądał jak rosyjski odpowiednik Woodyego Allena. Z pozoru raczej nieudacznik, trzymał się na swoim stanowisku już od piętnastu lat. Fenomen wśród rosyjskich elit władzy. Odpowiadał za sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego i więziennictwo. Był jak pies łańcuchowy. Z całą bezwzględnością zwalczał wszelkie próby przeciwstawienia się aktualnemu rządowi, jakkolwiek by nie był. Budził respekt i lęk nawet wśród swoich bezpośrednich przełożonych. Przez ostatnie lata zdołał zbudować wokół siebie sieć powiązań i współzależności, tworząc organizację na wzór mafii, z tym tylko, że była to organizacja daleko potężniejsza, dysponująca legalnym aparatem ucisku. Wiedział wszystko o wszystkich. Jego spryt i niezwykle wprost talenty dyplomatyczne zjednały mu jedynych ludzi mogących pozbawić go obecnej pozycji - funkcjonariuszy najwyższych władz, wobec których wykazywał się psią wiernością graniczącą wręcz ze służalczością, i którym nie raz się przysłużył, przeprowadzając niejasne, wyjątkowo zyskowe interesy, jakich nikt inny bez jego kontaktów w świecie przestępczym przeprowadzić by nigdy nie zdołał. Trwał w systemie i kroczek po kroczeniu budował swoje miniimperium. Kto wie, może kiedyś najwyższe honory w państwie staną się i jego udziałem?

Jego biuro stanowiło zaprzeczenie rozmiarów właściciela. Było ogromne. Wysokie na co najmniej sześć metrów, o powierzchni nieomal boiska do koszykówki. Po prawej stronie mahoniowego, rzeźbionego biurka znajdowały się trzy strzeliste okna z pancernymi szybami.

Kazał je wstawić cztery lata temu, żeby nie dosięgła go kula „przypadkowego” zamachowca. Od biurka wprost do drzwi naprzeciw biegł czerwony dywan. W tym przypadku jego kolor bynajmniej nie oznaczał zaproszenia i ciepłego powitania. Andriej Mikulin czuł sentyment dla tego koloru, pozostałość z dawnych dobrych czasów.

Wysunął szufladę i wyciągnął pistolet. Przeładował, upewniając się, że broń go nie zawiedzie, gdy będzie jej najbardziej potrzebował, a potrzeba taka mogła pojawić się już za chwilę, podczas spotkania z człowiekiem, który z pewnością nie darzył go sympatią. Dotychczas unikał konfrontacji twarzą w twarz. Miał szczerą nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Mimo że człowiek ten, jako więzień, był wciąż pod jego pełną kontrolą, bał się go. Nie wolno mu było go zabić, bo jakiś czas temu przedstawiciele najwyższych władz państwowych dostrzegli jego talenty i postanowili je wykorzystać do budowania potęgi rosyjskiego państwa. Ostatnimi czasy stworzono mu idealne, jak na więzień, warunki pracy: dostęp do najnowszego sprzętu komputerowego po kilka godzin dziennie, na bieżąco kontrolowana, ale nielimitowana łączność internetowa, codzienna możliwość wykonania telefonu, itd. Naczelnik więzienia rwał sobie włosy z głowy, ale Witalij Jakuszyn stał się nietykalny nawet dla Mikulina. To by jeszcze było do przelknięcia, gdyby władze nie zwróciły się do niego o rozważenie pewnej decyzji, będącej w jego wyłącznej gestii. Chodziło o zwrócenie temu zasłużonemu człowiekowi wolności, a przecież wiadomo było, że z kolonii karnej JUK 25/6 nikt nigdy nie zostawał zwalniany przedterminowo. Co więcej, niewielu udawało się przetrwać dwudziestopięcioletnie kary więzienia. Mikulin wiedział doskonale, że jeżeli nie przychyliłby się do prośby zwierzchników, jego kariera ległaby w gruzach, mimo układów i powiązań. Władzom się nie odmawia. Dlatego muszą się spotkać: więzień i człowiek, który go posłał do najcięższego zakładu penitencjarnego w Rosji.

Ogromne drewniane drzwi gabinetu otworzyły się. Trzech żołnierzy wprowadziło mężczyznę w więziennym uniformie. Do szerokiego skórzanego pasa na biodrach miał przykute krótkim łańcuchem nadgarstki. Andrzej Mikulin natychmiast zauważył, że mimo jego zaleceń Jakuszyn nie miał kajdan na nogach. Poczuł niepokój, ale nie zwrócił strażnikom uwagi. Nie chciał dać po sobie poznać, że się boi. Podprowadzili więźnia do biurka i czekali na rozkazy. Witalij Jakuszyn rozejrzał się po pomieszczeniu, zanim zaszczycił spojrzeniem gospodarza. Zachowywał się nader swobodnie. Spośród obecnych jemu jedynemu nie udzielała się atmosfera lekkiego napięcia.

- Po co to?

Szarpnął wymownie skutymi rękami i spojrzał na Mikulina, robiąc przy tym minę człowieka, który jest lekko zniesmaczony niewłaściwym zachowaniem gospodarza. Oficjel

pomyślał, że jak grać swoją rolę, to do końca.

- Rozkuć go - zwrócił się do żołnierzy głosem, w którym wprawne ucho Jakuszyna wychwyciło podenerwowanie.

Strażnicy zawahali się. Doskonale zdawali sobie sprawę, z kim mają do czynienia i co ten człowiek potrafi. Przy odrobinie szczęścia mógłby ich błyskawicznie uśmiercić, zanim zdążyliby oddać choćby jeden strzał. Swego czasu słyszeli o jego wyczynach w więzieniu i historie te nie napawały optymizmem. Rzucili sobie ukradkowe spojrzenia i popatrzyli jeszcze raz na Mikulina. Szukali potwierdzenia rozkazu. Szef więziennictwa skinął głową. Jeden z trójki podszedł z kluczykiem do więźnia. Dwaj pozostali odbezpieczyli karabiny. Jakuszyn rozmasował nadgarstki. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko. Zaczął beczelnie przekładać rzeczy na biurku, jakby czegoś szukał.

- Masz coś zapalić? - spytał szefa rosyjskiego systemu penitencjarnego.

- Tu się nie pali.

Mikulin starał się nadać głosowi surowe, złowrogie brzmienie. Na więźniu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Popatrzył za siebie. Żołnierze stali w pełnej gotowości do działania, na wypadek, gdyby nagle stał się agresywny.

- Boisz się mnie?

Andriej Mikulin w lot chwycił aluzję. Za wszelką cenę chciał jednak pokazać, że jest godnym przeciwnikiem, chociaż nigdy przedtem się nie spotkali. Odruchowo odsunął szufladę na kilka centymetrów.

- Możecie odejść - rzucił do żołnierzy.

Bezzwłocznie wykonali rozkaz. Skoro wysokiej rangi urzędnik chce zostać z Jakuszynem sam na sam, to jego sprawa. Albo mają rzeczywiście jakieś interesy, albo szefowi zaczęły ostatnio chodzić po głowie myśli samobójcze. To już ich nie obchodziło.

- Wiesz, kim jestem? - spytał urzędnik rządu.

- Wiem. Człowiekiem, który trzymał mnie przez trzy lata w pierdlu, przy którym średniowieczne lochy to hotel Hilton.

Mikulin zadrżał mimo woli. Próbując dodać sobie animuszu, otworzył jego akta i zaczął niedbale przerzucać strony.

- Witalij Jakuszyn - zaczął powoli czytać. Starał się nadać głosowi nonszalancki ton. Wychodziło mu to całkiem nieźle. - Specnaz, podoficer w czasie naszej interwencji w Afganistanie, odznaczony za skuteczność w eliminacji wroga. - Podniósł wzrok. - Mówili, że twój oddział pod wodzą tego waszego porucznika dopuszczał się przede wszystkim zbrodni wojennych.

- Tak mówili?

- Potem służby specjalne, wywiad... Zaczynałeś naprawdę nieźle. - Przerwał na moment. Popatrzył na Jakuszyna, spodziewając się jakiejś reakcji. Reakcji nie było. Więzień gapił się w sufit, jakby czegoś tam szukał. Wydawał się w ogóle go nie słuchać. - No i niestety, wzięłeś się za łamanie prawa. Nielegalny handel bronią, zabójstwa, hakerstwo, poważne przestępstwa komputerowe i stworzenie organizacji paramilitarnej o charakterze mafijnym. To się musiało źle skończyć.

- Myślisz, że to już koniec?

- Pewnego etapu w twoim życiu na pewno.

- A co z twoim życiem? - Jakuszyn wbił w niego wzrok.

Mikulin poczuł zimny dreszcz biegnący mu po plecach.

- Chcesz mnie zabić? - spytał więźnia wprost.

Witalij Jakuszyn zwlekał z odpowiedzią kilka sekund, celowo budując atmosferę napięcia.

- Przeceniasz się. Nie jesteś wart, żebym sobie przez ciebie sprowadzał na głowę połowę rosyjskich służb specjalnych. Nie darowałiby mi, że się ciebie pozbyłem. Chociaż sami pewnie wiedzą, że jesteś zwykłym ścierwem.

Oficjel starał się nie pokazywać ulgi, jaką właśnie odczuł.

- Mam zdecydować, czy odzyskasz wolność czy nie.

- No to się śpiesz, bo ja i tak wyjdę, czy ci się to podoba, czy nie, ale jak generał Iwanow się dowie, że robisz problemy, to ci się dobierze do dupy. Skończy się kariera, ochrona rządowa, a wtedy cię poszukam.

Andriej Mikulin poczuł zimny pot na plecach. Miał pełną świadomość tego, że Jakuszyn nie blefował. Znał swoją wartość i pozycję przetargową. On, rosyjski urzędnik, reprezentował przegrane stanowisko. Podniósł z biurka dokumenty i zaczął je czytać, po raz kolejny dzisiejszego dnia.

- Oprócz wolności nowa tożsamość, cały sprzęt, z którego dotychczas korzystałeś. Dużo żądasz.

- Za to, co zrobiłem dla twoich zasranych mocodawców, to niewysoka cena. - Mikulin poczerwieniał, słysząc jawną obelgę rzuconą na przełożonych, którym zawsze wiernie służył.

- Beze mnie nie byłoby milionowych majątków dla wybrańców losu. Wasze tępe łepetyny średnio nadają się do twórczego myślenia. Może kiedyś, na przykład za sto lat, coś się zmieni.

Obelga za obelgą. Urzędnik państwowy zagotował się w sobie. Miał przemożną ochotę zafundować więźniowi ponowny pobyt w zakładzie penitencjarnym, w którym go

trzymano przez ostatnie trzy lata. Jednak na przemożnej ochocie musiało się skończyć. Witalij Jakuszyn był już praktycznie wolnym człowiekiem i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mikulin nie mógł mu już w żaden sposób zaszkodzić. Musiał natomiast złożyć swój podpis na dokumentach formalizujących jego uwolnienie. Musiał to zrobić szybko, jeśli nie chciał przypadkiem zdenerwować bardzo potężnych ludzi, ponieważ to akurat mogłoby się dla niego skończyć katastrofalnie.

- Mogę spytać, co planujesz na przyszłość? - Mikulin uderzył w przyjazny ton.

- Możesz - padła zdawkowa odpowiedź.

- Czyli?

- Czyli gównem cię to obchodzi - odpowiedział więzień najspokojniejszym w świecie tonem.

Rosjanin zacisnął pięści w bezsilnej złości.

- Zejdź mi z oczu - syknął.

- Nie, dlaczego. Pogadajmy jeszcze. - Jakuszyn świetnie się bawił, obserwując furię rządowego oficjela, który po raz pierwszy nie mógł mu absolutnie nic zrobić.

- Straż! - wrzasnął wściekły Mikulin i wstał zza biurka. Żołnierze wbiegli z bronią gotową do strzału. - Zabrać mi stąd to ścierwo i wyrzucić z budynku na zbity pysk!

- Zaraz, a moje dokumenty i sprzęt? - spytał głosem urażonej niewinności Jakuszyn, choć doskonale wiedział, że dokumenty zostały już zdeponowane w pewnym banku, a sprzęt właśnie jest transportowany.

Trzy lufy karabinów pojawiły się przy głowie i plecach więźnia, który właśnie odzyskał wolność.

- Precz - wysyczał oficjel, ledwie opanowując furię.

Witalij wstał powoli i wbił wzrok w urzędnika. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jakby chciał go sobie dokładnie zapamiętać. Odwrócił się i opuścił pomieszczenie w asyście mundurowych. Jego oficjalne uwolnienie miało potrwać jeszcze najwyżej kilka godzin. Odbiór rzeczy osobistych i przepływ dokumentacji urzędowej. Przysięgł sobie, że już nikt nigdy tej wolności mu nie odbierze.

\*

W cywilnym ubraniu niczym nie odróżniał się od przechodniów, których mijał na ulicy. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, że przechodzą obok jeszcze do niedawna jednego z najpilniej strzeżonych więźniów w Rosji. Dziś był zwykłym człowiekiem, z nieciekawą przeszłością, teoretycznie mogącą ogromnie utrudnić mu budowanie przyszłości. Tylko teoretycznie. Nigdy nie zapominał, że przyszłość

buduje się tu i teraz.

Wybrał numer na klawiaturze telefonu komórkowego. Pamiętał go bardzo dobrze.

- Słucham? - głos po drugiej stronie linii brzmiał neutralnie.

- Max? - Witalij wolał się na wszelki wypadek upewnić.

- Tak, szefie?

- Jak rozbudowa obiektów?

- Praktycznie skończone. Jeszcze parę drobiazgow do zrobienia. Jak są pieniądze, to robota idzie. Poza tym zatrudnialiśmy najlepszych inżynierów.

- Mrozy nie przeszkadzały?

- Przeszkadzały, ale nie ma problemów nie do rozwiązania.

- To rozumiem. Niemieckie podejście do sprawy. Czasem aż się dziwię, żeście wojnę przegrali.

- Bo wtedy mnie tam nie było.

- I całe szczęście - skwitował Rosjanin.

- A jak sprawy na Uralu?

- Też już właściwie zamknięte.

- To znaczy, że już czas?

- Najwyższy.

- Ludzi już mam. Dogadałem się z Izraelczykami. Byli komandosi. Będzie grupa specjalna.

- Ty, Niemiec, dogadałeś się z Izraelczykami? - Witalij był autentycznie zaskoczony. - Biorąc pod uwagę to, coście wyprawiali z Żydami w czasie wojny, dziwię się, że ci wpierdol nie spuścili na dzień dobry.

- Holokaust to przeszłość. Poza tym biznes jest biznes, szefie.

- Coś ty im obiecał?

- Nic. Wystawiłem im byłego nazistę zbrodniarza. Wszyscy myśleli, że już dawno poszedł do ziemi, a dziadzius zamelinował się w Argentynie i żył jak pączek w maśle. I tak zaskarbiłem sobie żydowskie względy.

- To z ciebie, kurde, patriota. Niech cię szlag trafi. Rodaka Żydom sprzedać.

- Patriota? A cóż to takiego? - spytał Niemiec, udając naiwnego.

- Patriotyzm to coś takiego - podjął jego grę Witalij - że jakby ktoś mi powiedział, że Rosjanie i Ukraińcy to właściwie to samo, tobym mu po ryju nawalił. Kapujesz?

- A nie to samo? - Max pozwolił sobie na niebezpieczny żart.

Wiedział, że Jakuszyn ceni go bardzo wysoko i pogrywał sobie czasem z nim w tym

tonie.

- Idź, bo jak cię huknę w ten wredny szwabski łeb...

- Przez telefon trudno by było, choć przy dzisiejszym stanie techniki...

- Max, chcesz mnie wkurwić?

- Wyluzuj, szefie. Żartowałem. Powiedz, kiedy i gdzie mamy cię odbić.

- Nie musicie mnie odbijać. Rosyjskie władze najwyższe postanowiły wspaniałomyślnie darować mi wolność.

- Hmm. Dlaczego mnie to nie dziwi?

- No właśnie. Podpis jednego człowieka, Andrieja Mikulina, odpowiedzialnego za więziennictwo, i mogę iść, gdzie chcę. Niedługo wyrażę mu za to swoją dozonną wdzięczność.

- Coś czuję przez skórę, że ta wdzięczność niekoniecznie wyjdzie mu na zdrowie.

- Domyślny jesteś, Max. I za to cię lubię.

- Co robimy?

- Mam tu jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Potem się odezwę. A ty pilnuj roboty.

- Wszystko jest pod kontrolą.

- Mam nadzieję.

Witalij Jakuszyn rozłączył się i schował komórkę do kieszeni marynarki. Odetchnął głęboko. Powietrze na wolności ma specyficzną woń i smak.

\*

Andriej Mikulin odłożył dokumenty. Nie mógł skupić się na treści, wciąż mając w głowie wczorajszą rozmowę z Witalijem Jakuszynem. Zawsze czytał dokładnie wszystko, co mu przedłożono do podpisu. Papiery leżące przed nim były nieporównywalnie mniejszej wagi niż dokument, na którym widniał już jego podpis i który najpewniej znajdował się już w rękach Jakuszyna, ale jak zwykle zamierzał je przeanalizować bardzo skrupulatnie.

Wyciągnął z szuflady biurka paczkę kubańskich cygar. Dopiero niedawno docenił wartość tej imperialistycznej używki. Rok temu przy okazji spotkania z delegacją władz kubańskich obdarowany został pudełkiem najprzedniejszych hawańskich cygar. Plotka głosiła, że zwijane są na wewnętrznej stronie ud karaibskich dziewczyn, co przydaje im niepowtarzalnego smaku. Mikulin nie wierzył w takie doniesienia, ale trzeba było przyznać, że sama myśl o tego typu procesie produkcji sprawiała, iż cygaro smakowało jeszcze lepiej.

Odciął końcówki, zapalił, zaciągnął się głęboko aromatycznym dymem i odchylił w fotelu. Cygaro jak zwykle było wyśmienite. Załatwienie regularnych dostaw z Kuby kosztowało go trochę wysiłku, ale warto było.

Przycisnął guzik pod biurkiem. Natychmiast wszedł żołnierz i niemal podbiegł do biurka szefa.

- Wychodzę do salonu odnowy biologicznej - poinformował go Mikulin. - Nie będzie mnie jakieś trzy godziny. Jak coś pilnego, to kierować rozmowy na ich telefon. Jasne?

- Tak jest. - Żołnierz odwrócił się do wyjścia.

- Czekaj! - zatrzymał go. - Pamiętaj, można mi przeszkadzać tylko w bardzo pilnych sprawach, niecierpiących zwłoki. Rozumiesz?

- Rozumiem!

- Wyjdź.

Strażnik pośpiesznie opuścił gabinet.

Salon odnowy biologicznej, z którego usług korzystali rosyjscy oficjele, posiadał bodaj wszystkie zalety niezbędne dla zapewnienia relaksu urzędnikom państwowym wysokiego szczebla. Pełne bezpieczeństwo, ponieważ wstęp miały tu tylko wybrane osoby, starannie wyselekcjonowana kadra sprawdzona przez służbę bezpieczeństwa nieomal do kilku pokoleń wstecz i pełny zakres usług przynoszących odprężenie zarówno w sferze duchowej, jak i czysto cielesnej. Pracownicy salonu skwapliwie spełniały wszelkie, nawet najwymyślniejsze zachcianki klientów, łącznie z zachciankami erotycznymi, za co Andriej Mikulin cenił to miejsce najbardziej.

Kierowniczka przybytku powitała go promiennym uśmiechem. Wstała zza niewielkiego biurka i ukloniła się lekko.

- Witam ponownie naszego ulubionego gościa - skłamała usłużnie. Mikulin wzbudzał w niej strach i niechęć. Często trudno go było zadowolić, a jego niezadowolenie mogło się dla niej skończyć tragicznie. - Czy dzisiaj jak zwykle?

- Dzisiaj trzy. Najpierw masaż, a potem...

- Doskonale rozumiem. Dziewczyny z prawdziwą przyjemnością się panem zajmą.

- Doskonale. Te co zwykle?

- Już czekają, plus jedna nowa, którą sama wybrałam i osobiście polecam. Potrafi dać mężczyźnie wiele radości - powiedziała z zagadkowym uśmiechem.

Mikulinowi zaświeciły się oczy, lecz starał się nie pokazywać podniecenia.

- Bardzo dobrze.

Wszedł do niewielkiego pomieszczenia wyposażonego jak najlepszy salon kosmetyczny, zdjął ubranie i owinął wokół bioder śnieżnobiały, mięciutki ręcznik. Położył się na kozetce twarzą do dołu i czekał. Chwilę potem do pomieszczenia prawie bezgłośnie weszły trzy urodziwe, zupełnie nagie dziewczyny. Stały w szeregu tak, by mógł je



zobaczyć i ukloniły się nisko. Czekwały. Andriej Mikulin skinął przyzwalająco. Podeszły do niewielkiego stolika z aromatycznymi olejkami, roztarły tłusty płyn na dłoniach i zaczęły gładzić szczupłe ciało mężczyzny. Najpierw górną część ciała, potem delikatnie zsunęły i odłożyły na bok ręcznik - Mikulin nie oponował - i zabrały się za masowanie pośladków i nóg. Urzędnik przytknął oczy, całkowicie oddając się niezwykle przyjemnemu zabiegowi. Nowa pracownica zdawała się starać bardziej niż koleżanki. On natychmiast wyczuł te starania i w myślach pochwalił szefową za jej doskonały wybór.

Kiedy przewracał się na plecy, by poddać zabiegom przednią część ciała, poczuł zadrapanie i syknął pod wpływem nieprzyjemnego uczucia, które nie było bolesne, ale przerwało błogostan, w jakim się zdążył znaleźć. Nowa masażystka zakryła dłonią usta. Oczy jej się rozszerzyły. Koleżanki popatrzyły na nią z wyrzutem. Dziewczyna padła na kolana.

- Strasznie przepraszam. Proszę o wybaczenie - mówiła błagalnym tonem. - Sama nie wiem, jak mogłam być taka niezdarna. To się więcej nie powtórzy. Błagam, proszę mnie nie odsyłać. Będę się bardzo starać, proszę mi dać szansę...

- Dobrze, już dobrze - odpowiedział oficjel udobruchany. - Nic się nie stało. Wracaj do pracy

Dziewczyna ze zdwojoną energią i uwagą zabrała się do zabiegu, który systematycznie, z każdą chwilą przeradzał się w pieszczoty z niedwuznacznym podtekstem erotycznym. Kiedy dostrzegła, że mężczyzna jest już gotowy na następny krok, ujęła sztywne ręce w dłonie i zaczęła pieścić ustami i językiem. Wkrótce jej koleżanki również podjęły grę, dostarczając klientowi niezapomnianych wrażeń. Będąc pod taką opieką, Mikulin zapomniał o wszystkich problemach związanych ze swoim stanowiskiem. Szefowa salonu miała rację. Nowa dziewczyna była niezwykle utalentowana.

\*

Witalij przechadzał się leniwie na obrzeżach placu Czerwonego. Tabuny turystów przemierzały go wzdłuż i wszerz. Rozglądali się, robili zdjęcia i słuchali z najwyższą uwagą swoich przewodników.

Rosjanin nie miał wątpliwości, że Mikulin prędzej czy później będzie próbował się go dyskretnie pozbyć. Problem, który ten człowiek stanowił, należało rozwiązać szybko, skutecznie i ostatecznie. Na takie rozwiązanie tutaj czekał.

Do Rosjanina podszedł szczuputki młody człowiek w ciemnych okularach i białej koszuli z krótkim rękawem. Rzucał ukradkowe spojrzenia na prawo i lewo.

- Wszystko nagrane - odezwał się, nie patrząc na Witalija. - Dziewczyna zrobi co trzeba.

- Skąd wiesz, że można na niej polegać?

- Bo to moja siostra.

Witalij rzucił mężczyźnie ukradkowe spojrzenie.

- Wiesz, co ona ma tam Mikulinowi robić?

- Wiem.

- I cię to nie rusza?

Rosjanin był autentycznie zaskoczony. Chciał poznać motywację tych dwojga. Czyżby pieniądze, które dostaną, miały dla nich aż takie znaczenie? Ten kraj się ostatnio bardzo zmienił, ale żeby do tego stopnia?

Młody człowiek wciąż patrzył przed siebie. Zacisnął delikatnie usta. Nie odpowiadał.

- Dajesz zlecenie, robota wykonana, płacisz i do widzenia. Nie muszę ci się tłumaczyć.

Po reakcji nietrudno było się domyślić, że sprawa jest dla młodego niezwykle bolesna. Tu nie chodziło o pieniądze, a przynajmniej nie tylko o pieniądze, choć zapłata, jaką mieli otrzymać, ustawi ich finansowo na wiele lat.

- Płacę, więc mam prawo wiedzieć. - Witalij postanowił go przycisnąć. Chciał zaspokoić czystą ludzką ciekawość, zupełnie nie dbając, że może tym sprawić dodatkowy ból temu młodemu człowiekowi. - Nie lubię niespodzianek.

Mężczyzna zacisnął zęby i westchnął głęboko.

- Mikulin załatwił moim rodzicom kolonię karną.

- Dawno?

- Jak byliśmy dziećmi.

- Aha, zemsta. No proszę, nie ma jak dobra motywacja.

Zabrzmiał sygnał telefonu komórkowego. Młody sięgnął do prawej kieszeni granatowych spodni. Wysłuchał krótkiej informacji i rozłączył się.

- Załatwione. Mikulin wyszedł już z salonu odnowy biologicznej. Został zadrapany i trucizna dostała się do organizmu. My swoje zrobiliśmy.

- My? Raczej twoja siostrzyczka - stwierdził Rosjanin prowokacyjnie.

Bawienie się uczuciami rodzinnymi tego człowieka sprawiało mu perwersyjną frajdę.

- Kiedy druga część płatności? - Mężczyzna po raz pierwszy spojrzał na Witalija.

Patrzył wyczekująco.

- Nie bój się. Ja zawsze reguluję swoje zobowiązania.

W tym samym momencie młody dostał SMS-a z potwierdzeniem wpływu środków na jego konto. Otworzył wiadomość i odetchnął z ulgą. Umówiona kwota została przelana.

- W porządku. Mam potwierdzenie z banku.
- No to pozdrowienia dla siostrzyczki. Może będzie nam dane poznać się kiedyś osobiście - powiedział Witalij pogodnie.
- Nie sędę - odburknął rozmówca.
- Szkoda. Biznes z wami to czysta przyjemność.
- Pozwolę sobie mieć inne zdanie.

Witalij Jakuszyn roześmiał się szczerze. Ten człowiek zaczynał mu się podobać. Gdyby nie jego emocjonalne podejście do sprawy, kto wie, może zaproponowałby mu współpracę. Niestety. W organizacji potrzebuje ludzi zimnych i wyrachowanych, takich, którzy nigdy nie ulegają emocjom.

Rozeszli się bez słowa w przeciwnych kierunkach.

## ROZDZIAŁ 3

Elegancka restauracja, należąca do najdroższych w stolicy, jak zwykle była pełna gości. Dokonanie rezerwacji wymagało co najmniej tygodniowego wyprzedzenia. Mimo to lokal nigdy nie narzekał na brak klienteli. W części ogólnie dostępnej, przy taktach dyskretnej muzyki na żywo, raczyli się wykwintnymi daniami stosunkowo młodzi ludzie, dla których rosyjska transformacja gospodarcza okazała się drogą na szczyt finansowej kariery. Piękne kobiety w wieczorowych kreacjach wdzięczyły się do swoich majątnych partnerów, mających na sobie garnitury najdroższych marek. Dwóch ponurych ochroniarzy stojących przy drzwiach wejściowych obserwowało salę. Gotowi byli do natychmiastowej reakcji na nieprzewidzianą sytuację, mogącą zakłócić panującą tu atmosferę błogiego luksusu.

Łysiejący, w bardziej niż średnim wieku pracownik restauracji, z przyklejonym do twarzy służbowym uśmiechem, zza niewielkiego kontuaru witał wchodzących, sprawdzając wcześniej ich rezerwację, i żegnał wychodzących, życząc im wedle zachodniej mody miłego dnia i wieczoru. Prawie za każdym razem myślał w duchu, że życzenia tego typu są im zbędne. Ludzie z ich pozycją finansową skazani są na prowadzenie beztroskiego, wytwornego i właśnie „miłego” życia, o jakim on i ponad sto milionów jemu podobnych obywateli nie śmieli nawet marzyć.

Do lokalu wszedł kolejny gość. Wygląd odróżniał go od większości zgromadzonych w tym miejscu ludzi. Twarz pociągła, ostre męskie rysy, mądre i przenikliwe spojrzenie, a z damskiego punktu widzenia - zabójczo przystojny.

- Witam szanownego pana. - Recepcjonista giął się w ukłonach. - Na jakie nazwisko jest rezerwacja?

Mężczyzna powiódł wzrokiem po sali. Natychmiast zauważył bogato zdobione w typowo rosyjskie motywy przepierzenie oddzielające fragment restauracji od reszty sali. Przy zasłoniętym bordową kotarą otworze wejściowym stał osiłek urodą przypominający posąg Buddy.

- Witalij Jakuszyn - odpowiedział mężczyzna, nie patrząc na pytającego.

Pracownik przyglądał się przez chwilę gościowi. Nigdy przedtem nie odwiedzał tego lokalu. Wiedział, bo pracował tu od samego początku. Pamiętałby. Miał świetną pamięć do twarzy.

Przebiegł wzrokiem listę rezerwacji na dzisiejszy wieczór. Znalazł nazwisko na liście. Podniósł rękę i przywołał kelnerkę.

- Zaprowadź gościa do stolika 21 - zwrócił się do dziewczyny wyglądającej na nie więcej niż osiemnaście lat. Ubrana była podobnie jak jej koleżanki na sali, w uniform złożony ze śnieżnobiałej bluzki i granatowej krótkiej spódniczki. Wyglądała jak uczennica komunistycznej szkoły radzieckiej. - Szanowny pan będzie na kogoś czekał?

- Tak. Ktoś będzie o mnie pytał - skłamał Witalij.

W ten sposób zyskiwał gwarancję, że dadzą mu na chwilę spokój. Ta chwila była mu teraz bardzo potrzebna.

Kelnerka wskazała mu stolik, zostawiła kartę, uśmiechnęła się zalotnie i odeszła do innych gości. Witalij nie usiadł. Od razu ruszył w kierunku przepierzenia i strzegącego go „Buddy”. Starał się sprawić wrażenie zagubionego gościa, który poczuł pilną potrzebę wizyty w toalecie, a w żaden sposób nie mógł jej zlokalizować. Budda drgnął i zgromił wzrokiem szybko zbliżającego się człowieka. Zanim ochroniarz zdążył jakkolwiek zareagować, otrzymał prawie że niezauważalne, lecz niezwykle silne uderzenie w prawą część otłuszczonej szyi. W pierwszej chwili zdębiał, poczuł, że nie może się poruszyć, zaraz potem nogi się pod nim ugięły.

Nim zwałił się na podłogę, Rosjanin pchnął go z całej siły na odsuniętą kotarę i wszedł za nim. Potężny goryl padł na wznak niczym rzucony worek ziemniaków. Kilka metrów dalej przy okrągłym, suto zastawionym stole siedział siwy starzec w okularach, z uwieszonymi mu na szyi dwoma młodymi dziewczynami. Po jego prawej i lewej ręce dwaj tłuści mężczyźni w bardziej niż średnim wieku jedli smakowicie pachnące dania. Dwóch ochroniarzy zdecydowanie mniej pokaźnych rozmiarów niż Budda stało trochę z tyłu. Widząc padającego przed nimi towarzysza i wchodzącego intruza, dobyli krótkich pistoletów maszynowych i w mgnieniu oka znaleźli się przy Witaliju. Przyłożyli mu lufy do głowy i z wyczekiwaniem na twarzach patrzyli na starca. Dwa tłuściochy przestały jeść. Zniekształcone strachem nalane twarze zwróciły się w tę samą stronę. Staruszek zachowywał pełen spokój. Delikatnie odsunął dziewczyny od siebie, jakby nie chciał ich urazić.

- Wchodzisz nieproszony. Jak do siebie - zaczął łagodnie, niemalże po przyjacielsku. - Sprawileś mi przykrość, a ja nie lubię, jak mi się sprawia przykrość.

Dla wtajemniczonych słowa te oznaczały jedno i zawsze to samo. Wyrok śmierci dla zuchwalca. Ochroniarze w lot pojęli intencję szefa i szarpnęli Witalija, by wyprowadzić go na zewnątrz tylnym wyjściem i wykonać egzekucję.

Witalij gwałtownie schylił głowę, by zejść z ewentualnej linii ognia, gdyby któryś z

trzymających go ludzi zdążył pociągnąć za spust, i jednocześnie wymierzył im potężne uderzenia w nieosłonięte żebra, pozbawiając na moment tchu. Padły strzały. Towarzyszący staruszkowi przy posiłku ludzie rzucili się pod stół. Tymczasem Rosjanin chwycił pistolety za ich przednią część i szarpnął mocno w dół, wrywając je Chińczykom z dłoni. Kolistym ruchem wykonał wydawałoby się niewielki zamach i metal z głuchym trzaskiem rozbił im głowy. Ochroniarze bez przytomności osunęli się na ziemię. Staruszek jako jedyny w pomieszczeniu siedział niewzruszony. Dziewczyny sparaliżowane strachem kryły się za jego plecami.

- Zabiłeś mi ludzi - powiedział gospodarz z nutką pretensji w głosie.

- Nie zabiłem - odparł Witalij, jakby nic się nie stało. - Nic im nie będzie.

Odłożył pistolety na blat stołu.

- Wiesz, kim jestem? - spytał stary i uniósł lekko głowę.

Współbiesiadnicy wychylili głowy spod stołu. Widząc, że niebezpieczeństwo chyba minęło, skoro broń została odłożona, wygramolili się i usiedli na swoich miejscach. Damska część towarzystwa nie wykazała się taką odwagą.

- Wiktor Czukczyn. Szef mafii na zachodnią Rosję.

- Zgadza się. A ty kim jesteś?

- Nazywam się Witalij Jakuszyn.

Czukczyn pogładził się po rzadkiej brodzie. Wydął usta.

- Słyszałem o tobie. Słyszałem też, że nie żyjesz.

- Zakład JUK 25/6 to nie życie. Nie żyłem przez całe trzy lata.

- Mówią, że stamtąd się nie wychodzi.

- Dużo mówią.

- Z czym przychodzisz?

- Chcę ubić interes.

- Dlaczego miałbym z tobą ubijać interes? Włamujesz się jak zbój, straszysz moich gości - wskazał siedzących tłuszciochów, którzy skwapliwie mu przytaknęli, kiwając głowami - bijesz moich ludzi... Tak się nie robi.

- Ten interes nazywa się Andriej Mikulin.

- O ile dobrze pamiętam, to szef więziennictwa...

- Ten sam.

- Przeceniasz mnie, chłopcze. - Był wiekowy, więc nazwanie około czterdziestoletniego Witalija „chłopcem” nie wydawało się być nie na miejscu. - Nie mieszam się do polityki.

- Tylko że ta polityka miesza się w pańskie sprawy. Od trzech lat co miesiąc płaci pan Mikulinowi w zamian za względny spokój w interesach. Konkretnie sumy idą regularnie na konta w jednym z rajów podatkowych. Mogę podać ich wysokość i numery kont. Podać?

Na twarzy Czuczyna nie drgnął ani jeden mięsień. Przechylił lekko głowę na prawo i przyglądał się gościowi z najwyższą uwagą. Wiele słyszał o tym Rosjaninie, którego stworzył wojskowy system. Swego czasu Rosjanin ten zbudował imponującą organizację. Zdobywał najnowocześniejsze technologie wojskowe, mogące zdestabilizować obecne status quo na świecie, gdyby dostały się w niepowołane ręce. Miał umrzeć, ale jak widać rosyjskie władze zmieniły swoje plany. Czuczyn miał szczegółowe informacje na temat tego człowieka. Zawsze dbał o to, by donoszono mu o wszystkich ważniejszych wydarzeniach w kraju, a postać Witalija Jakuszyna była wydarzeniem wyjątkowo istotnym.

W tym momencie nastąpiło coś, czego wszyscy obecni, łącznie z Rosjaninem, się spodziewali. Do pomieszczenia wpadło czterech uzbrojonych ludzi i natychmiast otoczyli nieproszonego gościa. Wymierzone w Witalija lufy karabinów nie pozostawiały wątpliwości, kto w tej chwili jest panem sytuacji. Mężczyzna w eleganckim garniturze wydawał się zupełnie nie przejmować rozwojem wydarzeń. Czekał i patrzył szefowi mafii prosto w oczy. Reakcja Czuczyna nie była dla niego żadnym zaskoczeniem. Staruszek podniósł dłoń, wstrzymując swoich ludzi.

- Wszystko w porządku - powiedział do ochroniarzy swoim typowym łagodnym tonem. - Ten człowiek jest moim gościem. Wyjdźcie i dopilnujcie, by nam nikt nie przeszkadzał. I zabierzcie tych dwóch. - Wskazał dłonią na nieprzytomnych ochroniarzy.

Jednocześnie rzucił wymowne spojrzenia dziewczynom i dwóm współbiesiadnikom. Natychmiast zrozumieli, czego się od nich oczekuje, i bez zbędnej zwłoki opuścili pomieszczenie. Witalij Jakuszyn i głowa rosyjskiej mafii zostali sami. Czuczyn wskazał mężczyźnie krzesło po swojej prawej stronie.

- Mów, chłopcze.

Rosjanin nie miał nic przeciwko temu, że jest nazywany „chłopcem”, szczególnie iż słyszał, że starzec tak właśnie wyrażał swoją życzliwość drugiemu człowiekowi.

- Mikulin toczy waszą organizację niczym rak. Jego pazerność rośnie z roku na rok i raczej rosnąć nie przestanie, bo w sprawę włączyli się ludzie, na których przyjaźni mu bardzo zależy, a to kosztuje. Ludzie ci też potrzebują się nachapać. Pan robi za sponsora.

- Mów dalej, chłopcze.

- Mogę wyeliminować Mikulina i ostatecznie rozwiązać pański problem.

- Wyeliminować?

- Wysłać go do krainy wiecznych łowów, jak to mawiali amerykańscy Indianie.

- Myślisz, że nie próbowaliśmy go zabić? - spytał staruszek, uśmiechając się pobłaźliwie. - Poza tym zamach na tak wysoko postawioną osobę mógłby mieć dla nas nieobliczalne skutki.

- Myślę, że Mikulin jest poza waszym zasięgiem. Ja uśmiercę go w taki sposób, że na organizację nie padnie nawet cień podejrzenia.

Czukczyn świdrował rozmówcę wzrokiem. Było w nim coś nieodgadnionego, jak u największych charyzmatycznych przywódców.

- Jeżeli to, co o tobie słyszałem jest prawdą, to byłbym nawet skłonny uwierzyć, że ci się uda.

- Jeżeli dojdziemy dzisiaj do porozumienia, to za dwa, najdalej za trzy dni rozpoczną się przygotowania ceremonii pogrzebowej szefa rosyjskiego więziennictwa.

- Jesteś bardzo pewny siebie, chłopcze.

- Znam swoje możliwości.

- Przyjmuję twoją ofertę. - Czukczyn położył swoją dłoń na dłoni Rosjanina na znak, że niniejszym przypieczętowanie zawarty między nimi układ. - Co chcesz w zamian?

- Spokój przy prowadzeniu interesów na terenie Federacji Rosyjskiej...

- Zgoda. Coś jeszcze?

- Potrzebuję nową tożsamość. Niebudzące podejrzeń dokumenty.

- Dobrze. Załatwię ci najlepszych fałszerzy i paszport, jaki tylko będziesz chciał. To kiedy mówisz sprawa się rozwiąże?

- Za dwa, najdalej trzy dni Mikulin wyda ostatnie tchnienie.

- Liczę na ciebie, chłopcze. - Czukczyn uśmiechnął się przyjaźnie. - Może jesteś głodny? Zaraz każę przygotować coś świeżego.

- Bardzo dziękuję, ale nie jadam kolacji. Ot, takie dziwactwo.

Witalij Jakuszyn wstał i ukłonił się gospodarzowi.

- Czekam na dobre wieści, chłopcze.

- Nadejdą wkrótce.

Rosjanin wyszedł na salę główną restauracji i skierował się prosto do wyjścia. Minął bez słowa zegnającego go niskim ukłonem recepcjonistę i opuścił lokal.



## ROZDZIAŁ 4

*Wrocław, Polska*

Kolejka do kasy biletowej we wrocławskim Multipleksie wlokła się niemiłosiernie. Piątkowy wczesny wieczór nie sprzyjał wypadom do kina, jeżeli człowiek niekoniecznie miał ochotę oglądać film wśród nieprzebranych tłumów widzów. Wszystko można było o Multipleksach powiedzieć, tylko nie to, że oferują kameralną atmosferę.

- Przed południem są pustki - powiedział Maciek Burdzik i wychylił głowę, żeby zobaczyć, ile osób jeszcze przed nimi.

- Przed południem, mój drogi panie student - Basia spojrzała do góry na wyższego od niej prawie o głowę dalekiego krewnego - normalni ludzie zajmują się pracą zawodową.

- Tak jest, Maciuś - zgodził się z żoną Gawlik. - Kiedy wy, studenci, zbijacie bąki, my, normalni ludzie, ciężko pracujemy.

- Że ciocia sieje wrogą propagandę, to się nie dziwię - powiedział półgłosem do Adama. - Ale że wujko też?

- Słyszałam. - Basia zmarszczyła brwi.

- A spróbowalaby ciocia zaliczyć matematykę u nas na polibudzie, toby ciocia zmieniła zdanie o zbijaniu bąków.

Basia klepnęła go solidnie po ramieniu.

- Żartuję, Maciuś. Wiem, że ci tam na tej twojej informatyce wcale nie jest łatwo. Mama ostatnio mówiła. Podobno poziom matematyki, jaki mieliście w liceum w Żarach, a wymagania na uczelni, to niebo a ziemia.

- Dokładnie tak jest. Na początku to był koszmar. Ludzie z Wrocławia sobie radzili, a mi szczeka momentami opadała, jak widziałem, co się wyprawia na zajęciach.

- No widzisz - włączył się Adam - dlatego zabieramy cię do kina na dobry film, żebyś się wyluzował.

- Ludzie mówią, że *9. kompania* to taki rosyjski *Pluton*. - Maciek przesunął się krok do przodu. Kolejka minimalnie się zmniejszyła. - A tak... z tym, że wujek był wtedy w Afganistanie, to naprawdę, czy jakaś ściema?

- Naprawdę. - Adam spoważniał. - To, co ty zobaczysz na filmie, ja widziałem na

własne oczy. Widziałem też rzeczy, których w filmie na pewno nie będzie.

- Na przykład jakie? - spytał Maciek.

- Na przykład takie, które nigdy nie powinny się wydarzyć, i o których wolałbym nie pamiętać.

Poczuł, jak żona ściska go mocniej za rękę. Popatrzył jej w oczy. Wystarczyło.

Kolejka zaczęła się posuwać szybciej. Przy kasie okazało się, że zostały tylko bilety w przednich rzędach. Wzięli co było.

Do sali kinowej weszli podczas obowiązkowych reklam notorycznie puszcanych przed projekcją. Można się było spokojnie spóźnić i właściwie nic się nie traciło, a wręcz zyskiwało - trochę więcej zdrowia psychicznego bez bombardowania najczęściej mało błyskotliwymi obrazami, wmawiającymi ci, że dany produkt jest najlepszy na świecie i koniecznie musisz go kupić.

W trakcie projekcji Gawlik uznawał za stosowne komentować Maćkowi półgłosem niektóre wydarzenia rozgrywające się na ekranie. Student słuchał z zainteresowaniem. Inni widzowie, szczególnie ci, którzy siedzieli w rzędzie przed nimi, nie wydawali się zachwyceni możliwością słuchania uwag człowieka, który miał okazję naocznie zweryfikować film z życiem. Co jakiś czas odwracali się i cmokali zniecierpliwieni. Nikt jednak otwarcie nie zwrócił mu uwagi. Afganiec to jednak Afganiec. Nigdy nie wiadomo, czego po takim można się spodziewać.

- Ten sierżant, co wygląda jak Mongoł, miałem kiedyś takiego sierżanta. - Adam ponownie nachylił się w stronę młodego człowieka. - Kaganowicz się nazywał. Życie mi uratował. Jeden afgański gówniarz, miał może z dziesięć lat, leciał na nas z granatem. Schował go skubaniec za plecami, tak żebyśmy nie widzieli. Ja się nie kapnąłem, a Kaganowicz go odstrzelił w ostatniej chwili. Nie byłoby z nas co zbierać. Zaraz potem to żeśmy jednego Niemca złapali i...

- Adam, uspokój się - nie wytrzymała Basia. - Później Maćkowi poopowiadasz. Ludzie chcą w spokoju film obejrzeć.

Kilku widzów przed nimi przywitało jej słowa pomrukami zadowolenia.

- OK, kochanie, już się nie odzywam. Nie denerwuj się. - Gawlik usiadł prosto, jak należało.

Maciek też nie protestował, chociaż nadstawiał uszu na to, co Adam mu mówił. Miał nadzieję, że „przyszywany” wuj - Gawlik nie był dla Maćka żadnym krewnym, student nazywał go „wujem” z czystej sympatii - nie omieszka zaserwować mu jeszcze co najmniej kilku ciekawych kawałków z tamtych czasów. Szkoda tylko, że najciekawsze postanowił

zachować dla siebie.

Gdy wyszli z kina, zapadał już zmierzch. Po drodze do samochodu Maciek zagadnął Adama:

- A potem, wujek, utrzymywałeś jakiś kontakt z towarzyszami z Afganistanu?
- Z jednym nawet dłuższy czas - odparł Gawlik. - Nazywał się Nikołajew.
- A Kaganowicz? Życie ci uratował, toście się chyba zaprzyjaźnili...?

Adam nie odpowiedział. Wsiadł do samochodu. Czekał, aż żona i młody człowiek zajmą miejsca. Maciek dyskretnie nie powtórzył pytania. Zaczynał wyczuwać, że sprawa chyba jest drażliwa.

- Kaganowicz nie żyje. - Gawlik patrzył przed siebie zamyślony. - Nikołajew zresztą też.

Przekręcił klucz w stacyjce i wrzucił wsteczny bieg.

- Maciuś, porozmawiajcie o czym innym. - Basia postanowiła uprzedzić dalsze niewygodne pytania, które mogłyby jej męża wprowadzić w zakłopotanie, a nawet rozdrażnienie.  
- Opowiedziałbyś trochę o studenckim życiu. To jest ciekawe.

Jechali w stronę południowej części miasta. Po drodze do domu zamierzali podrzucić jeszcze studenta na jego wrocławską kwaterę, niedaleko miejsca, gdzie sami mieszkali.

- Ja wiem, czy ciekawe? Dzisiaj studenci dużo piją, a ja szczególnie lubię wódkę. Najwyżej piwo albo jakieś dobre wino.

- Coś mi się widzi, że ty Maciek za porządny jesteś. - Adam odzyskał dobry nastrój. - Ciesz się, że w Rosji nie studiujesz, bo byś się całkiem zmarnował.

- Stary, co ty chłopakowi w głowie mącisz? - skarciła go żona. - Bardzo dobrze, że nie pije. Nie czepiaj się. Papierosów też nie palisz, prawda, Maciuś?

- Nie palę - odpowiedział cicho, jakby się tego wstydził.

Dalsza droga upłynęła im na lekkiej rozmowie i niewinnych żartach. Państwo Gawlik dowiedzieli się, że Maciek następnego dnia idzie na uczelnię posiedzieć parę godzin w bibliotece. Bez tych weekendowych sesji „wkuwania” nie miałby większych szans utrzymania się na studiach.

Kiedy Maciek się pożegnał i wysiadł przy ulicy Krynickiej, gdzie wynajmował kawalerkę, Basia popatrzyła na męża z czułością.

- Wiesz, on w pewnym sensie jest taki jak ty - powiedziała i pogładziła go po policzku.

- Tak? A z której strony?

- Romantyk. W pewnych sprawach, wiadomo jakich, czarująco gamoniowaty. Ty też

taki byłeś.

- No wiesz co? - udawał obruszonego. - Masz przed sobą stuprocentowego mężczyznę i takie rzeczy mówisz.

- Nie wątpię. Z drugiej strony powinieneś to uznać za komplement. Przecież powiedziałam: „czarująco”.

- I twoje szczęście. - Pogroził jej palcem. - I twoje szczęście, kobieto.

Stuknęła go zadziornie dłonią w ramię.

## ROZDZIAŁ 5

Zgasił lampkę i przetarł oczy. Popatrzył za okno, w dal. Zmęczony wzrok odpoczywał po kilkugodzinnym wysiłku. Rzucił okiem na tarczę zegarka. Było pięć po dwunastej. Zamknął głośno książkę. Zbyt głośno. Hałas zwrócił uwagę ślęczących studentów. Bibliotekarka spojrzała na niego gniewnie znad okularów. Skulił się i zrobił przeproszającą minę.

Posiedział jeszcze kilka minut i starał się poukładać w głowie na gorąco materiał, który starał się opanować. We wtorek czekało go kolokwium. Poniedziałek miał być ostatnią szansą, by tu wrócić i wszystko odświeżyć. Na dzisiaj miał jednak już dość. W końcu weekend jest po to, żeby wypoczywać, a nie siedzieć z nosem w książkach i skryptach, których w dodatku nie można wypożyczyć do domu.

Powkładał swoje zeszyty z notatkami do foliowej reklamówki i wstał od stolika, starając się jak najciszej odsunąć krzesło. Nie chciał podpaść pani bibliotekarce. Dobrze z nią żyć w zgodzie, bo czasem pozwala coś wziąć na noc, ze zwrotem z samego rana przed ósmą.

Bibliotekarka odłożyła książki na bok. Była kobietą przed czterdziestką, bez obrączki na palcu, tego dnia również miała na sobie wydekoltowaną bluzkę, a na twarzy zbyt wyzywający makijaż. Karmiła się irracjonalną nadzieją, że któryś z pracowników dostrzeże kiedyś jej co najwyżej przeciętne wdzięki i stanie się dla niej bratnią duszą. Jak do tej pory jej nadzieje wciąż pozostawały niespełnione, co sprawiało, że z każdym rokiem stawała się coraz trudniejszą osobą w obejściu.

- Pan...? - spytała sucho.

- Burdzik, Maciej Burdzik.

- W porządku. - Odhaczyła go sobie na liście wypożyczających. - Na drugi raz niech pan Burdzik zachowuje się trochę ciszej. Tu jest czytelnia, a nie pijalnia piwa.

Maciek nie chciał uchodzić za bezczelnego i nie skomentował jej uwagi wymienianiem elementów odróżniających to miejsce od niewątpliwie bardziej atrakcyjnego ze studenckiego punktu widzenia przybytku, służącego do spożywania złocistego napoju, choć nie zawsze w tym kolorze. Maciek ostatnio gustował w piwie pszenicznym oferowanym jedynie w „Spiżu”. A akurat to piwo było koloru jasnozielonego.

Na przystanku autobusowym zastał troje czekających. Wiekowy dziadziuś o lasce, w

śmiesznej czapce leninówce, leciwa tęgawa jejmość, ubrana i zachowująca się w stylu przedwojennej hrabiny, i kobieta z małym dzieckiem w wózku. Trzeba będzie kobiecie wnieść „pojazd” do autobusu.

Maciek popatrzył na rozkład jazdy. Następny autobus miał być za osiem minut. Na trening z Adamem umówiony był na trzynastą trzydzieści w małej szkole podstawowej po drugiej stronie miasta. Powinien zdążyć.

Na przystanek przysła jeszcze jedna osoba. Chłopak rozpoznał ją natychmiast. Widywał ją już niejednokrotnie na uczelni. Nigdy nie miał okazji poznać jej osobiście, ale wiedział, co studiuje - architekturę - i jak ma na imię - Magda. Na jej widok serce mu leciutko przyspieszyło. Uosabiała ideał dziewczyny, który sobie wymarzył. Co prawda nie miała urody fotomodelki, ale była ładna, naprawdę ładna. Zawsze uśmiechnięta i pogodna, otoczona grupą znajomych. Lecz co najważniejsze, miała w sobie to coś, co dostrzegali tylko niektórzy, co przemawiało bardziej do duszy niż do rozumu. Maciek wyczuwał „to coś” instynktownie.

Dziewczyna sprawdziła rozkład i zerknęła na zegarek. Odeszła kilka kroków od przystanku i przystanąła pod drzewem. Nie miała pojęcia, że wśród czekających znajdował się człowiek, który teraz gorączkowo myślał, czy los nie dał mu przypadkiem szansy. Tylko szansy na co? Ona niezwykle lubiana wśród braci studenckiej, w przytłaczającej większości w męskim wydaniu, a on jeden z wielu, nierzucający się specjalnie w oczy, raczej nie zapraszany na elitarne imprezy przez doskonale znających się ludzi z Wrocławia.

Przechadzał się zamyślony. Kilka kroków wzdłuż chodnika i kilka kroków z powrotem. Całkiem sporo wysiłku kosztowało go powstrzymanie się od patrzenia w jej stronę. Trzymał reklamówkę z zeszytami za plecami. Pochylił głowę i po raz kolejny zrobił duży krok nad niewielką kałużą - pozostałością z nocnej ulewy. Zastanawiał się, a może jednak...? Tylko co jej ma powiedzieć? Jak zagaić? A może po prostu: „Cześć, jestem Maciek. Też studiuje na polibudzie”. Nie, głupie. I co dalej miałby niby powiedzieć. Ona przecież może nie mieć ochoty na nawiązywanie przygodnych znajomości. Może mu powiedzieć coś do słuchu i tylko wyszedłby na idiotę przed tymi ludźmi, którzy na pewno by się przysłuchiwali. Nie, nie tak.

Wykonał kolejny krok nad kałużą. Nie patrzył na nią, ale wiedział, że tam była. Mijały minuty, a szansa na poznanie kogoś wyjątkowego stopniowo ulatywała. A może by tak o coś spytać? Tylko o co? Przecież nie spyta, która godzina. Myśli tłukły mu się w głowie jak lokomotywa parowa na pełnym pędzie. Popatrzył na zegarek. Autobus przyjedzie za dwie minuty, wsiądą i będzie po wszystkim. W autobusie w życiu by się nie odważył do niej podejść. Ci wszyscy pasażerowie wokół, nadstawiający uszu. Mowy nie ma. A może by tak

spytać o drogę? Jak dostać się gdzieś do miasta. Ma przecież prawo nie wiedzieć. Jest przyjezdny. Ucieszył się w duchu. Pomysł był świetny. Może przecież spytać, jak dostać się na ulicę, przy której stoi szkoła podstawowa. Zrobiło mu się gorąco.

Odwrócił się w jej stronę i nie podnosząc głowy, powoli, bardzo powoli, szedł w jej kierunku. Poczł przyśpieszone bicie serca. Podniósł wzrok. Patrzyła przed siebie. Przełknął ślinę. Suchość w gardle robiła się dokuczliwa. Zrobił kolejny solidny krok nad kałużą i... usłyszał za sobą szeleszczący hałas. Odwrócił głowę. Reklamówka pękła, a wszystkie zeszyty wylądowały w brudnej wodzie. Ktoś parsknął stłumionym śmiechem. Maciek wołał nie wiedzieć kto. W jednej chwili poczuł uderzenie potu na całym ciele. Wyszedł na ofertę, niezgułę i powodującego śmieszność nieudacznika. Czuł, że był czerwony jak burak. Taka kompromitacja i to na oczach obiektu jego skrytych westchnień.

Pośpiesznie zbierał zeszyty. Ociekały brudną wodą, którą starał się jakoś strzepywać. Nie szło mu najlepiej. Z ulgą stwierdził, że podjechał autobus. W duchu cieszył się, że świadkowie jego żalnego niefartu odjadą w swoją stronę, a on nie będzie musiał zapadać się ze wstydu pod ziemię tu i teraz. Nastąpi to pewnie z początkiem przyszłego tygodnia, kiedy to w ramach anegdoty Magda z architektury opowie przyjaciołom zabawne wydarzenie z przystanku autobusowego.

Autobus odjechał. Maciek w jednej ręce trzymał pękniętą reklamówkę, w drugiej trzy namokłe zeszyty. Reklamówka była już praktycznie bezużyteczna. Nie mógł do niej nic włożyć. Na skraju kałuży leżały jeszcze dwa zeszyty. Popatrzył na zajęte ręce. Odłożył na bok zniszczoną foliówkę i sięgnął po nie, jednak nie zdążył ich podnieść. Delikatna, smukła dłoń zrobiła to za niego. Przytrzymała je w powietrzu, by zeszła woda, i wsadziła do kolorowej foliowej torby.

Maciek podniósł głowę zaskoczony. Magda podała mu reklamówkę.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać, nie? - posłała mu jeden ze swoich uśmiechów, którym już nie raz się zachwycił. - Proszę.

Wstał powoli, nie odrywając od niej ogłupiałego wzroku. Zaskoczenie było kompletne. Chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle.

- Dzięki - wydusił z siebie. Wziął od niej torbę, ale trzy bruliony, które trzymał w dłoni, nie trafiły do środka. Gorączkowo przeszukiwał umysł za jakimś zręcznym słowem, wypowiedzią lub choćby inteligentnym zlepkim kilku słów. Jak na złość w głowie miał kompletną pustkę. - Spóźniłaś się na autobus - wydukał zdenerwowany.

- Będzie następny. - Przechyliła delikatnie głowę na prawo i przyglądała mu się przez moment. - Ale ja cię chyba parę razy widziałam na uczelni. Studiujesz informatykę, prawda?

Maciek gapił się na nią jak ciele. Skąd wiedziała? Czy to możliwe, żeby w ogóle zwróciła na niego uwagę? Wciąż trzymał mokre zeszyty w jednej ręce i jej reklamówkę w drugiej. Wyglądał raczej niezbyt korzystnie.

- Dokładnie - odpowiedział i wyrazem twarzy zadał pytanie: „Skąd wiedziała?”.

Nie uzyskał na nie odpowiedzi.

- Schowaj te zeszyty, bo znowu ci wypadną. - Przeniosła wzrok na zmoczone zestawy notatek. - Mogą się jeszcze przydać.

Maciek stał przez chwilę, jakby nie wiedział, co ma zrobić. Nagle uświadomił sobie, jak głupio musi z tym wyglądać.

- No właśnie. Rzeczywiście. Przydadzą się. - Nic mądrzejszego do powiedzenia nie przychodziło mu w tym momencie do głowy.

- Jestem Magda. - Wyciągnęła do niego dłoń.

- Wiem. - Poczuł jej delikatny, ale zdecydowany uścisk. - Wyróżniasz się z tłumu. - Zaczynał powoli odzyskiwać zdolność normalnego myślenia.

- Tak? - W jej głosie na próżno by się doszukiwać zaskoczenia. - A ty masz jakieś imię?

- Ach, przepraszam. - Zreflektował się. - Ja jestem Maciek. - Wykrzywił usta w czymś, co miało przypominać uśmiech pewnego siebie faceta. Wyszło raczej mało przekonująco, co nie uszło uwadze dziewczyny.

Widziała, że jej osoba robi na nim piorunujące wrażenie. Kobiety chcą się podobać, a bezsprzecznie w przypadku tego chłopaka dało się wyczuć, że chodzi o coś daleko więcej. Przyszła jej do głowy myśl, że ten chłopak może się w niej najzwyczajniej w świecie platonicznie podkochiwać. Nie byłaby sobą, gdyby tego nie sprawdziła. Poza tym był słodki w tej swojej nieumiejętności postępowania z płcią przeciwną.

Spojrzała ostentacyjnie na małe zegarek.

- Mamy jeszcze jakieś dwadzieścia minut - stwierdziła i popatrzyła mu w oczy. Bez trudu wyczytała z nich szczerą, uczciwą i oczarowaną jej osobą. Skrzętnie skrywane pod nieudolnie przywdziewaną maską obojętności, ale niewątpliwie. - Chodź, przejdziemy się. Bez sensu tak tu stać.

- Dobra.

Próbował powiedzieć to beznamiętnym tonem, lecz dusza w nim zagrała. Magda wyczuła to natychmiast i uśmiechnęła się do siebie z kobiecą satysfakcją. Bardzo jej się ta sytuacja podobała. Maciek czuł wspaniałą lekkość na sercu. Dostawał skrzydeł i w duchu dziękował producentowi reklamówek za ich marną jakość.



- Powiedz mi coś o sobie - zastrzeżona go bezpośrednim pytaniem.

- Nie bardzo jest co mówić - odpowiedział skromnie. - Taki sobie ze mnie zwykły człowiek. Co byś chciała wiedzieć?

- Na przykład, skąd jesteś. Co robisz w wolnym czasie. Co lubisz, czego nie, i tak w ogóle.

Maciek zawsze należał do skrytych. Nie lubił mówić o sobie, a tu padło tyle pytań na jego temat. W innym przypadku wykręciłby się zdawkowymi odpowiedziami, ale tutaj zadała je osoba, która nie była w jego oczach jedynie jeszcze jedną studentką na jego macierzystej uczelni. Była dla niego kimś daleko ważniejszym, choć jedynie na odległość. Jak wiele by dał, żeby móc się do niej zbliżyć, żeby uznała go za swojego kolegę, z którym warto się spotykać, a potem może coś więcej... Poczł się przy niej na tyle bezpiecznie, by się otworzyć. Chyba po raz pierwszy w życiu.

- Jestem z Żar. Taka miejscowość w Lubuskim.

- Tak, wiem. Tam Owsiak robił Przystanek Woodstock.

- Dokładnie.

- Mam na roku kolegę z Żar. Nazywa się Jacek Borkowski. Może się znacie?

Maciek zaprzeczył ruchem głowy.

- Właściwie to jestem z jednej wsi pod Żarami - dodał wstydliwie. - Lipinki. A w wolnym czasie, jak nie zakuwam, to mam tutaj we Wrocławiu krewnych. Wujek trenuje mnie w sztukach walki.

- Poważnie? To przy tobie każda dziewczyna musi się czuć naprawdę bezpiecznie. Twój wujek to trener karate, tak?

- Nie. To były żołnierze. Z tego, co ciotka mówiła, to nie taki zwykły, jak się widzi normalnie. - Dostrzegł szansę zainteresowania dziewczyny. - Były komandos. Weteran z Afganistanu z lat osiemdziesiątych. No wiesz, interwencja Armii Radzieckiej i te sprawy.

- Kojarzę. Ciekawy ten twój wujek.

- Jak chcesz, mogę cię z nim poznać - zaoferował się bez zastanowienia.

- Może ja wolałabym najpierw poznać lepiej ciebie, Maćku - powiedziała zupełnie szczerze i utkwiała w nim spojrzenie.

Od razu zauważyła, jak zaczerwienił się po same uszy. Miał ochotę zamienić się w motyla, unieść się w powietrze i odtańczyć nad jej głową taniec szczęścia i radości. Jej słowa przyprawiały go o drżenie rąk, a w żołądku robiło mu się przyjemnie ciepło.

- To teraz twoja kolej - powiedział pogodnie. - Ty mi powiedz coś o sobie.

- Co chcesz wiedzieć? - roześmiała się.

- To samo. Skąd jesteś i tak dalej.

- No więc, jestem z Wrocławia...

Nie dokończyła. Przerwało jej wołanie z samochodu, który właśnie stanął przy krawężniku.

- Magda! Magda!

Dziewczyna obejrzała się za siebie. Pomachała komuś na powitanie.

Maciek od razu rozpoznał markę. Porsche Cayenne. W środku dwóch młodych mężczyzn i dziewczyna. Twarze mężczyzn rozpoznał. Studenci architektury ze starszych lat. Top elita braci studenckiej. Wszyscy chcieli się z nimi przyjaźnić lub choćby przebywać w ich towarzystwie. Tacy ludzie traktowali studentów pokroju Maćka Burdzika jak powietrze, zawsze i wszędzie. W wyjątkowych wypadkach patrzyli na nich z pobłażliwością króla odnoszącego się łaskawie do żebraka proszącego o jałmużnę. Wiedział, że nigdy się nawet nie zbliży do tych kręgów i jakoś nie było mu z tego powodu specjalnie przykro.

- Cześć chłopaki! - zawołała do nich Magda.

- Jedziemy do Krzyśka - powiedział kierowca terenówki. - Będzie impreza. Chodź z nami. Byliśmy po ciebie w domu, ale rodzice powiedzieli, że jesteś na uczelni. Wsiadaj, szkoda czasu. Jedziemy. - Przycisnął pedał gazu i silnik zawył.

- Przepraszam cię, Maciek. Chyba musimy naszą rozmowę odłożyć. - Ścisnęła mu palce dłoni, podbiegła i wsiadła do samochodu.

Kierowca przywitał ją całusem. Maciek poczuł bolesne ukłucie w sercu na ten widok. Wyglądało na to, że są parą.

Odjechali z piskiem opon. Stał i patrzył, jak znikają za zakrętem. Na przystanek podjechał autobus. Chłopak ocknął się i przebiegł kilkadziesiąt metrów oddzielających go od pojazdu. Wysiadało kilku pasażerów. Zdążył w ostatniej chwili. Wskoczył na stopień i odsunął się od zamykanych automatycznie drzwi.

\*

Maciek Burdzik wszedł do sali gimnastycznej. Gawlik już był. Rozgrzewał się i wykonywał ćwiczenia rozciągające na nogi. Miał na sobie czarną koszulkę T-shirt, luźne, czarne spodnie dresowe z białymi lampasami i brązowe sportowe buty.

- Spóźniłeś się, panie student - powiedział, nie patrząc na chłopaka.

Podrzucił piłkę lekarską na trzy metry w górę i gdy ta, spadając, znalazła się na wysokości głowy dorosłego człowieka, wyprowadził boczne kopnięcie z biodra. Piłka gwałtownie zmieniła trajektorię lotu i siłą uderzenia poleciała kilka metrów dalej. Takie kopnięcie po prostu zmiotłoby ewentualnego przeciwnika. Maćka niezmiennie zadziwiały

umiejętności, szybkość i sprawność tego człowieka, szczególnie że miał już przecież pięćdziesiąt lat. On sam chyba nigdy mu nie dorówna.

- Sorry, wuju, ale autobus mi zwiął - usprawiedliwił się chłopak. - Musiałem czekać na następny, dwadzieścia minut.

- Przebieraj się. Szkoda czasu.

„Szkoda czasu” - Maciek już dzisiaj słyszał ten zwrot. Z ust zupełnie innego człowieka. Człowieka siedzącego za kierownicą luksusowego samochodu, człowieka, który pocałował Magdę na powitanie. Ileż by dał, żeby choć przez chwilę znaleźć się na jego miejscu.

Zmienił ubranie na lżejsze - dres, biała koszulka i trampki.

- Jestem gotów.

- Rozgrzej się. - Gawlik nie przerywał ćwiczeń. - Pięćdziesiąt pompek i reszta już sam wiesz.

Po dziesięciominutowej rozgrzewce Adam uznał, że mogą zaczynać trening.

- Najpierw trochę powtórek, potem zrobimy parę nowych rzeczy.

Trener wziął drewnianą pałkę długości około czterdziestu centymetrów i stanął przed Maćkiem. Student napiął mięśnie w oczekiwaniu na atak, który nastąpił błyskawicznie i bez ostrzeżenia. Zamach i próba uderzenia w głowę. Maciek zrobił krok do przodu, wyłapał nadgarstek, atakując, i wyprowadził kopnięcie w zębra, które przy normalnej sile uderzenia powinno pozbawić przeciwnika tchu. Następnie Gawlik zaatakował korpus, testując umiejętność ucznia schodzenia z linii ciosu i uchylania się. Kolejnym elementem była walka atrapami noży. Chłopak za każdym razem stawał na wysokości zadania i markował ciosy, prawidłowo odpowiadając na ataki. Zabrali się za klasyczne metody obezwładniania i „uciszania” wroga. Wszystko szło niby dobrze, ale w ruchy Maćka wkradła się nerwowość i dziwny gniew. Przy kolejnym powtórzeniu uderzył naprawdę i gdyby nie czujna reakcja obronna Gawlika nie obyłoby się bez sińca na twarzy. Trener zignorował sytuację, lecz kiedy Maciek znowu zaatakował z całą siłą, Adam dał mu nauczkę: wyłapał uderzenie i podciął przeciwnika tak, że chłopak wylądował, waląc plecami i tyłem głowy o drewniany parkiet.

- Kur... - Uczeń nie dokończył słowa. Wiedział, że wuj nie będzie u niego tolerował przekleństw.

- No właśnie. Co z tobą, chłopie, do cholery? - zwrócił mu uwagę poirytowany - Co cię ugryzło?

- Nic. Przepraszam. Teraz się skupię i będę uważał.

Adam podał mu rękę i pomógł wstać.

- Teraz nie będziesz się skupiał. Teraz pogadamy. Siadaj. - Pokazał mu palcem stos materacy. Student posłusznie wykonał polecenie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jakakolwiek próba oponowania była z góry skazana na niepowodzenie. Na tyle wuja znał. Usiadł i spuścił głowę. - Jeszcze wczoraj wszystko było z tobą w porządku. Dzisiaj przed południem miałeś iść do biblioteki. Byłeś?

- Byłem - odpowiedział Maciek ze spuszczoną głową.

- Panie student, jak się z kimś rozmawia, to wypada na rozmówcę patrzeć. - Adam zwrócił mu uwagę spokojnie, ale ostro.

Chłopak posłusznie podniósł wzrok.

- No już. Patrzę.

Wydawał się czymś strasznie przybity. Coś go gryzło i to gryzło niemiłosiernie. Na chorego nie wyglądał, a jeżeli to nie choroba, to może być tylko...

- Rozumiem, że coś ci ta biblioteka ostatnio nie służy.

- Służy, służy. Co ma nie służyć? - bąknął Maciek zrezygnowanym głosem i znowu utkwiał wzrok w podłódze.

- Czyli baba. Jak nic, baba. - Gawlik nie musiał prosić rozmówcy, by na niego patrzył. Chłopak wbił w niego badawcze spojrzenie. Zaskoczenie malujące się na jego twarzy było wystarczająco wymowne. Adam wiedział, że trafił w dziesiątkę. Maciek nigdy nawet słowem nie wspominał o jakiegokolwiek dziewczynie, a tu proszę, jakaś jest, i to na tyle realnie, by namieszać mu w głowie. - Dobra. Opowiedz mi o niej. - Przysunął sobie koziół, ściągnął górną część, postawił na podłódze i usiadł. - Coś zaradzimy

- O kim mam opowiedzieć? - Chłopaki niezbyt przekonująco udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

- O tej dziewczynie.

- O jakiej dziewczynie? - Nie odrywał oczu od podłogi.

- O tej szpetnej i koślawej, co ci we łbie siedzi.

Chłopak zaciął usta.

- Nie jest szpetna - powiedział nieomal szeptem.

- No, to coś już ustaliliśmy. Jak się nazywa?

Maciek popatrzył Gawlikowi hardo prosto w oczy.

- A nie uważasz, wujek, że to jest moja sprawa? I tylko moja?

- Nie - odparł wuj beznamiętnie. - Też byłem kiedyś w twoim wieku. Też miałem podobne problemy. Wtedy ktoś starszy, bardzo doświadczony, pouklądał mi pewne rzeczy w głowie. Dzięki temu nie popełniałem głupich błędów. Dzisiaj ja jestem takim starszym,

doświadczonym koleś. Poza tym twoje problemy przeszkadzają mi w treningu. - Westchnął, gdy zobaczył, że jego argumenty nieszczególnie trafiają do młodego człowieka. - Powiedz, o co chodzi, a naprawdę coś wymyślimy. Jak nie ja, to ciotka na pewno.

- No tak. Jeszcze komu wujek zamierza opowiadać? - Maciek przewrócił oczami.

- Dobra. Wszystko zostaje między nami. Daję ci słowo honoru, że nikt się nie dowie o naszej dzisiejszej rozmowie. Chyba że sam zechcesz. - Student nic nie odpowiedział. Milczał i dla odmiany wpatrywał się tępo w ścianę. - Powiedz chociaż, jak ma na imię.

- Magda.

- OK. Magda. Niech zgadnę. Jest bardzo ładna i bardzo ci się podoba. Chciałbyś do niej zagadać, tylko nie wiesz jak. Nie chciałbyś się zbłąźnić, bo dziewczyna na brak powodzenia nie narzeka. Dobrze rozumiem?

- Nie do końca.

- To znaczy?

- Jak wyszedłem z biblioteki, to spotkałem ją na przystanku. Bardzo miło nam się rozmawiało. Nie muszę się martwić, jak do niej zagadać.

- Chłopie, to w czym problem? Bierzesz się za nią i już.

- Ona ma już chłopaka. Bardzo bogatego i w ogóle nie moja liga.

- Skąd wiesz?

- Bo ją odebrał na przystanku w swoim pięknym Porsche Cayenne. Pojechali na jakąś improwizowaną imprezę.

- Uważasz, że ta twoja Magda...

- To nie jest moja Magda. - Maciek uznał, że należy sprostować słowa wuja.

- Dobra. Ta dziewczyna, myślisz, że leci na kasę?

- Nie wiem, czy leci na kasę. Może nawet nie. Ale tamten koleś to swego rodzaju gwiazda na uczelni. Każdy chce się z nim kumplować. To imponuje dziewczynom.

- Ty też chcesz się z nim kumplować?

- Ja nie widzę takiej potrzeby.

- Dlaczego?

- Bo to bufon.

- Czy ty przypadkiem mu nie zazdrościsz i dlatego tak mówisz? - spytał Adam prowokacyjnie.

Maciek wzruszył ramionami.

- Nie. Jakbyś go poznał i trochę z nim poprzybywał, przyznałbyś mi rację. To naprawdę bufon. Zazdrość nie ma tu nic do rzeczy. Facet ma forsę, a to kształtuje wizerunek.

- To w takim razie pokaż Magdzie, że jesteś kimś daleko bardziej wartościowym niż jej obecny facet. Umów się z nią. Zdobądź ją.

Student zaśmiał się smutno.

- O czym ty mówisz, wujek? A cóż ja takiego mógłbym jej zaoferować? Groszem nie śmierzę.

- Siebie, chłopie. Siebie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to dużo. Ujmij ją swoją osobowością.

- Tak, tak. Najłatwiej to się mówi. Niby dlaczego miałyby się ze mną w ogóle umówić? A nawet jeżeli, to powiem jej: chodźmy do kina. Może zdążymy, jak tramwaj nie nawali. Wtedy zawsze jest szansa na autobus. Jazda w ścisku wśród ludzi, którzy nie pałają zbyt dużą miłością do mydła i wody. Zapachy adekwatne.

- Wiesz, Maciek, kiedyś znałem pewnego Indianina. Irokeza. Zawsze mówił, że nie ma nic gorszego niż brak wiary w sukces. Wtedy na pewno ci się nic nie uda. Uwierz w siebie, chłopie, a zobaczysz, jakie życie potrafi robić niespodzianki.

- Wiara przenosi góry - powiedział z przekąsem. - Już to słyszałem.

- Bo przenosi. Wiara to energia, panie student. Energia, która przyciąga inną energię. Ostatnio wyczytałem, że jak czegoś będziesz bardzo pragnął i będziesz wierzył, że to dostaniesz, to energia kosmiczna się z tobą sprzymierzy i prędzej czy później stanie się tak jak chciałeś.

- Nie wiedziałem, że z wuja taki metafizyk.

- A może ty rzeczywiście z ciotką byś pogadał? To w końcu stuprocentowa kobieta, bardzo mądra kobieta. No i jeszcze, ja się tam na tym nie znam, ale mówiła, że ty przystojny młody człowiek jesteś. A ona się zna. To co, chcesz z ciotką pogadać?

- Nie muszę. Bardzo nieporadnie ci to wujek szło, ale chyba mnie przekonałeś. Spróbuję się z Magdą umówić. Co mi tam. Najwyżej dostanę kosza. Nie ja pierwszy i nie ostatni.

Adam uśmiechnął się.

- Prawo jazdy masz, panie student?

- Jasne, że mam. Tylko załącznika na czterech kółkach brak.

- To obiecuję ci tu i teraz. Jak będziesz potrzebował samochodu w wiadomej sprawie, to wal śmiało. Pożyczę ci swojego.

- Ciocia się zgodzi?

- To już zostaw mnie. Poza tym niedługo i tak kupujemy drugi, więc nie będzie żadnego problemu.

- Dzięki, wujko. Obym miał szansę skorzystać z oferty.

- Wierzę w ciebie, chłopie. - Gawlik klepnął go po ramieniu. - Tośmy sobie pogadali, a poćwiczyć by jeszcze wypadało. Chodź, pokażę ci jeszcze parę nowych rzeczy.

Odmiana, jaka nastąpiła w Maćku, sprawiała, że trenerowi przez kolejną godzinę serce rosło. Chłopak się przykładał jak nigdy. Był skupiony, precyzyjny i w lot chwycił instrukcje. Adam przypomniał sobie słowa żony. Może rzeczywiście kiedyś był taki jak ten ambitny młodzieniec.

## ROZDZIAŁ 6

Zegarek wskazywał ósmą czterdzieści pięć. Kolokwium zaplanowane na dziewiątą czterdzieści pięć zbliżało się w nieubłaganym tempie. Cholera, czas tak szybko leci, kiedy nie trzeba. Maciek po raz kolejny przekartkował notatki. Zamknął na moment brulion i myszkował po zakamarkach umysłu, starając się odnaleźć wbijaną do głowy wiedzę. Niestety wiedza zakamuflowała się doskonale. Przecież siedział nad materiałem całe niedzielne popołudnie, zaraz po powrocie z obiadu od wujostwa Gawlików. Tak jak i wczoraj nie mógł się skupić. Litery skakały mu przed oczami, a tekst zasłaniał nieustannie pojawiający się w myślach obraz. Obraz napłynął w chwili nieuwagi i koncentrację znowu diabli wzięli.

Maciek zacisnął powieki i potrząsnął mocno głową. Postać uśmiechającej się Magdy zniknęła. Z jednej strony chciał się skupić na nauce i odpędzał siłą woli wizerunek dziewczyny, lecz jednocześnie nie bronił się zanadto, kiedy jej twarz przysłonięta kosmykiem kręconych blond włosów stawała mu przed oczami. „Co jest, do cholery?” - spytał siebie szeptem. - „Chyba się nie zakochałem? Przecież to tak nie działa”.

Słowa w zeszycie ponownie zatańczyły. Przeczytane po raz n-ty zdanie nie miało żadnego sensu. Duża wskazówka zegara wydawała się działać na dopalaczach. Gnała jak szalona. Do kolokwium zostało czterdzieści minut. Wgryzał się w notatki z całych sił. Wreszcie coś do niego zaczynało docierać. Zdania układały się w logiczną całość.

Położył zeszyt na parapecie i oparł się nad nim łokciami. Powoli przerzucał kartki. Wizja totalnej klęski na teście zaczynała się oddalać. Płynęły minuty i kiedy czuł, że „zaskoczył”, poczuł klepięcie w ramię.

- Nie ucz się, bracie - usłyszał za plecami głos Norberta Tutaka, kolegi z grupy. - Jak się nie nauczyłeś, to już się nie nauczysz. Mówię ci, bracie, daj sobie spokój. Jak masz „wtopić”, to i tak „wtopisz”. Nie ma szans. Bo jak nie zakujesz...

- Kurwa, odwal się, Tutak. - Maciek nie wytrzymał. Norbert powszechnie znany był z tego, że potrafił gadać z prędkością karabinu maszynowego absolutnie o niczym, powtarzając się co zdanie, czym potrafił doprowadzić słuchacza do autentycznej rozpaczki. A i o ewentualnych słuchaczy też mu było trudno. Każdy miał coś pilnego do załatwienia, gdy tylko Norbert Tutak pojawiał się w pobliżu. Jedynie Maciek Burdzik go tolerował, wspinając się na wyżyny cierpliwości. Dzisiaj z tych wyżyn zszedł. - Idź sobie w cholere. Zajęty jestem.



Norbert aż podskoczył. Nigdy nie widział kolegi tak rozdrażnionego. Co więcej, nie potrafił go nawet wyobrazić sobie w takim stanie. Stał przez chwilę z otwartą gębą i wytrzeszczonymi oczami. Gapił się na Maćka z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. Maciek odetchnął głęboko i wrócił do lektury notatek. Nie było już tak łatwo. „Skup się, skup się”, mówił do siebie w duchu.

- Nie przejmuj się. To tylko stres. - Maciek nie wierzył własnym uszom. Norbert „zatrybił” ponownie. Zamiast się oburzyć i odejść, znów kłapał dziobem. - Mam wujka psychiatrę. Mówił, że ma od cholery pacjentów, których stres po prostu zeżarł. - Burdzik nie odwrócił się w jego stronę. Wpatrywał się w okno, za wszelką cenę starając się opanować emocje. - Bo najgorzej jest - ciągnął niezmordowany Norbert - jak robią fuzję banków, wtedy to...

- Norbert - Maciek postanowił przerwać wywód, zanim kolega rozkręci się na dobre - która jest godzina?

Norbert Tutak utkwiał wzrok na lewym nadgarstku kolegi, ale zaraz potem wyciągnął z kieszeni zegarek wielkości solidnego kompasu.

- U mnie za dwadzieścia dziesiąta, a u ciebie?

- U mnie też - odpowiedział Maciek i zamknął zeszyt.

To by było na tyle, jeśli chodzi o naukę do kolokwium.

Studenci pojedynczo i dwójkami wchodzili do sali. Za chwilę, punktualnie o dziewiątej czterdzieści pięć, pojawił się doktor Andrzej Stachyra i zaczął się rzeź niewiniątek. Nie wiedzieć czemu, Norbert Tutak zawsze z takich sytuacji wychodził obronną ręką. Typowy przykład kujona, na którego nie ma mocnych.

Ponad godzinę później pierwsi studenci opuszczali salę wykładową. Maciek wyszedł z opuszczoną głową jako jeden z ostatnich. Zaskoczenia nie było. Jak zwykle dostali powalające pytania, których większość grupy nie dała rady „rozwalić”.

- Jak, bracie? - Norbert Tutak pojawił się u boku Maćka niczym zły duch. - Dałeś radę? - Nie czekał na odpowiedź. - Nie było chyba tak źle. Ja tylko z ostatnim pytaniem nie byłem pewny. Co napisałeś na ostatnie pytanie? Kurczę, chyba podchwytliwe było, bo...

Burdzik nie słuchał. Zatrzymał się i patrzył przed siebie jak urzeczony. Przy oknie stała Magda i przeglądała kolorowe pismo. Myślał gorączkowo co robić. Podejść do niej, przywitać się? Właściwie by wypadało. Tylko co jej powie? Wuj kazał mu się z nią umówić. Ale niby jak? Wyjdzie na dumnia, jak wypali z czymś takim tu i teraz. A jak dziewczyna powie „nie”? Nie zniosłby takiego upokorzenia. Już miał ruszyć w jej kierunku, kiedy uświadomił sobie, że przecież ona na kogoś czeka. Zaraz podejdzie pewnie ten jej kochaś,

szlag by go trafił, i sytuacja stanie się niezręczna. Niezręczna tylko dla niego, bo Magda i jej facet nie mają najmniejszego powodu czuć się zażenowani. Postanowił udać, że jej nie zauważył. Tak będzie najbezpieczniej. Nie widział, jak zerknęła znad gazety na korytarz.

- Co mówileś? - wpadł Norbertowi w słowo.

- No że to wcale nie był silnik. Z silnikiem było wszystko w porządku. Okazało się, że to świeca. Trzeba było tylko wymienić, a w serwisie mi mówili, że kurczę, silnik do robienia. W życiu do serwisu...

Potok słów Norberta Tutaka został przerwany.

- Maciek! - usłyszał za sobą wołanie. Nie mogło być żadnych wątpliwości co do tego, kto jest właścicielem głosu. Chłopak poczuł falę gorąca w żołądku. - Maciek!

Zanim zdążył się odwrócić, Magda podbiegła do niego ze złożoną gazetą w dłoni. Stała przed nim, uśmiechając się promiennie. Był to bodaj najpiękniejszy uśmiech, jaki w życiu widział.

- To ja już muszę lecieć. - O dziwo, Norbert Tutak stanął tym razem na wysokości zadania.

- Narka - rzucił i oddalił się pośpiesznie. Trochę jakby zbyt pośpiesznie.

- Mówili mi, że masz koło. Czekałam pod salą. Mało mi nie uciekłeś. Jak poszło?

- Na mnie czekałaś? - wydusił z siebie z niemałym wysiłkiem.

- No - potwierdziła szybko. - Oj, ale chyba nie w porę... - zawahała się. - Kolegę ci przepłoszyłam...

- Nie no, co ty! - wykrzyknął chłopak, próbując opanować euforię. - Jasne, że w porę. Strasznie mi miło, że cię znowu widzę.

Pierwsze przytłaczające wrażenie minęło. Maciek rozpromienił się. Twarz mu zajaśniała. Magda po raz drugi stwierdziła, że chłopak może się podobać. Odpowiedni ubiór, fryzura i tego typu sprawy mogłyby zrobić z niego zabójcę niewieścich serc. Był brzydkim kaczątkiem w męskim wydaniu. Ona dostrzegła w nim łabędzia nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz. Kobiety takie rzeczy czują instynktownie. Wydawał się być inny niż faceci, z którymi się spotykała. Bardzo inny. Koniecznie chciała sprawdzić, czy się co do niego nie myli.

- Super - ucieszyła się. - Chciałam spytać, czy znalazłbyś jutro trochę czasu po zajęciach. Masz coś wolnego?

Cisnęła mu się na usta spontaniczna odpowiedź: „Dla ciebie zawsze, o każdej porze dnia i nocy. Choćby się wszystko waliło”.

- Nie ma sprawy. Pewnie. O której?

- Ty mi powiedz, kiedy kończysz. Ja mam praktycznie wolne. Jedne ćwiczenia i o dziesiątej jestem po. Ty?

- Trochę gorzej. Ostatni wykład mam... - próbował sobie przypomnieć - do trzeciej, ale mogę się urwać.

- Daj spokój. Nie musisz nic przeze mnie zawałać.

- Ale ja naprawdę mogę...

- Gdzie masz ten wykład?

- Na parterze, ale...

- To jesteśmy umówieni. Będę na ciebie czekała o trzeciej. Zabiorę cię w takie jedno fajne miejsce. Będzie można pogadać. Teraz muszę lecieć, bo mam angielski w studium, a lektorka nie lubi, jak się studenci spóźniają.

Ścisnęła mu dłoń na pożegnanie i poszła w stronę schodów. Ten uścisk delikatnej dłoni był najcudowniejszym wrażeniem, jakie miał okazję do tej pory doświadczyć. Świat mu zawirował. Czy to możliwe? Będzie mógł spędzić z nią długie chwile, słuchać jej głosu i po prostu przebywać w jej towarzystwie. Starał się zebrać myśli. „Kolego Burdzik. Opanuj się. To po prostu zwykłe spotkanie znajomych” - próbował przemówić sobie do rozsądku. Jednak czuł wyraźnie, że rozsądek w tym momencie wziął sobie nieplanowany urlop.

Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć dwunasta. Do następnych zajęć miał jeszcze całe półtorej godziny. Pójdzie się powłóczyć po placu Grunwaldzkim. Ciepła i słoneczna pogoda sprzyjała spacerom. Złapał się na myśli, że do piętnastej następnego dnia zostało jeszcze trochę ponad dwadzieścia siedem godzin. „No i co z tego, że dwadzieścia siedem godzin?” - złażał siebie za takie dywagacje. „Stuknij się w ten dumny łeb, Burdzik. Przecież to zwyczajna dziewczyna. Taka sama jak wiele innych”. Niesforne emocje ani myślały słuchać logicznych tłumaczeń. Kolejne półtorej godziny przemierzania okolicznych ulic zeszyły na rozważaniach na tematy bynajmniej niezwiązane z przyziemnymi sprawami.

\*

Adam wszedł do mieszkania. W przedpokoju zastał Kasię i Michałka. Ubierali buty.

- Cześć, dzieciaki - przywitał się.

- Jakie dzieciaki? - oburzyła się Katarzyna. - Młodzież, kochany, młodzież.

- No właśnie - zawtórował jej Michałek, który z racji wieku raczej nie powinien aspirować do miana „młodzieży”.

- Niech wam będzie. Cześć, młodzież - poprawił się. - A gdzież to młodzież się wybiera, kiedy głowa rodziny wraca z pracy do domu? Zostawcie mnie tu tak samego z mamą?

- Poradzisz sobie. - Kasia puściła do niego oko. - Narka.

Ani się obejrzał, kiedy obie latorośle zamknęły za sobą drzwi. Żona podeszła i przywitała go cmoknięciem w policzek.

- Kasia się umówiła z koleżankami, Michałek poszedł do Kacpra. Mają grać w jakąś, jak to powiedział, „superaśną grę komputerową”. Oni już nas coraz mniej będą potrzebować - powiedziała z nostalgią w głosie.

- Co zrobisz, naturalna kolej rzeczy. - Poglądził ją po policzku. - Jadwiga nie przywiozła jeszcze Frania?

- Zapowiadała, że będą gdzieś koło szóstej - odparła Basia i wróciła do kuchni. - Chodź, nakarmię cię, ty moja głowo rodziny. Dzisiaj pół dnia lepiłam dla ciebie pierogi. Mam nadzieję, że docenisz.

- Coś pięknego! - Zatarł ręce z uciechy i usadowił się przed talerzem pełnym gorących pierogów suto okraszonych smażonym, drobno pokrojonym boczkiem.

Adam porwał widelec i zabrał się do jedzenia z nadzwyczajnym zapałem. Zerknął na żonę i wybełkotał z pełnym ustami słowo, które miało najprawdopodobniej znaczyć: „wyborne”.

Usłyszeli dzwonek do drzwi. Basia wyszła do przedpokoju otworzyć. Gawlik nie zamierzał przeszkadzać sobie w jedzeniu, kimkolwiek gość by nie był.

- Cześć, ciocia - zabrzmiał znajomy głos.

- Cześć Maciuś. Bardzo dobrze trafiłeś. Pierogów zjesz. Chodź.

Maciek wszedł do kuchni.

- Cześć, wujko. Smacznego.

- Siadaj, chłopie - powiedział, przeżuając. - Ciotka pierogi własnej roboty daje.

Przed chłopakiem pojawił się talerz, na którym po chwili znalazły się pachnące specjały.

- Jedz, Maciuś - zachęciła go Basia.

Studentowi nie trzeba było powtarzać. Zabrał się za jedzenie, choć z daleko mniejszym entuzjazmem niż gospodarz domu. Jednak widać było, że i jemu smakuje.

- No i jak tam sprawy? - zagadnął go Adam.

- Daj chłopakowi zjeść. - Basia zwróciła mężowi uwagę. - Potem pogadacie.

- Sprawy dobrze. - Mówiąc to, Maciek uśmiechał się zagadkowo. - Nawet lepiej niż dobrze.

Gawlik przestał jeść. Rzucił chłopakowi wnikliwe spojrzenie. Popatrzył na żonę. Basia zrobiła minę zaskoczonej. Maciek udawał, że niczego nie zauważył i spokojnie jadł

dalej. Uśmiech cały czas czaił mu się w kącikach ust.

- Ej, czy to jest to, o czym myślę? - nie wytrzymał Gawlik

- Zależy o czym wujko myśli. Ale chyba tak.

Chłopak nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

Biła od niego niezwykła radość. Patrzył w talerz i kroił widelcem przedostatniego pieroga.

- Toś się chłopie spisał! - wykrzyknął mężczyzna. - Kiedy?

- Jutro o piętnastej. - Widać było, że Maciek sili się na obojętny ton. - Gdzieś idziemy.

- Ożeż ty. Słyszałaś żona?

- No właśnie słyszałam. Tylko może ktoś łaskawie by mnie oświecił, o co tu chodzi.

Gawlik popatrzył na chłopaka i widząc, że ten nie kwapi się z wyjaśnieniami, sam postanowił wyłożyć Basi sprawę.

- Naszemu studentowi bardzo spodobała się pewna studentka. Nie oszukujmy się, porządnie zawróciła mu w głowie.

- A tam, zaraz zawróciła w głowie - bronił się chłopak. - Normalnie, fajna dziewczyna jest.

- Tak, tak. Oczywiście - powiedział Adam pobłaźliwie. - Powiedziałem, żeby się z nią umówił i... panie student?

- I tak się stało. - Ostatni pieróg zniknął w studenckich ustach. - Chciałem się cioci poradzić, co robić, żeby nie wyjść na głupa.

- Bądź sobą, Maciuś. Nikogo nie próbuj udawać, bo skutek będzie odwrotny. Bądź sobą. A ona na pewno zobaczy w tobie wartościowego, młodego człowieka. A i przyznam, że tak w ogóle to całkiem ładny chłopak jesteś.

- Mówiłem ci - wtrącił się wuj. - Słuchaj się ciotki, a dobrze na tym wyjdiesz. Ty, ja nie wiedziałem, że ty taki... tego... ogier jesteś.

- Adam! Jak ty o chłopaku mówisz? Daj mu spokój.

Gawlik nie przejął się uwagą żony. Wykonał gest - zaciśnięta dłoń z kciukiem do góry.

- Mogę jeszcze? - spytał student. - Ciocia to potrafi pierogi robić.

- No pewnie, Maciuś. Mów, ile chcesz?

Do godziny piętnastej następnego dnia zostało jeszcze niecałe dwadzieścia dwie godziny.

## ROZDZIAŁ 7

Mikulin rozerwał białą kopertę. Nadawcy nie było. Cóż, kolejny anonim z donosem na sąsiada lub członka rodziny. Zadziwiające, jak bardzo społeczeństwo rosyjskie wspomaga aparat ucisku. Niejeden donos stał się podstawą skazania na wieloletni wyrok w obozie pracy, jeśli w grę wchodziła korupcja urzędnika państwowego, który nie był związany z właściwymi ludźmi.

Rozłożył kartkę papieru i zaczął czytać.

*Witaj, Mikulin.*

*jeśli czytasz ten list, to znaczy, że jednak postanowiłem uwolnić ten piękny świat od takiej kanalii jak ty i zakończyć twoją nędzną egzystencję. Nastąpi to dzisiaj między godziną piętnastą a siedemnastą.*

Na czoło urzędnika wystąpiły kropelki potu. Z irracjonalną nadzieją, że może nie... przeniósł wzrok na koniec listu, gdzie było miejsce na podpis. Nadzieja prysła jak bańka mydlana. Podpis był odręczny, co nie pozostawiało wątpliwości co do jego właściciela: Witalij Jakuszyn. Zdecydował się doczytać do końca, by w pełni ocenić zagrożenie.

*Naturalnie spodziewam się, że podejmiesz wszelkie środki bezpieczeństwa, by ująć śmierci. Tym lepiej. Rozgrywka między nami stanie się ciekawsza. Ja ze swej strony obiecuję, że jeżeli przeżyjesz te dwie godziny, to o tobie zapomnę i pozwolę ci dalej wieść twój bezwartościowy żywot. Powiem jednak szczerze, że na twoim miejscu nie liczyłbym za bardzo na taki obrót spraw.*

*Kazałem ten list dostarczyć wpół do trzeciej. Masz więc trochę czasu, żeby się przygotować.*

Mikulin spojrział odruchowo na zegarek. Jasna cholera! Była już za pięć trzecia.

*Punktualnie o piętnastej zacznie się odliczanie. Długie sto dwadzieścia minut, które zdecydują o twoim życiu lub śmierci. Nie życzę ci powodzenia, bo ludzkość skorzystałaby na eliminacji twojej osoby, ale kto wie, może uda ci się przetrwać. Sam jestem ciekawy.*

*Witalij Jakuszyn*

- Straż! - wrzasnął Mikulin.

W jego głosie natychmiast dało się zauważyć przerażenie. Do gabinetu wpadło dwóch żołnierzy z karabinami w rękę. Rozejrzeli się po pomieszczeniu, spodziewając się zagrożenia. Zagrożenia nie dostrzegli. Jedynie czerwona, niemal sina twarz ich przełożonego dowodziła, że wydarzyło się tu coś wysoce niepokojącego.

- Na rozkaz! - krzyknął jeden z żołnierzy.

- Natychmiast postawić wszystkich na nogi. - Mikulin usilnie starał się uspokoić drżący głos. - Pełny stan gotowości. Dostałem właśnie informację, że dzisiaj ma być przeprowadzony zamach na moją osobę. Nikogo do mnie nie wpuszczać. Aż do siedemnastej. Zrozumiano?

- Tak jest - odpowiedzieli chórem.

- Podwoić strażę i meldować mi o wszystkich podejrzanym ruchach. Wykonać!

Żołnierze spojrzeli po sobie i wybiegli z gabinetu. Za drzwiami się zakotłowało. Mężczyzna rzucił okiem na pancerne szyby. Mimowolnie odsunął się od okien. Sforsować je mógł jedynie pocisk z ręcznej wyrzutni raketowej, a taki scenariusz raczej nie wchodził w grę. Popatrzył na zegarek. Była piętnasta trzy. Zaczęło się odliczanie. Serce waliło mu jak oszalałe. Pocił się. Pocił się obficie. Przechadzał się nerwowo po biurze. Zachodził w głowę, jak Witalij Jakuszyn zamierzał dobrać mu się do skóry. Jedyne, czego mógł w tym momencie być pewnym, to fakt, że list nie był pustym blefem. Znał Rosjanina na tyle, by wiedzieć, że nie odpuści. Z drugiej strony miał też pewność, że o godzinie siedemnastej zagrożenie minie bezpowrotnie. Witalij Jakuszyn miał swoje zasady. Nie rzucał słów na wiatr.

Mijały kolejne minuty. Mikulin zaczął ciężko oddychać. Brakowało mu tchu. Te nerwy powodowały rozregulowanie organizmu. Pomyślał, że za wszelką cenę musi się uspokoić. Usiadł za biurkiem i zrobił kilka głębokich wdechów. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Czternaście po trzeciej. Więc ten koszmar ma potrwać jeszcze godzinę i czterdzieści sześć minut. Musi wytrzymać.

Nagle usłyszał głucho uderzenie w okno. Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Zerwał się z krzesła, stanął plecami przy ścianie i popatrzył na szybę, a zaraz potem na parapet. Leżał na nim oszołomiony gołąb. Uderzenie w pancerną szybę nieomal pozbawiło go życia. Ptak zebrał się jednak i chwilę potem ruszył do lotu.

Mikulin poczuł obezwładniający ból w klatce piersiowej. Zabrakło mu tchu. Chciał krzyczeć po pomoc, lecz nie mógł. Zaczął się dusić. Serce odmówiło posłuszeństwa. Osunął

się na podłogę. Nagle zdał sobie sprawę, że umiera. Rozszerzone przerażeniem oczy patrzyły tępo w sufit. Kilka minut później, w wyniku rozległego i gwałtownego zawału, szef bezpieczeństwa wewnętrznego i więziennictwa był martwy. Zgodnie z rozkazem strażnicy weszli do gabinetu dopiero o siedemnastej. Na biurku szefa znaleźli pustą kartkę papieru. List od Jakuszyna napisany został specjalnym atramentem, który po upływie odpowiedniego czasu zniknął bez śladu.

\*

Czuczyn w swojej willi na wsi zażywał ożywczego masażu wykonywanego sprawnymi dłońmi młodych dziewcząt. Leżał na brzuchu i wydawał się przysypiać. Do pomieszczenia wszedł przysadzisty człowiek w ciemnych okularach. Ruchem głowy kazał dziewczynom wyjść. Staruszek kątem oka zauważył jednego ze swoich najbardziej zaufanych współpracowników.

- Rozumiem, że coś ważnego, skoro mi przerywasz w takim momencie.

Mężczyzna skłonił się i podał zwierzchnikowi złożoną kartkę. Starzec usiadł na łóżku. Przeczytał wiadomość, uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Coś podobnego. Zawał serca. Jak mu się to udało?

- Jakieś polecenia? - spytał mężczyzna w okularach.

- Kontaktował się Witalij Jakuszyn?

- Z tego, co wiem, to jeszcze nie. Co robić, jak się skontaktuje?

- Przełączyć go natychmiast na mój prywatny telefon.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Macie go traktować z najwyższym szacunkiem i spełniać bezzwłocznie wszystkie jego potrzeby. Powtarzam, wszystkie.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Nigdy wcześniej nie słyszał tego nazwiska i nie był pewny, czy aby na pewno dobrze rozumie swojego szefa.

- To jakiś nasz nowy partner w interesach?

- To ktoś daleko cenniejszy niż partner w interesach. - Czuczyn zmrużył oczy. - No, uciekaj. I zawołaj dziewczynki.

Masażystki zabrały się ponownie do pracy.



## ROZDZIAŁ 8

Witalij wysiadł z taksówki, która zatrzymała się przed luksusowym domem opieki na obrzeżach Moskwy. Uregulował opłatę za kurs i dołożył kierowcy solidny napiwek. Od czasu jego ostatniej wizyty z górą pięć lat temu odnowiono fasadę budynku. Dzisiaj prezentował się jeszcze okazalej. W końcu pobyt mieszkających tu pensjonariuszy kosztował kilkakrotnie więcej niż w podobnych placówkach gdziekolwiek indziej na świecie.

Mężczyzna wszedł do przytulnie urządzonego hallu. Na rozłożystych sofach siedziały cztery starsze kobiety. Prowadziły ze sobą ożywioną dyskusję na temat kompetencji zajmującego się nimi personelu medycznego. Z szerokich, zakręcających w prawo schodów prowadzących na piętro zeszła szczupła, młoda kobieta w lekarskim fartuchu. Widząc przybysza, uśmiechnęła się życzliwie i podeszła.

- W czymś mogę panu pomóc? - zagadnęła. - Szuka pan kogoś?

- Tak, przyszedłem do... - zawahał się - zobaczyć się z matką. Została tu przeniesiona cztery lata temu. - Wypowiedział te słowa z irracjonalną nadzieją, że może jednak te kilka lat, w ciągu których nie był w stanie matki odwiedzać, nie odebrały mu jej na zawsze i ostatecznie.

- Jak się mama nazywa?

- Maria Jakuszyn.

- Pan to Witalij Jakuszyn? - spytała, unosząc brwi. Witalij skinął głową. Serce zabiło mu mocniej. Czyżby...? - Mama bardzo dużo o panu mówiła. Była z pana niezwykle dumna.

- Była?

- Przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem doktor Tamara Szyszkina. - Wyciągnęła do niego dłoń. - Wszyscy mieszkańcy tego domu są pod moją opieką. Chodźmy może do mojego gabinetu. Tam na spokojnie będziemy mogli porozmawiać.

Przeszli jasnym korytarzem do niewielkiej loggii, za którą znajdował się gabinet pani doktor. Pomieszczenie było nieduże, lecz przytulnie urządzone. W wielu miejscach, oprócz biurka z komputerem, całkiem sporej sofy zajmującej prawie połowę powierzchni pokoju i półek na książki, dostrzec można było liczne osobiste akcenty typu zdjęcia rodzinne czy domowe drobiazgi. Wszystko to tworzyło ciepłą atmosferę miejsca, w którym chciało się przebywać. Pani doktor ewidentnie miała zmysł dekoratora wnętrz.

Witalij usiadł na miękkiej sofie. Kobieta zajęła miejsce za biurkiem.

- Może się pan czegoś napije - zaproponowała, jakby chciała zyskać na czasie. - Kawy, herbaty, coś zimnego?

- Nie. Niech pani po prostu powie, co z mamą?

- Pana... - zawahała się na moment, nie wiedząc, czy uderzyć w ton bardziej czy też mniej oficjalny - mamę pochowaliśmy niecały rok temu.

Witalij spuścił wzrok. Potarł czoło. Spodziewał się takich wiadomości, ale mimo to poczuł w piersiach ogromny ciężar. Jakiś etap w jego życiu dobiegł końca. Jedyne droga mu osoba na tym świecie odeszła bezpowrotnie. Nie miał nawet szansy się z matką pożegnać.

- Cierpiała? - spytał, nie patrząc na lekarzkę.

- W ogóle. Wydawała się nawet zdrowieć, czego żaden lekarz nie potrafił wytłumaczyć. Postęp demencji się jakby zatrzymał. Były momenty, że pana mama tryskała humorem. Bywała duszą tego domu. Śpiewała, śmiała się, żartowała... Kiedy odeszła, wszyscy bez wyjątku stwierdzili to samo. Zrobiło się nagle tutaj strasznie pusto.

- Jeżeli nie rak to co? - Podniósł na nią wzrok.

- Zwyczajnie starość. Serce przestało pracować i...

- Czy są jakieś nieuregulowane sprawy finansowe? - spytał rzeczowo, opanowując emocje.

Lekarka popatrzyła na niego lekko zaskoczona. Widziała, że człowieka tego niezwykle i autentycznie poruszyła informacja o śmierci matki, a tu nagle niejako bez ostrzeżenia przeszedł na kwestie finansowe. Dziwny był ten młody człowiek.

- Nie ma nic do uregulowania. Wynajęta przez pana kancelaria adwokacka wszystkim zajmowała się bez zarzutu. Żadnych problemów z płatnościami.

- To dobrze - powiedział jakby do siebie.

- W razie czego jest możliwość porozmawiania z naszą panią psycholog... - zaproponowała nieśmiało lekarka. - Naturalnie nieodpłatnie...

Witalij uśmiechnął się sceptycznie, ale nie lekceważąco.

- Proszę mi wierzyć, pani doktor, z całym szacunkiem dla waszej pani psycholog, ale z pewnością nie byłaby mi w stanie pomóc. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

- Zawsze można dać sobie szansę i spróbować.

Mężczyzna pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać, lecz ten uśmiech stał się jakiś inny, jakby wymuszony, maskujący głębokie przygnębienie.

- Gdzie jest pochowana?

- Jakiś kilometr stąd w kierunku miasta jest cmentarz. Nie sposób nie zauważyć.

Znajdzie pan grób w północnej, nowej części.

- Jeszcze jedna rzecz, pani doktor. - Witalij w jednej chwili spowaźniał.

- Oczywiście, jeśli mogę jeszcze jakoś pomóc...

- Może pani sobie pomóc.

- Nie rozumiem. - Kobieta była wyraźnie zbita z tropu.

- Może się zdarzyć, że ktoś kiedyś będzie panią o mnie pytał. Na przykład ludzie podający się za agentów służb specjalnych. Lepiej nie mówić, że kiedykolwiek się pani ze mną widziała. Tak dla własnego bezpieczeństwa.

- Nie rozumiem. O czym pan mówi?

- Proszę po prostu mnie posłuchać.

- Chce mnie pan przestraszyć? - Lekarka podświadomie uruchomiła reakcję obronną i przeszła na agresywny ton.

- Nie. Chcę panią ochronić. Proszę mi wierzyć, wiem co mówię.

- Niby przed czym?

- Przed ludźmi, którzy nie przebierają w środkach, żeby dostać to, co chcą.

- Mam dziwne wrażenie, że nasza rozmowa trochę za bardzo się przedłuża - powiedziała oschle.

Mężczyzna wstał. Zatrzymał na chwilę wzrok na kobiecie.

- Proszę nie myśleć o mnie źle. Kto wie, gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach, może by mnie pani nawet polubiła. - Znowu uśmiechnął się smutno.

Lekarka czuła przez skórę, że jest w nim coś ujmującego.

- Wątpię, proszę pana - powiedziała te słowa bez przekonania, ponieważ w duchu przyznawała mu rację.

- Mimo wszystko życzę szczęścia, pani doktor. Ze szczerego serca życzę szczęścia - powiedział na pożegnanie i szybko opuścił jej gabinet, zamykając za sobą cicho drzwi.

Doktor Tamara Szyszkińska nie wstała zza biurka. Odwróciła się. Patrzyła w przestrzeń za oknem. Park porośnięty był rozłożystymi drzewami, między którymi wiły się spacerowe ścieżki. Dwoje pensjonariuszy szło pod rękę na spacer. Lekarka wciąż miała przed oczyma twarz Witalija Jakuszyna. „...może by mnie pani nawet polubiła...” brzmiały jej w uszach jego słowa.

\*

Wszedł na teren północnej części cmentarza. Oprócz jednej starszej kobiety z chustką na głowie, krzątającej się przy grobie dobre kilkadziesiąt metrów dalej, nie było nikogo. Ta pustka potęgowała specyficzną atmosferę zawsze panującą w takim miejscu.

Dopiero w dwudziestym pierwszym rzędzie odnalazł krzyż z tabliczką. Widniało na niej nazwisko najdroższej osoby. Serce mu się ścisnęło. Poczł dziwny ucisk w gardle. Pochylił głowę i przetarł dłonią wilgotne oczy. Spojrzał za siebie. Był sam. Nie musiał się obawiać świadków jego wzruszenia. Podszedł bliżej i przejechał po napisie palcami, jak niewidomy czytający tekst napisany alfabetem Braille'a.

Przyklął i położył dłoń na płycie nagrobnej. Przed zamkniętymi oczami przesuwały się obrazy z przeszłości. Pamiętał, jak blisko trzydzieści lat temu matka niosła go półprzytomnego z gorączki na rękach do szpitala, sama ledwie trzymając się na nogach. Wezwane pogotowie nie przyjeżdżało. Ojciec już wtedy nie żył. Byli sami.

Maria Jakuszyn szeptała mu do ucha.

- Jeszcze tylko parę kroków, synku. Wytrzymaj, jeszcze tylko parę kroków i się tobą zajmę. Odpochniesz sobie. Zobaczysz. Tylko wytrzymaj, ukochany synekczku.

Witalij nigdy nie zapomni tych słów. Matczynej bezgranicznej miłości, którą chciała mu zrekompensować brak ojca. Przypomnił sobie trudne czasy, kiedy mama musiała niezwykle ciężko pracować, by jemu niczego nie brakowało, by nie czuł się gorszy wśród rówieśników pochodzących ze szczęśliwych pełnych rodzin. Oni mieli tylko siebie - matka i syn.

Wróciły wspomnienia z czasów wojny w Afganistanie, gdzie armia i pewien porucznik w szczególności wykuli w nim twardego charakter. Służby specjalne i stypendium na uniwersytecie Yale. Wtedy wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Amerykańska młodzież studencka szybko sprowadziła go na ziemię. Był nierzadko otwarcie dyskryminowany za pochodzenie. Wyzywany od kacapów i śmierdzących komunistów.

Na zawsze wryła mu się w pamięć jego rozmowa z jednym z raczej mało zdolnych studentów, z którym byli w tej samej grupie ćwiczeniowej. Mack Crawford, wysoki, przystojny blondyn, poklepał go przyjaźnie po plecach.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, Witalij, że w tym kraju nigdy nie osiągniesz tyle co ja.

- Niby dlaczego? - spytał naiwnie Rosjanin. - Stopnie mam najlepsze na roku, a ty ledwie zaliczasz.

Mac uśmiechnął się szeroko, ukazując idealnie równe białe zęby.

- Bo ty jesteś ruski, a ja White Anglo-Saxon Protestant - stwierdził protekcjonalnie. - Jak będę kiedyś w zarządzie jakiejś korporacji, ty będziesz co najwyżej za mną teczkę nosił, jeśli ci oczywiście pozwolę. Jak zrobisz za mnie ten projekt, co profesor zlecił, to się zastanowię.

Witalij Mackowi projektu nie zrobił. Zadzwoił do matki i po raz kolejny usłyszał ciepłe słowa otuchy. Wtedy bardzo brakowało mu taty, mimo że był przecież dorosłym człowiekiem, lecz dokuczliwie samotnym w tym nieprzyjaznym kraju.

Kiedy tak długo rozmawiali, matka ani na moment nie pozwoliła mu się zorientować, że pojawiły się pierwsze niepokojące symptomy choroby mózgu, które później miały przerodzić się w stany demencyjne, co wymagało stałej opieki medycznej.

Wtedy Witalij nic nie wiedział. Kiedy powrócił do Rosji, choroba poczyniła w mózgu matki poważne spustoszenia. Całodobowa opieka okazała się niezbędna, a on w tym czasie wypłynął na szerokie wody, organizując i przeprowadzając niezwykle intratne nielegalne interesy. Jedynym błędem, który popełnił, była niechęć do dzielenia się pieniędzmi z elitami władzy i dawnymi kolegami ze specsłużb. Wkrótce dosięgła go ich zemsta.

Witalij westchnął głośno. Dzięki swojej działalności sprzed pięciu lat mógł zapewnić matce doskonałą opiekę medyczną w Soczi nad Morzem Czarnym. Mógł ją regularnie odwiedzać, choć wtedy momentami mama go już nie poznawała.

Wpatrywał się w tabliczkę. W tym momencie usłyszał za sobą ciche stąpanie. Ktoś stanął za nim w odległości nie większej niż dwa metry. Czyżby ktoś postanowił na niego zapolować? Czyżby komuś nie spodobało się jego bezprecedensowe przedterminowe zwolnienie? Zaraz pewnie się dowie.

Witalij odruchowo napiął mięśnie. Był gotów do obrony. Ewentualny napastnik za chwilę pożegna się z życiem, ale wcześniej powie, kto go nasłał. Czekał na pierwszy ruch przeciwnika. Ruchu nie było.

- Zawsze na pana czekała - usłyszał kobiecy głos za plecami. - Była święcie przekonana, że w końcu pan do niej przyjedzie.

Nie było wątpliwości co do tego, do kogo głos należał.

- Odniosłem wrażenie, że raczej nie chce mnie pani więcej widzieć, pani doktor - powiedział i odwrócił się do niej.

Miała na sobie błękitną jedwabną koszulę wpuszczoną w kremową sportową spódnicę. Była naprawdę ładna. Kształtna twarz i łagodne rysy musiały zatrzymywać wzrok mężczyzn. Zaczesane do tyłu włosy, upięte w kucyk, podkreślały jej urodę. Pewnie właśnie taką dziewczynę mama chętnie by widziała jako synową. Nie wiedziała jedynie, że jej syn zajmował się swego czasu sprawami, które rządy najpotężniejszych państw świata przyprawiały o ból głowy. Życie, jakie prowadził przedtem i teraz, z pewnością nie sprzyjało ustatkowaniu się i uszczęśliwieniu staruszki gromadką rozbrykanych wnuków.

- Chciałam pana przeprosić za moje zachowanie - powiedziała pojednawczo. -

Zareagowałam może trochę zbyt nerwowo. Chociaż musi pan sam przyznać, że to, co pan powiedział, nie brzmiało zbyt różowo.

- Nie chciałem pani wystraszyć. To ja przepraszam. Ale niestety naprawdę wiem, co mówię. Może nikt nigdy nie będzie pani niepokoił...

- Ale jeśli ktoś spyta, to mam zaprzeczyć, że pana kiedykolwiek widziałam.

- Tak byłoby dla pani najlepiej - powiedział bez emocji.

- Kim pan jest?

- Dużo by mówić, a tak naprawdę, to sam nie wiem.

Zamyślił się na moment.

- A kto wie, może nawet bym pana polubiła - sparafrazowała jego słowa sprzed nie dalej niż godziny.

- W takim razie pani powie mi, gdzie tutaj można naprawdę dobrze zjeść, a ja w ramach rewanżu zapraszam panią na obiad. Może być?

- To chyba nie jest dobry pomysł - odparła poważnie i spojrzała w bok w otwartą przestrzeń.

Uśmiechnął się szczerze.

- Zapewniam cię - przeszedł bezceremonialnie na „ty”, czym na krótką chwilę obudził jej czujność. Tylko na krótką chwilę - że jest to jeden z najlepszych pomysłów, jakie mi przyszły do głowy w życiu. A i mama by się ucieszyła.

Wyciągnął do niej dłoń, oczekując, że weźmie go za rękę. Kobieta nie ukrywała zaskoczenia. Miałyby się zachować jak nastolatka i ująć dłoń tego praktycznie nieznanego sobie człowieka? Coś się w niej buntowało, ale jednocześnie podświadomie czuła, że można mu w pełni zaufać. Poza tym zdążyła dobrze poznać jego matkę. Jabłko nie może padać aż tak daleko od jabłoni.

- Zawsze jesteś taki bezpośredni? - spytała i wzięła go za rękę.

- A uwierzysz, jak ci powiem, że to mój pierwszy raz?

Popatrzyła na jego pogodną, nieodgadnioną twarz, twarz wyjątkowo przystojnego mężczyzny.

\*

Kelner przyniósł wino. Pokazał etykietę butelki gościom. Witalij Jakuszyn popatrzył na learkę siedzącą na drugiej połowie półokrągłej kanapy. Ruchem głowy potwierdziła, że wybór wina jest doskonały. Białe australijskie Chardonnay świetnie będzie pasowało do dania rybnego, z których restauracja słynęła na całą okolicę. Kelner sprawnie wyjął korek i nalał im wina do lampek. Postawił butelkę na stole i dyskretnie się oddalił.

- Przytulnie - powiedział Witalij, rzucając okiem na wnętrze restauracji.

Było nieduże, ale interesująco urządzone, w stylu żaglowca sprzed wieków. Mimo specyficznego wystroju nie można było odmówić jej elegancji. Nowoczesne elementy wyposażenia doskonale komponowały się ze stylizowanym wnętrzem. Kelnerzy w białych koszulach z muszkami pod szyją i czarnych materiałowych spodniach nie pozostawiali wątpliwości co do faktu, że w tym lokalu obsługa jest w pełni profesjonalna, na najwyższym, światowym wręcz poziomie.

- Bardzo lubię to miejsce. Wszystko jest dokładnie tak, jak trzeba.

- Często tu bywasz?

- Ostatnio tylko przy wyjątkowych okazjach. Czyli niezbyt często.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem. Uśmiechnęła się trochę jakby nienaturalnie.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wyczuwam nutkę melancholii w aksamitnym głosie.

Niejeden raz słyszała komplementy na temat barwy swojego głosu. Niejeden raz mówiono jej, że powinna pracować w radiu lub w telefonicznej poradni dla potencjalnych samobójców. Niejeden raz korzystała z tego daru, rozmawiając z ciężko chorymi lub czytając im na głos, a oni słuchali jej jak urzeczeni. Uwaga Witalija mile polechtała jej kobiecą próżność.

- Wspomnienia z przeszłości. Nic ważnego.

- Niemiłe?

- Problem w tym, że miłe.

- Czyli jakiś facet okazał się totalnym dupkiem i złamał ci serce - bardziej stwierdził niż spytał.

- Mam to wypisane na twarzy?

Witalij zignorował pytanie.

- Dlaczego wy, zachwycająco piękne i mądre kobiety, zakochujecie się w niewłaściwych mężczyznach?

Kelner przyniósł zamówione dania. Ryba w sosie czosnkowym pachniała wyśmienicie. Witalij nie zaczął jeść. Spoglądał na Tamarę, czekając na reakcję. Kobieta jeszcze przez chwilę smakowała komplement, patrząc w swój talerz.

- A jaka jest kobieta, która się w tobie kocha? - spytała, biorąc sztucce w dłoń i zabierając się do jedzenia.

- Ja też jestem niewłaściwym mężczyzną.

Podniosła na niego wzrok.

- Czyżby? Twoja mama mówiła co innego.

- Poważnie?

- Kochający syn, wrażliwy, czuły...

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Ja? Powtarzam tylko, co słyszałam.

Zamyślił się. Zapadła niezręczna cisza. Chciała coś powiedzieć, ale odezwał się pierwszy.

- Jak do tej pory kobiety były bardzo krótkimi epizodami w moim życiu - powiedział z dziwną tęsknotą w głosie.

- Może czas na dłuższy epizod? - spytała, zanim zdała sobie sprawę, że zachowuje się jak zadurzony podłotek.

Oblała się rumieńcem po same uszy i zaczęła jeść z nienaturalnym zapalem. Przeklinała siebie w duchu.

- Może. Gdybym kiedyś spotkał kogoś takiego jak pani doktor... - zawiesił głos, przyglądając się lekarce. Faktycznie, miała w sobie to coś. - To kto wie.

Starła się udawać, że jego słowa jej specjalnie nie obeszły. Nie najlepiej jej to wychodziło.

- Spróbuj - powiedziała, wskazując wzrokiem jego talerz. - Moim zdaniem dzisiaj kucharze przeszli samych siebie.

Witalij odkroił kawałek ryby i zamaczał w sosie. Miała rację.



## ROZDZIAŁ 9

*Wrocław, Polska*

- Zabiorę cię do najlepszej restauracji, jaką znam - powiedział Maciek i otworzył jej drzwi od strony pasażera.

Magda wsiadła. Rozejrzała się po wnętrzu. Było bardzo przestronne.

- Nie wiedziałam, że masz samochód, i to taki. Zaskakujesz mnie.

Maciek zamknął drzwi i obszedł auto. Wsiadł na miejsce kierowcy.

- Pożyczony. Od wujka. Mieszkają we Wrocławiu z cicią i z dziećmi.

Włączył się do ruchu. Skierował się w stronę Bielán i wyjazdu na Wałbrzych.

- Tak, pamiętam. Mówiłeś mi, jak się poznaliśmy, tam na przystanku. On jest żołnierzem, tak?

- Był. Teraz prowadzi małą firmę budowlaną.

Szybko dojechali do granic miasta. Dziewczyna zauważyła, że wyjeżdżają poza miasto. Restauracja, o której mówił, musi być gdzieś pod Wrocławiem. Ciekawe.

- To jakiś zajazd? - spytała.

- Proszę?

- Ta twoja wykwintna restauracja to jakiś zajazd? Widzę, że wyjeżdżamy z Wrocławia.

- Można by tak to nazwać. Po drodze na Sobótkę.

Patrzyła przed siebie. Coś jej przyszło w tym momencie do głowy.

- Maćku, ale jeżeli to jest jakieś niesamowite miejsce, jak mówisz, to musi być bardzo drogie. Nie chcę, żebyś się przeze mnie wykosztowywał. Naprawdę nie musisz.

Roześmiał się.

- Miejsce jest super, ale spokojnie, nie zbankrutuję.

Jakoś nie poczuła się przekonana. Dobre restauracje dużo kosztują, a on zapewniał ją, że jadą do jednej z najlepszych. Chyba że czeka ją tam spory zawód.

Dojazd zabrał kolejne piętnaście minut. Zajechali przed prostą, drewnianą chatę. Luksusami od niej nie biło. Toporne długie stoły na zewnątrz, z ławami zamiast krzeseł, przy których siedziała spora grupa ludzi, przywodziły na myśl najzwyklejszą przydrożną

jadłodajnię.

Maciek wysiadł i otworzył jej drzwi. Podał rękę przy wysiadaniu. Nie omieszkała tego zanotować w pamięci. Dżentelmen w każdym calu.

- To tu? - spytała, kiedy weszli do środka.

Rozejrzała się ciekawie po wnętrzu zrobionym w całości z jasnego drewna. Delikatna woń piezonego mięsa dobiegała z pomieszczeń kuchennych i komponowała się z zapachem drzewa użytego do zbudowania tego niewielkiego skądinąd budynku.

- Tutaj - szepnął tajemniczo Maciek.

Za szerokim, drewnianym kontuarem stał wysoki, barczysty mężczyzna z długimi blond włosami związanymi z tyłu głowy w kucyk. Na oko miał dobrze po czterdzieście. Taka fryzura w jego wieku sugerowała dość nietypową osobowość. Na widok Maćka podniósł wysoko rękę na powitanie. Wyraźnie ucieszył się, że go widzi. Przy dwóch stolikach, które ledwie mieściły się na niewielkiej przestrzeni, siedziała czwórka mężczyzn i zajadała się gorącymi daniami.

- Maciek, zachodź! - zawołał i wyszedł zza kontuaru. Podeszedł do nich. Skłonił się szarmancko towarzysze chłopaka. - Nie wiedziałem, że Maciek ma anielsko śliczne koleżanki.

- Uważaj, Madzia. Pan Heniu to straszny podrywacz. Ale bezpieczny, bo żona i dzieci na karku. Jak tam rodzinka, panie Heniu?

- Doskonale, jak zwykle. Piękne imię Magdalena. Ach, żebym ja był dwadzieścia lat młodszy, pani Magdaleno...

Dziewczyna obdarzyła go czarującym uśmiechem. Podobał jej się ten znajomy Maćka.

- No właśnie. A może by pan tak Magdalenę swoimi specjałami nakarmił? - Chłopak starał się sprowadzić Henia na ziemię.

Heniu spojrział przez małe okienko w ścianie.

- O, właśnie zwalnia się stolik. Idźcie, usiądźcie. Zaraz wam przyniosę.

Maciek wziął ją za rękę i poprowadził na zewnątrz.

- Nie trzeba zamawiać? - spytała zaskoczona, kiedy siadali na ławie. - Nie ma wyboru?

- Jest wybór. Nawet całkiem spory. Znając pana Henia, dostaniemy zestaw specjalny, czyli wszystkiego po trochu. Jak coś posmakuje, to można domówić jeszcze.

- Często tu bywałeś?

- Raz na parę tygodni.

- Sam?

Spuściła wzrok, jakby się zawstydziła tym pytaniem. Nie uszło to jego uwadze.

- Sam może ze dwa razy. Najczęściej z kimś.

- Z kimś? - spytała znowu niby mimochodem.

Maciek od razu domyślił się, co chciałyby wiedzieć.

Chodziło jej o ewentualne towarzystwo płci przeciwnej. Interesowała się. „To dobry znak”, pomyślał. „To bardzo dobry znak”. Nie miał najmniejszego zamiaru pozostawiać jej w niepewności.

- Najczęściej z wujkiem, ciotką i dzieciakami. Parę razy tylko z wujkiem na taki męski wypad. Wtedy można było się spokojnie jeszcze piwa napić. Ciotka nie lubi piwa.

- I zdążyliście się aż tak zaprzyjaźnić z tym panem Heniem?

- Wujek go zna już od lat. Nigdy nie chciał mi powiedzieć dokładnie skąd. Jakies tam jego sprawy z przeszłości. Nie moja rzecz.

- Bardzo blisko jesteś z wujostwem - stwierdziła. - Ty spod Żar, oni z Wrocławia... Spora odległość, jak na tak bliskie kontakty.

- Oni nie są z Wrocławia. Przeprowadzili się dopiero trochę ponad rok temu. Wuj tutaj pomieszkiwał parę lat wcześniej, ale dość krótko. Ciotka jest z Żar. Zresztą wujek właściwie też, ale to strasznie skomplikowana historia. Jak z taniego romansu. Dużo by mówić.

- O rany. Brzmi ciekawie. - Nie chciała być wścibska, ale zaintrygowało ją to. - Wolałbyś raczej nie mówić...?

- Nie, dlaczego. Żadna tam tajemnica. Ale to naprawdę bardzo długa i poplątana historia.

Pojawił się pan Heniu z ogromnym półmiskiem pieczonego i grillowanego mięsa: żeberka, dwa wielkie kurze udka, skrzydełka i cztery szaszłyki. Jadła starczyłoby swobodnie nie tylko dla dwóch, ale i dla czterech głodnych osób. Było gorące i pachniało wybornie.

- Kto to zje, panie Heniu? - Magda złapała się za głowę.

- Na pewno nie ja - odpowiedział mężczyzna i postawił przed nimi górę jedzenia. - Niech pani popróbuje wszystkiego, pani Magdo. Następnym razem będzie pani już wiedziała co zamówić. Smacznego pani życzę. Maćkowi nie muszę, bo zna sprawę.

Odszedł do wyszynku. W środku zrobiła się już kolejka wygłodniałych amatorów jego kuchni. Mimo że interes był praktycznie poza miastem, na brak klientów z Wrocławia pan Heniu nie narzekał.

- Cóż pan poleca na początek, panie Maćku?

Minę miała nietęgą. Głupio by było zostawić dużo jedzenia. Przecież on za to będzie

musiał zapłacić i to pewnie niemało, a przecież był tylko ubogim studentem. Co do tego nie miała wątpliwości. Zaproszenie jej tutaj z pewnością nadszarpięło jego skromny budżet.

- Wszystko jest pyszne - odparł - ale ja zacząłbym od skrzydełek.

Magda sięgnęła po jedno. Było doskonale wypieczone z delikatnie chrupiącą skórką. Do opuszków palców przykleiły się wysuszone przyprawy. Ugryzła kawałek, zaczęła żuć i...

- Bajeczne - stwierdziła z uznaniem i ze smakiem zabrała się za kolejny, spory kęs.

- Mówiłem.

Maciek spokojnie obgryzał kości z pierwszego skrzydełka i wziął się natychmiast za drugie. W najmniejszym stopniu nie zaskoczyła go uwaga dziewczyny. Nie spodziewał się niczego innego.

- Czym to jest doprawione?

- Ja też pytałem. Pan Heniu najwidoczniej postanowił zabrać tajemnicę do grobu. Spróbuj żeberek. Są jeszcze lepsze.

Magda poszła za radą chłopaka. Niebo w gębie. Próbowwała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu jadła coś równie smacznego. Nic jej nie przychodziło do głowy.

- Opowiesz mi?

Magda wzięła w nieprzyzwoicie tłuste palce kolejne skrzydełko. Wpiła się w nie ze smakiem. Aż sama się sobie dziwiła, że jest w stanie pochłonąć tyle jedzenia naraz, ale serce bolało cokolwiek zostawić.

- Co opowiem?

Maciek przeżuwał szaszłyk.

- Romantyczną historię twojego wuja. - Dziewczynę zżerała ciekawość. - Mówiłeś, że to żadna tajemnica.

- Naprawdę chcesz?

- Bardzo. Lubię romanse. Jak każda kobieta zresztą. Nie wiesz?

- Wszystko zaczęło się na początku lat osiemdziesiątych. - Maciek nie przestawał jeść.  
- Jeszcze za komuny. To była wieceelka miłość. Planowali ślub i w ogóle. Wujek dostał powołanie do służby wojskowej. Ślub musiał poczekać. Pewnego popołudnia, jak ciocia skądś wracała, napadło na nią kilku bandziorów. Ciężko ją pobili. Chyba nawet był gwałt. Ciocia wylądowała w żarskim szpitalu. Była w krytycznym stanie. Lekarze nie dawali jej właściwie szans. Wujek i mama ciotki, już nie żyje, cały czas siedzieli w szpitalu. Czekali na cud. Któregoś dnia jeden lekarz powiedział im, że ciocia nie żyje. Rozpacz i w ogóle. Wujkowi akurat mijał termin zgłoszenia się do jednostki, to go WSW znalazło i odwieźli do Żagania. Żagań Las. Jedna z najgorszych jednostek w Polsce. Tam, stare wojsko, wtedy

jeszcze w wojsku fala była. Wiesz, co to jest fala?

- Słyszałam. Żołnierze z większym stażem znęcali się nad nowymi. Widziałam taki film *Samowolka*. Straszne rzeczy się działy.

- Dokładnie. Tyle że wujek wcześniej miał takiego nauczyciela, podobno cichociemny z II wojny światowej i w ogóle weteran wojenny. Wyszkolił go w walce wręcz niesamowicie i wuj rozwalił w puch chyba z pięciu starych. Bodajże zostali kalekami. Posadzili go, prokurator i te sprawy. Ale znalazł się tam jeden taki radziecki pułkownik z ichnich jednostek specjalnych. Dogadał się z szefem jednostki i jak w sensacyjnym filmie odbił wujka z transportu i przerzucił do Związku Radzieckiego. A tam wuj trafił do szkoły oficerskiej w Riazaniu i wyszkolili go na oficera jednostek specjalnych.

- A co z ciocią? Przecież przeżyła.

- A tak. Zoperował ją jakiś słynny profesor i przeżyła. Wujek już się o tym nie dowiedział. Mama ciotki próbowała skontaktować się z nim przez jednostkę, ale on już był u ruskich. A wracając, to niedługo potem przerzucili wujka do Afganistanu. Jako porucznik radziecki jednostki powietrznodesantowej walczył do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Potem był przez parę lat żołnierzem fortuny<sup>1</sup>.

- Żołnierzem fortuny? Co to takiego?

- Był najemnikiem. Wynajmowali ich do różnych akcji, gdzie regularne wojsko nie działało. W Afryce, w Ameryce Łacińskiej, ale szczegółów nie znam. Potem wujek był w Stanach przez jakiś czas, aż znalazł go pułkownik polskich jednostek specjalnych i ściągnął go do kraju, żeby szkolił naszych komandosów.

- To ten twój wujek aż taki mocny był?

- Na to wygląda. Przede wszystkim doświadczony żołnierz.

- I co? Czemu nie został w wojsku?

- Odnalazł rodzinę. Myślał, że nie żyją. Odnalazł też ciocię. Minęło paręnaście lat. Ciocia czekała na niego, ale w końcu wyszła za kogoś innego. Wujek pojechał do Wrocławia. Tu okazało się, że jego bratanica została porwana na wakacjach przez piratów somalijskich. Wiedziałaś, że jeszcze na świecie są piraci?

- W telewizji teraz dużo o tym mówią.

- Wujek zorganizował starych towarzyszy broni i odbił rodzinę. Potem we Wrocławiu wdał się w awanturę z lokalną mafią. Podobno wybił przywódców, musiał się ukrywać, aż w końcu za zasługi dla Polski dostał ułaskawienie od prezydenta. Teraz jest już tylko zwykłym

---

<sup>1</sup> Opisane tu wydarzenia pochodzą z powieści *Męska sprawa* (przyp. aut.).

wujkiem Maćka Burdzika.

- Ale zeszli się w końcu z ciotką...?

- Tak. Ciocia owdowiała już ładnych parę lat temu. I stara miłość znowu zakwitła. Wzięli ślub, mają małego synka i jeszcze dwoje starszych dzieci z poprzedniego małżeństwa cioci. Wszystko ułożyło się idealnie.

- Fascynujące. Ale ludzie mają czasem przeżycia. Tobie to wszystko wujek mówił?

- Nie. Ciotka mi kiedyś opowiedziała. Wuj nie lubi mówić o przeszłości..

Magda zamyśliła się. Po chwili powiedziała jakby do siebie:

- Popatrz, jak to jest. Czyli miłość w końcu zwycięży.

- W tym przypadku tak było.

Wytarła palce w serwetkę i wzięła go za rękę. Spojrzała mu głęboko w oczy. Serce mu mocniej zabiło. Chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie.

- A w twoim przypadku? - spytała.

- Ty przecież wiesz.

- Wiem, Maćku. Wiem. - Pokiwała głową i uśmiechnęła się promiennie. - Wiem doskonale. Co z tym robimy?

Wskazała wzrokiem na wciąż nietknięte specjały. Została blisko połowa.

- Nie zmarnuje się. Pan Heniu zapakuje i można zabrać ze sobą. Odgrzewane też jest dobre. Poczekaj, zaraz wracam.

Wziął tacę z jedzeniem i poszedł do chaty. Wyszedł chwilę potem, ale z pustymi rękami.

- Pan Heniu nie chciał zapakować? - spytała, patrząc na dłonie chłopaka.

- Nie no, chciał. Pewnie, że chciał. Odbierzemy, jak będziemy wracać?

- Skąd wracać?

- Chodź. Chcę ci coś pokazać. To tutaj w lesie, niedaleko.

- Co? - Wstała i podeszła do niego.

- Zobaczysz - odpowiedział z tajemniczą miną. - Kawałek przyszłości.

- Wyglupiasz się - rzuciła mu podejrzliwie spojrzenie.

- Nie.

Weszli do lasu. Kiedy przeszli kilkadziesiąt metrów, Maciek przystanął. Rozejrzał się po ziemi wokół siebie, jakby czegoś szukał. Zatrzymał wzrok pod brzozą. Przykląkł i zaczął rozgarniać poszycie leśne. Magda przyglądała mu się zaintrygowana. Podeszła bliżej. Maciek rozsunął liście i igliwie. Jej oczom ukazała się kwadratowa betonowa płytka. Była nieduża. Jakieś czterdzieści centymetrów na czterdzieści. Od razu dostrzegła wyryty ręcznie napis:

„ROK 2015”. Maciek spojrział na nią ukradkiem. Udało mu się ją zaskoczyć.

- Co to takiego? - spytała i przykucnęła obok niego.

- Tak jak ci mówiłem. Kawalek przyszłości - odpowiedział enigmatycznie.

- Powiedz mi - domagała się jak dziecko, które za wszelką cenę chce wiedzieć tu i teraz, jaki prezent dostanie na urodziny przypadające za co najmniej kilka dni. - No powiedz.

Położyła mu dłoń na ramieniu i wpatrywała się w niego wyczekująco. Maćkowi bardzo się to podobało.

- W Stanach nazywają to kapsułą czasu. Uczniowie w szkołach często opisują swoją wizję przyszłości, pakują do pojemnika i zakopują nawet na pięćdziesiąt lat. Po takich pięćdziesięciu latach jest uroczyste odkopanie i otwarcie kapsuły. Porównanie wizji z rzeczywistością. Ciekawe rzeczy wychodzą. Ja sobie zrobiłem opis mojej rzeczywistości za trochę mniej lat. Jak będzie wyglądało moje życie i w ogóle. Dwa lata już minęły. W 2015 zrobię sobie osobistą uroczystość otwarcia.

- Co tam napisałeś?

- Nie mogę powiedzieć, bo się nie spełni. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, nie pamiętam dokładnie - próbował wykręcić się od odpowiedzi.

- To powiedz niedokładnie. - Magda nie zamierzała rezygnować. Owładnęła nią babska ciekawość. - Chociaż troszeczkę. Proszę.

- Dobrze. - Chłopak się ugiął. - Ale tylko jedną rzecz i nic więcej. Obiecujesz, że nie będziesz mnie cisnąć?

- Dwie. - Postanowiła negocjować.

- OK, dwie. I tyle. Obiecujesz?

- Obiecuję. - Podniosła dwa palce do góry jak żołnierz do przysięgi. - Słowo harcerki.

- Byłaś harcerką?

- Nawet zastępową. W liceum. Ale mów już.

- Dobra...

- A dużo tam napisałeś? - przerwała mu.

- Dużo.

- No to mów.

- Do 2015 roku świat informatyczny o mnie usłyszy. Zrealizuję jakiś projekt albo wygram jakieś zawody. Zobaczysz się.

- A druga?

- Do 2015 roku spotkam pewną wyjątkową, niezwykłą osobę. - Nie patrzył jej w oczy Utkwił spojrzenie w czubkach swoich butów. - Osobę, z którą... dla której... - zaczerwienił się

i zaczął gubić słowa.

Wzięła go pod ramię.

- To piękne, co mówisz. Chodź po nasze jedzenie, bo pan Heniu się rozmyśli i wyrzuci.

Pomogła mu zasypać płytkę. Szli w stronę jadalni. Na chwilę położyła mu głowę na ramieniu. Kolejna chwila, dla której naprawdę warto żyć.

Pan Heniu wręczył im pakunki, życzył miłego wieczoru i zaprosił na następny raz. Bar był pełen klientów.

W drodze do domu Magda wyglądała na bardzo zamyśloną. W kąciakach ust czaił się jej nieomal niezauważalny uśmiech. Na jego próby nawiązania rozmowy odpowiadała zdawkowo, ale zawsze życzliwie. Sama nie mówiła nic. Głęboko coś w głowie analizowała. Dałby wiele, żeby się dowiedzieć co, ale głupio mu było pytać. Nie chciał spłoszyć czegoś ulotnego, czegoś, co właściwie równie dobrze mogło mu się tylko wydawać.

Zajechali w pobliże domu dziewczyny. Wiedział, gdzie mieszkała. Odprowadzał ją już wcześniej dwa razy. To było ich trzecie spotkanie. Dla niego prawdziwa randka z obowiązkową czerwoną różą, dla niej wieczorne wyjście z kolegą na długi spacer, lekką kolację i generalnie miłe spędzenie czasu. Niejednokrotnie łapała się na tym, że doskonale się czuje w jego towarzystwie. Był delikatny, ciepły, szczery i uroczo nieśmiały. Szczególnie podobały jej się chwile, gdy niby mimochodem próbował dotknąć jej dłoni, gdy szli obok siebie. Nie chciała ułatwiać mu sprawy i schowała ręce do kieszeni dzinsów. Była ciekawa, jak zareaguje. Nie odwrócił głowy. Udawał, że tego nie zauważył, ale zarumienił się po koniuszki uszu. Widziała, że dla Maćka jest kimś daleko więcej niż tylko koleżanką z uczelni. Chłopak za wszelką cenę starał się tego nie pokazywać. Na początku odgrywał rolę wyważonego młodego mężczyzny, ewidentnie uznając, że zdoła tym sobie ją zjednać, by z czasem coraz częściej prezentować swoją prawdziwą osobowość, spontaniczną i momentami z błyskotliwym poczuciem humoru. Musiała przyznać, że świetnie się przy nim bawiła. Musiała też przyznać, że ujmował ją coraz bardziej. Miał w sobie coś delikatnego, chłopięcego i niewinnego, a jednocześnie dało się odczuć, że był w stanie zapewnić kobiecie bezpieczeństwo i oparcie w każdej sytuacji. Z każdą chwilą pociągał ją coraz mocniej. Poddawała się tej naturalnej sile. Powoli uświadamiała sobie, że rodzi się w niej uczucie, które bez wątpienia skrycie szalało w Maćku.

Szedł, przeklinając w duchu czas, że tak szybko ucieka. Każdy metr zbliżał go do końca spotkania z nią. Znowu będzie musiał czekać niewiedomo jak długo na dzień, kiedy znowu ją zobaczy, o ile będzie jeszcze chciała się z nim zobaczyć.



Zatrzymali się przed jej okazałym domem. Pochodziła z dość dobrze sytuowanej rodziny. Oboje rodzice byli lekarzami. Momentami go to zniechęcało. On, chłopak ze wsi, miałby z sukcesem starać się o względy dziewczyny z takiego środowiska? Uznawał za cud fakt, że w ogóle chciała się z nim te kilka razy spotkać. Jednak był to najwspanialszy cud na świecie. Niczego nie zamieniłby na te chwile spędzone razem z nią. Jeszcze nie wiedział, że jego pochodzenie nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Co więcej, imponowała Magdzie jego rzadko w tych czasach spotykana uczciwość, szczerść i zwykła, ludzka dobroć.

- Dziękuję ci, Maćku, za bardzo miły wieczór. Świetnie się bawiłam. Fajny z ciebie chłopak.

Ostatnie zdanie przyprawiło go o szybsze bicie serca. A może mówiła szczerze?

- To ja ci dziękuję - powiedział. Szukał w głowie jakichś mądrych słów. Nie znalazł nic prócz: - Spotkamy się jeszcze?

Nie odpowiedziała. Zatrzymała wzrok na wejściu do domu. Maciek zamarł. Czy ta cisza oznaczała wyrok? Jęknął boleśnie w duszy. Więc jednak. Nie ta liga.

Magda spojrzała mu wreszcie w oczy. Uśmiechała się życzliwie.

- A chciałbyś? - spytała w końcu.

- Bardzo bym chciał - powiedział bez zastanowienia, zanim zdał sobie sprawę, że może wychodzi na głupka rojącego sobie nie wiadomo jakie nadzieje.

- Maćku, bardzo chętnie się z tobą spotkam. Jeszcze wiele razy, jeżeli naprawdę ci zależy.

Słyszając te słowa, chłopak nie posiadał się z radości. Promieniał. Pozory diabli wzięli. Cieszył się jak dziecko.

Widziała, że aż rwał się, by coś zrobić, żeby ją na przykład uściskać. Nie odważył się. Stał przed nią i śmiał się do niej oczami. Był jak chłopczyk, któremu właśnie dano od lat wymarzoną zabawkę. Patrzyła na niego z rozrzewnieniem. Zbliżyła się i pocałowała go delikatnie w usta.

- Zadzwoń. Będę czekała. Pa.

Otworzyła furtkę i weszła na posesję. On stał i wiódł za nią maślanym, przeszczęśliwym wzrokiem. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co od niej usłyszał. Czy to nie sen? Czy marzenia rzeczywiście się spełniają?

Magda otworzyła drzwi wejściowe domu. Odwróciła się i pomachała mu, posyłając najwspanialszy na świecie uśmiech. Odpowiedział uniesioną ręką. Jeszcze przez kilka sekund stał za płotem, patrząc w przestrzeń, w której przed chwilą była ONA. Szedł powoli do

samochodu pożyczonego na tę okazję od wuja Adama. Szedł bardzo powoli. Myśli kłębiły mu się w głowie jak oszalałe. Czuł się lekko jak ptak, nieomal tak lekko, jakby za chwilę był w stanie wzbić się w powietrze. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Był oszołomiony, ale w najmniejszym stopniu mu to nie przeszkadzało. Bynajmniej. Miał ochotę śpiewać i krzyczeć z radości. Ledwie był w stanie się powstrzymać. Niechybnie wzięto by go za wariata.

## ROZDZIAŁ 10

### *ALMA Schlosshotel im Grunewald, Berlin, Niemcy*

Zameczek przerobiony na luksusowy hotel mieścił się w ogromnym parku. Sama budowla, jej stylowe, wypieszczone wnętrza, jak i otoczenie sprawiały wrażenie żywcem przeniesionych z czasów, kiedy to królowie i książęta w obowiązkowych perukach zajeżdżali wspaniałymi karocami do takich miejsc na wytworne bale. Poza klimatem sprzed bodaj dwustu lat gościom oferowano tu wszelkie zdobycze współczesnej cywilizacji, począwszy od spa, o jakim można sobie tylko zamarzyć, przez wszelkie standardowe usługi hotelowe, na czyszczeniu butów skończywszy. Wszystko naturalnie za ciężkie pieniądze. Mimo to na brak gości nie narzekano.

W holu Witalij Jakuszyn leniwie przerzucał strony kolorowego magazynu, co jakiś czas zatrzymując się na dłużej przy artykule, który na krótką chwilę zdołał przyciągnąć jego uwagę. Dziewczyna w recepcji za ogromnym kontuarem wpisywała coś do komputera. Dwie inne pracownice przeszły przed nosem mężczyzny, nie omieszkając obdarzyć go po drodze życzliwymi uśmiechami. Witalij Jakuszyn odwzajemnił uśmiech i skłonił delikatnie głowę w grzecznym, niezobowiązującym pozdrowieniu.

Do poczekalni wszedł wysoki mężczyzna i wiele się nie zastanawiając, usiadł obok Rosjanina na brązowej, przepastnej, skórzanej kanapie. Recepcjonistka otworzyła usta, by spytać, czym może mu służyć, lecz widząc, że panowie się znają, dyskretnie wróciła do swoich zajęć.

- Co masz dla mnie? - spytał Witalij po angielsku, odkładając kolorowe pismo.

- Czukczyn dotrzymał słowa. Dokumenty są bez zarzutu - stwierdził półgłosem Max Fausten.

- Obiekty?

- Ukończone. Właśnie trwa ponowne uruchamianie sprzętu.

- Kiedy wszystko będzie gotowe?

- Na dniach.

- Doskonale. Trzeba znaleźć legionistę.

- Duboisa?

- Będzie potrzebny w interesach. Coś wiesz?

- Władował się w jakieś interesy z lokalną mafią w Nevadzie i coś mu nie poszło. -

Max spojrział niby mimochodem na recepcjonistkę. Była całkowicie pochłonięta swoją robotą.

- Jak go dorwą, może być z nim niedobrze.

- Francuz to sprytna cholera. Da sobie radę. Mam tu jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Za jakiś tydzień, może dziesięć dni, pojedziemy do Stanów i wyciągniemy człowieka z kłopotów.

- Tak nawiasem mówiąc, to gratulacje za wykończenie Mikulina, szefie.

- To ty nie słyszałeś, że umarł śmiercią naturalną? - spytał Witalij, uśmiechając się pod nosem.

- Pewnie, że słyszałem. Dlatego gratuluję. A tak z ciekawości, co to było?

- Pewien związek chemiczny. Działa na serce. Niewykrywalny. Wynalazek radzieckich służb specjalnych. Potrzebny jest jeszcze duży stres i kłopoty z układem krążenia. Mikulin nadawał się idealnie.

- Stres?

- Dokładnie. Załatwienie mu dużego stresu nie było trudne.

- A wprowadzenie do organizmu?

- Od czego się ma przyjaciół w salonach masażu. Wystarczyło drobne zadrapanie, a specyfik spod paznokcia trafił gdzie trzeba.

- Pięknie. Nie wiedziałem, że to takie proste.

- Nie jest proste, ale fortuna sprzyja przygotowanym. To tak na przyszłość.

Do mężczyzn podszedł kierownik spa. Był to jowialny człowiek, nieco tęgawy, w grubych, okrągłych okularach na nosie.

- Wszystko przygotowane - zwrócił się bezpośrednio do Witalija. - Proszę powiedzieć, kiedy pan będzie gotowy.

- Już jestem gotowy - odparł Rosjanin.

- Znakomicie. Zapraszam więc.

Witalij wstał. Nachylił się do Maksa.

- Chcę znać wyniki testów sprzętu najszybciej jak się da.

- Załatwione.

Po tym, jak Witalij i doktor zniknęli za załomem krótkiego korytarza, Niemiec podszedł do recepcjonistki.

- O której kończy pani pracę?

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona.

- O szóstej.

- Właśnie dzisiaj przyjechałem do Berlina i pomyślałem, że może pani byłaby tak miła i pokazała mi miasto...

- Raczej nie.

- Nie podobam się pani?

- Nie grzeszy pan urodą. Poza tym mam chorobliwie zazdrosnego chłopaka. Gorąca głowa. Mógłby panu zrobić krzywdę, niechący oczywiście.

W kącikach ust Maksa pojawił się lekko zauważalny uśmiezek wywołany samą myślą o takiej możliwości. Kimkolwiek zazdrośnik był, w ewentualnym starciu z nim, weteranem niemieckich jednostek specjalnych, nie miałby najmniejszych szans. Z pewnością dostałby bardzo bolesną nauczkę, którą zapamiętałaby na wiele lat.

- Ach tak? - Fausten udał spłoszonego. - To chyba nie będę ryzykował.

- Mądra decyzja - skomentowała, posyłając mu perlisty uśmiech.

## ROZDZIAŁ 11

- Tu jest faktura za robotę, pani dyrektor. Tak jak się umawialiśmy. - Gawlik podał kobiecie wydruk. Dyrektorka zespołu szkół budowlanych, przysadzista osoba z gatunku „babochłop”, wzięła od niego kartkę. - Proszę sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Do gabinetu zajrzała sekretarka.

- Bardzo przepraszam, pani dyrektor, że przeszkadzam, ale znowu jest problem z trzecią B.

- Przepraszam, panie Adamie. - Wstała zza biurka. - Niech mi pan da chwilę.

Wyszła do sekretariatu, ale drzwi zostawiła za sobą otwarte. Gawlik słyszał każde słowo, które padało w pomieszczeniu obok.

- Te łobuzy z trzeciej B spotkały panią Ewę, anglistkę - mówiła ożywionym głosem sekretarka - na korytarzu, i tak jej dogryzały, że dziewczyna się popłakała. A zaraz ma mieć z nimi lekcję.

- Gdzie jest?

- W pokoju nauczycielskim. Biedaczka próbuje się uspokoić.

Dyrektorka zawahała się.

- Zawołajcie ją do mnie. Zaraz skończę z panem i z nią porozmawiam. Nie może sobie pozwalać wchodzić na głowę. Autorytet trzeba sobie zbudować. A jak się nie umie, to takie są skutki.

- Łatwo powiedzieć, pani dyrektor. - Sekretarka ewidentnie solidaryzowała się z nieszczęsną anglistką. - Zaraz po nią pójde.

Wróciła do gabinetu.

- Coś jeszcze, panie Adamie?

- Nie, to wszystko - odpowiedział i zamknął teczkę z dokumentami. - Przypadkowo słyszałem rozmowę pań. Brzmi poważnie.

- Cóż, nie każdy w dzisiejszych czasach nadaje się na nauczyciela. Młoda anglistka przyszła zaraz po studiach i młodzież na niej jeździ. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie radzi sobie dziewczyna. Zwolniłabym ją, ale skąd ja wezmę doświadczonego anglistę, takiego, co nie da sobie w kaszę dmuchać?

- Pani dyrektor, niech mi pani pozwoli z tą nauczycielką pójść na lekcję do tej trudnej

klasy.

- Panu? A po co? - Kobieta nie kryła zdziwienia.

- Kiedyś uczyłem angielskiego, i to całkiem długo. W Afryce. Mam doświadczenie.

Myślę, że będę w stanie młodej koleżance pomóc.

- Pan żartuje, tak?

- Nie, mówię najzupełniej poważnie. Proszę mi pozwolić pójść z tą panią Ewą do klasy. Poprowadzę z nią lekcję.

- Ot tak, bez przygotowania?

- Zapewniam panią, że dam sobie radę. Będę w końcu pod okiem wykształconej anglistki.

- No wie pan... Nie wiem, czy powinnam...

- Pani dyrektor, obiecuję, że nie narozrabiam. - Adam podniósł dwa palce w geście: „słowo harcerza”.

- Skoro tak panu na tym zależy, proszę bardzo. Pani profesor poczuje się pewniej w towarzystwie postawnego mężczyzny.

Sekretarka ponownie pojawiła się w drzwiach.

- Pani dyrektor, jest pani profesor.

- Chodźmy.

W sekretariacie siedziała młoda, naprawdę ładna dziewczyna w okularach. Nie wyglądała na osobę, na której, jak to określiła dyrektorka, można by bezkarnie „jeździć”. Wstała na widok przełożonej. Zdążyła już poprawić rozmazany łzami makijaż. Wydawała się być zupełnie spokojna.

- Słyszałam, pani Ewo, że znowu ma pani problemy z trzecią B. - Pani dyrektor podeszła do nauczycielki. Anglistka była od niej wyższa prawie o głowę. - Co się stało?

- Pani dyrektor, trzecia B to trudna klasa, ale poradzę sobie - odpowiedziała nauczycielka stanowczo.

- Mam taką nadzieję, pani Ewo. Chciałabym jednak wiedzieć, o co poszło.

- Mieliliśmy utarczkę słowną z uczniami, ale tak jak powiedziałam, poradzę sobie.

Dziewczyna ewidentnie nie była materiałem na popychadło. Nie zamierzała się poddać, a to dobry znak. Tym bardziej cała sytuacja intrygowała Gawlika.

- To jest pan Adam Gawlik. - Dyrektorka wskazała na mężczyznę. - Sam był dłuższy czas nauczycielem angielskiego i zaoferował się, że pójdzie z panią na lekcję i postara się pani jakoś pomóc. Może pani oczywiście się nie zgodzić.

Anglistka zmierzyła Adama wzrokiem.

- Miło mi pana poznać - powiedziała. W jej głosie wytrawne ucho mogło wychwycić ulgę. Z całą pewnością nie zamierzała odmawiać. Nie dzisiaj, nie w stanie, w jakim się znajdowała. - Bardzo chętnie skorzystam z pomocy doświadczonego kolegi. - Spróbowała się uśmiechnąć, lecz nie wyszło jej to najlepiej.

- Czyli załatwione - stwierdziła dyrektorka. - To idźcie państwo do klasy, bo już po dzwonku.

Wyszli na korytarz. Uczniowie wchodzili do klas. Zajęcia z angielskiego odbywały się w sali na pierwszym piętrze. Weszli na schody.

- Pani Ewo - zagadnął Adam - mogę tak do pani mówić?

- Ależ oczywiście, proszę bardzo.

- Niech mi pani powie tylko dwie rzeczy. Co chciała pani dzisiaj przerabiać i jacy uczniowie sprawiają pani największe problemy

- Co ja bym chciała, to akurat najmniej ważne. Z nimi w ogóle nie da się czegokolwiek zrobić. A najgorsi są Andrzej Jontek i jego koleżka Rysiek Lebioda. Po prostu skaranie boskie z tymi chłopakami.

- Jak ich rozpoznam?

- Bardzo łatwo. Wygolone na łyso osiłki. Zresztą zdziwiłabym się, gdyby nie zaczęli od kąśliwych uwag pod pana adresem.

- Pani Ewo, umówmy się, że prowadzę dzisiaj lekcję jako pani gość. Tematem będą części ciała i trochę czasowników.

- Dobrze. Nie wiem, jak pan chce tego dokonać, ale nawet i tak podstawowa wiedza jest im obca. Proszę próbować.

W klasie panował harmider. Pozornie nikt nie zwrócił uwagi na ich wejście. Tylko pozornie. Pojawienie się obcego mężczyzny zaintrygowało uczniów, ale nie na tyle, by zaprzestać głośnych rozmów i wygłupów.

- Proszę o ciszę! - Pani Ewa starała się przekrzyczeć uczniów. - Lekcja się zaczęła.

Efekt jej wysiłków był dokładnie zerowy. Adam szepnął jej coś do ucha. Wzruszyła ramionami, wzięła krzesło i usiadła pod ścianą niedaleko wyjścia.

Gawlik stał pod tablicą. Splótł ręce na piersiach i z marsową miną wodził oczami po uczniach. Zatrzymywał wzrok na co głośniejszych. Ci, z jakichś niezrozumiałych zarówno dla siebie, jak i całej reszty powodów, ściszcali głos i przestawali rozmawiać. Nie upłynęła minuta, kiedy w klasie zrobiło się zupełnie cicho. Uczniowie patrzyli na obcego nieufnie, ale i z zaciekawieniem. Co tu robił? Kto to był? Anglistka nie wierzyła własnym oczom. Ten człowiek uspokoił rozwydrzonych wyrostków, nie wypowiadając ani jednego słowa. Nie



pomyślała wtedy, że Gawlik wykorzystał prostą zasadę psychologiczną. Był dla nich kimś nieznanym, a ludzie z reguły boją się nieznanego. Jak jeden mąż uznali, że lepiej się uciszyć i zobaczyć, co będzie się działo dalej. Tak jest po prostu bezpieczniej.

- Wasza pani profesorka zaprosiła mnie tu dzisiaj - powiedział celowo ściszym głosem - bym poprowadził lekcję na temat części ciała.

- Głośniej tam! - wykrzyknął z tylnych rzędów jeden z dwóch łysych siedzących obok siebie. Problematyczny uczeń się uaktywnił. - Nic nie słychać.

- Uczniów niedosłyszających zapraszam do przodu - rzucił głośno i wyraźnie.

Przez salę przetoczył się stłumiony śmiech. Jak widać, pozostali uczniowie woleli się nie narażać wygolonemu delikwentowi. Chłopaka w pierwszej chwili zatkało. Wstał oburzony i chciał się jakoś odgryźć, ale Gawlik pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „nie radzę”, i usadził go wzrokiem.

- Dzisiaj na lekcji nauczymy się angielskiego nazewnictwa części ciała. - Adam uznał, że może przejść do tematu.

- Damskiego czy męskiego? - Drugi łysol rzucił pytanie, czym wzbudził gromki śmiech.

- W twoim przypadku to chyba damskiego - zripostował Gawlik - ale mogę się mylić. Zabrzmiały stłumione chichoty. Nikt nie odważył się zaśmiać głośno. Natomiast łysy wesolek spąsował ze złości. Burknął coś pod nosem. - Możesz mówić głośno - zachęcił go Gawlik. - Nie musisz się bać.

- Ja się nie boję - warknął uczeń.

- Do dzisiejszej lekcji potrzebuję jakiegoś ucznia do pomocy. Zapraszam ciebie na środek.

- Mnie? - Łysy uderzył się palcem wskazującym w pierś. - Dlaczego mnie?

- Jak się nazywasz?

- Rychu, bo co?

„No to mamy Ryśka Lebiodę” - pomyślał Adam. „Czas zaczynać zabawę”.

- Chodź, Rychu. Nic ci się nie stanie.

- Nie chce mi się - odburknął uczeń. - Niech ktoś inny idzie.

- Chyba nie chcesz, żebym pomyślał, że robisz w majtki ze strachu - rzucił Gawlik wzgardliwie.

- Kto tu robi w majtki?

To był strzał w dziesiątkę. Chłopak zaciął usta i wyszedł na środek klasy. Wysoki i umięśniony. Nic dziwnego, że wzbudzał postrach wśród kolegów.

- Jest taka dzielnica Nowego Jorku, która nazywa się *The Bronx* - kontynuował Adam.  
- Dla nikogo pewnie nie jest tajemnicą, że w Bronksie wyjątkowo łatwo można dostać po mordzie. Dlatego, na wypadek, gdyby ktoś tam się miał kiedyś znaleźć, dzisiejszą lekcję oprzemy na szkoleniu wojskowym jednostek specjalnych. - Zwrócił się w stronę ucznia. - *Hit me*. Czyli: uderz mnie. *Hit me*.

- Mam pana uderzyć? - Rysiek spytał z niedowierzaniem.

- Najlepiej najmocniej, jak potrafisz.

Chłopak spojrział na klasę i uniósł znacząco brwi.

- Jak pan sobie życzy. Klient nasz pan - powiedział ze złowrogim uśmiechem.

Chłopak od jakiegoś czasu ćwiczył kickboxing i teraz nadarzała się okazja, by facetowi dać nauczkę za złośliwości pod jego adresem. W razie czego ma świadków, całą klasę. Nauczyciel sam mu kazał.

Bez ostrzeżenia wypuścił prawy prosty na twarz Adama i wtedy stało się coś zdumiewającego. Nauczyciel uchylił się, wyłapał lewą ręką przedramię Ryśka, a jego prawy łokieć zatrzymał się ledwie milimetry przed zębami ucznia. Gdyby się nie zatrzymał, Lebioda musiałby dać nieźle zarobić dentyście.

Efekt był piorunujący. Uczniowie gapili się jak urzeczeni. Gawlik demonstracyjnie zamachał łokciem.

- *Elbow, gentlemen*. Czyli: łokieć. *In the face*. - Palcem wskazującym dźgnął powietrze przed twarzą Ryśka. - Czyli: w twarz.

Adam puścił przeciwnika.

- Udało się panu - powiedział Rysiek.

- Pewnie tak. *So, we'll try once again*. Czyli: spróbujemy jeszcze raz. *Try* znaczy próbować.

Tym razem Lebioda postanowił zaskoczyć nauczyciela kopnięciem w głowę. Gawlik niczego innego się nie spodziewał po tym dość prostym młodzieńcu. Kopnięcie zostało wyprowadzone trochę zbyt wolno, ale całkiem prawidłowo. Prawie w tym samym momencie Gawlik wykonał unik i podciął delikwentowi stopę. Rychu runął na plecy z hukiem. Na szczęście dla niego podłogę stanowił parkiet. Złagodził skutki upadku. Uczeń pozbierał się.

- *I cut his foot*, czyli podciąłem mu stopę. *Cut* znaczy ciąć, podciąć, *foot* stopa.

Łysol postanowił się odegrać i zupełnie znienacka, jeszcze gdy Gawlik kończył tłumaczyć, wyrzucił kopnięcie na korpus. Adam bez trudu uniknął ciosu, usuwając się na bok. Jednocześnie wykonał obrót i podczas gdy stopa Ryśka uderzała w powietrze, on znalazł się przy nim. Kant lewej dłoni przyłożył do jego tchawicy, a prawą lekko uderzył. Uczeń stracił

oddech na kilka sekund.

- *Windpipe, gentlemen*. Czyli: tchawica. *Windpipe is very sensitive*. - Wypowiadał słowa angielskie powoli, nieomal z namaszczeniem, by wszyscy usłyszeli i daj Boże zapamiętali. - Czyli: tchawica jest bardzo wrażliwa. *As you can see*. Czyli: jak widzicie. Podejdź tu jeszcze, Rysiek. - Uczeń oddychał ciężko. Ani drgnął. Miał dosyć. - Podejdź tu. Nic ci nie zrobię. - Chłopak zbliżył się ostrożnie do Gawlika. - *Knee in the thigh*. - Adam zamarkował niezwykle bolesne, jeżeli celnie wykonane, uderzenie kolaniem w udo. - Czyli: kolano w udo. *Knee* znaczy kolano, *thigh* znaczy udo.

Wręczył Lebiodzi długopis.

- Co mam z tym zrobić? - Chłopak spojrzał na długopis podejrzliwie.

- Wyobraź sobie, że to jest nóż. Dźgnij mnie.

Lebioda skupił się. Miał ostatnią szansę jakoś się zrehabilitować. Gdyby udało mu się dźgnąć nauczyciela, jakoś wyszedłby z tego z twarzą. Pchnął błyskawicznie na wysokość podbródka Gawlika. Ten odchylił głowę, prawą ręką złapał ucznia za nadgarstek, lewą uderzył w staw łokciowy od wewnątrz. Dzięki temu poprowadził mu zaciśniętą na długopisie pięść do gardła i jednym szarpnięciem narysował mu na szyi wyraźny ślad. Odepchnął go od siebie.

- *You slit throat this way*. Czyli: w ten sposób podcina się gardło. *This way* znaczy w ten sposób, *slit* znaczy ciąć, rozciąć, *throat* znaczy gardło.

Dalsza część lekcji przebiegała w podobnym stylu. Gawlik demonstrował sztukę samoobrony i elementy wojskowych sposobów walki, jednocześnie nazywając po angielsku wszystkie części ciała. Rysiek Lebioda robił za manekina, ale Gawlik oszczędził mu dalej bólu. Klasa wpatrzona była w tego niezwyklego nauczyciela jak w obrazek. Pod koniec zajęć słownictwo zostało powtórzone wraz z poznanymi czasownikami. Trzecia B opanowała lekcję na medal. Zabrzmiał dzwonek. Uczniowie, jakby ich ktoś zaczarował, wciąż siedzieli w ławkach.

- Mam do was na koniec tylko jeszcze jedną rzecz - Gawlik zwrócił się do całej klasy.

- Pani Ewa, wasza nauczycielka angielskiego, to moja serdeczna przyjaciółka. Bardzo bym nie chciał, żeby kiedyś mi powiedziała, że z którymkolwiek z was ma jeszcze jakieś problemy. Wolałbym nie tłumaczyć takiemu człowiekowi na osobności, że źle robi, utrudniając pani profesor życie w tej szkole. Rozumiemy się?

Chłopaki jak jeden mąż kiwali potakująco głowami. Niektórzy głośno mówili: „Rozumiemy, panie profesorze”. Cel został osiągnięty.

Uczniowie wyszli na korytarz. Anglistka wstała z krzesła.

- Jak na mój gust, nie będzie już pani z nimi miała kłopotów.  
- Nie wiem, jak mam panu dziękować.  
- Cieszę się, że mogłem jakoś pomóc.  
- Może w ramach rewanżu da się pan zaprosić na kolację? - spytała z nadzieją.  
- Zaproszenie od zachwycająco pięknej kobiety. Każdy mężczyzna na moim miejscu czułby się wniebowzięty. - Podniósł prawą dłoń tak, by widać było obrączkę. - Ale ja jestem żonaty. Nic z tego.  
- Zapraszam z żoną.  
- Nie przejdzie. Moja żona jest o mnie chorobliwie zazdrosna. Uwierzyłaby pani w coś takiego?

- Uwierzyłabym, oj, uwierzyłabym.  
- Chodźmy, bo nas tu jeszcze zamkną.

Kiedy szli schodami w dół, kilku uczniów z klasy trzeciej B powiedziało im „do widzenia”, co w ich wydaniu było rzeczą wręcz niesłychaną.

\*

Gdy Adam wszedł do mieszkania, usłyszał znajome głosy dochodzące z pokoju gościnnego. Basia rozmawiała z Maciem Burdzikiem. Student wpadł pewnie zjeść przyzwoity, domowy obiad. Zajęci rozmową nie słyszeli, jak otwierał drzwi.

- ...i ona mnie wtedy pocałowała - powiedział Maciek. - Ciociu, mówię cioci, świat jest piękny. Życie jest piękne.

- Toś ty się, Maciuś, normalnie zakochał - stwierdziła Basia ze znawstwem. - Daj ci Boże szczęście.

Gawlik stanął w drzwiach.

- Cześć, student. To kiedy poznamy ten ideał?

Maciek był wyraźnie skonsternowany i speszony. Poczł się dziwnie. Uważał romantyczne uniesienia za trochę niemęskie, a z pewnością nie chciał w oczach wuja uchodzić za mięczaka. Ciotka to zupełnie co innego. Była niezwykłą kobietą. Zawsze potrafiła wysłuchać, doradzić. Znała go chyba lepiej niż jego własna matka. W końcu często u nich bywał w czasach szkoły średniej w Żarach.

- I się nam Maciuś zakochał - zakomunikowała Basia mężowi.  
- A tam, zaraz zakochał - bronił się chłopak. - Spotykam się z fajną dziewczyną i tyle.  
- Bo wiesz, jak się wujek we mnie kochał, to na zabój. Jak mu kiedyś powiedziałam, że się zastanowię, czy za niego wyjść, to powiedział, że sobie w łeb strzeli.  
- Poważnie? - Maciek rzucił wujowi badawcze spojrzenie.

- Nie słuchaj, chłopie - odparł Gawlik. - Ciotka wymyśla.

- A co, w parku, nie pamiętasz, mój drogi mężu?

Basia roześmiała się w głos, widząc jego zmieszanie.

- Daj spokój, żona. Takie tam wygłupy. Chłopakowi w głowie mącisz.

- Maciuś, nie ma się czego przed wujkiem wstydzić. Przydarzyła ci się najpiękniejsza rzecz w życiu. Ciesz się tym. - Basia wstała z fotela. - Poczekajcie, zaraz was nakarmię, chłopaki.

Wyszła do kuchni.

- Nie czekamy na dzieciaki? - spytał ją Adam.

- Trochę później dzisiaj wrócą ze szkoły, a Frania Jadzia odbiera z przedszkola i zabiera do rynku. Jakies imprezy dla dzieci organizują - odpowiedziała z kuchni.

- To kiedy? - zwrócił się do Maćka i rozparł się wygodnie na kanapie.

- Co kiedy?

- Poznamy wybrankę twojego serca.

- Oj, nie wiem.

- Musisz ją do nas przyprowadzić. Ciotka dobry obiad zrobi, obejrzymy sobie dziewczynę i ocenimy, czy do ciebie pasuje.

- Jak tak, to w ogóle jej nie przyprowadzę - stwierdził młody człowiek. - Nie będzie żadnego oceniania. To moja dziewczyna, nie wuja.

Basia weszła do pokoju z talerzami.

- Nie słuchaj go, Maciuś - powiedziała, rozkładając naczynia na stole. - Stary pierdziel ma się nie wiadomo za co. - Posłała mężowi protekcyjny uśmiech. - Siadaj do stołu, koneserze damskiej urody z bożej łaski.

Gawlik poderwał się z kanapy. Żołądek bolesnym ssaniem domagał się swoich praw.

## ROZDZIAŁ 12

### *Monachium, Niemcy*

Państwowe liceum mieściło się w okazałym, nowoczesnym budynku na peryferiach miasta. Furtka wejściowa w wysokim na jakieś trzy metry płocie prowadziła do budynku przez doskonale utrzymany dziedziniec z klombami kwiatów po obu stronach drogi. Max Fausten siedział na drewnianej ławce przy skwerku, pod wielkim platanem po drugiej stronie ulicy. Rzucił okiem na tarczę zegarka. Było wpół do dwunastej. Przedpołudnie, więc kolorowo ubrana nastoletnia młodzież wchodziła i wychodziła ze szkolnego budynku na dziedziniec i ulicę. Przed szkołą grupka młodych ludzi rozprawiała głośno. Słychać było wybuchy spontanicznego śmiechu. Ze szkoły wyszła kobieta w średnim wieku i zaczęła coś tłumaczyć uczniom. Skupili się wokół i słuchali uważnie.

Max przestał zwracać uwagę na wydarzenia po drugiej stronie ulicy. Wyciągnął z niewielkiego plecaka lokalny dziennik i zaczął go przeglądać. Miał jeszcze czas. Zagłębił się w lekturze gazety. Sprawiał wrażenie przyjeźdnego, który przysiadł, by odpocząć chwilę, zanim znowu zacznie szukać ciekawych miejsc do zwiedzania.

Za dziesięć dwunasta złożył gazetę i wrzucił ją do kosza na śmieci stojącego przy ławce. Czekał. Dostrzegł wychodzącą zza rogu postać nastolatka ubranego w długi, czarny, skórzany płaszcz - raczej niezbyt adekwatny strój, biorąc pod uwagę panującą słoneczną aurę. Mężczyzna oparł się wygodnie i nie spuszczał z nastolatka wzroku. Patrzył, jak wchodzi na dziedziniec, który w międzyczasie zapełnił się niewielkimi grupkami licealistów obojga płci. Musieli mieć jakąś przerwę w zajęciach.

Nastolatek w płaszczu sprawnym ruchem wydobył zza poły okrycia strzelbę typu Mossberg, zwykle używaną przez formacje specjalne do przestrzeliwania zamków w drzwiach, i bez ostrzeżenia wypalił stojącej najbliżej dziewczynie prosto w twarz. Siła uderzenia naboju śrutowego ołowianego rzuciła jej ciało dwa metry do tyłu. Upadła na plecy. Z jej głowy niewiele zostało. Krwią obryzgała dwóch stojących obok chłopaków. Pozostali uczniowie mimo szoku padli na ziemię lub rozbiegli się z krzykiem na wszystkie strony, dziewczyny piszczały jak oszalałe. Nastolatek zdążył jeszcze wymierzyć w uciekającego chłopaka i celnym strzałem w plecy pozbawił go życia. Zachowując stoicki spokój, wszedł do

budynku. Ci z pośród licealistów, którzy leżeli na starannie przystrzyżonym trawniku, zerwali się na równe nogi i popędzili na złamanie karku w kierunku furtki. Tłoczyli się do wyjścia w panice, zgniatając się wzajemnie. Tymczasem z budynku dobiegł odgłos kolejnych dwóch strzałów i wrzask śmiertelnie przerażonych ludzi. Max Fausten, całkowicie niewzruszony, przyglądał się rozgrywającym się naprzeciwko wydarzeniom. Kilku uczniów wykrzykiwało do swoich telefonów komórkowych, nerwowo i chaotycznie zdając relację z odbywającej się właśnie niemal na ich oczach masakry. Ci, którym udało się zachować trzeźwość umysłu, wzywali policję.

Max wstał z ławki i oddalił się przezornie w głąb skweru, ale niezbyt daleko, by mieć dokładny ogląd sytuacji. Upłynęły jakieś trzy minuty, zanim pojawił się pierwszy wóz policyjny. Potem drugi, trzeci i czwarty. Zaraz po nich z piskiem opon zatrzymała się półciężarówka, z której wysypali się antyterrorysty. Ich dowódca zadał kilka konkretnych pytań jednemu z licealistów. Natychmiast potem pobiegli w stronę wejścia do szkoły, z której dobiegły jeszcze dwa strzały. Brygada antyterrorystyczna weszła do środka. Max policzył w myślach: dwa strzały na dziedzińcu i cztery w środku. Chłopakowi został jeszcze jeden nabój. Postać młodzieńca w czarnym płaszczu pojawiła się w oknie jednego z pomieszczeń klasowych na parterze. Zamachowiec przyłożył lufę strzelby do brody i pociągnął za spust. Górna część jego głowy eksplodowała.

Max Fausten pokiwał głową. Więc jednak. Wszystko poszło dokładnie tak, jak tego oczekiwał, on i pewni ludzie na Syberii, będący niejako twórcami tego wydarzenia.

- Co pan tu robi? - Mężczyzna usłyszał za sobą ostry głos.

Odwrócił się. Przed nim stał policjant.

- Panie oficerze - starał się udawać rozgorączkowanie - tam... - wskazał palcem szkołę - tam jest morderca. Zabija uczniów.

- Proszę stąd natychmiast odejść - rozkazał policjant surowo. - Tam stoi radiowóz. Niech pan idzie i poda swoje dane osobowe. Zostanie pan wezwany w celu złożenia zeznań.

- Tak jest, panie oficerze. Oczywiście. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Taka tragedia.

- No już, niech pan idzie.

- Tak, tak.

Max posłusznie ruszył we wskazanym kierunku, lecz uszedł zaledwie kilkadziesiąt kroków i gdy zobaczył, że policjant się odwrócił, skręcił gwałtownie i pośpieszył w stronę pełnego gwaru centrum miasta. Po drodze wyciągnął telefon i wystukał na klawiaturze numer.

- Mów - zabrzmiał w słuchawce głos Witalija Jakuszyna.

- Już po. Wszystko poszło jak po maśle. Lepiej, niż się spodziewaliśmy.

- Czyli?

- Ten gówniarz zadziałał jak rasowy morderca. Przyszedł ze strzelbą gładkolufową i najspokojniej w świecie walił do uczniów jak do kaczek. Potem oczywiście palnął sobie w łeb.

- Czy to coś oznacza?

- To niestety jeszcze nic nie oznacza, a w każdym razie niewiele. - Max skrzywił się. - Obiekt testu miał wyjątkowo słabą konstrukcję psychiczną. Niezwykle wrażliwy dzieciak. Fanatyk gier komputerowych online. Potrafił spędzić przed monitorem nawet dziesięć godzin bez przerwy. Nie sądzę, żeby nam się udało ten sukces powtórzyć kiedyś w normalnych warunkach.

- Jak długo nad nim pracowaliście?

- Jakiś miesiąc pełna inwigilacja, potem nasi genialni pseudonaukowcy włamali mu się do komputera i karmili go naszym wynalazkiem opartym na przekazie podprogowym o wiadomej treści.

- Dobra, Max. Zabieraj się stamtąd. Za trzy dni czekaj na mnie na Syberii. Jeszcze raz, dla pewności, gdzie się widzimy?

- Magadan.

- A stamtąd do naszej „kwatery głównej”?

- Jest śmigłowiec. Inaczej się nie da.

- Czyli faktycznie odludne miejsce?

- Czasem się jakichś Czukczów spotka, ale rzadko... Poza tym to tylko niedźwiedzie i może tygrysy syberyjskie.

- Tak jak powiedziałem: za trzy dni w Magadanie. Czas, by organizacja zaczęła zarabiać pieniądze. Na razie.

Witalij Jakuszyn rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Max popatrzył na karetkę pędzącą na sygnale do liceum. Wyglądało na to, że nie wszyscy zginęli od strzałów zamachowca. Zatrzymał się na przystanku. Kiedy podjechał autobus miejski, mężczyzna spojrzął za siebie i wsiadł, przepuszczając starszą kobietę przed sobą.



## ROZDZIAŁ 13

*Magadan, Syberia, Rosja*

Śmigłowiec z dwoma pasażerami, Rosjaninem i Niemcem, poderwał się w powietrze. Potrzebował zaledwie kilkunastu minut, by znaleźć się nad zalesionymi obszarami północno-wschodniej Syberii. Mijali ostatnie osiedla ludzkie. Najpierw lecieli w stronę górnej części Kamczatki, lecz gdy zbliżyli się do morskiej linii brzegowej, pilot skręcił na północ. Poniżej rozciągało się dzikie, skalisto-leśne pustkowie.

- Jak tam sprawy? - spytał Max, łypiąc na Jakuszyna.

- Dogadałem się z Czuczynem. Mamy spokój na działania w Federacji Rosyjskiej.

- Ten Czuczyn, o którym myślę?

- Rosyjska mafia.

- Jasna cholera. Jak się go udało skaptować? - Max był wyraźnie pod wrażeniem.

- Mieliliśmy wspólny interes.

- Niech zgadnę, ten interes nazywał się Mikulin...

- No widzisz, jakie czasem życie jest proste.

- To teraz jesteśmy w Rosji nie do ruszenia.

- Czuczyn dał słowo.

- A nowa tożsamość? Jak się teraz szefie nazywasz?

- Obywatel amerykański, Robert Lee.

- Hmm. - Max mruknął pod nosem. - Jak ten generał armii południowców z wojny secesyjnej.

- Coś ci się nie podoba?

- Nie, dlaczego? W sumie dobrze, że nie Bruce Lee. Mogłoby się zbyt rzucić w oczy - stwierdził ze śmiertelnie poważną miną.

Rosjanin spojrzał na niego spode łba. Tolerował jego żarciki tylko dlatego, że niezwykle cenił jego umiejętności organizacyjne i wiedzę wojskową wyniesioną z czasów służby w niemieckich elitarnych oddziałach GSG 9.

- Wiesz, Max, tak sobie myślę, że kiedyś cierpliwość mi się skończy i jak ci odwinę w tę niemiecką facjatę...

- Za co, szefie?

- I przestań, do cholery, mówić do mnie szefie! Co ci do łba strzeliło?

- Dobra, wyluzuj. Sorry za głupie żarty - powiedział Max ugodowo. - A co na to wszystko Ruscy? Pobudowaliśmy się na zadupiu, ale jakby nie było - to ich tereny.

- Jest taki generał. Nazywa się Władimir Iwanow. Coś w rodzaju szarej eminencji na Kremlu.

- Szara eminencja na Kremlu? To w ogóle możliwe? O ile wiem, prezydent to władca absolutny, prawie jak car. - Max mówił z powątpiewaniem.

- I tak jest w istocie. Ale tak jak wszędzie, wszystko rozbija się o układy i pieniądze. Prezydent go lubi i ceni. To weteran z Afganistanu, bardzo się przyłożył do rozwoju rosyjskich jednostek specjalnych. Nawiasem mówiąc z doskonałym skutkiem. I tak właśnie Iwanow ma układy, my mamy pieniądze. Problemy zaczynają nagle cudownie znikać.

- To znacie z dawnych czasów - zauważył Niemiec.

- Poniekąd.

- Iwanow? Coś mi to cholera mówi.

Witalij zmrużył oczy i spojrzał w okno.

- Bo powinno.

- To znaczy?

- Bo to mentor pewnego porucznika Polaka, Gawlika, którego trzeba mi znaleźć.

- Aaa, rzeczywiście. Pana porucznika, z którym żeście afgańską ludność cywilną przerabiali na mielonkę. Patrz, jaki ten świat mały.

- Nie ludność cywilną, tylko bandytów wspierających Mudżahedinów. To nie to samo, panie Niemiec.

- Tak, tak. Oczywiście - przyznał nieszczercze Fausten. - Przejęczyłem się. Domyślam się, że porucznikiem trzeba by się zająć... Jakies specjalne polecenia?

- Jak przyjdzie czas, sam się nim zajmę. Ty mi go tylko znajdź.

- OK. Jeszcze sprawa Duboisa. To jest nabytek. Klasyczny gatunek młodych wilków. Wygłodniały sukcesu. Inne pokolenie. Tylko że warto by było kopsnąć się do Stanów i go wyciągnąć. Jak go mafia dorwie, nie będzie co zbierać. O ile już go nie dorwali.

- Dobra. Jutro lecimy do Nevady. Mówiłeś, że tam jest, tak?

- Tak twierdzi informator. Zobaczymy.

Dwie godziny później śmigłowiec lądował na płaskim skalistym terenie, otoczonym gęstymi drzewami, głównie iglastymi. Pasażerowie wysiedli, a maszyna natychmiast wzbiła się w powietrze i poleciała dalej na północ. Na zaimprovizowanym lądowisku czekało na

nich trzech ludzi. Mieli na sobie ciepłe kurtki i futrzane czapki. Zbliżyli się szybkim krokiem do przybyszów. Rosjanin i Niemiec jak na komendę postawili kołnierze swoich długich płaszczy. Max dokonał krótkiej prezentacji.

- To jest profesor Olaf Schulz. - Fausten wskazał wysokiego mężczyznę w średnim wieku, z wydatnym orlim nosem, osadzonym na wysuniętej do przodu twarzy, zaprzeczenie idei czystego Aryjczyka propagowanej przez jego przodków. - SzeFUje naszemu projektowi. - Witalij nie podał mu ręki. Jedynie skinął głową na przywitanie. - A to jego zastępcy, doktor Hiroshi Oguchi - Japończyk uklonił się przepisowo - i doktor Vittorio Pistarelli. - Włoch uśmiechnął się przyjaźnie.

- No to mamy pakt osi. - Witalij skwitował żartem zestawienie narodowości, nawiązując do sojuszu Niemiec hitlerowskich, Japonii i Włoch przed i podczas II wojny światowej. Jednak silniejszy podmuch wiatru zagłuszył jego słowa, lecz gdy cała czwórka nadstawiła uszu, czekając, aż powtórzy, Rosjanin pokręcił głową. - Nie, nic ważnego.

Max stał najbliżej i usłyszał dowcipny komentarz szefa. Skrzywił się. Takie żarty nie zjednują sobie ludzi. Szczególnie tak przewrażliwionych na swoim punkcie jak naukowcy.

Wiał mroźny wiatr skutecznie utrudniający rozmowę na zewnątrz. Możliwa była tylko wymiana podstawowych informacji.

Witalij rozejrzał się. Szukał choćby śladów ich kompleksu naukowo-badawczego. Spodziewał się, że obiekty będą dobrze ukryte, ale nie, że aż tak. Profesor Schulz nie zamierzał trzymać Jakuszyna w niepewności. Nacisnął przycisk pilota. W odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów od nich otworzył się prostokątny właz, doskonale zamaskowany porastającymi jego górną część krzakami i kępami skarłowaciałej trawy. Odsłonił szerokie betonowe schody biegnące dość stromo w dół. Właz zamknął się zaraz za nimi, gdy weszli do jasno oświetlonego korytarza prowadzącego do przestronnej sali. Panowało tam oświetlenie dzienne za sprawą licznych światłowodów sięgających powierzchni ziemi. Człowiek miał wrażenie, że w suficie zainstalowano okna. Pomieszczenie pełne było stanowisk komputerowych, przy których siedzieli ludzie w różnym wieku, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Ubrani byli dość niedbale, momentami wręcz ekstrawagancko, ale Witalijowi nie trzeba było tłumaczyć, że najlepsi specjaliści komputerowi na świecie z wyglądu nie mają nic wspólnego ze stereotypem szacownego naukowca. Nikt nie zwracał na nich większej uwagi. Ot, przyszło kilku nowych.

Witalij spojrzał na Maksa i skinął znacząco głową. Włoch i Japończyk udali się tymczasem do swoich zajęć.

- Poprosimy o prezentację, profesorze. - Fausten zwrócił się do rodaka.

- Oczywiście - podchwycił Schulz. - Cały kompleks jest ulokowany pod ziemią. Nie ma szans na wykrycie przez jakiegokolwiek satelity szpiegowskie. Poza tym wiemy, kiedy się pojawiają na niebie. Na powierzchni mamy tylko anteny satelitarne i końcówki światłowodów, zapewniających nam oświetlenie.

- Zasilanie? - spytał Rosjanin.

- Energię czerpiemy ze źródeł geotermalnych. Pod tym względem jesteśmy całkowicie samowystarczalni. Kompleks obejmuje kilka części. To, co tu widzimy, to część robocza. Tu się pracuje. Mamy też część mieszkalną i jadalną. Każdy z pracowników ma swój osobny pokój, umeblowany dokładnie według życzeń. Kadre rekrutowaliśmy na całym świecie. Są tu ludzie często o dość wątpliwej reputacji, ale o niezwykłych umiejętnościach i wiedzy, często amatorzy, niemający nic wspólnego ze światem nauki, za to z wyrokami zabraniającymi zbliżania się do komputera, za hakerstwo. Dla świata wyrzutki, dla nas niezwykle cenny narybek.

Podeszli do jednego ze stanowisk, przy którym siedziała może dwudziestoletnia dziewczyna ubrana całkowicie na czarno na styl Gothic. Jej jaskrawozielona, postawiona na sztorc fryzura wyjątkowo ostro kontrastowała z resztą ubioru. Widząc stojących przed sobą mężczyzn, przeciągnęła się jak kocica i głośno wypluła gumę, która wylądowała kilka metrów za jej monitorem. Popatrzyła na mężczyzn z lekkim niesmakiem i wyższością.

- To jest jedna z naszych najzdolniejszych pracownic, Swietłana Malenko.

Rozparła się wygodnie w fotelu. Spojrzała pytająco na profesora. Schulz skinął głową.

- Opracowałam wirusa, którego instaluję po włamaniu się do danego komputera. Jest jak na razie praktycznie niewykrywalny i nieusuwalny. Ściąga nasze pliki z przekazem podprogowym. Taką sztuczkę możemy zrobić z wieloma komputerami jednocześnie i teoretycznie doprowadzić na przykład do zamieszek w danym kraju.

- Dlaczego teoretycznie? - spytał Witalij.

- Bo jeszcze tego nie próbowaliśmy - odpowiedziała Swietłana nonszalancko. - Jak spróbujemy, to teoretycznie zamieni się na praktycznie.

- Kto zajmuje się opracowaniem przekazu podprogowego? - Rosjanin spojrzał na profesora. - Też ona?

Swietłana wydeła usta zniesmaczona. Mówienie o niej per „ona” w jej obecności było irytujące. Rosjanin nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Cała trójka poszła dalej.

- Tym zajmuje się zespół pod kierunkiem doktora Oguchi.

- Twierdzi pan, profesorze, że przekaz jest niewykrywalny, tak? - Rosjanin co jakiś czas zatrzymywał wzrok to na jednym, to na drugim stanowisku komputerowym.

- Właściwie tak - odpowiedział Schulz niepewnie.

- Właściwie?

- Na dzisiaj jest niewykrywalny, ale na każdą broń w końcu pojawi się antybroń. Cała sztuka w tym, żeby ludzie, którzy są w stanie nam zaszkodzić, nie dowiedzieli się, z czym mają do czynienia. Staramy się dokładnie sprawdzać, do kogo wysyłamy naszego wirusa.

- Skuteczność?

- Nie do końca przewidywalna. Incydent w Monachium to był spektakularny sukces, myślę, że jak na razie nie do powtórzenia. Ale można z dosyć dużą dozą pewności założyć możliwość manipulowania tłumem i solidnego wpływania na decyzje poszczególnych jednostek. Coś jak reklama, tylko nieporównywalnie bardziej skuteczna. Najciekawsze jest to, że człowiekowi wydaje się, że sam podejmuje całkowicie niezależną decyzję. Tym sposobem mamy naprawdę duże pole manewru.

- Wszyscy ludzie są na to podatni?

- Przede wszystkim ci, którzy spędzają stosunkowo dużo czasu przed komputerem. Ale nie da się manipulować osobami wyjątkowo silnymi psychicznie. Takimi, które na przykład potrafią oszukać wariograf, a takich trochę jest. Tyle że, biorąc pod uwagę nasze potrzeby, to problem o znaczeniu marginalnym.

- Marginalnym? A głowy państw? Decydenci? To jednak silne osobowości. Nie powiem, żebyśmy się mogli obejść bez wpływu na takich ludzi.

- I tu się pan myli. Zdziwiłby się pan, jak słabe psychicznie są te tak zwane „silne osobowości” stojące u steru rządów. Tego problemu bym się akurat nie obawiał.

- Skąd taka pewność?

- Z życia. Mam doktorat z psychologii.

- Oby się pan nie mylił, profesorze.

- Nie myślę się. Z pewnością nie w tej kwestii.

- Niech pan jeszcze powie szefowi o pierwszym sukcesie - zachęcił naukowca Max.

- Nie jesteśmy w stanie niezaprzeczalnie stwierdzić, czy to był na pewno nasz sukces.

- Profesor miał opory.

- Proszę mówić, profesorze.

- Parę lat temu przeprowadziliśmy pewien eksperyment z przekazem podprogowym na bardzo dużą skalę. W jednym z krajów Europy Środkowej odbywały się wybory prezydenckie. Jeden z kandydatów dość wyraźnie prowadził w sondażach. Niepostrzeżenie dla nikogo opanowaliśmy sieć na znacznej części terytorium państwa. Wysłaliśmy nasz program. Użytkownicy komputerów dostawali przekaz, by głosować na drugiego kandydata.

Tego, co w sondażach przegrywał. W dniu wyborów okazał się zwycięzcą.

- Coś pięknego. Czyli można wpływać na to, kto będzie rządził danym krajem? - Rosjanin wyraźnie się zainteresował.

- Tak jak powiedziałem, to na razie tylko teoria. Nie da się tego zweryfikować. Może tak, może nie. Jeszcze nie wiemy.

- No to wypadałoby się dowiedzieć.

- Oczywiście - zapewnił go Schulz. - Pracujemy nad tym. To tylko kwestia czasu.

- Mam nadzieję, że niedługiego czasu.

Przeszli do pomieszczenia wyglądającego jak centrum sterowania pracą średniej wielkości elektrowni. Ściany były zabudowane pulpitemi i ekranami z tysiącem światełek migających różnymi kolorami. Przy każdym z trzech pulpitów siedziały dwie osoby. W sumie czterech mężczyzn i dwie kobiety. Dwoje z nich odwróciło się, by zobaczyć, kto przyszedł. Pozostali, całkowicie pochłonięci pracą, nie zwrócili na przybyszy najmniejszej uwagi.

- Mam wrażenie, że przenieśliśmy się kilkadziesiąt lat w przeszłość. - Witalij wyraził głośno wrażenie, jakie zrobiło na nim pomieszczenie.

- Nic bardziej błędnego - powiedział profesor. - Tutaj osiągnęliśmy szczyt technologicznej myśli wojskowej. Nam udało się to, nad czym już od wielu lat pracują najtęższe - tu Niemiec wykonał charakterystyczny gest palcami oznaczający cudzysłów - głowy. Stacjonarny generator impulsu elektromagnetycznego, a w pomieszczeniu obok trwa produkcja bomby elektromagnetycznej, o mocy znacznie przewyższającej dokonania światowych technologii. No i mamy wreszcie supernowoczesne działo elektromagnetyczne. Z tego miejsca się nim steruje. Kilka przełączników i wysuwa się na powierzchnię gotowe do strzału. Coś, za co światowe mocarstwa dałyby się pokrajać.

- Hm, interesujące. - Witalij wyduł usta. - Powie nam pan coś więcej, profesorze?

- Chodzi o to, że znacząca większość współczesnych urządzeń jest bardzo podatna na impulsy wysokonapięciowe. Miedziane połączenia w okablowaniach, radary, satelity i wszelkie inne urządzenia wykorzystywane w wojskowości, czy też w życiu codziennym. Cała idea polega na tym, że na przykład taka bomba elektromagnetyczna wysyła bardzo krótką, nieprzekraczającą milionową część sekundy, niesamowicie silną falę elektromagnetyczną, która z uwagi na jej długość zawiera się w zakresie mikrofal. Taka fala rozchodzi się w przestrzeni i niszczy wszelkiego rodzaju urządzenia elektroniczne. Amerykanie podobno już mają bombę elektromagnetyczną o promieniu rażenia około pięciuset metrów. Nasza bomba, nie dość, że zminiaturyzowana, może być przenoszona w pocisku wystrzeliwanym z działa elektromagnetycznego, ma promień rażenia wielokrotnie większy. Sami jeszcze nie wiemy,

jaki dokładnie.

- A to działa? Może pan powiedzieć coś więcej?

- W lufie są dwie zasilane prądem szyny. Obwód wyzwala silne pionowe pole magnetyczne normalnie wyrzucające pocisk z prędkością 8 Macha, czyli ośmiokrotnie przekraczającej barierę dźwięku. My uzyskaliśmy jeszcze lepszą prędkość. Zasięg dział amerykańskich to mniej więcej trzysta mil morskich, czyli jakieś pięćset pięćdziesiąt pięć kilometrów.

- Zasięg naszego?

- Nasze może bez problemów wynieść ładunek na orbitę okołozemską. Poza tym udało się nam rozwiązać problem erozji szyn, która powodowana jest powstaniem plazmy na powierzchni styku pocisku z szynami. Amerykanie muszą szyny wymieniać po kilku strzałach. My nie. Ale wracając do impulsu elektromagnetycznego, teoretycznie istnieje tu poważne ograniczenie, bo, jak powiedziałem - teoretycznie, urządzenia można zabezpieczyć, po prostu je ekranując. Takie choćby okręty elektronikę mają wewnątrz stalowego kadłuba.

- Powiedział pan: „teoretycznie”?

- Tak. Ponieważ nasza broń elektromagnetyczna radzi sobie z wszelkimi obecnie dostępnymi ekranami - powiedział profesor z nieukrywaną dumą.

- Czyli, tak z praktycznego punktu widzenia, czym dysponujemy?

- Odpowiednio silny impuls elektromagnetyczny niszczy wszelkie urządzenie zasilane prądem. Na ziemi, w wodzie i w powietrzu. Proszę sobie wyobrazić potencjalny atak myśliwców. Zostają zniszczone, zanim do dotrą celu. To samo z innymi rodzajami lotnictwa, z bombami kasetowymi i wszelką inteligentną bronią. Gdyby Irakijczycy mieli tę broń, Amerykanie nic by nie zwojowali w Iraku. Ich przewaga opiera się na technologii, a ściślej mówiąc - na elektronice. Przykładowo, takie nasze działo elektromagnetyczne przenoszące bomby tę przewagę niweluje do zera. Nagle mogłoby się okazać, że amerykańska armia jest jedną z najsłabszych na świecie, bo liczyłaby się waleczność żołnierza, a nie umiejętność wykorzystania zaawansowanego technologicznie sprzętu.

- To jest gotowe do użytku?

- W pełni. Pracujemy jeszcze tylko nad zasięgiem. Ale to już tylko drobne szczegóły techniczne.

- Czyli mówi pan, profesorze, że można tym unieszkodliwić na przykład samolot?

- Bez najmniejszych problemów. Chyba że jest napędzany siłą ludzkich mięśni. - Profesor Schulz roześmiał się ubawiony własnym żartem.

Wyszli z sali i znaleźli się w części mieszkalnej. Wystrój wnętrza przypominał wygląd

całkiem przyzwoitego parterowego hotelu. Było elegancko, czysto i przytulnie. W żaden sposób nie odczuwało się niedogodności życia pod ziemią.

Szli po miękkim czerwonym dywanie przestronnym korytarzem. Profesor prowadził ich do pokoi gościnnych.

- Ilu mamy wszystkich ludzi? - Witalij zadał kolejne konkretne pytanie.

- Łącznie z kucharzami i konserwatorami dwadzieścia cztery osoby.

- Skąd żywność?

- W ogromnej większości dostawy drogą morską z Japonii. Poza tym utrzymujemy kontakty z rdzennymi mieszkańcami tych stron, Czukczami. Naturalnie w rozsądnych granicach. Czasem kupujemy od nich świeżo upolowaną dziczyznę. Zawsze to jakaś odmiana.

- Nie jest to zbyt lekkomyślne?

- Nie. Czukcze wiedzą, że bywają tu jacyś ludzie, ale skąd i po co, zupełnie ich to nie obchodzi. Nie sądzę, by domyślili się, że ktoś tu przebywa na stałe. Właściwie to nawet gdyby, nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Spokojny ludek żyje własnym życiem.

- Spokojny? Historię mają dość ciekawą - zauważył Jakuszyn.

- Ma pan na myśli ich wypadły na Alaskę po niewolnice?

- Chociażby.

- Ludy prymitywne, prymitywne w naszym mniemaniu, mają czasem szokujące dla nas obyczaje.

- O co chodzi z tymi wypadami? - spytał Max.

- W dziewiętnastym wieku Czukcze wyprawiali się na Alaskę po kobiety - pośpieszył z wyjaśnieniem Schulz. - Porywali je i wykorzystywali następnie jako niewolnice seksualne, na których wprawiało się w sztuce miłości ich młode męskie pokolenie. Szczególnie upodobali sobie czarne kobiety, protoplastki dzisiejszych Afroamerykanek. Żywili i traktowali je znacznie lepiej niż inne niewolnice.

- Ciekawi ci nasi sąsiedzi - skomentował wyjaśnienie Rosjanin.

Weszli do pierwszego pokoju gościnnego. Gdyby nie brak okien, pod względem wyposażenia nie różniłby się niczym od apartamentu hotelowego. Witalij Jakuszyn musiał przyznać, że Max, który osobiście nadzorował budowę kompleksu, spisał się doskonale.

- Panie profesorze, spytam jeszcze o rzecz prozaiczną. - Witalij odwrócił się do Niemca. - Domyślam się, że na dłuższą metę trudno im tu wytrzymać. Kompletne odludzie, psychika może siadać. Jak sobie dajecie z tym radę?

- Mniej więcej raz na tydzień zapewniamy im transport powietrzny do Japonii. Wymiennie, połowa w ten weekend, połowa w następny. Najbliżej jest Sapporo. Tam mogą



naładować baterie. Działa bez zarzutu.

- Widzę, że pomyśleliście o wszystkim.

- Staramy się.

- Dziękuję, profesorze - powiedział Witalij. - Może pan wracać do pracy. To wszystko. - Schulz opuścił pomieszczenie bez słowa.

- I jak wrażenia? - spytał Fausten.

- Nieźle. Całkiem nieźle - odpowiedział Witalij beznamiętnie.

- Nieźle? Chyba żartujesz. Masz tutaj możliwości, o których Zachód może tylko pomarzyć, i ty mówisz „nieźle”?

Rosjanin zamyślił się. Wydawał się nie słyszeć uwagi Faustena.

- Z tym przekazem podprogowym pracujecie teraz nad kimś konkretnym?

- Różnie. Politycy, ale nie głowy państw. Ci za mało czasu spędzają przed komputerem, żeby ich skutecznie do czegoś urobić. Ministrowie ważniejszych krajów, ludzie biznesu, wszelkiego rodzaju decydenci... Jest tego trochę. A co?

- Z jakim skutkiem?

- Też różnym. Zależy, co potrzebujemy. A w ramach ciekawostki to ci powiem, że mamy na widelcu nawet jednego barona narkotykowego z Kolumbii. Jaja, nie?

- Barona narkotykowego, mówisz? - Witalij wykazał zainteresowanie. - Jak się nazywa?

- Nie wiem. Nie pamiętam w tej chwili. Ernesto... jakiś tam. Jak chcesz, mogę sprawdzić.

- Sprawdź. Pozbieraj informacje o innych baronach i załatw jakiś kontakt. Może uda się z nimi ubić jakiś interes.

- Zrobi się. Coś jeszcze?

- Wyśpij się, Max. Jutro jedziemy do Stanów. Może trzeba będzie popracować.

- Jakby co, to jestem za ścianą.

Witalij Jakuszyn został sam. Usiadł w wygodnym fotelu. Jeszcze raz rozejrzał się wokół. Czyli zaczęło się. Jeszcze jedno wyzwanie rzucone cywilizowanemu światu. Rozpoczął niniejszym śmiertelnie niebezpieczną grę. Ostatnio udało mu się cudem ujść z życiem. Tym razem, jeśli coś pójdzie nie tak, nie będzie mógł liczyć na szczęśliwie zrządenie losu.

## ROZDZIAŁ 14

Basia weszła do mieszkania. Zdjęła eleganckie buty na wysokim obcasie. Zmęczone i obolałe stopy odetchnęły. Wsunęła na nogi wygodne domowe pantofle bez pięt.

- Jest tam kto? - zawołała z przedpokoju.

O tak wczesnej porze w domu mógłby być tylko mąż. Dzieciaki jeszcze w szkole. Franek do odbioru z przedszkola dopiero po obiedzie. Adam wyszedł z pokoju z gazetą w ręku. Złapał żonę wpół i przyciągnął do siebie. Złożył na jej ustach namiętny pocałunek, nie zważając na element makijażu, który natychmiast stracił swoją doskonałość.

- Wyglądasz zabójczo, kochanie - powiedział, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

Miał rację. Mimo wieku Barbara Gawlik była wciąż bardzo atrakcyjną kobietą. Gustownie ubraną i ogólnie zadbaną. Nie bez znaczenia była tu jej profesja. Współczesna kosmetologia, którą się już od lat zajmowała i pasjonowała, potrafiła dokonać cudów z urodą kobiety.

- Możesz mi tak mówić codziennie.

- Jesteśmy sami, więc może by tak zająć się trochę sobą...

- Bardzo chętnie, mężu. Ale tylko patrzeć, jak dzieci się zaczną schodzić. Chyba nie chciałbyś, żeby nas przyłapano w niedwuznacznej sytuacji. Musisz poczekać do wieczora, a wtedy...

- Mówiłem ci, że cię kocham?

- Dzisiaj jeszcze nie.

- No to ci mówię teraz.

- Ja ciebie też, mój mężczyzno. - Zajrzała mu głęboko w oczy i pogłaskała go po policzku. - Powiedz, co jemy dzisiaj na obiad.

Położył gazetę na szafce w przedpokoju, wziął ją za rękę i zaprowadził do kuchni.

- Indyk w sosie imbirowym Kung Pao - powiedział z dumą.

- Chińskie eksperymenty?

- Spróbuj.

Podał jej łyżkę stołową. Zanurzyła jej koniuszek w daniu na patelni i posmakowała.

- Ee, rzeczywiście niezłe. Ty, mąż, zdolny jesteś. Kasia lubi orientálną kuchnię, ale Michałek może nie docenić twoich talentów.

- Dla Michałka zrobi się makaron z serem i cynamonem. Będzie zachwycony.

- No, no. Taki mąż to skarb. A głodna jestem jak wilk.

- Poczekajmy na dzieci. Zjemy razem jak normalna rodzina. Może być?

- Może. Poczekaj, tylko się przebiorę. - Poszła do sypialni zmienić eleganckie ubranie wyjściowe na coś lżejszego. - A co tam w gazetach piszą?

- Jak zwykle: *Bad news is good news*<sup>2</sup>. Głównie nieszczęścia, wojny i katastrofy. Czytałem o chłopaku w Monachium. Licealista. Przyszedł do szkoły ze strzelbą. Strzelał do kolegów, nauczycieli, do kogo popadło. Prawdziwa jatka. Policja podejrzewa, że to efekt gier komputerowych online. Dobrze, że u nas nie ma dostępu do broni.

- Już mi nic nie mów. Nie chcę takich rzeczy słuchać. - Wyszła po chwili. Miała na sobie dzinsy doskonale podkreślające jej wciąż nienaganną figurę i bluzkę odkrywającą prawe ramię. - Opowiem ci coś lepszego. Co u nas w zakładzie dzisiaj było. Przyszedł jeden Holender. Taki może trochę po trzydziestce.

- Facet? To faceci też chodzą do zakładów kosmetycznych?

- Chodzą, kochanie, chodzą. Jak chcesz, mogę cię z moimi dziewczynami umówić.

- Niedoczekanie.

Gawlik był tradycjonalistą. Mężczyzn odwiedzających kosmetyczki uważał za zniewieściałych i nic nie było w stanie zmienić tego poglądu.

- Nie wiesz, co tracisz. Ale nieważne, ten Holender zażyczył sobie maseczkę na twarz i zrobienie dłoni. Nic nadzwyczajnego. Za to potem zamówił jeszcze masaż. OK. Dziewczyny są po kursach, więc żaden problem. Poszedł za kotarę zdjąć ubranie. I zdjął. Absolutnie wszystko. Położył się na łóżku goły jak święty turecki. Marzena wzięła ręcznik i przykryła mu przyrodzenie. Zresztą, nie powiem, zbudowany był całkiem, całkiem.

- Coś mi się przestaje podobać ten twój zakład kosmetyczny - powiedział ponuro.

- Ale nie umywał się do ciebie - dodała, uśmiechając się figlarnie.

- I co z tym Holendrem?

- Marzena zrobiła mu normalny masaż. Chyba bardzo mu się podobało, bo w pewnym momencie ręcznik wyraźnie uniósł się do góry.

- Kto by pomyślał, że baby są takie zbereżne.

Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem i do przedpokoju wpadł Michał. Wciągnął za sobą kolegę z klasy, Marcina Pietrasa. Marcin rzucił zdawkowe „dzień dobry”. Miał rozbitą i lekko opuchniętą dolną wargę i wzrok wystraszonego zająca.

---

<sup>2</sup> Zła wiadomość to dobra wiadomość (przyp. aut.).

- Marcin, co ci się stało? - Basia podeszła do chłopca i wyciągnęła chusteczkę. - Upadłeś?

- Kojot i Janoszka nas gonili - wyjaśnił Michał. - Chcieli forsy od Marcina. Marcin nie miał, bo mama dała mu tylko na bułkę. To go bili, ale uciekliśmy.

- Znowu? - Basia popatrzyła na męża. - Trzeba coś zrobić z tym bandziorami.

- W gimnazjum nauczyciele też się ich boją - zauważył Michał.

- Gimnazjum i podstawówka w jednym budynku. - Basia pokręciła głową. - To się musiało tak skończyć. Co robić? Nie wiem, może naucz Michała się bić, albo co.

- To nic nie da. Zawsze trafi na silniejszego od siebie. Ale mam pomysł, jak to załatwić raz, a dobrze.

- Jaki? - spytała żona.

- Niekonwencjonalny, ale chyba będzie skuteczny. Potem ci powiem.

- Chyba nie chcesz ich pobić? - zaniepokoiła się.

- Za kogo ty mnie uważasz? - obruszył się Adam. - Marcin, jadłeś obiad?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy. Rodzice Michała znali sytuację chłopca. Niedawno zginął mu ojciec w wypadku samochodowym. Ciężar wychowania jego i młodszej siostry spadł na barki matki, uczciwej i pracowitej kobiety, która tyrała jak wół, żeby dzieciom zapewnić w miarę godziwy byt.

- Idźcie umyć ręce i siadajcie do stołu - zakomenderowała Barbara Gawlik. Chłopcy poszli do łazienki. W tej samej chwili przyszła najstarsza latorośl, Katarzyna.

- Cześć, mama. Cześć, ojciec. - Przywitała się zdawkowo i od razu poszła do swojego pokoju.

Adam pomyślał, że znowu trzeba będzie dziewczynę kilkakrotnie wołać na obiad.

\*

Dwaj czternastoletni gimnazjaliści, Bogdan Kojot i Leszek Janoszka, czekali pod bramą szkoły. Świetnie czuli się w swoich rolach szkolnych bandziorów. Z racji wieku wszelkie występki uchodziły im na sucho. Kilkukrotne kontakty z policją utwierdzały ich w przekonaniu, że są praktycznie bezkarni. Musieli jedynie uważać, żeby nie popełnić jakiegoś poważnego przestępstwa, za które idzie się do poprawczaka. Ściąganie haraczu od słabszych uczniów i zwykle niegroźne pobicia nie kwalifikowały się do tego typu przestępstw.

Obaj pochodzili z tak zwanych dobrych domów, gdzie oboje rodzice zajęci pracą i zarabianiem pieniędzy nie mieli czasu na wychowanie dzieci. Ojciec Kojota był adwokatem, a rodzice Janoszki prowadzili niewielką firmę, która pochłaniała ich od rana do wieczora.

Ze szkoły zaczęli się wysypywać uczniowie w wieku od siedmiu do dwunastu lat.

Przedmiotem zainteresowania gimnazjalistów była starsza grupa wiekowa.

Zatrzymali dwóch chłopców z tornistrami na plecach. Dzieciaki bez słowa oddały im wszystkie pieniądze. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie. Gimnazjaliści uzbierali w ten sposób kilkadziesiąt złotych. Czekali jeszcze na Marcina Pietrasa. Nie po pieniądze. Chcieli mu po prostu spuścić porządne lanie, za to, że ośmielił się im ostatnio uciec do autobusu. Wpatrywali się w drzwi budynku. Pietras nie wychodził.

- Chce nas skurwiel przetrzymać. - Bogdan Kojot chodził niecierpliwie tam i z powrotem. - Siedzi w budzie i czeka aż sobie pójdziemy. To gnój.

- Spoko, Kojot. Nie dzisiaj, to jutro. Dorwiemy kutasa.

Nie zwrócili uwagi na podchodzących do nich dwóch młodych mężczyzn.

- E, chujki - burknął do nich pierwszy.

Czternastolatki jak na komendę odwrócili głowy.

Przed nimi stało dwóch wytatuowanych oprychów. Każdy z nich stanowił modelowy przykład pensjonariusza zakładu karnego. Zakapiorskie gęby patrzyły na młodzików z wyższością i pogardą. Typ człowieka, dla którego praworządny obywatel jest jedynie niezbędnym frajerem i ofiarą. A frajera można stłuc, skopać i obrobić. Po to są.

Gimnazjalistom zrobiło się na przemian gorąco i zimno. Ze spotkania z takimi ludźmi nie wychodzi się bez szwanku. Dobrze o tym wiedzieli. Janoszka ścisnął w garści odebrane dzieciakom pieniądze, gotów w każdej chwili przekazać je przybyszom.

- Szukamy dwóch takich jednych, co nam kolegę, Marcina Pietrasa, ruszali. Janoszka i Kojot. Wpierdol mają dostać. Znaie takich? - zapytał drugi.

Chłopcy poczuli ucisk w gardle. Przełknęli ślinę. Nie było łatwo. Sytuacja stawała się dramatyczna.

- Co jest, kurwa? Głuche? - zirytował się pierwszy. - Odpowiadać, jak pan pyta, bo jak zajebię, to zęby wyplujesz jeden z drugim.

Janoszka wykazał się zimną krwią.

- My ich nie znamy. - Głos uwiązł mu w gardle.

- My tylko do szkoły tu chodzimy - pośpieszył w sukurs koledze Kojot. - Do gimnazjum.

- A Marcina Pietrasa znacie? - padło ostre pytanie.

Chłopaki spojrzeli po sobie i energicznie zaprzeczyli ruchem głowy. Zbyt energicznie.

- Nie znamy - odpowiedzieli chórem.

- To jakbyście poznali tych skurwysynów, co Marcina ruszają - powiedział dobitnie pierwszy - to im powiedzcie, że jak ich znaję, to zajebię, kurwa. - Na potwierdzenie swoich

slów podniósł zaciśniętą, żylastą pięść. - A może to wy, chujki, jesteście ten Janoszka i Kojot, co?

- Nie, nie. My nie - wydusił z siebie Kojot.

Janoszka nie był w stanie niczego powiedzieć. Nogi mu się trzęsły ze strachu.

- To macie, kurwa, szczęście. Wypierdalać.

Chłopcy puścili się pędem przed siebie. Nie zatrzymywali się, aż im zabrakło tchu kilkaset metrów dalej. Budynku szkoły nie było stąd widać.

Dwaj kryminaliści przeszli na drugą stronę ulicy. Podeszli do bramy, gdzie czekał na nich mężczyzna.

- Jak tam, szefie, dobrze było? - spytał zakapior numer jeden.

- Bardzo dobrze - odparł Gawlik. - Należy wam się premia.

Pliki banknotów powędrowały do rąk oprychów. Na widok nominałów wyszczerzyli się w uśmiechach, demonstrując nadpsute alkoholem i tytoniem rzędy zębów.

- Jakby co, to wie szef, gdzie nas znaleźć - powiedział oprych numer dwa.

- Wiem.

- To narazicho.

Odeszli w swoją stronę z pieniędzmi, za które będą mogli pić i używać dłuższy czas. Adam nie miał wątpliwości. Problem Marcina Pietrasa został rozwiązany skutecznie i ostatecznie.

\*

Maciek przetarł oczy. Kilkugodzinne wpatrywanie się w monitor dawało o sobie znać. Zmrużył powieki, potem zgodnie z zaleceniami lekarzy okulistów spojrział w dal przez okno, by dać oczom odpocząć. Dobry czas, by sprawdzić system. Nigdy nie wiadomo, co czai się w sieci. Przeciętny użytkownik z łatwością może paść ofiarą programu umożliwiającego przejście kontroli nad jego komputerem. Maszyna staje się zombie, a właściciel nawet nie podejrzewa, że ktoś inny, nawet gdzieś na drugim krańcu świata, wykorzystuje jego komputer do swoich często niecznych celów. Jako specjalista od IT Maciek stawiał sobie za punkt honoru nigdy do takiej sytuacji w swoim przypadku nie dopuścić. Program antyspyware, który sam opracował i regularnie „zapuszczał”, działał bez zarzutu. Wykrywał wszystko i wszędzie. Tak było i tym razem.

Na ekranie pojawiło się ostrzeżenie. W systemie zdomowił się obcy program o, jak wynikało z informacji, bardzo niskim zagrożeniu dla komputera. Maciek nacisnął parę klawiszy. Chciał sprawdzić, co to za „dziadostwo” śmiało się przebić przez jego zabezpieczenia. Kilkukrotne próby dostania się do obcego programu o dziwo zakończyły się

fiaskiem. - Co, u diabła? - chłopak głośno wyraził zaskoczenie. Intruz był już w kwarantannie, więc nie stanowił żadnego zagrożenia, ale zanalizowanie go nastęrczało niespotykanych w podobnych przypadkach trudności.

Skupił się. Nie zamierzał się poddawać. Wręcz przeciwnie. Trudności go mobilizowały. Przyjął wyzwanie jakiegoś informatyka, który wydawał się być godnym przeciwnikiem. Koncentracja, jeszcze kilka prób i udało się. Wirus został zmuszony do ujawnienia wszystkich swoich tajemnic. Na ekranie pojawiły się sekwencje obrazów. Przekaz był ledwie dostrzegalny dla percepcji człowieka. Maciek musiał je znacząco zwolnić, żeby cokolwiek udało się zobaczyć. Dostrzegł sugestywne reklamy jakichś środków farmaceutycznych. Natychmiast wbijające się w pamięć, odpowiednio zaprezentowane postaci ludzkie. Domyślił się, że chodzi o polityków. Sam polityką nigdy się nie interesował, ale pewne typy ich zachowań i sposoby kreowania wizerunku nie były mu obce.

Kiedy obrazy zniknęły, odchylił głowę i spojrzał w sufit.

- Jasna cholera - powiedział głośno do siebie. - Ktoś wysłał zakamuflowany przekaz podprogowy. No to, bratku, zaraz zobaczymy, ktoś ty taki.

Zaczął się polowanie na nadawcę. Czas mijał, a skutki były mizerne. Maciek zachodził w głowę, jak to możliwe, że jego najlepsze metody po prostu nie działają. Próbował na wszelkie sposoby i nic. Wróg pozostawał całkowicie poza jego zasięgiem.

Po kolejnych trzech godzinach próżnych wysiłków wybitnie uzdolniony polski student informatyki rozłożył ręce. Myślał usilnie. Przecież musi być jakiś sposób. Nie ma rzeczy nie do ugryzienia. Ponownie „zagrał” na klawiaturze. I wtedy stało się coś wręcz szokującego. Ktoś dobrał się do jego komputera i zaczął czytywać dane identyfikacyjne. Mijały sekundy, a spanikowany Maciek był bezradny. Zabezpieczenia padały jedno po drugim. W końcu podjął natychmiastową decyzję. Powyrywał kable sieciowe i odłączył komputer od zasilania. Okazało się to jedyną możliwością uchronienia go przed pełną identyfikacją i staniem się celem bezpardonowego ataku.

Wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po pokoju. Co to było? Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widział. Przeciwnik robił z Maćkiem praktycznie co chciał. O co tu chodzi? Chłopak zawziął się.

- Ja ci, kurde, pokażę, koleś. Nie ze mną takie numery, Bruner - wycedził przez zęby.

Popatrzył na zegarek. Był umówiony z Magdą. Czas wychodzić.

- Jeszcze się policzymy - powiedział do monitora.

Wkrótce czeka go nie lada pojedynek. Musi się do niego bardzo dobrze przygotować. Wyjątkowo dobrze. Teraz idzie na spotkanie, ale wróci i za jakiś czas, kiedy doprowadzi

komputer do porządku i obmyśli strategię działania, znowu podłączy go do sieci, a wtedy... Maciek nie wiedział, że przeciwnik nie jest sam. Miał do czynienia ze świetnie zorganizowanym zespołem najwyższej klasy specjalistów, którzy działali pod opieką pewnego Rosjanina, którego nazwisko padło już z ust Gawlika przy okazji niedawnej bytności w kinie na filmie *9. kompania*, ale którego nawet nie starał się zapamiętać. Nie zdawał sobie sprawy ze śmiertelnego zagrożenia, jakie czyha gdzieś daleko na Syberii i że igranie z nim może okazać się katastrofalne w skutkach. Jeszcze nie wiedział. Uniemożliwił penetrację swojego komputera w ostatniej chwili.

W tym momencie najważniejsza była dla niego Magda Frank, która za niedługo będzie na niego czekała w jednym z wrocławskich klubów muzycznych.

\*

Tymczasem gdzieś w odległych krańcach Syberii profesor Schulz pochylił się nad Swietłaną Malenko, która ze złością tłukła palcami w klawiaturę. W końcu odchyliła się na siedzeniu i zaklęła siarczyście.

- Uciekł mi, skurwiel, uciekł! - krzyknęła wściekła. - A to gnój.

Profesor wyprostował się.

- Musimy go namierzyć.

- Dorwę go - odpowiedziała pewna siebie dziewczyna. - Na mojego nosa to facet. Męska duma. Tak łatwo nie odpuści. Spróbuje jeszcze raz. Na sto procent. Kwestia czasu. Wtedy go wciągnę w pułapkę i dupnę. Nie może być inaczej.

- Liczę na ciebie, Swietłana.

- Będziemy go mieli. - Wypluła gumę na podłogę. - Nie będzie mi tu jakiś wiejski ciołek bruździł.

- Nie taki ciołek, skoro wyizolował twojego wirusa - zauważył Schulz.

- Dostanie nauczkę. Usmażę gnojka, zanim się obejrzy.

Profesor pomyślał, że trzeba powiadomić Maksa Faustena o potencjalnym zagrożeniu. Oddalił się do swojego gabinetu.

\*

W lokalu panował przyjemny chłód. Nie mieli klimatyzacji, ale grube, ponemieckie mury doskonale spełniały swoją funkcję. Jeden z niewielu pubów wrocławskich, gdzie często grało się muzykę niszową, nie był, w odróżnieniu od innych, zapchany młodzieżą głównie licealną, żądną nieskomplikowanych wrażeń. Miał jednak swoją stałą klientelę i specyficzną atmosferę. Bywali tu ludzie długowłosi, nierzadko pod czterdziestkę, czasem ze swoimi dorastającymi pociechami, którym chcieli zaoszczędzić dyskotekowego, odmóżdżającego



zgiełku, a jednocześnie pokazać muzykę może na początku trudną w odbiorze, ale w pewnym momencie trafiającą w samo serce. Nie brakowało też ludzi młodych, ubiorem mocno odstających od tak zwanej przyzwoitej polskiej młodzieży. Na widok tych młodych ludzi przeciętny człowiek wolał przejść na drugą stronę, choć w wielu wypadkach zupełnie niesłusznie, gdyż wbrew pozorom byli to w większości ludzie zupełnie niegroźni.

W pierwszej chwili Magda poczuła się tu dość dziwnie, jakby nie pasowała do tego miejsca i do tego towarzystwa. Dlaczego Maciek zaprosił ją akurat tutaj? Przecież jest w mieście tyle miejsc, gdzie można spędzić czas miło i swobodnie. W swoim dotychczasowym życiu niewiele miała do czynienia z osobami reprezentującym subkulturę. Tutaj pojęcie to otaczało ją dosłownie z każdej strony.

Usiadła na wysokim stołku przy barze. Starła się nie zwracać na siebie uwagi. Wyróżniała się z tłumu schludnym, gustownym ubraniem. Właściwie nie wiadomo, czy na korzyść, czy na niekorzyść. Wyglądało na to, że przyszła za wcześnie. Maćka na sali nie było. Spojrzała na zegarek. Osiemnasta dwie. „Pięknie - pomyślała. - Maciek Burdzik się spóźnia”. Po raz pierwszy, od kiedy się znają. Nie lubiła spóźnialskich. Sama zawsze starała się być punktualna. W końcu punktualność to cecha królów, jak często sobie mówiła. Z drugiej strony ktoś jej niedawno powiedział, że spóźnialscy mają więcej czasu dla siebie. Coś w tym chyba jest.

- Coś podać? - zagadnął barman przyjaźnie. Była mile zaskoczona. Barmani stosunkowo rzadko bywają przyjaźni w knajpach, w których bywała. Od tego ponad pięćdziesięcioletniego człowieka epatowały ciepło i życzliwość. - Jakiegoś drinka może?

- Macie „Białą damę”? - W jej głosie zabrzmiało marnie ukrywane powątpiewanie. Nie liczyła na sukces. - Taki drink na bazie śmietany - dodała, widząc, jak mężczyzna marszczy brwi. - Zresztą, cokolwiek. - Machnęła ręką.

- „Biała dama”, mówisz... Coś takiego kiedyś chyba dawali w Cafe Uni na placu Uniwersyteckim. Zobaczę, co da się zrobić.

Barman wyszedł na moment na zaplecze. Wrócił z kilkoma pojemnikami i stojąc tyłem do niej, coś przyrządzał. Domyślała się co. Była mile zaskoczona po raz drugi. Ktoś w knajpie specjalnie się dla niej postarał. Zaczynało jej się tu podobać.

Chwilę potem „słowo stało się ciałem”. Stał przed nią duży kieliszek i słomka obok w papierku.

- Ile to będzie? - Dziewczyna sięgnęła do torebki po portfel.

- Nic - odpowiedział barman.

- Słucham?

- Na koszt firmy.
- Bardzo dziękuję. - Seria zaskoczeń trwała nadal. - Wszyscy tu mają tak dobrze?
- Tylko specjaliści goście.
- Znaczący ja jestem specjalnym gościem? - Zrobiła zdziwioną minę.
- Jesteś Magda, tak? Przyjaciółka Maćka Burdzika?
- Taaak...
- I wszystko na ten temat.

Uśmiechnął się do niej i wrócił do swoich zajęć. Z zaplecza wyszła młoda dziewczyna. Była ubrana zupełnie normalnie. Nie w żaden uniform, jak to często u kelnerki bywa. Podeszła do pierwszego z brzegu stolika i spytała, co siedzącym przy nim czterem mężczyznom i dwóm kobietom jeszcze podać.

Magda nie zdążyła ochłonąć, kiedy na malutkiej scenie pojawiło się trzech młodych chłopaków przymierzających się do instrumentów: gitary basowej, klawiszy i saksofonu. Za perkusją zasiadł wystrzyżony wyrostek. Do mikrofonu podeszła dziewczyna mająca z wyglądu nie więcej niż dwadzieścia lat. Zaraz potem dołączył do nich nie kto inny tylko... Maciej Burdzik. Wziął trąbkę, przyłożył do ust i wydobył krótki, czysty dźwięk próbny. Magda mimo woli otworzyła usta z wrażenia.

Muzycy zajęli się dostrajaniem instrumentów do siebie, podczas gdy dziewczyna, najwidoczniej wokalistka zespołu, odezwała się do mikrofonu.

- Kochani, zanim zaczniemy koncert, jedna rzecz. Nietypowa. Nasz przyjaciel, Maciek - popatrzyła na studenta i chwyciła go za ramię - chciałby zagrać coś dla pewnej wyjątkowej osoby. Bardzo wyjątkowej, która jest na tej sali. - Wzrok zgromadzonych powędrował w kierunku Magdy. Nie mieli wątpliwości, o kogo chodzi. - Ćwiczył z nami dzielnie utwór całe dwa tygodnie. Na pewno od razu rozpoznacie, co to za kawałek, i docenicie Maćka wysiłki.

Maciek po raz pierwszy tego wieczoru spojrział na Magdę. Puścił do niej oko. Magda rozłożyła ręce w geście: „ale o co chodzi?”.

Maciek oblizał wargi i zaczął grać. Popłynęły wolne tony, takty z łatwością rozpoznawalne dla koneserów jazzu, z których składała się właściwie dzisiejsza publiczność. Natychmiast rozpoznano sugestywną muzykę Milesa Daviesa do filmu *Dingo*, którą napisał wspólnie z Michelelem Legrandem. Rozległy się pokrzykiwania i sporadyczne brawa. Magda wydawała się być jedyną osobą na sali, która nie zna utworu.

W około trzyminutowe wykonanie fragmentu ze ścieżki dźwiękowej wkradło się kilka fałszywych tonów, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Kiedy chłopak skończył, nachylił się do mikrofonu i skomentował swój występ cytatem z rzeczonego filmu:

- „*I can do a lot better when I'm warmed up*”<sup>3</sup> - czym wzbudził powszechną wesołość i aplauz. - Magda - zwrócił się ze sceny bezpośrednio do niej - ten utwór został napisany po to, bym mógł go kiedyś specjalnie dla ciebie zagrać.

Słowa te wywołały rzęsiste brawa. Co niektórzy wstali od stolików. Magda zaczerwieniła się po same uszy. Maciek zszedł ze sceny i wziął ją za rękę.

- Chodź, poznasz moich znajomych - powiedział do wciąż niemogącej się otrząsnąć z wrażeń dziewczyny. - To strasznie fajni ludzie.

Zgarnął jej drinka z lady i podeszli do największego stolika. Sześciu mężczyzn w różnym wieku przywitało ich, a szczególnie ją entuzjastycznie. Dostawili krzesła i zaczęła się prezentacja. Oszołomiona Magda nie zdołała od razu zapamiętać imion i ksywek, z których najlepiej zapadł jej w pamięć „Szrek” ponieważ jeden z nich w istocie do złudzenia przypominał bohatera popularnego amerykańskiego filmu nie tylko dla dzieci. Jednocześnie pod względem charakteru daleko odbiegał od swojego hollywoodzkiego pierwowzoru. Tryskał humorem i był duszą towarzystwa. Wszyscy przyjęli Magdę jak swoją. Maciek rzeczywiście miał fantastycznych znajomych.

Kapela grała muzykę folkową z przewagą skocznych kawałków doskonale nadających się do tańca, z czego korzystali Maciek z Magdą i większość bywalców pubu. Kiedy poszedł wolny kawałek i był czas na chwilę oddechu, Magda nachyliła się do jego ucha.

- Nie wiedziałam, że umiesz grać na trąbce - powiedziała półgłosem.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Takiś pewny? - spytała z zabawnie udawaną zadziornością.

- No.

- Gdzie się nauczyłeś?

- Dziadek grał w orkiestrze strażackiej. Postanowił, że wnuk pójdzie w jego ślady.

- I co, nie poszedł? - spytała retorycznie.

- Nie, no raz naprawdę zagrałem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki dziadek był dumny.

- Raz?

- Potem się nie składało.

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Bardzo mi się podobało to, co zrobiłeś, i to, co powiedziałaś.

- Taką miałem nadzieję.

---

<sup>3</sup> *I can do a lot better when I'm warmed up* - potrafię dużo lepiej, jak się rozgrzeję (przyp. aut.).

Maćkowi serce rosło.

- Bardzo. I nigdy tego nie zapomnę.

Muzyka nie przestawała grać. Ich pocałunek trwał i trwał. Między tym dwojgiem młodych ludzi pojawiła się niezwykła więź. Chcieli być ze sobą. Oboje. Bardzo.

## ROZDZIAŁ 15

*Pustynia Great Basin, Nevada, USA*

Rozpadająca się drewniana chata stała na uboczu. Na tle górskich wzniesień była praktycznie niewidoczna z przejeżdżających oddaloną o kilka kilometrów szosą samochodów. Stanowiła jedyny efekt działalności ludzkiej w pustynnym krajobrazie najbliższej okolicy. Postawiona dawno temu, nie wiadomo, przez kogo i po co, mogła pamiętać jeszcze czasy budowy kolei transkontynentalnej, kiedy to tabuny chińskich robotników najemnych pracowały w pocie czoła na chwałę kraju, w którym podobnie jak wtedy, tak i dzisiaj nierzadko traktowani są jak ludzie drugiej kategorii.

Miejsce to, położone kilkadziesiąt kilometrów od granic Las Vegas, spełniało bardzo pożyteczną funkcję. Kiedy lokalna mafia miała pilną potrzebę, by z konkretnym człowiekiem „porozmawiać” na osobności, fundowała mu wycieczkę w głąb pustyni, z której delikwent raczej nie wracał żywy. Pobliskie tereny obfitowały w miejsca na pochówek, z czego miejscowi gangsterzy skrzętnie i niejednokrotnie korzystali.

Przed chatą stały dwa samochody marki GMC. Mafiosi mieli tego dnia „robotę”. W centralnej części pomieszczenia dotkliwie pobity siedział były współpracownik Witalija Jakuszyna, Jean Paul Dubois. Był boleśnie przywiązany do masywnego metalowego krzesła. Zaciskał z bólu zęby. Krwawił z głębokich świeżych ran fachowo zadanych pejczem. Oddychał ciężko przez zęby. Raz po raz rzucał okiem na stojących półkolem pięciu mafiosów. Dwóch było w eleganckich jedwabnych garniturach. Pozostała trójka miała na sobie czarne spodnie bojówki i czarne koszulki typu T-shirt. Wyglądali jak pracownicy agencji ochroniarskiej na służbie.

Pierwszy elegancik, mężczyzna solidnie po pięćdziesiątce, numer jeden miejscowej przestępczości zorganizowanej, Roberto Massimo, podszedł do Duboisa. Spojrzał na niego z odrazą. Stał na tyle daleko, by nie poplamieć kosztownego ubioru.

- Zawiodłeś mnie, Dubois - odezwał się łagodnie. - Bardzo mnie zawiodłeś.

- Mówię ci, Roberto - wychrypiał Francuz. - Twój człowiek coś popieprzył. Powiedziałem prawdę.

- A ty ciągle swoje. Uparty z ciebie żabojad. A upór, jak widzisz, nie wychodzi ci na

zdrowie.

- Spróbujcie w banku jeszcze raz. - Dubois podniósł głos. - Hasło jest dobre.

- Kłamiesz, przyjacielu. A to niedobrze. Ale podasz prawidłowe hasło. To tylko kwestia czasu. Możesz mi wierzyć. - Odwrócił się do drugiego elegancika i uśmiechnął szeroko, pokazując śnieżnobiałą kolekcję zębów, którą zawdzięczał niedawnemu zabiegowi dentystycznemu. - Prawda, Johnny? - Elegancik numer dwa, niespełna trzydziestoletni człowiek o raczej odrażającej fizjonomii, zarechotał radośnie na potwierdzenie. - Bo wiesz, jeden z chłopców - zwrócił się ponownie do Francuza - uwielbia zabawy z wiertarką elektryczną. - Człowiek w czarnej koszulce otworzył torbę podróżną i zaczął montować sprzęt. Wiertło, które nasadził w uchwyt, było na tyle długie, żeby bez trudu przewiercić kończyny. - I będzie na tyle miły, by się tobą zająć osobiście. Prawda, Benny?

Ochroniarz skinął głową. Zachował kamienną twarz. Był gotowy do roboty. Dubois zaczął mieć poważne wątpliwości, czy aby na pewno próba przechytrzenia gangsterów nie skończy się dla niego tragicznie. Myślał gorączkowo co robić i już miał powiedzieć całą prawdę o hasle, co dawało mu jakąś szansę na przeżycie, gdy do chaty wbiegł czwarty ochroniarz.

- Szefie, ktoś tu jedzie - zameldował.

- Kto? - warknął Massimo.

- Nie wiem. Z daleka wygląda jak japoński Land Cruiser.

- To się, kurwa, dowiedz - krzyknął poirytowany Roberto. - Benny, Mario, idźcie z tym głupkiem.

Dubois odetchnął w głębi duszy. Więc wyrok został odroczone. Benny będzie przez chwilę zajęty. Przez moment pomyślał, że to może akcja policji zaalarmowanej hasłem z ukrytym kodem alarmowym, które podał gangsterom celowo. Jednak jeden samochód, brak śmigłowca... Nie, to nie gliny. Szlag by to trafił. Benny i kumple za chwilę pozbędą się problemu i kłopoty zaczną się na nowo. Trzeba będzie blefować. Może uwierzą.

Massimo, Johnny i ochroniarz wpatrywali się w okno na zbliżający się szybko samochód. Zatrzymał się w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Kierowca wysiadł, stanął dwa metry przed samochodem i podniósł ręce na znak, że się poddaje. Ochroniarze z wyciągniętą bronią krótką pobiegli natychmiast w jego kierunku.

- Kurwa, durne pały! Nie wszyscy naraz, ktoś może być w środku! - krzyknął Roberto, ale nie mogli go usłyszeć.

Mafiozo pokręcił głową z dezaprobatą na ewidentny błąd, który jego ludzie właśnie popełnili. Chwilę potem okazało się, że mieli więcej szczęścia niż rozumu. W samochodzie

nie było nikogo poza poddającym się kierowcą. Cała trójka dopadła go i rzuciła na ziemię. Przystawili mu broń do głowy. Nastąpiła szybka wymiana zdań. Człowiek powiedział im coś, co sprawiło, że nabrali wątpliwości. Popatrzyli w stronę chaty zaskoczeni. Benny krzyknął do Mario, żeby biegł do szefa. Ten pognął z powrotem w stronę chaty i wpadł do środka jak burza.

- Szefie! - krzyknął podniecony. - Tamten facio mówi, że tu jest bomba i że przyjechał nas ostrzec. Mówi, że trzeba spierdalać, bo zaraz wszystko pierdolnie.

Massimo zawahał się. Co u diabła? Jakiś podstęp? Ktoś chce im się dobrać do dupy? Niemożliwe. Teren wokół płaski i czysty. Mysz się nie schowa. Pasma górskie dwa kilometry stąd. Jakby ktoś chciał ich wykończyć, inaczej by się za to zabrał. Rzucił okiem na Duboisa. Nie zostawi go tutaj. W końcu wart jest kilka milionów dolców. Zaraz sobie znowu pogadają, tylko dowie się od tamtego gościa, co jest grane.

- Odwiąż tego gnojka i wychodź. - Roberto rzucił do ochroniarza i pośpieszył wraz z Johnnym i Mario w kierunku Land Cruisera.

Kierowca wciąż leżał twarzą do ziemi z przystawionymi do głowy lufami pistoletów maszynowych. Ani drgnął. Mafiosi byli w połowie drogi między swoimi wozami a terenową Toyotą. Ochroniarz wypchnął Duboisa z chaty i wlokąc go za kołnierz, podążył za szefem. Kiedy był na wysokości swoich samochodów, stała się rzecz niesłychana. Gangsterzy, poczawszy od dwóch przy samochodzie, zaczęli padać na ziemię z przestrelonymi głowami. Nie było słychać odgłosu wystrzałów. Źródło musiało być daleko. Zaledwie w ciągu kilku sekund cała piątka była martwa. Francuz pierwszy otrząsnął się z wrażenia i wyszarpnął się z uchwytu bandziora. Miał związane z tyłu ręce. Zaczął biec przed siebie, nieracjonalnie uznając, że to może być jego szansa na uratowanie skóry. Mężczyzna w czarnym podkoszulku zorientował się, że nie ma przy sobie broni. Nie zamierzał ścigać Duboisa. Rzucił się do samochodu i z piskiem opon ruszył w przeciwnym kierunku do tego, z którego przyjechała Toyota Land Cruiser. Dubois zatrzymał się zdyszany. Padł na kolana i obejrzał się za siebie. GMC powoli oddalał się w stronę szosy. Kiedy był już w odległości kilkuset metrów od nich, nie wiadomo skąd w jego kierunku poszybował pocisk z ręcznej wyrzutni rakietowej. Za moment GMC eksplodował wraz z jego kierowcą na tysiąc kawałków.

Francuz popatrzył na przybysza. Ten wstał i jakby nigdy nic otrzepał się z kurzu, który na jego niebieskim garniturze pozostawił wyraźne ślady. Ruszył spokojnym krokiem w jego kierunku. Dzielili ich najwyżej kilkadziesiąt metrów.

Dubois wbił w niego wzrok. Ucieczka i tak nie miałyby sensu. Poza tym znał ten nonszalancki sposób chodzenia. Lecz kiedy mężczyzna w garniturze zbliżył się na tyle, by

można było rozpoznać rysy twarzy, nie wierzył własnym oczom. Witalij Jakuszyn we własnej osobie. Akcja w jego stylu. Musiał przyznać, że z tą bombą to był majstersztyk. Wywabił wszystkich na otwartą przestrzeń i załatwił bez pudła. Snajperzy rozlokowani gdzieś wokół, cholera wie gdzie.

Rosjanin stanął przed klęczącym Francuzem.

- No, Dubois - powiedział przybysz po angielsku. - Przyjechaliśmy po ciebie. Mało brakowało, byśmy się spóźnili.

- Czym mogę służyć? - spytał Francuz, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Nie wygłupiaj się, Dubois. Zbieraj się. Wracasz do roboty.

Dubois wstał.

- Niech mnie diabli! Witalij, myślałem, że cię twoi utłukli w tych ruskich kazamatach.

- Nie opłacało się im. Ale widzę, że ciebie wystarczy na trochę samego zostawić, a już z życiem chcesz się rozstawać. Jak ty wyglądasz, człowieku - stwierdził Witalij z niesmakiem, jakby Jean Paul Dubois sam własnoręcznie się do tego stanu doprowadził.

- Warto było. Jestem do przodu trzy miliony. Tylko policja się nie spisała. Podąłem im hasło z sygnałem alarmowym. Ten tam, Benny, jeździł. - Wskazał brodą trupa przed terenówką. - To miał być znak, że mnie porwali. Gliniarze mieli śledzić osobę próbującą podjąć pieniądze i mnie wydostać. Widać gliny też tutaj siedzą mafii w kieszeni.

Witalij wyciągnął składany nóż i rozciął Duboisowi więzy. Francuz zaczął odruchowo rozcierać poranione nadgarstki.

- Hasło z alarmem, mówisz.

- Dokładnie. Skąd miałem wiedzieć, że policja jest gównem warta?

Rosjanin popatrzył na niego z rozbawieniem.

- A jak ci powiem, że to hasło zostało zmienione przez człowieka, który sobie siedzi w wygodnym fotelu przed monitorem komputera gdzieś na Syberii, to uwierzysz?

- Idź w cholere, Witalij. Czasem mnie przerażasz. Teraz rozumiem, dlaczego cię kumple KGB-owcy nie ukatrupili - odpowiedział zrezygnowany.

- I widzisz, reszta była prosta. Wystarczyło nie spuszczać Benny'ego z oka.

- To tak żeście mnie znaleźli.

- Policja do niczego nie była nam potrzebna. Max załatwił izraelskich snajperów, a dalej sam już widziałeś.

- Max też tu jest?

- Zaraz się spotkacie. Chodź, musimy ich pozbierać z pustyni, bo się upieką. Gorąco tu u was w tej Nevadzie.



Mężczyźni ruszyli w stronę ulubionej marki samochodu Witalija Jakuszyna.

- Zapraszam do Las Vegas. Można się ochłodzić i nie tylko...

- Dobra, dobra, Dubois. Robota czeka.

- Jaka robota?

- Zapomniałeś? Jesteś naszym przedstawicielem handlowym.

- Ile to? Pięć lat? Dużo można przez ten czas zapomnieć, szczególnie gdy jest taka potrzeba. Gdzie jedziemy?

- Byłeś kiedyś na Syberii?

- Dziadek mojego polskiego kolegi ze szkoły był i średnio mu się podobało.

- Tobie się spodoba. Musisz zobaczyć, w czym teraz robimy.

- Mnie się pewnie spodoba, ale coś czuję przez skórę, że Amerykanom nieszczególnie.

Witalij roześmiał się.

- *De gustibus non est disputandum*<sup>4</sup>, [] jak mawiali starożytni Rzymianie.

- I jak skończyli - skwitował Dubois filozoficznie.

Upał faktycznie był nie do zniesienia.

---

<sup>4</sup> De gustibus non est disputandum - o gustach się nie dyskutuje (przyp. aut.).

## ROZDZIAŁ 16

„Ten wieśniak, ten cholerny wsiok”. Patryk Herman, jeden z niewielu na uczelni dumny posiadacz Porsche Cayenne, wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od Magdy Frank. Odmówiła mu. Jemu, najatrakcyjniejszemu chłopakowi na wydziale. Mężczyźnie, który był obiektem skrytych marzeń studentek uniwersytetu. A wszystko za sprawą jakiegoś Maćka Burdzika z informy. Zwykłego chłopka z jakiejś zabitej dechami wsi gdzieś na końcu świata.

Jeszcze niedawno Magdalena Frank była praktycznie na każde jego skinienie. Uważano ich nawet za parę, chociaż nie do końca słusznie. Ze strony Patryka związek sprowadzał się raczej do spotkań towarzyskich i chodzenia ze sobą do łóżka, gdy obojgu przychodziła na to ochota, zwykle w sprzyjających okolicznościach po imprezach studenckich. Jechali do jego mieszkania i kończyło się upojnym seksem.

Magda zawsze wiedziała, że nie była jedyną dziewczyną Patryka, mimo że on umiejętnie to ukrywał. Z drugiej strony czuła się nobilitowana, pokazując się w jego towarzystwie. Darzyła go nawet uczuciem. Imponował jej, ale w odróżnieniu od tabunów innych panienek nie starała się za wszelką cenę go usidlić i zmusić do małżeństwa w przyszłości. Odpowiadał jej ten stan rzeczy, do momentu gdy poznała Maćka i zrozumiała, czym naprawdę może być uczucie.

Patryk podszedł do dwóch samochodów zaparkowanych nieopodal domu Magdy. Jego Porsche i osobowy Lexus. Młodzi ludzie czekali przy otwartych drzwiach. Pięciu chłopaków i cztery dziewczyny gotowe na „balety”, jakkolwiek miałyby one wyglądać.

- No co jest, Patryk? - krzyknął do podchodzącego kierowca Lexusa. - Gdzie ta twoja laska?

- Pieprzyć cipę - odpowiedział z pogardą. - Myśli, że jest nie wiadomo kim. Że ją będę prosił. Kij jej w dupę.

- Czyli zrobiła cię w trąbę? - spytał młody człowiek z niedowierzaniem.

- Zamknij się, kurwa - warknął na niego Patryk. - Jedź.

Wsiadł za kierownicę swojego samochodu. Na tylne siedzenie zdążyły się wśliznąć dwie koleżanki z uniwerku. Ruszył z piskiem opon. Nie widział, jak studentkom zaświeciły się oczy na wiadomość, że Patryk Herman może już jest „do wzięcia”. Dzisiejsza impreza

planowana na kształt czegoś w stylu seksparty będzie dla nich szansą, której nie zamierzały zmarnować. Każda ze studentek wiedziała, że musi stanąć na wysokości zadania, by ją właśnie wybrał.

Chłopak na siedzeniu pasażera podsunął mu otwartą paczkę z papierosami. Patryk wziął jednego i zerknął we wsteczne lustro na studentki. Rozmawiały półgłosem.

- Ej, laski - powiedział głośno. - Która mi fajkę odpali?

W prawej ręce za głową trzymał w palcach papierosa.

Uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, jak dziewczyny jednocześnie rzuciły się do przodu, starając się jedna przez drugą wyrwać mu z dłoni papierosa. Udało się studentce siedzącej za pasażerem. Popatrzyła tryumfalnie na koleżankę i wyciągnęła z torebki zapalniczkę. Zapaliła i wyciągnęła do kierowcy dłoń z papierosem w palcach. Zrobiła to wystudiowanym, bardzo kobiecym gestem, którego obaj mężczyźni nie mogli nie zauważyć. Obydwu przyszły do głowy te same myśli. W ogromnym domu ich kumpla ze studiów czekali jeszcze inni ludzie, w tym parę panienek również gotowych do zabaw erotycznych, w których specjalizował się właściciel posesji.

Magda odchyliła firankę. Widziała, jak ulicą przejeżdża pod jej oknami w swoim pięknym aucie, które niedawno dostał na urodziny od ojca bankiera. Zaraz za nim popędził drugi samochód. Nie rozpoznała marki.

Na roku mówiło się pokątnie o dzisiejszej imprezce. Miała to być powtórka sprzed kilku tygodni, gdzie wszyscy znakomicie się bawili, oprócz niej. Już na miejscu wykręciła się „nagłym atakiem” bólów brzucha. Zdecydowanie nie chciała uczestniczyć w przygotowanych na tę okazję wydarzeniach, gdzie wszystkie dziewczyny w pewnym momencie zrzucały z siebie ubrania i nagie brały udział w różnorodnych wymyślonych wcześniej grach i zabawach wspólnie z chłopakami, których rozbierały, ku uciesze innych mężczyzn wolących akurat popijać w tym czasie piwo i obserwować sytuację. Wtedy Magda wiedziała, że oczekiwano od niej dokładnie takiego samego zachowania, jak od koleżanek. Pewnie by się szybko przełamała pod delikatną presją grupy. Pewnie wystąpiłaby nago przed chłopcami w erotycznych zabawach. Może nawet by się jej spodobało, tak jak innym dziewczynom. Jednak w ostatniej chwili wpadła na pomysł symulacji bolesnych dolegliwości. Patryk się autentycznie przejął i odwiózł ją wtedy do domu.

Magda była już w stu procentach pewna, że nie chce być częścią tego rozrywkowego życia u boku Patryka. Zamknęła ten rozdział ostatecznie i nieodwołalnie. Patryk przeszedł dla niej do historii. Nawet nie myślała, że powiedzenie mu tego spokojnie prosto w oczy przyjdzie jej dzisiaj tak łatwo. Powiedziała mu o Maćku, o tym, co do niego czuje i że chce

być z nim. Patryk, jak łatwo można było przewidzieć, gotował się w środku. Miał jednak na tyle rozumu, by nie robić nic głupiego u niej w domu. Po prostu wyszedł bez słowa. Nie miała wątpliwości, nie zostaną przyjaciółmi.

- Madzia, kochanie, Patryk już poszedł? - spytała mama na progu drzwi. - Myślałam, że chce cię gdzieś zabrać.

Odwróciła się i spojrzała matce w oczy. Kochała ją jak nikogo na świecie i wiedziała, że była to miłość bardziej niż odwzajemniona. Mama zawsze chciała dla niej jak najlepiej. Lubiała Patryka i oboje z ojcem widzieli w nim swojego zięcia gdzieś kiedyś w niedalekiej przyszłości.

- Chciał - powiedziała Magda cicho.

- I nie poszłaś? - nie rozumiała matka. - Źle się czujesz, dziecko? - spytała z troską.

- Bardzo dobrze się czuję.

- Więc o co chodzi? Patryk wyszedł, nawet się nie pożegnał?

- Patryk już tu nie przyjdzie.

- Czemu nie przyjdzie? Pokłóciliście się? O co wam poszło? Na pewno się pogodzicie.

Młodzi jesteście.

- Nie pokłóciliśmy się, mamo. Powiedziałam Patrykowi, że z nim zrywam, że nie chcę już z nim być, i żeby już do mnie więcej nie przychodził.

Kobieta z wrażenia usiadła na krześle. Pomyślała, że źle zrozumiała słowa córki. Przecież to niemożliwe, żeby Magda zerwała z takim chłopakiem. Przecież o niego dziewczyny się po prostu zabijały.

- Nie rozumiem. Wytłumacz mi, bo nie rozumiem. Zerwałaś z Patrykiem? - Przyszło jej coś do głowy - Może on cię jakoś skrzywdził? Powiedz mi, córeczko. Wiesz, że możesz mamie wszystko powiedzieć.

- Nie skrzywdził mnie w żaden sposób. Po prostu poznałam kogoś i chyba...

- Co chyba?

- Chyba coś do niego czuję. Coś o wiele więcej niż do Patryka.

Matka zamilkła. Westchnęła ciężko i wstała z krzesła. Podeszła do Magdy, objęła ją za szyję i przytuliła mocno. Dziewczyna po raz kolejny przekonała się, że mama jest jej najlepszym, najwierniejszym przyjacielem. Tak było, jest i będzie.

- Kto to jest? Jakiś kolega ze studiów?

- Poznałam go niecały miesiąc temu. Studiuje informatykę na polibudzie.

- Niedawno. To dlatego nic nie mówiłaś. - Wzięła Magdę za ręce i posadziła na tapczanie. Sama usiadła na krześle naprzeciwko. - Powiedz coś o nim.



- To z pozoru zwyczajny chłopak. Pochodzi z małej wsi w Lubuskiem. Ale jest ciepły, czuły, opiekuńczy, a w pewnych sprawach - uśmiechnęła się do matki wymownie - czarująco nieśmiały i delikatny. Traktuje mnie trochę jak księżniczkę z bajki.

Przez myśl kobiety przebiegła myśl, że to musi być coś naprawdę poważnego, skoro mowa o „pewnych sprawach”. Znała córkę bardzo dobrze. Wiedziała, że Magda nie angażuje się pochopnie w związki z chłopakami.

- Bo na to zasługujesz - skomentowała ostatnie zdanie córki. - Nie wiedziałaś? A przystojny chociaż?

- Chłopięca uroda, ale wierz mi, mama, jest na czym oko zawiesić. - Uśmiechnęła się gałgańsko. - A i zbudowany jest też niczego sobie. Tyłeczek niezgorszy i te sprawy też.

- Madzia, nie wypada tak mówić. - Matka mimo woli zaczerwieniła się. - Zawstydzasz mnie.

- Ej, mamusia. Nie mów, że ci też czasem oko nie ucieknie, jak jakiś przystojniak pojawia się na horyzoncie.

- Ach, dajże spokój. Ty się lepiej zastanów, jak to ojcu powiedzieć. Nie muszę ci chyba mówić, że on sobie Patryka już dawno na zięcia upatrzył. A tu terapia szokowa. Łatwo nie będzie.

- To moje życie i tata będzie musiał to zrozumieć.

- Właśnie. Tego się obawiam. Tata niczego nie musi. I w tym problem. - Wstała i otworzyła drzwi. - Za jakieś piętnaście minut będzie kolacja. Zejdź do nas, dobrze?

- Tak, mamusiu. Zaraz schodzę.

## ROZDZIAŁ 17

### *Kolumbia, Ameryka Południowa*

- Bravo, Maria! - wykrzyknął Juan Ramirez Sanchez, gdy jego siedmioletnia córka skończyła grać na skrzypcach i dygnęła. Ubrana była w elegancką granatową sukieneczkę z białym kołnierzykiem. - Bravo, moja córeczko!

Blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna, mający na sobie białą sportową koszulę z krótkim rękawem i markowe spodnie, klaskał głośno. Wtórowała mu żona, kobieta o urodzie modelki, młodsza od niego co najmniej dwadzieścia pięć lat, oraz mężczyzna w jasnym garniturze, którego aplauz wyrażany był z nieco mniejszym entuzjazmem niż rodziców.

- Dziękuję - powiedziała rozpromieniona mała skrzypaczka i ukloniła się na modłę artystki scenicznej.

- Chodź do mnie, moje szczęście!

Sanchez wyciągnął ramiona, w które Maria natychmiast wpadła. Wycalaował ją czule i uściskał. Posiadłość Sanchezów położona była na odludziu. Ogrodzona ze wszystkich stron wysokim murem z uzbrojonymi w karabiny maszynowe strażnikami dawała względne poczucie bezpieczeństwa. Jako jeden z największych baronów narkotykowych miał powody, by dbać o odpowiednią ochronę dla siebie i swojej rodziny.

Do ogromnego, kapiącego od luksusu salonu wszedł młody człowiek w przeciwsłonecznych okularach.

- Panie Sanchez. Ten człowiek już jest - szepnął do ucha mężczyźnie ściskającemu dziecko.

Rzucił znaczące spojrzenie żonie. Ta zrozumiała polecenie bez niepotrzebnych słów.

- Chodź, kochanie - zwróciła się do córki - pójdziemy na górę i poczytamy bajki.

Dziewczynka posłusznie wstała z kolan ojca, pomachała mu na pożegnanie i wzięła mamę za rękę. Obie wyszły z pomieszczenia.

- Dawaj go. - Człowiek w okularach słonecznych zrobił krok, żeby przyprować gościa, ale szef go zatrzymał. - Czekaj! Jak mówiłeś, że się nazywa?

- Robert Lee. Mówi, że jest Amerykaninem.

- Sprawdziliście go?

- Czysty. Żadnej broni. W razie czego ja i Eugenio jesteśmy za drzwiami.

- Dobra. Idź.

Chwilę potem do salonu wszedł około czterdziestoletni mężczyzna. Miał na sobie niebieskie garniturowe spodnie i kremową koszulkę polo z krótkim rękawem. Juan Ramirez Sanchez podniósł się ciężko z przepaścistej skórzanej kanapy, by przywitać gościa. To samo zrobił jego towarzysz.

- Witam, panie Sanchez - odezwał się przybysz. - Nazywam się Robert Lee.

- Dzień dobry, panie Lee. To mój prawnik i prawa ręka - wskazał mężczyznę w garniturze - Diego Alvarez. Będzie uczestniczył w naszej rozmowie. Nie mam przed nim żadnych tajemnic.

- Rozumiem. Miło mi, panie Alvarez.

- Czym mogę panu służyć, panie Lee? Może zanim przejdziemy do interesów, zechce się pan czegoś napić?

- Chętnie zielonej herbaty, jeśli można.

Alvarez uśmiechnął się pod nosem.

Gospodarz kłaśnięciem w dłoń przywołał służbę i wydał odpowiednie polecenia.

- Proszę spocząć. - Sanchez wskazał wygodny fotel naprzeciwko. Sam rozparł się na kanapie i wbił wyczekujący wzrok w gościa.

- Mam dla pana pewną propozycję - zaczął Robert Lee vel Witalij Jakuszyn, gdy do salonu weszła służąca z tacą.

Położyła parującą filiżankę na stoliku przed Rosjaninem. Odczekał, aż młoda kobieta wyjdzie. - Jestem w stanie rozwiązać pańskie problemy z Amerykanami.

- Problemy? My mamy jakieś problemy z Amerykanami? - gospodarz spojrzał na prawnika, udając zaskoczenie.

Alvarez zmarszczył brwi i zaprzeczył ruchem głowy. Sanchez rozłożył ręce, dając gościowi do zrozumienia, że nie rozumie, o czym ten mówi.

- Panie Sanchez, nie marnujmy ani mojego, ani tym bardziej pańskiego na pewno cennego czasu. Mogę sprawić, że Amerykanom będzie niezwykle trudno dobrać się do pana i pańskich interesów.

- Hmm - mruknął Kolumbijczyk. - Tak z czystej ciekawości, ile by mnie to miało kosztować?

- Dwadzieścia milionów dolarów płatne po wykonaniu zlecenia.

- Ha! Jest pan zdumiewająco pewny siebie, panie Lee.

- Taka jest moja oferta. Jeśli nie jest pan zainteresowany, pójdę gdzie indziej, a wtedy



taki na przykład Eugenio Rodrigez Ortega znacząco wyprzedzi pana w, że się tak wyrażę, rankingu biznesu narkotykowego.

- Skąd panu przyszło do głowy, że w ogóle zajmuję się narkotykami?

- Inaczej by mnie tu nie było, panie Sanchez.

- Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt - ostatnie słowo wypowiedział z przekąsem - że przychodzi pan ze swoją ofertą akurat do mnie?

- Bo pan najbardziej potrzebuje mojej pomocy.

- Jak mam to rozumieć?

- Normalnie. Obaj doskonale wiemy, że oddział specjalny sił amerykańskich operuje na terenie Kolumbii i sukcesywnie niszczy pana obiekty produkcyjne. Zespół złożony z agentów CIA monitoruje i nadzoruje operację. Jeszcze trochę i nie będą mieli czego niszczyć.

- Widzę, że jest pan jednak dobrze poinformowany.

- Nie dobrze, tylko doskonale, panie Sanchez. Znacznie lepiej, niżby się komukolwiek mogło wydawać.

- Przyznaję, że mnie pan zainteresował. Jakieś konkrety?

- Po pierwsze, zajmiemy się amerykańskimi komandosami. Ja ich zlokalizuję, wciągnę w pułapkę, potem odetnę łączność. Pan wyśle odpowiednio liczny oddział swoich ludzi i amerykańscy żołnierze pomaszerują na spotkanie Stwórcy. Po drugie, postaram się, by agenci przejeżdżali drogą, gdzie pańscy zorganizują zasadzkę. Kilka ręcznych wyrzutni rakietowych i broń maszynowa załatwi sprawę. Po trzecie, przez najbliższe, powiedzmy, pół roku będę pana informował o wszelkich akcjach Amerykanów skierowanych przeciw pańskim interesom.

Sanchez i Alvarez wymienili spojrzenia. Zareagowali podobnie. Uśmiechem politowania.

- Piękny plan. Szkoda, że niemożliwy do przeprowadzenia.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, panie Sanchez.

- I pan mnie zaraz pewnie o tym przekona...

- Eugenio Ortega udaje serdecznego przyjaciela, ale jak wszyscy wiemy, gdyby tylko mógł, bez wahania wbiłby panu nóż w plecy i wymordował rodzinę. Nie myślę się, prawda?

- No i co?

- Niech pan do niego zadzwoni. Postanowił sobie zrobić wycieczkę turystyczną. W tej chwili jest w samolocie nad Kamczatką. Właśnie kierują się w stronę Wysp Japońskich.

- No to pan się wyłożył - powiedział z satysfakcją Sanchez. - Ortega panicznie boi się latać. Poza tym jedyna rzecz, na którą zawsze ma ochotę, to przeglądanie hardcorowej

pornografii w Internecie. Na pewno nie na turystykę. Nie wiem, co pan chciał osiągnąć, panie Lee, ale się panu nie udało - stwierdził śmiertelnie poważnie.

- Niech pan zadzwoni do Ortegi. Przekonamy się, kto ma rację. Nic pan nie traci.

- Jesteś rozbijający. - Gospodarz przeszedł na formę per „ty”, co oznaczało brak szacunku. - Zadzwonię, czemu nie.

Wyciągnął rękę w stronę prawnika. Ten wręczył mu telefon satelitarny. Kolumbijczyk wystukał kombinację na klawiaturze i czekał na połączenie.

- Ortega? Sanchez mówi.

- Jest bezpiecznie. - Ortega użył zwyczajowej formułki identyfikacyjnej i oznaczającej, że mogą rozmawiać bez obaw. - Co tam, drogi przyjacielu?

W słuchawce brzmiał monotonny hałas jakby silnika samochodu.

Robert Lee sięgnął po filiżankę i smakował herbatę.

- Słuchaj, mam sprawę. Chciałbym się dzisiaj spotkać. Dasz radę?

- Ciężko będzie, przyjacielu.

- Dlaczego?

- Bo, nie uwierzysz, gdzie jestem.

- Gdzie?

- Właśnie lecę w śmigłowcu nad wybrzeżem Kamczatki. Trzeba świat zwiedzać, kochaniutki.

- Co ty pieprzysz, Ortega. Przecież ty srasz ze strachu na samą myśl o lataniu.

- To przeszłość, kochaniutki. Samoloty to wspaniałe wynalazki.

Robert Lee podniósł dłoń, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

- Poczekaj moment - powiedział Sanchez i zakrył dłonią mikrofon. - Co? - zwrócił się do Roberta.

- Ortega nie musi wrócić z tej wyprawy. - Rosjanin ściszył głos. - Może pan przejąć jego interesy. Będzie na moje honorarium i na dużo więcej.

- Jak? - spytał półgłosem Sanchez.

- Niech pan powie słowo, a Ortega wybierze się na zwiedzanie głębin Morza Ochockiego.

- Kiedy?

- Teraz.

- Dobra.

Robert Lee wyciągnął swój telefon. Po uzyskaniu połączenia powiedział:

- Róbcie swoje.

Minęło kilka chwil.

- Sanchez, przyjacielu - zabrzmiał w słuchawce telefonu Kolumbijczyka głos Eugenio Ortegi - co się nie odzywasz? - Zanim Sanchez zdążył odpowiedzieć, usłyszał krzyk. - Jezus Maria!

- Co jest?

- Wywaliło całą elektrykę! Spadamy! Kurwa, rób coś! - Przerażony głos Ortegi był ostatnią rzeczą, którą gospodarz usłyszał przed sygnałem przerwanej połączenia.

- Jutro, a może jeszcze dzisiaj podadzą w wiadomościach - odezwał się Rosjanin - że śmigłowiec z Ortegą na pokładzie zniknął nagle z radarów. Radziłbym teraz brać się za przejmowanie jego interesów, zanim inni wpadną na ten sam pomysł.

- Co to było? Bomba? - spytał Kolumbijczyk.

- Nic z tych rzeczy. Za duży kłopot. Poza tym, jak znajdą szczątki maszyny, mogłyby się zacząć niepotrzebne domysły.

- Więc co?

- Kierowany impuls elektromagnetyczny dużej mocy. Sprawia, że wszelkie urządzenia na prąd ulegają uszkodzeniu. Bez takich urządzeń nie da się lecieć.

- Co to ten impuls?

- Myślę, że nie czas na wykłady z fizyki, panie Sanchez. Przyjmuje pan moją propozycję?

Juan Ramirez Sanchez spojrział na Alvareza. Prawnik skinął głową twierdząco.

- Jeżeli uda ci się załatwić Amerykanów, jak mówiłeś, to jesteś wart tych dwudziestu milionów, młody człowieku.

- Proszę przygotować ludzi - powiedział Rosjanin, wstając z fotela. - Najdalej za trzy dni likwidujemy komandosów i grupę CIA.

- Płatność po robocie?

- Tak jak się umówiliśmy.

- Nie boisz się, że ci nie zapłacę?

Robert Lee popatrzył na niego z góry.

- Nie, panie Sanchez. Nie boję się i obaj wiemy dlaczego.

- Oczywiście żartowałem. - Kolumbijczyk uśmiechnął się nieszczerze.

- Oczywiście. Panowie, miło było was poznać. Będziemy w kontakcie. Żegnam.

Gość wyszedł, nie czekając na reakcję mężczyzn.

*Kolumbia, obszar działań amerykańskiej jednostki specjalnej, trzy dni później*

Major James Peters uniósł rękę. Idący za nimi żołnierze zatrzymali się i przyklękli. Za chwilę niewielki oddział operacyjny miał wyjść z lasu i pokonać kilkusetmetrowy odcinek otwartej przestrzeni przeciętej wąskim strumieniem. Po drugiej stronie były zalesione wzniesienia, na których znowu będą niewidoczni dla wroga.

Dłuższą chwilę lustrował przez lornetkę teren poniżej. Ruchem ręki przywołał sierżanta. Schylony podoficer podbiegł do dowódcy. Sierżant Mark Bradshaw, podobnie jak inni, miał na sobie czarno-zielony kamuflaż. Tylko niezwykle wprawne oko mogło wyłowić jego i postaci pozostałych ludzi na tle okolicznej roślinności. Byli jak duchy. Niszczyli centra produkcji kokainy i znikali, zanim obrońcy po nagłym silnym uderzeniu byli w stanie się przegrupować i jakkolwiek skutecznie zareagować na atak. Ewentualny pościg kończył się zawsze tak samo - niczym.

Major podał podwładnemu lornetkę. Sierżant przyjrzał się kilku wybranym miejscom na wzniesieniu. Tam mógł czaić się ewentualny wróg.

- Co myślisz? - spytał major.

- Spokój.

- Łączności dalej nie ma?

- Cisza jak w grobie.

- Jasna cholera - major zaklął półgłosem. - To już ile?

- Ponad cztery godziny. Co robimy?

- Bierzemy się do roboty. Według ostatnich informacji wytwórnia kokainy jest nie dalej jak trzy kilometry stąd. - Peters popatrzył na mapę. - To musi być gdzieś tutaj. - Uderzył palcem wskazującym w folię ochronną.

Bradshaw rzucił okiem na wskazany punkt.

- Idziemy? - spytał dowódcę.

Major nie odpowiadał. Jeszcze raz przyłożył lornetkę do oczu. Instynkt ostrzegał o niebezpieczeństwie.

- Ty, Sanders i Landsman zostaniecie tu. Macie mieć oczy szeroko otwarte. W razie czego osłaniacie nas. Jak nie będzie problemów, my przeskakujemy, wy dołączacie.

- Tak jest - potwierdził sierżant i wycofał się.

Trzej snajperzy ustawili karabiny i przez lunety uważnie obserwowali okolicę. Jakikolwiek podejrzany ruch po drugiej stronie wywoła natychmiastową reakcję. Karabin plunie pojedynczym strzałem i ewentualny wróg znajdujący się w odległości blisko tysiąca metrów zostanie skutecznie wyeliminowany. Pozostali komandosi wraz z majorem zaczęli pośpiesznie schodzić w kierunku strumienia. Mijały minuty. Nic się nie działo. Żołnierze

przeszli przez strumień i ruszyli truchtem w stronę wzniesień. Kiedy wydawało się, że otwarta przestrzeń zostanie pomyślnie pokonana, ni stąd, ni zowąd rozpętało się piekło. Nieomal ze wszystkich stron komandosów zasypał grad pocisków z broni maszynowej. Snajperzy natychmiast otworzyli ogień. Starali się wyśledzić napastników po błyskach wystrzałów. Trochę na oślep pojedynczo gasili źródła ognia, których było co najmniej kilkadziesiąt. Egzekucja amerykańskich komandosów trwała nie dłużej niż kilka minut. Bradshaw, Sanders, i Landsman z przerażeniem patrzyli, jak pociski dużego kalibru rozrywają ciała ich towarzyszy broni. Zanim major zdążył nakazać odwrót, kula przeszła mu szyję. Wykrwawiał się na śmierć jeszcze przez jakiś czas, próbując zatkać dłonią tętnicę. Szukali schronienia za kamieniami, próbując się ostrzeliwać, lecz ostrzał z góry nie dawał im żadnych szans. Kanonada ucichła. Dzieło zniszczenia było dokonane.

Sierżant Bradshaw podjął szybką decyzję. Trzeba się natychmiast stąd wynosić. Kolumbijczycy szybko domyślą się, że martwi żołnierze przy strumieniu nie są jedynymi w okolicy. Tak czy inaczej z pewnością będą chcieli to sprawdzić.

- Spieprzamy - sierżant rzucił krótki rozkaz.

Snajperzy poderwali się. Sierżant sięgnął po telefon satelitarny, by jeszcze raz spróbować się połączyć. Połączenie zostało nawiązane.

- Tu pajak! - krzyknął do mikrofonu Bradshaw. Biegł za swoimi ludźmi. - Gdzieście, do kurwy nędzy, byli tyle czasu?!

- Pajak, uciekajcie stamtąd - odezwał się głos w słuchawce. - Kartel zna wasze położenie i szykuje zasadzkę. Kierujcie się na....

- Kurwa, coście tam narobili?! Strzelali do naszych jak do kaczek. Major nie żyje, prawie cały oddział zmasakrowany! Jak mogliście do tego dopuścić?

- Ilu ocalało?

- Trzech.

- Zidentyfikuj się.

- Sierżant Mark Bradshaw.

- Kierujcie się na północ, w umówione miejsce. Wyślemy ptaka. Zabierze was. Bez odbioru. - Połączenie zostało przerwane.

- Kurwa. - Bradshaw zatrzymał się na chwilę. Snajperzy popatrzyli za siebie i też przystanęli. - Kurwa, ktoś nas wystawił! - krzyknął do nich. - Spierdalamy!

Komandosi pobiegli dalej.

*Bogota, Kolumbia, biuro CIA*

Simon Melnick zamknął laptopa. Jeszcze raz w myślach przeanalizował raport od sierżanta Bradshawa. Popatrzył w okno. Na zewnątrz żar lał się z nieba. W pomieszczeniu panował przyjemny chłód. Szumiała wydajna klimatyzacja. Doskonale radziła sobie z nieznosnym upałem. Założył ręce za głowę, oparł się wygodnie na fotelu i położył stopy na biurku.

Przez otwarte na oścież drzwi gabinetu weszła około trzydziestoletnia agentka Alice Perkins. Kobieta o sportowej budowie ciała miała krótko przystryżone czarne włosy - fryzura dość wygodna, biorąc pod uwagę kolumbijską aurę. Ubrana była w luźne spodnie koloru khaki i sportową białą koszulę z zapinanymi na guziki kieszeniami na piersiach. Mimo że była w stroju adekwatnym do warunków polowych, w jakich przyszło im tu pracować, niezmiennie przyciągała pożądlive spojrzenia zarówno kolegów, jak i łasych na kobiece wdzięki ich kolumbijskich współpracowników.

- Samochody i ochrona już są - powiedziała Alice. Melnick mimowolnie zatrzymał na chwilę wzrok na jej wydatnych, na pewno doskonale kształtnych piersiach. Podobnie jak inni wiele by dał, by sprawdzić swoje domysły naocznie. Jednak Alice Perkins pozostawała dla współpracujących z nią mężczyzn niezdołaną twierdzą. Dostrzegła jego spojrzenie. - Czekają na dole - dodała surowo.

Z jednej strony schlebiały jej wyraźnie widoczne ukradkowe i tęskne jednocześnie spojrzenia zachwytu nad jej urodą, ale z drugiej strony, biorąc pod uwagę jej odmienną orientację seksualną, z czego przed kolegami nigdy nie robiła żadnej tajemnicy, spojrzenia te momentami zaczynały ją denerwować. Uznawała, że chłopaki powinni pogodzić się już z sytuacją, w której szanse na romans z jakimkolwiek mężczyzną równały się zeru, mimo że ostatnio nie miała żadnej stałej partnerki. Była tutaj jedyną kobietą, więc siłą rzeczy sytuacja zmuszała ją do życia w swego rodzaju celibacie.

- Gdzie Miller?

Melnick wstał z krzesła i zapakował laptopa do czarnej skórzanej torby z paskiem do przewieszenia na ramieniu.

- Kończy pakować dokumenty - odpowiedziała służbowo. - Zaraz będzie gotów. Coś jeszcze?

- Jesteś pewna, że nie dasz się zaprosić na kolację i...? - spytał mężczyzna i uśmiechnął się pod wąsem wymownie, choć doskonale wiedział, jaka musi paść odpowiedź.

- Jesteś pewny, że nie jesteś kobietą? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Uśmiech z twarzy agenta Melnicka zniknął jak kamfora. Nie pierwszy raz usadziła któregoś z nich celnym słowem. Mimo to nadzieja w ich męskich sercach wciąż nie gasła.

Przypomniał sobie niedawne słowa Andiego Millera na temat wdzięków koleżanki: „Tyle dobra się marnuje”. Simon Melnick westchnął głośno. Agentka Perkins skrzywiła się w pogardliwym uśmiechu. To, że był jej szefem, nie upoważniało go do niczego.

- OK. Zbieramy się. - Melnick ponownie stał się profesjonalistą wykonującym powierzone mu zadania. - Kogo mamy do ochrony?

- Czterech naszych ludzi i sześciu policjantów na motorach - odparła.

- Ci ichni policjanci pytali, którędy będziemy jechać?

- Pytali parę razy. Mówili, że musimy powiedzieć, bo to baaardzo ważne - sarkastycznie przeciągnęła słowo.

- Patrz, sukinsyny. Pewnie chcieli nas sprzedać. Co im powiedziałaś?

- Prawdę. Ze względów bezpieczeństwa trasa przejazdu ustalana jest w ostatniej chwili.

- I co, odwalili się?

- Mieli wyjście?

- Pojedziemy tędy - pokazał jej drogę na złożonym w niewielki kwadrat planie miasta.

- Trochę naokoło, ale przynajmniej nigdzie nie utkniemy. - Alice przyjrzała się narysowanej na mapie trasie. Kiwnęła głową. - Daj to naszemu kierowcy. Kolumbijczykom ani słowa. Mają nas tylko eskortować.

- Jasne.

W drzwiach stanął agent Andy Miller. Był to postawny mężczyzna w hawajskiej koszuli. Przykrótkie spodnie odsłaniały sandały na bosych nogach. Z wyglądu stanowił raczej zaprzeczenie stereotypu agenta CIA. W jego przypadku pozory myliły. Był świetny w tym, co robi. Na koncie miał znaczące sukcesy w walce z zewnętrznym wrogiem.

- Gotów - powiedział i poprawił niewielki plecak na ramieniu. - Możemy spadać.

Cała trójka zeszła schodami i wsiadła do czarnego terenowego jeepa zaparkowanego niemal przy samym wejściu do budynku. Czterech ludzi w ciemnych okularach przeczesujących wzrokiem teren natychmiast wsiadło do samochodów. Jeden razem z agentami i trzech do drugiego jeepa za nimi. Samochody ruszyły. Policjanci uruchomili silniki motocykli i pojechali, ustawiając się równolegle po obu stronach samochodów.

\*

- Tędy jeszcze nie jechaliśmy - powiedział Andy, spoglądając przez pancerną szybę. - Znasz tę drogę? - zwrócił się z pytaniem do Melnicka.

- Popatrzyłem na miasto przez naszego satelitę - odpowiedział Melnick. - Od razu rzuciła mi się w oczy. Takie jakieś de-ja-vu, czy inne cholerstwo. Pomyślałem, czemu nie.

- Déjà vu? - Alice odwróciła się z tylnego siedzenia i popatrzyła zaskoczona na zawsze tak racjonalnego, o wyjątkowo analitycznym umyśle współpracownika i przełożonego jednocześnie. - U ciebie? Bez jaj. Tobie to się nawet nic nie śni.

- Sam się zdziwiłem. Ludzki mózg to pieprzona zagadka.

- Nawet twój? - rzuciła mimochodem Alice i odwróciła się z powrotem twarzą do kierunku jazdy.

Zanim Melnick zdążył odpowiedzieć na jej złośliwość, odezwał się Andy Miller.

- Mówisz, że ta droga wydawała ci się znajoma?

- Tak jakby. A co, masz jakąś teorię naukową?

Miller popatrzył na niego, a potem na plecy kierowcy, kompletnie ignorującego ich rozmowę, skupiającego się na drodze, i na tył kształtnej głowy agentki Perkins. Analizował coś w myślach.

- Do satelity podłączyłeś się przez sieć?

- Oczywiście. Niby jak inaczej?

- Ostatnio dużo czasu siedziałeś przy komputerze w bazie danych, nie?

- Chyba normalne, nie? - zniecierpliwził się Melnick. - O co ci chodzi? Mówże, bo zaczynasz mnie wkurzać.

- A jeżeli tę trasę ktoś zaplanował za ciebie?

- Ty na pewno się dobrze czujesz, agencie Miller? - spytał Melnick z kpina w głosie i pokazał palcem czoło.

- Wiesz, tu chodzi o bezpieczeństwo naszych tyłków. Jesteśmy na celowniku. Nie zaszkodzi dmuchać na zimne.

- Co ci się znowu nie podoba?

- A na przykład przekaz podprogowy. Przy dzisiejszej technologii...

- Jezu, Alice, zrób coś z nim. Upij go, albo co, bo zaraz nadworny fizyk powie nam, że mózg mi ktoś zmanipulował. - Przyłożył dłoń do czoła. - Przekaz podprogowy, tak, jasne. I dlatego tędy jedziemy. - Patrzył na Millera spod przymrużonych powiek. - A słyszałeś, mądralo, że przekaz podprogowy słabo działa, albo nie działa w ogóle? Stuknij się w łeb, Andy i przestań już czytać te pierdoły science fiction, bo ci na mózg siadają.

Miller odwrócił się do okna.

- To dlaczego go zakazali? - rzucił pytanie od niechcienia.

- Co zakazali?

- Przekaz podprogowy - wtrąciła się Alice, nie odwracając się do nich. - Może coś w tym jest.



- Ty, światła kobieta, łykasz to, co ten szalony fizyk ci wstawia?

- Są rzeczy na świecie... - zaczęła, lecz nie dane jej było skończyć wypowiedź.

Jak grom z jasnego nieba spadł na nich grad pocisków z broni maszynowej. W tym samym momencie coś uderzyło w przód samochodu i uniosło go na ułamek sekundy o kilkadziesiąt centymetrów. Pocisk ręcznej wyrzutni raketowej wystrzelony z dachu trzypiętrowego domu uderzył w ziemię zaraz przed jeepem. Mieli szczęście, ale siła uderzeniowa uszkodziła silnik i maszyna stanęła. Miejsce idealnie nadawało się na zamach. Niezbyt szeroka ulica z piętrowymi blokami mieszkalnymi po obu stronach stanowiła swoisty wąwóz. Agenci odruchowo padli na podłogę. Melnick zdążył jeszcze spojrzeć za siebie. Huk wybuchu i drugi jeep został zamieniony w płonąca kupę złomu. Trzej ochroniarze nie mieli żadnych szans na przeżycie. Czterech policjantów zginęło od kul od razu. Ich podziurawione ciała leżały przed i z boku samochodów. Dwoch pozostałych ostrzeliwało się z zniszczonego wybuchem jeepa.

- Kurwa! Rany boskie! - wrzasnęła Alice, kuląc się na podłodze między fotelem a deską rozdzielczą.

Kierowca wydobył z za pazuchy pistolet maszynowy i wyskoczył z samochodu. Zostawił za sobą otwarte drzwi, żeby pasażerka mogła też się wydostać. Zaczęła się gramolić, przeciskając się między oparciem fotela a kierownicą. W każdej chwili mógł nastąpić kolejny atak z ręcznej wyrzutni raketowej.

Ostrzał prowadzony był od strony pasażera, więc działanie ochroniarza było jak najbardziej uzasadnione. Otworzył tylne drzwi.

- Wysiadać! - krzyknął do skulonych agentów. - Do bramy! - Wskazał palcem wąskie, pozbawione drzwi wejście do budynku kilka metrów od nich.

Mężczyźni nie czekali na powtórne zaproszenie. Ochroniarz prowadził przerywany ogień. Zdołał zabić dwóch napastników kryjących się na dachu. Alice wygramoliła się z samochodu i schowała się za kołem. Tymczasem agenci, pochyleni nisko, ruszyli biegiem pod osłoną ognia ochroniarza. Mieli do pokonania jakieś trzy metry otwartej przestrzeni. Alice popatrzyła za siebie. Policjanci przez krótkofalówkę, starając się przekrzyczeć kanonadę, wzywali pomocy. Odwróciła głowę. Jej koledzy byli już przy bramie. Kiedy znaleźli się w wejściu celna seria z dachu po przeciwnej stronie ścieła obydwu z nóg. Zastygli w bezruchu.

- Boże, zabili ich! - krzyknęła agentka.

- Spokojnie - powiedział ochroniarz. - Może są tylko ranni.

W tym samym momencie, jakby ktoś postanowił rozwiać wątpliwości, ciałami agentów wstrząsnęła kolejna seria z karabinu maszynowego. Tym razem Amerykanie mogli

mieć już całkowitą pewność. Agenci Simon Melnick i Andy Miller nie doczekają emerytury.

Kolejny policjant upadł na plecy trafiony pociskiem w głowę. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Ochroniarz wymienił magazynek. Oboje zdawali sobie sprawę, że to już ostatni. Wyciągnął z kabury pod pachą pistolet i podał kobiecie. Wymienili spojrzenia. Wzięła broń i przeładowała. Drogo oddadzą swoją skórę. Ostatni policjant był ranny w pierś. Siedział oparty o bok samochodu i oddychał ciężko. Więc to tak ma się zakończyć jej życie? Właśnie na początku błyskotliwej kariery? Wstępując do CIA, nie myślała o tak przecież realnym zagrożeniu życia. Nie dopuszczała do siebie tej ewentualności. Spodziewała się życia na pełnych obrotach rodem z filmów sensacyjnych. Rzeczywistość nagle przerosła jej oczekiwania. W filmie główni bohaterowie wychodzą cało z największych opresji. Tutaj nie ma filmu. Jest Kolumbia i bezpardonowa walka z wszechwładnymi kartelami narkotykowymi.

Nie strzelała. Towarzysz niedoli wstrzymał ogień. Nie wiedziała, czy skończyła mu się amunicja, czy po prostu dał za wygraną. Nie pytała. Kiedy czekali na jedyny możliwy wyrok losu, powietrze zahuczało. Na niebie pojawił się wojskowy śmigłowiec, który natychmiast zalał napastników ogniem z ciężkiej broni pokładowej. W ulicze przed nimi zobaczyli szybko zbliżający się wóz opancerzony. Nie wierzyli własnym oczom. Oddziały rządowe stanęły na wysokości zadania.

W ciągu kilku minut zamachowcy zostali wyeliminowani. Niewielu zdołało uciec.

- Boże, żyjemy - powiedziała Alice, patrząc na mężczyznę obok siebie. - Udało się.

- Tym razem jeszcze tak - odpowiedział i wychylił się ostrożnie.

Kiedy podjechał wóz opancerzony i zatrzymał się między nimi a ścianą, która jeszcze kilka chwil temu była źródłem zacieklego ostrzału, spróbował wstać. Był powierzchownie ranny w nogę i w ramię. Z pojazdu wybiegli żołnierze.

- Nic wam nie jest? - spytał młody człowiek w randze sierżanta. - Możecie iść?

- My tak - odparła agentka. - Oni nie - ruchem głowy wskazała ciała kolegów z firmy.

- Zaraz tu będą służby medyczne. Zabieramy was stąd.

Żołnierze sprawdzali ciała policjantów. Patrzyli na dowódcę i kręcili głowami, co oznaczało, że na ratunek było już za późno. To samo było w przypadku amerykańskich agentów. Niczego innego się nie spodziewała. Ostatniego żywego ciężko rannego policjanta nieśli na noszach. Żołnierze na dachach domów badali ślady pozostawione przez bandytów.

## ROZDZIAŁ 18

*Monachium, Niemcy*

Erika Koch włożyła koniuszek pędzla do ust i przyjrzała się swojemu dziełu. W lewej ręce trzymała paletę z rozrobionymi farbami. Męski akt był gotowy. Rzuciła jeszcze okiem na pozującego jej nago niespełna dwudziestoletniego mężczyznę. Leżał na kanapie z rękami pod głową. Był szczupły, ale niezłe zbudowany, o doskonałych proporcjach ciała, które mogłyby stanowić natchnienie dla starożytnych rzeźbiarzy. Jego ujmująca twarz i krótkie blond włosy sprawiały, że większości kobiet serce zaczynało szybciej bić. Lewą nogę miał zgiętą w kolanie, a prawa swobodnie zwisała zza krawędzi kanapy i lekko dotykała podłogi, eksponując w ten sposób malarce bujne przyrodzenie, które stanowiło kluczowy, najlepiej oddany element jej obrazu.

- Gotowe - powiedziała z zadowoleniem. - Możesz już się ruszać.

Mężczyzna usiadł. Rzucił okiem na fotel pod ścianą, gdzie leżało jego ubranie.

- Co teraz? - spytał.

Prawie czterdziestolatka, elegancka i wciąż niebywale atrakcyjna kobieta nanosiła na obraz drobne poprawki. Odsunęła się na jakieś dwa metry i jeszcze raz spojrzała na swoją pracę, tym razem krytycznie.

- Teraz tu trochę posprzątaj - powiedziała, nie patrząc na niego. - Poukładaj co trzeba, a odkurzacz znajdziesz w szafce. - Widząc jego wahanie, kobieta spojrzała na niego i dodała: - Tak, tak. Sprzątaj nago. Nie potrzebujesz ubrania.

Mężczyzna wstał i posłusznie zaczął doprowadzać celowo zabałaganiony ogromny pokój gościnny do porządku. Przekładał rzeczy na swoje miejsce i układał porozrzucane różne części garderoby, nie wyłączając bielizny. Erika Koch rozparła się wygodnie na kanapie i obserwowała krzątającego się modela.

- Gdzie położyć ten wazon? - spytał i obrócił się do niej przodem.

Uśmiechnęła się lubieżnie na widok okazałych męskich genitaliów. Rozsunęła czerwony jedwabny szlafrok i odsłoniła kształtne nogi w pończochach i dolną część świetnie utrzymanego ciała w czarnej koronkowej bieliźnie. Założyła nogę na nogę. Z nieukrywaną satysfakcją patrzyła, jak członek mężczyzny unosi się we wzwodzie.

- Połóż go tutaj, koło sofy. - Pokazała ręką okrągły biały stoliczek po prawej stronie. Podszedł do niej i pochylił się, stawiając wazon na stoliku. Kobieta chwyciła trzema palcami za koniec twardego stojącego członka i przyciągnęła chłopaka bliżej siebie. - Teraz ściągnij mi pończochy. Pomalujesz mi paznokcie - powiedziała i rozłożyła lekko nogi.

Kiedy chłopak sięgnął do jej lewego uda, by spełnić życzenie klientki, zadzwonił telefon komórkowy. Erika Koch cmoknęła głośno, dając tym wyraz wyjątkowego niezadowolenia. Wstała i chwyciła telefon.

- Przecież mówiłam, żeby mi nie przeszkadzać! - huknęła do aparatu.

- Mieliśmy zawiadomić, jak ten człowiek przyjdzie - odezwał się niski męski głos. - Już jest. Ma czekać?

- Akurat teraz - powiedziała wyraźnie zawiedziona. - Nie, dajcie go na górę. Sprawdziliście go?

- Tak. Jest czysty. Żadnych podsłuchów Nic.

- No to czekam - powiedziała i rozłączyła się. Zwróciła się do klęczącego przy kanapie chłopaka. - Idź do pokoju obok. Poczekaj. Mam coś do załatwienia.

Mężczyzna podniósł się, podszedł do fotela i sięgnął po ubranie.

- Zostaw te łachy - powstrzymała go. - Na razie nie będą ci potrzebne.

Ledwie młodzieniec zamknął za sobą drzwi, Erika Koch zrzuciła szlafrok, naciągnęła przez głowę bluzkę i wciągnęła krótką, dzinsową spódnicę. Była gotowa na przyjęcie gościa. Przejrzała się jeszcze w lustrze i poprawiła krótko ścięte blond włosy. Na schodach usłyszała kroki i chwilę potem do pokoju wszedł przystojny młody człowiek w eleganckim garniturze.

- Dzień dobry, pani Koch - stanął przed nią i skłonił się szarmancko. - Nazywam się Jean Paul Dubois.

- Witam pana, panie Dubois - odparła. - Proszę siadać. - Wskazała fotel, który młodzieniec zdążył uprzątnąć przed przyjściem gościa. Sama usiadła na sofie, zakładając wyzywająco nogę na nogę, mając nadzieję na przyciągnięcie wzroku gościa. Na próżno. Mężczyzna wydawał się być całkowicie odporny na jej wdzięki. - Proszę wybaczyć bałagan, ale ta dzisiejsza służba... - powiedziała usprawiedliwiająco. - Nigdy z nimi do końca nic nie wiadomo.

Dubois rzucił kilka spojrzeń na wewnątrz.

- Zupełnie mi to nie przeszkadza. Przyszedłem, by złożyć pani pewną propozycję.

- Rozumiem. A tak jeszcze z czystej ciekawości, skąd miał pan mój telefon?

- Dostałem numer od moich mocodawców. Skąd oni go mieli - rozłożył ręce w geście bezradności - nie wiem i nie będę pytał.

- A kim są pana mocodawcy, jeśli wolno wiedzieć?

Jean Paul Dubois przecząco pokręcił głową, dając kobiecie jasno do zrozumienia, że pewne informacje muszą pozostać jedynie w sferze domysłów.

- Tak jak powiedziałem...

- Bardzo pan tajemniczy - przerwała mu w pół słowa. - Taki piękny mężczyzna... - dodała zalotnie.

- Obawiam się, że pani mąż nie byłby zachwycony, gdyby panią teraz słyszał...

- Mój mąż jest na jakimś sympozjum finansistów w Kanadzie. Więc nie stanowi najmniejszego problemu - odpowiedziała rezolutnie. - Pan naprawdę jest Francuzem? Znakomicie pan mówi po niemiecku. Praktycznie nie do odróżnienia.

- Studiowałem w Heidelbergu.

- No proszę. A co?

- Filozofię.

- Brawo - stwierdziła z udawanym uznaniem. Zaczynała czuć do niego silny fizyczny pociąg, co zresztą w jej przypadku nie było niczym nadzwyczajnym. - Nie dość, że piękny, to jeszcze inteligentny.

- Choć pewnie nie tak, jak pracownicy pewnej ekskluzywnej agencji towarzyskiej - stwierdził beczelnie. Jej awanse zaczynały go irytować.

- Nie rozumiem.

- Mogę podać adres agencji i daty kilku ostatnich usług. Nazwiska usługodawców też by się znalazły. A mąż daleko...

Erika Koch poczerwieniała.

- Pan się myli - podniosła głos. - Chce mnie pan szantażować?

- Nic podobnego, pani Koch - odpowiedział beznamiętnie. - Chcę panią wybawić od problemu, którym jest pani szanowny małżonek.

- To znaczy?

- Powiedzmy niepozostawiający żadnych wątpliwości wypadek. Swego rodzaju samobójstwo. Pani przejmuje cały, nie oszukujmy się, ogromny majątek i jest pani wolną kobietą.

- Proszę mówić dalej - powiedziała całkowicie opanowanym głosem.

- Oboje wiemy, że w razie ewentualnego rozwodu pozostaje pani praktycznie bez grosza. A wcześniej czy później pewne pani skłonności i kontakty i tak wyjdą na jaw.

- Myśli pan, że mój mąż by panu uwierzył w te bzdury z agencją towarzyską?

- W ogóle nie zamierzam z pani mężem na ten temat rozmawiać. Nie interesują nas

problemy małżeńskie.

- Tylko co?

- Nasza propozycja jest prosta. W ciągu, powiedzmy, tygodnia pani mąż umrze, śmiercią tragiczną, ale niejako naturalną. Pozostanie pani całkowicie poza jakimkolwiek podejrzeniem. Przejmuje pani cały majątek, a gdy sprawa zostanie zamknięta, wypłaca pani nam, nazwijmy to - prowizję na konto w jednym z krajów karaibskich. Jak pani widzi, wszystko uczciwie. Bez żadnych zaliczek. Wypłata po wykonaniu zlecenia, gdy będzie pani czysta jak łąza i wolna jak ptak.

Oparła się wygodnie.

- Wie pan, każde słowo w tym pomieszczeniu jest nagrywane.

- Domyślam się.

- Nie boi się pan, że nagranie trafi na policję?

- Absolutnie nie. Myślę nawet, że poleci pani jeszcze dzisiaj skasować to nagranie.

- Niby dlaczego miałabym to robić?

- Bo się to pani opłaci. Majątek męża i wolność. Ma pani wyjątkowo dużo do zyskania.

- Nic do stracenia?

- Gdyby faktycznie jakimś cudem zapis naszej rozmowy trafił na policję, w co oczywiście ani przez chwilę nie wierzyłem, żyłaby pani nie dłużej niż kilka dni. Co do tego nie mam cienia wątpliwości.

Kobieta poczuła gwałtowne mrowienie na karku i z tyłu głowy. Coś jej mówiło, że ten przystojny mężczyzna nie blefuje.

- Z tą policją, to tylko taki niewinny żarcik - powiedziała i uśmiechnęła się sztucznie. - Przyzna pan też, że propozycja niesie ze sobą jakieś tam ryzyko dla mnie. Nie wiem, czy chcę je podjąć. Nie uśmiecha mi się ewentualny wyrok za współudział w morderstwie.

- Ryzyko jest tylko czysto teoretyczne. Możemy naturalnie zapomnieć o naszym spotkaniu, ale tak mi się coś wydaje, do końca życia żałowałyby pani, że odrzuciła tę niezwykłą okazję. Moim skromnym zdaniem, oczywiście.

Erika Koch kokieteryjnie poprawiła włosy i kusząco przejechała palcem po swoich szerokich ustach. Udawała, że się głęboko zastanawia. Nie upłynęło więcej niż kilkanaście sekund, kiedy odezwała się stanowczo.

- W porządku. Mówią, że kto nie ryzykuje, ten nie żyje. Zgadza się. Jak zamierza pan tego dokonać?

- Nie ja, pani Koch. Tutaj moja rola się kończy. Sprawą zajmą się fachowcy.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że może poznamy się bliżej...

- A ten młody człowiek w pokoju obok?

Kobieta nie spieszyła się ani na jotę. Rzuciła okiem na bezwładnie rzucone męskie ubrania na drugim fotelu.

- Spozrzegawczy jesteś - stwierdziła bezpośrednio, starając się nadać głosowi głęboki, kuszący ton.

- Jest jedna rzecz, którą musi pani zrobić.

- Dla pana wszystko. - Uśmiechnęła się i zatrzepotała uwodzicielsko długimi rzęsami.

- Nie dla mnie, dla siebie, pani Koch - powiedział, nadal wydając się zupełnie nieczuły na jej wyraźne zaloty. - Proszę mężowi kupić motocykl. Marka to Honda Gold Wing. Zapamięta pani? To bardzo ważne. Żaden inny, tylko ten.

- Po co mu motocykl?

- Wskutek rozwijania nadmiernej prędkości dojdzie do nieszczęśliwego wypadku. Śmiertelnego wypadku. Nie muszę chyba mówić, kto będzie ofiarą.

- Rozwijania nadmiernej prędkości? - Kobieta roześmiała się w głos. - Widzę, że nie sprawdził pan swoich informacji o moim mężu. Mój ukochany mąż Reinhard Koch nie rozwija nadmiernych prędkości. Nigdy. Nawet samochodem jeździ tak, że niedługo starszankowie na elektrycznych wózkach inwalidzkich zaczną go wyprzedzać. I co pan na to powie?

- Powiem, że nie docenia nas pani, pani Koch. Wiem, co mówię. Pan Koch wraca pojutrze z konferencji. Niech mu pani do tego czasu sprawi Hondę Gold Wing. Tylko proszę pamiętać, żaden inny. Z początkiem przyszłego tygodnia będzie pani całkowicie wolna i do tego bajecznie bogata.

- Jest pan bardzo pewny siebie, panie Dubois.

- Bo mam rację.

- Bardzo mi się to podoba. - Jej zafascynowanie tym Francuzem rosło z każdą chwilą.

- A ile mnie to będzie kosztowało?

- Dziesięć milionów euro. Biorąc pod uwagę wielkość majątku, który pani przejmie, to niezbyt wysoka cena.

- Płatność, gdy sprawa zostanie ostatecznie zamknięta? - upewniła się.

- Dokładnie. Co zresztą nastąpi w ciągu miesiąca.

- Myśli pan, że tak szybko?

- Ja nie myślę. Ja to wiem, proszę pani.

- To kiedy się znowu spotkamy, tym razem w bardziej sprzyjających okolicznościach?

Jean Paul Dubois wstał. Umowa została zawarta.

- Mam do pani telefon. Odezwę się. Żegnam, pani Koch.

I proszę nie trzymać za długo tego młodzieńca za drzwiami. Jeszcze gotów się przeziębic.

Nie odpowiedziała. Odprowadziła go wzrokiem. Nie zastanawiała się, czy zadzwoni. Zastanawiała się, kiedy. Nie dopuszczała innej ewentualności. Podeszła do drzwi drugiego pokoju. Młody człowiek siedział na skraju łóżka małżeńskiego i czytał książkę. Podniósł się na jej widok.

- Czas skończyć, cośmy zaczęli - powiedziała i przywołała go palcem wskazującym.

Sprawnym ruchem ściągnęła bluzkę i zsunęła spódnicę. Na widok jej oszłamiającej i zniewalającej męskie zmysły bielizny członek młodzieńca ponownie zaczął się unosić.

Na ulicy przed budynkiem Francuz przyłożył słuchawkę komórki do ucha. Wykrzywił usta na głośne odgłosy ruchu ulicznego. Hałas przejeżdżających samochodów utrudniał rozmowę. Uzyskał połączenie.

- Max?

- Mów.

- Erika Koch załatwiona. Możecie brać się do roboty.

- Atrakcyjna? - spytał Niemiec mimochodem.

- Niezła, a co?

- Nie wolno ci „brać na ruszt” klientek. Wiesz, co mam na myśli. To może zaszkodzić interesom.

- *Ordnung muss sein*, co? Wy Niemcy cierpicie na klasyczny „dupościsk”. Wyluzuj, Max. Życie jest piękne. Trzeba tylko umieć z niego korzystać.

- Dubois, nie denerwuj mnie.

- Widzimy się za tydzień.

Jean Paul wyłączył telefon. Jego niemiecki kolega bywał czasem męczący.



## ROZDZIAŁ 19

Wieczór w klubie studenckim zaczynał się rozkręcać. Maciek obejmował wtuloną w jego ramię Magdę Frank. Siedzieli przy długim drewnianym stole wraz z trójką znajomych - Sławkiem Glinką z anglistyki i jego koleżankami z roku, Mileną i Roksaną. Rozmawiali głośno, starając się momentami przekrzyczeć hałaśliwą, rytmiczną muzykę. Panował półmrok. Kilkanaście metrów dalej, na parkiecie, bawiło się co najmniej kilkadziesiąt osób w przeważającej większości studentów wrocławskich uczelni.

Magda sączyła przez słomkę swojego ulubionego drinka na bazie bitej śmietany i kawy z dużą zawartością alkoholu, nazywanego tu „Białą damą”. Był słodki, a jednocześnie całkiem mocny. Chłopcy popijali piwo, dziewczyny raczyły się kolorowymi drinkami o nieokreślonym bliżej składzie.

- Tańczymy! - zakomenderował Sławek i porwał od stołu obydwie koleżanki. - Pilnujcie naszego picia, jak nie idziecie! - krzyknął do Maćka i Magdy. - Potem najwyżej zrobimy zamiankę.

Dołączyli do kołyszącej się w rytm muzyki młodzieży akademickiej. Magda popatrzyła na chłopaka. Zrozumieli się bez słów.

- Sami niech sobie pilnują, nie?

Maciek wziął ją za rękę i wstał. Jednak zanim zdążyli wyjść z za stołu, przed nimi wyrósł jak spod ziemi Patryk Herman. Wyszczерzył się w uśmiechu i rozłożył szeroko ręce, jakby chciał ich uściskać na powitanie. Stał pomiędzy wczepionymi w jego ramiona dwoma dziewczynami w nieprzyzwoicie kusych spódniczkach. Wyglądały bardziej na licealistki ostatniej klasy niż studentki. Patryk nigdy nie był drobiazgowy. Wystarczyło mu, że były pełnoletnie. Tej reguły przestrzegał dość surowo. Wiadomo, zbliżenie fizyczne z małolatą pachniało prokuratorem, a na to zdecydowanie nie miał ochoty.

Magda doskonale go znała i wiedziała, że ten wydawałoby się przyjazny gest nie wróży nic dobrego. Maciek patrzył to na dziewczynę, to na przybysza. Nie wiedział, czego się ma spodziewać. Nigdy nie mieli okazji poznać się osobiście, czego Maciek Burdzik akurat wcale nie żałował. Widać nadszedł moment, kiedy trzeba będzie się zmierzyć z tą raczej wątpliwą, przynajmniej dla niego, przyjemnością. Zdawał sobie sprawę z faktu, że jakiś czas temu byli z Magdą blisko. Każda myśl o ich wspólnej przeszłości powodowała niemal

fizyczny ból. Był zazdrosny, strasznie zazdrosny. Starał się nad tym jakoś zapanować i jak do tej pory nieźle mu szło, aż do teraz, kiedy Herman samą swoją obecnością zburzył emocjonalny ład, który chłopak zdołał zbudować.

- Madzia, jak się cieszę, że cię znowu widzę.

Całkowicie zignorował obecność Maćka. Chwytał ją za ramiona i próbował pocałować. Odchyliła głowę do tyłu i delikatnie, ale stanowczo ściągnęła jego dłonie ze swoich barków.

- Cześć, Patryk - odpowiedziała beznamiętnie.

- No co ty, Madzia. Nie przywitasz się ze mną?

- Właśnie to zrobiłam.

- Nie tak się witałaś parę miesięcy temu. Nie zapomniałaś chyba naszych upojnych nocy?...

Słowa te obliczone były na wywołanie bardzo konkretnego efektu. Mimo że cały czas Patryk traktował Maćka jak powietrze, chciał obudzić w nim bolesne emocje. Chciał go sprowokować. Niewiele trzeba było.

- Przepraszam, ale właśnie szliśmy się bawić, więc jakbyś mógł... - Maciek uznał, że najwyższy czas zainterweniować.

- To jest ten małorolny, co mi mówiłaś? - spytał dziewczyny, patrząc jej prosto w oczy. Maćka nie zaszczycił spojrzeniem. - Wieś tańczy i śpiewa. Faktycznie, pachnie tak jakoś... - zmarszczył brwi, szukając w myślach właściwego słowa - jakby oborą.

Pociągnął dwukrotnie nosem. Dziewczyny u jego boku zachichotały. Burdzik się zagotował.

- Lepiej pachnieć oborą niż być palantem - odpowiedział wystarczająco głośno, by mieć pewność, że Patryk usłyszał.

Nawet nie próbował silić się na jakąkolwiek finezję. Nie był w stanie. Rzucił spojrzenie na dziewczynę. Ścisnęła go mocniej za rękę i pokręciła przecząco głową. Chciała mu dać do zrozumienia, żeby nie dał się sprowokować. Patryk ewidentnie szukał zaczepki. Widziała już takie akcje w jego wykonaniu w przeszłości. Ćwiczył kick-boxing i już niejedną podbudowywał swoje ego, tłukąc ludzi, których postanowił dla rozrywki wciągnąć w bójkę. Magda nigdy Maćkowi o tym nie wspominała. Starła się o Patryku w ogóle nie mówić, bo wiedziała, że jest to dla niego temat sam w sobie nieprzyjemny. Teraz żałowała. Maciek mógłby nie zważać na to, co się do niego mówi, i po prostu się wycofać.

- Uuu, małorolny się rzuca. - Patryk przeniósł na niego wzrok. - A co, widłami do gnoju mnie poczęstujesz? Wsiok jesteś, kolego, i nic tego nie zmieni. - Nachylił mu się do

ucha i powiedział ściszym o ton głosem: - Magda w końcu przejrzy na oczy i wróci do mnie. Będę ją miał kiedy i jak zechcę. Opowiem ci kiedyś, co robiliśmy i w jakich miejscach. Zdziwiłbyś się, jak mnie zaspokajała.

Wyprostował się i patrzył na Maćka, oczekując efektu swoich słów. Chłopak wydawał się zupełnie spokojny. Jakby go to wcale nie obeszło. Pozornie. Tylko pozornie.

- Maciek, nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała Magda i pociągnęła go za rękę. - Chodź, wychodzimy.

Chłopak przytrzymał ją. Dopiero teraz zauważyła, jak patrzy na Patryka. Jak kogut szykujący się do bitki. Miała nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. Skończyło się na nadziei.

- Wychodzimy - potwierdził Burdzik. - Ale tylko my z Patrykiem. Ty, Magda, tu poczekaj. Porozmawiamy na zewnątrz i zaraz wrócę.

- Maciek, przestań! - krzyknęła dziewczyna. - On ćwiczy kick-boxing. Krzywdę ci zrobi.

Patryk zrobił zawiedzioną minę. Teraz chłoptaś się wystraszy i ubawu nie będzie. Po co Frankowa paplała?

- Nic mi nie będzie, Magdusia. Obiecuję.

Uścisnął jej dłoń i skierował się do wyjścia. Herman uśmiechnął się pogodnie.

- Zaczekajcie, kocice. Muszę udzielić jednemu wsiokowi lekcji dobrych manier. Zaraz wracam.

Odprowadził go nienawistny wzrok Magdy Frank. Zaczęła się rozglądać za ochroniarzami. Nie widziała żadnego. Teraz, kiedy byli najbardziej potrzebni, żeby ratować jej chłopaka.

Na zewnątrz panował przyjemny chłód. Maciek przypomniał sobie, co zawsze wuj wkładał mu na treningach do głowy. Do walki podchodź bez emocji, na zimno. Wyprowadź przeciwnika z równowagi, a zyskasz nad nim przewagę, bo zacznie popełniać błędy.

- Jesteś śmierdzącym tchórzem - rzucił do Patryka. - Jesteś gównem, którym muszę sobie pobrudzić ręce.

Herman najpierw zgłupiał. Potem zawrzał. Takie nic, taki śmieć miał czelność mówić do niego w ten sposób? Zdecydował roznieść gnojka już na samym początku, chociaż wcześniej planował trochę się nim pobawić. Ruszył na Burdzika z zamiarem rozbicia go kilkoma lewymi prostymi i dokończenia prawym. Starcie miało potrwać niewiele więcej niż kilkanaście sekund. Tyle potrwało. Maciek był przygotowany na atak. Herman nie podejrzewał, że jego całkiem niezłej technice przeciwstawi się najbrutalniejszy styl walki z możliwych: techniki wojskowych jednostek specjalnych, których celem jest zadawanie jak

najdotkliwszego bólu i szybka, bezpardonowa eliminacja przeciwnika. Kick-boxing to sport, a sposób walki, którego uczył go Gawlik, to niszczenie za wszelką cenę i jak najskuteczniejsze. Maciek uchylił się nisko przed pierwszym lewym prostym, który trafił w powietrze. Jednocześnie wymierzył potężny, precyzyjny cios w podbrzusze Patryka na wysokości miednicy. Ból przeszywający ciało okazał się paralizujący. Pod Patrykiem ugięły się nogi. Mimowolnie złapał się za brzuch. Maciek nie czekał. Wyprostował się natychmiast i otwartymi, delikatnie przykurczonymi dłońmi uderzył w uszy przeciwnika. Ciśnienie wtłoczone w ten sposób w aparat słuchowy spowodowało rozrywający ból. Patryk chwycił się za głowę. Kopnięcie w podbródek dokończyło dzieła. Uderzenie nie musiało być silne. Zadane w odpowiednie miejsce powoduje wstrząs pozbawiający człowieka na chwilę przytomności. Tak się też stało.

Magda wybiegła na podwórze z przyjaciółmi, których cudem odnalazła w tłumie tańczących. Ochroniarze odmówili interwencji poza terenem klubu. Zobaczyła Maćka stojącego nad nieruchomym ciałem Patryka.

- O Boże! - krzyknęła.

W tej samej chwili Patryk jakby ją usłyszał, zacisnął powieki, podniósł głowę i potrząsnął nią energicznie. Zdawał się nie wiedzieć, co się właśnie stało. Otworzył oczy i spojrzał na Maćka. Dotarło do niego, za czyją sprawą tu leży. Spróbował się poderwać, ale zawiroowało mu w głowie. Zdołał jedynie usiąść. Czwórka przyjaciół dobiegła do Maćka. Herman obrzucił ich nienawistnym spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na przeciwniku.

- Jeszcze się kiedyś spotkamy - warknął Patryk.

- Lepiej nie, bo zostaniesz kaleką na całe życie - odpowiedział chłopak całkiem spokojnie.

Magda szarpnęła go za rękaw.

- Idziemy - powiedziała tonem nieuznającym sprzeciwu.

Maciek posłusznie pozwolił prowadzić się jej w stronę ulicy. Sławek i anglistki spojrzeli za siebie. Patryk Herman z ogromnym trudem wstał na nogi.

Magda zaciskała usta. Była zła. Maciek nie mógł tego nie zauważyć. Angliści wymieniali półgłosem komentarze, idąc krok za nimi.

- Przepraszam cię, Magdusiu, ale musiałem zareagować. On obraził przede wszystkim ciebie. Nie mogłem tego tak zostawić. Nie gniewaj się na mnie. Już się to więcej nie powtórzy. Obiecuję, że już się nie wpakuję w żadną awanturę.

Spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem. Chwilę później uśmiechnęła się i wzięła go za ramię.

- To ty nie wiedziałeś, że kobiety lubią, kiedy mężczyźni o nie walczą?

- To znaczy...

- To znaczy, że jesteś moim rycerzem.

Przyłgnęła do niego całym ciałem. Wiedziała już na pewno, że chce, by byli parą, a może nawet kimś więcej...

## ROZDZIAŁ 20

*Kwatera główna CIA, Langley, Stany Zjednoczone*

Weszła do sali konferencyjnej. Było to prostokątne pomieszczenie wielkości średniej sali wykładowej, pozbawione okien, z jasnym, sztucznym światłem. Stosunkowo nisko zawieszony sufit, jak na całkiem spory metraż, przytłaczał. Na środku stał drewniany, owalny stół. Ilość krzeseł wystarczyłaby na zorganizowanie konferencji z udziałem o ile nie wszystkich, to znaczącej większości przedstawicieli władz najwyższego szczebla w USA.

Naprzeciwko wejścia siedziało trzech mężczyzn. Alice rozpoznała ich od razu. Tom Sallinger, prawa ręka szefa agencji, generał Robert Branson, koordynujący specjalne, tajne akcje wojskowe na różnych kontynentach, i w środku, między nimi, Paul Glaze z Departamentu Obrony.

- Agent specjalny Alice Perkins - przedstawiła się służbowo.

- Usiądź, Alice - zwrócił się do niej Sallinger ojcowskim tonem. Dwaj pozostali przyglądali się jej z minami pokerzystów. Natychmiast rzuciły się w oczy jej jeszcze niezagojone zadrapania nad lewym okiem i na lewym policzku. Przed każdym z mężczyzn leżały otwarte papierowe teczki. - Zapoznaliśmy się z twoim raportem odnośnie wydarzeń w Bogocie - kontynuował Sallinger. - Sama pewnie przyznasz, że to, co się tam wydarzyło, może niepokoić. Za dużo niewyjaśnionych kwestii. Cała sprawa nie trzyma się kupy. Jak to możliwe, że bandyci wiedzieli, którędy będziecie jechać?

- Zgodnie z procedurami agent Simon Melnick podał trasę przejazdu w ostatniej chwili - odpowiedziała agentka. - Nie ma mowy o przecieku. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Jak pani wie, dzień wcześniej została wybita do nogi specjalna grupa uderzeniowa w terenie. Uratowało się tylko trzech ludzi - odezwał się generał Branson. - Bez dwóch zdań zostali namierzeni i wciągnięci w pułapkę. Pani zespół kierował ich działaniami. Łączność satelitarna. Coś na ten temat pani powie?

- Nie wiem, dlaczego straciliśmy z nimi łączność - odpowiedziała. - Wszystko, co wiedziałam, zawarłam w raporcie.

- Może coś sobie w międzyczasie przypomniałaś? - wtrącił się Sallinger. - Każdy szczegół może mieć znaczenie.

- Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

Przedstawiciel Departamentu Obrony wziął długopis i zaczął coś zapisywać na zadrukowanej kartce, która leżała w otwartej teczce. Generał odwrócił głowę w jego stronę i spojrzał na jego zapiski. Paul Glaze szepnął mu coś do ucha, na co wojskowy przecząco pokręcił głową. Potem nachylił się w stronę Sallingera. Uzyskał tę samą przeczącą reakcję.

- Agentko Perkins - odezwał się głośno Glaze. - Nie do końca jest dla nas jasna pani uwaga na temat tego, co powiedział agent Miller. Chodzi o ten przekaz podprogowy. Pani zdaniem to jest istotne?

- Staralam się opisać sprawę jak najdokładniej. O ile wiem, przekazem podprogowym można manipulować ludźmi, ale w bardzo ograniczonym zakresie. Poza tym jest on wykrywalny. Moim zdaniem Andy Miller fantazjował.

Do sali wszedł szczupły starszy człowiek w okrągłych okularach z nienaturalnie grubymi szklami. Miał na sobie podniszczony jasny garnitur i czarne buty. Sprawiał wrażenie roztargnionego, jakby znalazł się tu przez pomyłkę i szukał wzrokiem wyjścia.

- Witam, profesorze - odezwał się do niego Tom Sallinger. - Zapraszam. Proszę siadać.

Mężczyzna popatrzył na siedzącą obok agentkę, jakby wzrokiem pytał ją o pozwolenie. Potem niepewnie odsunął krzesło i zajął miejsce naprzeciwko trójki mężczyzn.

- Profesor Steward Gordon z Uniwersytetu Yale zgodził się z nami spotkać i odpowiedzieć na nasze pytania w wiadomej sprawie. - Tom przedstawił naukowca obecnym.

- Panie profesorze, mamy pewien problem i potrzebujemy fachowej konsultacji.

- Chętnie pomogę, w miarę moich możliwości oczywiście - odpowiedział skwapliwie naukowiec.

- Otóż interesuje nas sprawa przekazu podprogowego wysyłanego do komputera danego użytkownika i jego ewentualna skuteczność.

- Wiele by tu mówić. Ale może sprecyzuje pan swoje pytanie?

- Konkretnie. Czy jest możliwe podłączenie się do cudzego komputera i zmanipulowanie użytkownika przekazem podprogowym, by ten następnie podjął konkretną decyzję, której oczekujemy?

- Teoretycznie wszystko jest możliwe - odparł profesor. - Ale bardzo wątpię, by coś takiego w ogóle miało miejsce.

- Dlaczego? - wtrącił się Paul Glaze.

- Ponieważ znana nam technologia zapewnia taką skuteczność przekazu podprogowego w przypadku raczej niezbyt silnych osobowości. A domyślam się, że nie o

taką chodzi. Badań nad jego usprawnieniem raczej się nie prowadzi. Jest zabroniony, więc po co? Można się włamać do cudzego komputera, ale zainstalowanie tam czegoś, co zmanipuluje użytkownika... nie wiem, niby można, na przykład jakiś wirus, ale tak jak mówię, nie liczyłbym na wiele, zależy jeszcze, jakiej decyzji oczekujemy.

- Na przykład wybranie trasy przejazdu przez miasto na podstawie analizy planu ulic - odpowiedział Glaze.

- Teoretycznie wszystko jest możliwe - powtórzył się profesor Gordon. - Ale moim zdaniem taka technologia... cóż... To wymaga badań naukowych, środków, ludzi, a i wyniki pracy to i tak byłaby wielka niewiadoma. Trudno powiedzieć.

- Ale nie wyklucza pan takiej możliwości? - spytał Branson.

- W nauce niczego nie należy wykluczać, panie generale. Gdyby pięćset lat temu opowiadał pan o możliwości zrobienia telewizora, spaliliby pana na stosie.

- Mówimy o czasach teraźniejszych.

- Rozwój nauki jest nieprzewidywalny.

- Krótko, profesorze - wtrącił się Tom Sallinger. - Jest to możliwe czy nie?

- Moim zdaniem raczej nie. Ale mogę nie mieć racji. Tak jak powiedziałem...

- Bardzo panu dziękujemy, profesorze - przerwał mu bezceremonialnie pracownik agencji.

- Chciałem tylko jeszcze powiedzieć...

- W razie czego wiemy, jak się z panem skontaktować.

Profesor był niepocieszony. Nie przywykł do tego typu traktowania. Zwyczajowo on mówił, a ludzie słuchali. W pewnych instytucjach rządowych widać panują zgoła odmienne zwyczaje. Wyszedł bez pożegnania.

- Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia - powiedział generał Branson i wstał od stołu.

Glaze przetarł dłońmi twarz.

- Czy będę jeszcze potrzebna? - spytała Alice, nie spodziewając się odpowiedzi twierdzącej.

Branson i Glaze zignorowali jej pytanie. Sallinger popatrzył na nią nieobecny wzrokiem. Zanim zdążył odpowiedzieć, do sali weszła młoda kobieta z kartką papieru. Ubrana była w białą koszulę i granatową spódnicę. Nachyliła się do Toma i powiedziała mu coś półgłosem. Mężczyźni nie zwracali na nią uwagi. Przedstawiciel Departamentu Obrony wyciągnął paczkę papierosów i przyglądał się jej z dziwnym zainteresowaniem.

- Zostań, Alice - powiedział Tom, kiedy pracownica wyszła. - Panowie, chyba coś mamy. Właśnie dostałem wiadomość od naszego człowieka na Wschodzie. - Przeniósł wzrok



z powrotem na kartkę, którą trzymał w prawej dłoni, i zaczął czytać. - „Te kłamliwe ruskie sukinsyny znowu nas oszukały. Kłamali, że Witalij Jakuszyn dostał wyrok śmierci, i kłamali, że wyrok został wykonany. Rosjanin po pięciu latach odsiadki został wypuszczony na wolność. Ruscy oficjele wszystko zwalili na niedawno zmarłego ich szefa więziennictwa Mikulina. Zmarł w dość zagadkowych okolicznościach. Nie wiemy, gdzie może być Witalij Jakuszyn. Nie jesteśmy w stanie go zlokalizować. Potencjalnie oznaczać to może duże kłopoty”.

Tom Sallinger odłożył dokument na blat stołu. Wyciągnął chusteczkę i przetarł energicznie szkła okularów, po czym umieścił je na nosie. Generał odwrócił się do Sallingera.

- O kurwa - wyrwało mu się. - To pewne?

- Moim zdaniem nie ma wątpliwości. - Tom oparł łokcie na stole i splótł dłonie.

- Ktoś mi wyjaśni, kto to jest ten Witalij... jakoś tam? - przedstawiciel Departamentu Obrony przestał analizować strukturę paczki papierosów.

Generał Branson usiadł. Alice patrzyła na mężczyznę, nie wiedząc, czy ma się w ogóle odzywać, czy też lepiej siedzieć cicho.

- Alice, coś wiesz o sprawie? - Tom Sallinger uniósł brwi.

- O ile pamiętam, chodziło o handel bronią na światową skalę i handel nowoczesnymi technologiami wojskowymi, ale nie tylko. Podobno program nuklearny Korei Północnej i Iranu to w dużym stopniu jego zasługa. Podpadł swoimi ziomkom i tylko dlatego zgodzili się z nami współpracować. To wszystko, co wiem.

- Czyli jesteś w temacie - jej przełożony pokiwał głową. - Trzeba tylko dodać, że Witalij Jakuszyn to weteran z Afganistanu, były agent rosyjskich specsłużb. Poza tym absolwent jednego z naszych najlepszych uniwersytetów i jak się dowiedzieliśmy, wybitny specjalista informatyk. Tak na marginesie, to oni tam na Wschodzie w ogóle są lepsi w te klocki, szczególnie ostatnio polscy młodzi informatycy. I do kompletu to Jakuszyn zdążył po drodze wybić nam paru bardzo dobrych agentów.

- Czyli, o ile dobrze rozumiem, ten wasz Witalij byłby teoretycznie w stanie robić jakieś niesamowite czary-mary z tym przekazem podprogowym? - chciał się upewnić Glaze.

- Jak mówił profesor: „teoretycznie wszystko jest możliwe”. Obawiałbym się raczej, że tutaj już słowo ciałem się stało - potwierdził Tom. - Jeżeli udało mu się odbudować organizację, a tego nie można wykluczyć, to może być dopiero początek naszych kłopotów. Zresztą nie tylko naszych.

- Mamy kogoś, kto byłby w stanie działać w Rosji? - spytał Branson.

- Moim zdaniem dałby radę tylko jeden człowiek. Szkolony przez Ruskich i też

weteran z Afganistanu. Nazywa się Adam Gawlik.

- Gawlik? Polak?

- Polak - potwierdził Tom.

- Ten sam, co robił dla nas w Somalii w '93 i parę lat potem pomógł Osmanowi Hassanowi Alemu dopaść Aidida?

- Ten sam.

- No to trzeba brać człowieka. Dobry jest. Ma doświadczenie.

- Szczerze wątpię.

- Dlaczego?

- Bo ostatnim razem zorganizowaliśmy zamach bombowy na jego rodzinę i mówiliśmy mu, że stoi za tym prawa ręka pewnego Koreańczyka, Ahmed El Saleh. Ahmeda wysłał do nieba, ale potem dowiedział się, jak było naprawdę. Przyszedł po mnie i do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego darował mi życie. Każdy normalny z branży uciąłby mi jaja i wydlubał oczy. Nie liczyłbym na to, że się da namówić.

- Kurwa, te wasze metody rodem ze średniowiecza! - wybuchnął generał.

- Masz lepsze, generale? - warknął Sallinger.

- Może by jednak z nim pogadać? - wtrącił się Paul Glaze.

- Pewnie, że można. Tyle że Jakuszyn to jego podwładny z Afganistanu. Mogą się nie lubić, ale na pewno nie są wrogami. Może też być dokładnie odwrotnie. Równie dobrze mogą być kumplami. Tego nie wiemy. I co wtedy? Powiemy: „Gawlik, załatw dla nas swojego towarzysza broni”? Poza tym nie wiemy, kto w Rosji stoi za Jakuszynem, a ktoś stać musi. To jasne.

- Tak czy inaczej, warto z Polakiem pogadać, nie? - Glaze zacisnął usta.

- Nie zaszkodzi.

- Ktoś go zna?

- Patterson go znał, ale nie żyje. Akcja w Birmie.

- Może ktoś jeszcze? - jęknął pracownik Departamentu Obrony.

- Alice, znajdź majora Michaela Benta - zwrócił się do podwładnej. - Jest, a przynajmniej jeszcze jakiś czas temu był w jednostkach Rangers. Skontaktuj się z nim. Znają się z Gawlikiem z Hondurasu. Dobierzcie sobie paru zaufanych ludzi i jedźcie do Polski. A nuż coś zwojujecie.

Zanim agentka zdążyła wyrazić jakiegokolwiek wątpliwości, Tom Sallinger machnął dłonią jakby chciał powiedzieć: „Nie teraz. Później porozmawiamy”. Alice wstała, skinęła mężczyznom na pożegnanie i opuściła salę konferencyjną.

- Myślisz, że da sobie radę? Młoda trochę - wyraził wątpliwość Branson.
- To świetna baba. Ma tylko jedną wadę.
- Jaką?
- Woli kobiety.
- Znaczy lesba?
- Dokładnie.
- Co ty powiesz. Takie ciało się marnuje.

\*

Alice Perkins, idąc długim korytarzem, myślała co robić. Patrzyła w podłogę i mijała ludzi, nie odpowiadając na ich grzecznościowe „Hello”. Ta sprawa to dowód, że Sallinger widzi w niej wielki potencjał. Wiedziała o tym doskonale. Nie może zawalić. Nie może zawieść jego zaufania. Mówiła sobie w duchu, że stanie na głowie, żeby się wykazać. Postanowiła, że skaptuje tego Polaka, choćby, mimo awersji do płci przeciwnej, miała mu wleźć do łóżka. Nie brała pod uwagę faktu, że może się oprzeć jej nadzwyczajnym wdziękom. Nawet gdyby, to ma przecież swoje kobiece sposoby. Potem dobierze się Rosjaninowi do dupy. Nie ma takiej ceny, której w tym momencie nie byłaby gotowa zapłacić za sukces i szybki rozwój kariery w firmie.

Uznała, że najlepiej zacząć od informatyków. Badanie komputerów Andiego i Simona, mimo uszkodzeń, powinno przynieść jakieś rezultaty. Może już coś mają, coś, czego można by się na początek chwycić.

Przeciągnęła swój identyfikator przez czytnik i wpisała kod. Drzwi do sali informatyków rozsunęły się. Wewnątrz siedziało pięciu mężczyzn z nosami w monitorach. Najtęższe informatyczne mózgi z najlepszych uczelni rozwiązywały komputerowe łamigłówki. Bez cienia wątpliwości moralnych, na polecenie przełożonych dopuszczali się działań, za które normalnie dostaliby solidny wyrok więzienia.

- Cześć, Billy - powiedziała i stanęła za plecami młodego człowieka. Z wyglądu miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. - Masz coś?

Obrzuciła wzrokiem koszmarny bałagan na jego biurku. Spośród resztek jedzenia i fragmentów urządzeń elektronicznych wydostawał się rozbebeszony laptop Melnicka. Był podłączony grubym kablem do stacjonarnego komputera pod blatem.

Billy Corky odchylił głowę mocno do tyłu, tak że miał odwrócony obraz koleżanki. Uśmiechnął się i zmrużył oczy.

- A co masz na sobie? - spytał niewinnie.
- A co, wzrok straciłeś od pornografii internetowej? Nie widzisz?

- Wiesz, o co mi chodzi. Pod tym eleganckim wdziankiem. Znaczą pod spodem.

- Nic, Billy. Absolutnie nic, jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć - odparła prowokacyjnie.

Mężczyzna wydał z siebie stęknienie, jak człowiek z zaparciami, próbujący załatwić w toalecie potrzebę fizjologiczną, co nie uszło uwadze kolegów. Okręcił się na krześle o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał jej w oczy, nie przestając się uśmiechać.

- No to kiedy? - spytał.

- Co kiedy? - Udała, że nie wie, o co mu chodzi.

- Kiedy pozwolisz mi się przyłączyć do swoich miłosnych igraszek z jakąś inną anielicą?

- Z tym, co masz w rozporoku, nie dałbyś rady.

- Nie znasz moich możliwości - nie poddawał się Billy.

- Janet z pierwszego piętra mówiła mi o twoich możliwościach. Chyba nie chcę ich poznać.

- Janet? Która Janet? - Uśmiech Billy'ego stał się nienaturalny.

- Tak, tak. Właśnie ta Janet, o której oboje myślimy.

Wydał policzki. Nie odzywał się przez chwilę.

- Słaba była. Nie potrafiła mnie nakręcić. Ty to co innego.

- Jeszcze nie twoja liga, Billy - powiedziała i skrzywiła się. - Może kiedyś... - dodała frywolnie. Charakterystyczne stęknienie stanowiło męski komentarz do jej słów. - Mów, co wyciągnąłeś z laptopa chłopaków. Sallinger kazał mi zająć się sprawą.

- Jego książęca mość przydzielił ci to gówno? To masz problem.

- Jaki problem?

- Jak pewnie wiesz, kazali mi szukać jakichś obcych programów, czegoś, co by się dało wykorzystać na przekaz podprogowy. Jakies wirusy i tego typu syfy.

- Wiem, i co?

- No właśnie. I nic.

- Szlag by to. - Zacisnęła zęby i odwróciła się. - Myślałam, że coś...

- No, może prawie nic - przerwał i podniósł tryumfalnie głowę.

- To znaczy? - Wbiła w niego pytający wzrok.

- To znaczy, że był jakiś robal, ale się w porę sam zneutralizował. Nie wiem, co to było i co robiło, ale do laptopa Melnicka ktoś się dobrał i to nie dla rozrywki.

- Toś mi wiele nie pomógł.

- Zapominasz kochanie, że jestem genialny.

- Tak?

- Robał się wyczyścić, ale nie na tyle, żeby nie wykrył, skąd przyszedł sygnał.

- I?

- I ten ktoś, co mieszał w komputerze Melnicka, był w Rosji. Wschodnia część. Stawiałbym na Syberię. I moim skromnym zdaniem to nie był żaden syberyjski prymityw, tylko najwyższej klasy specjalista. Prawie taki jak ja. - Rozłożył ręce jak artysta przyjmujący owacje. Owacji nie było. - Sam bym chętnie gościa poznał i coś mi się widzi, że jeszcze na świecie narozrabia.

- Dzięki, Billy.

Zrobiła krok w stronę drzwi, lecz zatrzymał ją jego głos.

- No to jak będzie?

- Z czym? - Tym razem, zaaferowana tym, co jej powiedział, autentycznie nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Jak z czym? No wiesz. - Puścił do niej oko.

- Wprawiaj się, Billy, wprawiaj. Kto wie, może za parę lat, jak któraś powie mi coś interesującego o tobie...

Naburmuszył się, odwrócił i zaczął walić palcami w klawiaturę.

Wyszła na korytarz. Przystanęła i zamyśliła się. Czyżby faktycznie Witalij Jakuszyn? Zaczęły ją ogarniać wątpliwości. Jeżeli tak, to czy na pewno sobie poradzi? Z drugiej strony taki stary wyga jak Sallinger nie przydzieliłby jej tej roboty, gdyby nie liczył na sukces. Musi przeanalizować wszystko, co jest w firmie na temat Rosjanina. Trzeba też dokładnie przejrzeć to, co mają o Polaku. Może znajdzie jakiegoś haka. Powinien być profil psychologiczny. Jest co robić.

Odpowiedziała na pozdrowienie przechodzącej obok młodej kobiety. Była bardzo atrakcyjna. Alice nie widziała jej tu wcześniej. Patrzyła na jej fantastyczne kształty z doskonale ukrywanym pożądaniem. Wyobraziła ją sobie zupełnie nagą, kroczącą powoli korytarzem. Musi ją odszukać. Warto by ją bliżej poznać. Znacznie bliżej.

## ROZDZIAŁ 21

- No, który się założy? - Mężczyzna w typowo budowlanym ubraniu roboczym powiódł wzrokiem po siedzących przed nim trzech młodych praktykantach do zawodu ciesielskiego. Ich dwaj starsi opiekunowie, doświadczeni fachowcy, znający się na robocie jak mało kto, przyglądali się sytuacji z zaciekawieniem. Jedli kanapki i popijali napojem gazowanym z plastikowych butelek. Przerwa śniadaniowa na budowie właśnie się zaczęła. Minie jeszcze jakiś czas, zanim trzeba będzie wracać do roboty. Władek, zbrojarz, człowiek przed pięćdziesiątką, z którym przyszło im ostatnio pracować, już trzeci dzień raczył ich niezwykłymi historiami ze swojego jak się okazywało wyjątkowo bujnego życia. - No o piwko, że ręką wbiję gwoździa na wylot w tą deskę. - Deska, którą trzymał w lewej dłoni miała jakieś dwa i pół centymetra grubości. Zapewnienia Władka wydawały się mało wiarygodne. - I co, młodzi? Stoi zakład?

- Stoi - odpowiedział praktykant. - Niech pan wbija.

- Od każdego po piwku - upewnił się zbrojarz. - Razem trzy?

Dwaj pozostali młodzieńcy skinęli głowami.

Władek wziął kawałek szmaty, obwiązał nią górną część gwoździa i ułożył sobie wygodnie w prawej dłoni, tak że ostra część wystawała prostopadle między palcami z zaciśniętej pięści. Zrobił zamach i z całej siły uderzył w deskę. Gwóźdź przeszedł na wylot. Praktykanci przestali przeżuwać śniadanie. Wzięli od zbrojarza deskę i przyglądali się jej, zachodząc w głowę, jak mu się to udało.

- Ja pierdołę - wyrwało się jednemu z młodych.

Starzy cieśle kiwali głowami z uznaniem.

- To po fajrancie trzy piwka widzę. - Zbrojarz napawał się piorunującym wrażeniem, jakie wywarł na obecnych.

- Będzie, będzie, panie Władku - zapewnił go praktykant. - Jakie ma być?

- Żywczyk wystarczy.

- Będzie żywczyk. Pan opowie coś jeszcze - poprosił drugi praktykant.

- Mówiłem wam już, że jako najemnik walczyłem w Afryce. Dokładnie w Sudanie, ale akcje tam to nie wszystko, co robiliśmy. - Władek nie dał się prosić. - Ale nie wiem, czy oglądaliście ten film *Helikopter w ogniu*.

- Jasne, że oglądaliśmy - potwierdzili młodzi jeden przez drugiego.

- No właśnie. Mało kto wie, że Amerykanie zatrudniali tam najlepszych żołnierzy fortuny do najtrudniejszych akcji. Między innymi mnie i paru jeszcze chłopaków. Współpracowaliśmy z Rangersami. Tam, gdzie oni nie dawali rady, myśmy szli i było po sprawie.

- Ale w Mogadiszu akcja się nie udała... - zwrócił uwagę praktykant.

- W Mogadiszu dowództwo zawaliło. Ja mówiłem, co trzeba robić, i gdzie uderzyć i jak, ale Amerykańce mnie nie słuchali i spieprzyli całą robotę. Ledwieśmy wyszli z życiem. Jeden mój towarzysz został tam na zawsze, ale oficjalnie nikt wam o tym nie powie, bo oficjalnie nas tam nie było.

Podziw i szacunek, jakim obdarzali zbrojarza młodzieńcy, rósł z każdym jego słowem. Cieśle też słuchali z uwagą. W końcu nie co dzień ma się okazję posłuchać z pierwszej ręki o wydarzeniach, które zna się jedynie z telewizji lub ekranizacji kinowych. Władek patrzył zamyślony nad głowami współpracowników. Wydawał się jeszcze raz przywoływać w pamięci tamte czasy.

- Mówi pan o działaniach amerykańskich w '93? - spytał Gawlik.

Nie zauważyli, kiedy stanął przy nich. Przysłuchiwał się z zainteresowaniem już dłuższą chwilę. Właśnie wrócił od kierownika budowy, z którym wyjaśniał wątpliwości odnośnie szalunków. Jego cieśle zwrócili mu na pewne rzeczy uwagę i kierownik musiał podjąć decyzję.

Władek zmierzył właściciela firmy budowlanej wzrokiem w sposób, w jaki profesjonalista patrzy na nowicjusza.

- '93 to był.

- A te akcje w Afryce? - indagował Gawlik.

- Rok wcześniej. '92. Dawne, dobre czasy. Postrzelać se można było - dodał z rozrzewnieniem.

- Bo szef - cieśla wskazał dłonią na Adama - też wyobraź sobie, Władek, tam był. I coś szefie mówiłeś, że w tym Sudanie też... nie? Żeście się nie spotkali...

Twarz zbrojarza oblała się rumieńcem. Patrzył na Gawlika spode łba. Czekał, co powie, i w myślach za wszelką cenę starał się znaleźć słowa, które zapobiegą totalnej kompromitacji. Kto mógł przypuszczać, że kiedykolwiek spotka człowieka, który będzie w stanie zweryfikować jego całkowicie nieprawdziwe opowieści. Trzeba mieć cholernego pecha. A w głowie pustka.

Adam przyjrzał mu się uważnie. Wiedział, że zbrojarz zmyśla jak najęty. Czuł

utkwione w sobie pięć par oczu. Młodzi czekali na potwierdzenie słów Władka. Starsi wyczuwali niepewność. Gawlik mógł z łatwością pogrążyć bazarza. Wystarczyło spytać o kilka szczegółów. Wystarczyło spytać, dla kogo pracował w Afryce. Balon pękłby z wielkim hukiem. Tylko jaki byłby z tego pożytek? Uznał, że nikomu nie zaszkodzi, snując te swoje niestworzone historie. Niech mu tam będzie.

- Nie spotkaliśmy się. - Gawlik patrzył uważnie na zbrojarza. Ten nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, żeby jakoś wybrnąć. - Ale słyszałem o was. - Władek zaniemówił. - Dowodził wami major Peters, prawda? - Mężczyzna był zbyt zaskoczony, by potwierdzić. Kiwnął jedynie głową, bardzo niepewnie. - Zrobiliście parę akcji w Medinie, prawda? -

Budowlaniec przytaknął energiczniej. Nie miał już nic do stracenia. - A w Sudanie robiliście zlecenia dla DynCorp, nie?

- Dla DynCorp, właśnie.

Władek odzyskiwał pewność siebie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ten człowiek właśnie wyciąga go z oparów. Nie wiedział tylko dlaczego. On sam na jego miejscu zgnoiłby takiego delikwenta dokumentnie.

- To były czasy, co?

- Jak cholera. - Zbrojarz znowu wczuwał się w rolę.

- Dobra. - Adam zwrócił się do swoich ludzi. - Gadałem z kierownikiem.

- I jak, robimy według projektu? - spytał cieśla.

- Mówi, żeby nanieść poprawki.

- Całe szczęście.

- Sprawiajcie się, panowie. Kierownik powiedział, że jak do tej pory szalunki „muchy nie siada”. Coś czuję, że będzie premia.

- Trzeba było tak od razu, szefie.

- Na razie.

Gawlik zszedł z budynku. Na ulicy przyjrzał się pracującym robotnikom budowlanym. Nikt się nie obijał. Wszyscy przepisowo w kaskach ochronnych. Organizacja pracy zupełnie inna niż za komuny. Odpowiedzialność kierownictwa też nieporównywalnie większa. Tylko te usterki. Ciągle dużo, chociaż dwadzieścia lat temu nikt nie zwróciłby na nie najmniejszej uwagi. Dziś wymagania jakościowe są daleko wyższe. Cena postępu.

Już miał iść do samochodu, kiedy zobaczył biegnącego w jego kierunku Władka zbrojarza. Mężczyzna machał do niego.

- Pan zaczeka! - krzyknął i zwolnił kroku. - Wie pan... - stanął przed Adamem i podrapał się po głowie. Był wyraźnie zakłopotany. - Ja chciałem się wytłumaczyć, ale tam nie



wypadało. Wie pan, ja nigdy nie byłem tam w tej Afryce.

- Wiem - powiedział Adam zdawkowo.

- Najemnikiem też nie byłem. Filmów się naoglądało i sam pan wie...

- Na żołnierza fortuny też pan nie wygląda.

- Bo ja parę lat garowałem. Za pobicie, i czym tu się chwalić przed młodzieżą.

Chciałem, żeby mnie szanowali, a jak takie dyrdymały się opowiadało, to wszystkim gały na wierzch wychodziły i człowiek czuł się kimś.

- Jasne. Rozumiem.

- I pan tam u góry mógł mnie z błotem mieszać, ale... pan tego nie zrobił. Ja po prostu podziękować chciałem. I chciałem powiedzieć, że więcej takich pierdoł opowiadać nie będę. Głupio wyszło.

- Panie Władku, ludzie mówią, że jesteś pan świetnym zbrojarzem. Ludzie pana za robotę szanować będą. Może mi pan wierzyć. Na mnie czas.

Wyciągnął do zbrojarza dłoń. Mężczyzna uściśnął ją mocno.

- Porządny z pana gość - powiedział robotnik na pożegnanie i wrócił na budynek.

Adam poszedł jeszcze chwilę i poszedł do samochodu.

\*

Już na korytarzu powitały go smakowite zapachy. Wciągnął w nozdrza powietrze. Nie było wątpliwości. Ktoś piekł ciasto drożdżowe. Szedł z nadzieją w sercu, prowadzony wspaniałą wonią. Zatrzymał się przed drzwiami. Zapach nie zniknął. Wszedł do mieszkania i poczuł pełnię szczęścia.

- Kto to? - zawołała Basia z kuchni.

Z małego pokoju wybiegł Franek i rzucił się ojcu w objęcia z okrzykiem „Taaata!”. To jej wystarczyło za odpowiedź, ale Adam dorzucił:

- To ja, słoneczko. Twój ukochany mąż, dla którego te smakowitości upiekłaś. - Wszedł do kuchni i ucałował ją na przywitanie. Ciasto drożdżowe z kruszonką właśnie stygło na blasze. Poczul wzmożoną pracę ślinianek i rozejrzał się za czymś do krojenia. - Dzieciaki jeszcze nie przyszły ze szkoły?

Wziął nóż i przymierzył się do krojenia.

- Zaczekaj - powstrzymała go żona. - Gorące. Skrętu kiszek dostaniesz. Zdązysz. Jeszcze drugie się piecze. To tutaj to chciałam, żebyś Maćkowi zawiózł. Obiecałam, że mu zrobię.

- Student teraz zakochany jest. Nie ciasto mu w głowie.

- Może i zakochany, ale Magda wyjechała na jakieś praktyki. Biedaczek usycha z

tęsknoty.

- A skąd ty, żona, taka dobrze poinformowana jesteś?

- Porozmawialiśmy sobie szczerze jak kobieta z mężczyzną parę razy i wiem.

- Ej, to podziel się wiedzą z mężem.

- A co tam będę plotkować. Sam go spytaj. W końcu spotykacie się na tych waszych treningach.

- Mamo, kiedy będzie ciasto? - wtrącił się Franek. - Kiedy?

- Po obiedzie, synusiu. Po obiedzie - odparła i pogładziła go po głowie. - Jak Kasia z Michałkiem ze szkoły przyjdą.

- Mamo, tylko kawałek - upierał się chłopczyk. - Ja zjem obiad. Naprawdę, mama.

- Franuś, idź się teraz pobaw do swojego pokoiku. - Adam przykucnął przy nim i wziął go za rączkę. - Tata z mamusią teraz trochę porozmawiają, a potem mamusia na pewno da ci kawałek ciasta. Może tak być?

- Dobra. - Chłopczyk rozpromienił się i pobiegł do swojego pokoju.

- Przed obiadem? - Basia popatrzyła na męża srogo.

- Kawałek. Zje obiad. Sam go przypilnuję. No, ale mów, co ze studentem.

- Z tego, co opowiadał, to jakaś bardzo fajna dziewczyna i ma dobrze w głowie poukładane. Chyba coś z tego będzie. Normalnie chodzą ze sobą. Pytałam, kiedy ją poznamy.

- I co powiedział?

- „Niebawem”.

- Zapakuj to ciasto póki ciepłe. Podjadę szybko na Krynicką. Ucieszy się chłopak.

- A co, myślisz, że coś jeszcze z niego wyciągniesz?

- Co ja mam wyciągać?

- To wrażliwy chłopak. Prosił, żebym nikomu na razie nic nie mówiła. Tobie też mówię w głębokiej tajemnicy. - Puściła do niego oko. - Nie wygadaj się.

- He, he. Popatrz, jak to baby pleciuchują. Chłopak prosił o dyskrecję, a tu proszę.

- Już ci więcej nic nie powiem - obruszyła się.

- Żartowałem, kochanie. - Przytulił ją i pocałował w głowę. - Maćkowi nie pisnę ani słowa. Będę milczał jak grób.

- Masz. - Wręczyła mu pakunek. - I szybko wracaj. Niedługo obiad.

W drodze na Krynicką wpadł w korek. W odróżnieniu od wielu innych kierowców nie przejmował się zbytnio takimi problemami. Wrocław, jako najbardziej zakorkowane miasto w Polsce, bezlitośnie przyzwyczajał mieszkańców do tego typu sytuacji. Z czasem człowiek obojętniał, widząc sznur samochodów przed sobą.

Korek się ruszył i piętnaście minut później Gawlik zaparkował przed wielkim, brzydkim wieżowcem - dumą budownictwa komunistycznego, a dziś straszącego ogromem i architektonicznym prymitywizmem.

Tradycyjnie nie skorzystał z windy i wbiegł na piąte piętro, do czego zachęcał również Maćka, lecz chłopaka nie do końca przekonywała argumentacja o zbawiennym działaniu schodów na kondycję fizyczną.

- O, cześć wujko. - Kiedy Maciek otworzył drzwi, Adam natychmiast zauważył, że jest czymś mocno zaaferowany. Od razu usiadł przed komputerem i zaczął stukać w klawisze.

- Co tam słysząc? - spytał, nie odrywając wzroku od monitora.

- Nie tyle słysząc, co czuć. Ciotka ci ciasto drożdżowe zrobiła. Pachnie wybornie.

- Eee, naprawdę? - Chłopak dopiero teraz zwrócił uwagę na pakunek. - Super! Ciocia to jest kochana kobieta.

Wziął od Adama ciasto i obaj poszli do kuchni. Maciek rozpakował i oczy mu się zaświeciły.

- Korek był po drodze, to wystygło. Ale i tak jest świeżutkie.

- Jemy? - spytał Maciek entuzjastycznie.

- Sobie zostaw. Ja mam w domu. Ciotka dwie blachy upiekła.

Chłopak odkroił sobie solidną porcję i napchał specjałem usta. Przeżuwał ze smakiem każdy kęs. Odłożył nóż na stół i klepnął się ręką w czoło, jakby właśnie przypomniał sobie coś bardzo ważnego.

- Chodź, wujek, coś ci pokażę - powiedział z pełnymi ustami. Niełatwo było go zrozumieć. - Zobaczysz, co odkryłem. - Posadził wuja przed komputerem. Przełączył okno na grę komputerową online, w której trzeba było odpowiednio układać spadające klocki różnego kształtu i konfiguracji. - Pograj sobie trochę. Zobaczysz coś ciekawego.

Adam nie przepadał zbytnio za grami komputerowymi. Czasem pogrywali sobie z Michałkiem, ale nigdy go to nie wciągnęło. Tę grę widział po raz pierwszy. Prosta, ale wymagała skupienia i refleksu. Kolejne dziesięć minut spędził, klikając myszą w odpowiednich momentach. Szło całkiem nieźle. Maciek tymczasem wziął z drukarki czystą kartkę papieru i coś na niej napisał. Następnie odwrócił ją pismem do dołu i położył na biurku. Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił, niosąc ze sobą pudełka z tabletkami. Osiem opakowań ułożył w rzędzie jedno obok drugiego.

- A ty co, lekomanem jesteś? - Gawlik przerwał grę zaniepokojony. - Po co ci to?

- To są leki sprzedawane w aptekach bez recepty. Wybierz jeden.

- Czemu mam wybrać? Ja nie potrzebuję żadnych tabletek.

- Oj, wiem, wujek. Ale po prostu wybierz. Weź do ręki i mi pokaż.

- Skoro sobie życzysz.

Adam wziął pierwsze z brzegu pudełko i podniósł demonstracyjnie do góry.

- Możesz przeczytać nazwę? - Adam wypowiedział głośno nazwę leku. Maciek podniósł z blatu biurka kartkę papieru. - A teraz to, co tu napisałem?

Gawlik stwierdził, że nazwy są te same. Popatrzył na studenta podejrzliwie.

- Jakaś sztuczka?

- Nie sztuczka. Właśnie byłeś świadkiem działania przekazu podprogowego. W sieci krąży wirus, który karmi użytkowników niedostrzegalnymi dla normalnej percepcji informacjami. W ten sposób można wpływać na decyzję człowieka. Z przekazem podprogowym sprawa jest dosyć stara, ale nikomu nigdy przedtem nie udało się zrobić z tego rzeczy praktycznie niewykrywalnej. Nie wiem, kto i skąd to robi, ale wiem dlaczego. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że podejmują decyzje zgodne z życzeniami kogoś innego, tak jak na przykład ty, wujko. Może to jakieś koncerty handlowe, albo cholera wie co. Ale pieniądze za tym na pewno stoją ogromne.

- O ile wiem, to przekaz podprogowy jest nielegalny.

- Dokładnie. Ale w tym wydaniu nie da się go wykryć.

- Eee, chyba się da, skoro tobie się udało...

- Miałem szczęście. Cholerne szczęście. Czysty przypadek. Nie będę cię zanudzał technikaliami, ale to prawie jak wygrana w totolotka. W każdym razie wyizolowałem tego wirusa i wiem, jak to wszystko działa. Teraz tropię źródło.

- Tylko po co ci to?

- Jak to po co? Wyobrażasz sobie, wujek, jaka to może być afery? Na skalę światową - ekscytował się student. - Można manipulować całymi społeczeństwami. Polityka, biznes, możliwości praktycznie nieograniczone.

- A co, uważasz, że teraz politycy i korporacje nie manipulują ludźmi?

- Nie tak skutecznie. Z całą pewnością nie tak skutecznie jak z tym.

Gawlikowi nigdy nie podobało się, że chłopak zajmował się hakerstwem. Włamywał się na różne strony i dla rozrywki zostawiał ślady swojej bytności. Wiedział, że hakerzy się tak zabawiają. Wszystko było do przyjęcia, do czasu prób łamania systemów obronnych czy bankowych. Na szczęście Maciek był na tyle rozsądny, by trzymać się od takich spraw z daleka. Jednak to, o czym chłopak mówił w tej chwili, nie wróżyło nic dobrego. Zdecydowanie był to powód do zaniepokojenia.

- Maciek, posłuchaj, co ci powiem.

- No?

- Skup się i potraktuj to bardzo poważnie.

- Zawsze traktuję poważnie, co wuj mówi.

- Proszę cię, żebyś zostawił to swoje „odkrycie”. Popisałeś się i wystarczy. Potraktuj to jako następną hakerską zdobycz i zajmij się czymś innym.

- Wuju, przecież to rozwojowa sprawa. - Chłopak żwawo gestykulował. - Zostawić to?

- Maciek, nie wiadomo, kto za tym stoi. Nie wiadomo, po co to wszystko jest robione. Może to jakaś mafia albo, co gorsza, jakieś służby specjalne. Mówię ci, daj sobie spokój, bo możesz ściągnąć sobie na łeb takie kłopoty, że sobie nawet nie wyobrażasz.

- Jakie kłopoty? A kto mnie namierzy?

- Pewność siebie bywa zgubna, kolego. Miałem kiedyś pewnych siebie kumpli. Śmiertelnie im ta pewność siebie zaszkodziła.

- Wuj myśli, że...

- Myślę, że młody jesteś i, nie obraż się, głupi. Obym się mylił, ale takie sprawy cholernie śmierdzą i to niestety śmierdzą cmentarzem. Daj sobie spokój, Maciek, póki nie jest za późno.

Słowa Adama zrobiły na nim piorunujące wrażenie. Chłopak ewidentnie się przejął.

- Aż tak?

- Powiedziałem, mogę się mylić. Daj Boże. Ale są rzeczy o których nie masz pojęcia i lepiej by było, żebyś nigdy nie miał z nimi do czynienia. Zajmij się nauką, swoją Magdą i w ogóle. Możesz mi obiecać, że nie będziesz już tego tykał?

- OK. Mogę. Jeżeli wuj tak mówi...

- Wiem, co mówię. Możesz mi wierzyć. Czyli sprawa zamknięta. Zapominasz o tym wirusie, tak?

- Zapominam. - Głos studenta zabrzmiał stanowczo.

Adam odetchnął z ulgą. Na tyle znał Maćka, żeby spokojnie uznać, że słowa dotrzyma. Czuł przez skórę, że właśnie zawrócił chłopaka z bardzo niebezpiecznej drogi. Pomyślał, że może przesadza z tą ostrożnością, ale w końcu czuł się za tego młodego człowieka w jakimś tam stopniu odpowiedzialny i chciał ustrzec go od niepotrzebnych problemów, prowadząc czasem za rękę, tak jak kiedyś, lata temu, jego poprowadził pewien niezwykle nauczyciel języka polskiego ze szkoły podstawowej.

- Trzymam cię za słowo, chłopie. Nie zawieź mnie.

- Nie zawiodę.

- Dobra. Ciotka mówiła, że usychasz z tęsknoty za Magdą, choć jakoś tego nie

zauważyłem, więc ty sobie tu dalej usychaj, a ja muszę lecieć. - Wstał z krzesła. - Jak dzieciarnia ze szkoły wróci, to z drożdżowego dla mnie tylko okruchy zostaną.

- Nie no, niech się wuj częstuje - zaoferował Maciek.

- To jest dla ciebie. Ja swoje mam w domu. Trzymaj się i nie rób nic głupiego. Na razie, chłopie.

Zbiegł ze schodów na parter, po drodze mijając zaskoczoną staruszkę dźwigającą torby z zakupami. Rzeczywiście musiał przedstawiać sobą osobliwy widok. Stary facet zasuwa po schodach jak nastolatek. Dziwny jest ten świat.

### *Cajun Country, Luizjana, Stany Zjednoczone*

Drewniany wystrój restauracji z jedzeniem Cajun tworzył specyficzną, ciepłą, domową atmosferę. Trzyosobowa orkiestra złożona ze skrzypiec, gitary akustycznej i czegoś na podobieństwo niewielkiego akordeonu przygrywała skoczne, łatwo wpadające w ucho melodie, typowe dla miejscowej ludności wywodzącej się od zajmujących te obszary od ponad dwustu lat francuskich osadników. Na otwartej, całkiem sporej przestrzeni między orkiestrą a drewnianymi, jakby naprędce zbitymi, topornymi stolikami tańczyło sześć par. Ich bardzo przyjemne dla oka płynne ruchy sprawiały, że człowiek mógłby na nich patrzeć bez końca. Ludowy taniec Cajun w ich mistrzowskim wykonaniu miał w sobie coś tak ujmującego, że postronny obserwator natychmiast ulegał i dawał się ponieść jego czarowi.

Alice Perkins usiadła przy jedynym wolnym stoliku niedaleko drzwi. Rozglądała się ciekawie wokół. Nie było ani jednego elegancko ubranego gościa. Wszyscy wyglądali na miejscowych. Mieli na sobie zwykłe, codzienne stroje. Przeważały kraciaste flanelowe koszule, dzinsowe spodnie i wysokie, powyżej kostki traperskie buty, stanowiące jakąś ochronę przed ukąszeniem węża, których w okolicy było niemało. Doskonale skrojonym garniturem Alice mocno wyróżniała się spośród obecnych, lecz nikt specjalnie nie zwracał na nią uwagi.

- Bonjour - przywitała się po francusku młoda kelnerka w ludowym stroju.

- Hello - odpowiedziała po angielsku Alice, dając jej do zrozumienia, że nie pochodzi z południowych rejonów Luizjany, gdzie język francuski był w dość powszechnym użyciu.

- Co podać? - kelnerka przeszła na angielski.

- Proszę podać to, co macie najsmaczniejszego.

Kelnerka uśmiechnęła się ciepło i zapisała coś w kajeciku.

- Coś do picia?

- Macie jakieś dobre piwo?
- Najlepsze w Luizjanie.
- To też poproszę.
- Już się robi.
- Jeszcze jedno. - Alice zatrzymała ją w pół kroku. - Szukam majora Michaela Benta.

Podobno tu u was bywa.

- Mikiego? Pewnie, że bywa. A jakże. - Poszukała go wzrokiem wśród tancerzy. - To ten z tym wielkim siwym wąsem. W czerwonej koszuli w kratę. Widzi pani?

- Tak, dziękuję.

Kelnerka oddaliła się szybko.

Alice patrzyła z prawdziwą przyjemnością na majora pływającego z grubo ponad czterdziestoletnią kobietą w rytm wygrywanej muzyki. Jego umiejętności tańca Cajunów mogły zadziwić nawet wprawne oko.

Muzycy przerwali. Zrobili sobie przerwę na krótki posiłek i drinka. Pary rozeszły się do swoich stolików. Kelnerka przyniosła agentce danie składające się z ryżu z warzywami, kawałków mięsa wieprzowego i skorupiaków licznie występujących w tutejszych bagnach. Zapach przyjemnie łechtał nozdrza. Popatrzyła łapczywie na zawartość talerza. Była głodna.

- Jestem Michael Bent - odezwał się mężczyzna, który w międzyczasie zdążył usiąść naprzeciwko niej. Podniosła na niego wzrok. - Miło poznać, agentko Perkins. To ze mną chciałaś się widzieć, Alice. - Bezceremonialnie przeszedł z nią na ty. Trochę uzasadniała to różnica wieku. Mógłby być jej ojcem.

- Tak, majorze. - Jeszcze raz rzuciła wzrokiem na talerz.

- Nie krępuj się, Alice. Jedz. Tu cholernie dobrze karmią.

- Właśnie widzę.

Nabrała ryżu na widelec. Rozpływał się w ustach.

- Następnym razem zamów sobie kielbasę Andouille. Bajeczna. Nigdzie na świecie takiej nie dostaniesz.

- Prosiłam o to, co mają najsmaczniejszego.

- Sprytnie. No, ale czym ci mogę służyć?

- Przysłał mnie do pana, majorze, Tom Sallinger.

- Mów mi Mike - zaproponował po przyjacielsku. - Stary Tom. Pierwszy po Bogu w CIA. Trzyma się, heh?

- Cały czas. Ale do rzeczy. Chodzi o pewnego Polaka. Nazywa się Adam Gawlik. Podobno się znacie.

- Stary dobry Gawlik. Robiliśmy razem porządki w Hondurasie. Potem w Somalii w '93. Chociaż z marnym skutkiem. Sama pewnie słyszałaś. Twardy sukinsyn. Zdumiewające umiejętności. Najpierw robił dla Sowieków w Afganistanie, potem go przygarnął Executives Outcomes na najemnika. I słyszałem, że gdzieś przepadł na parę lat. Podobno dla was też coś robił. - Zamilkł na chwilę i popatrzył kobiecie w oczy. - A co, podpadł CIA?

Alice zaprzeczyła ruchem głowy. Przeżuwała powoli kawałek mięsa.

- Wręcz przeciwnie. Jest nam potrzebny. Pięć lat temu zneutralizowaliśmy pewnego Rosjanina, który handlował supernowoczesnymi technologiami na zamówienie reżimów.

- I co?

- Witalij Jakuszyn, którego wtedy dostaliśmy, nie zginął. Przejęli go rodacy. Wsadzili do więzienia, a niedawno wypuścili. Znowu zabrał się do roboty, a to dla nas zła wiadomość. Bardzo zła wiadomość.

- Głupia sprawa, ale w żaden sposób nie jestem ci tu w stanie pomóc. Zły adres. Operacje w Rosji... wykluczone.

- Ty nie, ale ten Polak, tak. Gawlik, znaczy się.

- Nie, no, Gawlik to co innego. Znając gościa, to ten wasz Rosjanin opuści niedługo ten padół rozpaczy. Rozumiem, że chcesz, żebym z nim poszedł na robotę? - Pokręcił przecząco głową. - Nie ma takiej potrzeby. Poza tym ten facet sam dobiera sobie ludzi. Z nim trzeba gadać i tylko z nim.

- Tu jest właśnie problem.

- Jaki problem? - zdziwił się major.

Alice powiodła wzrokiem po sali. Było gwarno i wesoło. Muzyka wciąż przygrywała.

- Gawlik nie chce z nami gadać - powiedziała na głębokim wydechu.

- Bo?

- Bo ostatnim razem CIA zagrało z nim nie do końca fair...

Michael Bent roześmiał się w głos. Alice rozejrzała się dyskretnie, ale z ulgą stwierdziła, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Czyli wywinęliście mu jakieś swoje skurwysyństwo, facet się wkurwił i teraz nie chce mieć z wami nic wspólnego? - Bent pochylił się w jej kierunku. - Co mu zrobiliście, Alice?

- To teraz nie ma znaczenia - westchnęła ciężko i popatrzyła w sufit. Do szerokiej drewnianej belki przytwierdzony był rząd pomalowanych złotą farbą butów. - Trzeba Gawlika po prostu przekonać do współpracy. I ciebie chcę prosić o pomoc.

- Powiedz mi, Alice. Jak mam z nim rozmawiać, to muszę wiedzieć, jakie świństwo



mu wycięliście.

- Co to za buty, tam u góry? - spytała ni stąd, ni zowąd.

Podążył za jej wzrokiem.

- Buty najlepszych tancerzy z dorocznych konkursów. Moje też tam są. Trzecia para od końca.

- Pięknie. - Pokiwała głową z uznaniem.

- Więc jak będzie? - nie dawał za wygraną. - Powiesz, czy mam sobie pójść?

- Firma zorganizowała zamach na jego rodzinę. Winą obarczyliśmy ludzi, których sami nie byliśmy w stanie zlikwidować. Dalej to już się chyba domyślasz.

- Stare dobre CIA. Zawsze takie samo. Banda skurwysynów.

Kobieta zacisnęła usta.

- Nie musisz mnie obrażać - syknęła.

- Nie ciebie obrażam, Alice, tylko Sallingera i jego koleśków. Uważam, że ty jeszcze jesteś porządnym człowiekiem. Ciekawe tylko, jak długo. W tym bagnie.

- Pomożesz mi?

- Komuś innemu powiedziałbym, żeby poszedł w cholerę. Ale tobie pomogę. Kończ jedzenie. Nauczę cię tańca Cajun.

## ROZDZIAŁ 22

### *Monachium, Niemcy*

Komisarz Jurgen Schmidt powoli tracił nadzieję. Dopił kawę. Jeszcze raz przejrzał dokumenty sprawy. Nie było tego wiele. Raporty biegłych, w tym lekarza sądowego, zeznania świadków, notatka policyjna z miejsca zdarzenia. Wszystko jak trzeba. Komplet papierów. I wszystko wskazywało na nieszczęśliwy wypadek. Żadnego alkoholu, żadnych środków odurzających, lekarstw. Zupełnie nic. Denat czysty jak łąza. Wybitny finansista i naukowiec Reinhard Koch pędził na swoim wspaniałym motocyklu z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wypadł z drogi i rozbił się o przydrożne drzewa. Ciało było zmasakrowane. Z maszyny też nie było co zbierać. Prokurator umył ręce i radził mu zrobić to samo. Nie było się do czego przyczepić. Komisarz nigdy się nie dowiedział, że do wypadku doprowadził celny strzał w koło gumową kulą. Przy tak dużej prędkości uderzenie zachwiało maszyną z katastrofalnym skutkiem dla motocyklisty.

Normalnie zamknęłyby sprawę i już. Nie dawała mu spokoju tylko jedna jedyna rzecz. Reinhard Koch zawsze był człowiekiem niezwykle spokojnym, ułożonym i raczej unikającym niepotrzebnego ryzyka. O wszystko można go było posądzić, tylko nie o skłonność do szaleństw. Powszechnie znana była jego awersja do jazdy z nadmierną prędkością. W tym przypadku stał się klasycznym rekinem szos. Jak to możliwe? Tak drastyczna zmiana przyzwyczajęń, wręcz osobowości. Psychiatrzy, których pytał o opinię, mówili, że teoretycznie jest to możliwe, ale sami nie bardzo byli w stanie wytłumaczyć ten fenomen. Prokurator miał rację. Naprawdę nie było się do czego przyczepić. Erika Koch stała się niniejszym bardzo bogatą kobietą. Mógłby to być jakiś motyw zabójstwa, ale żeby wysunąć takie oskarżenie, trzeba by mieć choćby najmniejszą poszlakę. Cień poszlaki. Komisarz nie miał kompletnie nic. Jednak postanowił jeszcze raz porozmawiać z żoną tragicznie zmarłego.

Popatrzył na zegarek. Była za piętnaście druga. Umówili się punktualnie na drugą w jej mieszkaniu kilka przecznic od komisariatu. Zebrał się i wyszedł z biura. Nie chciał się spóźnić. Starał się zawsze być punktualny. Sam też nie lubił, gdy inni nie szanowali cudzego czasu.

W apartamentowcu stylizowanym na okres międzywojenny przywitał go portier. Poprosił o nazwisko i zadzwonił do właścicielki apartamentu na trzecim piętrze. Gdy uzyskał potwierdzenie, że oczekuje ona gościa, wskazał komisarzowi windę.

Erika Koch, podobnie jak przy kilku poprzednich spotkaniach, przywitała go szerokim uśmiechem. W żaden sposób nie przypominała wdowy w żałobie. Brak jakiegokolwiek elementu czerni w gustownym i z pewnością bardzo droгим ubiorze był uderzający dla każdego, kto wiedział o tragedii. Inna kobieta na jej miejscu pewnie przynajmniej zachowywałaby jakieś pozory. Udawałaby żałobę. Erika Koch pod tym względem wydawała się być szczerą aż do bólu. Znacznie bardziej obchodziła ją dziedziczona fortuna niż strata męża.

- Zapraszam, komisarzu - odsunęła się od otwartych drzwi. - Zawsze miło mi pana widzieć - zabrzmiała zupełnie szczerze.

Schmidt wszedł do kapiącego od luksusu co najmniej czterdziestometrowego pokoju gościnnego. Był tu pierwszy raz. Wcześniej spotykali się w różnych miejscach, w tym raz na komisariacie.

- Chciałbym pani zadać jeszcze kilka pytań, pani Koch - powiedział, rozglądając się po pomieszczeniu. Pieniądze, które wydała na jego urządzenie, stanowiłyby, lekko licząc, jego kilkunastoletnie pobory. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, oczywiście.

- Ależ naturalnie. Z przyjemnością.

Policjant usiadł na fotelu z rzeźbionymi drewnianymi okuciami.

- Ciągłe nie daje mi spokoju zachowanie pani męża przed wypadkiem. Sama pani przyzna, że zmiana wprost niebywała.

- Widzi pan, sama się dziwię. Myślałam, że po tylu latach małżeństwa zdążyłam poznać Reinharda. Nie wydawał się być zbyt skomplikowaną osobowością. Jak widać, myliłam się.

- Mogę mówić szczerze?

- Bardzo proszę.

- Nie wygląda pani na zbyt przygnębioną po stracie męża.

- Bo nie jestem. Ostatnio nam się, delikatnie mówiąc, nie układało. Poza tym mąż zawsze dużo pracował. Ja byłam na dalszym miejscu. Czułam się zaniedbana. Bardzo zaniedbana i strasznie samotna. Wie pan, jak to jest. Same pieniądze szczęścia nie dają.

Próby wzbudzenia współczucia w komisarzu nie miały najmniejszych szans powodzenia.

- Tak, tak. Słyszałem. Choć, nie powiem, sam bym się chętnie osobiście o tym

przekonał.

- Jest pan żonaty, komisarzy? - zaskoczyła go bezpośrednim pytaniem.

- Byłem, ale praca w policji nie sprzyja szczęściu małżeńskiemu - odpowiedział szczerze.

- Więc wie pan, co to samotność...

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Pod tym względem to bym nas nie porównywał - stwierdził, patrząc jej prosto w oczy. - Ale wracając do sprawy. Ciągłe nie daje mi spokoju jedna rzecz.

- Jaka?

- Dlaczego kupiła pani mężowi motocykl i to akurat Hondę Gold Wing?

- Miał urodziny.

- Dobrze pani wie, o co mi chodzi. - Nie dał się zbić z tropu.

- Widziałam kiedyś na ulicy mężczyznę, jak przejeżdżał na takim motorze. Wyglądał bosko.

- I uznała pani, że Reinhard Koch też tak będzie wyglądał? - spytał z powątpiewaniem. - Przecież wszyscy wiedzieli, że pani mąż kompletnie nie pasował do takiego obrazu. O co tu chodzi?

- Jak sam pan wie, wszyscy się mylili. Reinhard zakochał się w tej maszynie od pierwszego wejrzenia.

- Tak. Zakochał się na zabój. Szkoda, że tę miłość musiał zapłacić życiem.

- Nie musiał. Wszystko jest dla ludzi. Był po prostu lekkomyślny i nieostrożny.

- Oboje doskonale wiemy, że wszystko by można pani mężowi zarzucić, ale nie lekkomyślność i brak ostrożności na drodze.

Nie spuszczał z niej wzroku. Miał jeszcze irracjonalną, nikłą nadzieję, że swoim zachowaniem, reakcją, da mu jakiś punkt zaczepienia, coś, co mogłoby zapobiec nieuchronnemu, jak się teraz wydawało, umorzeniu sprawy.

- Panie komisarzy, mam wrażenie, że szuka pan tu czegoś, czego nie ma. Nie miałam żadnego związku ze śmiercią Reinharda, jeśli to pan miał na myśli. Czy to się komuś podoba, czy nie. To naprawdę był nieszczęśliwy wypadek. Nic poza tym. Niech mi pan wreszcie uwierzy.

- Zdaje się, że nie będę miał innego wyjścia. Prokuraturę już pani przekonała.

- Pan też niech się da przekonać. Będzie pan miał spokojniejszą głowę, komisarzy.

- Spokojna głowa w naszym zawodzie to zbytek, na który nie można sobie pozwolić, proszę pani - odpowiedział i wstał. - Pewnie ucieszy panią wiadomość, że jutro prokurator

ostatecznie zamyka sprawę.

- Niczego innego się nie spodziewałam. - Wzruszyła ramionami i podniosła się z kanapy. - Miło mi było pana gościć, komisarzu.

- Obiecuję, że więcej już nie będę pani niepokoił.

- Chyba że naprawdę popełnię jakieś przestępstwo - zażartowała.

- Chyba że.

Policjant skinął głową na pożegnanie i wyszedł z mieszkania.

Zamknęła za nim drzwi. Wszystko poszło dokładnie tak, jak obiecywał jej Jean Paul Dubois. Zdażyli się jeszcze w międzyczasie spotkać kilkakrotnie. Instruował ją szczegółowo jak się zachowywać w czasie przesłuchań na policji. Co mówić, a czego nie. Poznali się lepiej i wydawało się jej, że się do siebie zbliżyli. Szybko wyszło, że mieli podobne upodobania w sferze intymnej. Dzisiaj mieli się spotkać po raz kolejny na gruncie prywatnym, by przeżyć, jak to określił, „coś wyjątkowego”. Dzisiaj się okaże, na ile słowa zamienią się w czyny i jak bardzo ten intrygujący Francuz potrafi uszczęśliwić kobietę z jej potrzebami.

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Pani Koch, tu Boris z portierni. Przyszedł do pani gość. Nazywa się Jean Paul Dubois. Wysłać go na górę?

- Oczywiście sprawdziłeś dokumenty?

- Oczywiście, pani Koch. O takich rzeczach nie zapominam nigdy.

- Świetnie. Przyślij go i przez najbliższych parę godzin nie ma mnie w domu.

Rozumiemy się, Boris?

- Rozumiemy się doskonale, pani Koch. Nikt nie będzie państwu przeszkadzał. Moja w tym głowa.

Wyłączyła się. Zrzuciła z siebie pośpiesznie ubranie. Stała naga przed lustrem i przyjrzała się swojemu nienagannie utrzymanemu ciału. Miała na sobie jedynie czarne koronkowe pończochy Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Wiedziała, że wciąż jest niebywale atrakcyjną kobietą mogącą z łatwością zawrócić w głowie większości męskiej części społeczeństwa. Czuła się z tym doskonale.

Wyciągnęła z szuflady skórzane akcesoria erotyczne. Obejrzała metalowe kajdanki i połączone łańcuchem skórzane paski zapinane na przegubach. Poczwała rozkoszny dreszcz podniecenia. Spodziewała się szalonych doznań zmysłowych. Już za najdalej kilka minut.

Usłyszała pukanie do drzwi. Powoli podeszła i otworzyła, prezentując się w całej okazałości. Z prawdziwą przyjemnością zanotowała błysk niepohamowanego pożądania w oczach Duboisa. Wszedł do mieszkania i bez słowa przywitania wziął ją w ramiona. Jego

dłonie zaczęły delikatnie i z wielką wprawą muskać najbardziej wrażliwe na dotyk części jej ciała. Zmysły rozpalały się stopniowo, coraz bardziej i bardziej. Słowa istotnie zamieniały się w czyn. Wziął ją na ręce i zaniósł w głąb apartamentu. Już była pewna, że to spotkanie zapadnie jej w pamięć na długie, długie miesiące. Już choćby dlatego, że Francuzi doskonale wiedzą, do czego w miłości służy język. Drżała na samą myśl o tym, co ją w związku z tym czeka. Już teraz pragnęła następnego i następnego razu.

## ROZDZIAŁ 23

### *Morze Ochockie w pobliżu linii brzegowej Rosji*

Amerykańska łódź podwodna USS Virginia SSN-774 wynurzyła się na głębokość peryskopową. Kapitan Nigel Wright przyglądał się przez dłuższą chwilę obrazowi znad powierzchni przekazywanemu przez kamery cyfrowe umieszczone na masztach fonicznych, zastępujących tradycyjny peryskop. System przekazywał obraz w kolorze, bieli i czerni, oraz podczerwony. Na twarzy kapitana malował się coraz bardziej widoczny wyraz satysfakcji. Popatrzył na pierwszego oficera Davida Kazynski.

- Co powiesz? - spytał kapitan z czającym się w kącikach ust uśmiechem.

- Gratulacje, kapitanie - odpowiedział Kazynski. - Linia brzegowa. Ruskich mamy jak na widelcu.

- Czyli możemy meldować, że zadanie niezauważonego spenetrowania rosyjskich wód terytorialnych zakończyło się pełnym sukcesem. - Sięgnął po słuchawkę interkomu. - Jones, melduj do bazy, że zadanie wykonane.

- Jeszcze nie wróciliśmy - zauważył Kazynski.

- Masz jakieś wątpliwości, poruczniku?

- Szczerze mówiąc, to się trochę obawiałem tej eksperymentalnej technologii.

Kapitan poklepał go po ramieniu.

- Mało w tobie wiary w amerykańską myśl techniczną. Za mało. Przecież w tym jesteśmy najlepsi na świecie, nie?

- Jesteśmy. Siedzimy też w prototypie, który...

- Który spisuje się na medal. Wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku. Nie myślisz chyba, żeby nas tu wysłali, jakby nasi inżynierowie nie sprawdzili wszystkich systemów po sto razy?

- Nie, to oczywiste.

- To czym się przejmujesz? - spytał retorycznie Wright. - Trzeba wypić za sukces, jak to czynią nasi rosyjscy bracia.

- Nie poznaję cię, kapitanie. Zawsze taki wróg alkoholu...

- Dzisiaj mamy wielki dzień, Dave. Zdajesz sobie sprawę, że będziemy mogli teraz

podejść każdego? Absolutnie każdego. - Kapitan był w znakomitym nastroju. - Chińczyków, północnych Koreańców, kogo chcesz. Bezszelestnie. Jak wilk u Jacka Londona.

- Daj Boże, żebyśmy nie musieli.

- To już nie nasza rzecz, stary. O tym decydują w Waszyngtonie.

- I to mnie właśnie czasem martwi.

Odezwał się charakterystyczny sygnał i zamigłała lampka interkomu. Kapitan wziął słuchawkę.

- Co jest?

- Urządzenia wykryły niewielką eksplozję jakieś pół mili od nas - odezwał się głos podoficera Petera Jonesa.

- Jakieś wrogie jednostki w pobliżu?

- Rosyjski niszczyciel o pięć mil, ale nie sądzę, żeby o nas wiedzieli. Poza tym nic.

- Zwijamy się. Zanurzenie i wracamy na... - Kapitan nie dokończył. Nagle zgasło światło. Zapanowały zupełne ciemności. - Co jest, kurwa? Jones? - Wright krzyknął do słuchawki, lecz odpowiedziała mu grobowa cisza.

Włączyło się zasilanie awaryjne. Nie odczuli najmniejszego wstrząsu. Nie mogło być mowy o ataku. Tym bardziej bez ostrzeżenia. Interkom zaskrzeczał.

- Kapitanie, szlag trafił chyba z połowę systemów! - głos Jonesa z trudem przebijał się przez zakłócenia.

- Idziemy! - zakomenderował kapitan i pobiegli do modułu zintegrowanego centrum dowodzenia.

Zastali Petera Jonesa i jeszcze dwóch marynarzy dogaszających płonące i iskrzące elementy pulpitu. - Co tu się, do cholery, dzieje? Awaria?

- Nie wiem, kapitanie - odpowiedział podoficer. - To jakby nas na chwilę ktoś podłączył do kurewsko wysokiego napięcia. Popaliło obwody. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Jak to błąd konstrukcyjny, to flaki wypruję inżynierkom.

- Nic z tych rzeczy, kapitanie. Walnął w nas jakiś pieprzony impuls elektromagnetyczny.

- Co ty pleciesz, Jones? Przecież jesteśmy na łodzi podwodnej. Lepszego ekranowania nie ma. Bomba elektromagnetyczna tu nie zadziała. Zastanów się.

- Sam nie rozumiem.

- Co straciliśmy?

- W sumie nie tak wiele. Myślałem, że będzie gorzej. Padł system komunikacji



satelitarnej, radar nawigacyjny, sonary i nie wiem co jeszcze!

- Dasz radę nas stąd wydostać?

Podoficer złapał się za głowę.

- Łatwo nie będzie - powiedział w końcu.

- To bierzcie się do roboty, zanim Ruscy nas dorwą.

Oficerowie wyszli z pomieszczenia. Szli wąskim przejściem.

- Coś ci przychodzi do głowy? - spytał kapitan swojego pierwszego oficera.

- Broń elektromagnetyczna penetrująca ekran. We łbie się nie mieści. Niemożliwe, żeby Ruscy mieli taką technologię. Poza tym nie waliliby do nas bez ostrzeżenia. Coś tu cholernie śmierdzi.

- Taaak. Tośmy wyszli na królika doświadczalnego.

- Dobrze, żeśmy z życiem uszli. Mogło nas tak dupnąć, że pierdolnęlibyśmy na dno jak nic.

- Kurwa mać! - nie wytrzymał kapitan Wright. - A tak dobrze szło.

\*

Profesor Olaf Schulz i jego dwaj zastępcy wpatrywali się w dwa komputerowe monitory. Analizowali odczyty czujników.

- Co myślicie? - spytał Niemiec, nie odwracając wzroku od wykresów rysujących się na ekranie.

- Stawiałbym na USS Virginia - odpowiedział doktor Hiroshi Oguchi. - Mają jakieś nowe urządzenia. Rosjanie ich nie widzą. Niesamowite, że udało im się podejść tak blisko linii brzegowej.

- Rosjanie ich nie widzą. My na szczęście tak. - Profesor spojrzał na Vittoria Pistarellego. - Jak bardzo dostali?

- Wymierzyliśmy im potężnego kopa w jankeską dupę - odparł Włoch z wyrazem zadowolenia malującym się na twarzy. - Potężnego.

- Nie chcieliśmy ich zatapiać... - W głosie Schulza zabrzmiała obawa.

- Nie ma strachu - uspokoił go Pistarelli. - To był kontrolowany kopniak. Impuls elektromagnetyczny rozwalił im trochę sprzętu, ale się wyliżą. Duże szanse, że jak z podwiniętym ogonem będą spływać, to Rosjanie też ich nie namierzą. Nikt się nie dowie. Nie będzie międzynarodowego skandalu. Pełny spokój.

- To się Wuj Sam zmartwi - skwitował Niemiec. - Czyli sukces.

- Pełny - potwierdził radośnie Pistarelli i podniósł ręce do góry, jak piłkarz, który właśnie strzelił bramkę.

Japończyk skinął głową. Był znacznie bardziej powściągliwy od swojego włoskiego kolegi.

- Powiedźcie ludziom, że odwalili kawał dobrej roboty - powiedział profesor Schulz. - Trzeba będzie im urządzić jakąś ekstrarozrywkową wycieczkę.

- A nam? - upomniał się Pistarelli.

- Co wam?

- Nam też się coś należy.

- Co byś chciał?

- Podobno na Haiti można sobie całkiem niedrogo kupić kilka niewolnic. - Włoch łąpnął na kolegów, oczekując reakcji. - Niedużo, tak z pięć. Nie byłoby nudno wieczorami...

Hiroshi Oguchi zrobił kwaśną minę. Często nie w smak było mu specyficzne poczucie humoru Pistarellego. Handel niewolnikami we współczesnym świecie to zbyt bolesny problem, by sobie z niego żartować.

- Przestałbyś się wydurniać, Vittorio - powiedział Schulz. - Pomyślałby kto, że jesteś poważnym naukowcem.

- A kto powiedział, że naukowiec musi być zawsze nadęty?

- Choć, Hiroshi - westchnął profesor. - Bo nam się udzieli. Trzeba przygotować raport dla szefostwa.

Odwrócili się i ruszyli do wyjścia.

- No tak - rzucił za nimi Włoch z kozackim uśmiechem - i jak my mieliśmy wygrać wojnę z takimi sojusznikami bez życia.

- Jezu - jęknął Schulz.

Wyszli, zostawiając „sojusznika” samemu sobie.

## ROZDZIAŁ 24

*Wrocław, Polska*

Sala przedszkola przy ulicy Dyrekcyjnej była pełna rodziców. Siedzieli na mikroskopijnych dziecięcych krzeselkach i czekali na rozpoczęcie przedstawienia z okazji Dnia Ojca. Barbara i Adam Gawlik dopiero pierwszy rok posyłali tutaj swojego niespełna pięcioletniego synka Franka. Cudem udało im się załatwić miejsce po przeprowadzce z Żar. Dyrektor przedszkola, niezwykle życzliwa i ciepła osoba, wykazała się zrozumieniem dla ich sytuacji i przyjęła chłopczyka.

Adam nachylił się do żony.

- Myślisz, że sobie poradzi? - spytał, ścisząc głos.

Basia popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Oczywiście, że sobie poradzi. Całe popołudnie ćwiczyłam z nim rolę, jak ty z dziećmi w kinie byłeś. Kasia się wygadała, że o McDonalda zahaczyliście, to prawda?

- Miała nic nie mówić. I wierz tu kobietom.

- Ona ma piętnaście lat. Trudny wiek. Powinieneś się cieszyć, że matce wszystko mówi. Dziewczyny w jej wieku często mają rodziców za nic.

- No dobra, byliśmy. Wiem, że tam trujące świństwa dają, ale głodni byliśmy.

Basia wzięła go pod rękę i przyciągnęła do siebie.

- Kiedyż ty wreszcie dorośniesz, Gawlik? - spytała retorycznie i uśmiechnęła się do niego ciepło. - Kiedy?

Nie zdążył odpowiedzieć. Do sali weszła grupa pięciolatek w parach, trzymając się za ręce. Stanęły w szeregu przed rodzicami i ukłoniły się. Adam i Basia wstali. Dostrzegli synka. Był wyraźnie stremowany. Pomachał do nich, próbując sobie samemu dodać otuchy. Niewiele brakowało, by wybuchnął nerwowym płaczem. Kilkoro pozostałych dzieci było w nie lepszym stanie psychicznym.

- Biedny Franuś - powiedziała Basia z rozrzewnieniem. - Płakać mu się chce.

- Po kim on to ma? - spytał Adam, uśmiechem starając się go podtrzymać na duchu.

- Pewnie po tatusiu.

Spojrzał na nią. Od razu dostrzegł łobuzerski uśmieszek w kącikach ust.

- A nie po mamusi?

- Nie gadaj tyle, tylko oglądaj. Twój syn ma pierwszy w życiu występ.

W momencie gdy przedstawienie się rozpoczęło, trema znikła bez śladu. Dzieci natychmiast nabrały pewności siebie. Wypowiadały swoje role płynnie i bez zająknięcia. W niewielu przypadkach nauczycielka trzymająca tekst przed oczami musiała podpowiadać zapomnianą kwestię. Były śpiewy i dość nieporadne tańce, szczególnie w wykonaniu męskiej części grupy pięciolatek, ale rodzice i tak byli zachwyceni. Podziękowali swoim pociechom gromkimi brawami. Na koniec panie nauczycielki rozdały dzieciom drobiazgi, które miały zostać wręczone tatusiom. Dzieci wpadły między rodziców. Uściskom i momentom wzruszenia nie było końca.

- Tata, to dla ciebie. - Franek wręczył Adamowi ręcznie robiony wiatraczek.

Ojciec przytulił go mocno.

- Pięknie występowałeś. Jestem z ciebie dumny. Byłeś dzielny jak prawdziwy żołnierz.

Franek promieniał. Następnie mamusia porwała go w swoje objęcia.

W tym momencie Gawlik zauważył rzecz dziwną. Jeden chłopczyk chodził zagubiony z miejsca na miejsce, ściskając w rączkach wiatraczek. Z rozpaczą patrzył na inne dzieci i ich rodziców. Do niego dzisiaj nikt nie przyszedł.

- Basia, zobacz.

- To Stasiu Głownia. Boże, nie ma jego rodziców - powiedziała głęboko poruszona sytuacją.

- Ja chyba widziałem jego ojca na dole przy bramce.

- Widziałeś?

- Zajmijcie się nim. Zaraz wracam.

Gawlik przecisnął się przez szpaler rodziców z roześmianymi dziećmi i wyszedł na korytarz. Zbiegł po schodach z drugiego piętra i wypadł na zewnątrz. Rzeczywiście, na murku przy bramce wejściowej siedział Jerzy Głownia - ojciec Stasia.

Gawlik stanął przed mężczyzną. Ten podniósł głowę.

- Co pan tu, do cholery, robi, panie Głownia?

- Bo co? - obruszył się mężczyzna.

Adam poczuł alkohol. Facet był podпиты.

- Bo pana syn jest teraz najniezwyklejszym dzieckiem w przedszkolu. - Adam z trudem trzymał nerwy na wodzy. - Bo czeka na pana z własnoręcznie zrobionym prezentem. Bo potrzebuje pana jak nigdy dotąd.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. Zaczął łkać.

- Zawiodłem go. Zawiodłem mojego synusia. Miałem nie pić. Nic miałem nie pić.

- Kurwa mać! - Gawlik nie wytrzymał. - Przestań się człowieku uważać nad sobą i szoruj na górę do Stasia i to już - zacisnął pięści. - Inaczej tak ci przypierdolę, że się od razu opamiętasz. Już, ruszaj się.

W oczach Jerzego Główni dostrzec można było autentyczną obawę, że ten człowiek faktycznie może zrealizować swoje groźby. Z drugiej strony był mu na swój sposób wdzięczny, że nim potrząsnął. Wstał i obydwaj poszli na górę.

Stasiu na widok ojca wyrwał się spod opieki pań przedszkolank i Basi. Rzucił się mu w ramiona. W tym momencie był uosobieniem szczęścia i radości. Zapomniał o wiatraczku i zaczął mężczyznę obcałowywać.

Adam dyskretnie odsunął się na bok. Barbara Gawlik podeszła do męża.

- Jesteś wielki, Gawlik, wiesz? - powiedziała i pogłaskała go po policzku.

- Wiem. - Przyciągnął ją do siebie. - Chyba musimy się zbierać. Kasia mówiła, że ma jakąś imprezę wieczorem, tak?

- Przyjaciółka ma urodziny. Trzeba będzie ją zawieźć i przywieźć.

- Gdzie?

- Na Ołtaszynie. W domu mam adres.

- Czyli już wiem, jak spędzę dzisiejszy wieczór - stwierdził kwaśno.

Uszczypnęła go pieszczotliwie w bok.

- Nie narzekaj. Oboje dobrze wiemy, że woli się pokazywać z tobą niż ze mną. Dla nastolatka jesteś, powiedzmy, „bardziej wyjściowy”.

- Chciałaś powiedzieć „wciąż wyjątkowo przystojnym i wciąż niezwykle atrakcyjnym mężczyzną”?

- A w głowie ci się coś nie poprzewracało, mój „atrakcyjny inaczej” mężu?

Zanim dał się wciągnąć w zwyczajowe przekomarzania słowne poczuł szarpnięcie za rękaw.

- Tata, tata - mały Franek domagał się natychmiastowej uwagi. - Kupisz mi gazetkę, jak będziemy jechać do domu?

- Kupię, synku. Pewnie, że kupię.

- Tata - kolejne szarpnięcie - ale nie wiesz jaką.

- No właśnie. Nie wiem jaką.

- Gazetkę ze Scooby Doo.

- Chodźcie, chłopaki - zakomenderowała Basia. Wzięła syna za rękę i popchnęła męża

do wyjścia. - Dzieciaki już pewnie wróciły ze szkoły. Trzeba je nakarmić.

- Dobrze, że cię nie słyszą. Toż to „młodzież”, nie „dzieciaki”. Nie pamiętasz?

- Tata, tata - Franek ponownie chwycił się rękawa ojca. - To kupisz?

- Franuś, mówiłem, że kupię - odpowiedział Gawlik cierpliwie.

- Ale ze Scoobym. - Malec nie zamierzał dopuścić do jakiegokolwiek pomyłki w tej wyrażnie dla niego ważnej sprawie.

- Synku, tata powiedział, że kupi. Scooby Doo, Kudłaty i przyjaciele - uratowała męża z opresji matka.

Zeszli długimi schodami na parter. Basia kilkakrotnie musiała przytrzymać malucha, by ten nie popędził na złamanie karku. Na nic się zdały jego tłumaczenia, że potrafi. Bała się o niego. Czasem bywała wręcz nadopiekuńcza.

Kiedy znaleźli się na przedszkolnym parkingu, pierwsze samochody rodziców dzieci z grupy piątej wyjeżdżały na ruchliwą o tej porze ulicę Dyrekcyjną. Podeszli do swojego rodzinnego Jeepa Cherokee. Adam odblokował pilotem drzwi. W tej samej chwili z luksusowego czarnego Dodgea Caravan, zaparkowanego kilka metrów po przeciwnej stronie, wysiadły trzy osoby - dwóch mężczyzn i kobieta o nieprzeciętnej urodzie. Wszyscy elegancko ubrani, kobieta w żakiecie i spódnicy przed kolano, niczym urzędnicy wysokiego szczebla właśnie udający się do pracy. Tylko ich z pewnością niezwykle drogi samochód dawał do myślenia.

Adam zauważył ich, gdy zapinał synka w foteliku. Wyprostował się, gdy malec zaprotestował głośno: „Ja sam” i zabrał się za manipulowanie przy klamrze. Zaraz potem z nieukrywaną dumą pokazał ojcu pomyślny skutek swoich wysiłków. Ojciec patrzył jednak gdzie indziej.

- Tata, tata, patrz, zapiąłem!

- Tak, synuś, brawo. - Poglaskał go po głowie, patrząc na eleganckich przybyszy.

Basia odwróciła się na siedzeniu pasażera i dostrzegła zbliżających się do nich ludzi. Zamarła. Znała przeszłość męża i ten obraz nie wróżył nic dobrego. Wysiadła z samochodu, ale nie zamknęła za sobą drzwi.

- Witaj, bracie. - Michael Bent wyciągnął do Gawlika dłoń. Polak uśmiechnął się. Rozpoznał dawnego towarzysza broni i uściśnął wyciągniętą rękę. - Aleś się zamelinował. Naszukaliśmy się ciebie trochę. Niektórzy nawet mówili, że nie żyjesz.

- Niektórzy nad tym pracują - odparł Gawlik.

Agentka Alice Perkins w lot pojęła o jakich „niektórych” mu chodzi. Na pewno miał na myśli Toma Sallingera i jego ostatnią intrygę, w skutek której Gawlik omal nie rozstał się z

tym światem. Zdała sobie sprawę, że przełamanie lodów może być trudniejsze niż się jej wydawało. Ten Polak zdecydowanie nie pałał zbyt dużą sympatią do CIA. Cała nadzieja w Bencie.

- Ha, stary dobry Gawlik. - Roześmiał się major trochę jakby nienaturalnie. Widać było, że bardzo się stara, by wypowiedzieć jego nazwisko poprawnie. - Humor cię nie opuszcza. To są ludzie, którzy chcieliby z tobą pogadać. Kapitan Kirk Porter z marines i Alice Perkins, oczywiście nie zgadniesz skąd.

- Oczywiście, że nie zgadnę, że z CIA.

- Mamy to wypisane na twarzach? - spytała Alice, wyciągając do niego rękę.

- Źle wam z oczu patrzy - zmroził ją na dzień dobry.

- Adam - wtrąciła się Basia. Nie podeszła do nich. Obawiała się tych ludzi. - Powinniśmy już jechać.

Obszedł samochód dookoła i stanął przy niej.

- Jedź sama. Ja chwilę porozmawiam i będę w domu najdalej za godzinę - powiedział i pocałował ją w czoło.

Basia z marsową miną popatrzyła na Amerykanów i na męża.

- Obiecuj, że w nic się nie wpakujesz - zażądała. - Masz rodzinę.

- Obiecuję, skowronku.

- Za godzinę chcę cię zobaczyć w domu.

- Za godzinę.

Wspięła się na palce, cmoknęła go w policzek i wytarła wierzchem dłoni delikatny ślad szminki. Wsiadła do samochodu. Wycofała trochę gwałtowniej niż było trzeba. Chwilę potem wcisnęła się w sznur samochodów tworzących korek przed światłami na skrzyżowaniu z ulicą Joannitów.

- Zapraszam do samochodu, panie Gawlik - powiedziała Alice.

Wnętrze Dodgea było przestronne. Kapitan usiadł za kierownicą, Michael Bent na miejscu dla pasażera, a Alice z Gawlikiem na tylnych fotelach. Adam był pewny, że wyposażenie zawierało elementy elektroniczne uniemożliwiające jakikolwiek podsłuch z zewnątrz. Nie miał też wątpliwości, że ich rozmowa będzie nagrywana i szybko trafi na biurko szefostwa ślicznej agentki.

- Czego chcecie? - wypalił Polak bez pardonowo.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Adam - odezwał się major. - Mamy problem z pewnym człowiekiem, który...

- Mikie, ja emeryt jestem - przerwał mu Gawlik. - Sami widzieliście, żona, dzieciaki...

- ...który nazywa się Witalij Jakuszyn - dokończyła za majora agentka.

Gawlik przeniósł na nią wzrok. Zauważyła, że nazwisko nie było mu obce. Zapadła cisza.

- A co mnie to obchodzi? - Gawlik splótł ręce na piersiach.

- Wiemy, że pan go zna, ale pewnie pan nie wie, że dzięki działalności Jakuszyna niektóre reżimy dostały do rąk bardzo niebezpieczną dla świata technologię. Ten człowiek stanowi poważne zagrożenie.

- Chyba stanowił. Słyszałem, że trafił do „Czarnego delfina” w Rosji. Witalij Jakuszyn nie żyje albo już, albo umrze w najbliższej przyszłości. Nie macie się czym martwić.

- Niestety nic z tych rzeczy. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Żyje. I najgorsze, że możemy się tylko domyślać, gdzie żyje.

- Wyszedł z „Czarnego delfina”? Niby jakim cudem? Stamtąd jeszcze nikomu nie udało się wydostać przed dwudziestym piątym rokiem odsiadki. Ktoś wam głupot nagadał, panno Perkins.

- Mów mi Alice. Co do Jakuszyna, to nie tym razem. Wiemy na pewno, że siedział w „Czarnym delfinie”, ale z jakichś powodów Rosjanie go wypuścili. Przy wsparciu kogoś mocnego, kto wie, może nawet z Kremla, udało mu się pozbierać swoich starych ludzi i wrócił do gry.

- Czyli gdzieś w świecie dał wam po dupie? - spytał Gawlik z uśmiechem.

- Można by tak to ująć - odpowiedziała i westchnęła.

- Tak z ciekawości, co wam konkretnie zrobił?

- Właściwie mogę ci powiedzieć. Przypuszczamy, że stał za próbą zatopienia naszego okrętu podwodnego USS Virginia na Morzu Ochockim.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, agentko Perkins, ale tam waszych okrętów chyba nie powinno w ogóle być.

- Nie mylisz się.

- He, he. Jakby Ruscy się dowiedzieli, dostaliby apopleksji.

- Pewnie tak, ale to już zupełnie inna kwestia. Nie tu mamy problem.

- Domyślam się. I co, pewnie chcecie, żebym wam pomógł Witalija dorwać?

- Dokładnie o to chcielibyśmy cię prosić - powiedział Bent z nadzieją.

- Chyba wam odbiło. - Gawlik patrzył to na majora, to na Alice. - Ostatnim razem, jak dla was pracowałem, ledwie z życiem uszedłem. Bądźcie realistami. Po co mi to?

- Damy ci najlepszych ludzi i najlepszy sprzęt. - Alice nie zamierzała się poddawać.

- Może takich jak sierżant James Coop, co mnie wtedy wystawił?



- Niepotrzebnie kpisz - zachnęła się agentka. - Coopa już nie ma wśród żywych. Taka wpadka więcej nie ma prawa się powtórzyć.

- Tak, CIA i brak wpadek. Jakby przyjrzeć się historii waszych działań, to coś nowego. W każdym razie jakoś mnie nie przekonałaś. Po co miałbym się w to jeszcze raz łądować? To nie mój problem.

- Nie do końca. - Alice nabrała do płuc powietrza i wypuściła głośno. - Podejrzewamy, że Jakuszyn eksperymentuje z przekazem podprogowym. Nie wiemy, jak daleko zaszedł, ale może się na przykład okazać, że manipulując tłumem, będzie w stanie wpływać na wyniki wyborów. Albo coś jeszcze gorszego, o czym nam się teraz nawet nie śniło.

Gawlik natychmiast skojarzył fakty. Mało brakowało, a Maciek Burdzik wpakowałby się w aferę, z której nie wyszedłby żywy. Całe szczęście, że zakazał mu się tym dalej zajmować. Więc to stary Witia Jakuszyn, oprócz handlu bronią i technologiami, zajął się zaawansowanym IT. Znając go, skutki faktycznie mogą być groźne.

W żaden sposób nie dał po sobie poznać, że orientuje się, o czym agentka mówi.

- Czyli coś jak sztuczki specjalistów od socjotechniki. W czym problem? Wszyscy wiemy, że dla możliwych tego świata to motłoch służący do realizacji własnych, najczęściej podłych celów. Boicie się konkurencji?

- Przekaz podprogowy jest nieporównywalnie skuteczniejszy.

- To niech się spin doktorzy martwią.

- A co, jeśli w ramach eksperymentu Jakuszyn postanowi w twoim pięknym kraju posadzić jakiegoś kompletnego idiotę na fotelu premiera? Faceta, który rozłoży gospodarkę na łopatki?

Gawlikowi przyszła na myśl niechlubna postać pewnego wicepremiera. Biorąc pod uwagę jego kompetencje, twierdzenia agentki Perkins wiele by wyjaśniały.

- Pudło, Alice. Aż takim patriotą to ja nie jestem. Nawiasem mówiąc, twój scenariusz już się u nas sprawdził, z udziałem Jakuszyna, czy bez... i jakoś żyjemy.

Rysy twarzy agentki nagle złagodniały.

- A może byśmy się spotkali gdzieś na spokojnie. We dwoje, w jakimś niezobowiązującym miejscu. Porozmawialibyśmy szczerze...

Nie można było mieć najmniejszych wątpliwości co do intencji tych słów. Agentka proponowała mu schadzkę.

Gawlik uniósł prawą dłoń. Pokazał obrączkę.

- Nic z tego. Mam bardzo zazdrosną żonę - powiedział z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. - Jesteś bez szans, Alice.

Kobiety nie lubią być odrzucone. Szczególnie te atrakcyjne, uważające, że mogą mieć absolutnie każdego mężczyznę, jeśli tylko zechcą. W agentce wzburzyła się krew. Zagrały emocje.

- A twoja żona wie, co robiłeś w przeszłości? - wypaliła, zanim zdążyła się zreflektować, że popełnia kardynalny błąd.

- Coś sugerujesz? - Jego ton nie zmienił się.

- Nie, nic. Absolutnie nic. - Wykrzywiła się w sztucznym uśmiechu.

- Wiesz co, Alice? Chyba się nie polubimy.

- Nie jestem tu od lubienia. Mam rozwiązać problem Rosjanina. Potrzebujemy twojej pomocy. To też jest w twoim własnym interesie. Jak się zgodzisz, dobrze. A jak nie, trudno. Będziemy sobie radzić sami. Sprawą zajmie się kapitan Porter. Trudno byłoby nam znaleźć kogoś lepszego.

- Dużo dobrego słyszałem o tobie, Gawlik. - Kapitan był mężczyzną około czterdziestki. Ostre rysy twarzy i mądry wzrok. Sprawiał wrażenie uczciwego żołnierza. - Bardzo byś się nam przydał.

- Od kogo słyszałeś? - spytał Polak.

- Na przykład od Johna Esteveza. Opowiadał, co wyrabialiście w Afryce. Robi wrażenie.

- Co u niego?

- Zapił się na śmierć gdzieś w Meksyku.

- Masz rodzinę, kapitanie?

- Mam.

- To się z nimi zawczasu pożegnaj. Coś mi się widzi, że niedługo będą cię oglądać żywego.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał numer korporacji taksówkowej.

- Zaczekaj! - zawołała za nim Alice. Podeszła do niego. - Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna. Zrozum wreszcie, musisz nam pomóc. To jest Rosja.

Dołączył do nich major Bent. Kapitan został w samochodzie.

- Nic nie muszę. Ja nic nie muszę, Alice. Poproszę taksówkę na ulicę Dyrekcyjną, przy przedszkolu - powiedział do telefonu. - Powodzenia - rzucił Amerykanom na pożegnanie.

Szybkim krokiem ruszył do furtki wyjściowej. Kiedy zniknął za załomem budynku, Alice popatrzyła na majora.

- Jak to widzisz, Mike?

- Źle się do tego zabrałaś. Wy w CIA myślicie, że każdego można zmusić do współpracy. Zastraszyć, zaszantażować, podpuścić, wciągnąć do łóżka. Na niego to nie działa.

- Przecież mówiłam szczerze.

- Tak. Szczerze aż do bólu.

Porter wysiadł z samochodu.

- Jak będzie z tym Polakiem? - spytał agentkę.

- Nie wygląda, żeby jakiegokolwiek argumenty do niego trafiły - odparła i przetarła zmęczone niewyspaniem oczy. - Nie wiem, jak mam z nim rozmawiać. Może ty spróbujesz, majorze? W końcu miałaś mi pomóc go urobić.

- Damy sobie radę bez niego. Jest aż tak nam potrzebny? - Kapitan nie pozwolił Bentowi odpowiedzieć.

- Nam nie. - Major podrapał się po czubku głowy. - Ale tobie tak. I to cholernie. Na twoim miejscu bym go posłuchał.

- Z czym? - nie zrozumiał oficer marines.

- Z pożegnaniem rodziny.

- Przestańcie pieprzyć - przerwała Alice. - Trzeba się zastanowić, co dalej. Rosjanin nie będzie na nas czekał. Jedziemy.

Korek na Dyrekcyjnej zniknął. Wyjechali, kierując się od razu na Warszawę.

\*

Taksówka zatrzymała się na ulicy Vivaldiego. Adam zapłacił za kurs, zostawiając kierowcy przyzwoity napiwek. Czuł się w obowiązku. Podczas jazdy taksówkarz kilkakrotnie zagadnął go po przyjacielsku, a on raz niezbyt grzecznie coś odburknął. Nie chciał pozostawiać złego wrażenia. Wysiadł. Podeszedł do bramki, wstukał kod i wszedł na chronione osiedle. Po drodze minął sąsiada z przeciwka, który jak zwykle w piękną pogodę zawzięcie dopieszczał swój motocykl.

W przedpokoju na spotkanie wybiegł mu mały Franek z okrzykiem „taaata!” i wpadł mu w ramiona.

- Kupiłeś mi gazetkę? - spytał, patrząc na niego podejrzliwie.

- Jeszcze nie, ale pamiętam - odpowiedział. - Obiecałem przecież, nie?

Franek zmarszczył brwi.

- To kiedy mi kupisz?

Adam opuścił syna na podłogę.

- Jem obiad, wiozę Kasię do koleżanki i wracam z gazetką. Może tak być?

- Może - ucieszył się malec. - Tylko pamiętaj, ze Scoobym - powiedział i pobiegł do swojego pokoju.

- Cześć, Adam. - Katarzyna wyjrzała ze swojego pokoju. - Za niedługo musimy jechać. Ja już jestem gotowa.

Nie dało się nie zauważyć, że prócz nienagannie ułożonej blond fryzury, miała na twarzy dość ostry makijaż. Wyglądała na kilka lat starszą niż była w rzeczywistości. Adam nie pochwalał też jej sposobu ubierania. Kuse spódnice i dziwacznie skrojone bluzki. Wszystko niepotrzebnie jego zdaniem przyciągało wzrok chłopaków. Dziewczyna chciała się podobać i świetnie jej się to udawało. Szczególnie że nieuchronnie rosła na wyjątkowo urodziwą młodą kobietę.

Adam zakręcił dłonią wokół twarzy.

- Ten malunek, to naprawdę konieczne?

Nastolatka zrobiła kwaśną minę i pokręciła głową.

- Niedzisiejszy jesteś. Całkiem jakiś taki niedzisiejszy - odpowiedziała wyrozumiale i schowała się w pokoju.

- Skoro tak mówisz - powiedział do siebie i napotkał śmiejący się wzrok Basi z kuchni.

- Dla niej jesteśmy stare ramole - powiedziała. - Nie dziw się. Tak w życiu było, jest i będzie. Siadaj, jedz obiad i jedźcie. Dziewczyna aż się pali do tej imprezy.

Adam znał Basię na tyle dobrze, że zorientował się, że walczy ze sobą, by nie spytać o spotkanie z tym dziwnymi ludźmi na parkingu przedszkola. Bez słowa wkładała naczynia do zmywarki. Bała się spytać o cokolwiek, a jednocześnie pytanie paliło.

- Co tam słyhać? - przerwał ciszę Adam.

- Aha, właśnie. Dzwonił Maciek. Mówił, że nie będzie mógł przyjść w tym tygodniu na treningi. Ma jakieś strasznie trudne kolokwium i musi się uczyć.

- Jasne. Niech się student uczy. Bardzo porządny chłopak. Niejeden na jego miejscu zaczyna szaleć, jak się od rodziców wyrwie.

- Ze wsi. Tam młodzież jest zupełnie inna. Poza tym to raczej niezamożni, skromni ludzie.

- Byliście blisko z jego rodzicami?

- Daleka rodzina Andrzeja. - Basia zamyśliła się na wspomnienie nieżyjącego męża. Adam podszedł i przytulił ją do siebie. - Czasami jeździliśmy do nich na wieś na wakacje, jak dzieci były małe. Dzieciaki uwielbiały wiejskie życie. A tak w ogóle, czego ty tego Maćka

uczysz na tych waszych treningach? Chyba nie tych swoich...

- Bez obawy. Nie robię z niego... - zawiesił głos. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś zamiennika dla słowa „zabójca” - żołnierza jednostek specjalnych. Komandosem nie będzie, ale ofertą też nie.

- Czasem jest ujmujący w tej swojej nieporadności. Dziewczyny to lubią.

- O ile wiem, to jeszcze do niedawna żadna się nim jakoś nie zainteresowała.

- Bo jest za grzeczny i za dobrze ułożony na dzisiejsze czasy.

Adam zabrał się za schabowego. Z czosnkiem na wierzchu i czerwoną przyprawą do mięsa smakował jak zwykle wybornie. Do tego młode ziemniaczki i surówka z sałaty ze śmietaną, również okraszona drobinami czosnku. Kasia i Michał nie podzielali jego entuzjazmu dla tej przyprawy. Franek mawiał, że gryzie w język, więc potrawy z czosnkiem żona przygotowywała mu osobno. W momencie gdy miał pełne usta jedzenia, padło wreszcie pytanie.

- I co? - Basia prawie wyszeptała.

- Co z czym? - udał, że nie wie, o co go pyta.

- Powiedz mi.

- Amerykańce mają problem z takim jednym Rosjaninem. Mój były żołnierz z Afganistanu. Dostał dożywocie w Rosji, ale teraz jakimś cudem znowu jest na wolności i robi im problemy.

- To musi być ktoś bardzo niebezpieczny, skoro się do ciebie zwrócili.

- Jest niebezpieczny. Ale to już nie moja sprawa.

- Czyli?

- Czyli kazałem im iść do diabła. Ja mam swoje życie, was i nic więcej mnie nie obchodzi. Będą musieli sobie poradzić sami.

- Tak im powiedziałaś?

- Mniej więcej.

- A co to byli za ludzie?

- Kobieta z CIA, ten starszy to kolega z dawnych czasów z amerykańskich Rangersów, a ten trzeci to jakiś kapitan marines.

- Jesteś pewny, że ci dadzą spokój?

- Może jeszcze popróbuja mnie namówić, ale nic z tego nie będzie. Dałem im to jasno do zrozumienia. Nie masz się czego obawiać. - Przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach. - Tak łatwo z domu się mnie nie pozbędziesz. - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- Szkoda. A tak na to liczyłam - odpowiedziała z szelmowskim uśmiechem. -  
Przygruchałabym sobie jakiegoś hydraulika albo listonosza. - Spojrzała w sufit rozmarzona.

- Eh, kobieto, kobieto. Co ty ze mnie zrobiłaś.

- Człowieka. Porządnego człowieka. Coś nie tak?

Przycisnął ją mocno do siebie.

- No, gołąbeczki - usłyszeli głos Kasi. Stała w drzwiach w pełnej okazałości. Położyła rękę na biodra. Wyglądała wystrzałowo. Nie było wątpliwości. Na imprezie zrobi furorę. -  
Później sobie pogruchacie. Mnie trzeba odwieźć. Wolałabym się nie spóźnić.

- Daj ojcu zjeść, córeczko. Na pewno zdążyście.

- No tak. Tylko że on zamiast jeść, to żoneczkę obściskuje.

- Kasia - powiedziała matka z żartobliwym wyrzutem w głosie.

- My, jak byliśmy młodzi, też byliśmy tacy paskudni? - Adam spojrzał na żonę. -  
Chyba nie, co?

- Nie - odpowiedziała Basia stanowczo. - W żadnym razie.

- Dobra, dobra - odpowiedziała nastolatka. - Pewnie jeszcze gorsi byliście. Wiosłuj,  
ojciec, wiosłuj. - Pokazała wymownie na tarczę zegarka.

Adam zsunął delikatnie żonę z kolan.

- Muszę jeść, bo mnie tu zlinczują.

Kasia poszła do łazienki „przypudrować noskę”.

\*

Czarny jeep wyjechał w ulicę Buforową. Adam przyśpieszył. Nie chciał, żeby pasierbica się denerwowała, że nie zdążą. Na rondzie skręcili w drogę prowadzącą przez wieś Radomierzyce. Szosa wąska, ale tędy było najbliżej na Ołtaszyn.

- Wiesz, koleżanki mnie ostatnio pytały, czym ty się zajmujesz.

- Przecież wiesz. Prowadzę małą firmę - usługi ciesielskie.

- Mówią, że nie wyglądasz na zwykłego fizycznego.

- Też myślisz, że nie wyglądam?

- Ja wiem, że nie zawsze byłeś cieślą. Mama mówiła, że byłeś zawodowym  
żołnierzem.

- Dawno i nieprawda. - Wzruszył ramionami.

- Ojciec Anki Brecht jest zawodowym żołnierzem. Majorem. Widziałam go. Różnicie się jak ogień i woda.

- Cóż w tym dziwnego?

- Widzisz, Adam, ja już nie jestem dzieckiem. Rozumiem więcej niż się wam wydaje,

znaczy tobie i mamie. Jak pytam mamę o ciebie, to albo mnie zbywa, albo zaczyna się denerwować. A ja nie wiem dlaczego. Na przykład, dlaczego na wszystko nas stać? Dziewczyny mówią, że twoja firma aż takich dochodów przynosić nie może. Poza tym o wiele więcej czasu poświęcasz rodzinie niż pracy. Nie wydaje ci się to dziwne? Tak mało wiem o człowieku, który przecież zastępuje mi ojca.

Adam nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Patrzył przed siebie. Nabrał głęboko powietrza, jakby chciał wypowiedzieć jednym tchem bardzo długie zdanie. Wstrzymał oddech i wypuścił głośno powietrze.

- Tak myślałem.

- Co myślałeś?

- Że jako najstarsza, zaczniesz kiedyś zadawać konkretne pytania i domagać się odpowiedzi.

- To chyba normalne, nie?

- Tak. Jak najbardziej.

- No więc?

- Nie wiem, czy mam prawo odpowiadać na twoje pytania.

- Niby dlaczego?

- Bo nie jestem twoim ojcem, tylko ci go zastępuję.

- A co ma piernik do wiatraka.

- To, że niektóre odpowiedzi mogłyby ci się bardzo nie spodobać. To, że mogłoby się to nieciekawie odbić na naszych relacjach, które jak mi się wydaje nie są najgorsze, co?

- Zastępujesz tatę i naprawdę bardzo dobrze ci to wychodzi. Nie musisz się bać.

- No, no. Takie słowa w ustach zbuntowanej piętnastolatki to chyba niezły komplement.

- Chyba. To jak będzie?

Adam zatrzymał samochód przed okazałą willą, z której dochodziła głośna dyskotekowa muzyka. Widać było, że przyjęcie imieninowe już się rozpoczęło. Trochę wcześniej jak na nastoletnią młodzież.

- Zdaje się, że długo sobie nie pogadamy. - Ruchem głowy dał jej do zrozumienia, że przyjęcie zaczyna się rozkręcać bez niej.

- Długo nie musimy.

- Zróbmy tak. Zadaj swoje pytania mamie. Ona wie o mnie więcej niżby chciała. Pozwólmy jej zdecydować, co powinnaś wiedzieć, a czego jeszcze nie. Tak chyba będzie uczciwie, nie?

- Uczciwie. Tylko dla kogo? Oboje jeszcze nie rozumiecie, że nie jestem już dzieckiem. - Nie spojrzała na niego. Otworzyła drzwi samochodu. - Zadzwoń rano.

Wysiadła i zamknęła drzwi trochę mocniej niż było trzeba. Gawlik patrzył jeszcze chwilę, jak wchodzi do budynku. W progu przywitały ją koleżanki i natychmiast wciągnęły do środka. „Rano” - pomyślał. „Czy aby na pewno Basia wie co robi, że pozwala jej zostać tu na noc?” Nie jest biologicznym ojcem i nie jeden raz już to ostatnio od Katarzyny usłyszał.

Zapisał silnik i ruszył.

Dziesięć minut później wjeżdżał na rondo i skręcił w ulicę Buforową, kierując się na osiedle. Przejechał kilkaset metrów, gdy zobaczył mężczyznę idącego poboczem. Mężczyzna obejrzał się i widząc jadący samochód, zaczął energicznie machać, chcąc go zatrzymać. Adam z zasady nie zabierał autostopowiczów, chyba że trafił się jakiś student czy studentka próbująca się dostać z osiedla w pobliże centrum. Co jakiś czas kogoś takiego można było spotkać przy wyjeździe z Vivaldiego. Jednak postać już z daleka wydała się znajoma. Kiedy podjechał bliżej, nie miał już żadnych wątpliwości. Machał na niego kapitan Kirk Porter. Człowiek, którego poznał ledwie kilka godzin wcześniej na przedszkolnym parkingu. O co chodzi? Dał im przecież wyraźnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowany ich sprawami. Czyżby przysłali oficera marines, by jeszcze raz spróbował? Mądrzej byłoby podesłać starego towarzysza Michaela Benta. Na co agentka Perkins liczyła?

Gawlik stanął na poboczu parę metrów przed idącym Amerykaninem. Mógł go zignorować, ale wiedział, że ten i tak go odszuka i będzie się naprzykrzał. Mogli równie dobrze pogadać tutaj, jak i gdziekolwiek indziej.

Kapitan usiadł na miejscu pasażera. Adam rzucił mu pytające spojrzenie.

- Nie wszystko sobie wyjaśniliśmy? - spytał zaczepnie. - Czegoś nie zrozumiałeś, kapitanie?

Zanim Amerykanin odpowiedział, oparł głowę na zagłówku.

- Zrozumiałem wszystko aż nadto dobrze.

- To czego jeszcze chcesz?

Kapitan odwrócił głowę do kierowcy i popatrzył mu prosto w oczy. W jego wzroku dostrzec można było wyraźną obawę.

- Chcę po tej robocie zobaczyć jeszcze swoją rodzinę.

- To się wycofaj, póki jeszcze możesz.

- Nie mogę. Jestem żołnierzem. Dostałem zadanie i muszę je wykonać.

- To masz przesrane, bo przy odrobinie szczęścia Jakuszyn i jego ludzie zrobią z ciebie karmę dla psów.



- Gdybyś poszedł z nami...

- Z nami? - Gawlik wszedł mu w słowo.

- Major Bent się łamie, ale chyba da się namówić.

- Czyli Mike głupiej na stare lata. Gratulacje. Na cmentarzu Arlington są chyba jeszcze jakieś wolne miejsca.

- Tak myślałem. Nie dasz się przekonać.

- Dobrze myślałeś. Coś jeszcze?

- Pomóż mi. - Porter zniżył nagle głos.

Prosił, najzwyczajniej prosił Polaka o pomoc. Zdawał sobie sprawę, że Adam, ostrzegając go, doskonale wiedział, co mówi.

- Człowieku, niby jak mam ci pomóc?

- Powiedz mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Doszkol mnie. Wiem, że mogę się od ciebie dużo nauczyć.

Taka skromność i pokora w wykonaniu amerykańskiego oficera marines była czymś niesłychanym. Zawsze uważali się za najlepszych na świecie i w gruncie rzeczy nie bez racji. Kapitan Kirk Porter okazał się na tyle mądry, że dopuszczał wyjątki potwierdzające regułę. Taki wyjątek stanowił Adam Gawlik.

- Co ty masz w ogóle zrobić? Kazali ci zabić Jakuszyna?

- Nie. Dopóki nie dowiemy się, kto za Jakuszynem stoi, takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Mogłaby się z tego sprawą polityczna. To ma być operacja wywiadowcza. Przynajmniej na początku. Trzeba się dowiedzieć, kto tym wszystkim kręci i w jakim celu. Potem najlepiej by było, jakby dało się Jakuszyna z powrotem wsadzić do pierdła.

- Żołnierz marines raczej średnio nadaje się do wywiadu. Twoje zadanie to co konkretnie?

- Agentka Perkins zajmie się zbieraniem informacji. Ja mam pilnować jej tyłka.

- To ci się nieźle trafiło. Całkiem kształny ten tyłek - zauważył Gawlik pogodnie.

- Więc jednak nasza ślicznotka też cię kręci. Niestety, gustuje wyłącznie w kobietach.

- Coś podobnego - zdumiał się Polak. - A ja miałem wrażenie, że próbuje mnie...

- Słuszne miałeś wrażenie. Bez wahania wciągnęłaby cię do łóżka. Zrobiłaby wszystko dla sprawy, i dla kariery, oczywiście.

- Życie jest pełne niespodzianek.

- To co?

Polak wrzucił kierunkowskaz z zamiarem włączenia się do ruchu. Z tyłu jechał sznur samochodów.

- Jesteś głodny, kapitanie? - Nie czekał na odpowiedź. - Bo ja tak. Zapraszam cię na pizzę. Do waszej Pizzy Hut. Przynajmniej pod tym względem jesteście nie do pobicia.

Wczesne godziny wieczorne obniżyły natężenie ruchu na drodze. Niewiele ponad piętnaście minut zajęło im dotarcie do centrum. Parking w okolicach rynku też nie był problemem.

Porter wysiadł pierwszy. Dostrzegł kątem oka, że Gawlik otworzył schowek i wyciągnął drobne zawiniątko, które schował w bocznej kieszeni marynarki.

Pizzeria w rynku jak zwykle o tej porze pełna była gości. Mieli szczęście. Nie musieli długo czekać przy wejściu. Zwolnił się stolik i młoda kelnerka zaprowadziła ich na miejsce.

- Coś do picia na początek? - spytała dziewczyna, uśmiechając się przymilnie.

- *Something to drink?* - Gawlik przetłumaczył gościowi jej pytanie.

- *Juice? Any soda?* - podchwyciła kelnerka, gdy zorientowała się, że ma do czynienia z obcokrajowcem.

- *Gotta Mountain Dew?* - Amerykanin spytał o popularny w Stanach napój gazowany.

- *Sorry, we're out* - odpowiedziała przeproszającym tonem.

- *Whatever you have, then. Coke.*

Dziewczyna zapisała i popatrzyła na Gawlika.

- Dla mnie duży sok pomidorowy, koniecznie ze słomką.

Kelnerka uniosła brwi zdziwiona. „Jakiś burak, czy co?” - pomyślała. „Poza tym nie mówi się ze słomką tylko z rurką”.

Porter otworzył menu i z satysfakcją stwierdził, że jest również w zrozumiałym dla niego języku. Adam tymczasem rozglądał się po sali, jakby kogoś szukał. Jego karta leżała na stole zamknięta. Ewidentnie nie zamierzał do niej zaglądać.

- Coś polecasz? - spytał Amerykanin.

- Pepperoni z podwójną kielbasą.

- OK. - Porter złożył kartę.

Kelnerka przyniosła napoje. Gawlik zamówił dwie duże pizze. Kiedy dziewczyna odeszła, zaczął wyciągać słomkę z papierowego opakowania. Nie patrzył na gościa, lecz wciąż obserwował salę.

- To jak będzie? - spytał Porter.

- Dobrze będzie, kapitanie - odparł Gawlik.

Nie patrzył na towarzysza. W zamyśleniu włożył koniec słomki do ust i obserwował przechodzącą obok młodą kelnerkę. Była solidnie przy tuszy. Amerykanin też spojrzął w jej stronę. Zastanawiało go coś takiego ciekawego Polak w niej dostrzegł. Czyżby gustował w

„puszystych”?

Dziewczyna weszła po kilku schodkach do części sali znajdującej się na podwyższeniu. Przystanąła na moment i uderzyła się dłonią w kark podobnym ruchem jak człowiek zabijający komara. Potarła skórę i popatrzyła na wewnętrzną stronę dłoni. Zatrzepotała palcami, jakby chciała coś strzepnąć. Ruszyła dalej między stoliki.

- Wpadła ci w oko? - spytał Porter, uśmiechając się półgębkiem.

Adam nie odwrócił wzroku w jego stronę.

- Obserwuj ją uważnie - powiedział, ignorując pytanie. - Za chwilę się przewróci i straci na moment przytomność.

- Co?

- Patrz.

Ku zdumieniu oficera marines dziewczyna istotnie jak rażona piorunem zwała się na drewnianą podłogę. Natychmiast otoczyła ją grupka gości próbujących jej jakoś pomóc. Ktoś zawołał lekarza. Przybiegły koleżanki z obsługi i młody człowiek wyglądający na szefa zmiany.

- Co jest grane? - Kapitan nie ukrywał zaskoczenia.

- Nic - odparł Gawlik, zamieszał słomką w szklance z sokiem i odłożył ją na stół. - Zaraz dojdzie do siebie. A ty właśnie miałeś próbkę tego, czego się jeszcze musisz nauczyć. Niestandardowych działań, żeby w ogóle porywać się na Rosjanina.

- To znaczy? - Porter wciąż nie rozumiał, co się stało.

- Nie lubię pić przez słomkę. - Adam wziął ją ponownie w palce. - Takie gówieńko może stanowić niezwykle niebezpieczną i skuteczną broń, jak się wie, jak z niej korzystać. Kojarzysz Indian południowoamerykańskich i ich dmuchawy? Tu masz wersję mini.

- Tyś ją załatwił?

Obaj popatrzyli na dziewczynę. Wstała o własnych siłach. Potrząsnęła głową i zapewniła ludzi wokół, że nic jej nie jest. Uśmiechnęła się nawet.

- Tak jak powiedziałem, musisz nauczyć się działać niestandardowo. Witalij jest jak wytrawny szachista. Będzie przewidywał twoje ruchy. Dowie się o tobie szybciej, niż ci się wydaje. Zaskoczenie. To twoja jedyna szansa.

- Mam strzelać do niego ze słomki?

- Po pierwsze, to tylko przykład. Po drugie, jeśli zajdzie taka konieczność, musisz mu wybić kluczowych ludzi. Dopiero wtedy będziesz mógł ewentualnie dobrać się do niego samego. Poza tym, może trzeba odnaleźć jego siedzibę i zorganizować uderzenie, a zapewniam cię, że to nie będzie proste, choćby ze względów politycznych.

- Dlaczego politycznych?

- Bo będziecie w kraju, gdzie nie możecie na przykład zrzucić swojej inteligentnej bomby, czy czegoś w tym stylu.

- To już robota CIA. Niech oni się głowią.

- No właśnie. CIA. I to powinno cię martwić, Kirk.

Obsługująca ich dziewczyna przyniosła dwie gorące i pachnące pizze. Życzyła im smacznego i podeszła do tłściutkiej koleżanki, która jeszcze przed chwilą leżała na podłodze. Teraz, przechodząc obok ich stolika, gorąco przekonywała szefa, że czuje się wyśmienicie i nie trzeba jej odsyłać do domu.

Adam nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Porter odwrotnie, wiódł za nią wzrokiem, co jakiś czas zerkając na Gawlika, który zdążył już zabrać się do jedzenia.

- Uczą was podstawowych technik - odezwał się Polak - ale nie finezji i precyzji.

- Dlatego się do ciebie zgłosiłem.

- Będzie co robić. - Adam spojrzał za siebie. - Kurde, głodny jestem. Bierzemy się do żarcia, nie?

## ROZDZIAŁ 25

Kathy Bolton była piękną, młodą kobietą. Alice zwróciła na nią uwagę na korytarzu przy okazji swojej bytności w centrali przed wyjazdem do Polski. Odnalazła ją potem, co zresztą nie było aż takie trudne. Dziewczyna okazała się być nową pracownicą administracyjną. Pochodziła z maleńkiego miasteczka w Kentucky, o którym nikt normalny nigdy nie słyszał. Była niewymownie wdzięczna, gdy Alice zaoferowała się z pomocą we wdrożeniu jej w życie firmy. Kathy, nienawykła do bezpardonowego wyścigu po stolki i robienia kariery po trupach, czuła się przez pierwsze miesiące trochę zagubiona. Zaciskała zęby i powoli zaczynała rozumieć, głównie za radą doświadczonej koleżanki, Alice Perkins, że nie wolno pozwalać innym, by zawalali ją często swoimi obowiązkami. Dowiedziała się od niej, na kogo należy uważać i z kim warto się zaprzyjaźnić. Bardzo wiele nieocenionych wskazówek.

Spotkały się zupełnie niezobowiązująco kilka razy. Kathy bardzo lubiła te spotkania. Odnajdywała w Alice swego rodzaju bratnią duszę. Nikogo tu przecież bliżej nie знаła. Nowe środowisko, nowi ludzie, nie zawsze życzliwi, mimo prezentowanej na co dzień pozy.

Bardzo się Kathy spodobała propozycja wspólnego wypadu do Waszyngtonu. Jest tam gdzie pospacerować i pogadać, ot tak, jak kobieta z kobietą, o babskich sprawach, ale i nie tylko.

Szły powoli parkiem w pobliżu Kapitolu. Dzień chylił się ku końcowi. Było ciepło i bardzo przyjemnie.

- Po skończeniu studiów... - Kathy ciągnęła opowieść o sobie. Zupełnie się przed Alice otworzyła. Czuła przez skórę, że może jej zaufać. Czuła swoistą bliskość z tą kobietą, która słuchała, pytała i bardzo mądrze i trafnie komentowała jej słowa. Kathy złapała się na wewnętrznym pytaniu: „Dlaczego mężczyźni tak nie potrafią?”. A przynajmniej ci, z którymi miała do tej pory do czynienia - ...jeden lokalny biznesmen, bardzo wpływowy, obiecał mi pomóc w karierze. Znał dobrze kongresmana, który z kolei znał innych wpływowych ludzi. Ktoś odpowiedni obejrzał moje CV, spodobały mu się moje wyniki z uczelni... Byłam prymuską - uśmiechnęła się nieskromnie - i w końcu dostałam tę pracę.

- Życzliwy ten twój lokalny biznesmen.

Alice nie wierzyła w bezinteresowność „lokalnych biznesmenów”.

- Pewnie, że życzliwy. Przez dwa tygodnie odpracowywałam tę życzliwość prawie noc w noc. Miał facet zadziwiająco zachcianki erotyczne, a ja musiałam je realizować z uśmiechem na ustach. Coś za coś. Aż się żona dowiedziała, zagroziła rozwodem, to sobie odpuścił. Ale w końcu dotrzymał słowa.

- Nie masz nikogo? - Alice spytała wprost.

- Nie złożyło się. - Kathy patrzyła przed siebie zamyślona. - A ty? - Popatrzyła na rozmówczynię z ciekawością.

- Nie złożyło się - odparła Alice w tym samym lekkim tonie.

- To się dobrałyśmy. Dwie wystrzałowe laski bez towarzystwa.

Kathy świetnie zdawała sobie sprawę ze swojej wyjątkowej atrakcyjności fizycznej. Potrafiła też dostrzec nieprzeciętną urodę koleżanki. Dostrzegła również sposób, w jaki chwilami Alice na nią patrzy. Jakoś inaczej niż wszyscy, tak jak się patrzy na piękny obraz utalentowanego artysty - z zachwytem i fascynacją. Nie mogła powiedzieć, że jej to nie odpowiadało. Wręcz przeciwnie. Jak każda kobieta lubiła się podobać. Pochlebiało jej to, że wodzą za nią wzrokiem nie tylko mężczyźni, ale również ktoś sam obdarzony niezwykle urodą, tak jak agentka Perkins.

Przysiadły na ławeczce w pobliżu Independence Avenue. Nogi domagały się choć krótkiego odpoczynku. Turyści chyba ze wszystkich części świata chodzili tu i tam parami, w małych grupkach, znacznie rzadziej pojedynczo.

Alice zauważyła wózek z hot dogami jakieś niecałe dwieście metrów od nich. Lubiała czasem uraczyć się niezdrowym i tuczącym jedzeniem. Były w Waszyngtonie, a wiadomo, że najlepsze hot dogi na ulicy dają nie tylko w Nowym Jorku. Poczula delikatne ssanie w żołądku. Nabrała ochoty na parówkę w bułce z warzywami.

- Jesteś głodna? - spytała koleżankę, która z każdą chwilą stawała się jej bliską przyjaciółką. Kathy pokiwała głową twierdząco. - Zaczekaj tutaj. Zaraz wracam.

Alice wstała, lecz wstając, niby zupełnie naturalnie, spojrzała jej głęboko w oczy i dotknęła jej perfekcyjnie wypielęgnowanej, smukłej dłoni. Był to dotyk czuły i przyjemny. Zaledwie krótka chwila, ale pełna treści. Alice wysłała pewien sygnał, który może nie został jeszcze właściwie odebrany, lecz miała wrażenie, iż pozostaje to tylko kwestią czasu. Idąc w stronę wózka, uśmiechała się do siebie. Kathy pociągała ją coraz bardziej. Zdała sobie sprawę, że nie tylko fizycznie, chociaż to akurat był główny powód, dla którego interesowała się nową pracownicą działu administracyjnego firmy.

Odeszła wystarczająco daleko, by nie słyszeć tego, co zaczynało się dzieć przy ławeczce, na której siedziała Kathy i poprawiała przed lustrem kosmetycznym i tak

doskonały makijaż. Podeszło do niej dwóch młodych Afroamerykanów. Jeden wysoki, z długimi dreadami na głowie, drugi niższy, z włosami postawionymi na sztorc à la Bart Simpson. Obydwaj prezentowali wspaniale umięśnione torsy i ramiona pod śnieżnobiałymi koszulkami na ramiączkach. Usiedli po obu jej stronach i wyszczerzyli białe zęby w uśmiechu.

- Cześć. Co słyhać? - zagadnął gościa stylizowany na Barta Simpsona, zwyczajową formułą, często stosowaną przy próbach nawiązywania pierwszego kontaktu z nieznanymi płci przeciwnej.

- W porządku.

Kathy sztucznie odwzajemniła uśmiech. Włożyła lusterko z powrotem do torebki i odruchowo przycisnęła ją do siebie. Spotkanie dwóch młodych czarnych w którymś z północnych stanów mogło budzić obawy. Słyszała o okradaniu turystów, napadach rabunkowych, wciąganiu młodych, nieostrożnych kobiet do samochodu i gwałtach. Ofiara była bez szans na doprowadzenie sprawców przed oblicze sprawiedliwości. Nikt nic nie widzi, nikt nic nie wie.

Nie mogła nie zauważyć, że faceci patrzą na nią jak pies na soczystą kość. Odchyliła głowę i popatrzyła na oddalającą się postać Alice.

- Jesteś stąd? - spytał mężczyzna z dreadami.

- Nie. Z koleżanką zrobiłyśmy sobie wycieczkę.

- A gdzie koleżanka? - Dredziarz wykazał zainteresowanie.

- Tam idzie. - Kathy wskazała kierunek. Afroamerykanie odwrócili głowy. - Obie pracujemy w CIA - dodała, starając się nadać głosowi nonszalancki, ale ostry ton. Nie wyszło najlepiej. Reakcja mężczyzn była przeciwna do oczekiwanej. Spojrzeli na nią pobłaźliwie. Nadzieja na wzbudzenie respektu natychmiast uleciała. - Koleżanka zaraz przyjdzie.

- Jestem George - przedstawił się Bart - a to Todd - pokazał na kolegę. - Mamy tu niedaleko imprezkę. Może pójdziemy razem? Zabierzemy koleżankę. Będzie fajnie.

- Może innym razem. Trochę się śpieszymy.

- Nie będzie innego razu. - Bart ani myślał odpuścić. - Nie, Todd?

Na potwierdzenie młody człowiek z dreadami położył Kathy dłoń na odsłoniętym kolanie i przesunął lekko w stronę uda. Zdenerwowana kobieta odepchnęła jego rękę. Drugi facet jak widać uznał to za doskonałą zabawę i powtórzył wyczyn kolegi. Spróbowała odepchnąć i jego, lecz on nie dał za wygraną. Przy wtórze głośnego śmiechu koleżki wcisnął dłoń pod spódnicę Kathy.

- Hej! - krzyknęła na cały głos. - Co ty sobie wyobrazasz?!

Kilku przechodniów obejrzało się w ich stronę. Ani myśleli zareagować. Czarni byli ubrani całkiem przyzwoicie, w sposób odbiegający od stereotypu napastnika. Kobieta mogła być z nimi. Prowokowała ich wyzywającym strojem i zachowaniem, a młodym ludziom wiele nie trzeba. Odwracali wzrok, obawiając się jeszcze jednej rzeczy: oskarżeń o rasizm w razie ewentualnej interwencji. Niech się martwi policja.

- Bądź dla nas miła - odezwał się Bart - a damy ci szczęście, o jakim ci się nawet nie śniło. Chodź z nami. - Chwycił ją pod rękę.

- Nie! - wrzasnęła rozpaczliwie. - Alice! - krzyknęła na całe gardło z irracjonalną nadzieją, że druga kobieta będzie w stanie tu jakoś pomóc.

Alice nie trzeba było wołać. Stała koło nich.

- Głuchy jesteś, złamasie? - spytała Barta najspokojniejszym w świecie tonem. - Pani mówi nie.

Facet podniósł głowę i spojrzał na nią zaskoczony. Widząc jeszcze jedną piękną kobietę, wykrzywił się w lubieżnym uśmiechu. W tej samej chwili Alice wycisnęła mu nad głowę trzymanego w prawej ręce hot doga. Cała zawartość bułki - zmiażdżona parówka wymieszana z keczupem i drobno pokrojonymi warzywami znalazła się na ciele i ubraniu mężczyzny.

- Kurwa! - wrzasnął Łysy i zerwał się z ławki. - Coś ty zrobiła, suko?

- O, chłopczyk się pobrudził - powiedziała Alice z doskonale udawanym współczuciem. Rzuciła mu drugiego hot doga na spodnie, specjalnie celując w krok. Trafiała. - O, jeszcze tutaj, bidulek.

Facet był wściekły. Stracił nad sobą panowanie. Zamachnął się, żeby uderzyć bezczelną sukę otwartą dłonią w twarz. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego, że wyprzedzi jego uderzenie. Złożoną dłonią na kształt łapy niedźwiedzia wykonała istic szermiercze pchnięcie w gardło Murzyna. Ten chwycił się za szyję, nie mogąc złapać powietrza. Padł na kolana i skulił się. Jego kumpel skoczył mu na pomoc. Był o głowę wyższy od agentki. Stanął przed nią jak rewolwerowiec gotujący się do pojedynku. W podświadomości miał zakodowane, że białych kobiet raczej się nie bije.

- I co? - warknął groźnie.

- I nic - odpowiedziała Alice wciąż tym samym naturalnym głosem.

Niczym strzał z bicia wyprocedowała kopnięcie z biodra. Podbiciem stopy uderzyła w miejsce, które w karate nazywa się „strefą kim”, czyli krocze przeciwnika. Kopnięcie było mocne. Bardzo mocne. Murzyn numer dwa zwinął się w kłębek. Dołączył na ziemi do z coraz mniejszym trudem łapiącego powietrze kompana. Alice popatrzyła na osłupiałą koleżankę.



Miała wybrudzoną hot dogiem koszulę i spódnicę. Czarny numer jeden musiał rzucić drugiego hot doga w jej stronę.

Agentka wzięła Kathy za rękę.

- Chodź. Zaraz dojdą do siebie. Mogą się znowu stawiać. - Pociągnęła ją za sobą w kierunku ulicy. Podniosła rękę. Przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Otworzyła tylne drzwi. - Pojedziemy do mnie. Mam tu małe mieszkanie. Doprowadzimy cię do porządku.

Poczekala, aż Kathy wsiądzie i wsunęła się obok niej. Podała taksówkarzowi ulicę. Samochód ruszył. Alice spojrziała przez okno. Afroamerykanie próbowali się pozbiierać.

- Nie wiedziałam, że masz mieszkanie w Waszyngtonie.

Kathy skomentowała ten fakt, chociaż miała przemożną chęć skomentowania raczej wyczynów koleżanki sprzed chwili. Patrzyła na nią z autentycznym podziwem. Zupełnie inaczej niż dotychczas. Chciała być taka jak ona. Piękna, dzielna i pewna siebie.

- Jeszcze paru rzeczy o mnie nie wiesz.

Alice popatrzyła na nią ciepło i położyła jej dłoń na przedramieniu. Przesunęła palce po jedwabistej skórze w stronę nadgarstka. Kathy nie oponowała. Poczula przyjemny dreszcz. Spojrzenia kobiet spotkały się. W oczach pracownicy administracyjnej wyczytać można było ciekawość i pragnienie bliskości. Wzrok Alice zdradzał pragnienie zbliżenia nie tylko duchowego, ale i fizycznego, co Kathy instynktownie wyczuwała, lecz nie potrafiła jeszcze tego w pełni zrozumieć. Tradycyjne małomiasteczkowe wychowanie sprawiało, że na pewne sprawy jej oczy dopiero zaczęły się otwierać.

Mieszkanie Alice było nieduże, jednopokojowe, urządzone nowocześnie, ale ze smakiem. Główną część pomieszczenia zajmowało łóżko, swobodnie mogące pomieścić dwie osoby. Dwa fotele, telewizor w rogu i gruby dywan na podłodze. Na półkach i półeczkach cała masa różnorodnych drobiażdżków, od posążku Buddy począwszy, na stylizowanych na antyczne ramach do zdjęć skończywszy. Drobiazgi te nadawały pomieszczeniu specyficznego charakteru. Tworzyły atmosferę, w której człowiek czuł się swobodnie i bezpiecznie.

Kathy stała na środku i rozglądała się dookoła.

- No, rozbieraj się - zakomenderowała Alice. - Trzeba ci wyprać ubranie. Mam suszarkę. Za godzinę będzie świeżutkie i pachnące.

Kathy bez najmniejszych oporów ściągnęła bluzkę i spódnicę. Przecież Alice była kobietą. Nie miała stanika. Jej wspaniałe ciało osłaniały jedynie skąpe figi. Właścicielka mieszkania wzięła od niej ubrania i zatrzymała wzrok na piersiach dziewczyny. Były pełne, idealnie krągłe, po prostu doskonały materiał dla rzeźbiarza.

- Masz wspaniałe piersi - powiedziała Alice

Kathy uśmiechnęła się, przyjmując komplement.

- Dziękuję.

Była naprawdę dumna z tej części swojego ciała. Cieszyła się, słysząc słowa uznania z ust agentki. Alice odłożyła zabrudzone ubrania na stolik i musnęła opuszkami palców sutki koleżanki. Raz, drugi, trzeci. Zaraz potem delikatnie, bardzo delikatnie pogładziła skórę wokół. Kathy poczuła dreszcz podniecenia. To było przyjemne. Dużo bardziej niż przyjemne. Zmrużyła oczy. Działo się z nią coś dziwnego. Dłonie Alice zaczęły ją czule dotykać dokładnie w tych miejscach, które budowały napięcie erotyczne. Jakby знаła mapę najwrażliwszych punktów jej ciała. Kathy poczuła gwałtowne przyspieszenie bicia serca. Palce agentki pieściły ją w sposób wprost niesamowicie podniecający. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. W najmniejszym stopniu nie oponowała, gdy Alice ściągnęła z niej ostatnią część garderoby. Pieszczoty przeniosły się w okolice krocza. Muskanie wewnętrznych stron ud w górę, przerwa i powtarzanie tej czynności, dotyk górnych części ciała i powrót na dół. Wszystko to sprawiało, że dziewczyna rozpalała się z każdą chwilą. Alice ułożyła ją na łóżku na wznak. Do akcji weszły usta. Kathy oddychała ciężko. Płonęła. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale myślała teraz tylko o jednym: żeby Alice pod żadnym pozorem nie przestawała. Alice tymczasem zrzuciła z siebie ubranie. Dwa zabójczo piękne nagie ciała wtopiły się w siebie. Wydawało się, że upojnym pieszczotom nie będzie końca. Agentka wprowadziła koleżankę w świat szalejących zmysłów, świat, o którego istnieniu Kathy nawet się nie śniło. Nigdy wcześniej nie było jej dane doświadczać wielokrotnych orgazmów, nie mówiąc już o niewyobrażalnym wręcz ich natężeniu.

Po ponad dwóch godzinach miłosnych uniesień leżały obok siebie nagie, gorące i spocone, ale niebywale szczęśliwe. Obydwie. Alice pogładziła partnerkę po brzuchu. Zeszła niżej i zmierzwiła palcami jej włosy łonowe. Kathy przygryzła wargi, uśmiechając się jednocześnie.

- Wiesz, Alice, nawet sobie nie zdawałam sprawy, że coś takiego jest w ogóle możliwe. To było niesamowite. Po prostu szok.

Odwróciła głowę i popatrzyła na agentkę. Oczy, nos, kształtne usta. Alice Perkins była piękną i zmysłową kobietą. Dopiero teraz to do niej w pełni dotarło. W sprawach seksu była niedościgłą mistrzynią.

- To dopiero początek, moja droga. - Alice przejechała jej opuszką palca wskazującego po ustach. - Czeka cię jeszcze dużo więcej.

Kathy poczuła ciepły dreszcz biegnący wzdłuż ciała na samą myśl o przyszłych

doznaniach.

- Bo wiesz, ja nigdy przedtem...

- Nic nie mów, Kathy. Zrobię nam coś chłodnego do picia.

Wstała i poszła do kuchni, nie zwracając sobie głowy narzuceniem na siebie jakiegokolwiek okrycia. W najmniejszym stopniu nie czuła takiej potrzeby. Bez ubrania czuła się wolna. Miała szczerą nadzieję, że Kathy podzieli jej entuzjazm do chodzenia po mieszkaniu bez ubrania. Nie pomyliła się. Kiedy przy kuchennym blacie nalewała do szklanek zimny sok, Kathy podeszła, objęła ją w pól i wtuliła się w nią od tyłu. Wciąż nic na sobie nie miała.

## ROZDZIAŁ 26

*Londyn, Wielka Brytania*

- Dzień dobry, panie Norman.

Dubois z ustami wykrzywionymi nonszalanckim uśmiechem przysiadł się do mężczyzny w średnim wieku, który kończył właśnie posiłek w jednej z najdroższych restauracji Londynu, specjalizujących się w kuchni francuskiej - L'Atelier de Joël Robuchon. Mężczyzna popatrzył na Francuza. Widział go po raz pierwszy. Był zupełnie zaskoczony jego zuchwałym zachowaniem. Jak całkowicie mu obcy człowiek miał czelność tak bez żenady przeszkadzać mu w obiedzie? Richard Norman rozejrzał się po sali restauracyjnej, jakby szukał uzasadnienia dla nietypowej sytuacji. Kelnerzy uwijali się wśród dystyngowanych i podobnie jak on sam niezwykle zamożnych gości.

- My się znamy? - spytał wreszcie intruza, starając się zachować neutralne brzmienie głosu.

- Nie. Ale myślę, że nawiązanie ze mną znajomości leży w pańskim żywotnym interesie.

Norman uśmiechnął się kpiąco.

- Pan wybaczy, ale nie nawiązuję przypadkowych znajomości w przypadkowych miejscach. Jeśli ma pan jakąś ważną sprawę, proszę skontaktować się z moją asystentką. A teraz pozwól pan, że w spokoju dokończę posiłek? - Wbił w Duboisa wzrok i czekał, aż ten zostawi go samego.

- Ma pan dwa poważne problemy, na które ja mam lekarstwo. - Na Normanie słowa Francuza nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Westchnął ciężko. Widać trzeba będzie się inaczej pozbyć natręta. Podniósł dłoń i skinął na kelnera. - Pierwszy nazywa się George Paynes - ciągnął Dubois - który może doprowadzić pana firmę do bankructwa, a drugi Mary Jones, która...

Nazwisko kobiety zelektryzowało mężczyznę. Skąd, u diabła, o niej wiedział?

- Czym mogę służyć? - Kelner stanął obok stolika gotów natychmiast wykonać polecenie.

Richard Norman się zawahał, lecz trwało to tylko krótką chwilę.

- Proszę podać butelkę Porto - powiedział, uważnie przyglądając się nieproszonemu gościowi. - I dwa kieliszki - dodał.

- Służę uprzejmie.

Kelner skłonił się i odszedł.

- Mądra decyzja, panie Norman. - Dubois oparł się wygodnie na krześle. - Myślę, że się panu opłaci.

- Powiedzmy, że mnie pan zainteresował. Ale jeśli chce mnie pan szantażować, to marnuje pan czas.

- Źle mnie pan ocenia. Z całą pewnością nie zamierzam informować pańskiej żony o Mary. Wiemy obaj, że nie najlepiej by się to dla pana skończyło. Jestem tu po to, żeby pana kłopoty raz na zawsze zniknęły.

- Tak? - Powątpiewanie w jego głosie było aż nadto wyczuwalne. - Ciekawe. Niech pan mówi.

- Proszę spojrzeć za siebie. Cztery stoliki dalej.

Norman popatrzył przez ramię. Dopiero teraz zauważył Paynesa siedzącego naprzeciwko młodej i bardzo urodziwej kobiety. Będąc rozwiedzionym, wziętym prawnikiem mógł sobie pozwolić na bujne życie towarzyskie. Opowiadał jej widać coś nadzwyczaj zabawnego, bo co jakiś czas wybuchała tłumionym śmiechem, odrzucając do tyłu swoje lniane, długie włosy. Na widok zacieklego wroga, który systematycznie zamieniał jego życie w koszmar, Norman stracił apetyt.

Pojawił się kelner z winem. Rozlał do kieliszków i oddalił się bez słowa.

- No i co?

- Za chwilę rozwiąże się pana problem numer jeden - powiedział Dubois beznamiętnie.

- Co pan ma na myśli?

- W tym momencie George Paynes delektuje się zamówionym daniem. Problem w tym, że cierpi na wrzody żołądka. Choroba do niedawna nieaktywna, właśnie przeszła w ostry stan, o czym nasz przyjaciel nie wie. Jego danie, wyjątkowo smaczne, ale i wyjątkowo ostre, raczej mu nie posłuży.

Richard Norman usłyszał za sobą krzyk kobiety. Odwrócił się machinalnie. Znienawidzony prawnik leżał na podłodze, trzymając się za brzuch. Wił się z bólu. Przy nim klęczała jego towarzyszka, lecz spanikowana nie bardzo wiedziała co robić. Kilku gości podeszło i próbowało jakoś pomóc. Zbiegli się kelnerzy i szef sali. Norman wstał z krzesła.

- Niech pan nie robi nic głupiego - powiedział najspokojniej w świecie Dubois. Anglik

popatrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Francuz przyglądał się swoim paznokciom.

- Na mój gust perforacja żołądka. Jeśli szybko zostanie mu udzielona pomoc lekarska, może z tego wyjdzie. A może nie. Tak czy inaczej ma pan go z głowy na bardzo długi czas.

- Jego może tak, ale dokumentacji, którą ma, nie.

Jean Paul Dubois nie przestawał analizować swoich dłoni.

- Tym też bym się za bardzo nie przejmował. Dane w komputerze czasem się przypadkowo kasują, a i dokumenty potrafią się gdzieś zawieruszyć. Samo życie.

- Co pan sugeruje?

Dubois oderwał wzrok od dłoni i oparł się łokciami o blat stolika.

- Sugeruję, że teraz powinniśmy przyjrzeć się bliżej problemowi numer dwa.

- Co będzie z Paynesem?

- Nie wiem. Nie jestem lekarzem. Ale, jak na moje oko, nie prezentuje się najlepiej. -

Francuz uznał, że może pozwolić sobie na dawkę czarnego humoru.

- Chodźmy stąd. - Normanowi nie było do śmiechu.

Przy wyjściu Anglik podpisał rachunek. Przed wejście restauracji zajechała czarna limuzyna. Szofer otworzył tylne drzwi. Norman zaprosił Francuza do środka i wszedł za nim. Szofer zamknął za nimi, obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

- Jedź - rzucił Norman do kierowcy i gestem dłoni nakazał podniesienie dźwiękoszczelnej szyby oddzielającego go od pasażerów. - Tu możemy spokojnie porozmawiać. Niech pan mówi.

- To wyjaśnijmy sytuację. Mary Jones jest z panem w ciąży. - Dubois kątem oka zauważył reakcję rozmówcy. Z twarzy Richarda Normana biło zdumienie. Sam dowiedział się o tym fakcie dopiero wczoraj. - Mary oczywiście nie chce słyszeć o aborcji i upiera się, żeby dotrzymał pan słowa, czyli zostawił żonę i się z nią ożenił. Jeśli nie, to pana zostawi, ze wszystkimi tego kroku konsekwencjami. Takie babskie ultimatum. Czy jak dotąd moje informacje są ścisłe?

Anglik milczał. Świdrował wzrokiem Duboisa.

- Kim pan jest? - zapytał wreszcie szeptem.

- Wbrew temu, co pan o mnie myśli, panie Norman, przyjaciele. Naprawdę chcę panu pomóc.

- Jakoś się pan nazywa?

- Jakoś tak. Ale moje nazwisko i tak panu nic nie powie. Powiedzmy, Smith. Może być?

- Jak się wsłuchać, to mówi pan z niemieckim akcentem, panie Smith. Więc może

raczej Szmit?

- Jak pan woli. Mi to bez różnicy. Ale tak dla ścisłości, nie jestem Niemcem.

- Skąd pan to wszystko o mnie wie, panie Szmit? I dla kogo pan pracuje, jeśli można wiedzieć?

- Niestety te pytania muszę pozostawić bez odpowiedzi, jestem jedynie upoważniony do złożenia panu konkretnej propozycji. Jeżeli pan ją przyjmie, wywiążemy się z umowy ku pańskiemu zadowoleniu. Jeśli uzna pan, że propozycja panu nie odpowiada, po prostu zapomnimy o całej rozmowie i więcej się nie zobaczymy.

- Takie proste? Mogę ot tak powiedzieć „nie” i po sprawie?

- Dokładnie tak.

- W takim razie słucham.

- Wiemy, że wasz związek to nie przelotny romans, lecz coś znacznie głębszego. Wiemy, że z radością poślubiłby pan Mary Jones. Ale na przeszkodzie stoi obecna żona, Patricia Norman z rodziny Winstonów, z którą już pana nic nie łączy. Jednak jest bajecznie bogata z domu, ustosunkowana i wpływowa. W razie rozwodu nie zostawiłaby panu złamanego grosza, a i kariera w biznesie mogłaby lec w gruzach. Dobrze myślę?

- No i co? Chce mi pan zaproponować zabicie mojej żony? - spytał sarkastycznie. - Byłbym pierwszym podejrzanym. A jakby jej rodzina dowiedziała się o Mary, i tak by mnie zniszczyli.

- Nie docenia nas pan, panie Norman.

- To znaczy?

- Pańska żona, Patricia, bierze narkotyki...

- Co za brednie mi pan tu opowiada. - Mężczyzna prychnął pogardliwie. - Moja żona i narkotyki. Bzdura, panie Szmit. Bzdura totalna. Absurd. Ma pan niezbyt wiarygodne źródło informacji.

- ...i to te twarde narkotyki. - Dubois nie pozwolił się zbić z tropu. - Od mniej więcej miesiąca. Wiemy to na pewno, bo w pewnym sensie mamy w tym swój udział. Dla pana dobra, oczywiście. Narkomani często mają wrażenie, że potrafią latać. Wyskakują z wysokich budynków, ale jak się potem zawsze okazuje, są w błędzie. Co pan sądzi o takim scenariuszu?

Zapadła cisza. Anglik ani na moment nie spuścił wzroku z rozmówcy.

- Mogę teraz powiedzieć „nie” i się rozstaniemy?

- Tak jak powiedziałem. Zapomnimy o swoim istnieniu.

Dubois zupełnie spokojnie czekał na ostateczną decyzję.

- Ile mnie to będzie kosztowało?

- Dziesięć milionów euro płatne po wykonaniu zlecenia i ostatecznym zamknięciu sprawy, kiedy majątek żony stanie się pana własnością. To chyba uczciwe warunki?

- Dziesięć milionów to za dużo - powiedział Norman stanowczo.

- Cena nie podlega negocjacji. Przy fortunie, którą pan odziedziczy, to nie tak wiele za wolność i szczęście osobiste. Poza tym cały czas może pan odmówić i wtedy więcej już pan mnie nie zobaczy.

- Ile mam czasu na zastanowienie?

- Decyzja tu i teraz. Nie ma czasu.

Anglik świdrował rozmówcę wzrokiem. Dubois ułożył wygodnie głowę na zagłówku i przymknął oczy. Wydawał się bardzo zmęczony. Nie było po nim widać żadnych emocji. Po prostu czekał na decyzję Normana cierpliwie, tak jak się czeka na zamówione danie w restauracji.

- W porządku. Niech pan robi swoje.

- Doskonale. - Francuz ożywił się w mgnieniu oka. - Proszę sobie wziąć jakieś dwa tygodnie urlopu i wyjechać gdzieś na drugi koniec świata. Jak pan wróci, będzie trzeba trochę poudawać nieutulonego w żalu.

- Rozumiem.

- Niech mnie pan wysadzi tam, za rogiem.

Richard Norman zapukał w dźwiękoszczelną szybę. Zjechała w dół.

- Bob - zwrócił się do kierowcy. - Zatrzymaj się przy zakręcie.

Bob zwolnił płynnie i włączył prawy kierunkowskaz. Dubois wysiadł z limuzyny na szeroki chodnik pełen pieszych śpieszących w obu kierunkach. Kilka par oczu zatrzymało się zazdrośnie na samochodzie i wysiadającym z niego pasażerze.

Dla Patricii Norman właśnie rozpoczęło się odliczanie. Za tydzień jej rodzina otrzyma straszną wiadomość.



## ROZDZIAŁ 27

Max przeglądał gazetę. Rzucił okiem na zegarek. Jeszcze pięć minut do startu samolotu rejsowego Lufthansa. Kątem oka spojrzał na pasażerkę obok. Kobieta, z pewnością solidnie po trzydziestce, była zadbana i bardzo atrakcyjna. Długie, bujne blond włosy i pociągła twarz zdradzały nordyckie pochodzenie. Krótka letnia sukienka zakrywała ledwie połowę zachwycająco kształtnych ud. Czyżby rodaczka? „Niemożliwe. Zbyt piękna na Niemkę”. - W myślach pozwolił sobie na złośliwość w stosunku do własnego narodu.

Kobieta siedziała nieruchomo niczym posąg. Wpatrywała się w przestrzeń nad fotelami z przodu. Dopiero teraz Max zauważył, jak wbija palce w oparcia swojego fotela. Za chwilę miał nastąpić start. Nie było wątpliwości. Jego olśniewająca pasażerka najwyraźniej bała się latać. Zresztą określenie „bała” było dość łagodne. Kobieta truchlała ze strachu. Z drugiej strony do Tajlandii trudno było dostać się szybko inaczej niż drogą powietrzną.

Fausten nachylił się w jej stronę.

- Mogę zastrzelić pilota - powiedział od niechcienia.

- Proszę? - odpowiedziała po niemiecku.

Miała dobry akcent, ale wyczuwalnie niegermański. Skandynawka. Max stawiał na Szwecję. Tam solidnie uczą języków od dziecka.

- Jak zastrzelę pilota, to nie wystartujemy i będzie po strachu - powtórzył, ani na jotę nie zmieniając tonu. - Isć?

- Pan się wygłupia... - powiedziała niepewnie, widząc jego śmiertelnie poważną minę.

Fausten spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi i uśmiechnął się.

- Dla pani porwałbym się z motyką na słońce. Jak pewnie każdy inny mężczyzna na pokładzie. Wystarczyłby jeden uśmiech.

Kobieta zorientowała się, o co mu chodzi. Uśmiech ozdobił jej twarz. Uścisk na poręczach foteli zelżał.

- To aż tak widać? - spytała.

- Że się pani boi latać? Widać. - Pokiwał głową. - Ale mam propozycję. Niech mnie pani weźmie za rękę. Mówią, że mam moce bioenergoterapeutyczne. Zapewniam, że zniesie pani start spokojnie i bezboleśnie.

Kobieta podała mu dłoń. Jakby było to sygnałem do lotu, samolot zaczął kołować, po

czym rozpędził się i wzbil w powietrze. Max poczuł jej mocny uścisk. Zachowywała się jednak dużo spokojniej niż jeszcze kilka chwil temu.

Kiedy maszyna nabrała wysokości i wyrównała lot, spojrzała na sąsiada. Zabrała dłoń.

- Niesamowite. Naprawdę ma pan jakieś niezwykle zdolności. - Po raz kolejny obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Bardzo pani łaskawa, ale nic podobnego. Nie mam absolutnie żadnych zdolności terapeutycznych - stwierdził z rozbijającą szczerością. - Zwykła sztuczka, żeby przestała się pani bać.

- To znaczy, że...

- To znaczy, że dała się pani nabrać. - Zrobił cierpiętniczą minę. - Ale za to w słusznej sprawie.

Kobieta z całą pewnością nie zamierzała się na niego gniewać.

- Nazywam się Tine Fruelund - przedstawiła się.

Ponownie wyciągnęła do niego dłoń. Tym razem bez obaw.

- Szwedka?

- Dunka.

- Jestem Max Fausten. Bardzo mi miło panią poznać.

- Niemiec?

- Obywatel niemiecki. Ale z zamiłowania obywatel świata.

- Ciekawe. Często służy pan pomocą samotnym kobietom?

- Tylko tym najpiękniejszym.

Nie przestawała się uśmiechać.

- Nie wiedziałam, że Niemcy to uwodziciele.

- Mówiłem, jestem Niemcem tylko z urodzenia.

- Do Tajlandii jedzie pan w interesach czy odpocząć?

- I tak, i tak. Praca bez przyjemności nie ma sensu.

- Interesujące spostrzeżenie.

- A pani?

- Wyłącznie odpocząć.

- Sama?

- Człowiek czasem potrzebuje być sam. Panu się to nie zdarza? - Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

- Zdarza mi się to. Bardziej z konieczności niż z potrzeby. - Spoważniał. - Nawet nazbyt często.

Jego uwaga obliczona była na wzbudzenie w kobiecie czegoś na kształt zainteresowania pomieszanego ze współczuciem. Liczył na instynkt opiekuńczy, który cechuje prawie każdą kobietę. Nie przeliczył się. Spojrzała na niego jakoś inaczej. Jakby cieplej i przyjaźniej.

- Rozumiem, że nie ma żadnej pani Fausten. - Zrobiła zagadkową minę.

- Dziwne mamy czasy. Czasy, gdzie prawdziwe uczucie nie jest w cenie - stwierdził nostalgicznie. - Powinienem się być urodzić jakieś sto, może dwieście lat temu. Wtedy ludzie wiedzieli, co znaczy kochać, tak naprawdę.

Zerknął na rozmówczynię. Jej rysy twarzy łagodniały z każdą chwilą. Wygląda na to, że trafił na kobietę nieszczerólnie skomplikowaną emocjonalnie. Chyba połykała haczyk. Romantyczne wstawki trafiały na wyjątkowo podatny grunt. Przez skórę czuł, że jego pobyt niekoniecznie musi przebiegać w towarzystwie pań lekkich obyczajów, od których roilo się w Bangkoku i innych miejscach tłumnie odwiedzanych przez turystów, najczęściej z Niemiec.

- Mogę spytać, czym się pan zajmuje?

- Nowoczesnymi technologiami - odpowiedział bez namysłu. - Współfinansuję prace badawcze. Praca wymaga częstych podróży. To akurat dobrze, jak nie za bardzo ma się gdzie wracać - dodał mimochodem. - A pani? Jeśli wolno spytać oczywiście. Nie chciałbym uchodzić za wścibskiego.

- Nie robię nic nadzwyczajnego. Jestem urzędniczką państwową. Pracuję w jednym z działów ministerstwa polityki socjalnej.

- Pięknie - ożywił się Max. - Czyli pomaga pani ludziom potrzebującym. Skrzywdzonym przez los. Robi pani coś naprawdę pożytecznego, coś, co ma prawdziwy sens.

- Nie do końca jest tak, jak pan myśli. Jestem tylko trybikiem w biurokratycznej maszynie.

- Tylko że ten trybik robi coś naprawdę dobrego. Niech pani nie będzie taka skromna. Proszę mi coś więcej o sobie powiedzieć. Jeśli wolno mi prosić, oczywiście.

- No cóż... Nie za wiele mogę powiedzieć... - zaczęła niepewnie.

- Z pewnością jest pani niezwykle, fascynującą osobą. Ja się znam na ludziach - starał się ją zachęcić. - Niech mi pani chociażby powie, czym się pani interesuje. Co pani lubi, czego nie.

Zręcznie prowadził rozmowę na niezobowiązujące, a jednak dość osobiste tory. Ze swoim wszechstronnym wykształceniem i obyciem bez trudu nawiąże do poruszanych przez nią kwestii. Wykaże autentyczne zainteresowanie, trafi w jej gusta i przy odrobinie szczęścia złamie kolejne niewieście serce, zaspokajając jednocześnie swoją męską próżność zarówno

fizycznie, jak i emocjonalnie.

Tine Fruelund mówiła, on słuchał z uwagą. Komentował i dodawał coś od siebie. Dunka zaczęła odkrywać w tym sympatycznym i wydawałoby się niezwykle wrażliwym Niemcu pokrewną duszę. Rozmawiali o sztuce, muzyce i literaturze. Zahaczyli nawet o poezję, której Fausten okazał się być solidnym znawcą.

Kobieta cieszyła się w duchu, że los postawił tego niezwykle mężczyznę na jej drodze. Max Fausten podzielał jej odczucia, lecz ze zgoła innego, typowo samczego powodu.

### *Bangkok, Tajlandia*

Z powodu natłoku turystów targ na wodzie już dawno stracił swój specyficzny klimat. Można tu kupić dzisiaj już nie tylko owoce, ale i pamiątki. Spacerując promenadą wzdłuż kanału, można było w nieskończoność obserwować przepływające łódki z odwiedzającymi Tajlandię obywatelami głównie bogatych krajów zachodniej Europy, i łódzie wypełnione towarami na sprzedaż.

Witalij był w doskonałym nastroju. Spotkanie, które tu odbył z jednym z najważniejszych bossów chińskiej Triady, spełniło wszystkie jego oczekiwania. Wiele jest do zrobienia i do zarobienia w Państwie Środka, a sojusznik w postaci Triady z pewnością okaże się prędzej czy później nieoceniony. Oparł się o drewnianą barierkę oddzielającą chodnik od kanału. Jego wzrok przyciągnęła kobieta w charakterystycznym słomkowym nakryciu głowy. Kierowała łodzią z czwórką opasłych turystów w wieku emerytalnym. Po figurze i rysach twarzy trudno było określić jej wiek. Mogła mieć równie dobrze około trzydziestki, jak i pod pięćdziesiątkę. Jej życie, tak jak pewnie i jej rodziny, polegało na służeniu przybyszom z dalekich krajów. Zero perspektyw na lepsze jutro, nieustanna walka o codzienny byt.

Kobieta w łódce wkrótce zniknęła mu z widoku, przysłonięta pływającymi straganami.

Max Fausten stał oparty o barierkę tyłem do kanału. Witalij i jego prawa ręka wyglądali jak dwóch zupełnie sobie obcych ludzi, przypadkowo znajdujących się w tym samym miejscu.

- No, co tam słyhać? - odezwał się Rosjanin, nie odrywając wzroku od wydarzeń na wodzie.

- Same dobre wiadomości. - Max przegryzał orzeszki ziemne, których zawsze był wielkim fanem i przyglądał się przechodzącym turystom. - Wszystko zaczyna się układać.

- Wreszcie. Najwyższy czas. Co z Kolumbijczykiem? Dalej nie chce płacić?

- Zrobiliśmy, jak mówiłeś. Ostrzeżliśmy go, że będzie miał kłopoty. Potem udało się podać jego ukochanej córeczce mieszanekę chemiczną, że niby szczepionka, i było tak jak przewidziałeś. Cholernie bolesne skurcze mięśni twarzy, ramion, dłoni, wykręcanie kończyn, duszność, napady padaczkowe i różne inne atrakcje. Objawy jak przy tym... jak mówiłeś?

- Tężycze.

- Sanchez załatwił najlepszych lekarzy i w tym kierunku szli, ale jak małej skurcze mięśni zaczęły łamać kości, to wpadli w popłoch. Stary dostawał wariacji.

- Zapłacił?

- Pewnie, że zapłacił. I to z odsetkami.

- Co z dzieckiem?

- Dostała odtrutkę. Dochodzi do siebie. Wylize się.

Ruch na wodzie natęzał się. Kolejna łódka z turystami z trudem przeciskała się przez wąskie gardło, które utworzyło się przed oczami Rosjanina.

- Co jeszcze? - spytał Witalij.

- Amerykanie już o nas wiedzą.

- Domyślam się. Po waszym występie z ich okrętem podwodnym.

- Boss, to naprawdę było zagrożenie.

- OK. Już o tym rozmawialiśmy. I co dalej?

- CIA przydzieliło sprawę jednej agentce. Nazywa się Alice Perkins.

- Co o niej wiemy?

Podeszła do nich para emerytów z rozłożoną w rękach mapą. Mężczyzna był malutki. Nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Kobieta jeszcze niższa.

- Czy wie pan może... - zwrócił się do Maxa staruszek po angielsku z amerykańskim akcentem.

- Nie wiem - uciał Niemiec. - Spierdalaj - dodał z czarującym uśmiechem.

Staruszkowie wytrzeszczyli oczy jakby zobaczyli ducha i potupali dalej, oglądając się co jakiś czas za siebie.

- Coś u ciebie z kulturą nie za bardzo - zauważył Witalij.

- To Żydzi.

- Myślałem, że druga wojna to już historia.

- Z historii też trzeba się uczyć.

- Antysemityzmu?

- Życia.

Rosjanin łypnął na rozmówcę. Czasami zupełnie nie był w stanie zorientować się, czy

w danym momencie Max mówi poważnie, czy tylko się wygłupia.

- Co z tą agentką?

- Raczej małe doświadczenie. Na mój gust nic nie zwojuje. Poza tym lesbijka, chociaż podobno całkiem do rzeczy.

- Ktoś jej pomaga?

- Jeden kapitan marines ma zmontować grupę uderzeniową. Kirk Porter się gościu nazywa. Jeszcze nie wiedzą, że urzędujemy w Rosji i żołnierze na nic im się nie przydadzą.

- Chodzą słuchy, że porucznik Gawlik dla CIA ostatnimi czasy robił. Coś wiesz?

- Nic nie słyhać, żeby udało się im go zwerbować. Raczej nie.

- Przydałoby się mieć pewność - mruknął Witalij niezbyt zadowolony z odpowiedzi w stylu „raczej”. - Sam się nim zajmę.

- OK. Z paru zleceń prywatnych dostaliśmy dwadzieścia pięć milionów euro. Zrobiliśmy też zlecenie dla jednego koncernu farmaceutycznego. Przekaz podprogowy okazał się wyjątkowo skuteczny. Ludzie w Europie kupowali ich bezreceptowy specyfik jak wariaci. Zarobiliśmy na tym jakieś trzydzieści milionów euro.

- To rozumiem.

- I ostatnia sprawa. Potwierdziło się. Niewielka grupa ludzi, przemysłowcy i bankierzy, dawno temu stworzyli organizację. Nazywają siebie TETTA. To jakiś skrót, ale jeszcze nie wiemy jaki. Cholera wie, od jak dawna działają, ale to już kupę lat będzie. Kryzysy giełdowe, spowolnienia gospodarcze, nagłe wahania walutowe to wszystko ich robota. Czerpią z takich wydarzeń kolosalne zyski. Najciekawsze, że z wojny też. Na przykład Irak. Spreparowali te pierdoły o składach broni chemicznej Saddama, a administracja łyknęła. No i biznes się kręci niemożliwie. Nie darmo się mówi, że pieniądź rządzi światem. Poza tym fenomenalnie się kamuflują.

- Konkrety, Max, konkrety.

- Szefuje im Henry Morgan. Ten od stali. Udało mi się spotkać z jego prawą ręką, niejakim Bernardem Duvallem. Udało się tylko dlatego, że weszliśmy im w drogę na giełdzie w Hongkongu. Chcieli porobić parę mocno zyskownych manipulacji. My też. Doszło do konfliktu. Nie udało się ani nam, ani im, a przy tym wielu drobnych inwestorów nie potraciło dorobku całego życia. Nigdy się nie dowiedzą, jakie mieli szczęście. Trzeba było się jakoś dogadać. Okazuje się, że mamy wspólne interesy. Nimi też zaczyna się niezdrowo interesować amerykańska administracja. Oni mają pieniądze, my technologie. Razem dużo możemy zdziałać. Kto wie, może nawet do zmiany rządu włącznie.

- Do zmiany rządu, mówisz... - Jakuszyn zamyślił się na moment. - Skąd my to

znamy...

- Od generała Iwanowa?

- Władza. Szczyt marzeń człowieka. Szczególnie ta absolutna, jak w Rosji. - Nieprzerwanie śledził ruch na wodzie jakieś dwa metry niżej. - Ale co z tą organizacją?

- Umówiłem cię na spotkanie z samym wielkim bossem, Henrym Morganem.

- Kiedy?

- Dokładnie za dwa tygodnie w Genewie.

- Dobrze. Musimy jeszcze pogadać z generałem Iwanowem. Trzeba będzie mu pokazać, co robimy. Musi się przekonać, że wielka Rosja, a przede wszystkim on sam będzie miał z nas pożytek. - Witalij odwrócił się. Popatrzył w obie strony, jakby zastanawiał się, w którym kierunku pójść. - Będziemy w kontakcie. Jakby co, wiesz, jak mnie łapać.

Poszedł szybkim krokiem wzdłuż promenady.

\*

Mimo pory obiadowej hotelowa restauracja wypełniona była najwyżej w połowie. Wokół dało się słyszeć różne języki z przewagą niemieckiego. Turyści niemieccy rozmawiali znacznie głośniejszym głosem niż inni. Nic sobie nie robili z karcących spojrzeń ludzi pragnących spożyć posiłek w miarę względnym spokoju.

Witalij oparł się wygodnie na krzesło. Założył nogę na nogę. Czekał, aż kelner przyniesie mu zamówione danie. Po spotkaniu z Maxem był w świetnym nastroju. Wszystko zaczyna się układać. Jak tak dalej pójdzie, stanie się jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie i kto wie, może to on będzie decydował o wyborze najwyższych władz w danym kraju. Spotkanie i ewentualna współpraca z ludźmi Morgana może okazać się przełomowa. Tylko ci cholerni jankesi wpięprzają się w nie swoje sprawy. Jeżeli organizacja TETTA jest rzeczywiście tak wszechmocna, jak wynikało z ich informacji, to mogą tu się bardzo przydać.

Do stolika kilka metrów dalej podeszła trzyosobowa rodzina. Kobieta pod czterdziestkę, przy kości i raczej niezbyt urodziwa. Mężczyzna szczupłutki, w podobnym wieku, wiecznie sprawiający wrażenie lekko wystraszonego, z przymilnym uśmiechem na ustach. Ich córka miała nie więcej niż sześć lat. Późny wiek na rodzicielstwo. Mieszkali w pokoju obok. Bardzo grzeczni i otwarci. Kilkakrotnie wymienili z nim grzeczności na korytarzu hotelowym. Z języka, jakim posługiwali się w rozmowach między sobą, Witalij wnioskował, że są z któregoś z krajów skandynawskich.

Kiedy go zobaczyli i rozpoznali, ukłonili się i obdarzyli przyjaznymi uśmiechami. Dziewczynka pomachała do niego energicznie. Odwzajemnił pozdrowienie. Dziecko zupełnie nie przypominało rodziców. Mała panienka z upiętymi w kucyki jasnobłond włosami miała

twarz aniołka. Strzelała niebieskimi oczkami we wszystkie strony ciekawa świata. Nie można było nie czuć do niej sympatii.

Kelner przyniósł jedzenie. Witalij wziął w ręce pałeczki. Spojrzał na sąsiadów i ze zdziwieniem stwierdził, że oni też właśnie dostali obiad. Nie musieli czekać. Ciekawe dlaczego? Może złożyli zamówienie wcześniej. Dostali też zwyczajne europejskie sztuce. Widać nie nawykli do jedzenia pałeczkami. Ach ci zachodni Europejczycy. Zabrał się za jedzenie. Zdążył już zgłodnieć. Patrzył w talerz i zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę z generałem Iwanowem. Właściwie od niego głównie zależy ich być albo nie być w Rosji. Bezpieczniejszego miejsca na świecie chyba nie znajdują. Trzeba będzie przekazać mu parę nowinek technologicznych, które udało się ukraść Amerykanom, i wyniki ich działalności informatycznej. Powinien być zadowolony.

Poczuł delikatne szarpnięcie za ramię. Z boku stała mała Skandynawka. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę do kolan z czerwonymi zdobieniami na dole i na końcu rękawów.

- Proszę pana - zwróciła się do niego po angielsku. Od razu zwrócił uwagę na fakt, że takie dzieciątko już mówi językami obcymi. Widać prawdę mówią o skutecznym systemie nauczania w Europie Północnej. - Mama mówi, żeby pan do nas przyszedł, bo pan sam siedzi.

- Podziękuj mamie za zaproszenie - odpowiedział. Miał ochotę pogłaskać ją po głowie, ale się powstrzymał. Podobno Skandynawowie dostają wariacji na punkcie molestowania. Kto wie, czy jego spontanicznego gestu by pod to nie podciągnęli. - Ale ja lubię jeść sam.

- A czemu pan widelcem nie je, tylko pałeczkami? - Dziewczynka obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem pałeczki.

- To są pałeczki. W krajach azjatyckich je się właśnie pałeczkami.

- Nie mają widelców?

- Mają - odpowiedział cierpliwie. - Ale ludzie wolą jeść pałeczkami.

- Po co?

Prostym pytaniem zbiła go z pantałyku. Nie miał gotowej odpowiedzi na dziecinne pytanie.

- A tobie obiad przypadkiem nie wystygnie? - Uznał, że najlepszą obroną jest atak.

- Nie - odpowiedziała bez wahania, nie spuszczać wzroku z pałeczek. - Nauczysz mnie?

Spontanicznie opuściła słowo „sir” dodawane na końcu wypowiedzi jako odpowiednik grzecznościowego „pan”.



- Na pewno nauczę. Ale teraz idź do rodziców i grzecznie zjedz obiad. Możemy się tak umówić?

Skandynawka odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do rodziców. Witalij odetchnął z ulgą. Dziecko było sympatyczne i rezolutne, lecz nieszczególnie miał ochotę na nawiązywanie bliższych znajomości. Wrócił do swojego posiłku z nadzieją, że go skończy w spokoju. Nadzieja okazała się niestety ulotna. Zanim rodzice zdążyli zareagować, skandynawski maluch przeniósł swój talerz na stół Witalija i postawił, głośno stukając o blat. Drobne rączki odsunęły krzesło i dziewczynka błyskawicznie usadowiła się przy stole Rosjanina, który zaniemówił. Natychmiast podbiegła matka, a zaraz za nią ojciec. Oboje zrobili przepaszające miny i zaczęli z córką negocjować w rodzimym języku. Dziewczynka chwyciła się kurczowo siedzenia krzesła i coś głośno wykrzykiwała. Matka rozłożyła bezradnie ręce.

- Bardzo pana przepraszam - zwróciła się do niego po angielsku - ale Karen mówi, że obiecał pan ją nauczyć jeść pałeczkami, i nie odejdzie. Proszę mi wierzyć, naprawdę strasznie nam przykro, że naraziliśmy pana na kłopot. Musimy ją zabrać razem z krzesłem. - Oboje straszliwie zakłopotani niefortunnym incydentem, nieporadnie starali się jakoś chwycić krzesło.

- Proszę zaczekać - powstrzymał ich Witalij. - Rzeczywiście obiecałem, a dorośli jak coś obiecują dzieciom, to zawsze powinni dotrzymać słowa. Wszyscy razem zjemy przy waszym stoliku - zwrócił się do małej Karen - i pokażę ci, jak się je pałeczkami. OK?

Dziewczynka się rozpromieniła. Chwyciła swój talerz i podreptała do stolika rodziców. Dorośli spojrzeli na niego z niewymowną wdzięcznością. Witalij skinął tylko głową i przysiadł się do nich.

Ich wspólny obiad trwał znacznie dłużej niżby mógł. Dziewczynka nie posiadała się z radości, próbując wykonywać instrukcje Jakuszyna. Znaczna część jej dania znalazła się na obrusie, co kwitowane było wybuchami jej entuzjastycznego śmiechu. Państwo Hella i Björn Bergen, bo tak mu się przedstawili, próbowali nadrabiać miną. Opowiadali mu o sobie praktycznie bez żadnych zahamowań, jakby w ten sposób starali się ukryć zażenowanie. Dowiedział się, że pochodzą z Norwegii z okolic Narviku, że Karen jest ich jedynym, wytęsknionym dzieckiem, ponieważ pani Bergen długo nie mogła zająć w ciążę i problem wymagał lat leczenia. Przyjechali do Tajlandii na wakacje. Są w drodze na wyspę Phuket, ale wcześniej postanowili spędzić trzy dni w Bangkoku, by zobaczyć miasto. Jednocześnie byli na tyle dyskretni, żeby nie wypytywać jego samego. Wydawali się zadowalać tym, co im powiedział, że nazywa się Robert Lee, jest obywatelem amerykańskim, ale pochodzi z Rosji.

Kiedy już wreszcie skończyli pełen „przygód” posiłek, Rosjanin poczuł autentyczną sympatię do tych skromnych ludzi. Uczucie, którym, jak do tej pory, obdarzał jedynie panią doktor z luksusowego domu opieki pod Moskwą. Pomyślał o niej i zrobiło mu się jakoś dziwnie ciepło na duszy.

- Masz żonę? - zastrzeżona go bezpośrednim pytaniem Karen.

Rodzice zgromili ją wzrokiem, choć w duchu sami by chcieli się o nim czegoś bliższego dowiedzieć, lecz nie śmieli pytać.

- Nie mam. A co?

- Mama mówi, że każdy chłop powinien mieć żonę, bo inaczej durnieje. - Kobieta miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Witalij roześmiał się szczerze ubawiony. - To dlaczego nie masz żony?

- Karen! - upomniała ją matka.

- No co? - obruszyła się dziewczynka. - Tylko rozmawiamy.

- Nie mam żony, bo... - zaciął się. Nie wiedział co powiedzieć. - Ale jak spotkam kobietę taką jak ty, to na pewno się ożenię - dokończył, w zabawny sposób robiąc śmiertelnie poważną minę.

Małą ewidentnie ucieszyła ta odpowiedź. Popatrzyła na matkę, która pogłaskała ją czule po policzku.

- A jak dorosnę, to wiesz, kim chcę być?

- Nie no, nie wiem. Powiedz.

- Księżniczką Bellą.

- To taka postać z bajek dla dzieci - wytłumaczyła Hella.

- A nie chcesz być lekarką albo panią nauczycielką, albo...

- Nie. Będę księżniczką Bellą.

- Aha. OK.

- A ty kim jesteś?

- Ja? Biznesmenem.

- E, tam. Lepiej, jakbyś był księciem.

- Dlaczego?

- Bo mieszkałbyś w pałacu. A tak, co?

- Mnie tak dobrze.

- To teraz idziemy na lody! - Karen uznała rozmowę za zakończoną. Wstała z krzesła i chwyciła Rosjanina za rękę. Mężczyzna uniósł brwi zaskoczony. - Fajny jesteś. Idziesz z nami.

Witalij popatrzył na rodziców.

- Zapraszamy - powiedział ojciec szczerze. - Będzie nam niezmiernie miło.

- Tak, tak. Zapraszamy - potwierdziła matka.

Karen nie brała innej ewentualności pod uwagę. Stała ze zniecierpliwioną miną. „Czemu ci dorośli zawsze muszą się tak guzdrać?” Pytała się w myślach. Kilkakrotnie tupnęła nóżką, dając im do zrozumienia, że nie zamierza przecież na nich czekać wiecznie.

- Bardzo chętnie. Skoro Karen zaprasza... - popatrzył na dziewczynkę, wzrostem sięgającą niewiele powyżej biodra. Karen nie zapraszała, Karen żądała. - Muszę jeszcze wykonać jeden telefon i zaraz do was dołączę. Może tak być? - zwrócił się do małej Norweżki.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Teraz.

- Muszę zadzwonić do jednej pani, która może będzie moją żoną.

- Tak? - Karen zmieniła ton. - Nie oszukujesz mnie?

- Naprawdę.

- To idź. My tu poczekamy.

- Karen, poczekamy na pana Roberta na zewnątrz w ogródku. Zamówimy lody i pan do nas przyjdzie. - Karen nie wyglądała na przekonaną. - Jakies pięćdziesiąt metrów od hotelu jest taka jakby knajpka i tam dają lody - powiedziała do Rosjanina. - Tam będziemy czekać. Na pewno pan znajdzie.

- OK. Będę za jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut.

- Dałeś słowo - przypomniała mu dziewczynka.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa, szczególnie jeśli dam je pięknej, młodej damie - odparł.

- To chodźmy.

Zamieniła jego dłoń na dłonie mamy i taty. Poszli w kierunku wyjścia. Witalij wyszedł z restauracji hotelowej do holu, gdzie złapał windę i udał się do swojego apartamentu. Odszukał w komórce numer telefonu doktor Tamary Szyszkiny. Już po dwóch sygnałach odebrała.

- Halo.

W jej głosie dało się wyczuć podekscytowanie. Czekala na jego telefon.

- Chciałem spytać, co słyhać u mojej ulubionej pani doktor.

- Ulubionej?

Gdyby nawiązali połączenie wideo, zobaczyłby, jak bardzo się rozpromieniła. Od pewnego czasu, kiedy zdążyli się trochę lepiej poznać, był dla niej kimś daleko więcej niż synem jednej z podopiecznych. Zaczęło jej bardzo zależeć na tym, żeby ten wyjątkowo

przystojny mężczyzna odwzajemniał emocje, które się w niej kłębiły.

- A co, nie wiedziałaś?

- Domyślałam się. Teraz wiem.

- Więc co porabiasz, pani doktor?

- Pani doktor szykuje się właśnie do pracy. Śniadanie zjedzone, makijaż zrobiony, gotowa do wyjścia. A co porabia pan biznesmen w... gdzie?

- W Tajlandii? - odpowiedział.

- No właśnie. Co porabia pan biznesmen w Tajlandii?

- Trochę tęskni za naszymi spotkaniami. - W jej uszach słowa te zabrzmiały jak najpiękniejsza muzyka. - Poza tym za chwilę idę na randkę z pewną czarującą, młodą damą, którą tu poznałem.

W słuchawce zapanowała wymowna cisza. Witalij milczał. Czekał na reakcję.

- Tak? - odezwała się w końcu. - Widzę, że pan biznesmen udziela się towarzysko. - Chciała brzmieć pogodnie. Za wszelką cenę starała się ukryć głęboki zawód, jakiego właśnie doświadczyła. - Cóż to za dama?

- Nazywa się Karen Bergen, jest z Norwegii i ma sześć lat. Zażądała, bym poszedł z nią i z jej rodzicami na lody. Pozwoliła mi wcześniej zadzwonić tylko dlatego, że powiedziałem jej, że dzwonię do kobiety, która może kiedyś zgodzi się zostać moją żoną.

Nastrój Tamary Szyszkińskiej z lekkiego przygnębienia sprzed chwili zmienił się w euforię. Zacisnęła mocno powieki i próbowała się opanować. Nie chciała, żeby poznał po głosie, co się w tym momencie z nią działo.

- A jak się nie zgodzi? - spytała prowokacyjnie.

- Będę miał bardzo mocne argumenty. Za jakieś trzy tygodnie będę w Moskwie. Załatw sobie jakieś dziesięć dni urlopu. Zabiorę cię w pewną podróż.

- Jaką podróż?

- To będzie niespodzianka. Jeden z moich argumentów. Nie obawiaj się, na pewno ci się spodoba.

- Nic nie powiesz?

- Nic. Teraz idź do pracy, bo podopieczni się za tobą zapłaczą. Ja muszę lecieć na lody. Dałem małej słowo, że będę za piętnaście minut, a dorośli słowa powinni dotrzymywać, nie?

- Oczywiście, że powinni.

- Trzymaj się, pani doktor - powiedział i wyłączył się.

Nie usłyszał jej czulego „całuję, pa”. Nie widział, jak uskrzydłona prawie wybiegła z

mieszkania.

Witalij zjechał windą do holu. Drzwi rozsunęły się. Natychmiast dostrzegł panujące tu głębokie poruszenie. Ludzie rozmawiali głośno i gestykulowali. Pokazywali na otoczoną hotelowymi ochroniarzami dwójkę turystów. Pojawiła się policja. Czterech funkcjonariuszy szybkim krokiem podeszło do kontuaru recepcji, gdzie było centrum zamieszania. Ochroniarze odsunęli się od gości hotelowych, robiąc miejsce dla policji. Ten moment wystarczył, żeby rozpoznać, kim byli. Głośno szlochająca Hella Bergen wtulała się w rachityczne ciało męża. Tajlandczycy próbowali zadawać pytania. Odpowiedzią było zawodzenie kobiety i zdawkowe uwagi Björna, który ledwie nad sobą panował. Pojawił się dyrektor hotelu. Podbiegł do recepcji i zaczął wypytywać ochroniarzy. Jeden z policjantów wyciągnął kajet i robił notatki.

Witalij szybkim krokiem podszedł do grupy. Chciał się precyzyjnie do Bergenów, ale drogę zastawili mu policjanci i ochroniarze.

- Jestem przyjacielem rodziny! - wrzasnął do nich po angielsku. - Puszcząć!

Ochroniarze popatrzyli niepewnie na dyrektora hotelu. W tym samym momencie Hella Bergen zauważyła Rosjanina.

- Panie Lee! Niech ją pan ratuje! - wykrzyknęła.

Witalij siłą przepchał się przez ochroniarzy.

- Co się stało? - spytał.

- Porwali Karen - wydusił z siebie Björn i załkał bezgłośnie. - Porwali nasze dziecko.

- Jak to porwali?

Bergenowie nie byli w stanie udzielić dalszych wyjaśnień.

- Kim pan jest? - spytał Rosjanina dyrektor hotelu.

- Nazywam się Robert Lee. Mieszkam tutaj i jestem przyjacielem tej rodziny. Chcę wiedzieć, co się stało.

- Niech pan pozwoli - odciągnął go na bok. - Oni w tej chwili i tak nic panu nie powiedzą. Dziewczynka została porwana z ulicy. To było zaplanowane. Co gorsza, nie dla okupu.

- Nie dla okupu? - Witalij zachowywał zimny, stoicki spokój. - To po co?

Dyrektor wręczył mu kopertę, którą cały czas trzymał w prawej dłoni.

- Przed chwilą dał mi to recepcjonista. Jakiś dzieciak przyniósł kwadrans temu dla państwa Bergen. Zaraz jak wyszli z hotelu.

Witalij wyciągnął papier i przeczytał krótki tekst. W dość kulawej angielszczyźnie rodziców zawiadamiano, że ich córka wróci do nich za kilka dni. Zostanie od niej pobrana

nerka do przeszczepu. Zakazano poszukiwań pod groźbą zabicia dziecka.

- O co tu chodzi?

- To nic nowego. - Dyrektor wziął list i schował do koperty. - Handlarze narządami zdobywają dane medyczne. Dostają konkretne zlecenia i je wykonują.

- Pobierają narządy od dzieci?

- Dzieci też potrzebują przeszczepów. Nerka dorosłego się nie nada.

- Jakie szanse, że małą da się uratować zanim ją zoperują?

- Moim zdaniem zerowe. Przykro mi to mówić, ale nasza policja w tej kwestii jest wyjątkowo nieudolna. W grę wchodzi za duże pieniądze. Myślę, że trzeba czekać i mieć nadzieję, że dziecko zostanie zwrócone. Z jedną nerką też można żyć.

- Może pan im nie mówić - Witalij ruchem głowy wskazał Bergenów - że chodzi o pobranie narządu?

- Nie wolno mi ukrywać takich rzeczy. Muszę im powiedzieć.

- Chcę jeszcze zamienić z nimi słowo. Niech ochrona mnie puści.

Dyrektor hotelu machnął ręką na swoich ludzi. Rozsunęli się. Witalij jeszcze raz podszedł do zrozpaczonych Norwegów.

- Hella, Björn, posłuchajcie mnie - powiedział podniesionym głosem. Musiał nimi wstrząsnąć, by zwrócić na siebie ich uwagę. - Cokolwiek by wam mówiono, cokolwiek byście słyszeli, gwarantuję wam, że Karen wróci do was cała i zdrowa. Macie tylko cierpliwie czekać. Ja się wszystkim zajmę. Rozumiecie? - Patrzyli na niego oniemiałi. W oczach mieli błaganie. - Karen do was wróci cała i zdrowa, pytam, czy rozumiecie? - powtórzył.

- Uratujesz ją? - wyszeptała Hella.

- Masz na to moje słowo, a ja dotrzymuję słowa. Zapomniałaś? Idźcie do pokoju i czekajcie.

Odwrócił się i wyszedł z hotelu. Musiał chwilę pomyśleć, a najlepiej mu się myślało, jak chodził. Szedł ulicą pełną śpieszących w obie strony ludzi, z których znaczącą część stanowili obcokrajowcy. Wyciągnął telefon i wybrał kontakt.

- Max, gdzie jesteś? - rzucił do słuchawki.

- Na Ko Samui. Coś się stało?

- Kto robi w handlu organami tutaj? Dalej ten Latynos, jak mu tam było...?

- Martinez. Jose Martinez. Odstrzelili kolesia. Chyba nawet Francuzi, ale nie wiem dokładnie.

- A teraz?

- Słyszałem, że jakiś lokalny watażka, bodajże z Wietnamu czy z Kambodży. Jak

trzeba, to się dowiem. Ale o co chodzi?

- No to się dowiedz. Potrzebuję wiedzieć na już: kto, gdzie w rejonie Bangkoku robi się operacje, i wszystko o ostatnich porwaniach na narządy. Przede wszystkim dzieci.

- O cholera, coś osobistego?

- Dzisiaj w Bangkoku została porwana sześciolatka na nerkę. Muszę ją wyciągnąć.

- Daj mi jakąś godzinę. Oddzwonię.

Witalij schował komórkę. Nie chciał wracać do hotelu.

I tak nie wiedziałby, jak postępować z rodzicami Karen. Zawsze wolał działać. Teraz musi odczekać, aż Max zgromadzi informacje. Nie miał wątpliwości, że ten Niemiec dowie się wszystkiego, co trzeba. Pod tym względem był prawdziwym cudotwórcą. Pytanie tylko, czy zdążą.

Przez kolejne pięćdziesiąt minut błąkał się po mieście. Oglądał stragany z podrabianą „markową” odzieżą sprzedawaną za psie pieniądze. Wszedł do kilku sklepów z wyjątkowo taną elektroniką, jak na standardy panujące w krajach rozwiniętych. Można było mieć pewne obawy co do jakości sprzętu, ale i tu z roku na rok było coraz lepiej.

Zadzwoił Max.

- Mów. - W głosie Jakuszyna zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Człowiek nazywa się Le Van Duong. Tak jak mówiłem, on teraz rządzi rynkiem.

Niepodzielnie.

- Da się z nim dogadać?

- Z każdym się da. Problem w tym, że zanim złapię konkretny kontakt minie parę dni.

A parę dni w zupełności wystarczy na pobranie narządu. To dziecko to jakaś twoja krewna?

- Nie, córka znajomych.

- To co się tak podniecasz? - Niemiec nie widział problemu.

- Bo chcę małą z tego wyciągnąć i cholernie mi na tym zależy - Witalij zirytował się nonszalanckim podejściem Maxa. - Rozumiesz? Cholernie!

- Dobra. Skoro tak mówisz... Klinikę mają niedaleko przy granicy z Tajlandią. Nieduży budynek. Łatwo wejść i wyjść. Dało się dokładnie zlokalizować. Materiał przerzucają przez granicę bez problemu, bo opłacają strażników. Szybko, łatwo i skutecznie.

- Czyli trzeba zorganizować mały oddział specjalny, przetrześć na miejsce i zrobić porządek. Tak? - Witalij nie czekał na potwierdzenie. - Szkolisz dla nas ludzi. Gdzie teraz są?

- Różnie. Główne siły w Rosji, ale trzeba też pilnować interesów w Stanach, Indiach, Australii...

- Szlag by to trafił! Za daleko.

Rosjanin skrzywił się. Nie znośił przegrywać. Każda przeszkoda mobilizowała go do jeszcze większego wysiłku zarówno intelektualnego, jak i fizycznego. Tutaj sytuacja wydawała się beznadziejna.

- Mamy też tymczasowo grupę w Singapurze - powiedział Niemiec bez entuzjazmu.

- Kurwa, dopiero teraz mi to mówisz?! Organizuj sprzęt i bierzcie się do roboty. Ze dwa śmigłowce by trzeba było. Masz coś?

- Na już miałbym dwa wysłużone, ale solidne Black Hawki, żeby przerzucić ludzi.

- No to super. Jak są maszyny...

- Śmigłowce to akurat najmniejszy kłopot. Wystarczy zapłacić odpowiednio dużo odpowiednim ludziom.

- To o co chodzi?

- W pobliżu kliniki stacjonuje niewielki oddział żołnierzy kambodżańskich. Ot, taka gwarancja bezpieczeństwa na wszelki wypadek. Znaczący na wypadek ewentualnej operacji sił specjalnych.

- Dwa Black Hawki nie dadzą im rady? Szybki atak z powietrza i po sprawie. Nie?

- Nie bardzo. Mają na wyposażeniu supernowoczesne działko MARK 110.

- Jakim cudem? Najnowszą technologię mają?

- Dokładnie.

- Przypomnij mi, to jest to głównie, co...

- ...wystrzeliwuje inteligentne programowalne pociski wolframowe. Dwieście czterdzieści na minutę. Każdy pocisk rozpada się na ponad tysiąc odłamków mających prędkość początkową tysiąc pięćset metrów na sekundę. O przemijalności tych gówierek chyba nie muszę mówić. Poza tym pocisk można tak zaprogramować, żeby eksplodował pięć metrów nad celem i... Nasze śmigłowce po prostu nie dolecą. Chyba że w drobnych kawałkach.

- W Kambodży mają coś takiego? - Witalij wciąż nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Mają. I ten sprzęt naszą akcję, delikatnie mówiąc, udupia. Gdybyśmy mieli Apache'a sprawa byłaby prosta. Ze dwie rakiety Hellfire i pełny spokój. Jednoczesne uderzenie na klinikę i żołnierzy. Operacja z gwarancją braku strat własnych. A tak, marnie to widzę.

Rosjanin zasępił się. Zmarszczył brwi. Gorączkowo coś w myślach analizował.

- Wiesz co, Max? Chyba mam pomysł. Trzeba będzie wszystkich naszych mądrali na Syberii zagonić do roboty.

- Jaki pomysł?

- Przygotujcie płyty z kodami jankeskich instalacji wojskowych.



- Te, cośmy ostatnio kupili od tego sprzedajnego agenta?

- Dokładnie te. Zaraz ci wyślę maila ze szczegółami. Czekaj.

- Ale co ty planujesz?

- Planuję porwać się z motyką na słońce. Z tym że mam bardzo solidną motykę, a słońce jest na wyciągnięcie ręki.

- A tak bez poezji?

- Bez poezji będziesz miał w mailu. Szlag wie, czy nas ktoś teraz nie słucha. Za jakieś piętnaście minut potwierdź, że dostałeś info.

- Jasne.

Niemiec rozłączył się a Jakuszyń popędził biegiem do hotelu. Po drodze układał jeszcze szczegóły. Przebiegł obok recepcji i pognął schodami do góry. Wpadł do pokoju i otworzył laptopa.

\*

Hella Bergen siedziała na łóżku i tępym wzrokiem wpatrywała się w zdjęcie córeczki. Mąż gładził ją po dłoni. Starał się jakoś trzymać. Odpowiadał na pytania oficera lokalnej policji zadawane łamaną angielszczyzną. Co jakiś czas z trudem powstrzymywał bezgłośnie łkanie. Jedyne słowa, jakie potrafiła wypowiedzieć jego żona, brzmiały: „Ratujcie moje dziecko. Dlaczego ona?”.

Policjant zamknął notatnik. Uznał, że niczego więcej już się nie dowie. Próbował powiedzieć im, w jakim celu Karen została porwana - dyrektor hotelu pokazał mu list - ale jego pozostawiająca wiele do życzenia angielszczyzna i odrętwienie rodziców sprawiały, że wiadomość do nich nie docierała.

W drzwiach wejściowych do pokoju minął się z dyrektorem hotelu. Mężczyzna wszedł, skłonił się grzecznie i przysunął sobie krzesło. Bergenom było w tym momencie całkowicie obojętne, czy ktoś tu wchodzi, czy wychodzi i czego chce.

- Jest przynajmniej prawie pewne, że państwa córka wróci za cztery, może pięć dni - powiedział Tai, starając się ich pocieszyć. - Chociaż tyle dobrze. Takie sytuacje kończą się prawie zawsze tak samo. Dzieci po paru dniach wracają.

Hella podniosła na niego splakane oczy. Czy dobrze słyszała? Ten człowiek mówi, że Karen zostanie im zwrócona?

- Pan coś wie o Karen? - spytała z nadzieją.

- Tyle, co z tego listu. - Podał kobiecie kopertę z listem od porywaczy. - Moim zdaniem oddadzą dziecko.

Matka Karen wyjęła złożoną kartkę i oboje z mężem przebiegli wzrokiem tekst.

- Jezus Maria! - zawyła po przeczytaniu. - Moje dziecko!

Rozszlochała się głośno i ukryła twarz w dłoniach.

Kartka spadła na podłogę. Björn nie wytrzymał. Zawodził głośno, trzymając się za głowę. Dyrektor hotelu poczuł się bardzo nieswojo. Nie wiedział, że policjantowi nie udało się uzmysłowić Norwegom, w jakiej naprawdę sytuacji znajduje się ich córka. Podniósł list z podłogi, ale nie wiedział, co z nim zrobić. Postanowił wreszcie zostawić ich samych. Położył kartkę na szafce nocnej i wyszedł, cichutko zamykając za sobą drzwi.

### *Amerykańska baza Creech Air Force Base, Nevada, Stany Zjednoczone*

Pułkownik Brad Potasky dostał polecenie, by udzielić kapitanowi Porterowi wszelkiej pomocy i odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Powiedziano mu, że kapitan włączony został do niezwykle ważnej operacji firmowanej przez CIA, a wymierzonej przeciw ludziom stanowiącym poważne zagrożenie dla interesów Stanów Zjednoczonych na świecie.

Pułkownik otworzył drzwi wejściowe do budynku kontroli satelitarnej i puścił gościa przodem. Szli długim, jasno oświetlonym korytarzem. Minęło ich dwóch podoficerów. Zasalutowali starszym stopniem. Oficerowie odpowiedzieli machnięciem ręki do czoła.

- Pokażę ci nasz nowy nabytek - powiedział Potasky i zasalutował jakby od niechcenia kolejnemu mijającemu ich podoficerowi, tym razem płci żeńskiej. Pułkownik z czterdziestoletnim stażem w wojsku wciąż nie do końca był przekonany co do kobiet w armii. Hołdował tradycyjnym poglądom: żona w domu czeka na męża żołnierza i wychowuje ich dzieci. Niedługo przejdzie w stan spoczynku, więc nie będzie się już musiał przyzwyczajać do takich nowinek. Nie daj Boże, gdyby kobieta została kiedyś jego bezpośrednim przełożonym. Tego by chyba nie przeżył. - Bardzo przydatny sprzęt. Może wam kiedyś dupę uratować. Wy w CIA bez nas byście kompletnie nic nie zwojowali.

- Jestem kapitanem marines, pułkowniku - przypomniał Porter. Dla oficera armii bycie kojarzonym z CIA to żadna chwała. - Dostałem rozkaz współpracy przy konkretnej misji. I tyle.

- Taaak, słyszałem. Współpracujecie z niejaką agentką Perkins. Podobno całkiem ładna...

- Nawet bardzo, pułkowniku. Jak to mówią, aż szkoda, że się marnuje.

- Mów mi Brad. A co znaczy marnuje? Przecież w agencji można zrobić niezłą karierę. Wystarczy trochę talentów, zapominasz o takich „przeżytkach” - pułkownik szczególnie zaakcentował ostatnie słowo - jak honor, odpowiedni poziom skurwysyństwa i

droga do błyskotliwej kariery stoi otworem.

- Nie to miałem na myśli, Brad.

Stanęli przy rozsuwanych drzwiach. Pułkownik przeciągnął swój identyfikator przez czytnik i wbił kod.

- Nie? A co?

- To, że agentka Perkins gustuje wyłącznie w kobietach.

- Nie może być. - Pułkownik zatrzymał się na progu otwartych drzwi. - Co się z tym krajem wyrabia. Zepsucie moralne z każdej strony. Nie uwierzysz, ale nawet w armii mamy podobne problemy, szlag.

- Uwierzę. We wszystko uwierzę - zapewnił go kapitan.

Potasky rzucił mu krótkie spojrzenie i pokręcił głową.

Weszli do pomieszczenia wielkości sporej sali gimnastycznej z obniżonym sufitem. Panował tu lekki półmrok. Cała ściana po lewej stronie od wejścia zastawiona była pulpitemi z milionem migających światełek i ogromnymi monitorami na wysokości wzroku stojącego człowieka. Co kilka metrów przy pulpicie siedział człowiek w białej koszuli, słuchawkami na uszach i małym mikrofonem przy ustach. Inni podchodzili do nich z papierami lub instrukcjami i odchodzili do swoich stanowisk przy komputerach. Wszyscy uwijali się jak pszczoły w ulu. Wejście wysokiej rangi oficerów zostało odnotowane tylko przez siedzących najbliżej przejścia. Po prawej stronie na podwyższeniu stał mężczyzna w randze majora i pułkownika. Słuchał raportu podwładnego i obserwował salę. Potasky pozdrowił go, unosząc rękę. Odpowiedział, niedbale salutując palcem wskazującym do czoła.

Porter szedł pół kroku za pułkownikiem i rozglądał się ciekawie. Niejednokrotnie widywał już pomieszczenia kontrolne, ale nigdy w takiej skali.

Stanęli za plecami jednego z kontrolerów. Odwrócił głowę i skinął im na przywitanie. Obserwował monitor, na którym widniał obraz jakiegoś lądu pokazywanego z dużej wysokości. Co jakiś czas kontroler wpisywał komendy na klawiaturze i obraz ulegał znacznemu powiększeniu. Wydać było budynki, urządzenia, a nawet drobniutkie postacie ludzkie. Zaraz potem obraz się oddalał i pod obserwację dostawało się inne miejsce.

- Satelita szpiegowski? - spytał kapitan.

- Nie - zaprzeczył Potasky. - Coś o wiele lepszego. Mówiłem, że pokażę ci nasz najnowszy nabytek. To jest bezzałogowy MQ-9 Reaper. Ulepszona wersja Predatora. Popularnie nazywany Predatorem B. Gdzie jesteśmy? - zwrócił się z pytaniem do kontrolera.

- Zaraz będziemy nad Laosem.

- Słyszałem, że to bardzo skuteczny sposób inwigilacji. Ale puszczać maszynę w

niebezpieczne rejony. Nie boicie się, że znajdzie się nad punktem silnej obrony przeciwlotniczej i wam kiedyś Wietnamczycy tę zabawkę namierzą i zestrzelą?

- Ta zabawka, kapitanie, oprócz tego, że może przebywać w powietrzu do dwudziestu ośmiu godzin i lecieć z prędkością czterystu kilometrów na godzinę, ma jeszcze bardzo ostre pazury.

Kapitan popatrzył na Potasky'ego z zaciekawieniem.

- Pazury? Jak ostre?

- George, oświetl szczegółowo naszego gościa z marines.

- Ten tutaj MQ-9 Reaper startuje z bazy w Filipinach. Naziemna stacja kontroli prowadzi lot do 150 kilometrów, potem przez łącza satelitarne kontrolę przejmujemy my. Powrót z misji w odwrotnej kolejności. Jeśli chodzi o uzbrojenie, to MQ-9 Reaper może przetransportować do 1360 kg. Podwiesza się je na węzłach podskrzydłowych. Można zamontować bomby kierowane laserowo GBU-12 Paveway II, bomby GBU-38 JDAM lub bomby z mieszanym układem naprowadzania laser/GPS GBU-49, no i oczywiście pociski AGM-114 Hellfire. Można też naturalnie doczepić dodatkowe zbiorniki paliwa.

- Ten tutaj co ma? - spytał Porter.

- Biorąc pod uwagę charakter terytorium - pośpieszył z odpowiedzią George - powiedziałbym pełen wypas.

- Czyli widzisz, Kirk, że jak się wpakujecie w kłopoty, w razie co będziemy mogli was wesprzeć. - Pułkownik przyjaźnie klepnął kapitana po plecach.

- W Rosji też? - spytał Porter, choć i tak wiedział, jaka musi być odpowiedź.

- No, w Rosji to trudno by było. Sam wiesz. Tam się lepiej nie pakujcie. Ale na przykład na Bliskim Wschodzie, proszę bardzo.

- Niestety to nie my wybieramy lokalizację działań, ale lokalizacja nas.

- O, znowu tracimy kontrolę nad maszyną. Sygnał zanika - powiedział najspokojniej w świecie George.

Na pułkownika wiadomość nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Patrzył w monitor jakby był już lekko znudzony tym, co się dzieje na ekranie.

- Problemy? - spytał Porter.

- Nic nadzwyczajnego - odparł Potasky. - Rzadko, bo rzadko, ale czasem się zdarza.

- Jakoś nie widzę, żebyście się za bardzo przejmowali - stwierdził zdziwiony kapitan. - Traciecie kontrolę nad sprzętem i was to nie rusza?

Pułkownik i kontroler wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Trochę więcej zaufania do amerykańskiej myśli technicznej, kapitanie. - Brad

Potasky mówił jak pobłażliwy ojciec do syna. - W razie zaniku sygnału na dłuższy czas Predator sam wraca do bazy. Bez pudła.

- Mamy sygnał - zameldował George.

- No widzisz? I już po problemie.

Pułkownik założył ręce na piersiach. Patrzył w przesuwające się na monitorze obrazy. Kontroler uderzał zapamiętałe palcami w klawisze, jak muzyk dający koncert fortepianowy.

- O, kurwa - wyszeptał nagle George.

- Co jest? - zainteresował się jego przełożony.

- Nie rozumiem. - Głos kontrolera przybrał niepokojący ton. - Mam sygnał, ale Predator nie odpowiada na polecenia. - Zaczął nerwowo uderzać w klawisze.

Pułkownik wciąż zachowywał spokój. Chwilę potem George przestał „grać” na klawiaturze, złapał się za głowę i wbił wzrok w ekran.

- I co? - Brad Potasky, widząc zachowanie kontrolera, sam zaczynał się denerwować. - Mów.

Młody człowiek jak zahipnotyzowany gapił się w monitor.

- Ja pierdołę - odezwał się wreszcie półgłosem. Popatrzył na pułkownika wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami. - Ktoś przejął maszynę. Leci na pełnym gazie w stronę Kambodży.

- Jak to przejął?! - Wybuch przełożonego nie obszedł Geoga. - Przecież to niemożliwe!

- Też tak do tej pory myślałem. Wygląda na to, że się myliłem.

- To rób coś, do cholery!

Kontroler pochylił się nad klawiaturą i rozpoczął walkę o przejęcie maszyny. Walkę nie wiadomo z czym, a może z kim. Stawał na głowie. Myślał i znowu zaczynał wpisywać różnorakie sekwencje. Bez skutku. Predator pędził teraz już wzdłuż granicy tajlandzko-kambodżańskiej. W czasie kolejnego kwadransa w sali rozniosło się, że Predator odmówił posłuszeństwa. Zapanowała nerwowa atmosfera. Za plecami Geoga zebrała się grupka ludzi. Jednak nikt nie miał pomysłu, jak zaradzić niespodziewanej sytuacji. Rozpaczliwe wysiłki młodego oficera nie przynosiły kompletnie żadnego efektu. Mogli tylko biernie obserwować rozwój wydarzeń z nadzieją, że nie dojdzie do nieprzewidzianej w skutkach katastrofy.

Nie minął kolejny kwadrans, jak Predator był już w głębi terytorium Kambodży. Ku przerażeniu obserwujących odczyty ludzi, maszyna uzbroiła pociski Hellfire. Pułkownik Brad Potasky nie wierzył własnym oczom. Położył dłonie na karku. MQ-9 Reaper przygotowywał się do ataku. Chwilę później stało się. Pociski zostały odpalone. Cel został obrócony w

perzynę. Nie wiedzieli, jaki cel. Nie było powiększenia obrazu. Nic nie mogli zrobić.

- Mam go! - wrzasnął George. - Mam sukinsyna! Pełna sterowność. Wszystko działa.

- Zabieraj go stamtąd - powiedział pułkownik nienaturalnym głosem.

- Robi się, szefie.

Maszyna posłusznie obrała kurs na bazę na Filipinach.

- No to macie chyba kolejną robotę. - Potasky spojrzął spode łba na kapitana. - Ty i te twoje mądrale z CIA. Mam nadzieję, że się spisiecie. Bo wdepnęliśmy w cholerne gówno.

Wojskowi nie wiedzieli, że wraz z atakiem MQ-9 Reapera z wysłużonego śmigłowca typu Black Hawk po linach zjeżdżali komandosi, głównie rosyjscy, i bardzo sprawnie opanowywali znajdujący się w pobliżu niewielki budynek kliniki przeszczepów. Wszelkie próby oporu były eliminowane szybko i bezpardonowo.

### *Ambasada USA, Berlin, Niemcy, dwa dni później*

Alice spojrzała na zegarek. Była za minutę dwunasta. Przyśpieszyła kroku. Obcasy jej butów stuknęły o podłogę korytarza. Mijający ją pracownicy uśmiechali się do niej przyjaźnie i witali zdawkowym „Hi”. Tym bardziej że wyglądała dziś wyjątkowo atrakcyjnie - czarna luźna sukienka przed kolano, z wąskimi ramiączkami, wspaniale komponowała się z jej figurą.

Nie знаła tych ludzi. Pierwszy raz widziała ich na oczy. Pochodziła z Nowego Jorku i dla niej, jak i dla innych Nowojorczyków, życzliwość okazywana nieznanym choćby właśnie takim niewiele znaczącym „Hi”, była czymś zupełnie obcym. Słyszała, że w Kalifornii czy na Florydzie, czy też w innych południowych stanach, ludzie byli dla siebie nieporównywalnie życzliwsi. Pozdrowienie mijanego człowieka na ulicy lub zagadnięcie w windzie to rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem, a dla mieszkańców New York City drażliwa i nieczęsto stosowana w życiu.

Stała przed drzwiami i poprawiła odruchowo włosy.

- Zaczekaj, Alice - usłyszała za sobą. Odwróciła głowę. Kapitan Kirk Porter miał na sobie garnitur. Prawdziwy garnitur. Jakoś dziwnie wyglądał tak odstawiony. - Przygotuj się. Podobno stary jest zły. Była awantura w Kambodży. Coś wiesz?

- Coś tam słyszałam, ale co mnie to obchodzi. Niech się inni biorą do roboty. A ty coś się tak odstrzeżił?

- Wiążą to z naszą sprawą - zignorował uwagę współpracownicy.

- Niby dlaczego?

- Bo ktoś dokonał rzeczy teoretycznie niemożliwej. Zaraz się sama dowiesz.

Otworzył drzwi i poczekał, aż wejdzie pierwsza.

Tom Sallinger podniósł głowę znad papierów. Jego tymczasowe biuro w ambasadzie było ciepło urządzone, ale małe. Swobodnie mogły się tu czuć najwyżej cztery osoby. Na ścianie za biurkiem przepisowa amerykańska flaga, dwa duże okna naprzeciw wejścia, gruba miękka wykładzina, dająca wrażenie, jakby się stąpało po mchu. Obok drzwi półtorametrowy fikus z rozłożystymi, szpiczastymi liśćmi.

Gospodarz bez słowa wskazał krzesła stojące przy stoliku kawowym ze szklanym blatem. Usiedli.

- Coś będziecie pić? - Tom rzucił propozycję tonem podpowiadającym odpowiedź przeczącą.

- Nie - odpowiedziała agentka.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Whiskey macie?

Sallinger zacisnął usta. Nie miał władzy nad żołnierzami z marines. Dlatego musiał tolerować nonszalancki styl bycia Portera.

- Nie wiem, jak wy w marines, ale my w pracy nie pijemy alkoholu, kapitanie - burknął.

- OK - odparł oficer. - To nic nie chcę.

- Alice, jakie postępy? - Tom przeniósł wzrok na agentkę.

- Byłam w Moskwie. Ruszyłam naszych ludzi i są już wstępne wyniki. Wiemy z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa, że za Jakuszynem stoi generał Władimir Iwanow. To taka szara eminencja na Kremlu. Jest blisko z samym prezydentem. Nie wiemy jeszcze po co, ale na sto procent wchodzi tu w grę jakaś bardzo duża sprawa. Może być polityczna. Iwanow raczej by się nie mieszał w przestępczość, chyba że na bardzo dużą skalę.

- Co jeszcze wiemy o tym generale?

- Jednostki specjalne. Weteran z Afganistanu z radzieckiej interwencji - ciągnęła Alice. - Wtedy jeszcze w randze pułkownika. Nawiasem mówiąc, był jednym z najmłodszych pułkowników w Armii Radzieckiej.

- To musi dzisiaj być wiekowy - wtrącił się Porter.

- W stanie spoczynku. Sześćdziesiąt siedem lat, ale fenomenalnie się trzyma. Pod względem sprawności fizycznej zakasowałby niejednego młodego.

- Co jeszcze?

Przełożony nie spuszczał z niej wzroku. Założyła nogę na nogę, co nie mogło pozostać

niezauważone przez mężczyzn. Mimo najszerszych chęci trudno im było okiełznać jednoznaczne myśli odnośnie jej osoby.

- Ciekawostka. Może bez znaczenia, a może nie. Iwanow to były dowódca i mentor tego Polaka, Gawlika. Dowodził 22. powietrznodesantową w Kandaharze. Gawlik, Jakuszyn, Iwanow - jedna wielka rodzina. Nie wiem, czy to dobra dla nas wiadomość, czy zła, ale jeżeli zła, to będzie bardzo, bardzo zła.

- Czemu tak myślisz? - Sallinger spytał, ale domyślał się odpowiedzi.

- Bo jak na przykład Ruscy skaptują Gawlika, to z jego kontaktami z przeszłości, wiedzą o nas i umiejętnościami będziemy mieli duuuży problem.

- Uważasz, że to możliwe?

- Sama próbowałam zwerbować Gawlika, ale bez skutku. Major Mike Bent też niewiele wskórał. Na mój gust, człowiek się wycofał i postanowił zostać przykładowym obywatelem. Moim zdaniem chce mieć w życiu po prostu święty spokój. Ale niczego nie należy wykluczać.

- Zgodził się doszkolić kapitana - zauważył Tom. - A to z kolei dla nas dobra wiadomość.

- Taaak? - zdziwiła się Alice. - Myślałam, że przygotujesz się w Stanach.

- Jak widzisz, lepiej mi się udało dogadać z Polakiem niż tobie.

- Coś to dało, kapitanie? - Sallinger spytał od niechcienia.

- Oj, dało. Ten facet ma niebywałą wiedzę, umiejętności i przede wszystkim doświadczenie. Szkoda, że dla nas nie pracuje.

- Kiedyś pracował - mruknął Sallinger.

- Jasne. Słyszałem - stwierdził oficer z przekąsem.

Tom rzucił mu groźne spojrzenie.

- Czyli nie wygląda to wszystko za ciekawie. - Starszy mężczyzna ściągnął okulary i zaczął uważnie przyglądać się szkłom. - Co planujesz, Alice?

- Namierzamy Jakuszyna. Staramy się też inwigilować Iwanowa, ale to trudne. Próbuje się też dowiedzieć, co Jakuszyn i Iwanow knują. Wtedy będzie można podjąć jakieś konkretne kroki.

Tom założył okulary na nos.

- Dwa dni temu ktoś przejął satelitarną kontrolę naszego MQ-9 Reaper. Sprawdzamy, w jaki sposób. Dość powiedzieć, że z wykorzystaniem maszyny został przeprowadzony atak pociskami Hellfire na terenie Kambodży. Byłby międzynarodowy skandal, gdyby nie fakt, że zniszczona została grupa skorumpowanych żołnierzy pracujących dla handlarzy ludzkimi



organami. Przeprowadzony też został w pełni profesjonalny atak na klinikę, gdzie dochodziło do pobrań narządów. Nic więcej nie wiemy. Chodzą plotki, że maczał w tym palce nasz przyjaciel Witalij Jakuszyn. Tylko po jaką cholere? Zysku nie było, a koszty bardzo wysokie. Co myślicie? Kapitanie? Byłeś w bazie Creech Air Force jak to się działo.

- Jeżeli to zmontował nasz Jakuszyn, to jestem pełen podziwu. Tylko faktycznie, po co? Żadna korzyść. Tylko straty.

- Może jest korzyść - wtrąciła się agentka. - Na przykład testowanie możliwości.

- Mało prawdopodobne - stwierdził Tom. - Po tym incydencie najlepsi ludzie pracują nad zabezpieczeniami. Takie coś nie ma prawa się powtórzyć w przyszłości. I się nie powtórzy - powiedział dobitnie. - Jednorazowa akcja. Tylko cały czas pytanie, po co, i czy to na pewno Jakuszyn ze swoim kumplem Iwanowem.

- Prędzej czy później się dowiemy. - Agentka Perkins wydawała się nie mieć wątpliwości.

- Lepiej prędzej niż później - odparł jej szef. - Żeby nie było za późno. Liczę na ciebie, Alice. Pamiętaj, że od tej sprawy zależy twoja kariera.

- Pamiętam.

- Dobraś już zespół?

- Tak. Właśnie ludzie są przetrzucani do Moskwy.

- No to powodzenia. Idźcie już. - Tom uznał spotkanie za zakończone. Oficer i agentka wstali z krzeseł. Porter otworzył jej drzwi. - I zacznijcie wreszcie pracować razem.

- *Yes, sir.*

Kapitan zsalutował przepisowo, czym bynajmniej nie wprawił Sallingera w dobry humor. Nie czekał na złośliwą ripostę. Oboje wyszli na korytarz. Tym razem Alice z ulgą przyjmowała pozdrowienia przechodzących obok obcych ludzi. Ten głupawy w gruncie rzeczy zwyczaj coś w sobie miał.

### *Bangkok, Tajlandia*

Taksówka zatrzymała się niedaleko hotelu. Mężczyzna wysiadł i pomógł wyjść z samochodu dziewczynce o długich blond włosach. Wziął ją za rękę i oboje ruszyli w stronę wejścia. Dziewczynka rozglądała się na wszystkie strony i podskakiwała, idąc. Nie wykazywała najmniejszych śladów przejść. Jak się okazało, cały incydent po prostu przespała.

- Zaraz zobaczę mamusię? - spytała Witalija, kiedy znaleźli się w holu.

Mężczyzna uśmiechnął się i przytaknął. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Hotelowa recepcja tętniła życiem. Przyjechała duża grupa turystów z kolejnego kraju Europy Zachodniej. Wszędzie były porozstawiane bagaże. Recepcjoniści dwoili się i troili, by zadowolić nowo przybyłych. Nawet im przez myśl nie przeszło, że przechodzi obok nich dziecko, przez które policja miejska postawiona została na nogi. Zresztą na krótko, bo Karen nie była ich jedyną sprawą.

Wsiedli do windy razem z dwojgiem starszych ludzi. Patrzyli na dziecko i na w ich mniemaniu ojca. Dziewczynka ani na moment nie puszczała ręki Witalija. Uśmiechali się przyjaźnie, głównie do małej, ślicznej Norweżki.

Witalij bez pukania wszedł do pokoju państwa Bergen. Oboje siedzieli na łóżku jakby zapadli w letarg. Przedstawiali sobą żaloszny widok. Wprowadził Karen, która natychmiast wykrzyknęła na całe gardło: „Mama!”. Bergenowie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nagle ożyli. Porwali małą w objęcia i całowali bez opamiętania. Rosjanin wszedł i zamknął za sobą drzwi. Postanowił przeczekać pierwszą euforię. Usiadł na krześle przy miniaturowym stoliku i nalał sobie do szklanki wody mineralnej ze świeżo odkorkowanej butelki.

Hella niespodziewanie znieruchomiała. Oczy rozszerzył jej strach. Bez zastanowienia podciągnęła córce sukieneczkę do góry i odsłoniła plecy. Nie było żadnych blizn. Żadnych śladów operacji. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z obecności Jakuszyna. Zawiesiła na nim pijany ze szczęścia wzrok.

- Dziękuję - wyszeptała i lzy pociekły jej po policzkach. - Ale czy ona...

- Karen jest cała i zdrowa. - Nie pozwolił jej dokończyć pytania. - Nic jej nie zrobili. Nie zdążyli. Poza tym miała szczęście, bo niewiele pamięta. Wszystko przespała. Może jedynie sam moment porwania, ale i psychicznie i fizycznie jest w doskonałej formie.

Pociągnął solidny łyk ze szklanki. Björn nie był w stanie nic powiedzieć. Zapłakany wzrokiem gapił się na człowieka, który uratował ich największy skarb.

- Jak panu się udało? - Hella powolutku dochodziła do siebie. Uwolniła córeczkę z objęć. - Policja mówiła, że nic się nie da zrobić.

- Powiedzmy, że mam pewnych bardzo wpływowych znajomych. Wystarczyło poprosić.

- Jak to? - Nie rozumiała matka małej Karen, która otworzyła szafę i zaczęła grzebać w ubraniach. Szukała czegoś na przebranie. - Jak to możliwe? Przecież policja...

- Policja naprawdę nie była w stanie nic zrobić. Ale nieważne. Teraz mnie bardzo uważnie posłuchajcie.

- Kim pan jest? - odezwał się Björn głosem z zaświatów.

- Jezu, ludzie, obudźcie się. Już mówiłem, biznesmenem. - Wstał i podszedł do nich. - Posłuchajcie, co wam mówię. Jeszcze dzisiaj spakujcie się i wynoście się z tego kraju. Tu macie bilety na rejs do Dubaju, a stamtąd do Europy. - Wręczył osłupiałym Norwegom blankiety. - Za sześć godzin macie samolot. Dopilnowałem, by nikt was do tego czasu nie niepokoił. Wracajcie do tej swojej Norwegii i następnym razem lepiej pilnujcie tego urwisa. Powodzenia.

Odwrócił się w stronę drzwi.

- Proszę poczekać - zatrzymała go Hella. - Jak pana znajdziemy?

Wyraz jego twarzy zmienił się w grymas, który mógł od biedy przypominać uśmiech.

- Mnie i tak za dużo ludzi szuka - odparł.

- Już idziesz? - zorientowała się w sytuacji dziewczynka. - Nie idź.

Podbiegła i chwyciła go oburącz w pasie. Tymczasem Hella Bergen wygrzebała z torebki wizytówkę.

- Tu jest nasz adres w Norwegii. - Podała mu kartonik. - Nie wiem, jak się możemy odwdziżyć, ale proszę przynajmniej o nas nie zapominać i przyjechać, jak tylko będzie pan mógł. Będziemy na pana czekać.

Witalij schował wizytówkę do kieszeni sportowej koszuli.

Poczochnął małej włosy na czubku głowy.

- Bądź grzeczna, mała panno, i słuchaj się rodziców. OK?

- OK - odpowiedziała reżolutnie Karen.

Witalij Jakuszyn wyszedł na korytarz. Czuł się dziwnie. Pierwszy raz w życiu sprawił, żeby ktoś miał powody do wyrażania mu swojej wdzięczności. Wrócił do pokoju. Wrzucił najpotrzebniejsze rzeczy do torby podróżnej. Zamknął pokój na klucz. Na recepcji zapłacił gotówką i opuścił hotel.

## ROZDZIAŁ 28

### *Przedmieścia Nowego Jorku, Stany Zjednoczone*

Henry Morgan podniósł głowę znad papierów. Siedział za ogromnym, stylowym biurkiem w kolorze wiśni. W dużym pomieszczeniu znajdowały się jeszcze cztery wygodne fotele, komponujące się z biurkiem, okrągłym stolikiem kawowym i rzędami półek na książki.

Ponad siedemdziesięcioletni, charyzmatyczny gospodarz samą swą obecnością wymuszał szacunek i poważanie. Jak zwykle miał na sobie nienagannie skrojony garnitur i doskonale dobrany krawat. Żona, Mellanie Morgan, zawsze dbała o jego wizerunek, a jej perfekcyjne wyczucie stylu wzbudzało najwyższy podziw w kręgach amerykańskiej elity.

Żaluzje w gabinecie były przysłonięte. Panował lekki półmrok. Zapalona lampka na blacie biurka dawała wystarczająco dużo światła, by Morgan mógł bez wysiłku dla oczu czytać dokumenty.

Matt Harper, zaufany prawnik rodziny Morganów, wszedł i zamknął za sobą cicho drzwi. Bez zaproszenia usiadł na fotelu i wyciągnął cygaro. Zapalił i zaciągnął się aromatycznym dymem. Blisko pięćdziesięcioletni, elegancki mężczyzna zachowywał się swobodnie. Znał swoją wartość. Współpracował z Morganem od wielu lat i dał się mu poznać jako człowiek zawsze znajdujący wyjście z najbardziej skomplikowanych sytuacji.

- Jak tam sprawy, Matt? - Morgan oparł się dłońmi o blat, wstał i podszedł do przyjaciela. Usiadł w fotelu ustawionym pod kątem. - Doszły mnie słuchy, że jakiś pismak węszy i nawet mu się poszczęściło. Co o nas wie?

- Dziennikarz śledczy. Cholernie cwany gnój. - Prawnik przyjrzał się swojemu cygaru.  
- Nie wiemy, jakim cudem zdobył informacje. Zaczął składać fakty do kupy i zrobiło się groźnie.

- Martwisz mnie, Matt.

- Ale na szczęście przydarzył mu się nieszczęśliwy wypadek na drodze. Biedak stracił panowanie nad kierownicą i wpadł do przepaści. Nie było co zbierać.

- Ktoś powinien za to dostać premię?

- Dwóch naszych ludzi w Colorado. Już im wypłaciłem.

- Pięknie. A jakieś materiały uzbierał ten nieszczęśnik?

- Całkiem sporo, ale ponieważ nieszczęścia chodzą parami, w jego mieszkaniu wybuchł pożar, a biuro zostało splądrowane. Życie jest pełne niespodzianek.

- Jakież dochodzenie? Policja nie robi czegoś głupiego?

- Kosztowało to trochę wysiłku, ale już można uznać sprawę za zamkniętą. Kwestia tygodnia, może dwóch.

- Czasem tak sobie myślę, że ty to powinieneś pracować dla mafii. Zdziwiasz mnie, Matt.

- Staram się jak mogę, Henry. A co do mafii, to marnie płacą i robota zbyt stresująca. A ja cenię sobie święty spokój.

- Co z Irakiem?

- Tak jak przewidziałeś. Zorganizowaliśmy parę zamachów samobójczych. Nasze wojska nieprędko wyjdą z Iraku. Czyli biznes dalej się będzie kręcił.

- Jak sobie przypomnę te brednie z bronią chemiczną Saddama, które żeśmy im zaserwowali... Cud, że CIA się nie połapało.

- Gruby numer. Najważniejsze, że przeszedł. Biznes jest biznes. My zarobiliśmy, bracia z organizacji też, wszyscy zadowoleni.

- Afganistan?

- Tak jak poleciłeś. Udzieliliśmy solidnego wsparcia Talibom. Zorganizowaliśmy kanały przerzutowe narkotyków, żeby mieli za co broń kupować. Szykują się do jakiejś tam ofensywy. Nasze wojska sprzymierzone będą miały co robić w Afganistanie jeszcze przez dłuższy czas. Da się jeszcze solidnie zarobić na tym interesie.

- Bardzo dobrze.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Wyszła ostatnio. - Harper strzepnął popiół do zdobionej popielniczki. - Bank Goldberga nie chce się podporządkować. Odmówili współpracy. Robią problemy.

- OK. Sami tego chcieli. Mają teraz aktywa głównie w centralnej Afryce na wydobycie surowców. Trzeba rządowi zaoferować pożyczkę na wyjątkowo atrakcyjnych warunkach. Trochę łapówek też nie zaszkodzi. Niech cofną licencję na wydobycie. Goldberg i kumple dostaną po dupie. Potem pójdzie przeciek do prasy i reszty dokonają klienci banku. Załatwisz to?

- Zrobi się.

- Powinni upaść najdalej w ciągu miesiąca. Dobrze też by było dobrać się do prywatnych majątków zarządu. To będzie bardzo czytelny sygnał dla innych, że nie warto nam odmawiać, jak prosimy o przysługę.

- Aż nadto czytelny.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Weszła młoda dziewczyna. Ładna, okrągła buzia i długie blond włosy wyróżniały ją z tłumu. Miała na sobie białą, zwiewną sukienkę na ramiączkach. Z rysów twarzy można było wyczytać podobieństwo do ojca.

Jessica gestem dłoni przywitała się z Mattem i podeszła do Henry'ego Morgana. Pocałowała go w policzek. Mężczyzna uśmiechnął się do swojej ulubionej, najmłodszej córki. Dla niego była, jest i pozostanie maleńką, ukochaną córeczką tatusia.

- Chcę ci kogoś przedstawić, tato - zaszcebiotała i popatrzyła na drzwi. - Ronnie! Możesz wejść!

Gabinet otworzył młody, szczupły człowiek w skromnym, ale schludnym garniturze. Wszedł do pomieszczenia trochę nieśmiało.

- Dzień dobry panom. - Skinął głową na powitanie i podszedł do siedzących mężczyzn.

- To jest właśnie mój Ronnie. - Jessica wzięła go pod ramię.

- Więc to jest ten młody człowiek, który zawrócił mojej córeczce w głowie. - Morgan wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Ronald Barber. - Chłopak uściśnął mu dłoń. - Bardzo mi miło, że mogę pana wreszcie poznać, panie Morgan. Jessica wiele o panu opowiadała.

- Nie wierz ani jednemu słowu - roześmiał się gospodarz. - To wszystko pomówienia.

- Ależ Jessica wyrażała się o panu nadzwyczaj pochlebnie.

Ronald zręcznie dobierał słowa. Henry wymienił porozumiewawcze spojrzenia z prawnikiem. Usiadł i wskazał fotel młodzieńcowi. Jessica usadowiła się Ronniemu na kolanie. Objęła go za szyję. Widać było, że darzyła go uczuciem.

- To powiedz mi coś o sobie, Ronnie.

- Pochodzę z Chicago, ale tutaj studiuje... filologię angielską.

- Interesujące - powiedział Morgan z przyjaznym uśmiechem. - A co robią twoi rodzice, Ronaldzie?

- Mój ojciec jest pastorem w kościele baptystów. Mama pomaga ojcu i dba o rodzinę. Mam jeszcze dwójkę rodzeństwa. Chodzą do szkoły średniej.

- Czyli pochodzisz z porządnej amerykańskiej rodziny. A co chcesz robić w przyszłości?

- Chciałbym pójść w ślady ojca. Też chciałbym służyć Bogu.

- Chwalebne, młody człowieku, naprawdę chwalebne. Z pewnością ci się uda. No cóż... - Morgan wstał. - Wy młodzi macie na pewno swoje sprawy, a my staruchy też musimy

pogadać o różnych koszmarnie nudnych rzeczach. Bardzo się cieszę, że cię poznałem, Ronaldzie. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz się spotkamy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Morgan. - Ronald skłonił się.

- Pa, tatusiu.

Dziewczyna wzięła Ronniego za rękę i wyszli z gabinetu. Henry Morgan usiadł z powrotem na fotelu. Westchnął.

- I co? - spytał Harper.

- Coś z tym trzeba zrobić. Moja córka nie może się przecież wiązać z synem pastora. Masz jakiś pomysł?

Matt zastanowił się. Zgasił cygaro.

- Najskuteczniej będzie zrobić go w pedofilię. Łatwo go wsadzić, a i Jessica straci do niego sympatię, jak się jej to umiejętnie przedstawi.

- Bardziej szczegółowo?

- Podrzuci się mu odpowiednie materiały, pogrzebie mu się w komputerze, żeby nie było wątpliwości, i znajdzie się jakichś świadków dla sądu. Wszystko do zrobienia. Czysta sprawa. Donos na policję i Ronnie wyląduje w więzieniu stanowym. Tam takiemu ładnemu chłopczykowi dupę przeflancują, a za jakiś czas ja złożę mu wspaniałomyślną propozycję, że wyciągnę go z pudła, pod warunkiem, że nigdy więcej nie skontaktuje się z Jessicą.

- A jak odmówi?

- Zapewniam cię, Henry, że już po krótkim pobycie ze współwięźniami przyjmie moją propozycję jak dar niebios. Nie odmówi. Nie ma takiej możliwości.

- Czyli problem z głowy?

- Jak najbardziej. Osobiście się tym zajmę.

- Świetnie. Teraz mi opowiedz, co się stało na giełdzie w Hongkongu.

- Okazuje się, że ktoś wpadł na ten sam pomysł co my. Próbował zmanipulować giełdę. Weszliśmy sobie w drogę i oba przedsięwzięcia diabli wzięli. A najciekawsze, że to wcale nie był przypadek.

- Ktoś?

- Ruszyłem nasze kontakty i zebrałem informacje. Pamiętasz tego ruskiego handlarza bronią, Witalija Jakuszyna?

- Pamiętam. Zlecieliśmy mu przerzut broni do Afryki jakiś czas temu. Słyszałem, że go Ruscy dopadli i wsadzili do najcięższego więzienia. Ponoć żywym stamtąd się nie wychodzi. A co?

- Ponoć. Ale Jakuszynowi się udało. Ma poparcie kogoś mocnego z Kremla. W

każdym razie to wyjątkowo zdolny człowiek i robi teraz w technologiach informatycznych. Ma centralę na Syberii, więc jest nie do ruszenia. Gadałem z jego człowiekiem. Nazywa się Max Fausten.

- Niemiec?

- Tak jest. Proponuje spotkanie na najwyższym szczeblu. Oferuje połączenie sił.

- Co myślisz?

Harper rozparł się wygodnie w fotelu i założył ręce na głowę.

- Jeżeli są w stanie powtórzyć to, co zrobili w Hongkongu, to moim zdaniem warto. Z tego, co Niemiec mówił, mogą zapewnić nam wsparcie informacyjne na niebywałą skalę. No i oczywiście mielibyśmy z głowy problem dozbrowienia Talibów. Ten Rosjanin ma doskonale układy w Afganistanie. Jeżeli komukolwiek miałoby się udać teraz przeszmugłowanie broni dla Talibów pod nosem amerykańskich wojsk, to tylko jemu.

- Umów nas. Kto wie, może rzeczywiście coś z tego będzie.

*Irkuck, Rosja*

- Ciekawą historię ma ten Irkuck. - Iwanow zamyślił się. Szedł powoli Bulwarem Gagarina i spoglądał na rzekę sponad betonowego murku około metrowej wysokości. Po lewej, wzdłuż betonowego chodnika, za bujnym żywopłotem znajdował się park z rozłożystymi, zielonymi drzewami. Piękna, słoneczna i ciepła pogoda zachęcała do spacerów. Mimo to w okolicy nie było żywego ducha. Idealne warunki do rozmowy, której żaden postronny człowiek nie powinien usłyszeć. - Założone w 1651 roku jako stacja kozacka strzegąca imperium przed wypadami Buriatów.

- Nie znam historii miasta - przyznał Witalij Jakuszyn.

- W XIX w. Irkuck był niezwykle prężnym ośrodkiem szkolnictwa i sztuki. I to dzięki komu? Za sprawą zesłanych dekabrystów i polskich powstańców. W szkole was nie uczyli?

- Pamiętam tylko, że za rewolucji Biali się tu bronili aż do chyba 1920, czy nawet 1921...

- Do 1920. - Iwanow poprawił porucznika. - Co się dziwić. Mieszkali tu bogaci kupcy i rewolucja za cholerę im nie pasowała. Dopiero jak Bolszewicy dopadli admirała Kołczaka, można było zająć miasto.

- Bywaliście już w Irkucku, towarzyszu generale?

- Nie, jestem tu pierwszy raz. Zawsze lubię trochę poczytać o miejscu, do którego jadę. W końcu podróże powinny poszerzać horyzonty. Jest tu podobno cała masa pięknych



cerkwi i uroczych drewnianych domków z XIX-wieczną architekturą.

Przystanęli. Generał oparł dłonie na półkolistym szczycie murku i patrzył na rzekę.

- Jak spotkanie z Faustenem?

- Cwany ten twój Niemiec - odparł generał. - Skąd go wziąłeś?

- Robiliśmy razem w handlu bronią. Max szukał rynków zbytu i zajmował się...

powiedzmy, stymulowaniem popytu. Do mnie należała cała reszta.

- Aż ci się noga powinęła. Jakim cudem się on wywinął?

- Sami powiedzieliście, towarzyszu generale, cwany jest ten Niemiec. Zadekował się gdzieś na końcu świata. Się, kurczę, namęczyłem, żeby go znaleźć.

- Robi wrażenie to, co tam pod Kamczatką robicie. Jeżeli to wszystko prawda, co usłyszałem, oczywiście.

- Prawda. Nie wszystko jeszcze przetestowane, ale nie obawiałbym się o wyniki.

- Czyli możemy powolutku zaczynać się przyzwyczajać do legitymizacji władzy po przewrocie?

- Myślę, że możemy, towarzyszu generale. Będziecie prezydentem Rosji, a pod waszym przywództwem Rosja znowu stanie się supermocarstwem jak za czasów Związku Radzieckiego. I demokrację ostatecznie szlag trafi.

- A co, jak ktoś odkryje te wasze komputerowe sztuczki i że kradniecie technologie wojskowe Amerykanom?

- Prędzej czy później tak się stanie.

Iwanow obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

- Jakoś nie widzę, żebyś się tym za bardzo przejmował.

- To nieuniknione. Tyle tylko, że do tego czasu będziemy nie do ruszenia finansowo, militarnie i politycznie. Nawiasem mówiąc, zauważcie, generale, że nie tylko kradniemy. Na przykład w broni elektromagnetycznej Amerykanów wyprzedziliśmy. Nasza armia będzie silniejsza niż kiedykolwiek.

- Fausten mówił mi o tej organizacji, co się chcesz z nią sprzymierzyć. Aż się wierzyć nie chce, że rzeczywiście są w stanie wywołać światowy kryzys finansowy.

- Bez większych trudności. Jak tylko uznają, że mogą na tym zarobić i wzmocnić swoje wpływy. To grupa najpotężniejszych bankierów i przemysłowców. Stworzyli swego rodzaju syndykat. Jak ich się uda zjednać, a nie sądzę, żeby się nie udało, to nikt, absolutnie nikt nam nie podskoczy. Będziemy jedyną realną siłą skutecznie wpływającą na losy świata. To my, choć, jak to mówią, z tylnego siedzenia, będziemy decydować, gdzie powinien wybuchnąć konflikt zbrojny i jak długo ma potrwać. To my będziemy doprowadzać całe kraje

na granicę bankructwa. A co najpiękniejsze, nikt nie będzie miał zielonego pojęcia o naszym istnieniu.

- Piękna wizja, Witalij.

- To już nie wizja. To rzeczywistość, która zaczyna nabierać realnego kształtu. Za niedługo będziecie, towarzyszu generale, zbawcą mateczki Rosji. Wyciągniecie ją z kryzysu i staniecie się bohaterem narodowym, jak dzisiaj towarzyszy Putin. Wszystko oczywiście pod warunkiem, że uda wam się zjednać kluczowych ludzi w resortach siłowych i zmusić do współpracy najbardziej wpływowych polityków w rosyjskiej Dumie. Inaczej przewrót nie ma szans.

- Tym się nie przejmuj. Odpowiedni ludzie będą gotowi na czas. Trzeba tylko wywołać kontrolowany chaos finansowy w kraju. Z resztą sobie poradzę.

- Będzie jak trzeba. Mam niedługo spotkanie z pierwszym w syndykacie. Mam coś na niego. Złożę mu propozycję nie do odrzucenia. Cała reszta powinna pójść bezproblemowo.

- Chodzą słuchy, że CIA chce się do ciebie dobrać.

- Nie dadzą rady. A najdalej za rok będą dla nas jak wierne psy obronne.

- Nie dadzą rady, mówisz... - Iwanow potoczył wzrokiem po oddalonych za rzeką zabudowaniach miasta. - Swego czasu Gawlik dla nich robił zlecenia. Praktycznie niewykonalne zlecenia. Ze sześć lat temu.

- Dla nas też - odpowiedział Witalij i spojrzał w dal. Iwanow łypnął na niego zaskoczony po raz drugi. - Na przykład w Anglii...

- Cholernie dużo wiesz. Trochę mnie to martwi.

- Niepotrzebnie, towarzyszu generale. Przecież jesteśmy współnikami.

- Niech cię jasna cholera, Jakuszyn. Myślisz, że Gawlik nie będzie problemem?

- Zajmę się nim osobiście. Mówi się, że jeżeli nie możesz pokonać wroga, to się do niego przyłącz. Złożę mu pewną propozycję. Zobaczymy, jak się zachowa. Potem zdecyduję, co z nim zrobić.

- Może lepiej go od razu wyeliminować. Tak dla świętego spokoju.

- Lepiej mieć go u siebie. Z jego kontaktami, wiedzą i doświadczeniem byłoby o wiele łatwiej.

- A jak już się zwałchał z Amerykańcami?

- To byśmy mieli poważny problem. Ale szczerze mówiąc, wątpię. CIA nienawidzi jak psa. Ma zresztą ku temu powody.

- Dobra. Masz moje błogosławieństwo. Dopilnuję, żeby w Rosji nikt cię nie niepokoił. Możesz działać zupełnie spokojnie.

- Nie zawiodę was, towarzyszu generale.

- Mam nadzieję. Źle by się to dla ciebie skończyło. Rozumiemy się?

- Całkowicie.

- To chodź gdzieś gardło przepłukać. Suszy mnie niemożliwie, a w hotelu tylko jakieś zachodnie gówna do picia dają. Muszę się wódki napić, bo mi się flaki na drugą stronę wywrócą. Jest tu jakieś porządne miejsce?

- Znajdzie się, towarzyszu generale. W sumie, nawet niedaleko stąd.

Przyśpieszyli kroku. Słońce przyjemnie przygrzewało. Zza zakrętu wyłoniła się grupka młodych ludzi wyglądających na studentów, zajęta ożywioną dyskusją na jakiś na pewno arcyważny filozoficzny temat. Zupełnie nie zwrócili uwagi na dwóch mijających ich milczących mężczyzn. Nawet im przez myśl nie przeszło, że właśnie przechodzili obok człowieka, który spędzał sen z powiek służbom specjalnym nie tylko ze Stanów Zjednoczonych.

*Wrocław, Polska, tydzień później*

Z przedpokoju doszły do niego przytłumione głosy córki, żony i jakiegoś chłopaka. Adam podniósł głowę znad gazety. Zamknięte drzwi dużego pokoju uniemożliwiały zrozumienie rozmowy. Słyszał jedynie pojedyncze słowa. Przerzucił kolejną stronę i wrócił do lektury artykułu.

- Cześć, ojciec. - Kasia otworzyła drzwi i włożyła głowę. - Muszę się przebrać. Może mój kolega tu z tobą poczekać?

- Nie ma problemu. Pogawędzimy sobie z kolegą.

Do pokoju wszedł wysoki, chudy chłopak w bufiastych spodniach z krokiem opuszczonym niemal do kolan. Górną część ciała przykrywała mu granatowa bluza z kapturem, najczęściej noszonym na głowie niezależnie od pogody, bardziej dla szpanu niż z potrzeby. Typowy styl wyznawców hip-hopu. Był lekko przygarbiony. Idąc, odrzucał delikatnie stopy na boki i poruszał nadmiernie ramionami, starając się nadać krokom nonszalancki wygląd. Rozejrzał się po pokoju i twarz wykrzywił mu grymas. Nie wyglądał na zachwyconego wnętrzem pomieszczenia.

- Nobry - rzucił na powitanie i podszedł do gospodarza. Podał mu dłoń bezwładnie zwisającą na końcu długiego ramienia. - Damian jestem.

Adam uściśnął mu rękę po męsku, czym wywołał syk bólu.

- Ależ ma pan imadło w łapach. Kurde. - Strzepnął dłonią kilka razy. - O, widzę, że

żydowskie gazety pan czyta. - Jego wzrok spoczął na egzemplarzu „Gazety Wyborczej”, który Gawlik przed momentem złożył. Chłopak bezceremonialnie zwałił się na fotel.

- Żydowskie? Nie zauważyłem.

- To pan nie wiedział, że Michnik to Żyd? - zdziwił się. Mówił głębokim, gardłowym głosem. Ewidentnie za wszelką cenę chciał brzmieć „cool”. - Ja tam do Żydów właściwie nic nie mam, ale nie lubię, jak się rządzą, nie?

- Masz ciekawe poglądy, młody człowieku. Długo się z Kasią znacie?

- Długo. Ze dwa tygodnie będzie. Na imprezce się poznaliśmy. Fajna ta pana córka. Niezła laska - stwierdził z uznaniem. - W porzo jest. Jedzie z nami pod namiot na weekend. Oj, będzie się działo.

- W ten weekend jedzie z tobą pod namiot?

- Kaśka nic nie mówiła? - Spojrzał na Gawlika zdziwiony. - Jedziemy ja, Kaśka i jeszcze dwóch koleś z panienkami. Pan się nie boi. Kaśka będzie pod moją osobistą opieką.

- I to mnie ma niby uspokoić?

Chłopak roześmiał się protekcjonalnie.

- Nie no, wiem, o co panu chodzi. Spoko pełne. Nie ma boja. Będziemy uważać. Nie pierwszy raz to przecież robię.

- Z czym będziecie uważać? O czym ty mówisz? - Tym razem Gawlik się zdziwił.

- No jak to, o czym. Rozumie się. Bezpieczny seks. Inaczej bym się za nią nie zabierał. W końcu dziewica jest. Ja się na tych sprawach znam. Będzie jak trzeba. Się pan nie martwi.

Adam zamknął oczy i potrząsnął głową. Przez moment analizował w myślach słowa chłopaka. Nie mógł uwierzyć. Chyba się przesłyszał

- Czekaj, czekaj, bo chyba nie rozumiem. Ty chcesz z moją córką - zaakcentował ostatnie dwa słowa - odbyć stosunek płciowy?

- No a jak? - Damian ewidentnie nie widział w tym nic zdrożnego. - Dziewczyna dorasta. Nie może być wiecznie dziewicą.

- Przecież ona ma piętnaście lat.

- No właśnie mówię. Czas najwyższy. Jej koleżanki...

- Spieprzaj stąd - wycedził gospodarz.

- Co?

- Jajco. Wypierdalaj stąd, bo jak wstanę, to cię wyniosą.

- Co pan? - Damian podniósł się z fotela. Jego pewność siebie gdzieś nagle uleciała. -

O co panu chodzi?

Adam wstał. Zaciśnął pięści. Młodzieniec się przeraził.

- Won - syknął. - Jak jeszcze raz usłyszę, że kręcisz się koło mojej córki, to cię poszukam.

Damianowi nie trzeba było dwa razy mówić. Słyszał coś, że ojciec Kaśki był kiedyś zawodowym żołnierzem i to nie takim zwykłym, tylko jakimś specjalnym. Tacy ludzie mogą być nieprzewidywalni. Sam jego wygląd budził szacunek, a teraz nawet grozę. Nie czekał ani chwili. Wyleciał z mieszkania jak z procy. Nie zdążył nawet zamknąć za sobą drzwi.

Adam wyszedł do przedpokoju. Napotkał pytający wzrok żony.

- Wiedziałaś, że ten gnojek miał zabrać Kasię na weekend pod namiot, żeby ją, jak to zgrabnie ujął, „rozdziwiczyć”?

- Cooo?

- Bez żenady się do tego przyznał. Ja nie wiem, może jestem staromodny, ale Kasia chyba jest trochę za młoda na pewne sprawy. Tak mi się wydaje.

- Ty jesteś pewny, że dobrze go zrozumiałeś?

- Sto procent. Koleś wcale się z tym nie krył. Z tego, co mówił, to miałem wrażenie, oby błędne, że Kasia nie ma nic przeciwko.

- Wiedziałaś, że planują... - nie dokończyła.

Dziewczyna usłyszała ich wymianę zdań. Otworzyła drzwi i wyszła ze swojego pokoju. Była gotowa do wyjścia.

- O mnie rozmawiacie? O co chodzi? Gdzie Damian? - Podeszła i zajrzała do dużego pokoju. - Gdzie Damian? - powtórzyła zaniepokojona. Coś było na rzeczy. - Ktoś mi zamierza odpowiedzieć?

- Wyrzuciłem go z domu - odezwał się Adam. - Mówił, że...

Nie dała mu szansy dokończyć.

- Co zrobiłeś?! - Podniosła głos. - Powtórz, bo chyba źle usłyszałam. Co zrobiłeś?!

- Kazałem mu sobie iść, bo mówił...

- Co ty sobie wyobrażasz?! - wykrzyknęła na całe gardło. - Jakim prawem wtrącasz się do mojego życia?! Nie jesteś moim ojcem i nigdy nie będziesz!! Jak śmiesz?!

- Kasia, uspokój się - zwróciła jej uwagę matka. - Nie powinnaś tak mówić do Adama.

- I ty go jeszcze bronisz?! - Zaciśnęła pięści i wyszczerzyła zęby w bezsilnej wściekłości. Popatrzyła ze złością na Gawlika. - Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj. Słyszysz? Nigdy więcej. Nienawidzę cię. Przeklinam dzień, w którym pojawiłeś się w naszym życiu.

Odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami swojego pokoju, aż zadrżała futryna.

- Nie zwracaj uwagi - próbowała go uspokoić żona. Widziała, że wewnątrz się gotuje.  
- Młodzieńczy bunt. Przejdzie jej.

- Pewnie tak - odpowiedział cicho. - Ale co do jednego ma rację. Nie jestem jej ojcem i nigdy nie będę. Nic tego nie zmieni.

- Nie mów tak. Przecież wiesz, że to nieprawda. - Wzięła go za rękę.

- Pójdę się przejść. - Przyciągnął ją do siebie. - Pochodzę po parku przy Armii Krajowej. Dobrze mi to zrobi. Nerwy uspokoję.

- Daj spokój. Nigdzie nie idź. Po co? - zaoponowała.

- Wrócę za jakieś półtorej godziny.

Pocałował żonę w czoło i wyszedł. Wiedziała, że próby zatrzymywania go na nic się nie zdadzą.

Drogę do skrzyżowania Armii Krajowej z Borowską przejechał w niecałe dziesięć minut. Kiedy zapadał zmierzch, korki na ulicach znikwały. Jeździło się dużo lepiej i znacznie szybciej.

Dość rozległy teren parku doskonale nadawał się do rekreacyjnej jazdy rowerem. Spacerowiczów nawet za dnia nie można było spotkać zbyt wielu. Panująca tu dość specyficzna atmosfera nieszczerze zachęcała do odwiedzin. Pod tym względem Park Południowy był to miejsce na głowę. Tam zawsze były tłumy. Matki z dziećmi, całe rodziny. Mimo to Gawlik lubił tu przychodzić. Czasem potrzebował poprzebywać sam. Basia była na tyle mądrą kobietą, że świetnie to potrafiła zrozumieć. W tym właśnie parku za każdym razem odnajdywał niezbędną dawkę samotności.

Mijał nieliczne, puste ławki. Myśli kłębiły mu się w głowie. Wciąż brzmiały mu w uszach wykrzykiwane przez Kasię słowa. Rozsądek podpowiadał mu, żeby posłuchał żony i nie brał tego zbyt do siebie. Emocje nie chciały słuchać. Nigdy wcześniej tak się do niego nie zwracała. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bardzo dotknięty przez osobę, którą kochał jak własną córkę i dla której chciał w życiu jak najlepiej. Był zły. Zły, głównie na siebie, że się wtrącił. Był zły na Katarzynę, że potraktowała go tak niesprawiedliwie. Zdecydowanie musiał ochłonąć. Przemyśleć wszystko jeszcze raz. Jak miał z nią postępować? Jego życiowe doświadczenie w żaden sposób nie przydawało się w procesie wychowywania zbuntowanej nastolatki. Córkę mieszkającą na stałe w Irlandii widywał raz do roku w wakacje. Była już praktycznie dorosła. Nie potrzebowała go. Zresztą nigdy tak naprawdę nie był częścią jej życia. Tego lata planowała wyjazd do Australii. Pewnie przyśle mu pocztówkę.

Cholerny świat. Wszystko układa się dokładnie nie tak jak trzeba. Szedł powoli ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach. Było już zupełnie ciemno. Gdyby nie

rozwieżdzone jasne niebo i ustawione co kilkadziesiąt metrów latarnie rzucające przytłumione światło można by się potknąć na prostej drodze.

- Ej, dziadek! - usłyszał za sobą donośny krzyk. - Co tak zapierdalasz?! Uważaj, bo buty pogubisz!

Zabrzmiał radosny rechot z kilku gardeł. Widać uznano uwagę za doskonały żart.

Adam zatrzymał się. Spojrzał za siebie. Na oparciu ławeczki, którą minął chwilę temu, siedziało trzech młodych ludzi. Popijali coś z puszek. Domyślił się, że piwo. Z odległości kilkunastu metrów nie był w stanie rozpoznać twarzy. Światło najbliższej latarni do nich nie dochodziło.

- Do mnie mówisz, gówniarzu? - spytał zaczepnie.

- Uuuu, dziadziuś się wkurwił. - Młody człowiek zszedł z ławki i stanął bokiem do kolegów. Mógł mieć siedemnaście, osiemnaście lat. Szczupły, ale solidnie zbudowany. Dało się zauważyć pot wylany na siłowni. Adam zaczął się wolno zbliżać w ich kierunku. - Zaraz mnie zbije. Chyba się zeszczę ze strachu.

Reakcja podobna jak poprzednim razem - głośny rechot. Młodzieniec ruszył w stronę Gawlika z odchylonymi rękami, krokiem rewolwerowca szykującego się do pojedynku. Zatrzymał się metr przed nim. Popatrzył mu w twarz i dostrzegł jego wzrok. Wzrok, pod którym jeszcze dziesięć lat temu kulili się najtwardsi mężczyźni, dla których pożoga wojenna była chlebem codziennym. Wzrok, który przesywał jak zimna stal. W wysportowanym młodzieńcu odezwał się instynkt samozachowawczy. Pojawił się strach. Nagle poczuł, że stojący przed nim mężczyzna nie jest zwykłym zjadaczem chleba, jakich pełno na ulicach.

- Masz swoją szansę, gnojku. Czekam - wyszeptał Gawlik w taki sposób, że chłopakowi ciarki poszły po plecach.

- Kurwa, dziadek, masz szczęście, że emerytów nie biję. - Za wszelką cenę próbował ukryć niepokój. Całkiem nieźle mu to wychodziło. - Idź, kurwa, do swojej babci, bo się jeszcze rozmyślę.

Odwrócił się, żeby wrócić do kolegów, kiedy Adam bez ostrzeżenia pacnął go solidnie otwartą dłonią w tył głowy.

- Ja nie mam babci.

- Kurwa, dziadek! - wrzasnął młodzian i zamachnął się zaciśniętą pięścią, ale nie odważył się wyprowadzić ciosu. - Nie wkurwiał mnie, bo cię, kurwa, w szpitalu nie poskładają!

- Co ty powiesz.

Adam chwycił go za nos i pociągnął w dół tak, że przeciwnik musiał paść na kolana.

- Kurwa, zajebię! - wrzasnął. Brzmiał zabawnie, krzycząc przez zatkany nos. Zaczął młócić ramionami na osłep. Nie na wiele się to zdało. - Kurwa, puszczaj, bo nos mi złamiesz.

Gawlik zwolnił uchwyt. Młodzianowi płynęła z nosa krew.

- No, koleś. - Z ławki wstał atletycznie umięśniony mężczyzna. Spokojnie sto kilo żywej wagi. Wyglądał na starszego od kolegów. Rzucił puszkę za siebie i ruszył w stronę prześladowcy kumpla. - Przegiąłeś pałę. Sam się prosisz o wpierdol. To będzie wpierdol.

- Willy, zajeb skurwysyna. - Chłopak z krwawiącym nosem wstał i wycofał się kilka kroków. Trzeci młodzian również opuścił oparcie ławki. - Co, dziadziuś, rura ci zmiękła, nie?

Mięśniak chciał zakończyć sprawę szybko. Postanowił poczęstować dziadka z główki. Uderzenie wyćwiczone i zawsze skuteczne. Nie mógł przewidzieć, że ten facet przewidzi jego ruch. Błyskawiczny wyrzut głowy trafił w pustą przestrzeń. Przeciwnik zdążył się uchylić i wyprowadził mocny, sierpowy cios z dołu, który odrzucił głowę Willy'ego do tyłu, aż ten cofnął się o krok. Atletą był oszołomiony nie tyle samym ciosem, co całkowicie niespodziewaną sytuacją. Poczł w ustach smak krwi. Dziadek stał niewzruszony i przyglądał mu się uważnie. Tego już było za wiele. W młodym człowieku zawrzało. Skoczył do Gawlika, wyprowadzając prawy prosty z barku, nadając mu straszliwą siłę niszczącą. Adam uchylił się przed ciosem, wyłapał nadgarstek przeciwnika i pociągnął na tyle, by mógł włożyć celny cios lewą pięścią w odsłonięte prawe zebra. Gdyby nie mięśnie, Willy zostałby pozbawiony tchu. Jednak w tym samym niemalże momencie spadła mu na tył głowy odwrócona prawa pięść Gawlika. Zabolalo. Bardzo zabolalo. Adam odsunął się na kilka kroków i czekał na kolejny atak. Nie musiał czekać długo. Paker rzucił się na niego jak rozjuszony byk. Gawlik ze zręcznością torreadora zszedł z linii uderzenia i podciął szarżującego. Mężczyzna runął na twarz. Po chwili poderwał się i zaczął zbliżać w postawie bokserskiej. Wiedział już, że łatwo nie będzie, ale nie zamierzał rezygnować. Kiedy był gotów do zadania ciosu, dokładnie wymierzone kopnięcie z biodra wprzód na wysokości miednicy spadło na niego jak grom. Nogi się pod nim ugięły. Przy precyzyjnym uderzeniu w okolice kości łonowej najsilniejsi padają na kolana. Willy nie okazał się wyjątkiem. Złapał się oburącz za podbrzusze i przyklęknął. Popelniał tym samym straszliwy błąd. Potężne kopnięcie w boczną część głowy praktycznie zmiotło go z nóg. Padł najpierw na bark, potem na wznak. Nie stracił przytomności.

- Wstawaj, cioto. - Gawlik kopnął go w udo. Dokładnie wybrał punkt, który najbardziej boli. - Już masz pełne gacie ze strachu? Wstawaj, tchórze.

- Willy, wstawaj! - dopingowali go koledzy trzymający się w bezpiecznej odległości. - Dojeb mu! Dasz radę!



Willy nie był tchórzem. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś bezkarnie go tak nazywał. Z wyraźnym wysiłkiem stanął na nogi i przyjął pozycję do walki. Skulił się nieco, żeby nie dać się tym razem zaskoczyć. Nie spodziewał się błyskawicznego ataku na staw kolanowy. Boczne podwójne kopnięcie sprawiło, że wiązadła nie wytrzymały. Prawa noga nie mogła już dać wystarczającego oparcia. Willy zaczął boleśnie kuśtykać. Gawlik obszedł go dookoła i kopnął go czubkiem buta w nerkę. Doskonale wiedział, jak i gdzie uderzyć. Mężczyzna złapał się za bok. Wtedy nastąpił doskok i piorunujące uderzenie pięścią w nos. Zanim paker zdążył skontrolować, przeciwnika już nie było w miejscu, w którym znajdował się jeszcze przed ułamkiem sekundy. Uskoczył niczym atakujący metodycznie wilk. W tym momencie było już całkowicie jasne, kto jest bezapelacyjnym zwycięzcą tej potyczki, mimo że Willy wciąż trzymał się na nogach. Spadały na niego ciosy z najmniej oczekiwanej strony, nie druzgocące, ale na tyle mocne, by zadać jak najwięcej bólu. Dla postronnego obserwatora Gawlik wydawał się bawić mięśniakiem. On się nim nie bawił. On go dręczył, znęcał się nad nim. Wyładowywał na jego wielkim cielsku swoją złość i poczucie rodzinnej porażki, która dotknęła go do żywego.

Po kolejnym takim uderzeniu Willy upadł na kolana. Czekał na druzgocący cios, który pozbawi go przytomności i pozwoli wyjść z tego pogromu z namiastką honoru. Cios nie nastąpił.

- Bierzcie kumpla i zabierajcie się stąd - warknął Gawlik do chłopaków. - Jak was tu jeszcze kiedyś zobaczę, to wam jaja pouryvam i dam do zeżarcia. Zrozumielście?

Dwaj młodzieńcy skwapliwie pokiwali głowami. Ten starszy mężczyzna budził w nich autentyczne przerażenie. Z wielkim wysiłkiem pomogli wstać Willy'emu i oddalili się w stronę ulicy. Gawlik stał i patrzył, jak odchodzą. Willy kuśtykał. Wspierał się na ramionach kumpli.

Kiedy przeszli już kilkadziesiąt metrów, usłyszał za plecami miarowe klaskanie w dłonie. Odwrócił się.

- Jak zawsze w formie - powiedział zbliżający się do niego powoli mężczyzna. - Nic się nie zmieniliście, poruczniku Gawlik. Może tylko trochę siwych włosów przybyło.

Adam znał ten głos. Znał tę postać i tego człowieka. Przed nim stał Witalij Jakuszyn we własnej osobie.

- Ki diabeł. Podporucznik Witalij Jakuszyn.

- Porucznik. Awansowali mnie z czasem. Priwiet, towarzyszu - wyciągnął do Gawlika rękę. - Ile to już lat? Z piętnaście.

- Będzie więcej. - Gawlik uściśnął dłoń byłego podwładnego. - Słyszałem, że zdążyłeś

przez te lata nieźle narozrabiać.

- Robiło się różne rzeczy tu i tam. Trzeba było jakoś żyć.
- Ładne mi jakoś. Parę lat temu prawie zdominowałeś rynek handlu bronią.
- Dawne dobre czasy. - Witalij uśmiechnął się na samo wspomnienie.
- Jak mnie znalazłeś?
- Żona wasza powiedziała, że do parku poszłście się przejść. Powiedziała gdzie.

Nietrudno było.

- Wiesz, o co pytam. Jak mnie namierzyłeś?
- O, to akurat było najłatwiejsze. Dzisiejsza technologia, poruczniku, potrafi zdziałać cuda. - Rozejrzał się po ciemnym parku. Wokół nie było żywej duszy. - Siądźmy. Pogawarim niemnożka.

Usiedli na ławce jeszcze niedawno zajmowanej przez wojowniczych młodych ludzi. Pora i atmosfera wyjątkowo sprzyjały poufnym rozmowom. Jakuszyn wyciągnął paczkę papierosów i podsunął Gawlikowi.

- Wyobraź sobie, że nigdy nie zacząłem. - Gawlik zaprzeczył ruchem głowy.
- Twardziel z was, poruczniku. Ja nie raz rzucałem ścierwo i nie dałem rady. - Sam się poczęstował i zapalił.
- Mów do mnie normalnie, Witia. Nie jestem już twoim dowódcą.
- Taktoćno. - Jakuszyn przyłożył palec do czoła, udając, że saltuje.
- Ludzie mówią, że Amerykanów ostatnio niekiepsko wkurwiłeś.
- Jacy ludzie? - Spytał, patrząc na żarzący się koniuszek papierosa.
- Groźni. Z CIA.

Jakuszyn ucieszył się w duchu. Gawlik zupełnie otwarcie powiedział mu o CIA. To dobry znak. To znaczy, że go nie skaptowali, a chyba z nimi już gadał. Sprawy wyglądały lepiej, niż Rosjanin się spodziewał.

- Tobie mówili?

Witalij spojrzał na byłego przełożonego. Z kamiennego wyrazu twarzy nic nie można było wyczytać. Panujący mrok rozpraszany wątlm światłem latarni nie ułatwiał zadania.

- Chcieli, żebym pomógł im dobrać ci się do dupy. Musiałeś im nieźle dopieprzyć.

Jakuszyn nie mógł nie zauważyć, że Gawlik jest z nim zupełnie szczerzy. Było jasne, że wypiął się na propozycję agencji.

- Przesada. Gdybym chciał im naprawdę dopieprzyć, cały świat by o tym mówił. Dostali maleńkiego kopniaka, zresztą powiedziałbym, że całkiem przypadkowo. Dużo by gadać.

- Czego ode mnie chcesz, Witalij? - zapytał Adam wprost. - Nie przyjechałeś tu na pogawędkę o starych czasach.

Rosjanin zaciągnął się papierosem i wypuścił trzy kółka z dymu.

- Razem z naszym wspólnym przyjacielem, generałem Władimirem Iwanowem, wielkie rzeczy teraz robimy.

- Za takie wielkie rzeczy trafiłeś do „Czarnego delfina”, ale teraz widzę, jakim cudem udało ci się tam nie zgnić. A tak dla jasności, to Iwanow nie jest moim przyjacielem. Nigdy nie był i nie będzie.

- Nie tym razem. To jest biznes. W biznesie nie trzeba się kochać. Trzeba być skutecznym. Ty zawsze byłeś. Proponujemy ci współpracę.

- My?

- Ja i Iwanow.

- Współpracę przy czym?

- Technologie wojskowe, ale przede wszystkim informatyka. Nasi ludzie to naukowcy i najlepsi na świecie hakerzy, często z sądowym zakazem zbliżania się do komputera. Dzięki temu możemy przeprowadzać przedsięwzięcia, o jakich ci się nawet nie śniło. Praktycznie nieograniczony dostęp do informacji. Nie muszę chyba dodawać, że jest wielki pieniądz do zarobienia. Możemy włamać się i spenetrować wszystko, co jest podłączone do sieci. Nie wyłączając systemów finansowych, a raz nawet udało się z systemem obronnym pewnego supermocarstwa. Nie zgadniesz jakiego.

- Jasne. Nie zgadnę, że amerykańskiego.

Adam położył dłonie na karku i wyciągnął nogi przed siebie. Wydawał się rozważać słowa Jakuszyna. Patrzył w prawie czarną przestrzeń. Rosjanin rzucił niedopałek papierosa na ziemię i przedeptał go ciężkim, traperskim butem, niezbyt adekwatnym do ciepłej pory roku.

- I co powiesz? - spytał Gawlika.

Polak nie popatrzył w jego stronę.

- Powiem ci to samo, co powiedziałem jankesom. Emeryt jestem i dobrze mi z tym. Nie wiem, co dokładnie z Iwanowem kombinujecie, i nie chcę wiedzieć. To wasza sprawa. CIA będzie wam cały czas siedziało na karku. Nie przeszkadza ci to?

- To akurat jest do załatwienia. Wystarczy wymiana odpowiednich ludzi na odpowiednich stanowiskach.

- Aż tak wysoko mierzycie?

- Zdziwisz się, ale jesteśmy realistami.

- Ile ty masz lat, Witia?

- Czterdzieści dwa.

- I nie chciałbyś pożyć jeszcze parę lat dłużej?

Jakuszyn roześmiał się.

- Poruczniku, ja sto lat żyć będę. Jeszcze morze wódki wypiję. Wspomnisz moje słowa.

- Daj ci Boże, Witia. Obyś się nie pomylił - powiedział cicho. - Ja w każdym razie w to nie wchodzę.

- Może się zastanów. Nie musisz odpowiadać koniecznie teraz.

- Już się zastanowiłem. Odpowiedź brzmi: „nie”. Ostatecznie.

Jakuszyn znał Gawlika na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że jakiegokolwiek próby perswazji są z góry skazane na niepowodzenie. Nie będą mieli w nim sojusznika, ale, co daleko ważniejsze, nie mają w nim też wroga.

- Nie kusi cię?

- Jak byś miał dla kogo żyć, Witia, nie zadawałbyś takich pytań - odparł Adam.

- Uważasz, że nam się nie uda?

- Uważam, że w najbliższym czasie będzie cię szukać kula wynajętego zabójcy.

- Najpierw musieliby mnie zlokalizować. - Jakuszyn był bardzo pewny siebie. - A jak to się stanie, pierwszy o tym będę wiedział. - Gawlik popatrzył na rozmówcę. Jakuszyn nigdy nie był głupim ryzykantem. Naprawdę musi mieć coś, co pozwala mu tak mówić. - No i trzeba pamiętać, że jakby co, to tak jak i ciebie szkolił mnie swego czasu chyba najlepszy snajper na świecie, sam mistrz Michaił Nikołajew. Nauka się przydała. Szkoda, że człowiek nie żyje. Na pewno przyłączyłby się do starych towarzyszy.

Na wspomnienie Nikołajewa, towarzysza broni z Afganistanu, i - jak Polak - najemnika sprzed lat, a jednocześnie wypróbowanego przyjaciela, przed oczami stanęły mu obrazy ich wspólnych studiów w uczelni Riazańskiej, jego przezabawnej gry na bałajce, akcji zbrojnych w Afryce, ocalenie rodziny z Mogadiszu. Zawsze będzie pamiętał uśmiechniętą, trochę chłopięcą twarz Miszy, jego przekomarzenia z Billym Doganem - zwałistym Indianinem, z którym tworzyli niezwykle zgrany zespół uderzeniowy.

Kiedy byli w Kandaharze w 22. powietrznodesantowej, Misza stał się dla Jakuszyna swego rodzaju mentorem. Przekazał mu całą swą wiedzę i nauczył obliczania trajektorii lotu pocisku, analizowania takich czynników, jak wiatr, temperatura i wilgotność. Gawlik nie miał wątpliwości, że z tą wiedzą, przy dzisiejszym poziomie broni snajperskiej, celny strzał z odległości ponad półtora kilometra nie stanowiłby dla Witalija Jakuszyna większego problemu. Umiejętności, nieprzeciętna inteligencja i przeszkolenie z przeszłości sprawiały, że

byłby niezwykle cennym nabytkiem dla każdego służb specjalnych. Witia jednak zawsze wolał chadzać własnymi drogami, co z kolei nie zawsze wychodziło mu na zdrowie.

- Trochę żeśmy razem przeszli, Witia, i cię szanuję. Dlatego ci powiem. Amerykanie zmontowali grupę, która ma cię zlikwidować, i której ja miałem być częścią. Nie będę.

- Czyli mamy szczęście.

- Macie. Nie powiem ci kto, co i jak. Nie chcę być stroną, sam rozumiesz.

- Rozumiem.

- Nie życzę wam też powodzenia, bo znając Iwanowa, wasze działania zwykłym ludziom na dobre nie wyjdą.

- Niekoniecznie. Myślisz, że teraz możni tego świata dbają o zwykłych ludzi?

- Nie mnie o tym decydować i nie mam na to żadnego wpływu.

- Mógłbyś...

- Nie mógłbym. Miło było cię zobaczyć, towarzyszu były podporuczniku, ale na mnie już czas. Sam widziałeś, żona czeka.

Witalij podał mu złożoną kartkę papieru.

- To zamiar na mnie, jakbyś się jednak namyślił.

Adam pokręcił głową. Nie wziął kartki.

- Już się namyśliłem. I nie zostawiaj mi takich rzeczy. Tak na wszelki wypadek. Różnie może się w życiu zdarzyć.

- W porządku. - Jakuszyn schował papier do kieszeni spodni. - Coś przekazać od ciebie generałowi?

- Dobrą radę. Niech poświęci cały swój czas wnukom. Wszyscy na tym skorzystają.

- Coś mi się widzi, że nie posłucha twojej rady.

- Zdziwiłbym się, gdyby tak było. - Adam wstał i wyciągnął do Rosjanina rękę. - Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Zabrałbym cię do domu, pojedlibyśmy, wypilibyśmy za stare czasy.

- Szkoda. - Jakuszyn uściśnął Polakowi dłoń na pożegnanie. - Może jeszcze będzie okazja. No i byłoby bardzo niedobrze, gdybyś stanął po niewłaściwej stronie barykady - dodał.

- Byłoby bardzo niedobrze, gdybym musiał.

Adam odwrócił się i poszedł szybkim krokiem w stronę ulicy Borowskiej. Kiedy zniknął w ciemnościach, Witalij wystukał na komórce numer.

- Będzie neutralny - powiedział do telefonu.

- Jesteś pewny? - Ściszony głos rozmówcy brzmiał oschle i rzeczowo.

- Na sto procent. Pogadaliśmy sobie szczerze. Nie jest ani nasz, ani ich.

Nieomal w tym samym momencie w amerykańskim centrum nasłuchowym zawrzało.

- Pozytywna identyfikacja! - wykrzyknęła kobieta, siedząc przed ogromnym pulpitem. Wokół niej w dużym pomieszczeniu bez okien znajdowało się jeszcze kilkunastu pracowników zajmujących się podsłuchiowaniem rozmów i analizą korespondencji internetowej. - Mamy Jakuszyna.

Podbiegł do niej oficer w randze kapitana.

- Namierzyłaś go?

- Jeszcze chwilę. - Wystukiwała komendy na klawiaturze. - Europa... centralna... koniec. - Opadła na oparcie krzesła. - Za szybko się rozłączył.

Rosjanin wyciągnął z telefonu kartę i wrzucił nowiusieńki aparat do kosza na śmieci. Wolnym krokiem ruszył do wyjścia z parku od strony ulicy Ślężnej.

\*

Basia przywitała męża w przedpokoju.

- Martwiłam się - powiedziała ściszym głosem. Znaczyło to, że dzieci już spały. - Wiesz, która godzina? Nie wzięłaś telefonu.

Pocałował ją w czoło.

- O mnie się martwiłaś? Mi się nic nie może stać.

- No pewnie. A mało to zbirów po parkach w nocy się włóczy? Ani byś się obejrzała, jakby któryś od tyłu dał ci w łeb. Nawet tobie. Teraz to nawet strzelają.

- Zapewniam cię, że żadnego zbira w parku nie spotkałem. Nie było czego się bać.

- Słuchaj, jakiś Ruski tu był. Pytał o ciebie. Mówił, że nazywa się Jakuszyn.

- Spotkaliśmy się. Towarzysz z dawnych czasów.

- Coś od ciebie chciał?

W pierwszej chwili Adam zamierzał ją zbyć jakimś kłamstwem. Zreflektował się jednak. Natychmiast by wyczuła, że nie mówi jej prawdy. Jej kobiecy szósty zmysł w takich sprawach nigdy jej nie zawodził.

- Proponował mi uczestnictwo w pewnym wyjątkowo dochodowym przedsięwzięciu na skalę światową.

- I co odpowiedziałeś?

- Że nie jestem zainteresowany.

- Widzę, że masz, Gawlik, jeszcze trochę rozsądku w tej podstarzałej głowie.

- Tylko nie podstarzałej. - Adam klepnął ją w pupę. - Jak Kasia?

- Porozmawialiśmy sobie szczerze jak kobieta z kobietą. Była na ciebie wściekła.

- Dało się zauważyć.

- Ten jej kolega, Damian, to rzeczywiście... niech go licho. Ale tu w grę wchodzi młodzieńcze emocje. Pierwsze uczucia. Takich spraw nie załatwia się w ten sposób. Musisz pamiętać, że to bardzo wrażliwa dziewczyna. Ma do ciebie żal, chociaż wytłumaczyłam jej wszystko. Z kobietami trzeba delikatnie, subtelnie. Kasia to jeszcze bardzo młoda, ale już kobieta i tym bardziej musisz uważać. Idź do niej. Jeszcze nie śpi. Coś czyta.

- Może lepiej niech ochłonie. Jak mnie wywali za drzwi?

- Nie wywali. Pomyślałby kto, że były żołnierz trzęsie portkami przed bezbronną nastolatką. No, idźże.

Zapukał delikatnie.

- Tak? - dobiegł zza drzwi głos dziewczyny.

Adam włożył głowę do jej pokoju.

- Mogę na chwilę?

- Możesz.

Kasia siedziała na łóżku po turecku, oparta plecami o ścianę. Na kolanach trzymała otwartą książkę. Adam przysunął sobie krzesło spod biurka i usiadł naprzeciwko niej.

- Wiem, co zrobiłem i jest mi bardzo przykro. Po prostu cię przepraszam. Chciałem dobrze, ale nie wyszło. Mama mówiła, że rozumiesz dlaczego. - Czekał na reakcję. Nastolatka patrzyła mu prosto w oczy. Nie odzywała się. - Popełniłem błąd i proszę cię o wybaczenie. Bardzo mi na tym zależy. Obiecuję, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

- Wiesz, co będą o mnie mówić jutro w szkole?

- Wyobrażam sobie.

- Nie wyobrażasz sobie - stwierdziła stanowczo. - Na pewno sobie nie wyobrażasz.

- Ale co niby miałem zrobić? Jakiś koleś mówi mi, jak zamierza potraktować mi córkę, którą kocham nad życie, że zamierza z niej zrobić seksualny przedmiot... No co ja miałem zrobić?

Ukrył twarz w dłoniach. Nie widział, że Kasia się delikatnie uśmiechnęła. Słowo „kocham” czasami czyni cuda. Szczególnie jeśli jest wypowiedziane szczerze i spontanicznie.

- Mówiłam ci kiedyś, że fajny jesteś?

Adam spojrzał na nią zaskoczony. Jej rysy nagle złagodniały. Patrzyła na niego życzliwie, a nawet z odrobiną czułości, co w przypadku zbuntowanych nastolatk nie zdarza się często.

- Co? Znaczący nie jesteś już na mnie zła?

- Czytasz czasem Biblię?

- Nie bardzo, a co?

- Tam jest napisane: „Idź i nie grzesz więcej”. - Wstała z łóżka i odłożyła książkę na półkę. - Nie wiem, jak wy z mamą, ale ja idę spać. Jutro mam ciężki dzień.

Adam odstawił krzesło na miejsce. Zatrzymał się przy drzwiach.

- Wiesz, Kasia... strasznie jestem dumny, że ciebie mam.

- Wiem - odpowiedziała i odwróciła się na łóżku do ściany. Nie chciała, żeby widział, że zaszklily jej się oczy ze wzruszenia. - Możesz zgasić światło?

Gawlik pstryknął wyłącznik i zamknął za sobą delikatnie drzwi.



## ROZDZIAŁ 29

### *Londyn, Wielka Brytania*

Czarna londyńska taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed pamiętającą czasy przedwojenne kamienicą na przedmieściach. Z zewnątrz wyglądała zupełnie normalnie, można powiedzieć: przeciętnie, jak wiele innych w mieście. Ale jej wnętrza kryły luksusowe apartamenty dla wyjątkowo zamożnych obywateli nie tylko Wielkiej Brytanii, lecz głównie z krajów anglojęzycznych, którzy zresztą pomieszkiwali tutaj raczej sporadycznie, przy wyjątkowych okazjach.

Witalij Jakuszyn nie zapomniał o zwyczajowym napiwku dla kierowcy taksówki. Nie musiał, choć było to ogólnie przyjęte. Nie chciał, by pozostało po nim złe wrażenie. Taksówkarze dużo gadają, komentują i dzielą się spostrzeżeniami. Jemu wciąż jeszcze zależało, by pozostać niewidocznym, wtapiającym się w tłum człowiekiem. Zostawił banknot o wysokim nominale solidnie przekraczającym wartość należności. Taksówkarz podziękował skinieniem głowy.

Kiedy Rosjanin znalazł się na ulicy przed wejściem do budynku, otaksował spojrzeniem fasadę. Niepozorna, nierzucająca się w oczy. Jedynie umiejscowienie domu w bogatej dzielnicy z natychmiast rozpoznawalnym przez firmy i instytucje kodem pocztowym nie pozostawiało wątpliwości, jakiego rodzaju lokatorzy zasiedlają tu mieszkania.

Portier na progu przywitał go grzecznym „Can I help you?”. Usłyszawszy nazwisko przybysza i cel wizyty, sprawdził w kajeciku, uklonił się usłużnie i zaprosił do windy.

Drzwi mieszkania otworzył mu łysiejący mężczyzna około pięćdziesiątki, który wyglądem mógł stanowić wzorcowy obraz definiujący termin „angielski kamerdyner”.

- Dzień dobry, panie Jakuszyn - powitał gościa formalnie, prawie oschle. - Pan Morgan oczekuje pana u siebie w gabinecie. Pozwoli pan, że pana zaprowadzę.

Witalij nie przepadał za takim dość nadętym sposobem bycia, mimo że dość powszechnym w tym kraju. Jego słowiańska, a szczególnie rosyjska rogata dusza skręcała się na takie zachowanie. Jednak zdrowy rozsądek brał górę i angielska „nadętość” wychodziła ze spotkania bez najmniejszego uszczerbku.

- Pozwolę - bąknął pod nosem Jakuszyn na tyle głośno, że doszło to do uszu

kamerdynera.

- Przepraszam, nie dosłyszałem - udał służący. Ton głosu nie zmienił mu się ani na jotę. - Co pan raczył powiedzieć?

- Nie, nic. Nic ważnego.

- Rozumiem.

Kamerdyner wyciągnął dłoń po brązową skórzaną teczkę, którą Jakuszyn trzymał w dłoni.

- Teczkę zatrzymam. Będzie mi potrzebna w czasie spotkania.

- Nalegam, proszę pana. - Głos kamerdynera stał się stanowczy.

Zza załomu ściany wyszedł ogromny Murzyn w garniturze. Stał kilka metrów od nich w rozkroku z rękoma założonymi na brzuchu, w postawie charakterystycznej dla polityków pozujących do kamer. Sama obecność ochroniarza tłumaczyła upór służącego. Rosjanin zorientował się, że musieli sprawdzić, czy przybysz nie wnosi niczego, co mogłoby zagrażać bezpieczeństwu gospodarza. Oddał torbę starszemu mężczyźnie. Ten zajrzał do środka, zamknął zamek i oddał teczkę gościowi. Olbrzym następnie przejechał elektroniczną pałką po ubraniu Witalija. Sygnał ostrzegawczy nie zabrzmiał, więc zaprowadzono go do Henry'ego Morgana.

Henry Morgan siedział w fotelu wyglądającym na raczej mało wygodny, stylizowanym na antyk. Czytał książkę i popijał kawę z porcelanowej filiżanki stojącej na maleńkim okrągłym stoliku obok. Wszystkie ściany zasłaniały pnące się aż do samego sufitu półki z książkami. Gabinet bardziej przypominał bibliotekę niż miejsce pracy.

Kamerdyner wszedł pierwszy, zostawiając Rosjanina za drzwiami w towarzystwie rosłego ochroniarza.

- Przyszedł pan Jakuszyn, proszę pana - zwrócił się służbowym tonem do pracodawcy.  
- Poprosić?

- Wszystko w porządku?

Morgan podniósł wzrok znad lektury. Miał na myśli dokładne sprawdzenie człowieka, o którym słyszał wiele, więcej złego niż dobrego. Ostrożności nigdy za dużo. Nie podejrzewał nawet, że jeśli Jakuszyn chciałby go pozbawić życia, w mgnieniu oka zrobiłby to gołymi rękami, jak go uczono w Specnazie. Goryl Morgana nie stanowiłby tu również najmniejszego problemu. Witalij zrobiłby swoje, a po jego wyjściu w apartamencie zostałyby trzy trupy. Lecz nic takiego nie było w planie. Henry Morgan stanowił bardzo cennego potencjalnego współpracownika. Trzeba go było sobie zjednać, a nie eliminować.

- W najlepszym. - Służący skinął głową. - Żadnych zastrzeżeń.

- Doskonale. Proś gościa.

Jakuszyń stanął w progu. Zlustrował najpierw wnętrze, potem gospodarza. Dopiero wtedy wypowiedział grzecznościową formułkę:

- Dzień dobry, panie Morgan.

Gospodarz nie wstał dla wyrażenia szacunku dla gościa. Nie uważał tego za stosowne w akurat tym przypadku. Jakuszyń zanotował w myśli jego zachowanie. Było symptomatyczne. Morgan zamierzał występować z pozycji silniejszego, znacznie silniejszego.

- Witam, panie Jakuszyń. - Ruchem dłoni wskazał fotel przed sobą. Witalij usiadł i postawił teczkę przy nodze mebla. - Czego się pan napije?

- Poproszę wódkę Smirnoff - odparł Rosjanin zupełnie naturalnie. - Jeśli macie, oczywiście.

Amerikanin zwrócił uwagę na fakt, że Jakuszyń nic sobie nie robił z konwenansów. Prośba o wódkę, i to taką, przy okazji takiego spotkania, sugerowała albo kompletny brak kindersztuby, albo niekonwencjonalność w zachowaniu. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na tym samym stoliku co kawa. Zawahał się.

- Ile? - spytał, mając na myśli wielkość kieliszka.

- Może być cała butelka.

Przez twarz gospodarza przemknął ledwie widoczny uśmiech. Ten człowiek zaczynał mu się podobać. Nieszablonowy, może nawet zuchwały, ale z pewnością niepozbawiony poczucia humoru. Wydał przez telefon polecenie kamerdynerowi. Nie brał pod uwagę możliwości braku tego trunku w ich zapasach. Co najwyżej przyniesienie wódki potrwa kilka chwil dłużej.

- Czym mogę panu służyć, panie Jakuszyń?

- Chciałbym złożyć panu pewną propozycję. - Jakuszyń przeniósł teczkę na kolana i ją otworzył. Wyciągnął papierowy skoroszyt i odłożył teczkę z powrotem na podłogę. - Panu, ale w szczególności organizacji, której w tej chwili pan przewodniczy.

- Organizacji? - Henry Morgan po mistrzowsku udał zdziwionego. - Ma pan na myśli moją korporację?

- Nie, panie Morgan. Mam na myśli organizację TETTA, zrzeszającą najpotężniejszych bankierów i przemysłowców, której obecnie jest pan przewodniczącym.

Morgan spojrzał na gościa z łatwo dostrzegalną pobłażliwością. Pomyślał, że Rosjanin nie mógł wiedzieć o ich stowarzyszeniu, choć jakimś cudem usłyszał o nazwie, za którą się kryli. I tak niezły wyczyn. Ewidentnie blefował. Starał się go podejść. Jego, starego lisa.

- Pomylił pan adres - stwierdził Amerykanin z uśmiechem. - Ale brzmi ciekawie. Rzeczywiście istnieje taka organizacja? Czym się zajmuje? Naturalnie jeśli to nie tajemnica.

- Jej członkowie oprócz pańskiej szacownej osoby to Tori Hakashi, Jurij Szurkin, Gerhard Hansen i paru jeszcze innych ludzi. Na spotkaniach zwracacie się do siebie wyłącznie po imieniu. Taka tradycja i pewnie względy bezpieczeństwa. Ale nie chciałbym się wypowiadać na temat rzeczy, które na pewno zna pan znacznie lepiej ode mnie. Chodzi mi o coś innego. - Podał Morganowi skoroszyt. - Proszę może łaskawie rzucić okiem na te papiery. - Przemysłowiec zaczął wyciągać dokumenty i przebiegał wzrokiem ich treść. W jednej chwili spoważniał. Spojrzenie stało się ostre i zimne. - Jak pan już pewnie zauważył, są to protokoły rozmów, ustaleń i takie tam. To, co pan ma w dłoni, dotyczy zamachu na WTC z 11 września 2001 roku. Są tu nie tylko dość powszechnie znane, zastanawiające fakty, typu nagłe zawarcie ubezpieczenia na dwa miliardy dolarów przed zamachem, pięćsetkrotna zwyżka sprzedaży opcji na American Airlines, czy znalezione w podziemiach budynków złoto wartości dwustu milionów dolarów zamiast stu sześćdziesięciu miliardów. Najważniejsze jednak to rozmowy prowadzone z agentami NSA (National Security Agency) i CIA, nagrane na dysku CD. Jest pod papierami. Rozmawiał pan i paru pana kolegów. W wolnej chwili pan sobie przesłucha. Generalnie można by powiedzieć, że są to dowody na to, że ktoś bardzo pomógł zamachowcom w ataku i nie była to Al-Kaida. Ktoś na tym interesie bardzo solidnie zarobił i nie muszę mówić kto.

Morgan przeszył Rosjanina wzrokiem. Dokumenty były najściślej strzeżoną tajemnicą państwową. Spróbował zagrać w ciemno.

- Ktoś się niezle natrudził, żeby sfabrykować te fałszywki. Mam nadzieję, że dużo pan za to nie zapłacił. - Ponownie przybrał lekceważący wyraz twarzy. - Dał się pan żałośnie nabrać na jakieś niestworzone historie.

Do gabinetu wszedł kamerdyner. Postawił na stoliku butelkę wódki i dwa kieliszki, które ledwie się mieściły, po czym bez słowa opuścił pokój.

- Mam tych, jak to pan określił, „fałszywek” dużo więcej. Głównie o waszej organizacji, o wojnie w Iraku, wojnie w Afganistanie i paru innych wyczynach. Nic poważnego nie dzieje się bez waszej wiedzy. Konflikty zbrojne i wahania gospodarcze występują w skutek waszych działań.

- Po co mi pan to wszystko mówi? Bo chyba nie chce mnie pan szantażować - powiedział Amerykanin z drwiną w głosie. - Nie wygląda pan na głupca.

- Mogę? - Jakuszyń wziął butelkę wódki do ręki. Otworzył i nalał pełny kieliszek. Wychylił duszkiem. Ani się nie skrzywił. - Nie rozumiemy się. Nie jestem tu po to, żeby panu

szkodzić. Wręcz przeciwnie. Chciałbym zaproponować współpracę. To wszystko, co panu dałem, to oryginały. Nie ma żadnych kopii. Może pan z tym zrobić co pan zechce. Osobiście sugerowałbym zniszczenie. Chciałem tylko pana przekonać, że ja i moi ludzie możemy naprawdę bardzo dużo. A gdybyśmy zjednoczyli siły, świat byłby nasz.

Morgan przyglądał się gościowi dłuższą chwilę. Musiał przyznać, że ten Rosjanin go zaskakiwał. Czy można z nim było zagrać w otwarte karty? Czy ktoś mógł go nasłać? Jeśli tak, to kto? Z NSA i grubymi rybami w Stanach Zjednoczonych był w najlepszej komitywie. Rosjanie? Szurkin by coś wiedział. Chińczycy? Po co?

- Jak pan to zdobył? - pokazał wzrokiem dokumenty.

- Ukradłem - odparł pogodnie Witalij.

- Niby jakim cudem? - To akurat z tajnych archiwów NSA. Moi ludzie potrafią spenetrować wszystko, co chociaż na chwilę podłączone jest do sieci, a czasem i nie tylko. Takie hakerskie sztuczki na niewyobrażalnym dla nas poziomie. To właśnie część mojej propozycji. Nieograniczony dostęp do informacji. TETTA będzie miała świetny wzrok i bardzo wyostrzony słuch, dużo lepszy niż teraz.

- Ciekawe. Niech pan mówi dalej.

Witalij ponownie sięgnął po Smirnoffa. Jeszcze jeden kieliszek wódki popłynął mu do gardła.

- Za niedługo w Rosji nastąpi zmiana władzy. Powiedziałbym - nie do końca demokratycznie. Na początek bardzo by nam pomogło wywołanie światowego kryzysu finansowego, a potem wsparcie nowego rządu na Kremlu w jego przewyciężeniu, co oczywiście bardzo by go umocniło. To da się zrobić. Dla was to nie problem. Ze swej strony obiecuję, że dobrze zarobicie. Każdy dobrze wychodzi na handlu z Rosją. W zamian, oprócz informacji, zapewniam swego rodzaju ramię zbrojne dla waszych działań. Nie wszędzie da się wykorzystać amerykańską armię. Wiem też, że jest potrzeba dozbrojenia Talibów, żeby wojna w Afganistanie za wcześnie się nie skończyła. Nikomu nie byłoby to na rękę. Jestem do dyspozycji. Mogę przerzucić sprzęt i uzbrojenie do wybranej prowincji.

- Skąd pan wie, że nasza rozmowa nie została na przykład nagrana i przekazana do MI6? Mogą już tu po pana jechać z oddziałem antyterrorystycznym.

Jakuszyn roześmiał się. Jeszcze raz sięgnął po butelkę. Kolejna porcja wódki przyjemnie ogrzała wnętrzności.

- Nie opłaciliby się to panu. Musieliby mnie prędzej czy później wypuścić, a ja bym pana odnalazł i... - Nie dokończył. Nie musiał. Przekaz był całkowicie klarowny. - Za to ze mną zyska pan panowanie nad światem. Co prawda z tylnego siedzenia, ale jednak.

Prawdziwa władza, niemal absolutna, sprawowana zza kulis. Moim zdaniem całkiem niezła perspektywa, nie?

Morgan lubił podejmować szybkie decyzje. Tak się też stało i w tym przypadku.

- Niedługo mamy spotkanie w Szwajcarii. Chciałbym, żeby pan poznał moich przyjaciół. Dysponuje pan czasem?

- Ściśle mówiąc w Genewie, w hotelu President Wilson, za pięć dni. Nie mylę się, prawda?

- Skąd pan ma tę informację?

Morgan nie był tym razem zaskoczony, był zdumiony. Nie miał wątpliwości. Tego człowieka trzeba mieć po swojej stronie.

- Już panu mówiłem, panie Morgan. Ukradłem. Wystarczy tylko wiedzieć jak. A ja wiem.

Amerykanin sięgnął po telefon.

- Podstaw samochód pod drzwi - wydał polecenie do słuchawki. - Zapraszam pana na obiad, panie Jakuszyn. Mamy do omówienia jeszcze parę spraw, czyż nie?

- Bardzo chętnie. Coś mi ostatnio nie służy wódka na pusty żołądek.

## ROZDZIAŁ 30

### *Hotel President Wilson, Genewa, Szwajcaria*

Henry Morgan postawił kołnierz płaszcza i naciągnął kapelusz na czoło. Portier hotelowy otworzył drzwi czarnego mercedesa i skłonił się gościowi. Mężczyzna wysiadł i pośpieszył do wejścia. Kierowca mercedesa wyjął z bagażnika sporą walizkę i wręczył ją hotelowemu tragarzowi, który natychmiast pobiegł z nią za gościem. Mercedes odjechał natychmiast potem.

Morgan stanął przed windą. Z sofy w hallu wstał człowiek w ciemnym garniturze. Podszedł do Amerykanina. Chwilę potem rozsunęły się drzwi atlasowej kabiny i obaj wsiadli.

- Dzień dobry, szanownym panom. - Windziarz w eleganckiej liberii wyszczerzył zęby w służalczym uśmiechu. Został zignorowany. - Które piętro panowie sobie życzą?

- Royal penthouse suite - powiedział oschle Morgan.

Winda ruszyła na ostatnie piętro do jednego z najdroższych apartamentów w hotelu.

Przed hotel zajęła kolejna limuzyna. Dla portiera nie byłoby to niczym nadzwyczajnym, gdyby nie fakt, że rozpoznał tym razem ponad wszelką wątpliwość tożsamość wysiadającej osoby. Thomas Garner, człowiek z pierwszych stron gazet, rekin finansjery i główny udziałowiec jednego z największych amerykańskich banków.

„Ki diabeł” - powiedział mężczyzna do siebie, zamykając za gościem drzwi samochodu. Policzył w myślach. To już czwarta osobistość tego kalibru w ciągu ostatniej godziny. Wydawało mu się, że wcześniej widział też rosyjskiego magnata Jurija Szurkina. Ale nie był pewien. Był też jakiś tajemniczy Niemiec, który wyraźnie starał się wejść do hotelu niezauważony. „Musi być jakieś cholernie ważne spotkanie.

Ale że media nic nie zwąchały?” - zastanawiał się w duchu, czy to przypadkiem nie jego szansa. Krótka informacja do telewizji i prasy mogłaby mu się opłacić. Szybko jednak odegnał pokusę. Pracował tu już piętnaście lat i wiedział, że dyskrecja jest na jego, wydawałoby się, niezbyt imponującym stanowisku sprawą najwyższej wagi.

W apartamencie panował półmrok. Okna były szczelnie zasłonięte. Wejście Henry’ego Morgana i jego towarzysza z windy uciszyło zdawkowe, prowadzone półgłosem rozmowy. Jeden z mężczyzn przerwał grę na białym fortepianie. Zamknął klapę, wstał i

usiadł na fotelu przy kolumnie. Podeszedł do wezglowia owalnego stołu, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Popijali drinki ze szklanek z nienaturalnie grubym dnem. Jeden przechadzał się zatopiony w myślach po pokoju gościnnym wielkości sporej sali konferencyjnej. Palił cygaro. Dwóch pozostałych zajęło krzesła przy prostokątnych kolumnach w głębi pokoju, podtrzymujących sufit, z uwagi na wielkość pomieszczenia sprawiający wrażenie zawieszonych zbyt nisko.

- Witam panów - powiedział i oparł się dłońmi o blat. Drzwi pomieszczenia otworzyły się i wszedł Jurij Szurkin. Skinął głową obecnym na powitanie i zajął miejsce przy stole. Sięgnął po karafkę z bursztynowym płynem i wlał sobie pół szklanki. Skrzywił się niemilosiernie. Sok, a spodziewał się jakiegoś porządnego alkoholu. Niezrażony wyciągnął pierścionek, pociągnął solidny łyk i uśmiechnął się do obecnych z zadowoleniem. - Jura, możemy kontynuować? - spytał Morgan z ledwie wyczuwalnym wyrzutem w głosie.

- Kontynuuj, Henry, kontynuuj. - Rosjanin machnął uniesioną nad głowę dłońią.

- Panowie, chciałem wam oficjalnie przedstawić człowieka, z którym będziemy ściśle współpracować. - Odwrócił się w stronę Witalija. - Witalij Jakuszyn z racji technologii i zaplecza, jakim dysponuje, będzie naszymi uszami i oczami, chociaż powiedziałbym głównie uszami. Dostaniemy niemal nieograniczony dostęp do informacji, a nie muszę chyba nikomu mówić, że w dzisiejszych czasach informacja jest towarem najcenniejszym. Nasz nowy przyjaciel i jego ludzie stanowią będą swoiste ramię zbrojne dla naszej organizacji. Bywają różne sytuacje, kiedy to rozmowy czy pieniądze nie rozwiązują problemu. Wtedy korzystając będziemy z usług Witalija. Poza tym, za sprawą kilku notabli w Rosji, za niedługo możemy się spodziewać zmiany sił rządzących. Stanie się to przy zachowaniu przynajmniej pozorów demokracji. Prawda, że interesujące? Dla nas to oznacza prawie że wyłączny dostęp do rosyjskich rynków, surowców i tym podobne. Dla naszego brata, Jurija - popatrzył w stronę popijającego Rosjanina - możliwość bezpiecznego powrotu do ojczyzny, bez obawy, że politycy wsadzą go w, jak to wy mówicie, *tiurmu*.

- I za to wypiję. - Jurij podniósł szklankę jak do toastu. - W Rosji zapraszam wszystkich na prawdziwy samogon. Tegoście jeszcze bratcy nie próbowali. Dobrze mówię, towarzyszu? - zwrócił się o potwierdzenie do Witalija.

- Święte słowa - odrzekł zagadnięty.

- Ale wracając do rzeczy - włączył się ponownie Morgan. - Tori - zwrócił się do Japończyka siedzącego w dalszej części stołu. - Możesz nam krótko naświetlić bieżącą sytuację? Trzeba będzie coś zdecydować, szczególnie jeśli chodzi o Afganistan.

Tori Hakashi, numer jeden japońskiej finansjery, założył na nos okrągłe okulary i



otworzył teczkę z papierami.

Spotkanie potoczyło się normalnym tokiem. Witalij Jakuszyn przysłuchiwał się wystąpieniom poszczególnych ludzi. Wypowiadali się zwięźle i treściwie. Bardzo konkretnie. Nie było sporów i niesnasek. Dochodzili do porozumienia w mgnieniu oka. To, i pewnie nie tylko to, stanowiło o ich niezwykłej sile i skuteczności działania.

\*

Wychodząc z hotelu, Witalij odebrał telefon.

- Zlokalizowaliśmy lisa - usłyszał w słuchawce głos Maxa Faustena. Już od jakiegoś czasu rozmawiali ze sobą szyfrem. Amerykański nasłuch wtedy głupiał. - Mam spuścić psy?

- Gdzie?

- W Polsce. Breslau. Teraz się nazywa Wrocław. Zawsze mówiłem, że ten kraj ma wielki potencjał.

- Jakiś myśliwy w pobliżu?

- W Pradze. Cztery godziny jazdy samochodem.

- Zezwalam na polowanie.

Witalij schował telefon. Niezwykły zbieg okoliczności. Podświadomość kazała mu się zaniepokoić. To samo miasto, które odwiedził tak niedawno, by spotkać się z jednym człowiekiem. Kilkaset tysięcy ludzi. Ciekawe, że akurat tam znalazł się informatyk, któremu udało się złamać ich technikę przesyłania przekazu podprogowego. Max miał rację, że polscy komputerowcy to ścisła światowa czołówka. Szkoda, że ten jeden musi zakończyć karierę w tragiczny dla siebie sposób. Mimo wszystko czuł się dziwnie z myślą, że miasto, gdzie mieszkał Gawlik, stanie się miejscem niezbędnej operacji. Nie był przesądny ale... „Cholera, stajesz się nerwowy, Witia” - powiedział do siebie w myślach. Nawet prawa Murphy’ego tak nie działają. Jednak będzie spokojniejszy, jak tylko dostanie informację, że problem został pomyślnie rozwiązany. Wsiadł do czarnej limuzyny czekającej przy wyjściu.

## ROZDZIAŁ 31

Zabrział dzwonek do drzwi. Maciek rzucił okiem na zegarek i wstał od komputera. Zdziwił się. Ciotka dzwoniła zaledwie dziesięć minut temu, że pakuje dla niego świeżo usmażone racuchy z jabłkami. Nie sądził, że wujek przyjedzie z jedzeniem tak szybko. Chociaż właściwie, czemu nie? Był już przecież wieczór. Na drogach godzina bezkorkowa. Na upartego trasę da się zrobić w dziesięć minut.

Przekręcił górny zamek patentowy i nawet nie zdążył nacisnąć klamki. Jakaś potężna siła pchnęła drzwi do środka, uderzając go krawędzią w twarz. Zanim zdołał się połapać, został uderzony w głowę czymś ciężkim i twardym. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i padł nieprzytomny na podłogę w przedpokoju. Ubrana na sportowo postać zamknęła drzwi wejściowe na zamek.

\*

- Adam, jedz szybciej - powiedziała Basia. - Obiecałam Maćkowi, że podwieziesz mu jeszcze ciepłe.

- Daj spokój - odpowiedział z pełnymi ustami. - Nic się studentowi nie stanie, nie, dzieciaki?

Michałek i Kasia, zjadający się racuchami przy jednym stole, spojrzeli na niego spode łba. Nie lubili, gdy zwracał się do nich per „dzieciaki”. Nawet dziesięcioletni Michałek, pod ewidentnym wpływem starszej siostry, uważał się za młodzieź. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, ale czasem lubił się z nimi podroczyć. Tylko mały Franuś energicznym skinieniem głowy potwierdził, że się z ojcem zgadza.

- Mama, jak coś obieca, to zawsze dotrzymuje słowa - stwierdziła nastolatka i włożyła następny kawałek racucha do ust.

- Mama dotrzymuje, a ja nie? - Adam przestał przeżuwać.

- A czy ja coś mówiłam? - Katarzyna spokojnie kończyła jedzenie.

Wcisnął na raz połowę racucha i wstał od stołu. Wziął pakunek, cmoknął żonę w czoło i wyszedł z domu.

- Kasia, to nie było miłe - zwróciła jej uwagę matka.

- O co znowu chodzi? - oburzyła się nastolatka. - Co ja takiego powiedziałam?

Basia westchnęła. Trudny wiek. Trzeba przeczekać. Poza tym jej córka to dobre

dziecko. Co do tego nie miała cienia wątpliwości.

\*

Maćka obudziło chluśnięcie wody w twarz. Siedział tyłem do okna mocno przywiązany do krzesła z rękami za oparciem. Na ustach miał szeroką taśmę samoprzylepną. Podszedł do niego mężczyzna, którego widział po raz pierwszy. Wysoki, krótko ścięty brunet o ogorzalej twarzy. Mógł mieć pod czterdziestkę. Spojrzenie tego człowieka sprawiało, że ciarki przechodziły po plecach. Stał przed studentem w rozkroku i przyglądał mu się chwilę. Nagle, bez ostrzeżenia, uderzył go pięścią w twarz. Chłopak zachwiał się na krześle i byłby upadł, gdyby intruz go nie podtrzymał. Pod okiem Maćka pojawił się solidny siniak. Mężczyzna przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko chłopaka. Wyciągnął zza pasa wojskowy nóż i położył go na biurku przy komputerze.

- Zaraz ci ściągnę z gęby taśmę - powiedział z wyraźnym akcentem któregoś z krajów słowiańskich. - Jak będziesz drzeć mordę, to ci poderżnę gardło w taki sposób, żebyś nie mógł krzyczeć, tylko mówił szeptem. Będzie bolało. Rozumiesz?

Maciek skwapliwie przytaknął. Bał się. Autentycznie bał się tego człowieka, który go zaskoczył i obezwładnił bez najmniejszego trudu. A przecież szkolenie u wuja sprawiło, że chłopak wcale nie był ułomkiem.

Mężczyzna spojrzał na nóż, niedwuznacznie na chłopaka i jednym ruchem zerwał mu taśmę z ust. Maciek ani myślał wzywać pomocy. Nie miał wątpliwości, że ten straszny człowiek zrealizuje swoją groźbę. Zdał sobie sprawę, że jego jedyną szansą było przyjście wuja Adama. Musiał grać na czas. Tylko czy wuj nie da się zaskoczyć i nie podzieli jego losu? Na samą myśl o takiej ewentualności zrobiło mu się zimno.

- O co panu chodzi? - spytał student łamiącym się ze strachu głosem.

- O jajco - burknął facet.

- Przecież ja nic panu nie zrobiłem.

- Ale ja ci zrobię, jak nie zamkniesz ryja i nie będziesz grzecznie odpowiadał na pytania. - Maciek zamilkł natychmiast. - Kto jeszcze wie, że złamałeś technikę przekazu podprogowego?

Chłopak natychmiast skojarzył fakty. Pytano go o jego ostatnie odkrycie. Wujek mówił, żeby przestał się tym zajmować. Posłuchał, ale nie do końca. Trochę jeszcze w sieci pogrzebał. Parę rzeczy mu się rozjaśniło. Jezu! Czyli wujek miał rację. To jakaś grubsza afera. Zrobiło mu się gorąco z wrażenia.

- Ja nic nie złamałem. To jakaś pomyłka - próbował zgrywać głupiego. - Ja nic nie wiem. Ja jestem zwykłym studentem. Nawet nie wiem, o czym pan mówi. Naprawdę.



Mężczyzna podniósł się z krzesła. Złapał Maćka za tył głowy i nadział jego twarz na uniesione kolano. Student poczuł w ustach charakterystyczny smak krwi, która strużką zaczęła wypływać na zewnątrz i kapać mu na koszulę i kolana. Wrażenie było piorunujące. Twarz mu natychmiast spuchła. Facet nie żartował.

- Zła odpowiedź - powiedział półgłosem. - Zastanów się i odpowiedz jeszcze raz.

W chłopaku oprócz strachu wezbrało jeszcze jedno uczucie. Pojawił się gniew. Rosnąca furia na tego człowieka, który go bezczelnie tłucze. Przez moment pomyślał, że gdyby nie więzy, toby się popróbowali. Niech sobie będzie profesjonalnym bandytą. Niech okaże się lepszy, ale przynajmniej nie biłby go bezkarnie jak teraz.

Maciek spuścił głowę. Krew z ust przestała lecieć ciurkiem. Kapała niewielkimi kroplami.

- Nie miałem okazji nikomu powiedzieć. Tylko jeden mój wujek emeryt wie. Zresztą kazał mi się przestać tym zajmować i przestałem.

- Gównu mnie obchodzi jakiś zasrany emeryt. - Wziął nóż do ręki. - Jeszcze raz mi spróbujesz jakąś pierdołę wcisnąć, to ci wydlubię oko. Najpierw jedno, potem drugie.

- Niech pan tego nie robi. Proszę się zastanowić, komu ja mogłem powiedzieć? Jestem przyjezdny. Mało kogo tutaj znam. Mówię prawdę.

- Znowu kłamiesz. - Mężczyzna wstał, odciął kawałek taśmy i zanim Maciek zdążył zareagować, zakleił mu usta. Chłopak zaczął się rzucać na krzesło. Był przerażony. - Oduczysz się kłamać.

\*

Adam w niecałe piętnaście minut znalazł się pod blokiem Maćka. Wysiadł z samochodu i popatrzył w okno mieszkania. U innych ludzi paliło się już światło ze względu na szarówkę. U Maćka było prawie ciemno. Niebieskawe ciemne światło monitora odbijające się w szybie i zapalona lampka na biurku sugerowały, że student jest w domu. Tym razem wjechał windą na piąte piętro i zadzwonił.

Napastnik z nożem w ręku znieruchomiał. Maciek popatrzył na przedpokój z nadzieją. Jest szansa na pomoc. Żeby tylko mógł w jakikolwiek sposób wuja ostrzec. Nie mógł. Stłumiony krzyk przez taśmę nic nie da.

Mężczyzna ścisnął rękojeść noża skierowanego ostrzem w dół i poszedł do drzwi, zamykając za sobą pokój, gdzie siedział Maciek, na wypadek gdyby studentowi przyszło do głowy próbować jakichś sygnałów ostrzegawczych.

Udawanie, że nikogo nie ma w domu, było bezcelowe. Trzeba będzie wyeliminować nieproszonego gościa.

Bandyta przekręcił górny zamek i nacisnął klamkę. Drzwi zaczęły się powoli uchylać. On sam schował się za załomem ściany przygotowany do zadania śmiertelnego ciosu. Od sąsiadów dała się nagle słyszeć głośna muzyka. Zagłuszała dźwięki, które starał się z siebie wydawać student. Bandzior uśmiechnął się pod nosem. Jak to los czasem człowiekowi ułatwia zadanie.

Adam wszedł i zamknął drzwi stopą, stojąc twarzą do wnętrza mieszkania. Pakunek z racuchami położył na szafce na buty. Coś tu było nie tak. Za cicho i za pusto. W tym momencie wyskoczył na niego napastnik. Zrobił zamach nożem, celując w klatkę piersiową. Gawlik odbił cios na lewo i ostrze cięło powietrze kilka centymetrów od ramienia Polaka. Jednocześnie zrobił pół kroku do przodu i z całą siłą prawego barku uderzył łokciem w szczękę przeciwnika. Ten zwałił się na podłogę. Wstrząs spowodowany uderzeniem odebrał mu na moment świadomość, jak bokserowi, który łąduje na deskach. W sekundę doszedł do siebie i uniół się do siadu, by wstać, ale Gawlik nie dał mu szansy. Potężne kopnięcie ciężkim butem w bok głowy zmiotło go do pozycji horyzontalnej, w której pozostał bez ruchu. Adam wziął nóż i ostrożnie pchnął drzwi do pokoju chłopaka. Zobaczył go w oplakanym stanie, siedzącego zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od parapetu okna. Maciek patrzył na niego jak na wybawcę.

Adam nie podszedł do chłopaka. Jego wprawne oko od razu dostrzegło zagrożenie. Jednym susem przeskoczył dzielącą ich odległość, złapał Maćka za barki i zwałił się z nim na podłogę. Student zgłupiał. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Wujek chyba oszalał. Ich upadek zagłuszył brzęk szkła w oknie i odgłos dwóch pocisków karabinu snajperskiego dziurawiących kanapę. Maciek był całkowicie nieświadomy faktu, że właśnie uniknął śmierci.

Gawlik zerwał mu taśmę z ust i trzema ruchami przeciął tą samą taśmę krępującą mu ciało.

- Co się dzieje? - spytał ogłupiały chłopak.

- Nie podnoś się. Po drugiej stronie gdzieś na dachu jest snajper. Kumpel tego tam w przedpokoju. Miał cię najprawdopodobniej zlikwidować w razie jakichkolwiek problemów. Widzisz dziury w kanapie?

Jeden pocisk przebił drewnianą dolną część mebla, a drugi rozpruł obicie wyżej. Maćkowi oczy się zaokrągliły z wrażenia. Nie ze strachu. Przy Adamie czuł się bezpiecznie.

- Ten drugi żyje?

- Żyje, ale nie obudzi się jeszcze przez co najmniej jakiś czas. Zaraz go unieruchomię tak jak on ciebie. Na wszelki wypadek. Ty tu ani drgnij. Ja pójdę poszukać snajpera. Mam nadzieję, że zdążę. Facet się niedługo zwinie, jak zobaczy, że się wszystko spieszyło. Nie

będzie chciał mieć policji na głowie.

- To może po prostu poczekajmy - zasugerował Maciek.

- Nie. On nie spocznie, dopóki cię nie dopadnie. To specyficzny typ ludzi. Jak wilk tropiący ofiarę. Ty jesteś tą ofiarą, a ja chciałbym się dowiedzieć dlaczego. - Chłopaka zatkało. - Pamiętaj, jak się ruszysz, to ci łeb odstrzelą.

Młody człowiek zeszywniał. Nie zamierzał nawet drgnąć. Adam podniósł się ostrożnie przy ścianie. Pochylił się, przykucnął i skoczył w przeciwną część pokoju w stronę drzwi będących poza linią strzału. Inaczej nie dało się tam dotrzeć. Kolejny pocisk tkwił w ścianie, gdy Gawlik lądował na podłodze. Przeleciał najwyżej kilka centymetrów nad plecami mężczyzny. Minimalnie niżej i Adam miałby przestrzelony kręgosłup.

Związał fachowo i zakneblował nieprzytomnego mężczyznę i opuścił mieszkanie. Zbiegł po schodach do piwnicy. Piwnicą przebiegł kilka klatek. Wyszedł po przeciwnej stronie budynku, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Snajper nie mógł go zauważyć. Zbyt duży kąt obserwacji. Był jednym z wielu chodzących w pobliżu wieżowca.

Udając, że się śpieszy, przyjrzał się krawężnikom dachu wieżowca, z którego strzelec musiał operować. Nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Zapadający zmrok jeszcze utrudniał sprawę. Może gdyby miał możliwość popatrzenia przez lornetkę. Z drugiej strony snajper musiał być profesjonalistą. Na pewno zakamuflował się tak, by postronny człowiek z dołu nie był w stanie go dostrzec. Trudno żeby było inaczej. Adam wiedział, z którego budynku i mniej więcej z jakiego miejsca musiał strzelać. Trzeba będzie wejść na dach i liczyć na trochę szczęścia.

Wjechał na ostatnie piętro. Właz na dach był przykryty. Wszedł po drabince i odchylił pokrywę. Nie była zabezpieczona, więc pewnie dobrze trafił. Rozejrzał się ostrożnie. Krawędzie naprzeciwko bloku Maćka były puste. Wyszedł szybko i przylgnął do przybudówki kominowej kilka metrów od włazu. W prawej dłoni ścisnął rękojeść noża wojskowego odebranego bandycie. Wychylił ostrożnie głowę. Pusto. Zlustrował całą najbliższą przestrzeń dachu. Nikogo nie było. Niestety stało się tak jak myślał. Strzelec zniknął w samą porę.

Gawlik wyciągnął komórkę i odszukał numer. Połączenie nastąpiło po czterech sygnałach. Nie było zwyczajowego halo, tylko cisza.

- Wiktor, potrzebuję przechować towar. Jesteś na miejscu?

- Jeszcze tak - odpowiedział znajomy Adamowi głos. - Kiedy?

- Będę najdalej za jakieś trzy godziny.

- Dobra.

Połączenie zostało przerwane. Gawlik jeszcze raz popatrzył w przestrzeń wokół. Zrobiło się ciemno. Jedyne rozgwieżdżone niebo i księżyc umożliwiały jakąkolwiek widoczność na dalszą odległość. Niczego nie zauważył.

Snajper mógł zmienić stanowisko. Dlatego, wychodząc z domu, będą musieli bardzo uważać.

Kiedy Adam wszedł do mieszkania Maćka, student leżał pod oknem jak trusia. Wydawało się, że nie zmienił pozycji ani na milimetr. Wuj stanął nad nim i położył ręce na biodrach. Chłopak zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło. Zgramolił się z podłogi i usiadł na podziurawionej kanapie. Gawlik przysunął sobie krzesło.

- I co? - spytał Maciek. - Był tam?

- Nie było. I to jest bardzo zła wiadomość, bo prędzej czy później on cię znajdzie.

- Ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

- Ty mi powiedz. Ten nożownik o coś cię pytał?

- Pytał, kto jeszcze wie o tym, że zламаłem system przekazu podprogowego.

Gawlik podniósł ręce do góry w geście rozpaczy. Natychmiast zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

- Maciek, do jasnej cholery - podniósł głos i wstał. - Przecież mówiłem ci, żebyś się tym nie zajmował. Mówiłem?

- Mówiłeś, wujku, ale ja jeszcze tylko parę rzeczy sprawdziłem. - Maciek próbował się rozpaczliwie tłumaczyć. - Potem dałem sobie spokój. Naprawdę.

- Przestań do mnie mówić wujku - powiedział Gawlik spokojniej. - Mów mi po imieniu. Normalnie, jak człowiek. Ten „wujek” to głupawe jakieś.

- Dobrze.

- Po naszej rozmowie co tam jeszcze wygrzebałeś?

- Źródło wysyłania wirusa jest najprawdopodobniej gdzieś w Rosji. Nic więcej nie wiem. Tak jak mówiłem: dałem sobie spokój.

Adam usiadł. Przetarł twarz dłońmi. Zmierzył chłopaka spojrzeniem.

- Posłuchaj, Maciek, uważnie, co ci teraz powiem. Od tego zależy twoje życie. Nie żartuję. - Student miał wzrok spłoszonego zwierzęcia. - Przede wszystkim w coś się wpakowałeś. Najprawdopodobniej, właściwie na pewno. Za tym, co dzisiaj ci się przytrafiło, stoi jeden Rosjanin. Nazywa się Witalij Jakuszyn. Cholernie niebezpieczny człowiek. Był moim podkomendnym w Afganistanie. Potem był w rosyjskich służbach specjalnych, handlował bronią i robił różne rzeczy, o których niekoniecznie chciałbyś wiedzieć. Razem z



naszym byłym dowódcą, dzisiaj generałem w stanie spoczynku, Władimirem Iwanowem, robią jakieś przewały na światową skalę, chyba właśnie komputerowo.

- Tego generała to widziałem kiedyś w telewizji.

- Nic dziwnego. Mocny jest na Kremlu. Ale do rzeczy. Jesteś chyba jedyny, który ich podejrzwał. Staną na głowie, żeby cię wykończyć. Na Jakuszyna poluje CIA. To dobra wiadomość. Z twoją wiedzą pewnie chętnie wzięliby cię pod opiekę.

- CIA?

- Tak. Centralna Agencja Wywiadowcza Stanów Zjednoczonych.

- Możesz to załatwić?

- Mogę. Tyle że jest jedno „ale”. Agencja może uznać, że za dużo wiesz i wtedy przydarzy ci się nieszczęśliwy wypadek ze skutkiem śmiertelnym. A to już wiadomość trochę gorsza.

- To trzeba zawiadomić policję. Muszą coś zrobić. Przecież oni od tego są.

- Nie zdajesz sobie sprawy z czym, a właściwie z kim masz do czynienia. O ile znam Jakuszyna, jego ludzie to doskonale wyszkoleni zabójcy, byli żołnierze. Policja cię nie ochroni. Tylko by im ułatwiła zadanie, bo pomogliby cię jeszcze raz namierzyć.

- Jezu, to co ja mam robić? - Chłopak był zrozpaczony. - Wujek nie może mi jakoś pomóc?

- Mówiłem ci, przestań z tym „wujkiem” - zirytował się Gawlik. - Postaram się jakoś cię z tego wyciągnąć. Jeden warunek. Słuchasz mnie absolutnie we wszystkim bez szemrania i bez dyskusji. Jak ci w piękny słoneczny dzień powiem, że deszcz pada, to masz natychmiast wyciągnąć parasol. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Rozumiem. Nie zrobię już niczego głupiego.

- To nie wystarczy. Masz robić dokładnie to, co ci powiem. Jasne?

- Jasne.

- No to słuchaj dalej. Wywiozę cię z Wrocławia i przekażę człowiekowi, który cię ukryje.

- Gdzie?

- Nie wiem gdzie. To teraz nieważne. Ważne, że ludzie Jakuszyna cię na razie nie znajdują. Ja w tym czasie pomyślę, co dalej robić. Skontaktuję się z CIA i spróbuję złapać Jakuszyna. Może to się uda jeszcze wszystko odkręcić. Chociaż nie byłbym tu optymistą. Są sprawy, gdzie nie ma sentymentów.

- I co będzie?

- Nie martw się, student. Dobrze będzie. Z nie takich problemów się wychodziło. Ale

za to ty przygotuj się na wakacje pełne przygód. Będziesz miał co wspominać do końca życia. Tego możesz być pewny.

- Już mam co wspominać. - Chłopak mruknął pod nosem i popatrzył na zakrwawione ubranie.

Na twarzy wuja zagościł smutny uśmiech.

- Jeszcze czeka cię wiele wrażeń, chłopie. Idź się obmyj, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

Maciek bez słowa poszedł do łazienki. Zatrzymał się w progu.

- Ten facet się obudził.

W jego głosie nie było już strachu. Pozostał gniew i chęć odwetu.

- Idź do łazienki.

Adam wstał. Podeszedł do mężczyzny, chwycił go za nogi i wciągnął do pokoju. Mężczyzna wił się po drodze. Próbował poluzować więzy. Bez skutku. Został skrępowany profesjonalnie.

Gawlik stanął nad leżącym. Spojrzał mu głęboko w oczy. Zimne i bezwzględne. Znał ten typ spojrzenia aż za dobrze, z dawnych czasów. Niejednokrotnie gasił taki wzrok celnym strzałem lub uderzeniem w najwrażliwsze części ciała prawie zawsze ze skutkiem śmiertelnym. Zerwał mu z ust taśmę równie sprawnym ruchem, jakim to zrobił intruz w przypadku Maćka. Mężczyzna ani myślał wołać o pomoc. Zdawał sobie sprawę, że byłyby to jego ostatnie słowa. Został obezwładniony przez świetnie wyszkolonego przeciwnika. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że kogoś takiego tu spotka. Przemknęła mu przez głowę nadzieja. Jest jeszcze człowiek, który go ubezpiecza. Jednak, o dziwo, przeciwnik stał na linii strzału i... nic się nie działo. Czyżby jakimś cudem Strzelca też zdołał wyeliminować? Nie jest dobrze.

Gawlik podeszedł do okna i zaciągnął zasłony. Ludzie czasem zagląдают innym w okna. Jeśli chodzi o zagrożenie ze strony snajpera, to było raczej tylko teoretyczne. Nie zaryzykowałby powrotu i ewentualnego spotkania z siłami policyjnymi.

- Kolesia snajpera na dachu już nie ma - zwrócił się do bandyty. - Możemy spokojnie pogadać. - Ktoś ty? Kto cię przysłał i dlaczego? - Mężczyzna milczał. Wyglądało na to, że nie miał najmniejszego zamiaru się odzywać. Analizował sytuację. Szukał sposobu wyjścia. Zastanawiał się, co może ugrać i jak to zrobić. Adam odczekał kilka sekund. - Nie denerwuj mnie, gnojku. Nie jestem gliniarzem, więc nie obowiązują mnie zasady savoir-vivre'u. Mogę cię fachowo pozbawić słuchu i wzroku. Będziesz miał kontakt ze światem tylko przez dotyk. A ja i tak się wszystkiego dowiem. Lepiej byś na tym wyszedł, gdybym dowiedział się tego

od ciebie.

Mężczyzna drgnął. Nie było wątpliwości. Miał do czynienia z człowiekiem swojego pokroju. Szanse na znalezienie wyjścia z nieciekawej sytuacji spadły do zera. Ubezpieczający go towarzysz nie przyjdzie mu z pomocą. Nawet gdyby, to w tym przypadku bez wątpienia nie wyszłoby mu to na zdrowie. Po raz drugi pomyślał: „Nie jest dobrze”. Trzeba było mówić. Może nie całą prawdę, ale przekonująco.

- Dostałem zlecenie, żeby wyciągnąć od młodego pewne informacje - powiedział wreszcie bandzior. - Nic więcej.

Adam nie rozpoznał akcentu.

- Chorwat, Słoweniec?

- Serb.

- Brat Słowianin. Jak się nazywasz?

- Radko Janović - odpowiedział mężczyzna zgodnie z prawdą. - Nie jesteśmy wrogami. Możesz mnie rozwiązać.

- A co, chciałbyś mnie jeszcze raz popróbować? Nie wyszedłbyś z tego żywy, Radko. Ale zdziwisz się, bo faktycznie cię rozwiązę. Tylko jeszcze nie teraz. Najpierw wywiozę mojego młodego przyjaciela, którego miałeś zabić. Potem po ciebie wrócę i się dogadamy.

- Nikogo nie miałem zabijać. Chodziło tylko o informacje.

Gawlik przeszył go lodowatym spojrzeniem.

- Radko, obrażasz moją inteligencję. Nie lubię tego. Mogę się zdenerwować i ci krzywdę zrobić.

Serb uświadomił sobie, że kłamstwami jedynie pogorszy swoje położenie. Pomyślał, że może rzeczywiście z tym Polakiem da się wejść w jakiś układ. Na razie taktycznie postanowił zachować milczenie.

- Powiesz mi uczciwie parę rzeczy i wyjdiesz stąd w jednym kawałku. Pasuje?

- Jakie mam gwarancje?

- Nie wygłupiaj się. - Adam skrzywił się. - Zdaje się, że nie masz większego wyboru.

- Co chcesz wiedzieć?

- Przysłał cię Witalij Jakuszyn?

- Nic mi to nie mówi. Dostałem zlecenie od jednego Niemca. Nazywa się Max Fausten. Kontakt wyłącznie internetowy. Ten Jakuszyn, to może być jego jakiś boss. Ja człowieka nie znam.

- Co miałeś zrobić?

- Młody złamał jakiś system przesyłania danych. Miałem sprawdzić, komu o tym

powiedział i zneutralizować zagrożenie - odpowiedział zupełnie szczerze Radko Janović. Czuł instynktownie, że mówiąc prawdę, ocali skórę. - Dostałem wsparcie niemieckiego Strzelca wyborowego. Kazał do siebie mówić Herman.

- Skąd znasz tego Faustena?

- Spotkaliśmy się kiedyś w Kosowie. Przerzucał nielegalnie broń.

Maciek stanął w progu. Już dłuższą chwilę przysłuchiwał się ich rozmowie zza ściany. Adam zerknął na chłopaka przez ramię, ale nic nie powiedział.

- Masz wielkie szczęście, Radko. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkie. - Polak poklepał go po policzku. - Jesteś mi potrzebny. Inaczej bym cię zakopał. - Zakleił mu ponownie usta. Serb szarpnął się zaskoczony. Spodziewał się raczej uwolnienia z więzów. - To tak na wypadek jakby ci coś durnego do łba strzeliło.

Gawlik podniósł się i podeszedł do Maćka.

- Co z nim będzie? - spytał student półgłosem.

- Nic. Wypuszczę go.

- A jak mnie znowu znajdzie?

- Jednego, chłopie, możesz być całkowicie pewny. Ciebie nie znajdzie. Zbieraj się.

Czas na nas.

- Co mam zabrać? Nie wiem, gdzie jedziemy. Nie wiem, na jak długo.

- Fakt. Weź coś ciepłego na grzbiet, portfel, dokumenty i... szczoteczkę do zębów.

Wuj zrobił grymas, który mógłby od biedy uchodzić za uśmiech. Sam nie wiedział, gdzie Maciek trafi. Wiedział jedynie, ponad wszelką wątpliwość, że tam, gdzie się wreszcie znajdzie, będzie poza zasięgiem zabójców. Chłopak złapał bluzę z kapturem i poszedł do łazienki. Wziął słowa Adama całkiem poważnie i wrócił ze szczoteczką. Wujek pozostawił to bez komentarza. Musi się chłopak jeszcze wyrobić.

- Jestem gotowy.

Gawlik wyprowadził chłopaka do kuchni.

- Pójdiesz piwnicą do ostatniej klatki. - Mówił do Maćka półgłosem. - Wyjdiesz i masz iść od razu na tył bloku. Stamtąd cię odbiorę. Czekać na mnie.

- A ty?

- Najpierw zajmę się Serbem. Potem wychodzę i odjeżdżam jakby nigdy nic. Jest szansa, że mnie snajper nie widział. Ja jestem Bogu ducha winny obywatel. To na ciebie polują.

- Dzięki, że mi przypomniałeś - powiedział chłopak z przekąsem.

- Nie jęcz, Maciek. Powiedziałem, że cię z tego wyciągnę i tak będzie. Po prostu rób,

co mówię i jak dobrze pójdzie, to najpóźniej za parę miesięcy będziesz się z tego śmiał.

- Szczerze wątpię, żeby kiedykolwiek mi było z tego powodu do śmiechu.

- Idź już. Zamknę mieszkanie. Nie bój się.

Chłopak nie czekał na windę. Nie zapalał światła. Zbiegł na dół po schodach. Gawlik wrócił do pokoju. Nachylił się nad mężczyzną.

- Posłuchaj, Radko. Wrócisz do swojego kumpla i przekażecie Witalijowi Jakuszynowi, żeby się pilnie skontaktował z Adamem Gawlikiem. Rozumiesz? - Radko kiwnął głową. - Pilnie.

Polak uderzył go kantem dłoni w odpowiednie miejsce na lewej części szyi, co powoduje natychmiastową i krótkotrwałą utratę przytomności. Porozcinał mu taśmę na rękach i nogach. Wyniósł go z mieszkania i posadził, opierając o ścianę. Sam zamknął drzwi na oba zamki. Przy odrobinie szczęścia Serb obudzi się, zanim zainteresuje się nim któryś z sąsiadów.

Zbiegł po ciemku na dół. Otworzył drzwi wyjściowe. Szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu. Omiótł wzrokiem krawędzie dachów przeciwległego budynku. Nawet gdyby snajper wrócił, nie miał szansy go dostrzec. Zbyt ciemno. Szedł nierówno, zwalniając, przyśpieszając i pochylając głowę. Z takiej odległości i w ruchu strzelec musiał celować w przestrzeń, w której ofiara dopiero się znajdzie. Manewry Gawlika bardzo to utrudniały, a nawet uniemożliwiały.

Pokonał przestrzeń dzielącą go od samochodu i wszedł do środka. Z ulgą stwierdził, że wsparcie Serba najprawdopodobniej postanowiło nie ryzykować powrotu. Spokojnie wyjechał na drogę i okrążył ogromny wieżowiec. Wjechał w maleńką uliczkę i zatrzymał samochód. Zobaczył Maćka kryjącego się w załomie budynku. Mignął mu światłami. Chłopak puścił się biegiem. Wpadł do auta i skulił się na miejscu pasażera. Adam bez słowa ruszył w stronę ulicy Bardzkiej. Zamierzał jak najszybciej dojechać do autostrady.

Kiedy mijali osiedle Cztery Pory Roku, wyciągnął komórkę i znalazł numer.

- To ja, słoneczko - powiedział do mikrofonu, gdy usłyszał głos żony. - Muszę z Maćkiem załatwić pewną bardzo ważną sprawę. Spóźnię się. Nie czekaj na mnie. Idź spać.

- Jaką sprawę? - spytała Basia.

- Muszę Maćka gdzieś zawieźć. Wszystko ci wytłumaczę, jak wrócę. Teraz nie bardzo mogę rozmawiać, bo jadę, a ciemno na drodze. Trzeba uważać.

- Coś się stało? - Kobieta nie dawała za wygraną.

- Nic się nie stało. Idź spać. Niedługo wrócę. Na razie. Pa.

Wyłączył się, nie czekając na dalsze pytania. Maciek wyciągnął swój telefon. Dopiero

teraz przypomniał sobie o jutrzejszym spotkaniu.

- Muszę do Magdy zadzwonić. Byliśmy umówieni na jutro.

- Musisz?

- Mieliśmy iść razem na ślub jej przyjaciółki. To dla niej bardzo ważne. Mnie tam nie będzie. Muszę jej to jakoś wytłumaczyć.

- To dzwoń, ale się streszczaj, bo jak cię i ją namierzą, to z Magdy nie będzie co zbierać. Pamiętaj o tym.

Maciek struchlał ze strachu. Tym razem bał się dużo bardziej, ale nie o siebie, o ukochaną osobę, dla której gotów był wszystko poświęcić. Sama myśl, że mógłby narazić ją na niebezpieczeństwo powodowała niemalże fizyczny ból.

- Co mam jej powiedzieć?

- Nakłam jej coś. Byle szybko.

Począł ze słuchawką przy uchu.

- Cześć, misiu - zaszczębiotała słodko. - Co słyhać?

- Magdusiu, posłuchaj mnie uważnie. Nie mogę długo rozmawiać. Muszę pilnie wyjechać i nie będzie mnie jutro. Nie wiem, kiedy wrócę, ale to może potrwać, może długo potrwać.

- O czym ty mówisz?

- Madzia, nie będzie mnie przez jakiś czas w Polsce.

- Ty żartujesz, prawda?

- Nie, nie żartuję. Jak wrócę to wtedy...

- ...wtedy wszystko mi wytłumaczysz? - dokończyła za niego zmienionym głosem. -

Maciek, o co chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć, ale musisz...

Gawlik wyrwał mu z dłoni telefon. Rozłączył rozmowę, otworzył okno i wyrzucił na zewnątrz.

- Co ty zrobiłeś?

- Uratowałem życie twojej dziewczynie - stwierdził krótko.

Wjechali na autostradę. Gawlik przyśpieszył do stu siedemdziesięciu. Maciek się odzywał. Nie był zły na wujka. Jednak ufał mu. Był pewny, że Adam wie co robi. Wciąż nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Jego spokojne, poukładane życie zmieniło się w jednej chwili w scenariusz filmu sensacyjnego z nim w roli głównej. Jak to możliwe? Przeklinał siebie za swoją kretyńską ciekawość. Że też coś go podkusiło, by grzebać w tym wirusie. Wujek go ostrzegwał. Wtedy może jeszcze nie było za późno, choć kto wie. Teraz wpakował

się po uszy. Sam zresztą nie do końca rozumiał w co. A może to tylko sen. Zaraz się obudzi i będzie po wszystkim. Spojrzał na skupioną twarz Gawlika. Pędzili na złamanie karku w stronę granicy niemieckiej. Niestety, wszystko działo się naprawdę.

Kiedy minęli Legnicę, chłopak spytał:

- Gdzie jedziemy?

- W twoje rejony, ale dużo bliżej.

- Tam będę bezpieczny?

- Nie.

- Czyli co? - Student się zaniepokoił.

- Tam będzie na ciebie czekał człowiek, który cię zabierze w bezpieczne miejsce.

Maciek o nic więcej nie pytał. Ostatnie wydarzenia go zwyczajnie przerosły. Zerknął na zegarek. Było po północy. Czuł, że nie będzie mu dane spokojnie zasnąć.

\*

Radko Janović wszedł do czekającego na niego czarnego Opla. Samochód ruszył w stronę granic miasta.

- Załatwione? - spytał Herman po angielsku.

Miał drażniący uszy niemiecki akcent. Patrzył na drogę przed samochodem.

- Nie załatwione - burknął Serb. - Pojawił się problem. Jakiś, kurwa, szkolony facet.

Nie miałem szans.

- Znaczy trzeba dokończyć robotę?

- Nie takie proste. Gościu wywiózł młodego. Słyszałem, jak gadali.

- Jak się wydostałeś?

- Puścił mnie.

Herman łypnął na Radka zaskoczony. Takie rzeczy się nie zdarzają w ich robocie.

- Jak to puścił?

- Normalnie. Kazał skontaktować się z jakimś człowiekiem. Podobno Max Fausten dla niego pracuje. Nazywa się Witalij Jakuszyn. Coś ci to mówi?

Niemiec milczał. Zacisnął zęby.

- Co mu powiedziałeś? - spytał wreszcie.

- Że nie znam gościa.

- Powiedział ci, co chce od tego Jakuszyna?

- Nie wiem. Może spotkać się. Kazał przekazać, żeby Jakuszyn skontaktował się z Adamem Gawlikiem. Ten Polak tak się chyba nazywa. Wszystko to nieźle się popierdoliło. Miała być, kurwa, łatwa robota, a mało mnie nie zarznął jak prosiaka.

- Z młodego coś ci się udało wyciągnąć?

Herman nie okazywał żadnych emocji. Prowadził, wbijając wzrok przed siebie. Dostał rozkaz, żeby ubezpieczać Serba, a w razie gdyby coś poszło nie tak, miał rozwiązać problem. Poszło nie tak.

- Gnojek zaklinał się, że nikomu nic nie pisnął. Tylko jakiemuś wujkowi, emerytowi. Coś mi się widzi, że to właśnie ten Gawlik. Zdaje się, że mówił do niego „wujek”, ale szlag wie. - Radko potarł obolałą szyję. - Gdzie jedziemy?

- Na wypadek kłopotów mamy się z kimś spotkać za miastem. Dostaniemy wsparcie i przejdziemy do planu B.

- Nie wiedziałem, że jest jakiś plan B.

- Jest - powiedział Niemiec beznamiętnym tonem. - Są też ludzie do sytuacji awaryjnych.

Wjechali w wąską drożynę prowadzącą przez niewielki zagajnik. Kiedy oddalili się od szosy na ponad trzysta metrów, Herman zatrzymał samochód. Serb zerknął na prawo i lewo. Ciemności były nieprzeniknione.

- To tutaj? - spytał kierowcy.

- Tutaj - odparł Niemiec. Wyłączył silnik i otworzył drzwi. - Wsiadamy.

Radko Janović odwrócił się i chwycił za klamkę. Nie widział, jak Herman wyciągnął pistolet i przyłożył mu do głowy. Pasażer zmarł. Trwało to tylko ułamek sekundy. Niemiec pociągnął za spust. Kula przeszła na wylot. Śmierć przyszła do Serba natychmiast. Zabójca położył pistolet na siedzeniu, wysiadł i wyciągnął z bagażnika kanister z benzyną. Oblał samochód od zewnątrz i wewnątrz. Zapalił papierosa i wrzucił zapalniczkę do środka. Płomienie buchnęły. Ciało Radka zajęło się ogniem. Herman odszedł na bezpieczną odległość. Wybuch prawie pełnego baku z benzyną przypieczerował los auta i martwego pasażera.

Mężczyzna ruszył w stronę szosy. Idąc, wyjął telefon. Uzyskał połączenie.

- Mów - odezwał się głos Maxa Faustena.

- Zwierzyna uciekła. Z pułapki wyrwał ją jakiś Gawlik. Nasz myśliwy się wycofał.

Słowa te oznaczały, że Radko Janović nie żyje.

- Ten Gawlik namówił naszego myśliwego, żeby się wycofał?

- Zgadza się.

- To cholernie niebezpieczny człowiek ten Gawlik. Nie dasz mu rady. Niedawno wyszkolił jednego kapitana marines, żeby się nam do dupy dobrał. Razem z CIA działa i już straciliśmy dwóch ludzi.



- Jakuzyn wie?

- Wie. Wracaj do Niemiec. Będziesz potrzebny.

- Ja bym spróbował tego Polaka.

Max Fausten zamilkł. Zastanawiał się. Herman to wysokiej klasy specjalista. Teoretycznie mogło mu się udać. Z drugiej strony szkoda byłoby go stracić. Ale gdyby mu się udało z Gawlikiem, miałoby ogromny problem z głowy.

- OK. Masz trzy dni. Ale potem wynoś się z Polski.

Snajper zakończył rozmowę. Wyciągnął kartę SIM i schował do kieszeni. Części rozmontowanego aparatu wytarł dokładnie chusteczką i rozrzucił w różne strony. Drugi samochód czekał na niego zaparkowany niecały kilometr dalej.

\*

Gawlik zjechał z autostrady, gdy zaczęły się gęste, lubuskie lasy. Maciek nie zadawał zbędnych pytań. Czekał cierpliwie, aż dojadą na miejsce. Ponad półgodzinna droga skończyła się przed drewnianym domem letniskowym usytuowanym na niewielkiej polanie. Na spotkanie wybiegł im owczarek kaukaski. Miał gęste, grube futro, przez co wydawał się znacznie większy niż inni przedstawiciele jego gatunku. Podbiegł do samochodu, ale nie ujadł psim zwyczajem, tylko warczał ostrzegawczo. Kiedy zobaczył wysiadającego Gawlika, zaszczekał radośnie i zaczął się łaścić. Gawlik poklepał go po łbie i połechtł za uszami.

Z domu wyszedł wysoki mężczyzna. Długie, kruczoczarne włosy, przedzielone po prawej stronie, opadały mu na oczy i niesforne zakrywały górną, lewą część twarzy. Przeczesał palcami bezwładną fryzurę. Ostre rysy twarzy i surowe, inteligentne spojrzenie wymuszało szacunek i ostrożność. Pies natychmiast pobiegł do swego pana i usiadł mu przy nodze. Adam bez słowa przywitał się z gospodarzem uściśnięciem dłoni uniesionej jak do siłowania się na rękę. Maciek zatrzymał się przy samochodzie. Czuł na sobie czujny wzrok zwierzęcia.

- On? - spytał Wiktor Bułat.

Adam odwrócił się w stronę chłopaka.

- Chodź, Maciek. Ares ci nic nie zrobi. Poznaj mojego przyjaciela.

Maciek pewnym krokiem przemierzył dzielącą ich odległość. Starał się nie patrzeć na Aresa. Psy wyczuwają strach i reagują nieprzyjaźnie.

- Dobry wieczór. Jestem Maciek Burdzik.

- Witaj, chłopcze. - Wiktor wyciągnął do niego dłoń w ten sam sposób jak wcześniej do Gawlika. - Słyszałem, że masz kłopoty.

Świdrował go wzrokiem, który natychmiast wyczuwał nieszczerłość.

- Ktoś chce mnie zabić. Adam powiedział, że pan pomoże.

- Tak powiedział? Skoro tak powiedział, to tak będzie. Chodźcie do środka. - Spojrzał na psa. - Ares, przyjaciel.

Ares podszedł do chłopaka, obwąchał go i przestał na niego zwracać jakkolwiek uwagę.

Wnętrze parterowego domu urządzone było prymitywnie, typowo po męsku. Żadnych elementów dekoracyjnych, sprawiających, że lokum staje się przynajmniej namiastką domu. Podłoga z desek, ściany z drewnianych bali i drewniane wykończenia nadawały temu miejscu odrobinę ciepła. Pod spadzistym dachem znajdowała się antresola, do której prowadziły strome schody bez poręczy. Na środku stał niewielki stół z czterema prostymi krzesłami. „Wystarczy dla czterech do brydża” przyszło studentowi na myśl. Pod ścianą składana kanapa, a w rogu włączony telewizor na prymitywnej szafce.

Aneks kuchenny za to zaopatrzony był doskonale. Od nowoczesnej lodówki począwszy, na kuchence mikrofalowej skończywszy.

- Mam pizzę mrożoną - powiedział gospodarz. - Chcecie?

- Dawaj. - Adam uświadomił sobie, że przecież nie jedli ładnych parę godzin. - Głodny jestem. Maciek też.

Chłopak spojrzał na wuja z wyrzutem. Sam za siebie potrafił mówić. Wuj nie zwrócił na młodzieńca najmniejszej uwagi. Wiktor wyjął z lodówki trzy nieduże mrożone krążki i pierwszy włożył do mikrofal. Wygrzebał jednorazowe talerze i położył przed gośćmi. W telewizji leciał jakiś horror. Standard. Facet z ogromnym nożem ścigał w ciemnościach młodą dziewczynę. Dźwięk odbiornika był wyłączony, więc nie dało się słyszeć jej rozpaczliwych krzyków. I całe szczęście.

Maciek poczuł głód. Zaraz potem mało apetycznie wyglądająca pizza pojawiła się na jego talerzu. Jej jakość nie była w tej chwili istotna. Żołądek domagał się swoich praw. W ciągu kolejnych kilku minut tym samym specjałem uraczony został Gawlik, aż wreszcie przyłączył się do nich sam gospodarz.

Student przeżuwał z wysiłkiem twarde ciasto. Smakowało sztucznie, ale dało się zjeść. Wiktor nalał im do plastikowych kubeczków gazowanej wody mineralnej. Jedli w milczeniu.

- Co się dzieje?

Maciek w pierwszym momencie nie załapał, o co gospodarz pyta. Adam nie czekał z odpowiedzią.

- Chłopak podpadł pewnym ludziom. Rozgryzł ich informatyczny system działania i stał się śmiertelnym zagrożeniem dla ich planów, a szlag tak naprawdę wie, co planują i na

jaką skalę. Wychodzi na to, że na światową.

- Mafia?

- Mafia nie. Sam bym sobie poradził. Wystarczyłoby parę łbów odstrzelić i po sprawie.

Maciek nie wierzył własnym uszom. Wuj mówił o zabijaniu jak o zbieraniu grzybów. Zupełnie naturalnie, bez cienia emocji. Chłopak wiedział, że Adam był żołnierzem, ale sposób, w jaki się wypowiadał o ewentualnych problemach z mafią, robił na nim piorunujące wrażenie.

- Kto?

- Jest taki jeden. Były handlarz bronią i jego dowódca z Afganistanu. - Gawlik napił się wody. - Handlarz to Witalij Jakuszyn, a drugi to generał Władimir Iwanow.

- Kurwa. To młody już nie miał z kim zadrzeć? - Wiktor zrobił kwaśną minę i położył rękę na oparciu krzesła. - Ale zaraz, zaraz. Ten Jakuszyn to podobno w Rosji siedzi. W jakichś ciężkich kazamatach go posadzili. Nie?

- W „Czarnym delfinie” - potwierdził Gawlik.

- W „Czarnym delfinie”? Pięknie. To o co chodzi? Przecież on za cholere stamtąd żywy nie wyjdzie.

- Już wyszedł. Wyciągnął go Iwanow. Ruszył swoje dojsca i Witalij legalnie wyszedł na wolność.

- Ja pierdołę. Ale czekaj, to nie jest ten Iwanow, co go czasem w telewizji pokazują? Doradca prezydenta, czy jakaś inna cholera?

- Ten sam. - Adam kończył jedzenie.

- I co?

- Wysłali dwóch zabójców. Jednego dostałem, drugi się zakamuflował.

- Co zrobiłeś z ciałem?

- Nic nie musiałem robić. Puściłem gościa wolno.

- Co? - Wiktor znał Gawlika. Tym większe było jego zdumienie. - Puściłeś zabójcę?

- Jakuszyn to mój były podwładny z dawnych czasów. Próbował mnie nawet wcześniej zwerbować. Odmówiłem. Powiedziałem jego człowiekowi, żeby załatwił mi z nim kontakt. Jedyna szansa. Minimalna, ale zawsze. A nuż udałoby mi się go przekonać, że Maciek będzie siedział cicho.

Bułat przyglądał się Adamowi przez dłuższą chwilę.

- Naprawdę uważasz, że udałoby ci się go namówić, żeby nie likwidował ewidentnego zagrożenia? Musiałbyś mieć fenomenalny dar przekonywania. Sam chyba w to nie wierzysz.

- Muszę spróbować. Inaczej...
- Inaczej trzeba będzie przypomnieć sobie stare dobre czasy.
- Szlag by to trafił. A już myślałem, że mam wreszcie spokój.

Gospodarz popatrzył na Maćka z podziwem i współczuciem jednocześnie.

- Zdajesz sobie sprawę, w co wdepnąłeś?
- Zabić mnie chcieli, to chyba sobie zdaję.

Maciek odpowiedział stanowczo, jakby rozmówca pytał o rzeczy oczywiste. Wiktor badał go spojrzeniem. Miał chłopak charakter. To dobrze. Jest szansa, że nie pęknie w razie kłopotów.

- Dopiero będą chcieli. Niestety - zauważył gospodarz.

Gawlik skończył jedzenie i wytarł usta papierowym ręcznikiem, który gospodarz postawił na stole.

- Nie strasz chłopaka - wtrącił się wuj. - On już i tak dużo przeżył.
- Coś umie?

Maciek z nieklamana satysfakcją oczekiwał pochlebnych słów ze strony wuja. Ponad roczne, intensywne szkolenie zrobiło z niego wyjątkowo sprawnego fizycznie człowieka. Jego umiejętności w zakresie walki wręcz i z użyciem pałki Kali, kija Bo, czy temu podobnego sprzętu też mogły imponować.

- Nie za wiele - powiedział Gawlik ku kompletnemu zaskoczeniu studenta. - Trzeba by nad nim solidnie popracować. Trochę go uczyłem, ale to wszystko mało. Zależałoby mi, żeby zrobić z niego ludzi. Może mi być potrzebny. Podjąłbyś się?

Wiktor Bułat ponownie przeniósł wzrok na młodego człowieka. Tym razem przyjrzał mu się dłużej.

- Zrobi się. Zresztą będzie okazja.

- To znaczy?

- Jest robota w Kongo. Ochrona kopalni. Na dniach chłopaki mają mi dać znać, kiedy wylatujemy. Wezmę młodego ze sobą. Tam go Jakuszyn nie znajdzie.

- Tylko pilnuj chłopaka. Chciałbym go z powrotem w jednym kawałku - zastrzegł się Adam.

Maciek czuł się wybitnie nieswojo. Rozmawiali o nim jak o zwierzaku, któremu trzeba zapewnić opiekę. Nikt go nie pytał o zdanie. Jednak miał na tyle oleju w głowie, żeby nie wnosić jakichkolwiek zastrzeżeń.

- Spoko. Będę robił za anioła stróża i przyzwoitkę jednocześnie.
- Przyzwoitkę? - obruszył się student.

- Dopilnuję, żeby żadna afrykańska piękność nie miała z ciebie pożytku. Mógłbyś na tym bardzo źle wyjść.

- Maciek, posłuchaj - zwrócił się do niego wuj. - Zostawiam cię z Wiktorem. On się tobą zajmie. Masz go słuchać tak jak mnie. To były żołnierz z jednostki „Błyskawica”. Chyba słyszałeś. - Maciek popatrzył na gospodarza zafascynowany. Czytał i słyszał o tej owianej tajemnicą jednostce. Nie myślał, że przyjdzie mu spotkać jednego z nich osobiście. - Z nim będziesz bezpieczny. Ja się wezmę za odkręcanie tego, coś namieszał. O coś chcesz spytać?

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem, ale mam jechać do Kongo? Tego w Afryce?

- Dokładnie.

- Przecież ja nawet paszportu nie mam.

- I całe szczęście - wtrącił się Wiktor. - Ze swoim paszportem dojechałbyś prosto na cmentarz. Nie przejmuj się. Dokumenty to już nie twój problem.

- Skąd pan zna wuja?

Wiktor uśmiechnął się półgębkiem.

- Twój wuj to legenda. Nie wiedziałeś? Niech ci kiedyś opowie o latach dziewięćdziesiątych. No i nie mów do mnie per „pan”. Jestem Wiktor.

- Tak na gorąco, to myślałem nawet, żeby Maćka do CIA dać. Ma informacje, za które daliby się pochłastać.

- Nie dożyłby następnych urodzin - skwitował wypowiedź Gawlika Bułat. - Wycisnęliby z niego wszystko, co wie i... - Przeciągnął palcami po gardle.

- Właśnie. - Adam westchnął. - Co do kosztów, to wiadomo. Jak zwykle. OK?

- Jak zwykle.

Mężczyźni zrozumieli się bez zbędnych wyjaśnień. Adam wstał od stołu.

- Muszę wracać. Pilnuj się, Maciek. I żebyś mi wstydu nie przyniósł.

- A kiedyś przyniosłem?

Bułat i Gawlik wymienili spojrzenia. Można w nich było wyczytać: „Popatrz, jaka ta młodzież pewna siebie. My tacy nie byliśmy”.

- O rodziców się nie martw. Załatwię. Ja albo Basia.

- A Magda? - spytał chłopak nienaturalnie cichym głosem.

- Magdę masz z głowy na najbliższe parę tygodni na pewno. Może dłużej. Zobaczmy. Niech cię ręka boska broni w jakikolwiek sposób próbować się z nią kontaktować. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Potrzebuję uszczuplić twój arsenał. - Gawlik zwrócił się do Bułatowa.

- Konkretnie?

- Daj mi Glocka 9 milimetrów - miał na myśli krótki pistolet powszechnie używany przez jednostki specjalne - i jakiś karabin snajperski, cokolwiek tam znajdziesz.

- A pozwolenie na broń masz? - Wiktor pozwolił sobie na żart, wstając od stołu.

- Pewnie. Sam mi je zaraz wydasz.

Gospodarz wydłubał scyzorykiem fragment podłogi, pod którym ukryty był metalowy uchwyt. Szybkie pociągnięcie otworzyło klapę do piwnicy. Wiktor zniknął w otworze. Po chwili pojawił się z dwiema sztukami broni i amunicją. Zamknął ostrożnie klapę i starannie umieścił kawałek podłogi na właściwym miejscu. Położył broń na stole. Maciek bardzo się starał, żeby nie wybałuszać oczu ze zdumienia.

- Pistolet jak chciałeś. Glock 9 milimetrów. - Wiktor usiadł. - Karabin stary dobry SWD Dragunow. Najnowsza wersja. Nasi w Iraku ich używają.

- Słyszałem, że fińskie SAKO TRG-22.

- To też. Ale ciężkie cholery. Chociaż celność niesamowita. Masz jak zabrać?

- Daj mi jakąś torbę na te gówieńka. - Wzrokiem wskazał pudełka z amunicją i pistolet.

Wiktor wyciągnął z szafki pod telewizorem solidnych rozmiarów reklamówkę i podał Adamowi.

- Powinna wytrzymać.

- Dzięki, Wiktor. Będziemy w kontakcie.

- Nie ma sprawy. Jasne. Trzymaj się, człowieku.

Uścisnęli sobie ręce i Gawlik wyszedł z domu. Ares odprowadził go do samego samochodu. Stali przy drzwiach i patrzyli, jak odjeżdża w mrok.

- Na górze jest łóżko i śpiwór. - Wiktor wskazał dłonią antresolę. - Idź się prześpij. Dobrze ci to zrobi. Ja tu trochę ogarnę.

Maciek wspiał się po stromych schodach. Zmęczenie dało o sobie znać. Sen przyszedł bardzo szybko.

Jadąc prawie pustą autostradą, Adam starał się poukładać myśli. Trzeba działać metodycznie. Jedna rzecz przynajmniej z głowy: Maciek jest na razie bezpieczny. Jak Wiktor zabierze go do Afryki, to w ogóle problem z nim się skończy. Mało realne, żeby ludzie Jakuszyna sięgali aż tak daleko. Zastanawiał się, co robić najpierw. Dla świętego spokoju trzeba będzie rodzinę na wakacje wysłać. Uznał, że raczej nic im nie grozi, ale lepiej dmuchać na zimne. Nie ma rady, trzeba też będzie pogadać z piękną panią agentką, Alice Perkins. Pewnie zaczęli już działać. Prędzej czy później Jakuszyn się dowie, że Gawlik przeszkolił

kapitana marines, który ma sukcesywnie rozbijać jego organizację. Lepiej później. Rosjanin go niedługo znajdzie. Tego był pewny. Serb musiał przekazać wiadomość. Ciekawe, z jakim skutkiem.

Adam nie chciał pogodzić się z faktem, że Wiktor ma rację. Witalij nie odpuści Maćkowi. Za duża sprawa. Umawiali się, że Gawlik nie będzie się mieszał. Cholerny świat. Znowu awantura. Basię z dziećmi trzeba będzie zadekować w jakiejś zapadłej dziurze. Od razu zdecydował gdzie. Ściana wschodnia. Pełna mikrych wioseczek z domami bez telefonów, bez podstawowych zdobyczy cywilizacji, a nawet czasem pozbawionymi elektryczności. Dzicz i głusza. Michał i Franek będą zachwyceni. Kasia raczej nie, ale najpewniej znajdzie się w pobliżu jakiś adorator, może nawet nie jeden, a wtedy humor jej się zdecydowanie poprawi.

Po godzinie i dwudziestu minutach wjechał do podziemnego garażu pod swoim blokiem. Wszedł na piętro, starając się robić jak najmniej hałasu. Było prawie wpół do czwartej nad ranem. Wchodząc do mieszkania, nie miał wątpliwości, co zastanie. Spały tylko dzieci. Basia się nie położyła. Czytała w dużym pokoju książkę przy nocnej lampce. Popatrzyła znacząco na zegarek, gdy stanął w drzwiach.

W pierwszej chwili chciała go zbesztać, ale gdy zobaczyła jego grobową minę, dłoń trzymająca książkę opadła bezwładnie na siedzisko sofy.

- Co się stało? - spytała z obawą w głosie. - Coś z Maćkiem?

Usiadł koło niej i wziął ją za rękę.

- Maciek ma straszne kłopoty.

- Jakie kłopoty? Maciek? Przecież to bardzo dobrze ułożony chłopak. Coś zrobił? Jakies przestępstwo? Przecież to niemożliwe.

- Jak by ci to wytłumaczyć...

- Normalnie. Mów, o co chodzi. Gdzie on teraz jest? Aresztowany, czy co? No, mówże.

- Maciek na dniach leci do Afryki. Może już poleciał. Nie wiem.

- Rany boskie! - wykrzyknęła kobieta. - Co ty mówisz? Do jakiej Afryki?

- Spokojnie, Basiu. Wszystko ci zaraz wytłumaczę. Leci najprawdopodobniej do Kongo.

- Jezus Maria. W Kongo go jeszcze nie było. A po co on tam leci?

- Maciek to informatyk, prawda?

Był cierpliwy. Bardzo cierpliwy. Nie mógł sobie pozwolić na uleganie emocjom.

- Prawda.

- No więc okazał się fenomenalnym informatykiem. Jednym z najlepszych na świecie.

- To chyba dobrze...

- Niestety bardzo niedobrze. Odkrył międzynarodową aferę. Naraził się potężnej organizacji, która chyba jest albo niedługo będzie w stanie obalać rządy państw. Teraz na niego polują.

- Matko Boska! To na policję trzeba. Niech łapią bandytów

- Policja jest tu bez szans. Ale sprawą już się zajmuje CIA. Ci sami ludzie, co wtedy ze mną rozmawiali pod przedszkolem. Chcieli, żebym im pomógł. Wtedy odmówiłem. Teraz muszę się zgodzić. Inaczej Maciek zginie.

- Boże - złapała się za głowę. - A kto z Maćkiem jedzie do tego Kongo?

- Mój dawny towarzysz broni. Polak. Zaopiekuje się nim. Z nim nic Maćkowi nie ma prawa się stać.

- A rodzice? Coś im Maciek mówił?

- Pod żadnym pozorem nie wolno im powiedzieć prawdy. Trzeba zmyślić coś wiarygodnego. Mam nadzieję, że to załatwisz. Ja nie umiem przekonywająco kłamać.

- Dziękuję - burknęła niezadowolona.

- Przepraszam, kochanie. Wiesz, co miałem na myśli. Tu potrzebna jest dyplomacja, a ze mnie dyplomata żaden.

- Dobrze. Zadzwoń jutro do nich.

- Jeszcze jedno. Ja postaram się dopilnować, żeby wszystko się poukładało. Będę musiał wyjechać za granicę. Wy też wyjedźcie. Na wakacje. Najlepiej w Lubelskie, do Matejów. Świeże powietrze, czysta woda, zdrowe jedzenie. Wypoczniecie.

- Coś nam grozi?

- Nic wam nie grozi. Po prostu będę spokojniejszy, jak tam pojedziecie.

- Dlaczego?

- Basiu, proszę cię. Zaufaj mi. Tak będzie lepiej. Nic wam nie grozi. Jedźcie po prostu na wakacje. Dzieciakom się przecież tam podoba.

- Kasia mówi, że to „siara”.

- Na pewno ją przekonasz. Wierzę w ciebie, żono ukochana.

Pocałował ją w czoło. W drzwiach stanął Franek.

- Chcę siku - oświadczył. - Zapalisz mi światło?

Adam czuł, że rozszarpałby każdego, kto kiedykolwiek ośmieliłby się podnieść rękę na tego malutkiego chłopczyka.



## ROZDZIAŁ 32

Pociąg relacji Wrocław - Przemyśl był gotowy do odjazdu. Dawno minęły czasy, kiedy to turyści musieli „szturmować” skład, by złapać miejsca siedzące w przedziale dla siebie i najbliższych. Wagony wypełniły się turystami, ale każdy miał miejsce siedzące, szczególnie ci, którzy, jak rodzina Gawlika, jechali pierwszą klasą, gdzie obowiązywały wcześniejsze rezerwacje.

- W Przemyślu Józek was odbierze. - Na dworcu panował harmider. Tabuny nawołujących się ludzi z walizkami i plecakami. Wjeżdżające i wyjeżdżające pociągi z sąsiednich peronów. Ruch wakacyjny nabierał tempa. Adam musiał podnosić głos, mówiąc do żony, Franka i Michała wyglądających przez okno wagonu. Kasia ze skwaszoną miną patrzyła w głąb przedziału. Nieszczęśliwie uśmiechały jej się wakacje spędzane w zabitej dechami wsi. - Powiedział, że będzie czekał na peronie. W razie czego macie do niego telefon.

- Uważaj na siebie - powiedziała Basia. - I dzwoń, bo będę się martwiła.

- Nic mi nie będzie.

Pociąg ruszył. Adam puścił żonie całusa i pomachał uniesioną dłonią.

- Pa, pa, tata! - krzyknął Franek.

- Pa, pa, synku!

Michał i Katarzyna machali wyciągniętymi za okno rękami. Nastolatka jakoś mniej energicznie. Próbowła przed wyjazdem urobić rodziców, żeby pozwolili jej zostać z ojcem we Wrocławiu. Argumentowała, że już jest przecież dorosła. Nie rozumiała, dlaczego musi jechać na urlop z „gówniarzami”, jak zwykła była ostatnio określać młodszych braci. Nie mogli jej powiedzieć prawdy. Piętnaście lat to jeszcze nie ten wiek, żeby wtajemniczać ją w tak poważne sprawy.

Po drodze do domu zastanawiał się, dlaczego Jakuszyn się nie kontaktował. Minęła już doba. Serb do tego czasu musiał przekazać Rosjaninowi wiadomość. Namierzenie numeru telefonu Gawlika z pewnością nie było tu żadnym problemem. Czyżby Witalij uznał, że Gawlik jednak „stanął po drugiej stronie barykady” i zdecydował podjąć „adekwatne” kroki? Niestety takiej ewentualności nie można było wykluczyć. Wtedy należałoby się spodziewać wizyty nasłanego zabójcy. Wiedzą, gdzie mieszka. Na szczęście usytuowanie osiedla bardzo

utrudnia, a wręcz uniemożliwia oddanie strzału z dużej odległości. Wszystko się wyjaśni w ciągu najbliższych maksymalnie dwóch dni.

Kiedy był w domu, zawsze zasłaniał żaluzje w oknach. W ten sposób był nieosiągalny dla snajpera. Nigdy nie wychodził o stałych porach. Za każdym razem starał się przebywać na otwartej przestrzeni jak najkrócej. Przed wyjazdem sprawdzał dokładnie samochód, szukając materiału wybuchowego. Nic nie uszłoby jego uwadze. Ewentualny zabójca musiał pofatygować się osobiście, by dopaść cel. Mijała kolejna doba.

\*

Kilka minut po trzeciej nad ranem Herman ze sprawnością człowieka-pająka wspiął się na balkon drugiego piętra. Okno było zamknięte. Na pogrążonym we śnie osiedlu nikt nie dostrzegł ubranej na czarno postaci kryjącej się za murem balkonu. Bezszelestnie wywiercił otwór w futrynie i wstawił w niego końcówkę światłowodu. Na niewielkim ekranie miał obraz pomieszczenia w podczerwieni. Dobrze trafił. Gospodarz w spał w którymś z pokoi obok.

W górnym rogu ściany zauważył czujnik ruchu. Mało prawdopodobne, żeby Gawlik uzbroił na noc alarm, ale nie należało ponosić zbędnego ryzyka. Nakierował promień lasera na urządzenie i je zneutralizował. Nie było sygnału dźwiękowego, więc zainstalowany system musiał być dość prymitywny, montowany w domach „taśmowo”. Pozostało dostać się do środka. To już jednak nie przedstawiało większego problemu. Wystarczyło wyciąć przy użyciu specjalistycznych narzędzi fragmenty szyby w dolnej części drzwi balkonowych, na tyle duże, żeby się przez nie mógł prześliznąć. Z krótkim pistoletem maszynowym wyposażonym w tłumik wszedł do przedpokoju. Noktowizor zapewniał mu doskonałą widoczność w ciemnościach. Od razu zwrócił jego uwagę fakt, że wszystkie pomieszczenia były zamknięte. Pojawiła się trudność. Nie wiadomo, za którymi drzwiami znajdował się cel. Szybki rzut oka i wykluczył przeszklone drzwi do kuchni. Załom ściany obok sugerował toaletę albo garderobę. Pozostały jeszcze trzy. Za każdymi z nich Gawlik mógł założyć jakąś pułapkę. Dziurka od klucza była na tyle duża, że można było tam wcisnąć cieniutki kabel światłowodu. Herman ściągnął noktowizor i na maleńkim ekranie mieszczącym się w dłoni spenetrował wnętrze pokoju. Wyglądało na gabinet. Ściana po prawej przykryta była masywnymi półkami na książki. Po przeciwnej stronie stało biurko z monitorem komputera stacjonarnego. Mniej więcej na środku stało krzesło na kółkach z wysokim oparciem. W rogu ustawiono fotel. Nic podejrzanego nie było.

Ostrożnie przesunął się do kolejnych drzwi. Włożył światłowód w szczelinę. Gdzieś na zewnątrz zaczął ujadać pies. Niemiec zastygł w bezruchu. Szczekanie stało się głośniejsze,

jakby zwierz wpadł na podwórko. Potem przeciągły gwizd i pies ucichł. Najwidoczniej właściciel gustował w dość nietypowych porach spacerów z czworonogiem. Spojrzał na obraz kolejnego pokoju i w tym momencie usłyszał za sobą szmer. Instynkt zachowawczy nakazał mu się uchylić przed spodziewanym ciosem, odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni i nacisnąć spust pistoletu. Dochodziły go głuchoe odgłosy pocisków wbijających się w ściany. Przerwał ogień i w tej chwili wyrosła przed nim postać, która fachową dźwignią wyrwała mu broń z ręki. Zanim Niemiec zdążył cokolwiek zrobić, poczuł miażdżące uderzenie w tchawicę. Wiedział już, co się stało. Przeciwnik miał nad nim przewagę od początku. Wzrok miał przyzwyczajony do ciemności, dzięki czemu cios mógł zostać zadany precyzyjnie i celnie. Herman osunął się na podłogę. Nie mógł oddychać. Zmiażdżona tchawica wkrótce zadusiła w nim życie.

Gawlik zapalił przyciemnione światło w przedpokoju. Przyjrzał się dokładnie martwemu mężczyźnie. Nie znał go. Rysy twarzy sugerowały, że jest nordykiem. Skandynaw, Niemiec, a może obywatel któregoś z krajów Benelksu. Tego pewnie już się nie dowie. Przekonał się jednak co do sprawy najważniejszej. Wyglądało na to, że Jakuszyn postanowił się go pozbyć. Z jakichś powodów informacja wysłana za pośrednictwem Radka Janowicia nie odniosła zamierzonego skutku.

Zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. Trzeba się spieszyć. Za niedługo niepowołane oczy mogą zauważyć go wynoszącego ciało z mieszkania i pakującego je do samochodu. Zarzucił zabójcę na ramię i wyszedł z nim do garażu, nie zapalając na korytarzu światła. Przed czwartą nad ranem nie było żywego ducha. Odpalił silnik i wyjechał na zewnątrz.

Drogę w stronę Strzelina pokonywał, jadąc spokojnie i powoli. Stosował się do wszystkich ograniczeń prędkości na trasie. Nawet do tych najgłupszych. Nie mogłoby mu się przytrafić nic gorszego niż zatrzymanie przez patrol policji za piractwo drogowe.

W czasie jazdy układał w głowie plan działania. Najgorszy scenariusz zaczął się sprawdzać. Nie będzie spotkania z Rosjaninem. Nie będzie negocjacji. Rzecz podstawowa to fakt, że ewidentnie Jakuszyn wysłał człowieka, by go wyeliminował. Tylko dlaczego wysłał jednego? Znał Gawlika. Musiał wiedzieć, że nawet fenomenalnie wyszkolony żołnierz nie będzie miał z nim łatwego zadania. Pewność siebie i zadufanie we własne siły i tym razem okazały się zgubne. Trzeba teraz szukać sojuszników, ruszyć stare znajomości i przede wszystkim przystać na propozycję współpracy z Amerykanami. Doszkolił im kapitana marines. Co prawda był to czysty zbieg okoliczności, a nie jego inicjatywa, ale dzięki temu powinien mieć w rozmowach z nimi mocniejszą pozycję. Może stawiać wymagania i jest

szansa, że zostaną one przyjęte.

Zatrzymał samochód kilkadziesiąt metrów od skalnego urwiska, które kiedyś było kamieniołomem. Bliżej nie dało się podjechać. Uwinął się sprawnie i szybko. Ciało Niemca oraz jego nowoczesna broń zostaną pewnie niedługo znalezione w zalanej wodą skalnym wąłomie niedaleko Wrocławia w pobliżu miejscowości Biały Kościół.

Dwie i pół godziny później po powrocie do domu odnalazł w swoich notatkach numer telefonu do ambasady amerykańskiej, pod którym zawsze ktoś był, niezależnie od pory dnia. Zadzwoił z komórki. Po drugiej stronie linii damski głos zabrzmiał już po pierwszym sygnale.

- Proszę się przedstawić - powiedziała kobieta po angielsku, zamiast zwyczajowego „dzień dobry, w czym mogę pomóc”.

Miała miły głos i brzmiała całkiem przyjaźnie.

- Nazywam się Adam Gawlik i pilnie muszę rozmawiać z agentką Alice Perkins.

- Z kim?

- Z Alice Perkins z CIA.

- Niestety, proszę pana, dodzwonił się pan do ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki. U nas nie działa agentura CIA. Przykro mi. W czymś jeszcze mogę pomóc?

- Wiem, gdzie się dodzwoniłem. - W tonie jego głosu można było usłyszeć nutkę irytacji. - Posłuchaj mnie, panienko. Jak już u was zadziała agentura CIA, i lepiej żeby tak się stało w ciągu najbliższych paru godzin, to przekaz agentce Perkins, że dzwonił Gawlik w sprawie Witalija Jakuszyna. Niech ona do mnie oddzwoni i to natychmiast. Uratujesz w ten sposób swoją ciepłą posadkę. Wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Tak, panie Gawlik - o dziwo, nie „zamerykanizowała” jego nazwiska - ale nie wiem...

- Więc się dowiedz, złotko. I to szybko się dowiedz. Im szybciej, tym lepiej dla ciebie. Czekam na kontakt.

Rozłączył się. Wiele by można Amerykanom zarzucić, ale nie brak pragmatyzmu. Kimkolwiek osóbką w obsłudze ambasady była, mógł być spokojny. Nie zbagatelizuje rozmowy. Amerykanie to nie europejski „beton”, często działający bez odrobiny zdrowego rozsądku, lub niedziałający w ogóle, gdy sytuacja wymaga działań natychmiastowych. Amerykanie to praktyczny ludek. Znajdą agentkę prędzej czy później. Lepiej prędzej.

*Washington D.C., USA*

Lampka nocna w mieszkaniu Alice Perkins rzucała przyciemnione kloszem światło na wielkie dwuosobowe łóżko. Kathy Bolton leżała na wznak naga na pościeli. Przeciągnęła się. Odwróciła, podniosła na kolana i przeciągnęła się jeszcze raz, jak kotka. Pysznic w łazience zamilkł. Oznaczało to, że Alice zakończyła mycie i za chwilę do niej tu przyjdzie, owinięta w ręcznik. Kathy uwielbiała ten moment, kiedy mogła z niej ręcznik ściągnąć, co ostatnio stało się rytuałem rozpoczynającym grę wstępną. Nie mogła się już doczekać. Była podniecona na samą myśl o czekających je obie erotycznych doznaniach. Potarła udo o udo, rozłożyła nogi i włożyła między nie palce. Była gotowa.

Alice wyszła z łazienki jak zwykle owinięta w biały ręcznik. Uklękła na łóżku. Zaczęła namiętnie gładzić uniesione kolana, rozsunęła je, by przesunąć dłonie do góry na wewnętrzne strony ud. Kathy uniosła się i rozplątała związany na piersiach ręcznik. Upadł na łóżko, ukazując ciało Alice w pełnej krasie. Położyła się ponownie na plecy, oddając inicjatywę agentce Perkins, która zbliżyła usta do jej nóg i delikatnie muskając językiem skórę, przesuwiała się w górę. Kathy zamknęła oczy, otworzyła usta i wbiła palce w pościel. Alice doszła do pachwin i... w tym momencie zabrzmiał natrętny dźwięk komórki. Ustawiony sygnał oznaczał pilny telefon z firmy. Wyprostowała się. Kathy otworzyła oczy i popatrzyła na agentkę błagalnie. Pokręciła głową, prosząc ją w ten sposób, by nie odbierała.

- Muszę - szepnęła Alice i zeszła z łóżka.

Kathy przekręciła się na bok. Podłożyła dłonie pod głowę, przyciągnęła kolana pod brzuch i patrzyła na przyjaciółkę, w duchu zaklinając dzwoniącego, żeby nie kazał jej natychmiast jechać do firmy, jak to już się kilkakrotnie wcześniej zdarzyło. Agentka przyłożyła telefon do ucha.

- Perkins, słucham.

Męski głos był oschły, prawie obcesowy.

- Skontaktował się z nami ten Polak, Adam Gawlik, w sprawie Witalija Jakuszyna. Prosił, byś do niego natychmiast zadzwoniła. Bierz tyłek w troki i zasuway do firmy. Czekamy.

Rozmówca wyłączył się. Alice opadła na fotel. Posłała Kathy przepaszające spojrzenie.

- Nie mów mi, że znowu...

Kathy była strasznie zawiedziona i nawet nie starała się tego ukrywać.

- Przepraszam, kochanie. Wrócę. Obiecuję, że jak tylko to załatwię, zaraz do ciebie wrócę.

- Tylko kiedy? Nie możesz zadzwonić stąd?

- Wiesz, że nie mogę. Takie procedury. - Podeszła do łóżka i usiadła na krawędzi. Położyła jej dłoń na policzku. - Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejszą osobą w życiu. Wiesz, ile dla mnie znaczysz. Wiesz, co do ciebie czuję.

- Wiem. - Kathy wymusiła uśmiech. Podniosła głowę i pocałowała dłoń partnerki. - Idź i wracaj prędko.

- Kochana jesteś.

Alice wstała i zaczęła ubierać.

*Wrocław, Polska*

Gawlik siedział w kuchni z nogami na stole. Popijał kawę. Co jakiś czas zerkał na wyświetlacz telefonu. Czekał. Dochodziła siódma trzydzieści. Nie miał wątpliwości. W ciągu najbliższych minut, może za godzinę, ktoś zadzwoni. Najprawdopodobniej agentka Perkins osobiście.

Kolejny łyk kawy. Przez zasłonięte żaluzje przebijały się promienie słoneczne. Wciąż rozważał, ile jej powiedzieć, co przemilczeć. Na pewno nie należy nic mówić o Maćku Burdziku. Przynajmniej teraz. Jest możliwość, że agencja dowiedziała się o poszukiwaniach człowieka, który złamał system i metody pracy hakerów Jakuszyna. Wtedy sami będą stawać na głowie, żeby Maćka przejąć. Może tak jest, może nie. Wszystko zależy od skuteczności działania siatki w Rosji i samej Alice. Kobieta młoda, ale niezwykle ambitna i inteligentna. Dobrze by było ją jakoś wy badać.

No i doczekał się. Komórkę ożywił wibracyjny sygnał.

- Gawlik.

- Alice. Miałam pilnie zadzwonić.

- Wchodzę do gry. Wiem, kto w Rosji stoi za Jakuszynem. Wiem, w jaki sposób manipulują komputerami w sieci. Wiem, że Jakuszyn włamał się do waszego systemu obrony i trochę narozrabiał.

- Jak zdobyłeś te informacje?

Adam był pewny, że szczególnie ostatnia wiadomość zrobiła na agentce piorunujące wrażenie. Nikt o tym nie wiedział. Łamała sobie w tej chwili głowę, jakim cudem dowiedział się o tym wydarzeniu objętym przecież ścisłą tajemnicą.

- Wczytałem w Biblii. - Pozwolił sobie na sarkazm. - Trzeba by się spotkać i pogadać. Opowiesz mi, co planujecie i co macie, a ja wam pomogę wyeliminować Jakuszyna.

- Kiedy?

- Najlepiej wczoraj.

W słuchawce zapadła cisza. Agentka Alice Perkins najwidoczniej z kimś się konsultowała. Ich rozmowa z pewnością toczyła się przy świadkach, którzy słyszeli każde wypowiedane słowo.

- Natychmiast wylatuję do Warszawy. Możemy umówić się dziś wieczorem, powiedzmy o dziewiętnastej waszego czasu w ambasadzie?

- Pasuje. Będę o dziewiętnastej. Jak wejść?

- Powołaj się na mnie.

- OK. Do zobaczenia, Alice.

- Do zobaczenia.

Adam spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Do Warszawy jedzie się maksymalnie pięć godzin. Miał jeszcze sporo czasu. Może by jakieś śniadanie? Zdjął nogi ze stołu i podszedł do lodówki. Była jak zwykle doskonale zaopatrzona. Z zamrażarki wyciągnął chleb na prawdziwym zakwasie, który Basia sprowadzała nie wiadomo skąd, i wrzucił do mikrofal. Zamrożony chleb bardzo długo utrzymywał świeżość.

### *Paryż, Francja*

Kapitan Kirk Porter wyszedł na płaski dach kamienicy. Nie spodziewał się problemów, ale rozejrzał się uważnie, zanim zdecydował się zająć stanowisko strzeleckie. Jednak niespodziewane stało się faktem. W odległej o kilkanaście metrów części dachu zauważył w ostatniej chwili dwóch ludzi w roboczym ubraniu, najwidoczniej dekarzy dokonujących jakiś napraw poszycia. Pracowali na kłęczkach, tyłem do niego. Pomyślał chwilę i ruszył w ich kierunku. Szedł niemalże bezszelestnie, układając stopy w sposób praktykowany przez amerykańskich Indian - najpierw zewnętrzne kanty, potem cała podeszwa. Zajęci robotą nie usłyszeli, jak się zbliżył. Kapitan stanął za nimi i wyciągnął bambusową rurkę. Nie potrzebował zbędnych ofiar śmiertelnych. Nadszedł czas wykorzystać to, czego nauczył go Gawlik. Pierwszy strzał sprawił, że dekarz klepnął się w kark, uznając, że uciął go jakiś złośliwy owad. Sekundę potem padł na twarz. Jego zaskoczony współpracownik nachylił się nad nim natychmiast. W tym samym momencie poczuł ukłucie na szyi. Nie dane mu było zobaczyć ubranego na czarno intruza. Podobnie jak kolega zapadł w długi, niekoniecznie zdrowy sen. Porter miał ich z głowy na następne parę godzin. Był to czas w zupełności wystarczający do zrealizowania zadania.

Położył się na całkowicie płaskiej powierzchni dachu starej kamienicy i przykrył się

czarnym brezentem, tak żeby nawet z przelatującego przypadkowo nad miastem śmigłowca nie można było wykryć jego obecności. Zlewał się z otoczeniem ciemnoszarych, brudnych nadbudówek i wieżyczek.

Przyłożył oko do lunety karabinu snajperskiego i zlustrował najbliższą okolicę celu. Obok kafejki, którą obserwował, sporadycznie przechodzili ludzie - turyści, powoli rozglądając się ciekawie wokół, i śpieszący dokądś miejscowi. Natychmiast dało się odróżnić te dwie grupy ludzi. Były godziny poranne. Francuzi miewają w zwyczaju wpadać do kafejek na szybkie śniadanie przed pójściem do pracy. Ruch się dopiero zaczynał. Dwóch kelnerów pod okiem właściciela poprawiało stoły i krzesła wystawione na zewnątrz. Przy jednym usiedli pierwsi goście - kobieta i mężczyzna. Musieli chwilę zaczekać, zanim pojawiła się przy nich obsługa.

Porter jeszcze raz sprawdził obliczenia. Odległość od celu trochę ponad sześćset metrów. Wilgotność powietrza i temperatura wzięta pod uwagę. Dzień był bezwietrzny, co bardzo ułatwiało sprawę. Miał szansę oddać tylko jeden strzał, może dwa przy dużym szczęściu. Wszystko pięknie się układało. Lokalizacja na głębokich przedmieściach miasta i wczesna pora dnia minimalizowały ryzyko wejścia osoby postronnej na linię ognia. Teraz pozostawało tylko czekać na sygnał od majora Michaela Benta będącego w tej chwili w pobliżu celu. Wyglądem przypominał klasycznego amerykańskiego turystę objuczonego aparatami fotograficznymi, z nieodłączną czapką bejsbolówką na głowie. Rzucił ciekawe spojrzenia na wszystkie strony. Podziwiał wszystko, co mogło mieć trochę więcej niż trzysta lat, czyli więcej niż liczyła historia Stanów Zjednoczonych, co w amerykańskich turystach prawie zawsze budziło niekłamaną zachwyty. Doskonale stwarzał pozory i nie rzucał się specjalnie w oczy. Francuzi już dawno mieli okazję przyzwyczać się do wszędobylskich Amerykanów, często w wieku emerytalnym. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. I o to mu chodziło. Mógł spokojnie obserwować okolicę i czekać, aż cel pojawi się w polu widzenia.

Porter poprawił mikrofon przy ustach.

- Jak jest?

Bent podniósł aparat z wielkim obiektywem. Przysunął w ten sposób do ust mikrofon ukryty w zegarku.

- Nic się nie dzieje - odpowiedział cicho, upewniwszy się, że nikogo w pobliżu nie ma. - Przybysza jeszcze nie ma. Odezwę się.

Major pstryknął zdjęcie i spojrzał krytycznie na fotografowany obiekt. Przeszedł parę kroków w stronę kafejki, gdzie do kolejnych dwóch stolików przysiedli się goście. Dwie



młode kobiety zajęte ożywioną rozmową i starszy mężczyzna z wielkim, sumiastym wąsem. Popijał kawę i przyglądał się sąsiadkom, pasąc wzrok ich urodą.

Kirk Porter ponownie obejrzał przez lunetę otoczenie kafejki. Próbował dostrzec majora Benta. Bez skutku.

Czekał cierpliwie. Alice Perkins mówiła, że informacja o spotkaniu jest z pewnego źródła. Max Fausten, prawa ręka Witalija Jakuszyna, ma się tu spotkać z jakimś Francuzem. Nie wiadomo, po co i z kim dokładnie. Wiadomo było tylko, gdzie i kiedy. Może to z tym staruszkami pożerającym wzrokiem rozmawiające dziewczyny. A może ktoś jeszcze ma nadejść. Nieważne. Michael Bent ma dokonać identyfikacji celu z bliska, a dalej to już jego zadanie. Jak się uda Niemca wyeliminować, Jakuszyn się wścieknie, bo będzie miał trudności organizacyjne. Może zacznie popełniać błędy.

Dochodziła dziewiąta. Według informatora spotkanie miało odbyć się punktualnie o dziewiątej. Max Fausten to Niemiec. Niemcy nie mają w zwyczaju się spóźniać. Jeszcze jeden rzut oka przez lunetę. W kawiarni większość stolików była już zajęta. Wąsaty staruszek gdzieś w międzyczasie zniknął. Pojawiło się coraz więcej przechodniów. Może być trudniej niż myślał.

- Przybysz się zbliża od północy. - Porter usłyszał w słuchawce ściszony głos majora Benta.

Kapitan przesunął lunetę. Dostrzegł kilku mężczyzn. Czy któryś był celem?

- Jak przybysz wygląda?

- Żółta koszulka polo i kremowe spodnie. Zaraz wejdzie w pole widzenia.

Porter był całkowicie spokojny i opanowany. Adrenalina jedynie wzmagiała koncentrację. Musiał czekać, aż cel usiądzie. Strzał do postaci w ruchu, która w każdej chwili mogła się zatrzymać, czy na przykład przyspieszyć albo zwolnić, był zbyt ryzykowny. Na otwartym terenie w warunkach bojowych nie byłoby problemu. Warunki miejskie to zupełnie co innego.

Michael Bent obserwował kątem oka idącego Maxa Faustena. Szedł pewnie, patrząc przed siebie zupełnie nieświadomy śmiertelnego zagrożenia. Był już na pewno w polu widzenia snajpera. Major obserwował i czekał na to, co nieuniknione. Wiedział, że dla pewności strzału Porter musi poczekać, aż Niemiec usiądzie. Nagle Fausten zatrzymał się. Wyglądał, jakby się wahał czy wejść do knajpki, czy pójść dalej. Trwało to tylko sekundę. Wszedł między stoliki. Bent odetchnął z ulgą. Całe szczęście, że Porter nie zdecydował się wykorzystać tej chwili wahania. Akcję diabli by wzięli.

Max Fausten usiadł i rozparł się wygodnie na krześle. „Nie zdążysz napić się kawki,

koleś” pomyślał major, łypiąc na Niemca. Zaraz wybuchnie zamieszanie, wtedy on spokojnie się oddali. Cel był niemal nieruchomy. Idealna sytuacja do strzału, ale mijały sekundy, a Max Fausten... wciąż żył. Siedział spokojnie i czekał na kelnera. Kolejne trzy sekundy i nic. Major podniósł aparat.

- Przybysz siedzi przy stoliku. Żółta koszulka polo. Już można - powiedział półgłosem do zegarka. I pstryknął kolejne zdjęcie. Nie było odpowiedzi. W słuchawce cisza. Co jest, do cholery? - Przybysz na miejscu. - Bent zaczynał się denerwować. Dlaczego Porter nie strzela? - Wymagane działanie.

Słuchawka milczała jak zaklęta, a Niemiec właśnie składał zamówienie u kelnera. Kelner nie stał na linii ognia, więc na co kapitan czekał? Coś było nie tak.

\*

Tymczasem ponad kilometr od nich Witalij Jakuszyn przeładował swój karabin. Zerknął przez lunetę. Nie było wątpliwości. Pierwszy strzał okazał się celny.

- Cel ma dwa aparaty fotograficzne - starszy mężczyzna z sumiastym wąsem oddalał się od kafejki. Zdawał się mówić do siebie, mamrocząc coś pod nosem. - Czerwona czapka bejsbolowa na głowie.

Jakuszyn przesunął karabin na wskazaną osobę. Nacisnął spust. Stało się dokładnie tak jak major Michael Bent się spodziewał. Powstało zamieszanie wokół człowieka, który padł na chodnik z przestrzeloną głową. Z tą tylko różnicą, że były ranger nie będzie już mógł spokojnie oddalić się z miejsca akcji.

*Warszawa, Polska*

Przed ambasadą amerykańską jak zwykle stał tłum ludzi starających się o wizę, w wielu wypadkach całkowicie bezskutecznie i bez żadnego konkretnego uzasadnienia. Gawlik był zły, że Polska, teoretycznie jeden z najważniejszych sojuszników Stanów Zjednoczonych w Europie, pozwala tak upadlać swoich obywateli. Amerykanie to kraj pragmatyków liczących się z silnymi. Obecna polityka rządu polskiego prowadzona z pozycji „na kolanach”, szczególnie w wykonaniu prezydenta wpadającego nieomal w ekstazę, gdy prezydent amerykański uściśnie mu dłoń lub poklepie po plecach, przynosiła opłakane skutki, które na pewno będą jeszcze bardziej upokarzające w przyszłości.

Przez bramę wszedł bez najmniejszego problemu. Nazwisko Alice Perkins działało jak hasło otwierające sezam. Pracownik ambasady poprowadził go przez korytarze budynku do części biurowej. Agentka czekała już na niego u siebie. Siedziała w skórzanym fotelu,

opierając stopy na blacie biurka. Podniosła wzrok znad gazety na widok wchodzącego Gawlika. Złożyła gazetę i wrzuciła do kosza na śmieci. Ściągnęła nogi z biurka i wstała. Adam rzucił kilka spojrzeń na wnętrze. Na ścianach zdjęcia przedstawiające grupy wojskowych najwidoczniej zrobione podczas jakichś akcji w różnych częściach świata. Nieodłączna flaga amerykańska naprzeciwko drzwi, pewnie tylko po to, żeby odwiedzający od razu dostrzegał ten wszechobecny symbol patriotyzmu amerykańskiego. Przed biurkiem małe, okrągły stolik, przy którym posadzenie trzech osób byłoby nie lada wyczynem. Podeszła do stolika i gestem dłoni zaprosiła go, by usiadł naprzeciwko.

- Miło cię znowu widzieć, Adam. - Obdarzyła go służbowym uśmiechem. - Cieszę się, że będziemy współpracować.

- Poważnie? - Gawlik był sceptyczny - A ja myślałem, że nieszczęśliwie się lubimy.

Alice wydawała się być w świetnym nastroju. Promienna i jakaś jakby bardziej życzliwie nastawiona do świata i ludzi. Charakterystyczna zaciętość i ostre, surowe spojrzenie gdzieś uleciały.

- Nie mam powodów cię nie lubić. Pomogłeś nam. Doszkoliłeś naszego kapitana marines. - Wzruszyła ramionami. - Trochę popytałam, ludzie mówią, że generalnie fajny z ciebie facet - skłamała w nadziei, że go sobie tym zjedna.

- Eh, Alice, Alice. - Gawlik westchnął. - Nikt ci nic dobrego o mnie nie powiedział. Na pewno nie w CIA. A poza agencją, to ty raczej przyjaciół nie masz.

- Oj, czepiasz się, a ja naprawdę bym chciała, żebyśmy byli przyjaciółmi. - Zabrzmiiała zupełnie szczerze.

- Tyś się zakochała, czy może coś ci zaszkodziło?

Kobieta posłała mu przeciągłe spojrzenie. Zastanowiła się chwilę.

- Powiedzmy, że bardzo dobrze układa mi się życie osobiste.

Gawlik roześmiał się w głos. Agentka spoważniała.

- Twarda jak skała Alice Perkins się zakochała. Coś pięknego.

- Daruj sobie. Nie musisz kpić z rzeczy, o których nie masz pojęcia. - Zrobiła marsową minę. - Mamy parę...

- Alice, ja nie kpię. Ja się autentycznie cieszę, że znalazłaś kogoś, kto sprawił, że stałaś się lepszym człowiekiem. Taką przynajmniej mam nadzieję. Dobrze ci życzę. Naprawdę. I może rzeczywiście się polubimy.

Rysy kobiety złagodniały. Wiedziała o Gawliku na tyle dużo, żeby zorientować się, że mówi zupełnie szczerze.

- Miło. Ale możemy przejść do naszych spraw?

Stała się rzeczowa, choć jego słowa nie pozostały bez echa.

- Oczywiście. Powiedz, co macie i co planujecie.

- Nieźle sobie radzimy. Nawet bez ciebie. Bent i Porter są w Paryżu. Dostaliśmy cynk, że będzie tam prawa ręka Jakuszyna, Niemiec, niejaki Max Fausten. Porter przyswoił sobie twoją lekcję, żeby wybić Jakuszynowi współpracowników. Trafiliśmy chyba najważniejszego.

- Legalnie nic na niego nie macie. Dobrze myślę?

- Nie mówiłam, że dostaniemy go legalnie. Zostanie uciszony - spojrzała na zegarek - a właściwie już pewnie został uciszony po naszymu.

Gawlik zasępił się.

- Skąd dostaliście cynk?

- Od tajnego informatora. Tyle ci tylko mogę powiedzieć.

- Osobiście?

- Nie - zaprzeczyła i zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak się dopytuje. Przecież to akurat mało istotny fakt. - Szyfrowanymi kanałami. A co?

- Elektronicznie?

- W pewnym sensie. Ale o co ci chodzi?

- O to, że Mikie i Kirk już pewnie nie żyją. Nie chciałbym być złym prorokiem...

- To nie bądź. Niemożliwe, żeby Niemiec się połapał. Nie doceniasz naszych systemów komunikacji. Nie da się ich złamać.

- Nie da się złamać tylko szyfrów jednorazowych. Obawiam się, droga Alice, że to ty nie doceniasz Jakuszyna i jego ludzi.

Zadzwoił telefon na biurku. Agentka odebrała. Pokiwała głową i rozchmurzyła się. Odłożyła słuchawkę na widełki i odwróciła się do Gawlika.

- Francuskie wiadomości podają, że w Paryżu został zastrzelony niezidentyfikowany człowiek, na ulicy. Strzał padł z dużej odległości. I co powiesz?

- Chłopaki się kontaktowali?

- Nie, ale nic nadzwyczajnego. Ewakuują się. Nerwowo się robisz, Adam. - Telefon ożył po raz kolejny. - No? - spytała do słuchawki.

Adam obserwował, jak z twarzy ustępuje jej wyraz samozadowolenia i w jego miejsce wchodzi najpierw niedowierzanie, a potem tak typowa dla niej zaciętość. Rąbnęła słuchawką o telefon. Adam nie musiał o nic pytać. Wyglądała jak kocica szykująca się do zacieklej obrony małych. Wbijiała nienawistny wzrok w aparat, jakby to ta maszyna była winna, że przyszły złe wiadomości. Zakłęła pod nosem.

- Dają tu u was coś do picia? - Gawlik przerwał ciężką ciszę.

- Co?

- Coś do picia. Zjadłbym coś też.

Alice spojrzała na niego jak na ufoludka.

- Chłopaki...

- ...nie żyją - dokończył za nią. - Strzał w głowę nie wiadomo skąd. Stało się dokładnie tak, jak mówiłem. Może wreszcie zrozumiecie, że Jakuszyn to nie arabski terrorysta, którego wystarczy namierzyć. Mamy co robić, Alice.

- Jak to się mogło stać? - spytała przez zaciśnięte zęby.

- Witalij Jakuszyn ma dostęp do wszystkiego, co jest podłączone do sieci. Odpowiednie programy, takie megahakerstwo. A przecież bez komputerów i sieci cywilizowany świat dzisiaj nie istnieje. Całe szczęście, że nawet on ma swoje ograniczenia, ale jak widać wasze kanały komunikacji do tych ograniczeń się nie zaliczają.

- Co proponujesz?

- To, co mówiłem. Daj mi coś do picia i do zjedzenia. Głodny jestem.

- Szlag by cię trafił.

- Nie tak łatwo. U nas w Polsce mówi się, że złego diabli nie biorą. Mam szansę dożyć setki.

Alice nie miała nastroju do żartów. Nie odezwała się. Wystukała na klawiaturze numer. Zgłosił się operator. Kobieta popatrzyła na gościa.

- Pizza może być? - spytała.

- Pepperoni z podwójną kielbasą i do picia co tam macie.

Rzuciła do słuchawki instrukcje i odłożyła ją na miejsce. Usiadła przy stoliku. Poprawiła kosmyk włosów spadający jej na czoło.

- A teraz co proponujesz? - spytała cicho, nie patrząc na niego.

- Dostaliście bolesną lekcję pokory i mam nadzieję, że wyciągniecie z tego odpowiednie wnioski. Mówiłem już Kirkowi Porterowi i mówię teraz tobie: Witalij jest jak wytrawny szachista. Będzie przewidywał wasze ruchy. Nawet kilka naprzód. Jak widzę, na razie nieźle mu to wychodzi.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem. Przez telefon mówiłeś, że wiesz, jak Ruski działa.

- Jest człowiek, który rozgryzł te komputerowe czary-mary. Wie, co i jak, i wie, jak się bronić.

- Dawaj tego człowieka.

- Nie, Alice.

- Dlaczego nie? Przecież może przyczynić się do wyeliminowania zagrożenia o światowym zasięgu.

- Dlatego, że ten człowiek chce żyć. I ja też chciałbym, żeby żył.

- Nie rozumiem. - Alice udała zaskoczoną.

- Rozumiesz doskonale. Tak się składa, że za dużo by wiedział, a firma tego nie lubi.

Nie próbuj wciskać mi ciemnoty, Alice. Szkoda twojego i mojego czasu.

Kobieta przewróciła oczami. Była wyraźnie zdegustowana opinią Gawlika o agencji, ale wiedziała, że może on mieć rację.

- Więc co? - burknęła pytanie. - Masz jakiś plan?

- Za Jakuszynem stoi generał Władimir Iwanow, ten z Kremla. Razem coś kombinują. Na mojego nosa, to Iwanow chętnie dorwałby się do władzy. Mogą szykować przewrót w Rosji. Wtedy, znając życie, Iwanow zaserwuje wam nową zimną wojnę. Ale to niestety nie wszystko. Myślę, że w grę wchodzi ktoś jeszcze, ktoś cholernie potężny. Stawiałbym na jakąś organizację, ale tu przydałby się jakiś dobry wywiad, żeby rozeznanie zrobić.

- Hello! - Alice zamachała do niego dłonią, jakby chciała go obudzić z letargu. - Właśnie rozmawiasz z wywiadem. Najlepszym na świecie. Żadne takie rewelacje do nas nie wypłynęły.

- Tak. Jakoś ten najlepszy na świecie wywiad nie popisał się z bronią chemiczną Saddama w Iraku, że o innych wypadkach nie wspomnę. Wierz mi, Alice, są ludzie, którzy potrafią dowiedzieć się dużo więcej niż wasza agencja. Tyle że nie chcą mieszać się do polityki i nie są tak butni jak wy.

- Jacy ludzie?

- Najczęściej bardzo skuteczni w tym co robią i bardzo dyskretni.

- Dlaczego nic o tych ludziach nie wiemy? - W głosie kobiety zabrzmiała nuta powątpiewania.

- Bo nie chcą, żebyście wiedzieli. W każdym razie ja postaram się dowiedzieć jak najwięcej o układach Witalija. Wy mi załatwicie spotkanie z Iwanowem. Wcześniej muszę dostać wszystko, co na niego macie. Wszystko, co wam się udało ustalić w Rosji. Absolutnie wszystko. No i powstrzymacie się na razie od zamachów. Szkoda waszych ludzi. Jeszcze się mogą przydać.

Alice wyduła usta. Ten Polak zachowywał się w sposób, którego nie można by określić inaczej jak zwyczajnie bezczelny. Bez mrugnięcia okiem wydawał polecenia szefowej zespołu zadaniowego najpotężniejszej agencji wywiadowczej na świecie. Co więcej, ewidentnie nie oczekiwał niczego innego niż bezwzględne posłuszeństwa. Zdumiewający

facet. Z drugiej strony z zebranych przez nią informacji na jego temat wynikało, że należy się z nim liczyć. Weteran wielu konfliktów zbrojnych, w tym prowadzonych przy aktywnym współudziale firmy, znakomicie wyszkolony i doświadczony żołnierz, na początku wieku zabójca z ramienia CIA do, wydawałoby się, niewykonalnych zadań eliminacji wrogów Ameryki. Jednak zawsze niezależny i jak kot chadzający własnymi drogami.

- Coś jeszcze? - spytała z bardzo wyraźną ironią w głosie. Chciała mu dać do zrozumienia, że chyba się trochę zapomina. - Nie krępuj się.

Gawlik nie zwrócił na ton jej głosu najmniejszej uwagi.

- Załatw jakieś finansowanie. Informacje będą kosztować. Sporo kosztować.

Agentka zaczynała tracić cierpliwość. Wstała od stolika i usiadła na krawędzi biurka. Popatrzyła na niego z góry.

- Z całym szacunkiem, Adam, ale nie ucz nas naszej roboty. I nie zachowuj się, jakbyś był moim przełożonym - stwierdziła dobitnie.

Była przygotowana na typowo męską reakcję: irytacja, może wybuch z powodu urażonej dumy, że „baba się stawia”. Nic z tych rzeczy. Polak zachował się niestereotypowo. Nie było gromienia wzrokiem, wściekłych min, złościwości.

Pełen spokój. Mężczyzna potarł dłońmi twarz i popatrzył na nią tak, jak zwykle patrzy ojciec na córkę, która właśnie wykazała się brzemieną w skutki nieodpowiedzialnością, ale on ani na moment nie przestaje jej bezgranicznie kochać.

- Niepotrzebnie się unosisz, Alice - odpowiedział głosem całkowicie pozbawionym emocji. - Nie bierz tego do siebie, ale ja mam po prostu o wiele większe doświadczenie w tego typu sprawach niż ty. Wierz mi, dużo więcej widziałem. Witię Jakuszyna też znam lepiej niż ktokolwiek z was. Dlatego naprawdę cię proszę, słuchaj tego, co mówię. Inaczej Jakuszyn cię po prostu zabije, tak jak zabił Mikię i Kirka.

Alice świdrowała go wzrokiem przez kilka sekund, po czym spojrzała w okno. Do zmroku było jeszcze daleko. Zaczynało się lato i długie, ciepłe i przyjemne dni. Zwykli ludzie będą wyjeżdżać na wakacje, w parach i całymi rodzinami. Nawet im przez myśl nie przejdzie, że są sprawy i osoby, które mogłyby doprowadzić ich do ruiny finansowej albo zamienić życie w koszmar w jakiś inny sposób. Zwykli, szczęśliwi ludzie. Nagle zatęskniła za Kathy, za jej miękkim, aksamitnym ciałem, ufnym spojrzeniem i miłym dla ucha głosem. Jadąc do Polski, obiecała sobie, że jak to wszystko się skończy, zabierze Kathy w jakieś cudowne miejsce gdzieś na skraju świata, gdzie będą mogły upajać się byciem razem, swoją obecnością dwadzieścia cztery godziny na dobę, bliskością, wspólnym spędzaniem czasu i głębokim uczuciem, które niewątpliwie je łączyło.

Do gabinetu wszedł młody mężczyzna w garniturze. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Z fizjonomii Polak. Położył gorącą pizzę i napoje w puszkach na stoliku.

- Coś jeszcze przynieść? - zwrócił się z pytaniem do agentki.

Wprawne ucho mogło wychwycić ledwo słyszalny, słowiański akcent.

- Jeszcze butelkę whiskey Jack Daniels - odpowiedział Adam po angielsku.

Młody człowiek zaskoczony poleceniem poszukał wzrokiem potwierdzenia u Alice. Kobieta przecząco pokręciła głową. Pracownik ambasady zamknął za sobą drzwi.

- Nie powinienes się tak wygłupiać - powiedziała beznamiętnie. - To robi złe wrażenie.

- A co, agencja wprowadziła prohibicję?

Usiadła, podparła rękami brodę i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Dziwny jesteś człowiek, Gawlik. Ktoś mi w firmie kiedyś powiedział, że w tobie to dwie istoty mieszkają. Anioł i diabeł. Zależnie od okoliczności konkretna wyłazi na wierzch.

Adam zachmurzył się. Miała rację. Jakby spojrzał wstecz na swoje życie, to miałby duże wątpliwości co do dominacji istoty anielskiej. Często chciał z siebie tę drugą postać wyrzucić, wymazać, zanim zdał sobie sprawę, że jego wysiłki i tak nic nie dadzą. Musiałby zostać mnichem w klasztorze, jak to kiedyś na przełomie wieków próbował. Ale przecież i tam znalazło go życie doczesne ze wszystkimi swoimi okropnościami. Był skazany na dwoistość natury. Zdążył już się z tym pogodzić.

- Jedzmy - powiedział smutnym głosem. - Wystygnie i będzie niedobra.

\*

Trasę Warszawa - Wrocław pokonuje się samochodem w około pięć godzin. Gawlik zrobił ją w niecałe cztery. W nocy był znacząco mniejszy ruch, a i on lubił prowadzić brawurowo, czasem nawet zbyt ryzykownie, lecz nigdy mu się to nie zdarzało, gdy Basia siedziała na fotelu pasażera. Wtedy jeździł, stosując się niemalże do wszystkich przepisów o ruchu drogowym, oczywiście w granicach rozsądku, które jego żona też uznawała.

Około trzeciej nad ranem wjechał do garaży pod budynkiem. Zaparkował na swoim miejscu i wszedł na klatkę. Było cicho. Nie zapalał światła. Niepotrzebne mu były niby przypadkowe spojrzenia przez wizjer któregoś z cierpiących na bezsenność sąsiadów.

W przedpokoju zapalił lampkę. Żarówka była słaba, ale rozpraszała mrok na tyle, ile potrzebował. Żaluzje kuchenne były zasłonięte. Wnętrze mieszkania było niedostępne dla ewentualnych wścibskich oczu z bloku naprzeciwko. Potrzebował co najmniej kilku godzin snu. Wszystko wskazywało na to, że w najbliższym czasie jeszcze niejednokrotnie zdąży się „nie wyspać”.



Obudził go dźwięk telefonu stacjonarnego. Przerażliwie nowoczesny, nachalny i drażniący uszy. Zebrał się z łóżka, wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę. Rzucił do słuchawki ponure „halo”. Nie był w najlepszym nastroju. Zegar na ścianie wskazywał ósmą trzynastą. Niewiele dane mu było pospać.

- Cześć, towarzyszu poruczniku. - Głos po drugiej stronie linii brzmiał nieco oficjalnie. Adam rozpoznał go natychmiast. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Polak milczał kilka długich sekund.

- Źle zrobiłeś, że nasłałeś na mnie zabójcę - odezwał się wreszcie.

- Źle zrobiłeś, że skumałeś się z jankesami przeciwko mnie - odparł Rosjanin.

- Nie zostawiłeś mi większego wyboru.

- Kwestia punktu widzenia.

- Zadzwoń, żeby sobie pofilozofować?

Ton Gawlika nabral wydzwiku ironicznego. Jakuszyn nie przejął się tym zbyt.

- Zawsze się zastanawiałem, jak by było, gdyby przyszło nam kiedyś się ze sobą zmierzyć. I słowo cię stało, poruczniku. Któryś z nas przegra tę rozgrywkę.

- Zaczynasz przynudzać, Witia.

- O rodzinę nie musisz się martwić - zastrzeżił go nagłą zmianą tematu. Adam struchlał, słysząc te słowa. - Są bezpieczni.

- Jeżeli podniosłeś rękę na moją rodzinę...

Grobowy głos Gawlika przyprawiał o dreszcz.

- Nie ja. Ktoś mniej odpowiedzialny i mało przewidujący. Musiałem, powiedzmy, wyeliminować zagrożenie i komuś wytłumaczyć dosadnie, że jesteśmy żołnierzami, a rodzina żołnierza jest święta. Nietykalna. Takie tam staroświeckie sentymenty. Honoru sam mnie w Afganistanie uczyłeś. Nie pamiętasz?

- Gdzie moja rodzina?

- Tam, gdzie ich wysłałeś. W tej zabitej dechami wsi w Lubelskim. Nic im nie jest i włos im z głowy nie spadnie. Możesz do żony zadzwonić i sam sprawdzić, jak mi nie wierzysz.

Adam wierzył, choć postanowił za chwilę wykonać kontrolny telefon do Basi. Znał Jakuszyna na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeżeli wchodzi w grę sprawa honoru, można na jego słowie polegać. Zastanawiał się tylko, kto był tym „mniej odpowiedzialnym i mało przewidującym”.

- Kto to był?

- Kto próbował porwać twoich bliskich?

- No.

- Nieważne. Sprawa jest między nami. I tak zostanie. Mimo że jesteśmy teraz wrogami, to cię szanuję. Nic tego nie zmieni. Trochę szkoda mi będzie cię zabijać.

- Nie bierzesz pod uwagę, że może być odwrotnie?

W słuchawce rozległ się śmiech Rosjanina.

- Wszystko może być. Ale nie masz za wiele czasu. Za niedługo będę nietykalny.

- Bo co?

- Sam się przekonasz. Jednak do tego czasu postaram się ciebie i twoich amerykańskich kumpli odnaleźć.

- Zawsze byłeś cholernie pewny siebie, Witia. Myślę, że nie wyjdzie ci to na zdrowie. Jeszcze nie jest za późno. Zostaw w spokoju Maćka Burdzika, to i ja dam ci spokój.

- Mówimy o tym polskim informatyku, co go kazałem załatwić?

- No.

- To jakiś twój krewny?

- Poniekąd.

- Nie da rady. Jako jedyny na świecie zdołał spenetrować nasze systemy i dostać się do danych. Nie wiem, ile wie, ale stanowi zagrożenie dla naszych planów. Taka chodząca bomba zegarowa. Musi zginąć. Obojętnie, gdzie go schowałeś, nasi ludzie go w końcu znajdą. Przykro mi, stary.

- Jest już pod opieką CIA. - Adam postanowił zablokować.

- Nic z tych rzeczy. Wiedziałbym o tym, jeszcze zanim by go przejęli. Myślisz, że bym pozwolił, żeby CIA dostało go żywego? Poza tym nie wierzę, że nie zdajesz sobie sprawy z jednej rzeczy. Jeżeli chłopak dużo wie, to jankesi wszystko by z niego wycisnęli, a potem... zresztą sam wiesz. Oni tam nie lubią takich, co za dużo wiedzą, a nie są z firmy. Chłopak jest bez szans. Musi umrzeć.

- Robisz błąd, Witalij. Cholerny błąd.

- Błądzić jest rzeczą ludzką. Tylko że tym razem wygram i nawet ty nic na to nie poradzisz.

- Stara dobra zasada kodeksu samurajów: nigdy nie lekceważ przeciwnika.

Jakuszyn jeszcze raz roześmiał się do słuchawki.

- Praszczaj, poruczniku. Niedługo się znowu spotkamy.

W telefonie zabrzmiał sygnał przerwanej połączenia.

Adam wystukał numer komórki żony. Miała przykazane, by do niego nie dzwonić. On się miał z nią kontaktować. Teraz to już chyba nie miało większego znaczenia. Czuł

podświadomie, że Witalij mówił prawdę i nic już jej i dzieciom nie grozi.

Po chwili usłyszał jej głos. Rozpoznała na wyświetlaczu numer telefonu z domu. Była wyraźnie roztrzęsiona.

- Adam? Matko Boska. Chcieli nas porwać. Mnie i dzieci.

- Spokojnie. Już wszystko dobrze. Gdzie jesteście?

- Na policji. Spisują nasze zeznania.

- Możesz rozmawiać? Możesz powiedzieć, co się dokładnie stało?

- Mogę. Teraz Kasię wypytują. Mówiłeś, że nic nam nie grozi.

- Bo to prawda. Nic wam nie grozi. Jak chcesz, możecie nawet do domu wracać. Ale powiedz, co się stało.

- Jakichś trzech oprychów chciało nas wciągnąć do samochodu terenowego, jak byliśmy nad zalewem. To chyba Toyota była. Ale ktoś ich zastrzelił z daleka. Nie wiadomo kto. Potem pojawił się ten twój znajomy Rosjanin, co cię wtedy szukał. Poznałam go. On nas stamtąd zabrał i zawiózł na policję. Potem gdzieś zniknął. Policja też o niego pytała, a ja nawet nie pamiętam, jak się nazywa. Gdyby nie on, to ja nie wiem, co bym zrobiła. Adam, powiedz, o co tu chodzi. Boję się.

- Niestety sam na razie nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że już nikt nie będzie was niepokoił. Co do tego możesz być pewna - stwierdził dobitnie. - Wracacie do Wrocławia?

- Nie wiem. Ja już nic nie wiem. Ty w ogóle nie jesteś zaskoczony. Nie podoba mi się to wszystko.

- Nie jestem, bo wiedziałem, że nic wam się nie ma prawa stać. - Skłamał, by ją uspokoić.

- A ty w domu jesteś? Mówiłeś, że musisz wyjechać?

- Bo muszę. Najprawdopodobniej jeszcze dzisiaj.

- Kiedy znowu zadzwonisz?

- Postaram się jak najszybciej. Pamiętaj, że cię kocham i nie dam wam zrobić krzywdy. Niedługo będzie po wszystkim i do was wrócę.

- Powiedz, o co tu chodzi.

- Nie mogę, Basiu. Wiesz, że nie mogę. Zresztą sam do końca jeszcze nie wiem.

- Co z Maćkiem?

- Jest bezpieczny. Niedługo też wróci do domu.

- Może jednak zawiadom policję. Przecież oni muszą jakoś pomóc.

- Nie, serduszek. Zaufaj mi. Wiem, co robię. Przestań o tym myśleć. Uspokój dzieci.

Odpocznijcie sobie. Korzystajcie z wakacji.

- Boję się o ciebie - powiedziała już spokojniejszym głosem.
- Niepotrzebnie. Już ci kiedyś mówiłem: ja jestem jak karaluch. Trudno mnie wytepić.
- Wracaj do nas szybko, karaluchu.
- Pa. Pozdrów dzieciaki.

Rozłączył się.

## ROZDZIAŁ 33

*Demokratyczna Republika Konga, Afryka*

Wysiedli ze śmigłowca transportowego, który wylądował na wyłożonym płytami betonowymi placu. Zaraz potem maszyna wzbiła się w powietrze i odleciała w kierunku Kinszasy - stolicy kraju. Maciek zarzucił wojskową torbę koloru khaki na ramię i popatrzył wokół. Zabudowania i szyby wydobywcze przypominały typową europejską kopalnię. Z tą tylko różnicą, że budynki były parterowe, w większości drewniane lub zrobione z prefabrykatów mieszkalnych. Gdzeniegdzie na teren kompleksu wdzierала się wszędobylska afrykańska roślinność, którą co jakiś czas trzeba było karczować. Inaczej pochłonęłaby wszystko w mgnieniu oka.

Piekielny upał sprawiał, że nienawykłe do tropikalnych temperatur ciało Maćka Burdzika spłynęło potem. Wiktor Bułat klepnął go w plecy.

- Przyzwyczajaj się, młody. - Pchnął chłopaka naprzód. - To będzie teraz twój dom. Dopóki Adam nie wyprostuje tego, coś namieszal.

Poszli w kierunku baraków wyglądających na mieszkalne.

- Dzięki, Wiktor, żeś mnie obkupił w Kinszasie. Adam wywiózł mnie, jak stałem.

Student miał na sobie wojskowe spodnie, buty i ciemnozieloną koszulkę z krótkim rękawem. Zdążył się przebrać jeszcze w śmigłowcu.

- Nie dziękuj. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Zresztą zamierzam cię tu zagonić do roboty.

Maciek skwitował to uśmiechem niedowierzania. Ciekawe, w jaki sposób mógł się tu przydać. Nie miał zielonego pojęcia o przemyśle wydobywczym, a żołnierz też z niego był żaden. Wiktor musiał jednak mieć jakieś swoje plany co do niego, skoro tak mówił.

- Roboty się nie boję. Nawet ciężkiej.

- W każdym razie nudził się nie będziesz, kolego.

- Nawet nie wiedziałem, że tu właściwie wszystko można kupić. Jak w Europie.

- Tu można kupić dużo więcej niż w Europie. Począwszy od czołgu, na niewolnicy skończywszy. Wszystko to tylko kwestia ceny i odpowiednich dojsć. Zdziwiłbyś się, Maciuś. Ale zrobimy z ciebie człowieka, tak jak wuj kazał.

Na razie Maciek nieszczególnie miał ochotę dociekać, co dokładnie Wiktor miał na myśli. Przyszłość pokaże. Weszli tymczasem do baraku. Wąski, jasny korytarz prowadził obok drzwi wejściowych do czterech pomieszczeń. Weszli do ostatniego, na końcu.

Był to prymitywny, prostokątny pokój z czterema łózkami rozstawionymi po przeciwnych stronach, z prawej i lewej strony od drzwi, po dwa wzdłuż. Nad każdym znajdowała się prowizoryczna półka obok całkiem sporych okien. Znaleźć na niej można było podstawowe przybory toaletowe, książki i kolorowe gazety. Maćkowi od razu rzuciły się w oczy trzy równo ustawione woluminy z tytułami na grzbietach w języku rosyjskim.

- Ktoś tu czyta po rosyjsku? - spytał Wiktora.

- Nie tylko czyta. Zaraz pewnie poznasz swoich „współspaczy”. Niedługo powinni kończyć zmianę. - Jakby słowa Bułata były magicznym zaklęciem, w korytarzu dało się słyszeć stukanie ciężkich butów o drewnianą podłogę. - O, to pewnie oni.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszło dwóch rosłych mężczyzn. Bardzo rosłych. Pierwszy ciemny brunet. Orli, wydatny nos i badawcze, analityczne spojrzenie. Co najmniej sto kilo żywej wagi, z których bardzo niewiele stanowiło zbędny tłuszcz. Drugi wygolony na tyso, o okrągłej, pogodnej twarzy. Typowo słowiańskie rysy. W odróżnieniu od estetycznie ogolonego kolegi, miał na brodzie, policzkach i pod nosem kilkudniowy zarost, który bardziej wyglądał na wynik nieszczególnej dbałości o prezencję niż na efekt celowych działań. Sprawiał jednak wrażenie bardziej przystępnego. Obydwaj ubrani byli niemal bliźniaczo, po wojskowemu.

- Dzień dobry panom - przywitał się Maciek po angielsku. - Jestem Maciek Burdzik.

Wyciągnął dłoń, wahając się przez moment, do którego skierować powitalny gest najpierw. O dziwo, żaden z nich nie kwapił się do uściśnięcia mu ręki. Patrzyli na niego w milczeniu, jak się ogląda rzeźbę w muzeum. Robili zagadkowe miny. Wiktor nie zwracał na nich uwagi; Rozpakowywał się. Najwyraźniej postanowił nie zaprzętać sobie głowy przedstawianiem im siebie. Maciek poczuł się niepewnie. Sytuacja zrobiła się niezręczna. Czy to możliwe, żeby nie rozumieli po angielsku?

Żołnierze wymienili porozumiewawcze spojrzenia i zanim Maciek zdołał się zorientować, co się dzieje, porwali go z podłogi i w pozycji horyzontalnej zanieśli do niewielkiej łazienki. Odkręcili wodę w umywalce i wsadzili mu głowę twarzą pod silny strumień. Woda była ciepła, ale chłopak miał wrażenie, że się topi. Rzucił się i prychnął, lecz nie na wiele to się zdało. Chwilę potem zanieśli go z powrotem do pokoju i postawili na podłodze. Student zszokowany trząśł zmoczoną głową i prychnął jak koń. Poszukał wzrokiem Wiktora. Stał roześmiany ze splecionymi na piersiach rękoma.

- Musiałeś przejść chrzest, Maciuś. - Zwrócił się do niego w świetnej angielszczyźnie, tak, by towarzysze rozumieli. - Takie zasady. Nowy jesteś.

Maciek przeniósł lekko wystraszone spojrzenie na mężczyzn. Słowianin uśmiechał się pełną gębą, a drugi wciąż przyglądał mu się z zainteresowaniem. Wiktor uznał, że czas już na prezentację właściwą.

- Ten, co wygląda jak flejtuch, to Siergiej Myszkina z Rosji. - Rosjanin w najmniejszym stopniu nie przejął się epitetem ze strony polskiego towarzysza. Podszedł do studenta, objął go ramieniem za kark i przycisnął mocno do siebie. Maciek napiął mięśnie w ruchu obronnym. Puścił go, zrobił krok do tyłu i zsalutował w charakterystyczny dla armii rosyjskiej zamaszysty sposób. - Weteran ze Specnazu, ekspert sztuki walki Sambo. Zwykła saperka w jego ręku to straszliwa broń. Sam ci pewnie niedługo pokaże. Ten smutny - mężczyzna łypnął na Wiktora spode łba - to Amir Perez. Były żołnierz izraelskich formacji Sayeret Matkal, jakbyś nie wiedział, nazywa się ich „spy and kill”, i weteran osławionej jednostki komandosów Shayetet 13. Dla twojej wiadomości: Izraelczycy są najlepsi na świecie. Amir zgodził się trochę cię podszkolić.

Komandos wyciągnął do Macieka swoją ogromną dłoń, którą chłopak uściśnił nie bez wahania.

- Słyszałem, że jesteś od Gawlika, tak? - spytał z dostrzegalnym bliskowschodnim akcentem.

- Tak - odparł Maciek. - Pan zna wujka?

- Nie mów do mnie „pan”. Amir jestem. - Zwrócił chłopakowi uwagę. - Raz się spotkaliśmy, kiedyś, w Sudanie. Ten twój wujek to chodząca legenda.

- Już to słyszałem.

- Nie przynieś mu wstydu.

- Ja? A w jaki sposób ja mogę mu przynieść albo nie przynieść wstydu? Ja jestem student informatyki i koniec.

- Jesteś też krewnym Adama Gawlika, a to zobowiązuje.

- Dalekim - mruknął Maciek.

- Chodź, zobaczymy, co umiesz.

Amir i Siergiej ruszyli do wyjścia. Chłopak posłał pytające spojrzenie Wiktorowi.

- Nie bój się, idź. - Wiktor machnął na niego ręką. - Nic ci nie będzie.

- Nie boję się - odpowiedział Maciek i podążył za mężczyznami.

- Przynajmniej na razie - dorzucił Bułat półgłosem.

Chłopak zatrzymał się w progu. Odwrócił głowę. Na twarzy miał niepokój.

- Co znaczy na razie?

- Żartowałem. Idźże. Chłopaki nie lubią czekać.

Kiedy student pojawił się przed wejściem do baraku, Amir wyciągnął zza pasa pistolet. Wymienił magazynek i przeładował.

- Umiesz się tym posługiwać? - spytał młodego Polaka.

Maciek wziął do ręki Glocka. Klasyczny austriacki pistolet wykonany w znacznej części z niezwykle wytrzymałego tworzywa sztucznego stał się hitem, będąc na wyposażeniu wielu armii, sił policyjnych i ochronnych. Wewnętrzny system zabezpieczeń uniemożliwiający przypadkowy wystrzał i jego liczne zalety sprawiały, że była to broń niezwykle poręczna i bardzo chętnie używana.

- Nie za bardzo.

- Jest odbezpieczony. Wystarczy nacisnąć spust. Jak Siergiej klaśnie w ręce, strzelisz do mnie. Najlepiej w głowę. Najskuteczniej.

Amir stanął plecami do ściany baraku jakiś metr przed Maćkiem.

- Co mam zrobić? - Chłopak myślał, że się przesłyszał, albo że nie zrozumiał angielszczyzny Izraelczyka.

- Masz we mnie wycelować, a jak usłyszysz klaśnięcie, pociągasz za spust i po krzyku. Co w tym trudnego?

Maciek popatrzył na Siergieja.

- No tak - potwierdził Rosjanin. - Zastrzel sukinkota.

- Wam chyba odbiło. - Maciek ani myślał zastosować się do ich polecenia. - Za długo na słońcu byliście. Mózg się wam, panowie żołnierze, przegrzał.

- Przestań tyle gadać, do cholery - zirytował się Amir. - Nie bój się. W magazynku są specjalne naboje ćwiczebne z pociskiem z koloryzującego mydła. Chcę sprawdzić twój refleks.

Chłopak jeszcze raz spojrzął na Siergieja. Ten ponownie pośpieszył z potwierdzeniem.

- Tak jest. Możesz spokojnie walić.

- Zadowolony? - Izraelski komandos był zniecierpliwiony. Maciek podniósł broń i wycelował. - Pamiętaj, jak usłyszysz klaśnięcie, masz natychmiast pociągnąć za spust. Jak najszybciej. Pokaż refleks. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Student nie wiedział, co kombinują, ale uznał, że skoro jest bezpiecznie, to może być też ciekawie. Mijały sekundy, a Siergiej czekał. Amir tymczasem stał z opuszczonymi rękoma i wpatrywał się w Maćka. Polak skupił się. Domyślił się, że Izraelczyk będzie próbował go



obezwładnić. No to się przejedzie. Wujek parę razy mówił mu w czasie treningów, że jest szybki.

Głośny dźwięk uderzających o siebie otwartych dłoni dał sygnał dla mózgu, by ten uruchomił odpowiednie mięśnie. I wtedy zdarzyła się rzecz niebywała. Zanim Maciek zdążył pociągnąć za spust, Amir błyskawicznym ruchem lewej ręki złapał lufę pistoletu, jednocześnie uchylając się z linii strzału, który zresztą i tak nie miał prawa paść. Prawą pięścią zamarkował uderzenie w twarz i stosując odpowiednią dźwignię, z łatwością wydobył pistolet z dłoni młodego Polaka, po czym wycelował w niego odebraną broń. Maciek gapił się na niego oszołomiony. Wszystko stało się szybciej niż mrugnięcie okiem. Popatrzył na Siergieja. Rosjanin wydawał się przyjmować wydarzenie jak coś najnormalniejszego na świecie. W drzwiach stał Wiktor z obojętną, nieomal znudzoną miną.

- Jeszcze raz - powiedział Amir i wręczył Maćkowi Glocka. - Teraz się skup.

Maciek wycelował, napiął mięśnie i czekał na sygnał w pełni skoncentrowany. Postanowił tym razem nie dać się zaskoczyć. Mijały kolejne sekundy, aż wreszcie Siergiej klasnął w dłonie. Chłopak zdążył drgnąć i cała sytuacja powtórzyła się. Pistolet był w ręku Amira, który mierzył chłopakowi między oczy.

- Co... co jest grane? - spytał osłupiały student. - Jak... jak on to zrobił? - Pytanie skierowane było do Wiktora i Siergieja.

Amir schował pistolet za pasek z tyłu.

- Musisz się jeszcze dużo uczyć, młody. Ale nie bój się, zrobimy z ciebie człowieka - powiedział i skrzywił się w uśmiechu, po raz pierwszy od ich spotkania.

Poklepał wciąż zdębiałego Polaka po plecach. Skinął na Rosjanina i poszli w głąb kompleksu. Maciek patrzył, jak się oddalają.

- Idziemy, Maciek - odezwał się Wiktor. - Trzeba cię zaprowiantować.

Ruchem głowy wskazał budynek, który najwidoczniej służył za część administracyjną lub kantinę. Za chwilę miał się o tym sam przekonać.

- Co się stało? - Maciek wciąż nie mógł dojść do siebie po niezwykle doświadczeniu. - Jak to możliwe? On zabrał mi pistolet, nim pociągnąłem za cyngiel. O co tu chodzi?

- Nie przejmuj się. Z nami robił to samo - odparł Wiktor spokojnie. - Zdziwisz się, ale w izraelskich siłach specjalnych, takich jak Shayetet 13, to nic nadzwyczajnego. Tam chyba każdy tak potrafi.

- Żartujesz.

- Nie. To kwestia w dużej mierze wyszkolenia, ale przede wszystkim wyjątkowo

starannej selekcji ludzi. Do Sayeret Matkal, czy właśnie do Shayetet 13, wybiera się prawdziwe talenty. To tak jak ze sportem. Są ludzie, którzy mają wybitne predyspozycje psychofizyczne. Urodzeni mistrzowie olimpijcy. Tak samo jest z izraelskimi żołnierzami. Tyle że sportowców pod wieloma względami leją na głowę. To diamenty, które się oszlifowuje w czasie morderczych szkoleń.

- W życiu bym nie pomyślał, że takie rzeczy są w ogóle możliwe.

- Możesz mi wierzyć, że Amir jeszcze nie raz cię zadziwi.

- W jaki sposób?

- Sam zobaczysz. Jutro zacznie się twoje szkolenie. Jak się za ciebie Siergiej zabierze, to przynajmniej będziesz miał wesoło. Odjazdowy gościu. Poznasz jeszcze Jonasa Banksa z amerykańskich zielonych beretów. Nauczy cię wykorzystywać słuch w ciemnościach. - Dochodzili do budynku. Maciek kręcił głową. - A tak w ramach ciekawostki, to powiem ci, że Amir kiedyś pozwolił się przebadać cywilnym naukowcom. Neurobiologom, czy jakimś tam. Podłączyli go do aparatury i co się okazało. Ten sam numer, co widziałeś. Reakcja normalnego człowieka w takiej sytuacji to 0,25 sekundy. Szkolonego trochę krótsza. Amir reaguje i działa w ciągu 0,12 sekundy. Tyle pokazały przyrządy. Człowiek o takiej masie ciała. Nieźle, co?

- O kurwa - wyrwało się Maćkowi.

- Też tak sędzę.

Weszli do budynku. Maciek jeszcze długo nie mógł wyjść z podziwu i co najmniej lekkiego oszołomienia.

## ROZDZIAŁ 34

*Wrocław, Polska*

Magda Frank jeszcze raz rzuciła spojrzenie w kierunku wejścia do Urzędu Stanu Cywilnego. Wciąż żywiła irracjonalną nadzieję, że wpadnie spóźniony, zdyszany Maciek i nie będzie tu dzisiaj zupełnie sama, sama na uroczystości ślubu przyjaciółki - Anity Krawczyk, na którym była świadkową, gdzie nikt nie powinien być sam i nikt zresztą nie był. Wśród kilkudziesięciu zaproszonych gości, głównie z bliższej i dalszej rodziny, nie dopatrzyła się ani jednej osoby „bez pary”. Ona też miała mieć u boku swojego mężczyznę - Maćka Burdzika. Krótka enigmatyczna rozmowa telefoniczna sprzed kilku dni, przerwana tak nagle i niespodziewanie, zrobiła jej mętlik w głowie. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Potem dzwoniła do niego chyba ze sto razy. Za każdym razem to samo - sekretarka automatyczna z prośbą o zostawienie wiadomości. A jakże, zostawiała i to nie jedną. Prosiła, nawet groziła, i nic. Bez odzewu.

W sali ślubów stała w pierwszym rzędzie. Nie słuchała formułek wypowiedzianych przez urzędnika wrocławskiego USC. Patrzyła na przeszczęśliwą przyjaciółkę i jej już męża - Łukasza Sobolewskiego. Znała ich oboje. Pasowali do siebie idealnie.

- Magda. - Anita wyrwała ją z półletargu. - Podpisać trzeba.

Magda się zreflektowała. Goście patrzyli na nią z zaciekawieniem. Świadkowa zapomina o swoich obowiązkach. Podeszła do stołu i złożyła autograf gdzie trzeba. Świadek zrobił to wcześniej i natychmiast wrócił do małżonki bacznie obserwującej każdy jego ruch. Najwyraźniej należała do gatunku kobiet, które nie dają swojemu mężczyźnie ani krzty swobody z obawy o, najczęściej wyimaginowane, próby flirtów prowadzące do niewierności.

Przed budynkiem urzędu ustawiała się długa kolejka ludzi pragnących złożyć parze młodej najserdeczniejsze życzenia. Padały słowa mniej lub bardziej wyszukane. W pewnym momencie młoda para przestała na nie zwracać uwagę. Byli zbyt przejęci całą uroczystością. Przyjmowała nieliczne prezenty i bardzo liczne koperty z odpowiednią zawartością gwarantującą choćby częściowy zwrot kosztów poniesionych na wyprawienie całkiem hucznego wesela w zajeździe pod Wrocławiem.

Magda uściskała młodych jako jedna z pierwszych. Anita zatrzymała wzrok na jej

twarży, uśmiechniętej, ale jednocześnie naznaczonej uczuciem głębokiego zawodu, jaki sprawił jej Maciek.

- Masz miejsce zaraz koło nas - szeptnęła jej do ucha Anita. - Jak będzie jakaś chwila, to pogadamy. Będzie dobrze.

- No co ty, Anitko? Przecież jest dobrze - skłamała Magda. - Niczym się nie przejmuj. To najpiękniejszy dzień w twoim życiu. Ja się cieszę twoim szczęściem. Nie widać?

- Widać, widać - odpowiedziała panna młoda wcale nie przekonana.

Łukasz obściskował się z przyjaciółmi. Padały żartobliwe uwagi w stylu: „Toś bracie już stracony dla towarzystwa”. Ciekawe, bo wypowiadali je mężczyźni sami już od kilku lat żonaci.

Pół godziny później kawalkada przystrojonych samochodów wyruszyła na przyjęcie weselne. Młodzi pogodę mieli piękną. Jak na zamówienie. Z pewnością w ciepły wieczór będzie można dać odpocząć na zewnątrz zmęczonym tańcem nogom, z papierosem i na przykład kieliszkiem szampana w dłoni.

We wspaniale udekorowanej sali balowej wypito szampana za zdrowie gości, którzy następnie usiedli na swoich miejscach. Każdy wiedział gdzie, bo wszędzie poustawiano ozdobne karteczki z nazwiskami. Magda usiadła obok promieniującej szczęściem Anity.

Po kilku toastach do dzieła wzięła się orkiestra. Weselnicy ruszyli na parkiet tuż po obowiązkowym tańcu młodej pary. Obserwowała bawiących się ludzi i zazdrościła im. Pewnie za jakiś czas sama wyjdzie na parkiet do „popisów solowych”, ale to jednak nie to samo. Tak naprawdę nie знаła tu bliżej nikogo, a pechowo młodsza część gości posadzona została w krańcowej części stołu w kształcie podkowy.

Stoły wprost uginały się od ton wszelkiego rodzaju jedzenia. Nałożyła sobie sałatki jarzynowej i jedząc, udawała, że w tym momencie nic innego jej nie interesuje. Nie patrzyła na salę. Skupiła uwagę na talerzu, co zresztą, jak zauważyła kątem oka, czyniła mniej więcej jedna trzecia zgromadzonych tu ludzi. Tylko że oni robili tak z zupełnie innych powodów niż ona. Byli najzwyczajniej w świecie głodni.

Poczuła dotyk na ramieniu. Odwróciła głowę. Łukasz, nowo zaślubiony Anicie, uśmiechał się do niej.

- Chodź, świądkowa - powiedział pogodnie. - Później się będziesz opychać. Teraz trzeba tańczyć - dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Magda rzuciła okiem na parkiet. Anita wyróżniała się w swojej pięknej białej sukni i w welonie. Była rozchwytywana na zasadzie „odbijanego”. Przez najbliższy kawałek Łukasz nie miał co robić. Podejrzewała, że to Anita wszystko ukartowała, żeby wciągnąć przyjaciółkę

do zabawy.

Łukasz nie czekał na odpowiedź. Wziął ją za rękę i prawie ze siłą wyciągnął z za stołu. Szybko zapamiętała się w tańcu. Była wdzięczna jemu i jego świeżo upieczonej żonie, że mimo ogólnego zaaferowania nie zapomnieli o niej. Odzyskiwała dobry nastrój. Przystawała myśleć. Zaczynała się naprawdę dobrze bawić. Po to w końcu są przecież wesela.

Przed północą Anita wyciągnęła ją na zewnątrz na tak zwane „babskie pogaduchy”. Łukasz został na sali, by pilnować, żeby nikomu niczego nie zabrakło. Wieczór był fantastyczny. Ciepły i przyjemny. Obie trzymały w rękach po lampce czerwonego wina.

- Jak tam, Madzia? - zagadnęła panna młoda. - Chyba się dobrze bawisz, nie?

- Ja? Szampańsko. Jest świetnie. Po prostu świetnie - odparła Magda entuzjastycznie.

- Madzia, powiedz szczerze. Radzisz sobie?

- Tak, naprawdę - zapewniła przyjaciółkę. - Na początku myślałam, że będzie mi ciężko, ale jak Łukasz wyciągnął mnie na parkiet... Co ci będę, kobieto, mówiła, jest super. Genialna atmosfera i genialna ta twoja rodzinka, szczególnie wujek. Czy to Łukasza?

- Łukasza. Oni wszyscy są w porządku. - Anita wypła łyk wina. - To kamień z serca. Bałam się, że będziesz przeżywać.

- Ja też. Ale trzeba żyć chwilą, nie, stara? A tak z innej beczki, to z tobą niedługo będzie już tylko można pogadać o pieluchach, kupkach i spiozskach.

- Szybciej, niż by ci się wydawało.

- Jak to?

- Tak to. - Anita wzruszyła ramionami i posłała jej porozumiewawczy uśmiech.

- To ty jesteś...?

- Jestem. A co? Na co mam czekać?

- Anitko, kochanie, to gratulacje. - Magda odstawiła kieliszek na ławkę i ucałowała przyjaciółkę w oba policzki. - Strasznie się cieszę. Nawet nie wiesz jak bardzo.

- Tylko na razie cicho. Jeszcze nikt nie wie. To ma być niespodzianka.

Magda patrzyła nad nią z rozrzewnieniem. Autentycznie jej zazdrościła. Zazdrościła wspaniałego męża, ślubu jak z bajki i tego właśnie, że wkrótce zostanie mamą.

- Z drugiej strony, to szybko żeście się uwinęli.

- W pewnym wieku przychodzi coś takiego, że... - Anita spojrzała w dal. Miała trzy lata więcej niż Magda, ale na zewnątrz nie było widać między nimi najmniejszej różnicy wieku. - Ale co tam. Powiedz lepiej, czy coś się o tym twoim Maćku dowiedziałaś.

- Nic. Właściwie zupełnie nic.

- Przecież on nie mógł tak o przepaść. Nie wiem, może ma jakąś rodzinę. Może ktoś

coś wie.

- Ma rodzinę. Tu we Wrocławiu. Miałam ich niedługo poznać.

- I co?

- I nic. Nie zdążyłam.

- Wiesz, Madzia, ja nie chcę krakać, ale może warto by z policją pogadać.

- Nie. To, to nie. Byłam w dziekanacie i wyżebrałam kontakt do jego rodziców. Taka wioska pod Żarami w Lubuskim.

- Dzwoniłaś?

- Pewnie, że dzwoniłam. Jeszcze tego samego dnia.

- No i?

- Jego mama, to chyba była jego mama, tak myślę, powiedziała, że Maciek wyjechał na wakacje z wujkiem do Afryki, i że wróci najdalej za miesiąc.

- I co o tym myślisz?

- Nie wiem, co o tym myśleć. Wakacje w tym roku mieliśmy spędzić razem. Miał być wypad nad morze. Do Kołobrzegu. Maciek załatwiał tam nawet jakieś niedrogie kwatery. Naprawdę nie wiem co myśleć.

- Wiesz, a mi się wydaje, że wszystko niedługo się wyjaśni. Może trafiła mu się jakaś niesamowita okazja. Niedługo do ciebie zadzwoni albo napisze i wszystko ci wytłumaczy. Zobaczysz. Nie wierzę, żeby...

- Żeby się wystraszył i mnie kopnął?

- Nie mów tak. Z tego co mówiłaś, był w tobie zakochany do szaleństwa.

- Czy mężczyźni aby na pewno potrafią kochać do szaleństwa? - Magda uśmiechnęła się smutno.

- Potrafią, potrafią. Gwarantuję ci, że niedługo sama się przekonasz. Wspomnisz moje słowa. Bierz kieliszek i pij. Nie pozwolę ci się smucić na moim weselu. Jasne?

Stuknęły się kieliszkami i wypily zawartość do dna. Anita wzrokiem zasugerowała, że może by je stłuc na szczęście. Rzuciły za siebie. Szkło z głośnym brzękiem roztrzaskało się o betonowy chodnik. Obie roześmiały się jak na komendę.

Z holu wypadł Łukasz.

- Ej, baby, przestańcie pleciuchować i chodźcie. Już, już. Zaraz wjeżdża dzik.

- Jaki dzik? - spytała Magda.

Anita zerknęła na zegarek. Była za trzy dwunasta.

- Zaraz sama zobaczysz - odpowiedziała tajemniczo.

Kiedy wybiła północ, zgasły prawie wszystkie światła i na salę wwieziono płonącego

pieczonego dzika. Mistrz ceremonii z przypasanym u boku średniowiecznym mieczem, kolczugą na piersiach i w hełmie z rogami à la wiking, wygłosił mowę na temat staropolskiej receptury zastosowanej do przyrządzenia specjału i zaprosił gości na degustację.

Magda pomyślała tylko: ciekawe, kto to wszystko zdoła zjeść? Ona sama czuła się napchana do tego stopnia, że przez najbliższe parę dni mogłaby swobodnie nie jeść nic. Nie minęło kilka minut, kiedy ku jej rozpaczycy pojawił się przed nią talerz ze słuszną porcją dzika. Wuj Łukasza zamaszystą gestykulacją zachęcał ją do jedzenia.

\*

Adam szedł spokojnym krokiem alejką wzdłuż stawu we wrocławskim Parku Południowym. Z daleka dostrzegł znajomą postać na ławce. Barczysty, około pięćdziesięcioletni mężczyzna z długimi posiwiałymi włosami związanymi w kucyk rozparł się na ławce i przyglądał bez większego zainteresowania przechodzącym spacerowiczom. Wzrok ożywał mu się na kilka chwil, gdy na horyzoncie pojawiała się młoda, ładna dziewczyna, głównie w krótkiej spódniczce lub krótkich spodenkach, co tego dnia nie było wypadkiem rzadkim. Letnia pogoda przyciągała ludzi do parku niczym pszczoły do miodu.

Gawlik usiadł obok mężczyzny i podał mu dłoń bez słowa przywitania. Mężczyzna ewidentnie ucieszył się na jego widok. Uścisnął mu rękę.

- Słyszałem, że, bracie, za emeryta robisz.

Obydwoj patrzyli na staw. Kaczki pływały leniwie, nieszczególnie zwracając uwagę na próbujących ich karmić popcornem ludzi.

- Robiłem, Jasiu. Robiłem - mruknął Adam pod nosem. - Ale sprawy się popieprzyły.

- Domyślam się. Inaczej byś mnie tu nie ściągał.

- No właśnie. Dzięki, że tak szybko przyjechałeś.

- Nie dziękuj. Mniemam, że nieźle mi się to opłaci. Dobrze mniemam?

- Wuj Sam sypnie kasą.

- O kurde. To znowu jakaś gówniana sprawa się nawinęła. - Skrzywił usta. - Agencja nie daje rady?

- Z tobą, Jasiu, agencja nie może się równać. - Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem. Był próżny. - No, może Mosad, ale Izraelczycy nie chcą się mieszać.

- Mosad też mi nie podskoczy - skorygował opinię Adama. - Mów, o co chodzi.

- Człowiek nazywa się Witalij Jakuszyn. Potrzebuję wiedzieć, kim są jego kluczowi ludzie i gdzie ich mogę znaleźć. Dobrze też by było dowiedzieć się, co kombinuje. Ma jakieś układy z Władimirem Iwanowem, tym z Kremla. Coś razem szykują. Domyślam się co, ale muszę wiedzieć na pewno. - Adam zamilkł, jakby próbował przypomnieć sobie, o co jeszcze

miał spytać. Czekał na reakcję Jasia. Reakcji nie było. - Jak będzie? - Przerwał wreszcie przedłużającą się ciszę.

- Kurwa, ty to se musisz takich wrogów wybrać, że niech cię szlag trafi.

- No. Mogłem se wybrać na przykład Osamę bin Ladena - powiedział Adam z przekąsem. - Łatwiej by pewnie było. Chyba żeby go wcześniej złapali.

- Wątpię.

- Co wątpisz?

- Że go złapią.

- Kwestia czasu. Kiedyś musi wpaść.

- Nic nie musi. Amerykanie musieliby najpierw chcieć go złapać.

- Przecież na głowie stają.

- Takiś pewny? Dopóki Osama bin Laden żyje, pewni ludzie mają co robić. No i jest wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego wpięprzają się w wewnętrzne sprawy obcych państw.

- Skąd ta teoria?

- Głupie pytanie, Adaś. Zapominasz, że ja żyję z tego, by wiedzieć szybciej i więcej od innych. Informacje krążą w powietrzu. - Jasiu zatoczył dłonią krąg nad głową. - Trzeba je tylko umieć łapać.

- Taaak. Już mi to kiedyś mówiłeś. CIA wiele by dało, żeby mieć cię u siebie.

- Nie interesuje mnie polityka. Dla ciebie robię wyjątek, po starej znajomości.

- To do rzeczy, chłopie. Jak będzie?

- Drogo będzie. Ale na biednego nie trafiło. Potrzebuję parę dni.

- Śpieszy mi się.

Mężczyzna zmierzył Adama wzrokiem.

- Ten Jakuszyn to przypadkiem nie jest twój były podwładny z wojska sowieckiego?

- Jest.

- Toś ty się sprzymierzył z jankesami, żeby towarzysza broni udupić? Zabij, ale, jak to ruskie mawiają, „bez wódki nie rozbieriesz”.

- Mówiłem ci, sprawy się popieprzyły. Tak akurat wyszło.

- Wiesz, że Jakuszyn to teraz mocny gościu? - Jasiu spytał retorycznie. - Cholernie mocny. Musisz mieć powody.

- Mam.

- Osobiste?

- Poniekąd.

- Kogoś ci z rodziny rozwalił? Pewnie przez przypadek, bo nie sądzę, żeby celowo.



Głupi nie jest.

- Zdziwisz się. Ostatnio to mi nawet rodzinę przed porwaniem uratował. - Gawlik usiadł wygodnie i wyciągnął przed siebie nogi. - Ciekawe, co?

Jasiu patrzył na rozmówcę jak na paranormalne zjawisko.

- To po cholere to wszystko? - spytał ogłupiały.

- Witalij chce zabić człowieka, który jest pod moją osobistą opieką.

- Bo?

- Bo człowiek wie więcej niż powinien.

- Jak Jakuszyn go szuka, to nie chciałbym być złym prorokiem, ale prędzej czy później go znajdzie. Obojętnie gdzie byś gościa nie schował.

- Właśnie dlatego ci mówiłem, że mi się śpieszy, Jasiu.

- Byłeś kiedyś na Karaibach? - Jasiu niespodziewanie zmienił temat.

- Na Haiti trochę się kiedyś strzelało, a co?

- Raj na ziemi. Nie Haiti, oczywiście. - Mężczyzna popatrzył przed siebie rozmarzonym wzrokiem. - Tam spędzę starość.

- Powodzenia.

- Tak sobie myślę, że ty, bracie, starości nie dożyjesz. Jesteś jak magnes na kłopoty.

Gawlik zignorował uwagę.

- Daj ci Boże, bracie. - Adam westchnął. - Ale polisy na życie bym ci nie sprzedał.

- Od ciebie bym nawet nie kupił.

Mężczyzna wstał i wsadził ręce do kieszeni. Spojrzał w prawo, potem w lewo, jakby chciał się upewnić, że ich rozmowa nie dotarła do żadnych niepowołanych uszu.

- Od pojutrze wpadaj tu o tej samej porze. Może już będę coś miał. Trzymaj się, bracie.

Jasiu leniwym krokiem poszedł w stronę ulicy Sudeckiej. Adam posiedział jeszcze kilkanaście minut. Zastanawiał się, na ile Jasiu mógł mieć rację. Czy rzeczywiście odnalezienie Maćka przez ludzi Jakuszyna było jedynie kwestią czasu? To by była zła wiadomość. Z drugiej strony ten były legionista znał się na swoim fachu i wiedział, co mówi. Może trzeba będzie Maćka zabrać z Afryki i trzymać go przy sobie, dopóki sprawa się ostatecznie nie rozwiąże. Niestety na dwoje babka wróżyła. Witia to koszmarne trudny przeciwnik. Trzeba będzie działać według planu. Każdy niewłaściwy ruch może skończyć się katastrofą. Ich rozgrywka będzie przypominać partię szachów, a gdy grają wytrawni szachiści, to nawet strata jednego pionka zwykle przesądza o przegranej. Nie będzie miejsca na błędy. Wszystko musi zagrać jak w zegarku. Nie ma wyjścia i musi też tu polegać na

agentce Alice Perkins. Ambitna i konkretna. Jest szansa, że stanie na wysokości zadania. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłoby być inaczej.

## ROZDZIAŁ 35

### *Okolice Narviku, Norwegia*

Widok zapierał dech w piersiach. Nie urodziła się chyba jeszcze osoba, na której norweskie fiordy nie zrobiłyby mniej lub bardziej piorunującego wrażenia. Tamara Szyszkina nie należała w tym względzie do wyjątków. Witalij Jakuszyn dotrzymał słowa. Obiecał, że zabierze ją gdzieś, gdzie zobaczy coś naprawdę niezwykłego. Tamara była zachwycona.

Samochód zostawili na pobliskim parkingu i zbliżali się do krawędzi, trzymając się za ręce jak najprawdziwsza para zakochanych. Przez te ostatnie tygodnie coś między nimi zaiskrzyło. Pojawiła się ta właściwa chemia, mimo że można by rzec, że spędzali ze sobą stosunkowo niewiele czasu. Witalij wciąż w rozjazdach. Wpadał do niej na kilka dni i organizował jej czas w przyprawiający o zawrót głowy sposób. Odwiedzali miejsca, do których zabierał ją własnym śmigłowcem, jadali w restauracjach, gdzie ceny przyprawiły normalnych ludzi o zawał serca i chodzili na imprezy, na których bywały elity w pełnym tego słowa znaczeniu. Potem przychodziły pełne uniesień noce. Miała wrażenie, że los postawił na jej drodze księcia z bajki. Instynktownie wyczuwała też, że jest dla Witalija kimś daleko więcej niż tylko romanssem, który się zaczyna i kiedyś kończy.

Ścisnęła mu mocniej dłoń, kiedy pewnym krokiem zmierzał ku krawędzi fiordu. Tamara cierpiała na lęk wysokości i kiedy od przepaści dzieliło ich nie więcej niż trzy metry, może mniej, zatrzymała się i pociągnęła mężczyznę do tyłu.

- Stąd bardzo dobrze widać - powiedziała niepewnie. - Nie musimy podchodzić tak blisko.

Od razu wyczuł w jej głosie obawę. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Była niższa o pół głowy. Uwielbiała, gdy to robił. Czowała się wtedy taka bezpieczna.

- Czyli pani doktor ma lęk wysokości - stwierdził, unosząc brwi. - Czego jeszcze o tobie nie wiem, Tamaro Szyszkina?

- Wielu rzeczy - odparła, uśmiechając się zagadkowo. - Kobieta musi być tajemnicza i nieodgadniona. Nigdy nie poznasz jej do końca. Czy ci się to podoba, czy nie.

- Poczekaj tutaj chwilę. Nie darowałbym sobie.

Chwilę potem stał na krawędzi fiordu. Tamarze od samego patrzenia zakręciło się w

głowie. Rozłożył ręce jak ptak do lotu. Silniejszy podmuch wiatru sprawił, że Rosjanin zachwiał się lekko. Kobiecie stanęło na moment serce ze strachu.

- Witalij, uważaj! - krzyknęła. - Daj spokój. Chodź tutaj. Tam jest niebezpiecznie.

Nie odwrócił głowy. Patrzył w dół. Wydawał się jej nie słyszeć.

- Wiesz - odezwał się wreszcie - że wikingowie w dawnych czasach, by dowieść swojego męstwa, potrafili skoczyć z takiego fiordu do wody?

- Co za brednie. - Niepokój rósł. Słyszała o przypadkach ludzi, na których wysokość działa zabójczo. Ciągnie ich w przepaść. Nie każdy jest w stanie temu się oprzeć. O wypadek nietrudno. - Witalij, nie wygłupiaj się. Chodźmy już. To nie jest śmieszne.

Popatrzył na nią przez ramię. Miał śmiertelnie poważną minę. To nie wróżyło nic dobrego.

- Poczekaj, zaraz wracam - powiedział.

I nagle stało się coś niewyobrażalnego. Niczym w koszmarnym śnie zobaczyła, jak Witalij przechyla się do przodu i zeskakuje ze skały w przepaść. W pierwszej chwili nie wierzyła własnym oczom. Stała jak słup, wytrzeszczając oczy.

Gapiała się w przestrzeń, w której jeszcze moment przedtem znajdował się człowiek. Teraz była tylko pustka. W pobliżu ani żywej duszy. Nie było kogo wołać o pomoc. Twarz wykrzywiło jej przerażenie. Złapała się za głowę.

- Matko Boska! - wrzasnęła na całe gardło. - Witalij! Jezus, Maria!

Zrobiła krok w kierunku przepaści, ale strach osadził ją na miejscu. Rozejrzała się wokół. Jak na złość nikogo w pobliżu.

- Spokojnie, pani doktor - usłyszała jego głos dochodzący zza krawędzi. - Nic złego się nie dzieje. Nic mi nie jest. Zaraz będę na górze.

Wciąż nie odważyła się podejść bliżej. Ze ściśniętym gardłem wbijała wzrok w przestrzeń przed sobą i nasłuchiwała. Najpierw wyłoniła się głowa Rosjanina, potem tułów i wreszcie z zadziwiającą sprawnością wyszedł na górę. Otrzepał spodnie i podszedł do niej.

- Jak mogłeś?! - krzyknęła. - Przecież ja tu mało ze strachu nie umarłam.

Przytulił ją oburącz.

- Przepraszam. Nie gniewaj się. Musiałem sprawdzić.

- Co sprawdzić?! - Tamara nie mogła się uspokoić.

Wyciągnął z kieszeni bajecznie kolorowy kamień wielkości małego kurzego jajka.

- To dla ciebie. - Włożył jej kamień w dłoń. - Na szczęście. Był tam jakieś trzy, cztery metry w dół na półce skalnej. Trochę wąsko jest, ale warto było.

- Boże - załamała ręce niczym matka nad kilkuletnim synem, który właśnie stanął

przed nią ubłocony jak nieboskie stworzenie. - Ty masz trochę rozumu w głowie?

- Pewnie, że mam. - Uśmiechnął się do niej pogodnie. - Inaczej bym o ciebie nie zabiegał.

Rozbroił ją tymi słowami. Powiedział „zabiegał”. Więc naprawdę mu na niej zależy. Zrobiło jej się ciepło na duszy.

Jeszcze chwilę temu miała ochotę wytrząść go po głbie, obojętnie, jaki skutek by to miało przynieść. Teraz wołałaby zrobić coś zgoła innego...

Witalij jakby odgadł jej myśli. Przywarł ustami do jej ust w gwałtownym, namiętym pocałunku. Zaparło jej dech w piersiach po raz drugi tego dnia.

Tamara odchyliła głowę do tyłu. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Co ty ze mną robisz, Witaliju Jakuszyn?

- Próbuję ci zaimponować, Tamaro Szyszkińska - odpowiedział, nie przestając się uśmiechać. - Jeszcze tego nie zauważyłaś?

- Akurat - powiedziała z powątpiewaniem. - Na pewno wiesz, że nie musisz.

- Ale chcę. - Objął ją wpół na wysokości talii. - Chodź. Idziemy. Chcę cię jeszcze gdzieś zabrać.

- Tylko mam nadzieję, już bez takich atrakcji.

- Słowo czekisty. Będzie ci się podobało.

- A tak właściwie jak tyś się stamtąd wydostał? Cztery metry mówiłeś?

- Kiedyś byłem w wojsku. Nauczylili mnie wspinania się po skałkach bez sprzętu.

- To w jakim wojsku tak uczą?

- Naszym. Rosyjskim. Kiedyś radzieckim - odpowiedział wykrętnie.

Spojrzała na niego podejrzliwie, lecz uznała, że nie należy drążyć tematu. Może sam kiedyś jej powie.

Podczas kilkunastominutowej jazdy samochodem Tamara próbowała z niego wyciągnąć, co jeszcze planuje. Mówił tylko, że to niespodzianka i że nic nie powie, żeby jej nie zepsuć.

Kiedy przejeżdżali przez urokliwe, maleńkie miasteczko, na które składały się parterowe i jednopiętrowe domki, głównie drewniane, Witalij spytał:

- Jesteś głodna?

- Coś bym zjadła, ale tu chyba nie znajdziemy knajpki. Nie widziałam żadnej, jak jechaliśmy.

- Nie doceniasz gościnności narodu norweskiego, pani doktor.

- A co, zamierzasz się wprosić komuś do domu? - spytała ironicznie.

- W sumie, czemu nie? Może nakarmią wędrowców. Spróbować nie zaszkodzi.

- Tak, tak, tak - skomentowała kwaśno. - Ty się wygłupiasz, a ja naprawdę bym coś zjadła.

- Widzisz ten niebieski domek? Zobacz, grilla robią. - Ku zaskoczeniu Tamary Witalij wydawał się wcale nie żartować. Zatrzymał samochód przy krawężniku i wysiadł. - No chodź. Super zapachy. Mówiłaś, że jesteś głodna.

Kobieta wysiadła i stanęła przed samochodem.

- Witia, znowu się wygłupiasz. Nie podoba mi się to.

- Zaufaj mi, Tamara.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę posesji. Tamara stanęła przy furtce drewnianego, pomalowanego na białą płotu.

- Witalij, tak nie można. Nie możesz łądować się ludziom do domu bez zaproszenia.

- Mogę.

Pociągnął ją mocniej. Szła za nim jak skazaniec. Zobaczyła, że czwórka ludzi, dwie kobiety i dwóch mężczyzn, którzy spędzali spokojnie czas przy płonącym grillu, bacznie się im przypatruje. Dzieliła ich odległość kilkudziesięciu metrów. Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Z drugiej strony była ciekawa, jak Jakuszyn zamierza wybrnąć z tej skądinąd dość niezręcznej sytuacji. Nie wiedziała przecież, że kto jak kto, ale Witalij Jakuszyn o ciepłe przyjęcie ze strony Norwegów mógł być całkowicie spokojny. Ani jednym słowem, ani jednym gestem nie dał tego po sobie poznać. Czekala ją zadziwiająca niespodzianka.

- Dzień dobry państwu - pozdrowił ich Jakuszyn po angielsku. - Przejeżdżaliśmy w pobliżu i trochę zgłodnieliśmy. Pozwolicie nam przyłączyć się do grilla?

Tamara czekała na dalszy bieg wydarzeń. Spodziewała się grzecznej odmowy lub w najlepszym wypadku obdarowania ich jakąś porcją grillowanego mięsa na odczepne. Jakież było jej zdumienie, kiedy około czterdziestoletnia gospodyni, nieszczerólnie ładna, delikatnie mówiąc, wybuchła entuzjazmem i przywitała się z nimi serdecznie.

- Ach, jak strasznie nam miło! - wykrzykiwała. - Björn, chodź szybko. Gości mamy. Patrz, kto przyjechał.

Szczupły mężczyzna podbiegł do nich. Miał na sobie kuchenny fartuch. W obu rękach trzymał przyrządy grillowe, co uniemożliwiło wyściskanie przybyszów, na co miał ewidentną ochotę.

- O rany! - przyłączył się do rozentuzjasmowanej żony. - Zapraszamy. - Zrobił kilka kroków w te i z powrotem, szukając miejsca, gdzie by mógł położyć przyrządy. Rzucił je w

końcu na trawę. Wytarł ręce o fartuch. - Jestem Björn Bergen - przedstawił się Tamarze. - A to moja żona, Hella.

Podobnie jak jego żona, śmiał się od ucha do ucha, jak dziecko, które właśnie dostało wymarzoną zabawkę.

- Tamara Szyszkińska - powiedziała pani doktor, wciąż nie mogąc opanować zdumienia.

- Bardzo mi miło. - Wziął ją za ramię. - Proszę dalej. To są nasi sąsiedzi Benny i Frida - przedstawił sympatycznie wyglądającą parę w średnim wieku.

Tamara zerknęła na Witalija. Czuł się w tej sytuacji jak ryba w wodzie. Pozwolił prowadzić się kobiecie w stronę domu. Coś musiało być na rzeczy. Skąd taki wybuch gościnności? Wśród narodów Zachodu to się nie zdarza.

- Ja przepraszam, że weszliśmy tak bez zaproszenia... - powiedziała niepewnie do Björna - ale mój przyjaciel...

- Bez jakiego zaproszenia? - przerwał jej Norweg. - Robert ma do nas stałe zaproszenie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Już się baliśmy, że nigdy do nas nie przyjedzie.

- Robert?

Tamara przestawała już rozumieć cokolwiek.

Witalij podszedł do nich. Został natychmiast zaprezentowany sąsiadom jako Robert Lee.

- Robert to moje drugie imię, a nazwisko Lee, to po ojcu. - Kłamał jak z nut. - Czasem używam go na Zachodzie. Nie lubię jak mi rosyjskie nazwisko przekręcają. Brzmi Witalij Jakuszyn. Szczególnie Anglosasi dają tu popis. Wymawiają „dżekjuszyn”. Denerwujące.

Norwegowie pokiwali głowami ze zrozumieniem. Tamara nie wyglądała na przekonaną.

- Twój ojciec nie jest Rosjaninem? - spytała, patrząc mu w oczy.

- Był Amerykaninem. Tak przynajmniej twierdziła mama. Podobno już nie żyje. Nigdy go nie poznałem. Rodzinne mezalianse. Kto by się w tym połapał.

Usłyszeli dziecinny głos. Malutka blondyneczka biegła w ich stronę z przeciągłym okrzykiem: „Robert!” na ustach. Witalij odwrócił się w jej stronę. Skoczyła mu w ramiona. On ją podniósł, a dziewczynka objęła go mocno za szyję. Po krótkim wylewie czułości postawił ją na ziemi. Natychmiast złapała go za rękę i z całej siły pociągnęła za sobą.

- Chodź. Będiesz mnie huśtał - zakomenderowała.

Jakuszyn zrobił minę wyrażającą: „Co zrobić. Siła wyższa”, i dał się zaprowadzić do huśtawki. Odprowadził ich przepelniony ojcowską miłością wzrok Björna Bergena. Hella

Bergen tymczasem uwijała się nieopodal przy ogrodowym stole obok grilla. Ustawiała sałatki i napoje. Widocznie mięso już było gotowe.

- Co takiego Witalij dla was zrobił? - spytała ojca małej Karen. - Traktujecie go jak najbliższą rodzinę.

- Nie mówił?

- Mam wrażenie, że jeszcze wiele rzeczy mi nie mówił - stwierdziła i wydeła usta.

- Uratował nam dziecko w Tajlandii.

- Jak to?

- Porwali ją bandyci. Chcieli Karen nerkę wyciąć, żeby sprzedać na przeszczep. Policja była bezsilna. Kazali nam czekać i mieć nadzieję, że Karen w ogóle do nas wróci. Mówili, że z jedną nerką też można żyć. Normalnie straszne rzeczy mówili.

- I co?

- Robert, to znaczy Witalij, małą odszukał, uwolnił i przywiózł do hotelu. Wyobrażasz sobie Tamaro, co przeżyliśmy?

- Jak to zrobił?

- Nie wiem. Nie chciał powiedzieć, a my nie pytaliśmy. Nie to było ważne. - Westchnął głęboko. W tym westchnieniu dało się zauważyć ulgę. Ulgę, że wydarzenia związane z porwaniem Karen to przeszłość, która nigdy już nie wróci. Cała czwórka patrzyła na Witalija Jakuszyna huśtającego małą dziewczynkę w drugiej części podwórza. - To normalnie jest święty człowiek - dodał Björn. - Nie chciał ani pieniędzy, ani nic. Jeszcze nam bilety lotnicze kupił, żebyśmy szybko do domu mogli wrócić. Trzymaj go mocno, bo święty człowiek ci się trafił.

- Przepraszam was na chwilę - powiedziała do towarzystwa. - Pójdę do tego świętego człowieka i przy okazji przedstawię się Karen. Tylko z nią jeszcze się nie poznałam.

- Oczywiście. - Björn posłał jej przyjazny uśmiech. - Zaraz was zawołamy do stołu.

Podeszła do huśtawki.

- Cześć, Karen - powiedziała do szybującej w powietrzu dziewczynki. - My się jeszcze chyba nie znamy.

- Robert mówi, że nazywasz się Tamara - odpowiedziała mała Norweżka. - I mówi, że jesteś bardzo fajna.

- Nooo. - W jej głosie zabrzmiało zadowolenie. - I coś jeszcze ci o mnie powiedział?

- Że cię lubi.

- Zostałem poddany regularnemu przesłuchaniu na twój temat - powiedział Witalij. - Nie myśl sobie, że Karen cię nie zauważyła.



- I że jesteś panią doktor - dorzuciła dziewczynka. - A ty lubisz Roberta?

- Pewnie, że lubię.

Tamara spojrzała na Rosjanina i uśmiechnęła się zagadkowo. Rozmowa z Karen robiła się coraz ciekawsza i przyjemniejsza. Tymczasem dziewczynka, szurając stopami o ziemię, zatrzymała huśtawkę. Przyjrzała się obojgu dorosłym.

- To chyba się ożenicie i będziecie mieli córeczkę - oznajmiła ze znawstwem.

- Dlaczego córeczkę? - spytał Witalij.

- Bo jak do mnie przyjedziecie, to żebym miała się z kim bawić. Chłopaki są durne. U nas w przedszkolu nie można z nimi wytrzymać. Tylko się wygłupiają - stwierdziła ze śmiertelnie poważną miną.

Tamara i Witalij spojrzeli po sobie rozbawieni. Hella Bergen zawołała całą trójkę na jedzenie. Karen wystrzeliła jak z procy. Pierwsza usadowiła się na krześle. Głośno komentowała nakładane kawałki mięsa. Przebierała i próbowała dyrygować, który kawałek dla kogo. Dorośli nie słuchali. Zmarszczyła nosek i zrobiła minkę urażonej kotki.

- Zostaniecie u nas choć na parę dni, dobrze? - Hella szepnęła pytanie do ucha Tamary.

- Nie wiem, Witalij...

- Jego biorę na siebie. Zostaniecie.

## ROZDZIAŁ 36

### *Demokratyczna Republika Konga*

Czarna terenowa Toyota Land Cruiser wjechała na plac przed barakiem. Wsiadł z niej Jonas Banks, weteran amerykańskich zielonych beretów, który za namową Wiktora w wolnych chwilach zajmował się szkoleniem Maćka w strzelaniu. Uczył chłopaka jak rozpoznawać i eliminować cel w ciemnościach, we mgle i przy jaskrawym świetle słonecznym.

Amerikanin był wysoki. Miał długie, mocno kręcone włosy z przedziałkiem na prawo, zachodzące na oczy i uszy. Z tego powodu przypominał trochę Micka Hucknalla z zespołu Simply Red, z tym tylko, że angielski wokalista miał fryzurę koloru rudego, a Jonas był ciemnym blondynem.

Wiktor natychmiast dostrzegł, że zielony beret ma minę daleką od zadowolenia. Klął pod nosem, na czym świat stoi. Trzasnął drzwiami samochodu.

- Jak sojusznicy? - spytał Polak.

- Angole? Kurwa ich mać. - Jonas Banks nie był zdenerwowany. Był wściekły. - Powiedzieli, skurwysyny, że nie ruszą dupy i nie będą interweniować. - Splunął na ziemię. - Niech się czarni wyrzynają. A że tam są kobiety i dzieci i regularna rzeź, to mają w dupie. Im, kurwa, prawie pod samym nosem.

- Mówiłem ci. Angol to zawsze Angol. Dbają tylko o własne interesy i dobrze na tym wychodzą.

- Kurwa. - Najwidoczniej Amerykanin zgadzał się ze słowami Wiktora. - Mówili, że bez rozkazu nic nie zrobią.

- A rozkaz przychodzi z centrali w Anglii. Wykręcają się, jak zwykle. Skąd ja to znam?

- Przecież oni po to tu są, żeby zapobiegać takim rzeczom.

- Wasz dziennikarz kiedyś powiedział, jak wyjeżdżał z wysp: z Anglikiem można zrobić tylko jedno, dać mu po mordzie.

- Święte, kurwa, słowa.

- Ale ja co innego chciałem. Jak Maciek sobie radzi?

- Młody? Kurwa, zdolny gówniarz. Łapie wszystko w lot. Skądżeś go wytrzasnął?  
- Kolega prosił mnie, żebym go schował. Ktoś chce go odstrzelić.  
- Żartujesz.  
- Nie. Podpadł jednemu Ruskiemu. Jego wujek prostuje sprawy.  
- A ten jego wujek, to kto?  
- Stary towarzysz. Adam Gawlik.  
- Czekaj, czekaj. Ten Gawlik, co z naszymi był w Somalii w '93?  
- Ten sam.  
- Jasna cholera! Słyszałem, że nie żyje.  
- Bo oficjalnie nie żył do 2001. Potem robił zlecenia dla CIA i coś tam jeszcze.  
- No, jak młody ma takiego wujka, to będą z niego ludzie. Jeszcze trochę tu u nas posiedzi i sam Ruskiemu nakopie do dupy.

- Znaczy możemy Maćka brać do rzeźni?

Jonas się zastanowił.

- Daj mi jeszcze dwa, może trzy dni. Potem będzie gotowy na rzeźnię.  
- Super. Nie widziałeś go gdzieś? Nie ma go w baraku.  
- Widziałem. Przy bramie Amir młodego nieźle po swojemu przecołał. Potem go Siergiej przejął i pewnie teraz ćwiczy go w tych swoich rosyjskich sztuczkiach z saperką.  
- Amir pojechał w konwoju?  
- Aha. - Banks pokiwał głową twierdząco. - Jeszcze paru chłopaków. Mają wrócić pod wieczór. - Amerykanin potarł dłońmi twarz. - Idę się, kurwa, przekimać, bo pół nocy się z tymi angielskimi sukinsynami użerałem. Na razie.

Jonas zniknął w baraku. Wiktor poszedł w stronę bramy. Zgarnie Maćka i pojedą poza teren przedsiębiorstwa. Pokaże mu trochę prawdziwego, afrykańskiego życia. Chłopak nie ruszał się jeszcze ani razu na zewnątrz, a był tu już prawie dwa tygodnie.

Zastał Siergieja i Maćka zajętych ćwiczeniami. Siergiej dawał głośno instrukcje, a chłopak próbował się skupić i bez szemrania robił to, co mu Rosjanin kazał. Z odległości jakichś sześciu, siedmiu metrów rzucał saperką we wspartą na ogrodzeniu deskę. Ostrze saperki trafiało i wbijało się średnio dziewięć razy na dziesięć rzutów. Wiktor pomyślał, że to całkiem niezły wynik, ale Siergiej nie był zadowolony.

- Masz trafiać za każdym razem! - krzyczał do młodego Polaka. - Jak nie trafisz, to ci wróg flaki wypruje! Skup się młody, job twoja mać. - Jak było widać, ksywka „młody” przyłgnęła do Maćka na dobre.

Maciek ćwiczył z zaciśniętymi zębami. Nie zauważył przyglądającego mu się

Wiktora. Siergiej odwrócił głowę. Podszedł do polskiego towarzysza.

- *Maladiec* ten twój. Daje radę - powiedział półgłosem do Bułata tak, żeby Maciek nie słyszał. - Pojętny, *swołocz*.

- Jakby cię kto podsłuchał, to pomyślałby, że z debilem pracujesz. Pochwaliłeś go chociaż z raz?

- Zgłupiał? Po co? Nie jestem tu od chwalenia, tylko żeby młodego czegoś nauczyć. Żeby w razie co z życiem uszedł.

- Mówisz jak surowy ojciec.

Siergiej skrzywił się.

- Chyba polubiłem gnojka. Ma charakter. Nie odpuszcza. Też taki byłem w jego wieku.

- Sentymentalny się robisz, Sierioża. To starość. - Wiktor klepnął go po ramieniu.

- A idźże ty w czorty! - zachnął się Rosjanin. Maciek przerwał ćwiczenia i spojrzał w ich stronę. - Powiedział, co wiedział. W treningu przeszkadzasz. Poszedłbyś sobie.

Polak wybuchnął serdecznym śmiechem. Znał Siergieja od lat. Był to niezwykle twardy facet, ale gdzieś bardzo głęboko kryło się w nim gołębie serce. Zupełnie niepasujące do żołnierza najemnego, weterana sił specjalnych. Rosjanin nigdy nie lubił, jak te ludzkie uczucia wypływały na wierzch, co zresztą zdarzało się niezwykle rzadko, w wyjątkowych sytuacjach.

- Zabieram ci ucznia. Jedziemy na zewnątrz. Maciek! - Przywołał chłopaka ruchem głowy.

Maciek jeszcze raz się zamachnął i saperka wzorcowo wbiła się w sam środek deski. Młody popatrzył na nauczyciela. Oczekiwał uznania.

- No - Rosjanin skwitował jego robiący wrażenie wyczyn, niczym powieściowy Nikodem Dyzma. - Jak wrócisz, to powalczymy.

Podszedł do deski, wyciągnął saperkę, złożył i schował za pas. Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku kopalni.

- Czasami Siergieja nie rozumiem. - Maciek patrzył za odchodzącym. - Jak na początku mi nic nie wychodziło, to cierpliwie mi wszystko tłumaczył. Teraz drze się za każdą pierdołę. Nawet jak rękę źle ułożę. Jak nie ćwiczymy, to sypie, kurde, dowcipami, a jak się bierzemy do roboty, to bez kija nie podchodź.

- Ciesz się, że masz takiego nauczyciela. I powiem ci w tajemnicy, że Siergiej naprawdę cię lubi. Pamiętaj, to niekiepskie wyróżnienie.

- Lubi? Sam słyszałeś, jak się na mnie darł.

- Wiem co mówię, młody. Włazłeś mu pod skórę. Siergiej nigdy nie miał rodziny. Tak mi się widzi, że ciebie traktuje trochę jak syna.

- Poważnie?

- Jedziemy na wycieczkę. Wskakuj do Nissana. - Wiktor ruchem brody pokazał stojącego kilkadziesiąt metrów od nich niemiłosiernie brudnego pickupa. - Ja coś jeszcze wezmę z administracyjnego.

Maciek o nic nie pytał. Usadowił się na siedzeniu pasażera i czekał. Znowu zaczął myśleć o Magdzie. Gdzie teraz była? Co robiła? A przede wszystkim, co myślała o nim? Wystawił ją. Na ślub Anity mieli iść razem. Żeby chociaż mógł się z nią skontaktować w jakikolwiek sposób. Niestety, Adam zakazał wszelkich kontaktów. Telefon był absolutnie wykluczony. Wysłać z wiadomością nie miał kogo. Może list? Gdyby napisał list bez adresu zwrotnego? Może w ten sposób da jej znać, co się z nim dzieje. Taki list będzie szedł ze dwa tygodnie. Kto wie, ile jeszcze czasu będzie musiał tu siedzieć. Zakładając, oczywiście, że Adam poradzi sobie z tymi bandziorami, co go chcieli zabić. Bo jak nie... nie chciał nawet myśleć, co by było, gdyby wujowi się nie udało. Nie daj Boże.

Maciek nie zdawał sobie w pełni sprawy, z jak bardzo potężną organizacją niechęcy zadarł. Nie wiedział też do końca, jakimi możliwościami i doświadczeniem dysponuje Adam Gawlik. Szykowało się starcie gigantów. W porównaniu z nimi on wciąż był jedynie kruchym elementem, którego jedna strona chciała się pozbyć.

Wiktor wrzucił na pakę dwie drewniane skrzynie. Zajął miejsce za kierownicą i ruszyli do bramy wyjazdowej z otwartymi po obu stronach oknami. Klimatyzacja nie działała. Uszkodziła ją przypadkowa kula podczas jednego z wypadów, nie było specjalnie możliwości, by uszkodzenie naprawić.

Maciek po raz pierwszy mógł obserwować dziki afrykański krajobraz. Do przedsiębiorstwa wydobywczego przybył śmigłowcem, a Afryka z ziemi wyglądała zupełnie inaczej niż z powietrza. Jechali drogą jakby wyrąbaną w ścianie zarośli. Potem przesuwali się wśród wysokich na wzrost dorosłego człowieka traw, by wjechać na otwartą przestrzeń, gdzie w oddali można było dostrzec pasące się antylopy.

- Amir mówił, że wyjazdy z kopalni są niebezpieczne.

W głosie Maćka zabrzmiał lekki niepokój w głosie,

- Bo są - odpowiedział Wiktor zdawkowo.

Młody popatrzył na kierowcę speszony Bułat wydawał się w najmniejszym stopniu nie przejmować ewentualnym zagrożeniem.

- Jesteś pewny, że nie powinniśmy wyjeżdżać w większej grupie?

- Może. - Żołnierz najwyraźniej nie był skory do rozmowy.

- I taki spokojny jesteś?

- Niedaleko stacjonują Brytyjczycy. Nas też się bandyci boją. Raczej się tu nie zapuszczają.

Słowa Wiktora uspokoiły chłopaka. Jechali dłuższy czas w milczeniu. Maciek podziwiał afrykańską przyrodę. Byłby zachwycony, mogąc tu kiedyś wrócić nie jako uciekinier, ale turysta, razem z Magdą, we dwoje. Rozmarzył się.

- Gdzie my właściwie jedziemy? - zadał pytanie, które powinno było paść na początku drogi.

- Zobaczysz. Już niedaleko.

Rzeczywiście, wkrótce dotarli na miejsce. Wjechali na teren afrykańskiej wioski. Po obu stronach drogi stały prymitywne domy pokryte dachem z gałęzi i zarośli, na progu których krzątały się kobiety, bawiły się dzieci, a mężczyźni albo siedzieli beczynnie, leniwie obserwując ruch w wiosce, albo zajęci byli dłubaniem w drewnie, albo głośno dyskutowali o sobie tylko wiadomych sprawach.

Uderzała panująca tu atmosfera, zgoła odmienna od tego, co się często widzi w europejskiej telewizji. Ci ludzie wcale nie wyglądali na nieszczęśliwych. Wręcz przeciwnie, byli pogodni, niejednokrotnie śmiali się w głos, a czarne maluchy tryskały radością i entuzjazmem.

Mieszkańcy śledzili wzrokiem przejeżdżający samochód. Nie było w tym spojrzeniu strachu czy wszechobecnego w Afryce przygnębienia. Niektórzy machali przyjaźnie do białych. Ich przyjazd nikogo nie zaskoczył, nie zaciekawiał. Maciek doszedł do wniosku, że terenowy Nissan nie pojawia się tu po raz pierwszy.

Zatrzymali się kilkanaście metrów przed jednym z niewielu tutaj murowanych domów, z którego wybiegła im na powitanie gromadka dzieciaków. Zaraz za nimi w drzwiach pojawiła się biała kobieta. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Miała na sobie krótkie zielone spodnie z kieszeniami po bokach i białą koszulkę na ramiączkach. Była nawet ładna, mimo nieciekawej fryzury, krótko ściętej „na chłopaka”. Wyraźnie ucieszyła się na ich widok. Uśmiechnęła się, uniosła i pomachała do nich. Zeszła z niskiej werandy po czterech schodkach. Objęła i uściskała Wiktora jak najbliższego przyjaciela. Podeszła do Maćka, zmierzyła go od stóp do głów.

- Witaj, kolego. Martyna jestem - powiedziała po polsku. Nie podała mu ręki. - A ty?

- Maciek. Maciek Burdzik. - Przedstawił się i wyciągnął do niej dłoń.

Zignorowała gest. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zrobiła klasycznego „misia”, jak

wcześniej z Wiktorem. Maciek poczuł się trochę zażenowany tą wylewnością.

- Chodźcie chłopaki. Dam wam coś do picia.

- Chwila moment. - Żołnierz poszedł do tyłu samochodu. - Maciek, pomóż mi.

Student dostał w ręce jedną przykrytą brezentowym materiałem skrzynię. Drugą wziął Bułat. Ciężkie były jak jasna cholera, ale Maciek w żadnym razie nie dał po sobie poznać wysiłku, który musiał włożyć w niesienie ich do domu.

- Co tam macie? - zainteresowała się Martyna.

- Trochę puszek, ale przede wszystkim jabłka - odparł Wiktor. - Chciałaś jabłka, masz jabłka.

- Żartujesz. Naprawdę? Złoty chłopak jesteś!

Kobieta nie posiadała się z radości. Ucałowała Bułata.

Maćkowi dobrą chwilę zajęło zrozumienie, czym się tak cieszy. Jabłka u nas nie są niczym nadzwyczajnym. W Afryce są rarytasem, drogim i trudno dostępnym.

- Gdzie postawić?

Wiktor rozglądał się po całkiem sporym, schludnym pomieszczeniu, które służyło zapewne jako kuchnia i jadalnia dla większej ilości ludzi, sądząc po długim na co najmniej dziesięć metrów drewnianym stole zajmującym środek wnętrza domu.

- Najlepiej na stole. Zaraz rozpakujemy te skarby, coście przywieźli. - Zajrzała do skrzyń i rozpromieniła się jeszcze bardziej. - Nie dziw się, Maćku - zwróciła się do studenta. - Dla nas tutaj na misji takie rzeczy to prawdziwy skarb.

- Pani jest misjonarką? - zadał głupie pytanie zanim zdążył pomyśleć.

- Nie nazywaj mnie „pani”. Mówiłam ci już, Martyna jestem. My tu wszyscy sobie „ty” mówimy. Nawet do księdza.

- No właśnie - podchwycił Wiktor. - A gdzie księżulo się podziewa?

- Coś w pompie przy studni się zepsuło. Poszedł naprawiać. O, widzisz. Może byś im tam pomógł, bo jak ksiądz zacznie grzebać, to bieda będzie. Sam wiesz.

- Tak jest. - Polak zsalutował. Martyna popatrzyła na niego z politowaniem. - Zrobi się.

- Ty, Maćku, zostań. Pogadamy sobie trochę. Nie ma tu do kogo po polsku gęby otworzyć.

Wiktor wyszedł.

- A ksiądz?

- Misjonarz z Australii. Tylko po angielsku. - Rozpakowywała skrzynie i upychała puszkowane i hermetycznie foliowane produkty w przepaścistych szafkach na ścianach. -

Pomożesz mi upiec jabłecznik.

- Ja? - zdziwił się chłopak. - Nie umiem piec.

- To się nauczysz. Przyda ci się. Żona będzie miała z ciebie pożytek. Masz dziewczynę? - spytała prosto z mostu.

- Mam. Została w Polsce.

W jednej chwili spowaźniał, co nie uszło uwadze Martynty.

- Tak na moje oko, to trochę za młody jesteś do tego fachu... - stwierdziła i przestała na chwilę rozpakowywać skrzynie.

- Fachu, jak Wiktor?

- Jak Wiktor.

- Nie jestem żołnierzem.

- A widzisz. Od razu mi jakoś nie pasowałeś. To co tu w ogóle robisz?

- Z Polski musiałem uciekać.

- Dlaczego?

- Nie wolno mi mówić. Wiktor by mi łeb urwał.

- Mi możesz. Nie wygadam. Daję ci słowo. - Martyna wzbudzała zaufanie. Biła od niej życzliwość i szczerłość. - Chyba że bardzo nie chcesz, to nie musisz.

- Podpadłem jednej organizacji przestępczej. Rosyjskiej. Chcieli mnie zabić.

- Jezu, co zrobiłeś?

- Złamałem ich systemy informatyczne i spenetrowałem bazy danych.

- Kurcze, i co teraz zrobisz?

- Wiktor mnie tu ukrywa, a mój wujek odkręca całą sprawę.

- Ten twój wujek to policjant?

- Żołnierz. Jak Wiktor. Podobno policja nie jest w stanie nic zrobić.

- Bidaku, ciężko ci pewnie. Twoja dziewczyna wie? Jak ma na imię?

- Magda. Nie wie. Wyjechałem, jak to się mówi „bez pożegnania”. Musiałem.

Podeszła do siedzącego na ławie chłopaka. Położyła mu dłoń z tyłu głowy.

- Wszystko się jakoś ułoży. Zobaczysz. Pan Bóg prostuje nawet najbardziej kręte drogi. Wiem coś o tym. - Maciek był jej niewymownie wdzięczny za te słowa płynące prosto z serca. - Ale teraz pomóż mi. Wyciągnę trochę jabłek, a ty postaw skrzynkę tam w kącie. Bierzemy się za ciasto. Ksiądz będzie wniebowzięty.

Do pomieszczenia wpadły jak huragan trzy dwunastoletnie, może trzynastoletnie Murzynki. Zatrzymały się w progu trochę zawstydzone jego obecnością. Zaczęły szeptać do siebie po francusku i chichotać dyskretnie. Rzucaly nieśmiałe spojrzenia w jego kierunku.



Zapytały o coś Martynę. Kobieta odpowiedziała w kilku słowach. Maciek nie znał francuskiego, ale czuł, że mowa jest o nim.

- O co chodzi? - nie wytrzymał. - Coś nie tak?

- Dziewczyny mówią, że jak na białego jesteś bardzo przystojny. Pytają, czy masz żonę.

- I co powiedziałaś?

- Że masz narzeczoną w Polsce.

- One wiedzą, gdzie jest Polska?

- Pewnie, że wiedzą. Myślisz, że po co tu jestem? Dzieci w Afryce muszą z najwyższym czasem wysiłkiem sięgać po to, co u nas w Europie leży na ziemi. Ale to nie znaczy, że są głupie.

- Nie miałem tego na myśli.

- Wiem.

Maciek popatrzył na kongijskie nastolatki. Chciał się jakoś zachować. Coś powiedzieć, pozdrowić.

- Rozumieją po angielsku?

- Nieszczęśliwie. Nasz ksiądz też do nich mówi głównie po francusku. A co? Jak chcesz, to przetłumaczę.

- Powiedz im, że one też są bardzo ładne.

- Nie radzę - zaproponowała Martyna. - Mogą sobie Bóg wie co wyobrazić. A narzeczone w Polsce czeka... - dodała niby mimochodem. - Ty jesteś dla nich jak książkę z bajki. Jak rycerz na białym koniu, który może którąś zabrać do świata ich marzeń.

Jedna z dziewczyn zwróciła się do niego z pytaniem.

- Co mówi? - Maciek popatrzył na Polkę.

- Pyta, czy to prawda, że w Polsce wszystkie kobiety gołą sobie nogi. Kiedyś mnie podpatrzyła.

- Prawda - potwierdził, a misjonarka przetłumaczyła. Nastolatki zachichotały i zaczęły znowu szeptać między sobą.

- Dla nich to bardzo dziwny zwyczaj. One tutaj gołą sobie głowy. - Pośpieszyła z wyjaśnieniem Martyna.

- Powiedz im, że pieczemy razem ciasto i niech się czują zaproszone.

Martyna przetłumaczyła jego słowa na francuski. Dziewczyny wybuchnęły głośnym śmiechem i uciekły na zewnątrz.

- Czyli możemy się spokojnie zabierać za jabłecznik. Martyna zaczęła przeszukiwać

szafki. Po chwili wyjęła papierową torebkę z mąką.

- Co im się stało? - Maciek był zaskoczony reakcją nastolatek. - Powiedziałem coś nie tak?

- Nie, dlaczego? Tutaj pieczenie ciasta to babska robota. Bardzo je twoje wyznianie ubawiło. Tyle.

- No to się, kurde, zbłąźniłem.

- Co się przejmujesz? Jesteś Europejczyk. Co cię obchodzi opinia małaolat?

- Gadać będą.

Popatrzyła na niego jak starsza siostra na młodszego brata, który jeszcze mało ma w głowie poukładane.

- Wy, faceci, to jesteście naprawdę dziwne istoty. Rozumu trochę macie, ale zdrowego rozsądku za grosz.

- Łatwo ci mówić. Nie ciebie będą obgadywać. - Maciek spojrział na produkty rozłożone na stole. Martyna uśmiechnęła się pod nosem. - Co mam robić?

- Weź się za nóż i obieraj jabłka. Tylko jak najcieniej. Jabłka są tutaj na wagę złota. Jak woda, zresztą.

- Woda?

- No. Spróbuj kiedyś się cały umyć w czterech litrach wody. Zrozumiesz, o czym mówię. Chociaż pewnie nie zrozumiesz, bo u was, żołnierzy, higiena osobista nie jest priorytetem.

- Nie jestem żołnierzem - przypomniał jej.

- Faktycznie. Zapomniałam.

Przyglądała się jego wysiłkom, żeby obierać cienko. Radził sobie całkiem nieźle. Większość mężczyzn poległaby na tym babskim zadaniu.

- Będą z ciebie ludzie, Maćku - pochwaliła go z uśmiechem.

- Już to kiedyś słyszałem. Tylko że w innym kontekście.

- Nie będę zgadywała, w jakim.

W drzwiach pojawił się Wiktor wraz z brodatym, przysadzistym jegomościem, który już na pierwszy rzut oka przypominał postać krasnoluda z trylogii „Władca pierścieni”. Jedyne co ich różniło, to roześmiane oczy u człowieka wchodzącego do domu i mniejsza ilość owłosienia na głowie i twarzy. Na widok Maćka rozłożył szeroko ramiona i roześmiał się od ucha do ucha.

- Kogóż tu nam Pan Bóg zesłał! - podbiegł do zaskoczonego studenta i chwycił go za rękę, potrząsając nimi energicznie. - Witaj, młody przyjacielu. Cieszę się, że Wiktor cię do

nas przyprowadził. Jestem brat Tony, Tony O'Brien. Misjonarz.

Sądząc po ubiorze, Tony wyglądał raczej na wagabundę niż misjonarza. Jedynie różaniec za pasem odróżniał go od ludzi świeckich.

- Nazywam się Maciek Burdzik - wybąkał chłopak oszołomiony tak wylewnym powitaniem. - Bardzo mi miło.

- A co wy tu robicie? - Australijczyk skupił się na produktach do ciasta. - Jabłka macie?

- Ty się Tony nie interesuj - odpowiedziała Martyna. - Jak będzie gotowe, to sam zobaczysz. Niespodzianka. Możecie już iść do swojej roboty. My tu z Maćkiem zrobimy co trzeba. Sio, chłopcy.

- Matko Boska! - wykrzyknął misjonarz. - Tu się jabłecznik robi!

Przybrał wygląd psa, któremu pokazano wielką, soczystą kość.

- A robi się - potwierdziła Polka. - A co?

- Na kruchym cieście?

- Na kruchym.

- O, wszyscy święci. - Tony wyrzucił ręce w górę, jakby przywoływał Bożej pomocy.

- Jedno dzisiaj na wieczór, na ślub Olisa i Aishy. A drugie nie wiem jeszcze komu dam - droczyła się z „krasnołudem”.

- Martynko, kochanie, mi daj, swojemu ulubionemu księżulkowi. Zapomniałaś? - powiedział błagalnym tonem.

Kobieta parsknęła śmiechem. Uwielbiała te jego wygłupy. Maciek przyglądał się scenie zdumiony w najwyższym stopniu. W życiu by mu przez myśl nawet nie przeszło, że osoba duchowna może zachowywać się w taki sposób. Zero kościelnej powagi. Zero dostojeństwa. Niebywałe.

- No dobrze, już dobrze. Drugie będzie dla ciebie - przyznała wreszcie - ale podzielisz się z gośćmi. Teraz już naprawdę nie przeszkadzajcie. Zajmijcie się czymś. Pomóżcie może w przygotowaniach do ślubu.

- Nie daj się wykorzystywać, Maciek. - Australijczyk powiedział teatralnym szeptem do młodego Polaka.

- Tony, bo się rozmyślę - zagroziła Martyna.

- A czy ja coś mówiłem? Wiktor, powiedz.

- Ja nic nie słyszałem - stwierdził żołnierz z niewinną miną.

- Uciekać mi, ale już - powiedziała Martyna z udawaną złością.

Kiedy mężczyźni wyszli, Maciek wypuścił głośno powietrze.

- To był ksiądz? - Zdumienie go nie opuszczało.

- A co, inny, niż się spodziewałeś?

Martyna wyciągnęła stolnicę i zabrała się za zagniatanie ciasta.

- Inny? Jestem w szoku.

- Jak w Afryce trochę pobędziesz, to jeszcze nie raz będziesz w szoku. Możesz mi wierzyć. Ale co z tymi jabłkami? Coś ci słabo idzie.

Chłopak zaczął obierać owoce ze zdwojoną energią.

- Co to za ślub dzisiaj? Ten, co rozmawialiście? - spytał, nie podnosząc wzroku znad pracy.

- Sam zobaczysz. Ty i Wiktor jesteście zaproszeni.

\*

Ślubu w tradycyjnym chrześcijańskim stylu udzielał młodym Kongijczykom misjonarz. Nie obyło się przy tym bez śmiechów, żartów, nierzadko niewybrednych pod adresem męskości pana młodego, wielkiego, czarnego jak heban chłopaka. Jego wybranka, dość przeciętnej urody dziewczyna, o jaśniejszej karnacji, śmiała się w głos i klaskała w dłonie. Zgromadzeni ludzie przyśpiewywali w swoim narzeczu. Panowała ogólna, udzielająca się radość. Nikt się nie obrażał, nikt nie przejmował się żadnymi konwenansami. Nikt nikomu nie zazdrościł. Ludzie cieszyli się szczęściem innych. Byli biedni, nawet bardzo biedni, biorąc pod uwagę europejskie standardy, ale uśmiechem i radością życia mogliby obdzielić całą masę nieporównywalnie zamożniejszych od nich Europejczyków.

Po ceremonii zaślubin zabawa rozkręciła się na dobre. Rozpalone zostało ogromne ognisko, wokół którego zgromadzili się „weselnicy”. Rozpoczęły się tańce, śpiewy do wtóru muzyki wygrywanej na tradycyjnych afrykańskich instrumentach, głównie bębnach.

Martyna bezzwłocznie postanowiła się włączyć do zabawy. Ni stąd, ni zowąd chwyciła Maćka za rękę i wyciągnęła z kręgu w stronę ogniska, gdzie pierwsi tancerze kołysali się i przytupywali w charakterystyczny sposób, obchodząc ognisko dookoła. Student w pierwszej chwili opierał się.

- Co się wygłupiasz? - Martyna ani myślała odpuścić. - Sama nie będę tańczyła. Chodź szybko.

- Ruszaj, młody, jak kobieta prosi - przynaglił go Wiktor. - Dalej.

Tymczasem australijski misjonarz wstał i podrygiwał w rytm wybijany na bębnach przez lokalnych muzyków. Wyglądał przezabawnie, gdy podskakiwał z nogi na nogę i wymachiwał łokciami do przodu i do tyłu. Chwilę potem wskoczył w kołyszący się tłum.

Maciek dał się wciągnąć Polce w tańczący tłumek. Wyginała się z gracją, jak na

regularnej europejskiej dyskoteci. Młody próbował dotrzymać jej kroku, naśladowując jej miłe dla oka ruchy. Wychodziło mu średnio, więc zaczął imitować prosty murzyński taniec polegający w większości na rytmicznej pracy nóg.

Kilka godzin później, gdy impreza trwała w najlepsze, Wiktor pociągnął rozbawionego Maćka za rękaw.

- Czas na nas, Maciek - powiedział głośno, by przekrzyczeć panujący harmider. - Wracamy.

- No co ty, Wiktor? Fajnie jest - jęknął Maciek.

- Zbieraj się. Nie jesteśmy na wakacjach.

Odwrócił się do Martyny

- Martyna, powiedz coś.

- Rób jak mówi Wiktor, Maciuś - poparła żołnierza misjonarka. - Następnym razem się pobawimy. Jeszcze nie raz.

Objęła go na pożegnanie.

- Do samochodu - zakomenderował Bułat i ruszył w kierunku stojącego nieopodal Nissana.

Maciek posłusznie poszedł za „przyzwoitką”. Wiktor pożegnał się z Tonym uniesioną ręką. Tańczący kilka metrów dalej Australijczyk pomachał mu energicznie.

\*

Następnego dnia Maciek miał trochę czasu dla siebie. Położył zdobytą od jednego inżyniera kopertę na szafce. Usiadł na łóżku, oparł notatnik z kartkami w linię na kolanach i wziął do ręki długopis. Dzisiaj wychodzi poczta. Dołoży swój list do Magdy, bez nazwiska, bez adresu zwrotnego. Pełna konspiracja. Nie będzie żadnych problemów. Nikt się nie dowie gdzie jest.

Zastanawiał się, jak zacząć. Włożył końcówkę długopisu do ust. Nigdy nie umiał pisać listów, zresztą jak ogromna większość mężczyzn. A ten list był niezwykle ważny. Musiał wyjaśniać, przekonywać i przeproszać. Musiał to zrobić skutecznie. Na tyle skutecznie, by nie stracić dziewczyny, która była dla niego wszystkim. Zaczął pisać.

Z każdym słowem, każdym ułożonym zdaniem szło mu coraz lepiej. Wylewał z siebie myśli na papier, szczerze, prosto z serca. Pisał o uczuciach, emocjach i tęsknocie. Tekst był bardzo osobisty, przeznaczony jedynie dla jej oczu.

Do pokoju wszedł Wiktor. Położył się na swoim łóżku z rękoma pod głowę. Patrzył w sufit.

- Co robisz? - spytał pochłoniętego pisaniem Maćka.

- Piszę list.

- Co? - Wiktor uniósł się na łokciach. - Co za list?

- No list. Normalny list. Do wysłania.

Mężczyzna wstał i podszedł do chłopaka.

- Pokaż - zażądał.

Student spojrzał na niego z wyrzutem.

- Nie słyszałeś o tajemnicy korespondencji?

- Nie słyszałem.

Wiktor jednym szybkim ruchem wyrwał mu brulion z ręki. Przebiegł wzrokiem początek tekstu.

- Hej! - zaprotestował głośno Maciek. - Co ty, do cholery, wyprawiasz?!

Mężczyzna wyrwał zapisane kartki i podarł je na strzępy. Był wściekły.

- Kurwa, odjebało ci, gówniarzu?! - wrzasnął.

- O co ci chodzi? - Maciek poczuł się niepewnie. - Chciałem wysłać bez nazwiska i adresu.

Bułat wyciągnął pistolet i przeładował. Włożył broń Maćkowi do ręki.

- Masz. Strzel sobie w ten durny łeb. Zaoszczędzisz im kłopotu. Będzie prościej.

Do młodego z całą mocą dotarło, jakie byłyby konsekwencje tego nieodpowiedzialnego postępu. Ludzie Jakuszyna odnaleźliby go bez większych problemów. Wtedy nawet towarzystwo komandosów klasy Wiktora, Amira, Jonasa i Siergieja nie uchroniłoby go od niechybnego pożegnania się z życiem. Chłopak odłożył broń na szafkę.

- Przepraszam - powiedział Maciek cicho. Nie patrzył na Wiktora. - To już się nie powtórzy.

Bułat milczał. Świdrował chłopaka wzrokiem. Wściekłość mijała. Emocje opadały. Przysunął sobie krzesło. Maciek podniósł na niego wzrok.

- Posłuchaj, Maciek. Adam kazał mi cię chronić. I ja to będę robił. Czy ci się to podoba, czy nie. Wiem, co czujesz chłopie, ale...

- Skąd możesz wiedzieć? - W Maćku wezbrała fala żalu. Żalu do losu, że nie pozwolił mu normalnie żyć i rzucił go w to zapomniane przez Boga miejsce. - Wy, najemnicy, twardziele ze stali, co wy możecie wiedzieć o uczuciach?

- Zdziwiłbyś się. Ale naprawdę wiem, co czujesz. Bardziej, niż ci się wydaje. - Wiktor zamyślił się. Spojrzał w okno. - Miałem kiedyś, dawno temu, narzeczoną. Tak jak ty. Świata poza nią nie widziałem. Wyobrażasz sobie?

- Ty?

- Niezły numer, co?

- I co z nią jest teraz?

- Już nic. Padła ofiarą moich pokręconych spraw. Warszawski cmentarz.

- Przykro mi - powiedział Maciek szczerze.

- Niepotrzebnie. - Wiktor wstał. - Nie słyszałeś, że czas leczy rany? Ale dosyć opieprzania. Amir kazał ci przyjść. Jutro albo pojutrze zabieramy cię do rzeźni. Musisz być gotowy.

- Jakiej rzeźni?

- Amir ci nie mówił?

- Nie.

- To takie miejsce szkoleniowe. Polskie jednostki specjalne policji BOA tak to nazywają. My tu też. Wchodzi się do ciemnych pomieszczeń i likwiduje zagrożenie. Strzelamy ostrą amunicją. Jak się w rzeźni sprawdzisz, to coś z ciebie będzie. Amir mówi, że dasz radę. Zobaczymy. Teraz ruszaj dupę, bo się Izraelczyk wkurwi i znowu każe ci zapierdalać w słońcu. Dalej.

Maciek zerwał się z łóżka. Nie chciał drażnić Amira, który wyciskał z niego ostatnie poty. Sam się sobie dziwił, że jego organizm potrafi tyle wytrzymać poddany niemal zabójczemu wysiłkowi ćwiczeń opartych na szkoleniach izraelskich elitarnych żołnierzy. Bez taryfy ulgowej.

## ROZDZIAŁ 37

*Wrocław, Polska*

Wystawa fotografii artystycznej cieszyła się sporym powodzeniem. Oprócz klasycznych snobów, dla których po prostu wypadało tutaj dzisiaj być, i którzy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co oglądają, było też trochę młodzieży, głównie studenckiej - prawdziwych odbiorców prezentowanej sztuki. Magda przyszła sama. Miała ochotę oderwać się od przygnębiających myśli. Maciek nie dawał znaku życia już ponad miesiąc. Rodzice zadawali męczące pytania. Ojciec ze swoim „a nie mówiłem” momentami doprowadzał ją do rozpacz. Chciała pobyć sama. Wystawa wydawała się idealnym miejscem. Poza tym można tu było, jak się okazało, obejrzeć kawał naprawdę dobrej fotografii.

Spacerowała wzdłuż ścian, co jakiś czas przepychając się przez podziwiałe dzieła grupki ludzi. Przystawała przy zdjęciach, które wywierały na niej szczególne wrażenie. Tematyka naturalna. Pejzaże, świat przyrody pokazywany z niespodziewanej perspektywy. Mogło się podobać.

Przystanąła przy kolejnym zdjęciu. Barwny zachód słońca. Niby nic nadzwyczajnego, a fascynowało.

- Niezbyt udane - usłyszała za sobą męski głos. Odwróciła głowę. Zobaczyła długowłosego przystojnego chłopaka w mniej więcej jej wieku, ubranego w czarną motocyklową skórę. Patrzył na pracę krytycznie. Bardzo krytycznie. - Chyba ci się nie podoba? - spytał Magdę, nie odrywając wzroku od pracy.

- Dlaczego? Moim zdaniem całkiem udane. Ma w sobie coś intrygującego.

- Źle dobrana perspektywa, światło... Nie. Można to było zrobić dużo lepiej. - Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

- Nie zgadzam się. Widać, że człowiek włożył w to serce. - Magda obstawała przy swoim. Bardziej z przekory niż ze znawstwa. - Może to kwestia wrażliwości.

- Nie. Na pewno nie. Nie włożył w to serca. Tak sobie pstryknął widoczek.

- Autor nie byłby zachwycony.

- W ogóle by go to nie obeszło - stwierdził autorytatywnie.

- Szkoda, że nie możemy tego sprawdzić.



- Czemu? Da się zrobić.

- Znasz autora?

- Całkiem nieźle, o ile ktokolwiek go zna. Tak w ogóle, to Bartek jestem. Bartek Keller. - Skłonił się delikatnie i wyciągnął do niej dłoń.

- Magda. Miło mi. - Uścisnęła mu rękę. - To jak będzie z tym autorem?

- Zaraz...

Zaczął się rozglądać po sali, jakby kogoś szukał. Podeszła do niego starsza, dystyngowana kobieta.

- Panie Bartku. Tu pan jest. Moje najserdeczniejsze gratulacje. Ludzie z branży wypowiadają się o wystawie nadzwyczaj pochlebnie. Panie Bartku, sukces. Prawdziwy sukces.

- Tak? To miło. - Bartek wyglądał na zażenowanego. - Pani Elu, pozwoli pani, to jest moja koleżanka, Magda. - Kobieta wyciągnęła do Magdy rękę z przyjaznym uśmiechem. - Magda poznaj właścicielkę galerii...

- Elżbieta Sobieska - kobieta przedstawiła się z nazwiska. - Jak pani ocenia pracę Bartka?

- Mnie się bardzo podobało, ale tak w ogóle, to....

- Proszę nic więcej nie mówić. Artyści tacy jak Bartek są bardzo wrażliwi. Zostawiam państwa. Nie przeszkadzam. Cieszcie się sukcesem.

Przyłożyła do ucha zaciśniętą dłoń z dwoma przeciwległymi palcami na zewnątrz, dając Bartkowi do zrozumienia, żeby zadzwonił, i oddaliła się w głąb galerii, gdzie przywitała ją głośno grupka eleganckich odwiedzających.

- No, pani Ela powiedziała, żeby cieszyć się moim sukcesem, to zapraszam cię na obiad. Tu niedaleko jest chińska knajpka. Dają fenomenalne jedzenie.

- To chyba nie jest dobry pomysł. Aż tak dobrze się nie znamy.

- No właśnie. Najwyższy czas naprawić ten błąd.

- Nie, wiesz, chyba jednak nie.

Magda krygowała się. W głębi duszy miała nadzieję, że będzie naciskał. Podobał jej się ten artysta. Nie zawiodła się.

- Nie możesz mi tego zrobić. Mam się cieszyć sukcesem w samotności? Serce mi pęknie. Poza tym co powiem pani Eli? Proszę. Coś razem zjemy i się odczepię. Obiecuję.

Dziewczyna rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Dobrze. Niech ci będzie. Ale potem idę w swoją stronę.

Uniósł dwa palce prawej dłoni jak żołnierz do przysięgi.

- Bankowo.

- To prowadź, kolego.

Miejsce, o którym mówił Bartek, znajdowało się w podziemiu jednej z kamienic w rynku. Już u szczytu schodów rozchodziły się smakowite zapachy. Magda była fanką kuchni wschodniej, o czym koledze na razie nie wspominała. Ciekawa była, jak się sytuacja rozwinie. Nie można powiedzieć, Bartek zrobił na niej bardzo pozytywne pierwsze wrażenie. Zaskoczył ją. Był miły, pogodny, kto wie, może być z tego ciekawa znajomość. Może też okazać się dokładnie odwrotnie. Niedługo się pewnie przekona.

Wnętrze było maleńkie, wręcz klaustrofobiczne. Mikroskopijne stoliki na dwie osoby i niewiele większy na cztery. Za barem stała młoda dziewczyna. Przyjmowała zamówienia. Obsługa kelnerska nie wchodziła tu raczej w grę. Trudno by było się im przeciskać.

Bartek, jak prawdziwy dżentelmen, odsunął i przysunął jej krzesło przy dwuosobowym stoliku niedaleko wejścia. Jedynym wolnym.

- Przepraszam cię na momencik. Podejdę i zapytam, co dzisiaj dobrego dają - powiedział półgłosem i zerknął na bar.

- Po co? Mamy menu. - Magda podniosła z blatu chudziutką kartę dań.

- Nie zawsze należy ufać słowu pisanemu. Człowiek to zawsze człowiek - powiedział enigmatycznie i podszedł do pracownicy za kontuarem. Magda siedziała w odległości nie większej niż trzy metry. Doskonale będzie słyszała rozmowę. Trochę ją dziwiło dość nietypowe zachowanie Bartka. Ciekawa była, o co zamierza tak naprawdę pytać.

- Zawołaj, złotko, szefa kuchni - zwrócił się do przyjmującej zamówienia.

Dziewczyna spojrzała na niego krytycznie.

- Szef nie mówi po polsku - burknęła. - Tylko po angielsku.

- Dam radę - odpowiedział Bartek i puścił do niej oko. - Niedługo tu pracujesz, co?

Pracownica wzruszyła ramionami i wyduła wargi. Była ewidentnie zniesmaczona fochami tego klienta. Zniknęła na zapleczu i chwilę potem pojawiła się znowu w towarzystwie Chińczyka w kuchennym fartuchu. Chińczyk rozpromienił się na widok Bartka. Najwyraźniej się znali. Uścisnęli sobie dłonie i zaczęli rozmawiać... po chińsku. Tak się przynajmniej zdumionej Magdzie wydawało. Wymienili kilka dłuższych wypowiedzi i Bartek podszedł do stolika, a szef czekał i spoglądał na Magdę.

- Szef kuchni poleca dzisiaj wołowinę po seczuańsku - powiedział wciąż niemogącej się otrząsnąć z zaskoczenia Magdzie. - Co powiesz? Trochę ostra jest, ale specjalnie dla ciebie robi łagodną. Może być?

- Poproszę - odpowiedziała dziewczyna.

Bartek ponownie wymienił kilka zdań z Chińczykiem, który natychmiast wrócił do kuchni. Młoda pracownica z otwartymi ustami gapiła się, jak mężczyzna siada naprzeciwko swojej, jak się jej wydawało, przyjaciółki.

Magda musiała zapytać:

- Ty z nim po chińsku rozmawiałeś?

- Po kantońsku - odpowiedział jakby nigdy nic. - W sprawie jedzenia zawsze najlepiej zasięgnąć informacji u źródła.

- To odmiana chińskiego, dobrze myślę?

- Tak. Używa się go na południu Chin. W Hongkongu i Makau. Oficjalnie mówi się o jakichś siedemdziesięciu milionach użytkowników. Ale to język hongkońskiej popkultury, dlatego jest o wiele popularniejszy, niż by się wydawało.

- Gdzie się nauczyłeś?

- W Hongkongu właśnie. Rodzice finansisci byli na kontrakcie i zabrali latorośl ze sobą na ładnych parę lat. Cud, że mi się oczy skośne nie zrobiły. Ale nie ma jak nasza przepiękna Polska. - Uśmiechnął się do niej. - Twoja kolej. Powiedz mi coś o sobie, Magdo z galerii.

- O mnie? - Zakłopotana się. - Studiuję architekturę. Teraz będzie czwarty rok, jestem z Wrocławia, i... co byś chciał wiedzieć?

- Czym się interesujesz?

- Sztuką, teatrem... Bardzo lubię czytać, ale nie tylko ambitne dzieła. Na przykład „literatura w spódnicy” jest moim skromnym zdaniem niesłusznie wyśmiewana.

- Tu się zgadzam. Literatura powinna być przede wszystkim dla ludzi, a nie wyłącznie dla koneserów. Masz rację. Ja też lubię popularne kawałki, ale w trochę innych klimatach.

- Jakich?

- Normalka dla facetów. Sensacja i klasyka wojny. *Cienka czerwona linia* i te sprawy, ale ostatnio wciągają mnie amerykańskie czarne klimaty. Filmy Spike’a Lee, książki Toni Morrison. Pełny odjazd, choć trudne kawałki. - Patrzył jej odważnie głęboko w oczy. Trochę ją to peszyło. - Powiedz mi jeszcze, Magdo, komu mam zazdrościć.

- Komu zazdrościć? - nie zrozumiała. - Niby czego?

- Nie czego, tylko kogo. Ciebie. Kim jest twój chłopak. Musi być naprawdę niezwykły.

Magda posmutniała. Nie mógł tego nie dostrzec.

- Właściwie to nie wiem. - Spuściła wzrok.

- Przepraszam, jeśli poruszyłem drażliwy temat. Nie mów nic, jeśli nie chcesz. Nie

będę pytał. Jeżeli to trudne... Wybacz.

- Nie wiem, czy trudne. Dużo by mówić. Sama się w tym pogubiłam.

Szef kuchni stanął przy ich stoliku z daniami na wielkiej tacy. Postawił je przed gośćmi i powiedział coś po chińsku. Magda spojrzała pytająco na Bartka.

- Życzy smacznego i ma nadzieję, że jeszcze wrócisz i zaprosisz przyjaciół.

Magda obdarzyła Chińczyka czarującym uśmiechem. Skłonił się i odszedł na zaplecze. Przy talerzach leżały pałeczki. Nie było normalnych sztućców. Magda popatrzyła na Bartka niepewnie. Chwytał sprawnie pałeczki w jedną rękę i już miał zabrać się za jedzenie, kiedy zobaczył wahanie dziewczyny.

- Nie bywałam w Hongkongu. Przydałyby mi się normalne sztućce.

- Pałeczki są lepsze. Zaraz sama zobaczysz. Spodoba ci się.

Wyciągnął jej z papierowego opakowania i rozłamał.

Były oryginalne. Wziął ją za rękę.

- Łapiesz w ten sposób - tłumaczył cierpliwie - nabierasz, niedużo, i już.

Lekcja jedzenia pałeczkami potrwała dobre kilka minut. Magda zaczęła łapać, o co w tym chodzi i faktycznie jej się spodobało. Najpierw nieporadnie, samodzielnie, aż wreszcie szło jej całkiem nieźle. Było przy tym śmiechu co niemiara.

W czasie obiadu Magda z wielkim zainteresowaniem słuchała opowieści Bartka o Chinach, o samym języku, który jest wyjątkowo intonacyjny, co znaczy, że to samo słowo wypowiedziane z inną intonacją nabiera zupełnie innego znaczenia, o chińskich zwyczajach i wreszcie o jego podróżach po Afryce, nie zawsze całkiem bezpiecznych.

- Wspiąłeś się na szczyt Kilimandżaro? - spytała Magda zafascynowana.

- Dokładnie - odpowiedział i odłożył sztućce na pusty talerz. - Ale nie nazywałbym tego wspinaczką. Chyba mało kto wie, oprócz tych, co tam byli, że wejście na Kilimandżaro to tak naprawdę tylko solidny spacer z wynajętymi tragarzami. Trochę kondycji, samozaparcia i wchodzisz bez problemu.

- Chyba nie ja.

- Ty. Jak najbardziej. Wyglądasz na całkiem sprawną fizycznie. Moim zdaniem weszłabyś bez większego przygotowania.

Miał rację. Magda była sprawną. Kilka lat wyczynowego uprawiania siatkówki, regularne pływanie i narty zimą zrobiły swoje. Poczwała, że rosną jej skrzydła.

- Myślisz?

- Jestem pewny.

Magda odsunęła od siebie talerz. Danie było wyśmienite. Nie zostawiła ani kawałka,

co zdarzało się jej nad wyraz rzadko. Zerknęła na zegarek.

- Bardzo miło spędza się z tobą czas - powiedziała szczerze - ale powinnam już iść.

- Rozumiem. Chodź, odwiozę cię.

- Nie, spokojnie - opierała się, w duszy żywiąc nadzieję, że będzie nalegał. - Dam sobie radę.

Nalegał:

- Nie sądziłaś chyba, że zostawię czarującą damę samą sobie po tym, jak zaszczyliła mnie swoim towarzystwem? Wykluczone.

Kobieca natura Magdy Frank była zachwycona. Prawił komplementy jakby od niechcenia, zupełnie naturalnie.

- Chodźmy więc, panie dżentelmen.

\*

Przejazd ciężkim motorem BMW pod dom Magdy zajął Bartkowi około kwadransa. Nie ruszały go korki uliczne, które napotykali po drodze, i z których Wrocław słynie nawet w miesiącach wakacyjnych. Zatrzymał maszynę przy krawężniku. Dziewczyna przestała kurczowo ścisnąć jego tułów. Przez większość drogi jechał szybko, ale jakoś nie odczuwała strachu, czy nawet niepokoju.

Stała na chodniku. On podniósł osłonę na przedniej części kasku, jak rycerz przyłbicę.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałem, piękna Magdo z galerii. Szkoda, że już musisz uciekać.

- Cóż... - powiedziała dwuznacznie i popatrzyła w niebo, po którym płynęły puszyste, zupełnie niegroźne dla aury chmury.

- Szkoda byłoby zmarnować tak mile rozpoczętą znajomość. Może byśmy tak powtórzyli spotkanko - zasugerował z doskonale udawaną nutką nieśmiałości. - Bez żadnych zobowiązań, oczywiście - dodał, by uspokoić jej sumienie.

- Hmm. No nie wiem - powiedziała, ale jej ciało krzychało: Tak! Tak! Jak najszybciej!  
- Właściwie można by.

- Super. - Ucieszył się i wyciągnął telefon komórkowy. - Podaj mi swój numer.

Magda przyedyktowała rząd cyfr. Puścił do niej oko i zakrył twarz plastikową, przezroczystą ochroną. Ruszył z miejsca jak strzała. Moment później zniknął za zakrętem.

Magdzie zakręciło się w głowie. Uczucie to nie należało jednak do nieprzyjemnych. Przed oczyma stanął jej wciąż bardzo wyraźny obraz uśmiechającego się Maćka. Poczuli się winni. Winna tego, że zauroczył ją poznany dzisiaj mężczyzna. Zaczęła się w myślach

usprawiedliwiać. Przecież to Maciek ją zostawił. Właściwie bez słowa wyjaśnienia. Dlaczego miałyby się do czegośkolwiek poczuwać? Jednak po chwili serce jej się ścisnęło. Darzyła go głębokim uczuciem, które nie wygasa z byle powodu. Brakowało jej go. Ich rozmów, czułych dotyków i prawdziwej bliskości. Lecz on wciąż był daleko, niewiadomo jak daleko i nie wiadomo, czy do niej wróci. Bartek Keller zaś był na wyciągnięcie ręki i wyglądał na bardzo zainteresowanego. Nie wiedziała, jak ma postąpić, ale czuła, że chce się zbliżyć do tego artysty fotografa.

Weszła do domu.

- Cześć, mamulka - powiedziała świergocąco do matki wychodzącej do przedpokoju.

Kobieta popatrzyła na córkę lekko zaskoczona. Do tej pory Magda chodziła raczej przybita. Rzadko się uśmiechała. W tej chwili jakby ją coś odmieniło. Promienna i pogodna. Taka, jaka zawsze była, jeszcze miesiąc temu.

- Cześć, córunia - odpowiedziała w tym samym tonie. - Widzę, że wystawa była jakaś niesamowita. Humor ci się wreszcie poprawił.

- Wystawa? A, tak. Rzeczywiście fajna była. - Zatrzymała się przy schodach prowadzących na górę do jej pokoju. Roześmiała się. - A co mi tam. Powiem ci. Na wystawie poznałam bardzo interesującego młodego mężczyznę.

- Aha, tego co cię motorem przywiózł?

- Mamo, nieładnie podglądać przez okno.

- Długo cię nie było, zaczynałam się niepokoić...

- Tak, tak. Lepiej powiedz, że cię ciekawość zżerała, z kim to twoja szanowna córeczka przyjeżdża do domu.

- No dobrze. Niech ci będzie. Więc?

- Co więc?

- Kim jest ten niezwykle młodzieniec?

- Artystą fotografem. Bywałam w świecie. Obytym, inteligentnym i odczytanym - zawiesiła głos - no i wygląda na to, że mu się podobam - dodała filuternie.

- Wcale mu się nie dziwię.

Magda rzuciła się matce w ramiona.

- Och, mama, mama. - Westchnęła głośno.

Krystyna Frank domyślała się, co to westchnienie znaczyło. Tkwiła w nim postać Maćka Burdzika, którego miała okazję jakiś czas temu poznać i który wywarł na niej jak najlepsze wrażenie. Dopiero wydarzenia sprzed miesiąca wzbudziły w niej mieszane uczucia co do tego skądinąd przemiłego chłopca. Nie wiedziała co myśleć. Jednak najważniejsze było

dla niej szczęście córki. Jej zawsze wszechobecna radość życia, która wydawała się gdzieś ulatywać w ciągu ostatnich tygodni. Cieszyła się, że Magda dochodzi emocjonalnie do siebie, nawet kosztem wyrzucenia Maćka z serca.

- Chodźmy na górę. Opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

## ROZDZIAŁ 38

*Fort Meade, Maryland, Stany Zjednoczone*

NSA<sup>5</sup> jest organizacją koordynującą między innymi zadania związane z wywiadem elektronicznym. Powstała w kwietniu 1952 roku w oparciu o istniejącą od 1949 roku Agencję Bezpieczeństwa Sił Zbrojnych (Armed Forces Security Agency - AFSA). NSA zajmuje się wychwytywaniem informacji przy zastosowaniu środków technicznych. Informacje te są następnie przetwarzane i oceniane, do czego używa się specjalistycznych programów komputerowych. Podstawę działalności szpiegowskiej stanowi system ECHELON. Było więc rzeczą zupełnie naturalną, że pełne włączenie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego do sprawy Witalija Jakuszyna jest tylko kwestią czasu i ruchem praktycznie niezbędnym. Powaga problemu wymuszała zaangażowanie specjalistów z NSA. Sprawy posunęły się za daleko. Było jasne, że CIA nie będzie w stanie zapobiec nieprzewidywalnym w skutki działaniom Rosjanina i jego pomagierów.

Po korytarzu prowadzącym do biura szefa NSA, generała porucznika Kennetha Alsupa, przemykały się postacie agentów, pojedynczo i parami. Atmosfera sprawiała wrażenie mrowiska, gdzie wszyscy byli zaaferowani i całkowicie pochłonięci wykonywaną w tej chwili pracą, w wielu wypadkach o kardynalnym znaczeniu nie tylko dla bezpieczeństwa USA, ale i niejednego kraju ościennego. Ludzie wbijali wzrok w dokumenty i nieomal biegali od drzwi do drzwi biur w monstualnych rozmiarów budynku agencji.

Alice przyśpieszyła kroku. Spotkanie, w którym uczestniczyć ma Tom Sallinger, ona i generał zaczynało się za sześć minut. We krwi miała punktualność. Była to zresztą jej cecha zawodowa. Spóźnienie może czasem kosztować życie człowieka. Lubiała być parę minut wcześniej przed spotkaniem. Często dawało to chwilę na oddech i pozbieranie myśli, dostosowanie strategii do zastawanych warunków.

Kiedy weszła do biura generała Alsupa, mijając sekretarkę poinformowaną o jej przybyciu, zastała ich gawędzących przyjaźnie przy biurku generała i popijających kawę z filiżanek.

- O, jesteś, Alice. Doskonale. Możemy zaczynać. - Tom pokazał jej krzesło przy

---

<sup>5</sup> NSA (National Security Agency) - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (przyp. aut.).



stoliku. Czasu na oddech nie będzie. Mężczyźni wstali i zajęli miejsca naprzeciw niej. - To jest jeden z moich najlepszych ludzi, agentka Alice Perkins - przedstawił ją generałowi.

Szef NSA uściśnił jej dłoń bez słowa. Nie wstał z krzesła, co było symptomatyczne. Nie przejmował się niewygodnymi zasadami dobrych manier.

Alice położyła na stole teczkę z dokumentami i otworzyła ją.

- No to mów, Alice, z czym sobie nie potraficie poradzić - zwrócił się do niej generał ojcowskim tonem - a my spróbujemy jakoś wam pomóc.

- Oczywiście, panie generale. Oprócz tego, co zapewne przekazał panu Tom, udało nam się zdobyć trochę nowych informacji. Niestety nie nastrajają zbyt optymistycznie. Nasi ludzie potwierdzają, że Jakuszyn i najprawdopodobniej generał Władimir Iwanow planują przejąć władzę na Kremlu i zaprowadzić w Rosji własne porządki. Wykorzystane zostaną tu systemy elektroniczne, które, obawiam się, mogą być lepsze niż nasz ECHELON. To, co potrafią zrobić ludzie Jakuszyna, jest niebywałe - tak mówią nasi informatycy.

- Może CIA nie ma dobrych informatyków. - Generał był sceptyczny co do rewelacji przekazywanych przez agentkę. - Nasi się wezmą do roboty, wtedy się okaże.

Sallinger politycznie przemilczał niepochlebłą uwagę na temat ich organizacji. Potrzebowali NSA, i to potrzebowali ich pilnie.

- Co gorsza, Jakuszyn zdołał się zbratać z pewną bardzo tajemniczą i niezwykle potężną organizacją finansową. Domyślamy się, że jest grupa ludzi, która praktycznie rządzi światową gospodarką i nie tylko. Sprawdzalam, ale większość danych w tej sprawie jest utajniona. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Nikt nic nie wie, albo nie chce wiedzieć.

Alsop zaczął notować coś w swoim kajecie. Przerwała, widząc, że pisze.

- Mów, Alice - zachęcił ją szef NSA. - Ja słucham.

- Na podstawie informacji, jakie mamy, wnioskujemy, że organizacja ma wywołać światowy kryzys finansowy, który uderzy w Rosję, co pomoże w przewrocie. Następnie Rosja ma otrzymać wsparcie finansowo-gospodarcze, dzięki czemu nowo utworzony rząd zyska poparcie społeczeństwa.

Generał spojrzął na Alice. W jego oczach wyczytać można było niedowierzenie.

- Nie da się wywołać sztucznie światowego kryzysu - stwierdził.

- Da się, panie generale. Na bank się da - zapewniła go agentka. - Są ludzie finansowo tak potężni, że spokojnie są w stanie tego dokonać, szczególnie kiedy jest szansa, że na tym zarobią.

- I ci ludzie działają poza naszą kontrolą?

- Po pierwsze, demokracja i wolny rynek, a po drugie, mają tak realną władzę, że nie

jesteśmy w stanie nawet się do nich zbliżyć. Nie darmo się mówi, że pieniądz rządzi światem. Tak po prostu jest i nic tego nie zmieni.

- Cholera. - Generał skrzywił się. - Brzmi nieciekawie. Ale jeżeli ten ruski generał przejmie władzę, to czemu mielibyśmy się tego obawiać?

- Bo planuje stworzyć z Rosji supermocarstwo na miarę Związku Radzieckiego - pośpieszył z odpowiedzią Tom.

- Nierealne. Rosja to kolos na glinianych nogach.

- Niekoniecznie. Teraz, może. Ale w najbliższej przyszłości kto wie. W badaniach nad bronią elektromagnetyczną już nas wyprzedzili. Dostaliśmy próbkę ich możliwości na Morzu Ochockim.

- Co się tam stało?

- O mało nie zatopili naszej łodzi podwodnej. Nie zatopili, bo nie chcieli zatopić. Chcieli za to dać nam, jakby to obrazowo ująć, kopa w dupę. I dali.

- Rosja ma taki sprzęt wojskowy?

- Nie Rosja. Jakuszyn i Iwanow. A teraz jeszcze mają wsparcie tajnych gigantów finansowych tego świata. Dobrze nie jest.

- Szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że wy w CIA nie potraficie wyeliminować dwóch kluczowych dla tej sprawy facetów.

- To nie są zwykli faceci, Ken. - Tom oparł się łokciami o blat stołu. - Po pierwsze, generał Iwanow to w tej chwili szara eminencja na Kremlu. Nie do ruszenia. Po drugie, Jakuszyn to z kolei wybitnie szkolony produkt radzieckich i rosyjskich służb specjalnych. Nieosiągalny.

- I nie macie żadnego specy, co by się nim zajął?

- Wynajęliśmy jednego człowieka. Robił dla nas parę zleceń. Zna Jakuszyna osobiście i jest szansa, ale...

- Wojskowy?

- Tak. Ale nie nasz. Nazywa się Adam Gawlik.

- Dziwne nazwisko.

- To Polak. Pod koniec lat osiemdziesiątych był przelożonym Jakuszyna w czasie radzieckiej interwencji w Afganistanie. Stąd się znają. Były najemnik i w ogóle wybitna postać w kwestiach wojskowości.

- I w czym problem?

- To żołnierz. Potrzebuje wsparcia elektronicznego. Informacji i wiedzy, którą uda się wam zdobyć. Nie ukrywam, że szczególnie nam zależy na tej organizacji finansowej.

- Zobaczą, co da się zrobić. - General zamknął kajet. - Musimy sobie pomagać, nie? - dodał z uśmiechem i wyczuwalną ironią w głosie.

- Dziękujemy ci, Alice. - Tom uznał, że agentka nie będzie im już potrzebna. - Dobra robota.

Kobieta pożegnała się i wyszła z biura. Na korytarzu usłyszała sygnał nadchodzącego SMS-a na swoją komórkę. Popatrzyła na wyświetlacz. Wiadomość od Kathy: „Musimy się pilnie spotkać i porozmawiać. Czekam dziś od szóstej w naszej ulubionej knajpce”.

Wybrała numer partnerki. Odczekała kilka sygnałów. Brak odbioru. Co się mogło stać? Dlaczego w knajpce? Przecież były umówione u niej w mieszkaniu w Waszyngtonie. Zadzwoiła raz jeszcze. Znowu brak odpowiedzi. Zaniepokoiła się. Chciała jak najszybciej dotrzeć do stolicy USA, by spotkać się z Kathy. Samochodem będzie najdalej za półtorej godziny, maksymalnie dwie.

\*

Do knajpki na przedmieściach miasta weszła kwadrans przed szóstą. Rozejrzała się za wolnym stolikiem. W przeciwległym kącie sali dostrzegła Kathy pochyloną samotnie nad lampką czerwonego wina. Przyszła wcześniej. Dużo wcześniej.

Alice podeszła, pocałowała ją w policzek i usiadła, przysuwając krzesło bliżej partnerki. Kathy siedziała ze spuszczonego wzrokiem. Wyglądała na przygnębioną.

- Kochanie, co się stało? - spytała poważnie zaniepokojona agentka i wzięła ją za rękę.

Kobieta milczała. Wodziła palcem po krawędzi kieliszka i zaglądała do środka, jakby chciała sprawdzić, czy wino wciąż tam jeszcze jest. Spojrzała wreszcie na Alice i powiedziała cicho:

- Nie możemy się już spotykać.

- Co?

- Odchodzę, Alice. To koniec.

Słowa jasnowłosej piękności z działu administracyjnego zrobiły na agentce piorunujące wrażenie. Czuła się jak sparaliżowana. Nie wierzyła własnym uszom. To przecież niemożliwe. Dlaczego?

- Kathy, o czym ty mówisz? Ostatnio byłam trochę zajęta... To prawda, nie poświęcałam nam tyle czasu, ile powinnam, ale to się niedługo zmieni...

- Nie o to chodzi. - Ściszyła głos jeszcze bardziej, jakby bała się, że ktoś ją usłyszy. - Bo wiesz...

- Zaraz, więc o co?

Alice poczuła, jak grunt jej się usuwa spod nóg. Naszła ją obezwładniająca słabość.

- Jest ktoś... pewien mężczyzna - zawiesiła głos - z którym chcę spędzić resztę życia - wyrzuciła z siebie. - Mieć normalną rodzinę, dzieci - dodała.

- Przecież możemy mieć dziecko. - Alice zdała sobie sprawę, że jak tonący chwytала się brzytwy.

- Alice, ty mnie nie słuchasz. - Kathy podniosła głos. - Powiedziałam rodzinę NORMALNĄ. Mama, tata, dzieci, pies... Ja nie potrafię inaczej. Nie nadaję się. Nie wiem, może tradycyjne wychowanie małomiasteczkowe, nie wiem. - Zaczęła kręcić głową. - Ja się nie nadaję do takiego życia.

- Jakiego życia? - spytała Alice, chociaż wiedziała doskonale, o co jej chodzi.

- Wiesz jakiego. - Znowu szept i spuszczone wzrok.

- Kathy, jesteś podenerwowana. Porozmawiamy później.

- Jestem całkowicie spokojna. To koniec, Alice. Przykro mi. Jutro wyjeżdżam z Waszyngtonu.

- Boże, dokąd?

- Nie powiem ci. Tak będzie dla nas lepiej.

Do agentki wreszcie dotarło. Właśnie jej życie osobiste rozpadło się na milion kawałków. Do jej życia wtargnie samotność, która znowu będzie boleć. Dotkliwie.

Wstała od stołu, odwróciła się i chciała odejść. Zatrzymała się w pół kroku. Popatrzyła na Kathy przez ramię.

- Mimo wszystko życzę ci, żebyś była szczęśliwa. Żebyś się spełniła i nigdy nie żałowała, że z nim jesteś. Naprawdę.

- Dziękuję - powiedziała Kathy prawie szeptem.

- Wiesz dlaczego? - Kathy milczała. Podniosła na nią tylko swe zachwycające, błękitne oczy. - Dlatego, że cię kocham. Nikt cię tak nie będzie kochał jak ja.

Alice ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Nie patrzyła na ludzi. Nikt nie patrzył na nią. Po policzkach płynęły jej łzy. Najpierw powoli, potem coraz więcej i szybciej. Była na siebie wściekła. Płakała jak bóbr, bo rzuciła ją partnerka. Żalossne. Jak nieszczęśliwy romans z Harlequina. Chociaż nie. Słyszała, że tam romanse na ogół kończą się szczęśliwie. Co to ma teraz za znaczenie?

Wyciągnęła chusteczkę i ukradkiem wytarła oczy. Wzbierające łzy uniemożliwiały ostrość widzenia. Próbowwała drwić sama z siebie. Ona, twardzielka, zapłakuje się przy ludziach. Śmieszne. Nie pomagało. Wciąż miała ściśnięte gardło. Wciąż klucie w sercu i wciąż poczucie krzywdy. Czowała się jak zbity pies. Miała przemożną ochotę zaszyć się gdzieś i najzwyczajniej w świecie poużalać się nad sobą, jak każda normalna kobieta. Niestety. W

każdej chwili może dostać polecenie, by lecieć do Berlina. Gawlik będzie czekał na informacje, które trzeba dostarczyć osobiście. Musi wziąć się w garść. Jeszcze jeden raz. Czy przyjdzie czas, kiedy nie będzie musiała być tak twarda i będzie mogła sobie pozwolić na babskie wyplakanie się w poduszkę? Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Wsiadła do samochodu i z piskiem opon wyjechała z parkingu, przyciągając wzrok postronnych gości wchodzących do kawiarni, w której najdroższa osoba wbiła jej nóż prosto w serce.

## ROZDZIAŁ 39

*Berlin, Niemcy, dwa dni później*

Dzielnica Spandau była jakby z innego świata. Uderzała niezwykłym spokojem i brakiem zgiełku wielkiego miasta. Starsza od samego Berlina, zamieszkiwana przez połabskie plemię Hawelan już w VI wieku, stanowiła miejsce, które należało odwiedzić przy okazji bytności w stolicy Niemiec.

Gawlik lubił tę dzielnicę pełną interesującej historii, znaną choćby z więzienia, gdzie kiedyś przetrzymywano zbrodniarzy hitlerowskich z osławionym dygnitarzem partyjnym z czasów III rzeszy, Rudolfem Hessem na czele.

Spotkali się z Alice w parku, spacerując obok siebie jak para przygodnych znajomych albo ukrywających się ze swoim uczuciem kochanków. Co jakiś czas zerkali na boki, sprawdzając, czy nie są obiektem niepotrzebnego zainteresowania postronnych ludzi. Nie byli. Przechodnie odwiedzający tego dnia park sprawiali wrażenie zajętych swoimi sprawami.

- Byłaś już tu kiedyś? - spytał Gawlik.

- W Berlinie? Bo to raz.

- Nie. Tu, w Spandau.

- Nigdy. A powinnam?

- Piękna i ciekawa dzielnica. Warto się tu zatrzymać na parę dni.

- Słuchaj, Gawlik. Nie mam czasu na pierdoły. Jest parę spraw do omówienia. Więc nie nudź.

Polak popatrzył na nią wnikliwie. Była wyraźnie podenerwowana, a jednocześnie wydawała się jakby przygnębiona.

- PMS? - spytał ostrożnie.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Nawet gdyby, to i tak gównu cię to obchodzi - prychnęła na niego.

- Hm. Czyli pewnie Kathy Bolton cię rzuciła - stwierdził z niewinną miną.

Alice zrobiła wielkie oczy.

- Skąd, kurwa, wiesz o Kathy?

- Zawsze staram się wiedzieć, z kim pracuję.

- Sprawdzałeś mnie? Jak śmiałeś?!

- Niepotrzebnie się wściekasz, Alice. Kathy nie była dobrym materiałem na tę jedną jedyną. Poza tym przyciągasz niepotrzebną uwagę.

Alice rzuciła kilka ukradkowych spojrzeń wokoło i ściszyła głos.

- Odwal się. Już ci to powiedziałam: gównu cię to obchodzi.

- No, nie bardzo - pokręcił głową. - Któregoś dnia moje życie może zależeć od ciebie. Od twojego trzeźwego myślenia, właściwej decyzji i szybkiej reakcji. Twój stan teraz wróży kłopoty.

- Nie będzie żadnych kłopotów - powiedziała stanowczo.

- Pozwól Kathy odejść w spokoju. Nawet jeżeli ją naprawdę kochasz.

Przewróciła oczami i wypuściła głośno powietrze. Milczeniem przyjęła jego uwagę.

- Co ty możesz wiedzieć o prawdziwej miłości? - Zaczynała się uspokajać. - Zwykły facet jesteś.

- Pewnie tak. Ale wiem, że prawdziwa miłość sama cię znajdzie. Zobaczysz. I to wtedy, kiedy się najmniej spodziewasz.

- Tak? Taki jesteś ekspert - mruknęła, krzywiąc usta. - Niby skąd, jeśli można wiedzieć?

Gawlik puścił jej niepozbowione drwiny pytanie mimo uszu.

- Mężczyzna nigdy nie będzie zdolny kochać tak głęboko jak kobieta. Są oczywiście wyjątki, ale rzadkie. Kobieta kocha duszą, całą sobą. Mężczyzna sercem i rozumem. Zauważ, że kobieta gotowa jest poświęcić życie dla opieki nad kalekim dzieckiem.

- Ty byś nie poświęcił się dla swojego synka?

- Ja sobie nie potrafię wyobrazić takiej sytuacji. A wiem, że moja żona tak. I nie miałaby cienia wątpliwości. Ani chwili wahania. Ty byś miała?

- Wiesz o mojej orientacji. Takim parom rzadko rodzą się dzieci.

- Nie jestem zwolennikiem adoptowania dzieci przez małżeństwa homoseksualne.

- Kobieta może to załatwić i wychowywać dziecko z partnerką. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie przemawia do mnie związek dwóch mężczyzn. Trudno mi to pojąć, choć może rzeczywiście łączy ich prawdziwe uczucie. Dużo łatwiej zrozumieć mi kobiety. Wy kochacie naprawdę, bezgranicznie i bezwarunkowo. - Uśmiechnął się łobuzersko i dodał: - Poza tym, co tu dużo mówić, jakbym był kobietą, to też bym się w tobie podkochiwał. Nie ma co, jestem pewny, że urodą powalasz na kolana nie tylko pleć brzydką.

- Miły jesteś. I chyba trochę inny niż pozostali faceci. Przynajmniej ci, których

znałam. Jakbym chciała mieć dzidziusia, to kto wie, może ciebie poprosiłabym o pomoc.

- A ja bym odmówił. - Pokazał jej palec serdeczny z obrączką. - W pewnych sprawach jestem wierny jak pies.

- Pewne sprawy można załatwić nie tylko w łóżku. Są instytucje medyczne, które to robią bez zbliżenia.

- Może i tak. Ale pod tym względem jestem jak eunuch. Jedna kobieta i żadnych odstępstw od reguły. Tak po prostu mam.

Przyjrzała mu się uważnie. Robił ją w konia? Nie dostrzegła żadnych oznak kłamstwa. Mówił jak najzupełniej poważnie.

- Ta jedna kobieta musi być chyba bardzo szczęśliwa, że ciebie ma.

- To ja przede wszystkim jestem bardzo szczęśliwy, że mam ją. Tobie też tego życzę, z całego serca. Żebyś znalazła tę jedną jedyną, wymarzoną i wyśnioną, która będzie ideałem w dziewięćdziesięciu procentach.

- Dlaczego nie w stu?

- W stu się nie da. Poza tym byłoby nudne. Wszystko idealne, wyobrażasz sobie, jaki to musiałby być koszmar? Nie można by było uczyć się tolerancji i akceptowania drugiej osoby właśnie takiej, jaką jest. To jest czasem niezłe wyzwanie, ale czyż nie dlatego ludzie wspinają się na ośmiotysięczniki?

- Dziwne słowa w ustach mężczyzny. Zwykle słyszy się szowinistyczne docinki. A z tobą rozmawia się jak z... - zastanowiła się, szukając właściwego słowa.

- Jak z kobietą?

- Nie chciałam tego mówić, żeby cię nie dotknąć... - powiedziała niepewnie.

- Teraz powinienem zaserwować ci gadkę, jakim to ja jestem stuprocentowym mężczyzną. Jeśli chodzi o sferę uczuć, to ja szczerze mówiąc nie dzieliłbym nas na mężczyzn i kobiety, tylko na człowieka, który kocha drugiego człowieka i chce z nim być. Dlatego chyba rozumiem cię trochę lepiej niż inni faceci.

- Ale mnie w ogóle mężczyźni nie pociągają fizycznie. W najmniejszym stopniu.

- Mnie też nie - powiedział z tym samym łobuzerskim uśmiechem.

Rozchmurzyła się. Ten dziwny facet miał na nią całkiem dobry wpływ. W duchu ucieszyła się, że go poznała.

- Miło się gawędzi, ale do rzeczy. Do sprawy włączyło się NSA i udało się parę spraw namierzyć. Wiemy, gdzie Jakuszyn ma swoją bazę. Syberia, Magadan. Dla nas nie do ugryzienia. Rozpracowaliśmy też wreszcie sposób, w jaki penetrował nasze systemy. Dla naszych komputerowców jest jeszcze ciągle nieosiągalny, ale przynajmniej niedługo



będziemy mieli uszczelnione systemy obronne.

- Dobrze i to.

- Mówisz jakby to mało znaczyło.

- Bo trochę za późno. Zresztą Witalij i tak będzie o krok przed wami. Trzeba mu wybić zęby.

- Fajnie. Tylko jak? Jakieś pomysły?

- Miałaś mi załatwić spotkanie z Iwanowem.

- Okazało się to prostsze niż myśleliśmy. Iwanow chętnie się z tobą zobaczy. W Moskwie. Problem w tym tylko, że poważnie się obawiam, czy wrócisz z tego spotkania żywy. Za łatwo poszło.

- Mamy tu w Polsce takie przysłowie, Alice: „Złego diabli nie biorą”. U was by się powiedziało: „*No disaster can befall a wicked person*”.

- Na twoim miejscu bym do Moskwy nie jechała.

- Wyobrażam sobie. Coś jeszcze masz?

- Ta organizacja gospodarcza, z którą się Jakuszyn skumał... jak jakiś cholerny duch. U nas wszystko utajnione, ludzie, którzy mogliby coś wiedzieć, ani pary z gęby. Jakby, kurde, w mafii byli. *Omerta*<sup>6</sup> cholerna. Cały czas będziemy szukać. W końcu się czegoś dowiemy.

- Organizacją kieruje Henry Morgan. - Powiedział Gawlik, przybierając śmiertelnie poważny wyraz twarzy. - Ten Henry Morgan. Pozostali to najpotężniejsi przemysłowcy i bankierzy tego świata. Jest ich zresztą niewielu.

- Skąd to wszystko wiesz? - Alice nawet nie starała się ukryć zaskoczenia.

- Od ludzi, którzy zbierają i porządkują informacje tak jak wy. Z tą tylko różnicą, że nie mają durnych szefów, którzy czasem bardziej przeszkadzają niż pomagają, i ludzie ci nie bawią się w politykę. Stąd właśnie.

- A jak cię naciągają?

- Henry Morgan ma córkę. - Gawlik nie przejął się jej wątpliwościami. - Nie podobał mu się jej narzeczony, więc wrobił go w pedofilię i posadził w więzieniu stanowym. Dziewczyna ma na imię Jessica. Dowiedźcie się, w jaki sposób Morgan wpakował jej chłopaka w gówno i uderzcie do niej. Wyciągnijcie młodego z pierdła. Jak jej odpowiednio przedstawicie prawdziwy obraz tatusia, to może pęknie i na coś się przyda. Ten chłopak, nawiasem mówiąc, to bardzo porządny jest, a ona go naprawdę kocha. Co ja zresztą ci będę mówił. Macie swoje sposoby. Na Morgana trzeba po prostu zdobyć jakieś kwity i będzie nasz.

---

<sup>6</sup> Omerta - zмова milczenia; nieformalne prawo sycylijskie zabraniające członkowi mafii informowania o przestępstwach mafii (przyp. aut.).

- Jeżeli to wszystko prawda, co mówisz, to Bóg mi świadkiem, nie chciałabym mieć cię za wroga.

Adam rozchmurzył się.

- Alice, po tej robocie zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi. Nie sądzisz?

Podawała mu małą pomarańczową kopertę.

- Tutaj jest jeszcze parę rzeczy. Między innymi namiar na Iwanowa, skoro tak ci śpieszno do jaskini Iwa. - Popatrzyła przed siebie. W ich stronę szła para młodych ludzi z kilkuletnim chłopczykiem między sobą. Poczwała ukłucie w sercu. Zaraz jednak odpędziła nieprzyjemne myśli. - Tak z ciekawości, to co mu zamierzasz powiedzieć?

- Jak w ojcu chrzestnym, zamierzam złożyć mu propozycję nie do odrzucenia.

- A tak konkretnie?

- Mam parę pomysłów - odpowiedział wymijająco. Alice postanowiła go nie naciskać. Skoro nie chciał mówić, jego sprawa. Ważne, żeby zadziałał skutecznie. - Ach, i jeszcze jedno. Witalij chyba się związał z jedną rosyjską lekarką. Nazywa się Tamara Szyszkińska. Za parę dni, jak pogadam z Iwanowem, dam ci znać, gdzie jej szukać. Może wiedzieć, gdzie jest Jakuszyn. Porozmawiacie z nią po swojemu i...

- Nie za bardzo możemy na terytorium Rosji.

- Jest szansa, że pomogą wam rosyjskie służby specjalne.

- Jak to?

- Normalnie. Ty i paru rosyjskich fachowców. Postaram się to załatwić.

Alice już nawet nie próbowała wyrażać zdziwienia. Ten Polak zbyt często ostatnio wprowadzał ją w osłupienie. Jeżeli mu się naprawdę uda, co zamierza, to jak gdzieś od kogoś usłyszy jakiś „Polish joke”, da delikwentowi w pysk. Tak dla zamanifestowania szacunku dla tego słowiańskiego narodu.

### *Okolice Moskwy, Rosja*

Generał Władimir Iwanow rozparł się wygodnie na tylnej kanapie czarnego, kuloodpornego BMW. Patrzył w okno na przesuwany się szybko krajobraz. Droga do jego podmoskiewskiej dachy, którą wspólnie z kierowcą i zarazem osobistym ochroniarzem Pietią Kryłowem przemierzali niezliczoną ilość już razy, uspakajała go. Można było zebrać myśli. Pogłównkować, poukładać fakty, poplanować. Świat poza granicami stolicy wyglądał zupełnie inaczej. Wszechobecna, natychmiast rzucająca się w oczy bieda. Kolosalne kontrasty między miastem a wsią. Wprost niewiarygodne. W tych obszarach nędzy, skądinąd przyrodniczo

dziewicznych i naturalnych, coraz częściej pojawiały się enklawy luksusu, jak niewielki kompleks domów dla kilku notabli, gdzie generał miał w zwyczaju wypoczywać i nabierać sił.

- Jak tam, Pietia, jakieś plany na weekend masz?

Iwanow zerknął w lusterko przed kierowcą. Bystry wzrok byłego żołnierza jednostki specjalnej Alfa spotkał się ze wzrokiem generała. Dziwne pytanie. Generał zawsze wymagał dyspozycyjności prawie że dwadzieścia cztery godziny na dobę, Ewentualne plany na weekend były w tej sytuacji raczej mało realne. Z drugiej strony Kryłow nie mógł narzekać. Wynagrodzenie, jakie dostawał, daleko odbiegało od średniej krajowej in plus.

- Jestem na rozkaz. Jak zwykle, panie generale.

- Teraz mnie odwiesz i masz wolne. Całą sobotę i niedzielę. Odpocznij sobie, żołnierzu. Możesz wziąć samochód - zaoferował wspaniałomyślnie Iwanow.

- Tak jest, panie generale - odpowiedział Pietia entuzjastycznie.

Po oczach widać było, że się ucieszył. Czyli przełożony zamierzał spędzić cały weekend w doskonale chronionej daczce. Nie często się to zdarzało. Sprawy wagi państwowej wymagały wizyt w przeróżnych miejscach, mniej lub bardziej związanych z życiem politycznym. Pietia i jego zmiennik nie mogli narzekać na brak pracy.

Zjechali z głównej drogi. Wąska szosa przez rzadki sosnowy las prowadziła do maleńkiej wioski, na obrzeżach której wyrastały kapiące od luksusu, odgródzone od wścibskich oczu zawistnych wieśniaków domy moskiewskich notabli.

Samochód sunął pustą krętą drogą. Iwanow zamyślił się. Wszystko układało się znakomicie. Największy problem rozwiązuje się niniejszym sam. Gawlik pcha mu się w ręce. Nic lepszego nie mogło się wydarzyć. Najniebezpieczniejszy przeciwnik już niedługo stanie się wspomnieniem. Wynika z tego, że nic nie wie. Aż się wierzyć nie chce, że CIA nic nie zwąchało - na pewno do spółki z NSA, bo mało prawdopodobne, by CIA wierzyło w sukces, działając przeciw Jakuszynowi samodzielnie. Za cwani są, o czym świadczy zresztą sam fakt, że wzięli sobie do pomocy Gawlika. Szkoda tylko, że nie zapewnili mu lepszego wsparcia. Ma się odezwać, jak dotrze do Moskwy. Iwanow obiecał, że się z nim spotka i pogadają jak za starych, dobrych czasów. Tylko o czym? Iwanow nie był szczególnie zainteresowany. Chłopaki czekają na sygnał. Gdy tylko Gawlik się odezwie, wyda na siebie wyrok. Dokona żywota na pięknej rosyjskiej ziemi. Stanął po niewłaściwej stronie. Cóż, za błędy się płaci.

Kryłow przyhamował. Środkiem drogi szedł, a raczej próbował iść, mężczyzna w brudnych drelichach i czapce leninówce na głowie. Prowadził przedpotopowy rower, choć wydawało się, że to rower prowadził jego. Gdyby nie staroświecka maszyna, nie miałby

najmniejszych szans utrzymania się na nogach. Można było podejrzewać, że ilość alkoholu krążąca w jego żyłach przyprawiłaby o zawał serca każdego ewentualnie badającego go lekarza.

Kierowca zaklął pod nosem. Cholera by wzięła tych wiejskich opojów. Znowu. Do tej pory zataczali się na poboczu i dało się w miarę bezpiecznie ich jakoś wyminąć. Tym razem problem okazał się o wiele trudniejszy. Poruszał się w tym samym kierunku co oni. Pewnie nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie usunąć się z drogi.

Pietia uderzył w klakson, kiedy dzieliła ich jeszcze odległość co najmniej kilkuset metrów. Reakcja wiejskiego pijaczka nastąpiła po upływie kilku sekund. Niedoszły rowerzysta zatrzymał się i wykonał ruch, który od biedy można by uznać za wyjątkowo niezdarny półobrót. Chciał zobaczyć, co to za hałas za jego plecami. Z największym trudem odwrócił głowę, nie odrywając przy tym stóp od podłoża. Bez wątpienia gdyby to zrobił, oparcie w postaci roweru nie uratowałoby go przed zwałeniem się na asfalt. Mimo upojenia, człowiek zdawał sobie z tego sprawę i trzymał się dzielnie. Podniósł ramię i zaciśniętą pięścią pogroził zbliżającej się maszynie. Potrząśnięcie ręki sprawiło, że zatoczył się niebezpiecznie, ale jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach.

Generał rozłożył gazetę. Nie zamierzał zaprzętać sobie uwagi problemem, który pewnikiem za krótką chwilę Pietia rozwiąże szybko i skutecznie. Niestety będzie to wymagało zatrzymania samochodu. Tak też się stało. Wyminięcie łachudry na tak wąskiej szosie nie było możliwe.

Ochroniarz wysiadł i ruszył w stronę ledwie trzymającego się na nogach zawalidrogi. Iwanow zagłębił się w lekturze artykułu na temat amerykańskich planów budowy tarczy rakietowej. Jej elementy miałyby zostać zainstalowane w Polsce i Czechach. Pomyślał, że te jankeskie psy znowu prowokują Rosję. Wstawiali gadki, że system ma funkcje jedynie obronne i Rosja nie powinna czuć się w najmniejszym stopniu zagrożona. Kłamliwe sukinsyny. Jeszcze trochę. Parę miesięcy, pół roku, ale pewnie nie dłużej, kiedy cały plan będzie gotowy do realizacji w najmniejszych szczegółach, będzie można Amerykanów nauczyć szacunku dla Rosjan. Jak za starych dobrych czasów. Nie będą już tacy butni, jak dostaną kilka bolesnych lekcji.

Usłyszał otwierane drzwi samochodu. Nie podniósł wzroku znad gazety. Najważniejsze, że mogą jechać dalej.

- Mam nadzieję, że go nie zatłukłeś, Pietia - upewnił się generał. - Byłyby kłopoty.

- Nic mu nie będzie - padła odpowiedź. - Obudzi się za parę godzin.

Odpowiedź naturalna i na temat, ale głos jakby nie ten. Iwanow opuścił gazetę i

zobaczył wymierzony w swoją twarz pistolet, który był jeszcze chwilę temu własnością jego ochroniarza. Mężczyzna w drelichach przesunął czapkę na tył głowy.

- Kurwa, Gawlik, co ty wyprawiasz?! - wykrzyknął generał oburzony.

Jednocześnie rzucił okiem na drogę. Kryłow leżał na wznak z rozłożonymi na bok rękoma. Był nieprzytomny. Wielkie chłopisko wyglądało jak ubity niedźwiedź.

- Jakoś nie miałem ochoty spotkać się z ludźmi, coś ich wysłał, żeby mnie rozwalili.

- Co ty pierdolisz? Nikogo nie wysłałem. Chyba ci się przyśniło.

- Sam mnie kiedyś szkoliłeś, generale. Nie wciskaj mi ciemnoty, bo się wkurwię.

Iwanow zrozumiał, że Polak wie. Pytanie tylko, ile wie. Trzeba grać na zwłokę. Coś jest na rzeczy. Inaczej Gawlik już by go odstrzelił. Prosił przecież o spotkanie.

- Dobra. - Iwanow spuścił z tonu. - Tośmy się spotkali. I co?

- Wsiadaj - powiedział Gawlik spokojnie, nieomal przyjaźnie. - I zostaw gnata w samochodzie. Nie będzie ci potrzebny.

- Nie mam broni.

- Mówiłem ci, nie wkurwiał mnie, generale.

Iwanow uśmiechnął się kwaśno. Jego wychowanek i protegowany sprzed dwudziestu z górą lat trzymał go teraz na muszce i groził. Znał Gawlika dobrze. Nie miał wątpliwości, że w razie czego nie zawaha się ani chwili. Osobiście przecież zadbał, by wyszkolono go na świetnego żołnierza i bezwzględного zabójcę.

Wyciągnął pistolet spod marynarki i położył go na siedzeniu obok siebie. Polak przynaglił go machnięciem broni. Generał wysiadł i wciągnął w nozdrza świeże powietrze. Gawlik schował broń za pas spodni i zatrzasnął za sobą drzwi kierowcy. Nie uszło to uwadze generała. W normalnych warunkach, mając przed sobą zwykłego przeciwnika, bez większych problemów by go obezwładnił. Doskonale znał możliwości Polaka. Nie zamierzał nawet próbować. I tak nie miałby nawet najmniejszych szans.

- Co robimy?

- Przejdziemy się - odparł Gawlik. - Pogadamy.

- Skąd wiedziałeś?

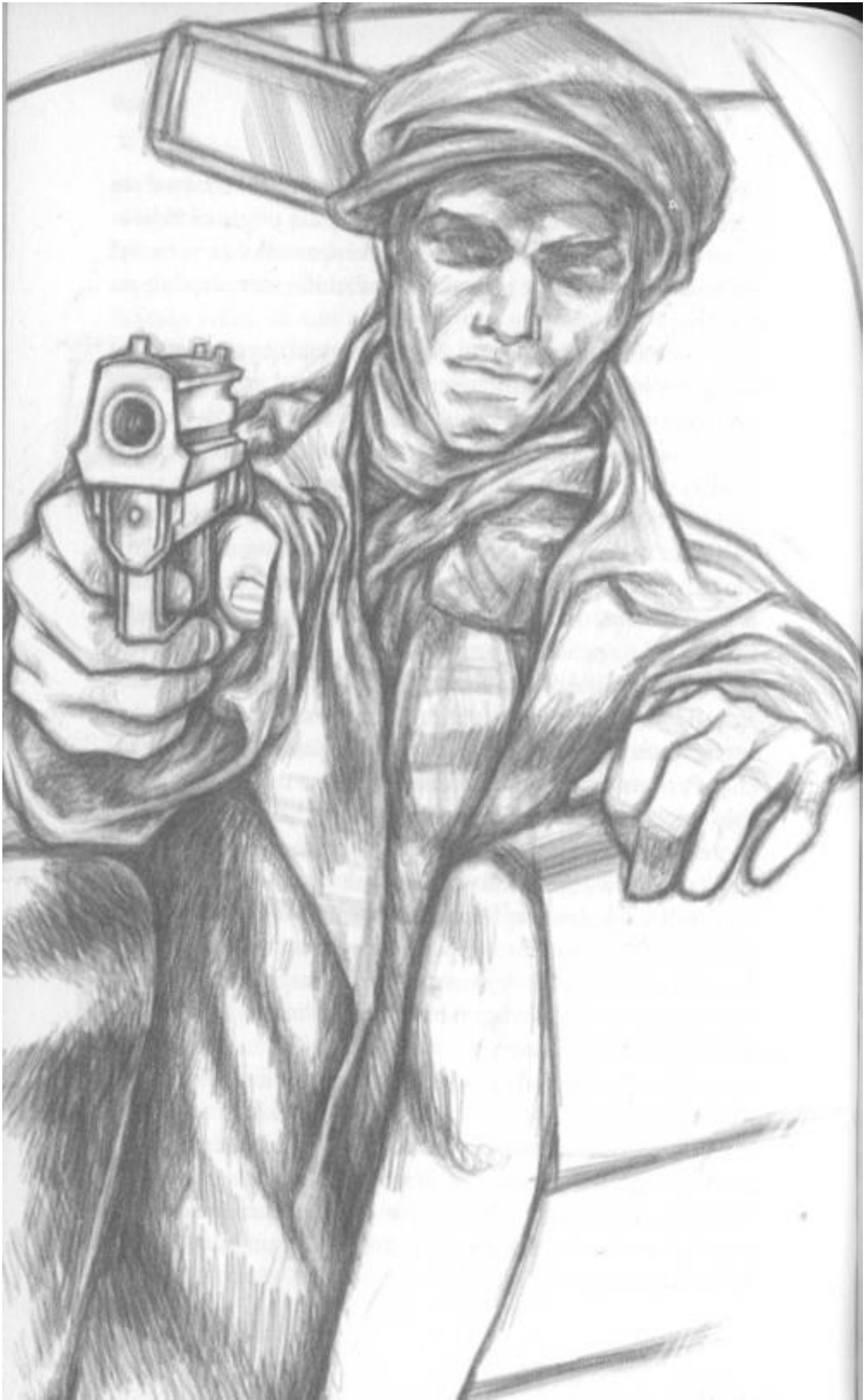
Weszli na wąziutką drożynę prowadzącą do lasu.

- Że będziesz tędy dzisiaj jechał, czy że kombinujesz z Witią?

Generał zatrzymał wzrok na swoim byłym adepcie. Mógłby być z niego dumny. Niestety, nie był po temu ani czas, ani miejsce. Dyplomatycznie nie odpowiedział.

- Czego chcesz?

- Jakuszyna - odpowiedział Polak.



- I ja mam ci pomóc?

Szli powoli obok siebie jak dwaj przyjaciele, którzy spotkali się po latach i mają sobie wiele do opowiedzenia.

- Wiemy wszystko. Że chcecie dokonać przewrotu, którzy ludzie z resortów siłowych staną po waszej stronie, jakich polityków z Dumy udało wam się szantażem i przekupstwem zmusić do współpracy, o organizacji, która ma wywołać kryzys finansowy na wasz użytek, o technologiach wojskowych, jakie ukradliście Amerykanom, o broni elektromagnetycznej na Magadan i jeszcze parę innych rzeczy.

Na Rosjaninie słowa Gawlika wydawały się nie robić większego wrażenia. Był niewzruszony. Milczał i patrzył przed siebie.

- Zdajesz sobie sprawę, że nawet jak mnie zabijesz - powiedział wreszcie - nie wyjedziesz z Rosji żywy?

- Nie jestem tu po to, żeby cię zabijać.

- To już coś.

- Wasz plan diabli wzięli.

- Sądzisz, że jak pójdziecie na Kreml z waszymi rewelacjami, to ktoś wam uwierzy? Moje słowo przeciwko słowu łachmaniarzy z CIA, czy choćby przeciwko twojemu. Jak myślisz, kto wygra?

- Nie zamierzamy nigdzie chodzić. Ani ja, ani Amerykanie.

- Czyli jesteś mądrzejszy niż myślałem. Co zamierzasz?

- Zaproponować ci, żebyś został zbawcą Rosji.

Iwanow spojrzał na Gawlika. Sytuacja zaczęła przybierać niespodziewanie pozytywny obrót.

- To znaczy?

- Z Jakuszynem już nic nie zwojujecie. Ale bez niego możesz stać się bohaterem. Wystarczy wysłać oddział na Magadan, zlikwidować waszą centralę, a przy okazji ludzi, którzy mogą coś o tobie wiedzieć. Przejmujesz technologie i to, co tam im się do tej pory udało stworzyć, idziesz z tym na Kreml, przedstawiasz swoją wersję wydarzeń i jest pięknie. Mi wystawiasz Witalija Jakuszyna.

Przez twarz Iwanowa przebiegł ironiczny uśmiešek.

- Mam go zdradzić?

- W swoim właściwie pojętym interesie. Zdaje się, że wybór jest prosty. Kłopoty albo chwała. Ja na twoim miejscu bym wybrał chwałę.

- Skąd mam wiedzieć, że ty i twoi amerykańscy kumple nie będą potem próbowali mi

szkodzić?

- Po co? Nikt nie jest zainteresowany problemami w Rosji. Poza tym słowo jakiegoś amerykańskiego łachmyty przeciwko słowu bohatera, zbawcy demokracji. Sam wiesz najlepiej.

Generał zatrzymał się. Wbił wzrok w Gawlika.

- Nie wiem, gdzie jest Witia. Kontaktujemy się mailowo.

- Wierzę ci, generale. A baza na Magadanie?

Generał nabrał w płuca zdrowego leśnego powietrza.

Przeanalizował sytuację. Słowa Gawlika rzeczywiście oznaczały kłopoty. Przynajmniej potencjalnie. Nigdy nie wiadomo, jak sprawy mogły się potoczyć. Rozwiązanie, które Polak proponował, miało sens. Wyglądało na to, że ambitne plany rzeczywiście diabli wzięli. Jednak najwyraźniej można było z tego nie tylko wyjść z twarzą, ale jeszcze na tym coś faktycznie ugrać.

- Jutro wydam rozkazy. Pojutrze nie będzie tam nikogo żywego. A sprzęt i to, co tam znajdziemy... skorzystam z twojej rady.

- Wiedziałem, generale, że podejmiesz mądrą decyzję. - Gawlik włożył ręce do kieszeni spodni. - Mam w takim razie prośbę. Pod Moskwą mieszka kobieta Jakuszyna, Tamara Szyszkińska. Lokalny lekarz. Ona może wiedzieć, gdzie go szukać. Przyślę agentkę i chciałbym, żebyś jej dał paru waszych fachowców do pomocy. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem. Zrobi się. Dostanie naszych agentów służb specjalnych.

- Tak w ramach przyjaźni amerykańsko-rosyjskiej...

- Niech będzie w ramach przyjaźni. - Iwanow uśmiechnął się krzywo.

- Czyli dogadaliśmy się?

- Dogadaliśmy się - potwierdził generał. - Tak w ogóle, to ty, Gawlik, jak Ruski jesteś.

Nie chciałbyś dla nas pracować?

- Ja widzisz, generale, święty spokój chciałbym mieć. U was za dużo się dzieje.

- Cholera by cię wzięła. - Iwanow pokręcił głową. - Pietia żyje? Co mu zrobiłeś?

- Za niedługo powinien się budzić.

- Odwiezie mnie do chałupy, potem ciebie do Moskwy. - Zawrócili w kierunku drogi.

- Kiedy ta twoja agentka przyjedzie?

- Powiedzmy pojutrze.

- Ładna chociaż?

- Nawet bardzo. Ale gustuje wyłącznie w kobietach.

- Pieprzysz. Poważnie?



- No.

- Wot psia jucha - stwierdził Iwanow zde gustowany. - Imperialiści na psy schodzą.

- Kto wie, może.

Kiedy doszli do samochodu, Kryłow wciąż leżał bez czucia. Generał próbował go obudzić kopniakiem, lecz wymagało to trochę większych wysiłków.

- Tak w ogóle, Gawlik, nie boisz się, że jak się rozejdziemy, to się rozmyślę i każe cię ustrzelić, zanim z Moskwy wyjedziesz?

- Marny interes, generale - powiedział Polak jakby od niechcenia. - Przyjaciół mam. Dorwaliby cię prędzej czy później. Ciebie i twoją rodzinę. No i zatańczyliby z tobą po naszymu. Chyba rozumiesz, co mam na myśli...?

- Niech cię diabli, Galik.

- U nas w Polsce się mówi: „złego diabli nie biorą”.

- To, jak cię znam, rzeczywiście jesteś bezpieczny.

Po kolejnym „generalskim” kuksańcu Pietia zaczął się budzić.

### *Prowincja Farah, Afganistan*

Bojownicy talibscy zabrali się za wyładowywanie ciężarówek. Nosili drewniane skrzynki i układali je pod skałą. Jeden z nich łomem otworzył wieko i wyciągnął karabin AK-47. Przeładował i zaczął strzelać w przeciwny maszyn skalny. Witalij obejrzał się za siebie. Zdażył się już przyzwyczać do tego, że Talibowie lubią sprawdzać dostarczoną broń „na gorąco”. Usiadł przy małym kwadratowym stoliku ustawionym kilka metrów od ciężarówki.

- Jak ci się udało? - Achmed, dowódca oddziału, nie krył podziwu. - Jankesi są wszędzie.

- Mam dobre układy z Panem Bogiem.

- Chyba z diabłem - roześmiał się bojownik.

- Diabeł też dostaje swoją działkę.

Achmed postawił przed nim blaszany kubek z gorącą herbatą. Na twarzy Rosjanina odmalowało się zadowolenie.

- Trzecia? - upewnił się.

- Trzecia - potwierdził Talib.

Jakuszyn wypił łyk. Nie smakowała najlepiej. Lecz nie smak był w tej chwili istotny.

- Pierwsza nieznajomy, druga przyjaciel, trzecia rodzina.

- Kto przywozi nam broń i nie każe za nią płacić jest jak rodzina. - Sięgnął po swój

kubek. - Podziękuj swoim amerykańskim przyjaciołom. Widać nawet w Ameryce są jeszcze porządni ludzie, którzy rozumieją, że walczymy o własny kraj z zachodnim najeźdźcą.

Prostolinijnemu i charyzmatycznemu Afgańczykowi nawet przez myśl nie przeszło, że za dostawę pośrednio zapłaci, i to słono, amerykański podatnik. Dozbrojenie Talibów oznacza przecież zintensyfikowanie działań zbrojnych z użyciem najnowszego i najnowocześniejszego sprzętu, który trzeba zamówić i kupić u producentów broni. Mało kto wiedział, tylko wtajemniczeni, odpowiedni ludzie, że gratisowy transport przeznaczony dla bojowników afgańskich i zaopatrzenie armii amerykańskiej, to praktycznie to samo źródło.

- Allah dba o swoich wyznawców. Nawet w Ameryce umieszcza im przyjaciół.

Rozładunek ciężarówek szedł nadzwyczaj sprawnie. Jeszcze kilka chwil i samochody zostaną pozbawione trefnego towaru, za który Amerykanie Jakuszyna by najchętniej zlinczowali.

- Święte słowa, bracie. - Achmed pokiwał głową. - Jak wrócisz? Amerykanie są wszędzie.

Powiódł wzrokiem po wspaniałych masywach górskich wokół.

- Z powrotem będzie łatwiej. Jak mnie jankesi złapią, powiem, że przyjechałem turystycznie. Pozwiedzać wasz piękny kraj. Czysty przecież będę.

Achmed roześmiał się głośno. Absurdalność ewentualnego tłumaczenia, jakie szykował Amerykanom Jakuszyn, szczerze go rozbawiła. Znał Rosjanina dobrze i był w stanie wyobrazić sobie sytuację, gdy stojąc przed mierzącymi do niego amerykańskimi żołnierzami, zgrywa głupiego i tłumaczy się w chyba najbardziej idiotyczny sposób z możliwych. Co do jednego miał jednak rację. Amerykanie nic nie mogli zrobić, ani jemu, ani jego ludziom, dopóki nie znajdą przy nim choćby jednej sztuki broni. Rozładunek się skończył. Jakuszyn faktycznie będzie jechał czysty jak łza, nie obawiając się wojskowych patroli.

- Dam ci eskortę przez góry do samolotu, żeby ci jakaś przypadkowa grupa krzywdy nie zrobiła, bracie.

- Dzięki. Dziękuję za herbatę. - Witalij wstał. - Czas wracać. Do zobaczenia, bracie. Może niedługo znowu się spotkamy.

- Jak Allah pozwoli, Witalij. Jak Allah pozwoli.

W drodze powrotnej Witalij, jadąc bezpiecznie w towarzystwie zaprawionych w bojach Talibów, pozwolił sobie na moment dekoncentracji i wytchnienia. Nie musiał już bacznie obserwować otoczenia, w ciągłym napięciu oczekując nieoczekiwanego. Zatopił się w myślach, których głównym elementem była Tamara Szyszkina. Coraz częściej łapał się na

tym, że za nią tęskni, że brakuje mu jej obecności, zwykłego bycia razem. Przez ostatnie tygodnie, zanim się spostrzegł, stała mu się bardzo droga. Chciał być przy niej jak najczęściej i jak najdłużej. Pojawiło się uczucie zupełnie mu wcześniej nieznane. Jego dotychczasowe przygody z kobietami, a było ich wiele, wyglądały zupełnie inaczej. Przelotne znajomości i krótkie romanse oparte głównie na bliskości fizycznej. Zastanawiał się, czy to, co mu się przydarzyło teraz, jest tym, co nieudacznicy poeci określają „miłością”. Czyżby faktycznie miłość istniała? Musiał przyznać, że czuł się z tym całkiem dobrze. Na samą myśl, że może teraz spokojnie wrócić do Moskwy do Tamary, po wykonanym zleceniu dla Morgana i jego kumpli, robiło mu się ciepło na sercu. Teraz, kiedy współpraca z organizacją Morgana została przypieczętowana, wszystko powinno pójść jak po maśle. Niedługo nie będzie musiał spotykać się z Tamarą „w biegu”. Kiedy do niej dzwonił parę dni temu, mówiła, że ma mu coś bardzo ważnego do powiedzenia. I że powie mu to, gdy się spotkają. Ciekaw był, cóż to takiego.

Eskorta Talibów zatrzymała się. Pomachali karabinami na pożegnanie oddalającym się ciężarówkom. Jakuszyn i jego ludzie wjeżdżali w strefę kontrolowaną przez siły wojsk zachodnich.

### *Moskwa, Rosja*

Trzej towarzysze rosyjscy, których Alice dostała do pomocy z polecenia samego generała Iwanowa, byli anglojęzyczni. Nie mogła jednak liczyć na przyjacielskie pogawędki. Byli małomówni, zamknięci. Nawet między sobą porozumiewali się zdawkowymi wyrażeniami. Wyglądali i zachowywali się jak na profesjonalistów przystało. Agentka zachodziła w głowę, jakim cudem Gawlikowi udało się nie tylko przeżyć spotkanie z generałem, ale i go przekabacić. Przecież nie szantażem. Ktoś taki jak Iwanow zabiłby go śmiechem.

Pytała. Polak nic jej nie chciał powiedzieć. Czy mogły tu zagrać ich wzajemne relacje sprzed lat? W końcu Iwanow był jego przełożonym i swego rodzaju mistrzem. Razem uczestniczyli w radzieckiej wojnie w Afganistanie. Takie sprawy łączą. Czasem na całe życie, ale aż trudno było uwierzyć, że generał zdradzi innego towarzysza broni, jakim był podporucznik Witalij Jakuszyn. Nie, to nie mogło być tak proste. Coś musiało tam zajść. Coś, o czym prawdopodobnie nigdy nie będzie jej dane się dowiedzieć. Ach ten Gawlik. Zadzwoił do niej z budki telefonicznej w Moskwie i przekazał informacje kodem, a sam najprawdopodobniej wtopił już się w tłum i kontynuuje swoje samotne polowanie na ludzi

Witalija Jakuszyna, a potem na niego samego.

Tamara Szyszkinina mieszkała w poradzieckim wieżowcu. Cała czwórka w granatowych garniturach i ciemnych okularach wchodząca do budynku, przyciągnęła wzrok przygnębionych emerytów, wiecznie okupujących pobliskie ławeczki, i zdemoralizowanej młodzieży bez przyszłości, dla których blokowisko było jedynym znanym światem. Wymienili uwagi na temat przybyszów, pociągając piwo z butelek. Nie co dzień pojawiali się tu ludzie z, jak dla nich, zupełnie innego świata. Wszyscy mieli temat do plotek, dociekań i domysłów.

Na trzecie piętro weszli schodami. Obskurna winda skutecznie zniechęciła ich do skorzystania. Stanęli przed obitymi sztuczną skórą drzwiami, niegdysiejszym symbolem wyższego statusu społecznego - pozostałość z czasów komunistycznych. Jeden z Rosjan nacisnął przycisk dzwonka. Przyjechali porą popołudniową. Wcześniej sprawdzono rozkład zajęć pani doktor. Powinna być w tej chwili w domu. Była. Nie musieli dzwonić ponownie. Uchyliła drzwi zabezpieczone łańcuchem. Zmierzyła wzrokiem trzech mężczyzn i kobietę.

- Państwo do kogo? - spytała.

Patrzyła na nich podejrzliwie. Wizyta tak wyglądających „gości” nie nastrojała optymistycznie. W takim kraju jak Rosja, gdzie demokracja wciąż jeszcze raczkowała, można było zaginąć za sprawą na przykład jakichś tajnych służb nawet bez wyraźnego powodu. O ile ona, jako zwykły szary obywatel, nie miała raczej powodu czuć się zagrożona, o tyle instynktownie wyczuwała, że przyszli do niej z powodu Witalija, który zwykłym szarym obywatelem nie był. Prowadził interesy na światową skalę, a w Rosji takim ludziom przyglądano się z uwagą.

- Tamara Szyszkinina? - spytał Rosjanin.

- Tak?

- Dymitrij Tuszyński, Federalna Służba Bezpieczeństwa. - Agent błysnął jej przed oczami legitymacją. - Chcemy zadać pani kilka pytań.

- Mi? W jakiej sprawie?

- Witalija Jakuszyna. - Mężczyzna zauważył, że lekarka się waha. - Możemy porozmawiać u pani albo u nas na Łubiance.

Sama nazwa miejsca, o której wspomniał Tuszyński, budziła obawy. Przeróżające konotacje historyczne nie zachęcały do przyjmowania ewentualnych „zaproszeń” na Łubiankę. Tamara przymknęła drzwi, odsunęła łańcuch i wpuściła agentów do środka.

Mieszkanie było małe. Schludne i skromnie, ale gustownie urządzone dwa pokoje.

- Niech się państwo rozgoszczą - powiedziała z nutką sarkazmu w głosie. Wskazała

im staromodną kanapę i krzesła. - W czym mogę pomóc?

- To są agenci Golennikow i Bykow. - Przedstawił kolegów. - A to nasza koleżanka ze Stanów Zjednoczonych, Alice Perkins z CIA. To jej głównie zależało na spotkaniu z panią. Mówi pani po angielsku? - Tamara skinęła głową. - Doskonale. Mamy z głowy tłumaczenie. Agentko Perkins?

Alice pochyliła się w stronę Tamary i oparła łokcie na kolanach.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? - zaproponowała, żeby przełamać lody. - Jestem Alice.

Tamara nie wydawała się przekonana do szczerości jej intencji. Woląca poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Miała złe przeczucia.

- Słucham - powiedziała półgłosem. - O co chodzi?

- Wiemy, że jakiś czas temu związałaś się z Witalijem Jakuszynem - zaczęła agentka ostrożnie, by jej nie spłoszyć.

- To chyba nie przestępstwo. - Tamara nie zamierzała jej ułatwiać zadania.

Dymitrij Tuszyński ściągnął brwi. Nie podobała mu się hardość lekarki. Miał ochotę udzielić jej lekcji pokory. Czekał tylko na sygnał od Amerykanki.

- Zależy, jak się na to spojrzysz. - Reakcja Alice była całkowicie spokojna. - Co wiesz o Witaliju? - Specjalnie mówiła o nim po imieniu, żeby nie prowokować niepotrzebnej wrogości u Rosjanki.

- Ostatnio pochował matkę. Ojca nie ma. Wrażliwy i bardzo ciepły mężczyzna. A co?

- Wiesz, czym się zajmował i zajmuje teraz?

- Nie wiem dokładnie, ale prowadzi jakieś interesy w różnych częściach świata. Czymś bodajże handluje. Nie wypytywałam go jakoś specjalnie. Ale w czym problem?

- Może powinnaś była go wypytać.

Tamara zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Co ta Amerykanka miała na myśli?

- Dlaczego? - zadała pytanie drżącym z emocji głosem.

Nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Czy dowie się o Witaliju jakichś strasznych rzeczy? Czy ci ludzie aby na pewno powiedzą jej prawdę? Może tylko chcą go zdyskredytować w jej oczach w sobie tylko wiadomym celu.

- Witalij Jakuszyn, były komandos, weteran z Afganistanu i agent radzieckich i rosyjskich służb specjalnych. Niezwykle sprawny zabójca. Niejeden człowiek zginął z jego ręki. Co więcej, to jeden z najbardziej liczących się w świecie nielegalnych handlarzy bronią. Chociaż mamy powody przypuszczać, że to już przeszłość. Obecnie planuje poprzestawiać porządek współczesnego świata i niewiele brakowało, by mu się udało. Na szczęście znaleźli

się ludzie, którzy byli w stanie pokrzyżować mu te plany. W sumie Witalij Jakuszyn to wyjątkowo niebezpieczny człowiek. Powiedziałabym, że jeden z najniebezpieczniejszych, jacy chodzą po tej ziemi.

Nie sposób było nie zauważyć, że lekarce odpływa krew z twarzy. Bledła coraz bardziej z każdą chwilą. Słowa Alice wywarły na niej straszliwe wrażenie. Była w szoku.

- Kłamiesz - wyszeptła. Sama nie wierzyła w to, co mówi. - Wszyscy kłamiecie, żeby zniszczyć Witalija.

- Tamaro, to wszystko prawda - odezwała się agentka najłagodniejszym tonem, na jaki ją było stać. - Przykro mi.

- Czego ode mnie chcecie? - spytała Rosjanka agresywnie.

- Musisz nam powiedzieć, gdzie Jakuszyn jest. Czy się z tobą kontaktuje i jak. Kiedy macie się znowu spotkać.

Lekarka skrzywiła się i złapała rękoma za brzuch. Nabrała głęboko powietrza. Wstała, lecz widać było, że zrobiła to z wysiłkiem. Alice nie spodziewała się, że jej rewelacje sprawią Tamarze nie tylko psychiczny, ale wręcz fizyczny ból. Ludzie różnie reagują na stres.

- Nic nie wiem. - Ton Szyszkińki był stanowczy. - Nie potrafię wam pomóc.

Agenci rosyjscy w milczeniu przyglądali się sytuacji. Alice próbowała do niej dotrzeć.

- Tamaro, posłuchaj mnie. Musisz...

- Nic nie muszę. - Rosjanka podniosła głos. - Wynoście się z mojego domu.

Ponownie ból wykrzywił jej twarz.

Dymitrij Tuszyński z ociąganiem podniósł się z krzesła. Podeszedł do lekarki powoli i zanim Alice zdążyła się zorientować, co się dzieje, wymierzył jej potężny cios w brzuch. Dwaj pozostali Rosjanie siedzieli niewzruszeni. Spodziewali się takiego obrotu sprawy.

- Zła odpowiedź, Szyszkińska. - Tuszyński powiedział do niej po rosyjsku. - Gadaj, albo ci pomogę.

Alice w pierwszej chwili chciała interweniować. Jednak zmysł profesjonalisty powstrzymał ją. W pewnych sprawach nie ma miejsca na sentymenty. Patrzyła, jak Tamara osuwa się bezwładnie na fotel. Patrzy na Rosjanina okrągłymi z przerażenia oczami. Była biała jak ściana.

- To nie było konieczne. - Burknęła do niego Amerykanka.

- Było - odparł spokojnie i usiadł na krześle.

Alice otworzyła usta, by coś powiedzieć, gdy zobaczyła stróżkę krwi wypływającą spod spódnicy Tamary. Krew spłynęła najpierw po udzie, na fotel i zaczęła kapać na podłogę. Sekundę potem stróżka zamieniła się w krwotok. Tamara zaczęła pojękiwać. Gałki oczne

uciekły jej do góry. Agentka błyskawicznie przeanalizowała sytuację. Pierwsza myśl, która przysła jej do głowy, to ta, że Tamara była w ciąży i potężny cios Tuszyńskiego dokonał poważnych uszkodzeń narządów rodnych.

- Jasna cholera! - krzyknęła do Rosjan. - Ona ma krwotok z macicy! Dzwoncie po pogotowie. Trzeba ją natychmiast zabrać do szpitala.

Do Dymitrija Tuszyńskiego i jego kumpli jakoś nie przemawiała powaga sytuacji. Niechętnie wyciągnął komórkę i zadzwonił. Golennikow i Bykow z kwaśnymi minami wyszli z pokoju. Alice tymczasem wpadła do łazienki i wróciła z naręczem ręczników. Starła się zatamować krwotok. Nie była pewna, ale domyślała się, że Tamara była w ciąży. Nie mogła wiedzieć, że sama zainteresowana dowiedziała się o tym fakcie dzień wcześniej. Tą wiadomością chciała osobiście podzielić się z Witalijem, gdy ten przyjedzie do Moskwy.

Tuszyński nie kwapił się do pomocy. Wszedł za kolegami na korytarz i cała trójka zapaliła papierosy. Alice za wszelką cenę starała się zachować zimną krew. Miała nadzieję, że karetka zdąży.

\*

Witalij Jakuszyn zaparkował czarne BMW. Spojrzał w górę. Od razu odnalazł wzrokiem okno Tamary. Uśmiechnął się. Spojrzał na maleńki bukiet kwiatów, który kupił dla niej po drodze. Wyobrażał sobie, jak się ucieszy.

Wszedł schodami na trzecie piętro. Z niesmakiem rozglądał się po obskurnej klatce schodowej. Nie rozumiał, dlaczego Tamara tak się upierała, żeby nie przeprowadzić się do nowego mieszkania, które właśnie kupił na chronionym osiedlu w dobrej dzielnicy. Zadzwonił. Czekał. Za drzwiami nie słyszał żadnego ruchu. Nie było jej w domu? Środa. Dzisiaj na pewno miała ranną zmianę. Może poszła na zakupy. Nacisnął dzwonek jeszcze kilka razy.

Z sąsiedniego mieszkania nos wyściubiła stara sąsiadka. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i rozpoznała. Bywał u niej. Razem wychodzili zawsze radośni i uśmiechnięci.

- Pani doktor nie ma - powiedziała przez szparę w drzwiach.

- Wyszła? - odwrócił się w jej stronę i podszedł do minimalnie uchylonych drzwi.

- Zabrało ją pogotowie.

Witalij drgnął.

- Jak to pogotowie? Co się stało?

- Przyszli do niej jacyś ludzie. Trzech mężczyzn i kobieta. Wyglądali jak agenci bezpieczeństwa. Tacy w garniturach, eleganciki. Potem przyjechało pogotowie i zabrało panią doktor. Wyglądała strasznie, mówię panu. Bładzieńka bidulka jak ściana. Niech pan do niej

do szpitala leci.

- Którego szpitala?

- Nie wiem, ale chyba do najbliższego ją zawieźli, bo na sygnale ruszali.

Jakuszyn cisnął bukiecik o podłogę i wystrzelił jak z procy. Zbiegł schodami w dół i wypadł na ulicę. Wsiadł do samochodu i ruszył, nie zważając na nadjeżdżającą taksówkę. Wskoczył jej przed maskę. Taksówka zahamowała z piskiem opon. Zerknął w lusterka na awanturującego się taksówkarza.

W szpitalu Jakuszyn, po uzyskaniu wstępnych informacji na recepcji, bezceremonialnie wparował na oddział ginekologiczny i dopadł dyżurnego lekarza.

- Tamara Szyszkina, co z nią? - wydyszał lekarzowi w twarz.

- Co pan? Co pan tu robi? - oburzył się postawny mężczyzna w średnim wieku. - Kto pana tu wpuścił?

Plikiem banknotów Jakuszyn zyskał przychylność bliźniego.

- Tamara Szyszkina - powiedział, starając się zapanować nad emocjami. - Przywieziono ją nie dalej jak godzinę temu.

- Pan jest z rodziny?

- Jestem... - zawiesił głos - ...narzeczonym.

- Wyjdźmy na zewnątrz szpitala. Tam będzie można porozmawiać spokojnie.

Minutę później szli wybetonowaną dróżką, mijając spacerujących pacjentów. Pogoda była wspaniała.

- No więc, doktorze?

- Doktor Szyszkina poroniła. Przykro mi, że muszę panu przekazać tę smutną wiadomość. Teraz jest operowana.

- Poroniła? Była w ciąży?

- Nie wiedział pan?

Witalij zacisnął powieki.

- Jak ostatnio do niej dzwoniłem, mówiła, że ma dla mnie bardzo ważną wiadomość. - Patrzył pod nogi. - Jakie są rokowania?

- Wyjdzie z tego, ale podejrzewam, że nie będzie miała już dzieci. Okaże się po operacji.

- Jak do tego mogło dojść? Ona sama jest lekarką. Wie co robić, żeby w ciąży nie było kłopotów.

- Pogotowie zawiadomili agenci Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Byli u niej. Podobno była z nimi jakaś Amerykanka. W każdym razie wiem tyle, że pańska narzeczona



została bardzo silnie uderzona w brzuch. Tak na moje oko, to nie wyglądało na wypadek. Sprawa jest mocno podejrzana. Lepiej niech pan porozmawia z tymi agentami FSB. Czekają na korytarzu pod salą operacyjną. Pilnują jej z jakiegoś powodu.

- Dziękuję, doktorze - powiedział Rosjanin grobowym głosem.

Zastanawiał się dlaczego FSB chciało mu się dobrać do dupy, bo nie ulegało wątpliwości, że Tamara miała być jedynie środkiem do celu, jakim było dojście do niego. Co ten cholerny Iwanow robi? Jak mógł do tego dopuścić? Nie panuje nad służbami czy co, u diabła?

Sięgnął po telefon, by do generała zadzwonić i sprawę wyjaśnić. W tej samej chwili usłyszał podniesiony głos:

- Witalij Jakuszyn? - Bardziej krzyknął niż spytał agent Golennikow. Witalij odwrócił się w jego stronę. Agent mierzył do niego z pistoletu, trzymając go oburącz. - Na glebę, kurwa! - Rozpoznał poszukiwanego. - Ręce i nogi szeroko! Już!

Przerażony lekarz zrobił kilka kroków do tyłu, a Golennikow zbliżył się do Jakuszyna. Lufą pistoletu niemal dotykał mu twarzy.

- O co chodzi? - spytał Witalij spokojnie.

- Nie słyszałeś? Na glebę - syknął agent FSB. - Mam ci pomóc?

Jakuszyn nie czekał dłużej. Wydawałoby się, że prawie niezauważalnym ruchem lewą ręką chwycił nadgarstek Golennikowa i skierował broń w bok. Agent zdążył jeszcze pociągnąć za spust i pocisk utkwił w ziemi kilka metrów dalej. Jednocześnie prawa dłoń Witalija złożona w „łapę niedźwiedzia” uderzyła celnie w tchawicę agenta, lekko z boku, co dawało szansę przeżycia. Golennikow wypuścił pistolet i złapał się za szyję. Nie mógł oddychać. Upadł na kolana. Dusił się.

- Niech go pan ratuje, doktorze. - Zwrócił się do osłupiałego lekarza, z którym przed chwilą rozmawiał.

Zrobiło się zbiegowisko i ogólne zamieszanie. Witalij Jakuszyn skorzystał z okazji i zniknął. Niebawem z budynku szpitala wybiegli agenci. Rosjanin obserwował ich z bezpiecznej odległości. Starał się dojrzeć i zapamiętać twarze. Niedługo spotkają się znowu. Z Amerykanką też. Wiedział, że musi opuścić Moskwę i pewnie Rosję natychmiast. Nie zamierzał zwlekać. Coś musiało pójść nie tak. Tylko co?

*Hamburg, Niemcy*

Max Fausten rozejrzył się dyskretnie. Nie, nie był śledzony. Poza tym na to chyba

jeszcze za wcześnie. Będzie miał trochę czasu, by zniknąć. Zanim machina agenturalna ruszy na dobre, on będzie wylegiwał się na plaży w którymś z karaibskich kraików na końcu świata. Trzeba będzie przeczekać, może nawet parę lat. Potem sprawa przyschnie. Wtedy wróci do normalnego, cywilizowanego świata jako niezwykle bogaty człowiek. W końcu nie był kluczową postacią w tej rozgrywce. Dotychczasowe interesy do spółki z Jakuszynem były wyjątkowo lukratywne. Pieniądzy, które zgromadził na osobistych kontach, starczy mu do końca życia. Co do tego nie było wątpliwości.

Podszedł do budki telefonicznej i włożył kartę do aparatu. Dzwonienie z komórki byłoby ryzykiem graniczącym z samobójstwem. Namierzyliby go szybko. Wystukał długi numer na klawiaturze. Znał go na pamięć. Kiedy zgłosił się rozmówca, spytał bez zbędnych wstępów:

- Gdzie jesteś?

- W Rosji.

- Niedobrze. Jak skończymy gadać, pozbądź się komórki.

- Dobra. - Jakuszyn wcale nie wydawał się być zaskoczony. - Mów.

- Generał zdradził. Nie wiem dlaczego, ale takie są fakty.

- To pewne?

- Absolutnie.

- Kurwa. Skurwysyn.

- Zaraz zaczną na ciebie polować.

- Już zaczęli.

- Dasz radę przekroczyć granicę, czy trzeba ci coś zorganizować?

- Dam radę. Spokojnie. - Witalij wiedział, że w Rosji pali mu się grunt pod nogami, ale zdecydował, że ma tu jeszcze coś do zrobienia. Nie wyemigruje od razu. - Działania?

- Oddział Alfa uderzył na nasze obiekty w Magadan. Uderzyli z ziemi. Musieli wiedzieć o naszym generatorze impulsu elektromagnetycznego. Dlatego nie było ataku z powietrza.

- Straty?

- Ludzie wybici, sprzęt i materiały przejęte. Dorwali nas popisowo.

- Nasi żołnierze?

- Inny oddział się nimi zajął. Nie mamy już grupy uderzeniowej. Iwanow był bardzo skrupulatny. Niczego nie przeoczył.

Rosjanin rozumiał już wszystko. Stąd pojawienie się agentów. Stąd pobicie ciężarnej, jak się okazuje, Tamary. Zbrodnia, która nie pozostanie bez kary. Tylko kwestia czasu. Faceci

musieli być z FSB, a ta Amerykanka to pewnie CIA. Jak to się mogło stać? Niemożliwe, żeby jankesi byli w stanie Iwanowa przekonać, a tym bardziej zastraszyć. Teraz już nieważne. Teraz jest czas rozliczeń.

- Twoim zdaniem czemu generał nas wydymał?

- Nie wiem. To się nie trzyma kupy. Wiem tylko, że spotkał się z tym twoim dowódcą. Tym Polakiem, Gawlikiem. Na logikę biorąc, powinien był go ubić bez gadania, a tu, kurwa, nagle totalna zmiana frontu. Taki numer.

- Morgan zareagował nerwowo? Coś wiesz?

- Wątpię, żeby już mu doniesiono. W każdym razie nic nie słyszałem. Zupełna cisza. Ale prędzej czy później się dowie.

- Co planujesz, Max?

- Przyczaić się. Tobie też radzę.

- Z Morganem trzeba pogadać.

- Gęsta atmosfera jest. Poczekałbym. Spróbuję jeszcze popytać. Jak dotarli do Morgana, to lepiej się od niego trzymać z daleka.

- Jak cię znajdę?

- Kontakt awaryjny w Szwajcarii.

- Dobra.

\*

W Moskwie panował ruch i zgiełk, jak zwykle. Jakuszyn spojrzał na ludzi próbujących przejść przez ulicę na pasach. Kierowcy ani myśleli, by wzorem kultur zachodnich przepuścić pieszych. Pieszy nigdy nie ma racji i wiele ryzykuje, wchodząc na pasy, szczególnie gdy zbliża się człowiek za kierownicą bardzo drogiego samochodu.

Wytarł dokładnie chusteczką aparat, tak na wszelki wypadek, i wrzucił go do studzienki kanalizacyjnej. Wyjął z portfela platynową kartę kredytową i przeczytał nazwisko: Robert Lee. Schował ją z powrotem i zerknął na swoje odbicie w szybie okna wystawowego. Najdalej za kilka godzin ta twarz będzie w wiadomościach. Poszukiwana przez wszystkie służby policyjne. Zdjęcia w hotelach na lotniskach i granicach.

- Cóż, panie Lee - powiedział do siebie szeptem. - Przydałoby się zmienić wygląd.

Wiedział, gdzie pójść. Wybitni specjaliści od charakteryzacji wyposażą go odpowiednio i zmienią nie do poznania. Odpowiednia zmiana zdjęcia w paszporcie amerykańskim również nie będzie nastroczać większych problemów. Wszystko jest zawsze tylko kwestią ceny.

\*

Hamburska aura nie nastrojała optymistycznie. Zanosiło się na deszcz. Max Fausten popatrzył w niebo. Nie miał przy sobie nic przeciwdeszczowego. Do kamienicy, w której miał swoje lokum i które zamierzał opuścić jeszcze dzisiaj, pozostało kilkaset metrów. Przyśpieszył kroku.

Na obszerną klatkę schodową, urządzoną w przedwojennym stylu, wszedł akurat w momencie, gdy wielkie krople deszczu zaczynały uderzać w trotuar. Lekko pochylony, odwrócony do Faustena tyłem, starszawy dozorca w roboczym ubraniu zamiatał podłogę.

- Dzień dobry. - Max zawsze miał w zwyczaju kłaniać się człowiekowi dbającemu o czystość ich kamienicy. Wraz z żoną wywiązywali się ze swoich obowiązków bardzo sumiennie. - Leje jak z cebra. Ledwie zdążyłem. Widział pan.

- Tak, widziałem. - Mężczyzna nie przerwał pracy. Odwrócił się powoli w stronę Maxa, wciąż zamiatając. - Lato nas nie rozpieszcza w tym roku.

Max zobaczył, że sprzątający człowiek nie jest dozorcą, którego dobrze znał z widzenia. Widać jakieś zastępstwo, jak to już wcześniej zresztą bywało. Rzucił okiem na twarz barczystego zamiatacza. Nie była to twarz prostego pracownika fizycznego. Epatowała z niej inteligencja i mądrość. Gastarbeiter? Chyba nie...

Dzieliła ich odległość kilku metrów. Mężczyzna przestał zamiatać. Niemiec zareagował błyskawicznie. Sięgnął pod marynarkę po pistolet. Było mu w tym momencie zupełnie obojętne, że zaalarmuje hukiem wystrzału sąsiadów. Nie to było istotne. Ratował własną skórę. Chwycił kolbę broni i wyciągnął, jednak nie zdążył wycelować. W dłoni zamiatacza pojawił się nóż, który przeszył powietrze. Ostatnie wrażenie, które Max pamiętał, to bolesne ukłucie w szyję i paraliż całego ciała. Upadł na schody. Nie był w stanie złapać powietrza. Zatrute ostrze zadziało szybko i skutecznie. Nie minęła minuta, kiedy ciałem Maxa Faustena wstrząsały pośmiertne drgawki.

Gawlik usłyszał dźwięk otwieranych drzwi na którymś piętrze powyżej. Podniósł i schował nóż. Trzeba było zniknąć. Całe szczęście, że Fausten nie wybrał sobie mieszkania w domu z portierem na parterze. Widać nie chciał się rzucać w oczy, starając się maksymalnie anonimowo wtopić w społeczność. Polak naciągnął czapkę na oczy i z miotłą w dłoni wyszedł z budynku. Szedł szybko z pochyloną głową. Deszcz zaczynał ustawać. Miał dużo czasu, by się bezpiecznie oddalić. Sąsiad wezwie karetkę, lekarze stwierdzą zgon. Minie jakiś czas zanim odkryją, że Max Fausten nie umarł z przyczyn naturalnych.

## ROZDZIAŁ 40

### *Demokratyczna Republika Konga, Afryka*

Tony podniósł się z ławeczki. Rozejrzał się wokół jakby czegoś lub kogoś szukał. Wyciągnął z kieszeni i podał jej wyrzeźbioną, drewnianą figurkę słonia.

- Prezent - skrzywił się w uśmiechu, jakby lekko zakłopotany.

- Śliczny - powiedziała z entuzjazmem. - Sam zrobiłeś?

- Osobiście tymi rękoma.

Martyna odsunęła z twarzy kosmyk włosów. Z lekkim żalem pomyślała, że gdyby jej były chłopak w Polsce choć w połowie tak jak Tony potrafił docenić ją jako kobietę, ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Może nigdy nie musiałyby tu przyjeżdżać. Wyciąg szczurów tak powszechny w Polsce na początku dwudziestego pierwszego wieku i walka o status społeczny w środowisku oddaliły ich od siebie tak bardzo, że przestali siebie zauważać. Ten dość osobliwy Australijczyk w przeciągu pierwszych tygodni otworzył jej oczy na sprawy podstawowe. Choćby na to, że życiem można się cieszyć nawet tu, w biednej, często wygłodniałej Afryce. Czy musiała wyjeżdżać aż tak daleko, by zrozumieć najprostsze sprawy?

- Tony, jak długo my się znamy? - spytała.

- Długo.

- No właśnie. A ja nic o tobie nie wiem. Ludzie tu mówią, że nie zawsze byłeś zakonnikiem.

Przez kolejne kilka, może kilkanaście sekund Tony milczał, jakby nie słyszał. Cienkim bambusowym patykiem bazgrał na ziemi przed sobą. Polka nie powtórzyła. Uznała, że jeżeli Australijczyk nic nie mówi, to albo nie chce, albo temat jest dla niego z jakichś powodów zbyt bolesny. Zawsze będzie mogła pociągnąć za język odwiedzającego ich co jakiś czas brata Patryka. Z nim powinno jej pójść łatwiej. Niczego nie potrafił jej odmówić. Jak brata Patryka odpowiednio przycisnie...

- Miałem inne życie. - Bieg jej myśli przerwał pogrzebowy głos Tony'ego. - Miałem śliczną dziewczynę i wspianego synka. Planowaliśmy ślub. - Zamilkł. Nagle zauważyła niezwykłą przemianę w Australijczyku, że ma przed sobą zupełnie innego człowieka niż ten,

który dzień w dzień epatował pogodą ducha i życzliwością dla ludzi wokół. Był to ktoś inny, ktoś, kto wiele w życiu widział i przeżył, a przeżycia te zostawiły trwale piętno na jego osobowości, skrywane pod twardą maską, pod którą ludzie niewiele mogli dostrzec, o ile cokolwiek. Nie patrzył na nią, a ona się nie odezwała. Nie chciała go spłoszyć. Czekala w nadziei, że Australijczyk powie coś więcej. Doczekała się. - Pewnego dnia wróciłem z rejsu. Kilka dni wcześniej niż planowałem. Bo widzisz, marynarzem byłem. Pływałem w marynarce handlowej jako pierwszy oficer.

- Ktoś mi tu mówił, że Tony to wilk morski...

- Dalej to już historia jak z tandetnego melodramatu. Zastałem ją w łóżku z sąsiadem w niedwuznacznej sytuacji. Wpadłem w szal. Nie wiem, co mi się stało. Stłukłem faceta niemilosierdzie, dzień później zmarł w szpitalu. Jenny też się nieźle dostało, ale przeżyła. Oskarżyli mnie o pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Ukrywałem się jakiś czas. Zanim dopadła mnie policja, znalazł mnie pewien pułkownik francuskiej Legii Cudzoziemskiej i zaproponował, że wywiezie mnie bezpiecznie z kraju, jak podpiszę kontrakt na czteroletnią służbę. Podpisałem. Wtedy nie wiedziałem, w co się pakuję. Myślałem, że wszystko jest lepsze niż więzienie. Teraz wiem, że tak nie jest.

- Brat Patryk mówił, że jesteś byłym legionistą.

Tony skrzywił się w kwaśnym uśmiechu.

- Brat Patryk to straszny plotkarz. Mówi się, że baby plotkują. Powinno się mówić: brat Patryk i baby to straszne plotkary.

- Gdzieś czytałam, że Legia składa się głównie z kryminalistów. To prawda?

- Nie do końca prawda, ale w dużym stopniu. Kryminaliści to najczęściej doskonali żołnierze. Domyśl się dlaczego.

- Domyślam się. Słynna pogarda dla śmierci?

- Dużo wiesz. - Popatrzył na nią.

- Jestem odcytana. - Uśmiechnęła się.

Przeniósł wzrok na bawiące się nieopodal dzieci.

- Z tą pogardą dla śmierci to też prawda. Dlatego legioniści bywają znacznie skuteczniejsi niż jednostki specjalne z innych krajów, na przykład amerykańskie.

- Zabiłeś kogoś? - spytała, zanim zdała sobie sprawę, jak głupie jest to pytanie.

Spojrzał na nią ponownie, przechyliwszy lekko na bok głowę.

- Obawiasz się, że kiedyś mogę znowu narozrabiać? Niesłusznie. Legioniści mają swój honor. Pod tym względem legionistą będę do końca życia.

- Nie to miałam na myśli... - próbowała ukryć zakłopotanie.

- Nie przejmuj się. Każdemu takie myśli przychodzą do głowy - powiedział uspokajająco. - Uznajmy to pytanie za niebyłe.

Kobieta spuściła głowę. Było jej wstyd, że się wygłupiła. Poza tym swoim pytaniem z pewnością obudziła wspomnienia, do których Tony nie chciał wracać, i o których usilnie starał się zapomnieć z mniejszym lub większym skutkiem, ale zawsze.

- Nie próbowałeś ich odnaleźć? - wróciła na, jak się jej wydawało, bezpieczniejszy grunt.

- Jenny i synka? Jasne, że próbowałem. W Legii dostawało się urlopy, fałszywe dokumenty i można było jechać gdzie się chce, pod warunkiem, że wrócisz na czas. No i po paru latach pojechałem. W naszym domu nowi właściciele powiedzieli mi że „państwo Jenny, George i ich syn Jimmy” sprzedali dom i wyprowadzili się z miasta. Dowiedziałem się kanałami, że Jenny poślubiła jakiegoś dzianego kumpla z pracy i na zawsze pozbawiła mnie kontaktu z synkiem.

- A jak tam jest u was w tej Australii? - postanowiła zmienić temat na bardziej ludzki.

- Da się żyć? Słyszałam, że pająki, węże i różnego rodzaju świństwa wam życie umilają.

Tony uśmiechnął się pogodnie. Rysy twarzy mu złagodniały. Podświadomie był jej wdzięczny, że zeszli z niemiłych dla niego wspomnień.

- Bez przesady. Wy w Polsce nie macie pajaków?

- Na pewno nie takie, jak „funnel web”, co jak podskoczy i plunie jadem, to dorosłego złoży do łóżka na rok, dziecko może nawet zabić. Nie jest tak?

- Jest. Ale jak takie pająki pojawiają się na zamieszkałych przez ludzi terenach, to wzywa się odpowiednie służby i te załatwiają problem. Nie jest tak źle. Ale to i tak nic. Gorzej jak turyście przyjdzie ochota popływać w okolicy plaż w Queensland. Żyją tam meduzy bodajże ponad sto razy bardziej jadowite niż kobra.

- Meduzy jadowite? - Polce nie chciało się wierzyć, że pływające galarety, które czasem spotykało się w Bałtyku, mogłyby komukolwiek zrobić krzywdę.

- No widzisz. Mało kto zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Mamy osy morskie - rodzaj kostkomeduz, naprawdę duże. Każdy z czułek zawiera truciznę wystarczającą do zabicia 60 dorosłych osób. Trucizna działa na skórę, serce i układ nerwowy. Śmierć może nastąpić już po paru minutach od ukąszenia, a z pewnością spotkanie to jest wyjątkowo bolesne. Nieznośny ból przez co najmniej dwadzieścia minut.

- Pięknie. Rozumiem, że to w ramach zachęty do odwiedzenia Australii w celach turystycznych?

- Ale teraz powiem ci najlepsze. Meduza wielkości paznokcia. Nazywa się Karukia.

To dopiero prawdziwy zabójca. Jakikolwiek kontakt ze skórą człowieka jest śmiertelny, jeśli zaatakowanego miejsca szybko nie poleje się octem, żeby jad się nie wstrześlił do wnętrza ciała. Wtedy jest szansa na przeżycie, jeśli naczynia krwionośne wytrzymają gwałtowny wzrost ciśnienia krwi. Przez następne co najmniej dwadzieścia cztery godziny ból całego ciała jest nie do zniesienia. Człowiek ma ochotę zedrzeć z siebie skórę. Czujesz, jakby ci ktoś miażdżył kręgosłup. A najgorsze, że nie działają żadne środki przeciwbólowe. Nawet potężna dawka morfiny nic nie daje.

- Skąd ty to wszystko wiesz? Jesteś jakimś biologiem, czy co?

- Nie, miałem kiedyś z Karukią „bliskie spotkanie trzeciego stopnia” i nigdy więcej takiego spotkania nie chciałbym powtórzyć.

- Wiesz co, Tony? Idź w cholerę z tą twoją Australią. Moja noga na pewno nigdy tam nie postanie.

Tony roześmiał się w głos. Ubawił go fakt, że zdołał Martynę tak nastraszyć, choć przytoczone przez niego fakty w żaden sposób nie mijały się z prawdą.

- Daj spokój, Martyna. Takie wypadki to rzadkość. Poza tym mamy misie koala, które ciągle żrą te swoje eukaliptusy i ciągle są na haju. No i oczywiście Australijczycy to świetni ludzie. Choćby ja na przykład. - Wstał, rozłożył ręce i podniósł głowę, prezentując się w pełnej krasie. - Czy czegoś mi brakuje?

- Urody, Tony. Urody. - Australijczyk zrobił cierpiętniczą minę. Martyna wstała i położyła mu dłoń na ramieniu. - Ale nie przejmuj się. Mogło być gorzej. Idę trochę popracować. W końcu nie jesteśmy tu na wakacjach. Na razie, Tony.

- Jadę z Olisem do miasta, może chcesz się zabrać?

Polka zawahała się. Było kilka drobiazgów, które zamierzała dokupić. Poza tym lubiła Olisa, chłopaka o gołęmbim sercu, świeżo upieczonego małżonka, od którego zawsze, podobnie zresztą jak w przypadku Tony’ego, była radość życia, co najczęściej objawiało się głośnym śpiewem lokalnych pieśni, nawiasem mówiąc całkiem przyjemnych dla ucha, choć najprawdopodobniej w ogromnej większości improwizowanych na potrzeby chwili. Wraz z obecną żoną - Alishą, jeszcze nie będąc małżeństwem, pomagali w misji i tak już zostali.

Tony i Olis stanowili wyjątkowy duet, trochę niczym Flip i Flap, biorąc pod uwagę ogromne gabaryty Murzyna i tylko trochę ponadprzeciętne Australijczyka. Podróż do miasta w ich towarzystwie z pewnością obfitowałyby w niezapomniane wrażenia w postaci opowieści nie z tej ziemi w wykonaniu Tony’ego, w których niezwykle trudno oddzielić prawdę od wciskania najzwyczajszej ciemnoty, oraz repertuaru wokalnie-tanecznego, na ile by tylko pozwoliła przestrzeń terenowej Toyoty pickupa będącej na wyposażeniu misji,



naturalnie w wykonaniu ogromnego Afrykańczyka. Z drugiej jednak strony miała trochę papierkowej roboty odnośnie życia misji, którą jej powierzył brat Patryk w „dowód najwyższego zaufania”. Robota jak każda inna. Ktoś to zrobić musiał. Tak więc zaczynała tonąć w papierach.

- Następnym razem, Tony.

Mężczyzna uniósł rękę na pożegnanie i rozeszli się w przeciwnych kierunkach.

\*

- A poszli wy mi tu stąd! - wrzasnęła po francusku Alisha na czarne dzieciaczki, kiedy próbowały zwędzić świeżutkie podpłomyki z mąki kukurydzianej. Mimo że tego typu wypieków nie można było zaliczyć do wykwintnych dań, Murzynka wkładała w nie tyle serca i umiejętności, że były i tak wyśmienite. Wybiegła ze ścierką za chłopcami trzymającymi w dłoniach łup. Zatrzymała się na progu. - Wy nicponie! Jedzenia ma starczyć dla wszystkich, a nie tylko dla was! - krzyknęła za oddalającymi się złodziejaskami. Gdy zniknęli jej z oczu, uśmiechnęła się do siebie. - Jedzcie na zdrowie, łobuziaki.

Przypomniała sobie nie tak odległe czasy, kiedy ona i jej rodzina głodowali. Spotkała Olisa i brata Patryka - misjonarza katolickiego z Europy - świata, o którym słyszeli, że jest mlekiem i miodem płynący. Misjonarz otoczył ich opieką, stworzył dla nich i jeszcze kilku innych rodzin namiastkę normalności, dał im poczucie bezpieczeństwa i sprawił, że nie musieli martwić się o posiłek w dniu następnym. Był niezwykle energicznym człowiekiem, nawiązał kontakty z lokalnymi oficjelami i od zera zbudował misję, gdzie schronienie i byt znalazło blisko pięćdziesiąt osób. Każdy dorosły miał co robić i każdy czuł się potrzebny w tej mikrospołeczności. Aż bała się pomyśleć, co by było, gdyby Bóg nie postawił im na drodze tego Europejczyka.

Odwróciła się w stronę wejścia to chaty. Zrobiła krok... lecz zastygła w bezruchu. Do jej czujnych uszu dobiegł warkot silnika samochodu, zupełnie inny niż znajomy dźwięk wydawany przez wysłużoną misyjną Toyotę. Poczula niepokój szybko przeradzający się w rosnące z każdą chwilą uczucie strachu.

Krętą drogą w ich kierunku jechały cztery samochody. Trzy typu pickup i jeden terenowy, z daleka wyglądający na jeepa. Na pace każdego z pickupów stało po kilkunastu ludzi. Wymachiwali czymś to w górę, to w dół.

Afrykanka wiedziała aż za dobrze, co trzymają w dłoniach zbliżający się szybko ludzie. Karabiny maszynowe AK-47 i M-16 wróżyły nieszczęście. Widziała już kiedyś podobny obrazek. Samo wspomnienie przyprawiało ją o zimny dreszcz. Mimo panującego upału zaczęła drzeć na całym ciele. Wybiegła z budynku i skryła się w zaroślach.

Na teren misji z wyciem silników wtoczyły się cztery samochody, z których natychmiast zaczęli się wysypywać uzbrojeni czarni mężczyźni z bronią gotową do strzału. Nie byli to mundurowi żołnierze. Większość z przybyłych miała przewieszane przez ramiona pasy z nabojami. „Milicja”, przyszło jej natychmiast do głowy. Tak nazywano zbuntowane grupy bojowników lub zwykłych bandytów.

Z ciemnozielonego jeepa wyszedł leniwie mężczyzna o posturze kulturysty. Jako jedyny był ubrany w wojskowe spodnie, buty i kamizelkę bez rękawów. Na potężnych ramionach pod hebanowoczną skórą z każdym ruchem pęczniały stalowe mięśnie. Na głowie miał zielony берет. Powiódł wzrokiem po ludziach stojących wokół niemal nieruchomo. Kobiety przyciskały do siebie chlipiące dzieci. Maluchy instynktownie wyczuwały zagrożenie wiszące w powietrzu. Niektóre nie musiały. Niektórym takie spotkanie dane już było przeżyć. Kuliły się u stóp rodziców przerażone. Jednak podobnie jak rodzice chciały wierzyć, że teren misji jest czymś na kształt strefy bezpieczeństwa, gdzie konflikt zbrojny, który wybuchł w kraju rok temu i o którym wszyscy usłyszeli już dość dawno, ich nie dosięgnie. Nikt nie odważył się zadrzeć z bratem Patrykiem, który właśnie przyjechał z wizytą, ustosunkowanym lokalnie i nie tylko lokalnie Europejczykiem. Za nim przecież mogli stać sami Francuzi, ze swoimi oddziałami stacjonującymi w Czadzie.

Czarny bojownik sprawiający wrażenie przywódcy oddziału zdjął wielkie ciemne okulary. Zamiast lewego oka miał czerwoną od zakrzepłej krwi gałkę. Lewą górną część twarzy miał całą poszarpaną jakby sięgnęło go szponami dzikie zwierzę niewiele mniejsze od niedźwiedzia. Wyglądał upiornie. „Shaka” - przez grupę mieszkańców przetoczył się złowieszczy pomruk. Słyszeli o tym człowieku z opowiadań. Lokalny watażka aspirujący do sławy znanego z ubiegłowiecznej historii Zulusa Czaki. Stąd pseudonim. Nikt nie wiedział, jak nazywa się naprawdę.

Brat Patryk zbliżał się z głębi misji. Szedł szybkim krokiem. W jego postawie nie można było dostrzec ani śladu strachu. Stał przed komendantem i rzucił podniesionym głosem:

- To teren misji katolickiej. Jesteśmy pod opieką Rzymu i państwa watykańskiego. Wasza wojna nas nie dotyczy. Ruszajcie swoją drogą. - Misjonarz podniósł dumnie głowę w oczekiwaniu na reakcję.

Nie musiał długo czekać. Komendant błyskawicznym ruchem wyciągnął zza pleców pistolet i strzelił bratu Patrykowi prosto w czoło. Zakonnik padł najpierw na kolana, a potem martwy na twarz.

- I misjonarz poszedł do nieba. Jestem Bogiem! - stwierdził przywódca grupy tonem

typu: „czasem sam siebie zaskakuję” i wybuchnął diabolicznym śmiechem. - Do roboty!

Wśród mieszkańców misji zawrzało. Podniósł się przerażający krzyk. Ludzie rzucili się do ucieczki, szukając schronienia gdziekolwiek. Dowódca grupy zrobił w powietrzu młynek palcem wskazującym, dając tym samym swoim ludziom sygnał do ataku. Zaszczekały karabiny. Mężczyźni, kobiety i dzieci padali pod gradem kul. Napastnicy uderzyli niczym myśliwi polujący na zwierzynę. Dopiero w tym momencie Alisha zauważyła ze zgrozą, że znaczna część oddziału to uzbrojone po zęby dzieci nastoletnie i młodsze. Bez mrugnięcia okiem strzelały do ludzi jak do tarcz strzelniczych.

Usłyszała za sobą kroki. Kiedy się odwróciła, zdołała tylko zauważyć, jak kolba karabinu łąduje na jej szczęce. Ogarnęła ją ciemność.

Murzyn spojrział na swoją ofiarę. Uznał, że jest całkiem niebrzydka i postanowił skorzystać z okazji. Rozłożył jej nogi. Dziewczyna odzyskała przytomność w trakcie „aktu miłosnego”. Zaczęła krzyczeć. Podniósł się i kolbą karabinu roztrzaskał jej głowę. I wtedy czaszka napastnika została od tyłu rozplątana na dwoje. Osunął się na ziemię. Siekiera do tej pory służąca do rąbania drewna spłynęła krwią. Tony włożył ją za pas, chwycił nieprzytomną dziewczynę i odciągnął w zarośla. Sam niewidoczny obserwował bieg wydarzeń.

Olis siedział na kolanach. Po policzkach płynęły mu łzy. Głaskał twarz żony. Nie żyła. Zaciskał kurczowo zęby i pięści. Był cały napięty jak pantera gotowa do skoku.

- Olis - syknął Tony. - Olis - powiedział głośniejszym głosem, gdy Murzyn nie zareagował. - Alishi już nie pomożesz. Jak tam pójdziesz, to zginiesz. - Olis się nie odzywał. - Olis! Patrz na mnie.

Tony szarpnął jego wielkim cielskiem i mało go nie przewrócił. Kto by pomyślał, że w jego australijskich mięśniach kryje się tyle siły.

- Zobacz - odpowiedział Afrykańczyk i ruchem głowy wskazał misję.

Emocje wydawały się z niego uchodzić. Stawał się zimnym, chłodno kalkulującym człowiekiem. Rozbudzona w czasie pobytu w misji radość życia uleciała bezpowrotnie.

Tony przeniósł wzrok na wydarzenia dziejące się nieopodal. Strzały umilkły. Pozostali przy życiu ludzie zostali stłoczeni w jednym miejscu. Rozpoczął się dobrze znany im obydwu rytuał. Przed oblicze dowodzącego grupą przyprowadzono kilkunastoletniego chłopca. Olis i Tony poznali go natychmiast. Jego rodzice leżeli nieopodal, nie dawali żadnych znaków życia. Najprawdopodobniej byli martwi.

Umbe głośno zawodził. Związali mu ręce na wysokości nadgarstków i położyli na pniu. Dowódca skinął głową i trzymana w mocnych dłoniach siekiera jednego z napastników spadła na pień. Umbe z nieludzkim wrzaskiem upadł na plecy. Z kikutów rąk sikała krew. Inny bandyta przytrzymał stopą wijącego się młodzieńca i przyłożył do ran płonąca

pochodnię, by zatamować krwawienie. Chłopak stracił z bólu przytomność. Historia powtórzyła się jeszcze cztery razy z dwójką dzieci i dwojgiem dorosłych. Tony i Olis obserwowali zbrodnię z bezsilnością, która niemal sprawiała im fizyczny ból.

Po krótkiej chwili z grupki mieszkańców misji wywleczono Martynę. Tony i Olis spojrzeli po sobie. Wiedzieli aż nadto dobrze, co się teraz wydarzy. Trzech mężczyzn sprawnie zdarło z niej ubranie. Stała naga, trzymana mocno z tyłu za przedramiona, przed przerażającym dowódcą. On uśmiechał się lubieżnie i wskazał wejście do chaty obok. Zawlekli kobietę do wnętrza. Olis i Tony słyszeli jej wrzaski i głośne wybuchy śmiechu oprawców. Gwałcili ją zbiorowo. Trzech młodzików w wieku może trzynastu, czternastu lat na wyraźne zaproszenie usatysfakcjonowanego dowódcy, który właśnie wyszedł z pomieszczenia, przyłączyło się do „zabawy”. Kilka minut później czarni bojownicy pojawili się ponownie na placu. Dwóch zapinało jeszcze pośpiesznie spodnie. Martyna została w środku. Tony zdawał sobie sprawę, że jej szanse na przeżycie nie były duże. Chyba że herszt bandy postanowi zrobić z niej swoją seksualną niewolnicę. Wtedy będzie starał się ją jako tako utrzymywać przy życiu.

Tony zlustrował teren. Zauważył możliwość znacznego zbliżenia się do miejsca wydarzeń. W odległości mniej więcej dwudziestu metrów za plecami bojowników znajdowała się kępa zarośli, za którą dorosły człowiek mógł z łatwością się ukryć. Ryzyko było ogromne. Wystarczył jeden niewłaściwy ruch, a napastnicy go odkryją i zrobią z niego durszlak. Gra była warta świeczki. Stamtąd będzie słyszał prowadzone rozmowy. Dowie się, co zamierzają.

Pozostawało tylko w sposób niezauważony pokonać kilkanaście metrów otwartej przestrzeni. Bez wahania ruszył przez busz. Wyczekał dogodnego momentu i przeskoczył w wypatrzone miejsce. Niemał bezgłośnie przetoczył się na plecach i przywarł do ziemi. Lata szkoleń w legii bardzo się przydały. Wbił wzrok przed siebie, wyczekując ewentualnych wrogich działań. Nikt się nie odwrócił. Nikt nie szukał towarzysza, któremu on wcześniej wypatroszył czaszkę.

- Mama, tam był Tony - powiedziała sześciolatka dziewczynka półgłosem i szarpnęła sukienkę tępo wpatrzonej w oprawców matki. Na krótką chwilę Australijczykowi serce podeszło do gardła. - Mama, tam... - Dziewczynka chciała wskazać kierunek, lecz matka przezornie złapała ją za rękę.

- Cichutko, Anique. Bądź grzeczna, to ci źli ludzie sobie pójdą i zostawią nas w spokoju. Cichutko. - Matka przycisnęła główkę córki do brzucha.

Shaka stanął w rozkroku z założonymi do tyłu rękoma przed zdziesiątkowaną i struchlałą ze strachu grupką pozostałych przy życiu mieszkańców misji. Wyglądał jak

esesman wzrokowo dokonujący wstępnej selekcji więźniów obozu koncentracyjnego. Ludzie mimo woli kulili się i pokornie spuszczały głowy, gdy czuli na sobie jego diaboliczne spojrzenie zza ciemnych okularów. Wskazał palcem dwie nastoletnie dziewczyny o ponadprzeciętnej jak na afrykańskie standardy urodzie.

- Wy dwie, będziecie miały zaszczyt służyć w oddziałach Demokratycznej Armii Wyzwoleńczej. Idziecie z nami - stwierdził kategorycznym tonem. Nikt z obecnych nie miał cienia wątpliwości, jakiego typu służba je czekała. Zaspakajanie wszelkiego rodzaju seksualnych fantazji herszta bandy, a potem i reszty oddziału, gdy dziewczyny mu się znudzą. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, że będą one mogły mówić o wielkim szczęściu, jeśli wyjdą z tej „służby” jedynie pokiereszowane fizycznie i psychicznie, ale jednak żywe. Tym bardziej zdawali sobie z tego sprawę ich rodzice, którzy objęli córki mocno i uderzyli w błagalny ton, zebrząc o łaskę dla dzieci. Shaka nie spodziewał się oporu. - Brać je! - rzucił rozkaz do swoich ludzi.

Ci jak wściekłe psy natychmiast skoczyli i dopadli obejmującą się rodzinę. Wyrwali córki z ramion ojca i matki i odepchnęli ich na kilka metrów dalej. Skinienie głową dowódcy był sygnałem dla trzech małych żołnierzy. Chłopcy w wieku nie więcej niż jedenaście, może dwanaście lat, wykonali wyrok śmierci na ludziach mających czelność odmówić podporządkowania się rozkazom szefa. Zasypali rodziców dziewczyn gradem kul. Ich ciała były podziurawione jak sito. Leżeli obok siebie w pośmiertnych drgawkach, trzymając się za ręce. Dzieciaki przeładowały swoje kałasznikowy.

Kiedy ośmiu ludzi pakowało na samochody zapasy żywności i zwierzęta domowe, zwalisty żołnierz stojący obok Shaki i wyglądający na kogoś w rodzaju jego prawej ręki, zwrócił uwagę dowódcy na dwóch chłopców starających się ukryć za grupką ocalałych mieszkańców osady. Shaka nakazał swoim ludziom, by ich przyprowadzili. Rozkaz został bezzwłocznie wykonany. Zostali brutalnie przywleczeni przed oblicze komendanta.

- Zrobimy z was prawdziwych żołnierzy - stwierdził Shaka.

Tony zacisnął mocno powieki. Bezsilność była straszna. Dzieci walczyły na pierwszej linii. Ginęły najczęściej. Uczucie strachu podczas wściekłego ostrzału, dzięki któremu dorośli często uchodzili z życiem, było im jeszcze obce. Nie miało czasu, by się prawidłowo wykształcić.

Otworzył oczy i z przerażeniem stwierdził, że w jego kierunku szybkim krokiem z bronią gotową do strzału posuwa się jeden z bojowników. Odruchowo napiął mięśnie. Przez głowę przebiegały mu gorączkowe myśli, rozpaczliwe próby znalezienia wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Żołnierz był coraz bliżej. Jeszcze kilka metrów. Tony wiedział, że z

łatwością będzie w stanie w ciągu kilku sekund pozbawić go życia, ale szansa, że pozostali się nie zorientują, praktycznie nie istniała. Dorwą go z całą pewnością. Życie Australijczyka właśnie zawisło na włosku. Dzielily ich dwa metry. Tony z całej siły ścisnął trzonek siekiery. Więc to tu i teraz będzie koniec. Kto by się spodziewał. Jeszcze sekunda. Czekał gotowy do skoku. Ostatniego w życiu. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Nie sprzeda skóry tanio.

Żołnierz zatrzymał się przed samymi zaroślami. O dziwo, nie wołał nikogo na pomoc. Czyżby był pewny, że sam sobie poradzi? Pewność siebie bywa zgubna, szczególnie gdy ma się do czynienia z byłym kapitanem elitarnych oddziałów francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Murzyn wydawał się właśnie popełniać śmiertelny błąd.

Nie wszedł w zarośla i nie rzucił się na ukrytego za nimi Australijczyka. Zamiast tego otworzył rozporek, wyciągnął swoją imponującą murzyńską męskość i oddał mocz w krzaki, przy okazji kilkoma kroplami obryzgując czającego się eks-legionistę. Nieświadomy, że właśnie otarł się o śmierć, zapiął spodnie i spokojnie wrócił do towarzyszy.

Tony przewrócił się na plecy. Odetchnął z ulgą. „Jednak nie tym razem” - pomyślał. - „Jeszcze nie tym razem”.

Usłyszał głos Shaki.

- Dzisiaj jest wasz szczęśliwy dzień, kmiotki. Demokratyczna Armia Wyzwoleńcza postanowiła darować wam wasze nędzne życie. - Tony zauważył, że ku rozpaczycy mężów zabierają jeszcze pięć lamentujących kobiet. Nikt nie miał wątpliwości, że nie dożyją wieczora. Chyba nawet one same. Mogły mieć tylko nadzieję, że ich cierpienia nie będą przedłużane w nieskończoność ku uciesze czarnych żołdaków. - Do wozów! - ryknął Shaka.

Jego ludzie karnie popędzili w stronę samochodów. Pięć minut później znikali za zakrętem drogi w buszu.

Tony i Olis odczekali jeszcze kilka minut i weszli na teren misji. Olisowi łzy ciekły ciurkiem po policzkach. Niósł Alishę na rękach. Co jakiś czas spoglądał jej w twarz, żywiąc absurdalną nadzieję, że może się obudzi, że może ożyje.

Obraz, jaki przedstawiała sobą jeszcze niedawno tętniąca życiem misja, był upiorny. Wszędzie leżały ciała zabitych. Ze wszystkich stron dochodziło zawodzenie kobiet, jęk okaleczonych i krzyki pozostałych przy życiu mężczyzn. Kobiety lamentowały nad trupami pomordowanych. Dzieci z obciętymi kończynami wyły z bólu, co szczęśliwsze traciły przytomność.

Olis skupiał się całkowicie na żonie. Położył ją na ziemi, nie zwracając zupełnie uwagi na makabryczne sceny dziejące się dookoła. Tony musiał jakoś ogarnąć sytuację,

zanim wyruszy po pomoc. Dwie kobiety, gdy go zobaczyły, rzuciły mu się z płaczem na ramiona. Uspokajał je. Nie na wiele to się zdało.

Zebrał wokół siebie w miarę trzeźwo jeszcze myślących mężczyzn. Nakazał pochówek zmarłych i powiedział im, że pójdzie sprowadzić pomoc. Samochód bandyci zabrali. Aparaty do kontaktu telefonicznego przez satelitę też. Będzie musiał pójść pieszo. Sam. Blżej miał do Brytyjczyków, ale nie miał złudzeń. Brytyjczycy pilnują własnych interesów i nie obejdzie ich szczególnie los jakiejś tam katolickiej misji, tym bardziej los uprowadzonej Polki. Trzeba iść do Wiktora. On na pewno pomoże.

\*

Po wielogodzinnym marszobiegu przez resztkę dnia i noc Tony dotarł w pobliże kopalni. Ochrona wypatrzyła go przez lornetkę i wysłali samochód. Przywieźli wycieńczonego i wyglądającego na ledwie żywego. Sprowadzono Wiktora. Tony pił łapczywie podaną mu wodę mineralną. Żołnierze zaprowadzili go do baraku, dla ochrony przed zaczynającym palić słońcem i upałem, którego miał aż nadto dosyć. Wiktor wpadł do pomieszczenia mieszkalnego.

- Tony, Jezus Maria, co się stało? - Przyklął przy Australijczyku.

Wiść o przybyśzu szybko rozniosła w przedsiębiorstwie. Ludzie byli ciekawi wydarzeń. Chwilę później wszedł też Maciek.

- Ściągnijcie jakichś lekarzy. - Tony mówił przez ściśnięte gardło. Wypił jeszcze wody z plastikowej butelki. - Na misję napadli bandyci. Jest dużo rannych i zabitych.

Ochroniarz, który przywiózł misjonarza, natychmiast wypadł z pokoju i pobiegł do punktu łączności. Sprawę pomocy medycznej można było uznać za załatwioną.

- Co z Martyną? - spytał Wiktor.

- Zabrali ją - odpowiedział Australijczyk cicho, jakby czuł się winny. - Zgwałcili i zabrali.

Polak wstał i przetarł dłonią twarz. Widać było, że wiadomość o zniewoleniu Martyny bardzo go poruszyła. Tylko Tony domyślał się dlaczego. Znali się z obojgiem już od dłuższego czasu, wystarczająco długiego, żeby wiedzieć, że Martyna nie była Wiktorowi obojętna, chociaż żadne z nich nigdy nie dawało po sobie poznać, że coś między nimi zaiskrzyło.

- Wiesz, co to za grupa? - spytał, nie patrząc na Tony'ego.

- Jednooki Shaka ze swoimi.

- Dzieci-żołnierze.

- Też.

Żołnierz obrócił się na pięcie i wyszedł. Maciek nie wiedział co zrobić. Zostać z Tonym czy iść za Wiktorem. Australijczyk dostrzegł jego wahanie.

- Trzeba jakoś Martynę ratować - odezwał się, nie zdając sobie sprawy, jak głupie w tej sytuacji jest jego stwierdzenie.

- Idź do Wiktora. Ja też zaraz przyjdę, tylko się trochę ogarnę.

Na zewnątrz Wiktor rozmawiał z Siergiejem i Amirem. Maciek podszedł do nich. Polak nie zwrócił na chłopaka najmniejszej uwagi. Jakby był powietrzem.

- Będę potrzebował pomocy. - Wiktor spojrzał na Amira. Izraelczyk skinął głową na znak, że jest gotów. - Siergiej?

- Idę z tobą - potwierdził Rosjanin bez chwili wahania. - Złapię jeszcze Jonasa.

- Nie. Jonas niech zostanie. Ktoś tu musi wszystko trzymać w garści.

- A ja? - wtrącił się Maciek. - Co ze mną?

- Siedzisz na dupie i czekasz, aż wrócimy.

Wiktor zrobił krok w kierunku baraku.

- Nic z tego - powiedział Maciek hardo. - Jadę z wami.

Wiktor zgromił chłopaka wzrokiem.

- Nigdzie nie jedziesz. Wbij sobie to do łba. Mam cię chronić i będę cię chronił. Zostajesz i koniec dyskusji.

- Nie, Wiktor. Jadę. Martyna to też moja przyjaciółka.

„Przyjaciółka” w jego wypadku było słowem solidnie na wyrost, ale Maciek chciał w ten sposób wymóc na Wiktorem, by go wziął ze sobą.

- Powiedźcie mu coś, chłopaki, bo ja mu zaraz odwinę. - Wiktor z trudem opanowywał falę wściekłości.

- Dobry jest - zaskoczył Polaka swoją opinią Amir. - Przyda się.

- Niech idzie - dodał Siergiej.

Wiktor nie wierzył własnym uszom. Zaciśnął pięści.

- Dobra. Idziesz, młody. Masz się mnie trzymać. Jak odejdziesz chociaż na krok, to osobiście cię zastrzelę. Rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedział Maciek. - Nie będziesz musiał.

- Zobaczymy. Gdzie Tony?

- Powiedział, że... - Maciek nie dokończył.

- Jestem. - Tony stanął w drzwiach do baraku. - Gotów.

Tylko Wiktor nie był zaskoczony przemianą w wyglądzie Australijczyka. Króciutko wystrzyżona broda i maksymalnie skrócone włosy. W baraku były nożyczki, z których Tony



zrobił solidny użytek.

- Chcesz iść? - Bułat wołał się upewnić.

- Dziwne?

- Na pewno dasz radę po tym cholernym nocnym maratonie?

- A ty dasz? - warknął Australijczyk poirytowany głupimi pytaniami.

Maciek go nie poznawał. W Tony'ego jakby wstąpiła jakaś diametralnie różna osobowość. Ten ciepły, serdeczny człowiek stał się nagle pit bullem w ludzkiej skórze. Takie przynajmniej Maciek odnosił w tym momencie wrażenie.

- Sami sobie nie poradzimy - zauważył całkiem słusznie Amir. - Masz jakiś plan?

- Brytole nam pomogą - stwierdził Wiktor z zadziwiającą pewnością siebie.

- Wolne żarty - mruknął Izraelczyk. - Z tego, co Jonas mówił, palcem w bucie nie kiwną.

- Kiwną. I to znacznie szybciej niż by się mogło wydawać. - Polak nie miał wątpliwości. - Przygotujcie sprzęt i co trzeba. Ja wychodzę z obozu. Wrócę gdzieś koło wieczora. - Kiwnął ręką na Maćka. - Młody, jedziesz ze mną. Mamy coś do załatwienia.

Maciek bez słowa poszedł za Wiktorem do samochodu.

Wyjechali na zewnątrz. Żołnierz wydawał się gdzieś śpieszyć. Maszyna podskakiwała na wybojach. Jednak zawieszenie terenówki dzielnie znosiło nierówności. Maciek nie odzywał się. Miał nadzieję, że Wiktor coś mu powie, na przykład gdzie pędzą i po co. Może do misji, zobaczyć, jak wygląda sytuacja?

W pewnym momencie Bułat najwyraźniej uznał, że czas oświecić Maćka co do jego planów. Szczególnie że, jak się chłopak zorientował, zboczyli z drogi, która normalnie prowadziła do misji.

- Posłuchaj uważnie, Maciek. - Wiktor był skupiony. Mówił przez zęby. - Za niedługo powinniśmy spotkać angielski patrol wojskowy.

- Chcesz ich namówić, żeby nam pomogli? - spytał Maciek naiwnie.

- Zamknij się i słuchaj - syknął żołnierz. - Jak ich spotkamy, będziemy się podawać za inżynierów z kopalni. Masz potwierdzać wszystko, co angolom powiem, rozumiesz?

- Dobra, ale co im chcesz powiedzieć?

- Że w Polsce białego niedźwiedzia wybrano na prezydenta - warknął. - Nieważne. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Będę improwizował, a tym masz przytakiwać. Dotarło?

- Dotarło. Nie ma sprawy. Jak powiesz, że to, co nad nami teraz świeci, to księżyc, masz moje pełne poparcie.

Wektorowi nie było do śmiechu.

- Jeszcze jedno. Nigdy nie strzelałeś do człowieka. Niedługo będziesz musiał. - Zobaczył, jak Maciek zacina usta. - Jeżeli się zawahasz, to ktoś z nas może zginąć. Albo ja, albo Amir, albo ktoś inny. Nie wiadomo. Pamiętaj, co zrobili Martynie. Poradzisz sobie?

- Poradzę. - Student zacisnął szczęki.

- Rozumiesz, co będzie, jak spieprzysz sprawę?

- Nie spieprzę. Możesz być spokojny - potwierdził ponuro.

Wiktor zdążył poznać Maćka w ciągu tych wielu tygodni. Chłopak miał charakter, co potwierdzali inni. Miał wszelkie powody przypuszczać, że młody się sprawdzi. Nigdy jednak nie można być nikogo pewnym do końca, szczególnie w warunkach bojowych.

- I ostatnia rzecz. Shaka do swojego oddziału bierze dzieci i robi z nich żołnierzy. Pamiętaj, że taki gówniarz to gorszy wróg od dorosłego, bo nie ma żadnych zahamowań. Jak ty go nie zabijesz, on zabije ciebie. Masz to jak w banku. Kapujesz?

- Kapuję.

Minęły jakieś trzy kwadransy jazdy po wertepach, kiedy Bułat wypatrzył to, czego szukał. Angielski patrol również ich dostrzegł. Skręcili w kierunku Polaków. Mieli za zadanie sprawdzać wszystko, co się ruszało w pobliżu bazy i chronionych przez nich terenów.

Wiktor zatrzymał samochód. Obaj wysiedli i czekali na zbliżających się brytyjskich żołnierzy. Na szczycie pickupa mieli zamontowany gotowy do strzału ciężki karabin maszynowy. Dwóch żołnierzy w kabinie i czterech „na pace”, w tym jeden tubylec, pracujący dla nich jako tłumacz.

Anglicy podjechali na odległość kilkunastu metrów i zeskoczyli z samochodu z wycelowaną w nich bronią, chociaż białych traktowało się z reguły mniej podejrzliwie. Został jedynie operator karabinu maszynowego. Z kabiny wysiadło dwóch oficerów. Starszy z nich, wyglądający na około czterdzieści parę lat, podszedł do Polaków. Jego żołnierze przesunęli się na boki, by w razie kłopotów móc szybko i skutecznie zareagować.

- Kim jesteście i co tu robicie?

Angielski oficer widać nie uznał za stosowne się przedstawić, choć miał do czynienia z białymi. Wiktor nie znosił tej typowo angielskiej arogancji. Zresztą nie tylko on.

- Jesteśmy inżynierami z przedsiębiorstwa... - Bułat rozpoczął wyjaśnianie, lecz Anglik nie dał mu skończyć.

- Nazwiska?

- Jacek Kamiński. - Wiktor kłamał bez zająknięcia, a Maciek jeszcze nie wiedział dlaczego. - A to mój podwładny Paweł Bogнар, stażysta. Jesteśmy...

- Polacy? - Żołnierz wyduł usta.

- Zgadza się. Chcieliśmy powiedzieć...

- Co tu robicie? - Angielski kapitan najwyraźniej upodobał sobie zwyczaj przerywania ludziom w pół słowa.

- Jechaliśmy do misji... - Wiktor wielką siłą woli wykazywał cierpliwość.

- Misji już nie ma. Lokalny watażka ich rozwalił. Nie ma co zbierać. Możecie spokojnie zawracać.

- ...i po drodze widzieliśmy, jak trzech uzbrojonych czarnych, chyba część jakiejś większej grupy, złapało dwójkę dziennikarzy angielskich. Byli wcześniej u nas. Kobiętę pewnie sprzedają, a faceta rozwalą. - Wiktor doskonale udawał podekscytowanie. - Szukaliśmy patrolu, jak pojedziecie tam - wskazał południowy kierunek, gdzie z całą pewnością można się było natknąć na większe siły Shaki - to ich jeszcze złapiecie. Potem to już... - Polak pokręcił znacząco głową.

Kapitan popatrzył na Maćka. Chłopak skwapliwie przytaknął.

- Jaką broń mieli?

- Nie wiem. Nie znam się na broni. - Bułat rozłożył bezradnie ręce. - Na mój gust to wyglądało na kałasznikowy.

- Granatniki?

- Nie widziałem. Myślę, że tylko kałasznikowy.

- Myślisz?

Zrobiło się groźnie. Anglicy mogli nie zdecydować się na pościg i cały plan Wiktora wzięłby popisowo w łeb. Maciek wyczuł sprawę. Pośpieszył w sukurs.

- Panowie, nie, oni nie mają granatników. - Udawane podniecenie Wiktora mu się udzieliło. - Oni ich zabiją. Ratujcie ich, na miłość boską.

Najwidoczniej zabrzmiał przekonująco, bo oficer kazał swoim ludziom wracać do samochodu.

- Wyoście się stąd. Natychmiast. Wracać do kopalni. Nie potrzebujemy więcej kłopotów.

Obaj Polacy skinęli głowami i wsiedli do Nissana. Widzieli, jak patrol ruszył we wskazanym przez Wiktora kierunku.

Kiedy jechali z powrotem, Maciek uznał, że wreszcie może spytać.

- Co to za historia z tymi dziennikarzami?

- Świetnie się spisałeś, Maciuś. Niedługo zobaczysz prawdziwą wojnę.

- To znaczy? Możesz mnie oświecić? - Młody człowiek zerkał na żołnierza. - Ale czekaj, czy tam, gdzie tych Anglików wysłałeś, nie ma Shaki? Tony mówił, że właśnie tam

pojechali.

- Dokładnie.

- To przecież Angole za cholere nie poradzą sobie z całym oddziałem.

- I o to chodzi.

- Wysłałeś ich, żeby czarni ich rozpieprzyli? - Maciek wytrzeszczył oczy.

- Nie będzie tak źle. Trafiają do niewoli. Shaka to prymityw. Od razu zażąda za nich okupu. Angole dostaną pierdolca i przyślą tutaj komandosów z SAS. Jonas z nimi pogada, my podłączymy się do akcji i przy okazji odbijemy naszych.

- Kurde, to żeś ich zrobił. A jak zabijają żołnierzy?

- Mało prawdopodobne. Patrol wpadnie w zasadzkę. Parę dni w niewoli im nie zaszkodzi.

Maciek wypuścił głośno powietrze. Plan Wiktora był isticie szatański, ale wyglądał na jedyną w tej chwili możliwość załatwienia realnego wsparcia. Nie wiadomo, jak długo Martyna wytrzyma w łapskach Shaki i jego siepaczy.

O ile jeszcze w ogóle żyje.

Do wieczora czas się dłużył. W obozie Wiktor nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Był rozdrażniony. Tony za to wydawał się całkowicie spokojny. Rzeźbił coś w kawałku bambusa.

Okolo siódmej Jonas wykonał telefon do Anglików. Przebieg wydarzeń okazał się być dokładnie taki, jak przewidział Wiktor. Patrol wpadł w zasadzkę. Zginął tylko jeden angielski żołnierz. Pozostali zostali wzięci „pod opiekę” Shaki, który nie omieszkał natychmiast powiadomić o tym fakcie stacjonujących w Kongo angielskich sił zbrojnych.

Jonas wytłumaczył Brytyjczykom, że Shaka przetrzymuje nie tylko ich żołnierzy, ale jeszcze ludzi z misji. Dali się mu przekonać do włączenia kilku pracowników ochrony do akcji, co zresztą nie było zbyt trudne, ponieważ tym samym Anglicy mieli z głowy problem cywilów. Mogli skupić się na swoich ludziach. Poza tym kilku doświadczonych żołnierzy świetnie znających teren z pewnością się przyda.

- Załatwione - powiedział Amerykanin do zniecierpliwionego Bułata. - Możecie się zbierać.

Amir i Siergiej nie czekali dłużej. Poszli w stronę magazynów. Wiktor ruszył za nimi. Tony wstał, rzucił bambusa na ziemię, schował nóż i otrzepał spodnie. Nie było po nim widać najmniejszego napięcia.

- Co mam robić? - krzyknął Maciek za odchodzącymi żołnierzami.

- Siedzieć na dupie i czekać - odpowiedział Wiktor, nie odwracając głowy.

- Spokojnie. Poszli po sprzęt - wyjaśnił mu Tony. - Zaraz pomożesz ładować.

## ROZDZIAŁ 41

Oddział Shaki składał się z blisko stu ludzi. Stacjonowali w dżungli, w dwóch oddzielonych od siebie rzeką miejscach. Liczniejsza grupa miała na wyposażeniu ciężki sprzęt i moździerz, co zaobserwowali zwiadowcy z SAS, będący na miejscu od dwóch dni, i towarzysząca im trójka żołnierzy z kopalni razem z Maćkiem i Tonym, który robił indywidualne wypadki na rekonesans. Partyzanci ogniem moździerzowym mogli łatwo przykryć teren ewentualnego ataku na grupę sąsiednią, która przetrzymywała zakładników. Miejsce było wyjątkowo trudno dostępne z lądu. Niezauważone podejście większymi siłami praktycznie nie wchodziło w grę. Główny atak musiał nastąpić od strony wody, co też nie było łatwe ze względu na grząski teren. Wsparcie z powietrza mogło nadejść dopiero po przynajmniej wstępnym opanowaniu sytuacji na ziemi.

Obserwatorzy byli świadkami, jak czarni zabawiali się w makabryczny sposób. Kilkukrotnie jeńcy angielscy byli wyprowadzani na zewnątrz i ustawiani w szeregu. Żołdacy kazali im klękać z rękami na karku. Przystawiali lufy pistoletów czy karabinów co któremuś z nich do głowy i przeładowywali. Niektórzy czekali dzielnie na śmierć, która nie nadchodziła. Inni kulili się przerażeni, drżąc na całym ciele mimo panującego upału. Siepacze Shaki odkładali broń i wybuchali śmiechem, uznając swoje działania za świetny żart. Więźniów następnie zapędzano z powrotem do baraków. Za każdym razem zwiadowcy gotowali się z bezsilności, by potem odetchnąć z ulgą.

Mniej bolesne dla brytyjskich komandosów, a wyjątkowo dotkliwe dla Wiktora, były dwie inne sytuacje. Dwukrotnie na ich oczach Martyna została przywiązana do ściany baraku za ręce i nogi. Trzech osiłków zdzierało z niej ubranie i przy wtórze śmiechów kumpli gwałcili ją bezlitośnie. Wiktor przykrywał twarz rękoma w bezsilnej rozpacz. Maciek miotał się, ściskając z całej siły karabin. Polacy doskonale wiedzieli, że nie wolno im strzelać. Nie wolno im się zdradzić. Musieli czekać na sygnał i żywić nadzieję, że koszmar, przez który przechodzi Martyna, już niedługo się skończy. Tony znowu wydawał się całkowicie spokojny.

Plan Brytyjczyków był dość prosty. Zakładał atak niewielkimi siłami na mniejszą grupę, by odbić zakładników, i zaraz potem frontalne natarcie dużym oddziałem na drugą grupę w celu uniemożliwienia ostrzału moździerzowego komandosów starających się odbić

zakładników.

Mijały kolejne godziny. Angielskie dowództwo wojskowe najwidoczniej wciąż analizowało zebrane przez zwiadowców informacje. Wszyscy niecierpliwie czekali na właściwy moment, który ciągle nie nadchodził. Sygnału do rozpoczęcia akcji nie było.

Wyglądało na to, że porwani żołnierze angielscy byli stosunkowo bezpieczni. Stanowili dla bandytów bardzo konkretną wartość w gotówce. Dostali od Anglików obietnicę, że okup właśnie jest zbierany i wkrótce zostanie zapłacony. Dużo gorzej przedstawiała się sytuacja Martyny i kilku dziewczyn porwanych z misji. Jeśli nie zostaną uwolnione w najbliższym czasie, mogą nie przeżyć. Szczególnie Europejka, słabsza psychicznie i fizycznie, może nie wytrzymać. Wiktor nie dopuszczał do siebie myśli, że mogą nie zdążyć. Czekali. Tylko to im pozostało.

Wreszcie dostali zielone światło. Akcja ruszyła. Śmigłowce szturmowe były już w powietrzu. Dwa transportowce Chinook wiozły na pokładzie komandosów gotowych do działań. Uderzą na większą grupę bandytów po desancie na wodzie, skąd pontonami dotrą na miejsce akcji. Przy wsparciu śmigłowców powinni uporać się z partyzantami stosunkowo szybko, z minimalnymi lub nawet bez strat własnych.

W zespole, wraz z którym operował Wiktor i jego towarzysze, każdy znał swoją rolę. Machina ruszyła. Strzelcy wyborowi zaczęli metodycznie likwidować przeciwników jeden po drugim. Minęła dobra chwila, zanim ci zorientowali się, że są celem. Wiktor pociągnął Maćka za sobą i ruszyli biegiem w stronę baraków, gdzie trzymano kobiety. Amir z Siergiejem osłaniali najpierw ich, potem komandosów angielskich, którzy ostrzeliwując się, pośpieszyli uwolnić żołnierzy.

Wiktor zastrzelił w biegu dwóch bandytów, którzy nagle wybiegli naprzeciwko ich. Maciek nie zdążył oddać strzału. Wiktor zatrzymał się raptownie. Przysiadł i szarpał się ze swoim karabinem. M-16 zaciął się. Spojrzał za siebie. Siergiej i Amir gdzieś zniknęli wraz z Anglikami. Maciek zauważył, że trójka dzieciaków z kałachami w rękach, która wypadła niewiadomo skąd, biegła w ich stronę. Co jakiś czas chłopaczki zatrzymywali się, by oddać krótką serię. Niecelną. Karabiny AK-47 były dla nich o wiele za ciężkie.

- Kurwa mać!! - wrzasnął Wiktor. Sytuacja stawała się dramatyczna. Maciek nie mógł się przełamać. Miał strzelać do małych dzieci? - Maciek, kurwa, wal w nich! Rozpierdol skurwysynów!! - wciąż wahanie u młodego Polaka. - Rozwał ich, bo nas zajebią!!!

Maciek wymierzył i w ciągu sekundy oddał trzy strzały. Dzieciaczki jak kukielki podskoczyły i padły na ziemię z roztrzaskanymi od pocisków głowami. Zagrożenie zostało zażegnane. Bułat popatrzył na młodego spode łba. Mógł się spodziewać, że chrzest ognia nie

będzie dla chłopaka bezbolesny.

- Załatwione - rzucił Maciek drżącym od emocji głosem.

- Ruszaj się. Póki Martyny jeszcze nie rozwalili.

Naraz Maciek usłyszał cztery strzały za sobą, nie dalej jak może kilkanaście metrów. Odwrócił się gwałtownie z bronią gotową do strzału. Nie widział, jak Wiktor instynktownie pada na ziemię, próbując się kryć. Student tego instynktu nie zdążył jeszcze w sobie wyrobić. Zobaczył dwóch uzbrojonych Murzynów walących się na ziemię. Stojący nieopodal Tony O'Brien uniósł lufę swojego karabinu i rzucił mu typowe dla siebie spojrzenie - zawadiackie i przyjazne jednocześnie.

- Oczy z tyłu głowy. - Australijczyk pokazał dwoma palcami na swoją potylicę. - Pilnujcie się - dodał i zniknął w gęstych zaroślach.

Usłyszeli, jak jego karabin szczeknął jeszcze kilka razy. Można się było domyślić, że kolejni bandyci pożegnali się z życiem. Wiktor był na siebie wściekły. On, stary wyga, dał się podejść. Niewiele brakowało, aby razem z Maćkiem zostali tu już na zawsze. Trzeba będzie Tony'emu odpowiednio podziękować.

Pobiegli do baraku i wpadli do środka. W ogólnym chaosie panującym wokół nikt z czarnych na szczęście nie wpadł na pomysł, żeby wyeliminować zakładników. Martyna przetrzymywana była osobno z wiadomych względów. Przedstawiała sobą oplakany widok. Była posiniaczona i wycieńczona. Ale najważniejsze, że żyła.

Patrzyła na nich półprzytomnym wzrokiem. Z trudem docierało do niej, że ten koszmar, w którym przyszło się jej znaleźć, właśnie dobiegał końca. Wiktor nic nie mówił. Machnął dłonią na dwie czarne dziewczyny, żeby szły za nimi. Były silne. Wstały gotowe do ucieczki. Martyna próbowała się podnieść. Wiktor wziął ją na ręce i stanął przy wyjściu. Rozejrzał się ostrożnie na zewnątrz.

- Ubezpieczaj mnie! - krzyknął do Maćka. - Jak coś się ruszy, wal, nie zastanawiaj się. Rozumiesz?

- Rozumiem - potwierdził Maciek. Był gotowy.

- Pamiętaj, jak nie my ich, to oni nas.

- Nie zdążą.

- To chciałem usłyszeć.

Żołnierz wybiegł z baraku i pognał w stronę dżungli. Wokół trwała strzelanina, choć komandosi sprawiali się znakomicie. Bandyci padali jak rażeni piorunem. Maciek kątem oka dostrzegł mężczyznę mierzącego do biegnącego Wiktora. Strzelił dwa razy z biodra, tak jak uczył go amerykański beret - Jonas Banks. Nie było czasu, by wymierzyć. Czarny wylądował



na plecach z przestrzeloną czaszką.

Jeszcze kilka susów i Wiktor z Martyną byli bezpieczni pod opieką snajperów z SAS. Murzynki znalazły się w zaroślach wcześniej. Na niebo wpłynął śmigłowiec. Pokładowa broń maszynowa dokończyła dzieła zniszczenia. Więzionym żołnierzom nic się nie stało. Byli wolni. Komandosi szukali Shaki. Znaleźli go ukrywającego się pod jednym z łóżek. Był przerażony i załamany. Z jego prezentowanej jeszcze do niedawna buty nie został nawet ślad.

Zanim śmigłowiec zabrał Martynę do szpitala, popatrzyła jeszcze raz na Wiktora trzymającego ją za rękę.

- Dziękuję - wyszeptała. - Modliłam się... modliłam się, żebyś po mnie przyszedł...

- Nic nie mów - powiedział uspokajająco. - Już dobrze. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Nosze z kobietą znalazły się na pokładzie. Maszyna wzbiła się w powietrze. Obaj z Maćkiem patrzyli, jak odlatuje. Obok nich pojawili się spoceni i brudni Amir i Siergiej. Wiktor uśmiechnął się do towarzyszy.

- Dostyc tego opieprzania - bąknął do nich, robiąc groźną minę. - Do roboty, panowie, bo nam, kurczę, nie zapłacą.

Rosjanin i Izraelczyk klepnęli go po plecach. Szczyrzyli zęby w uśmiechach. Wszystko poszło znakomicie. Straty ograniczyły się do kilku lekko rannych. Martyna była wolna i bezpieczna. Było się z czego cieszyć.

Maćkowi nie udzielił się ich pogodny nastrój. Wciąż miał przed oczami trzech chudziutkich, czarnych chłopczyków, których pozbawił życia. Nie potrafił sobie z tym poradzić. Jak niby miał sobie z tym poradzić? Zabił troje małych dzieci, których przecież miejsce było w co najwyżej początkowych klasach szkoły podstawowej i w świecie kolorowych zabawek. Nie mieściło mu się w głowie, że Wiktora, który był świadkiem tej nieszczęsnej sytuacji, wydarzenie zupełnie, ale to zupełnie nie obeszło. Maciek postanowił o nic nie pytać, nic nie komentować. Nie chciał uchodzić za mięczaka wśród twardzieli, ale w jego młodej duszy szalała walka dobra ze złem. Nie wiadomo było tylko do końca, co jest dobre, a co złe.

Patrzyli, jak uwolnieni właśnie angielscy żołnierze wchodzą do pontonów. Nie było możliwości, by rozpoznali Wiktora i Maćka jako ludzi, którzy ich w to wszystko wplątali. Polacy w wojskowych mundurach i kamuflażu z pomalowanymi twarzami nie odróżniali się niczym od komandosów SAS.

- Dobra robota. - Podszedł do nich Anglik w randze majora. - Jestem major James Taylor. Słyszałem, że pracujecie w ochronie kopalni.

- Zgadza się - potwierdził Wiktor. - Amir Perez z Shayetet 13 i Siergiej Myszkin Specnaz. - Polak przedstawił towarzyszy. Spojrzał na Maćka. - Młody „niezrzeszony”, pod naszą opieką.

Taylor pokiwał głową ze zrozumieniem. Nastąpiła krótka wymiana uścisków dłoni.

- Cholera, cieszę się, że byliście, panowie, na miejscu. - Wyciągnął do nich paczkę papierosów. Komandosi wzięli po jednym. Maciek pokręcił przecząco głową, czym wzbudził zaskoczenie majora. - Ta misjonarka to jakaś krewna?

- Rodaczka.

- Ach, rozumiem. Wy też Polacy. Macie mój wielki szacunek. Byłem kiedyś na akcji z waszymi z „Błyskawicy”. Świetne są chłopaki. A dziewczyny jeszcze lepsze - dodał z uśmiechem. - Znacie się z nimi?

Wiktor zaciągnął się papierosem.

- Zna się paru.

Podbiegł do nich angielski żołnierz.

- Panie majorze, jesteśmy gotowi do ewakuacji.

- Chodźmy, panowie - powiedział oficer i zdeptał niedopałek. - Jeszcze nas tutaj zostawią.

Nad ich głowami przeleciał helikopter. Widocznie sprawdzał, czy nie pozostał przy życiu jakiś bandyta, który mógłby zniecka narobić im kłopotów.

## ROZDZIAŁ 42

### *Lotnisko JFK, Nowy Jork, Stany Zjednoczone*

Jean Paul Dubois stał w niewielkiej kolejce do odprawy paszportowej. Erica Koch, jego obecna kochanka, którą poznał w Monachium ponad dwa miesiące temu w ramach wykonywania zlecenia na jej męża, Reinharda Kocha, znanego i niezwykle bogatego finansisty, miała czekać na niego na miejscu. Zdecydowali się nie podróżować razem ze względów bezpieczeństwa. Nie chciał, by jej się coś przypadkowo stało z powodu jego spraw. Jakoś się do niej ostatnio przywiązał. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z prawdziwym uczuciem, ale dobrze im było ze sobą w łóżku. Można by powiedzieć, że nawet bardzo dobrze. W razie czego szkoda by było to stracić.

Rzucał ukradkowe spojrzenia wokół. Starał się zachowywać spokój. Co jakiś czas spoglądał za siebie, niby tak od niechcienia. Momentami zatrzymywał wzrok na kimś, kto wydawał mu się podejrzany. Serce zaczynało bić szybciej. Czuł uderzenie adrenaliny. Napinał odruchowo mięśnie, gotując się do odparcia ewentualnego ataku, by po chwili się uspokoić, gdy okazywało się, że obawy są bezpodstawne.

Wiedział już o śmierci Faustena. Wiedział, że człowiek, który go zabił, będzie teraz polował na niego i Witalija. Jakuszyn opowiadał mu swego czasu o tym perfekcyjnym zabójcy, jego byłym przełożonym z Afganistanu. Dubois zdołał zebrać o nim trochę dodatkowych informacji i wiedział, że choć sam był weteranem francuskiej Legii Cudzoziemskiej, zdecydowanie lepiej byłoby dla niego się z tym Polakiem nie spotkać.

Jeszcze kilkanaście minut i będzie bezpieczny. Tutaj, na terenie lotniska, szkolony zabójca mógł wciąż go dopaść. Celne pchnięcie nożem lub niesłyszalny w panującym wokół harmiderze strzał z broni krótkiej wyposażonej w tłumik, zamieszanie i całkiem realne szanse na zniknięcie, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się stało. W poczekalni przed odlotem, a tym bardziej na pokładzie samolotu, szanse uśmiercenia ofiary i „ulotnienia się” niepostrzeżenie malały praktycznie do zera.

Na lotnisku był spory tłum. Biznesmeni w garniturach obok zwykłych turystów, głównie w małych grupkach, w różnym wieku, z walizami gotowymi do nadania na bagaż. Kilkunastu emerytów słuchało z uwagą instrukcji przewodniczki wycieczki. Z tego co

Francuz dosłyszał, wybierali się na jakąś objazdówkę po Europie. Wokół wciąż nie było nic, czego należałoby się obawiać.

Kolejka posuwała się wolno. Z boku Dubois dostrzegł starszego od siebie mężczyznę objuczonego torbami podróżnymi. Rozglądał się wokół siebie z żałośnie głupią miną. Miał na sobie krótkie spodnie za kolano, hawajską koszulę i słomkowy kapelusz na głowie. Pierwsza myśl, która przyszła Francuzowi do głowy, to filmowa postać Forresta Gumpa z oscarowej produkcji z lat dziewięćdziesiątych. Turysta był jedynie nieco niższy niż Tom Hanks i bardziej przysadzisty, lecz zachowanie i głupia mina pasowały idealnie.

- Czy ktoś nie widział mojej mamy, proszę państwa? - Turysta zapytał głośno kolejkę.  
- Nazywa się Megan Parker i ma na głowie kapelusz z kwiatami.

Mężczyzna wodził wzrokiem po czekających ludziach. Nie wiadomo, czego się spodziewał. Ludzie kręcili głowami. Jedni ze współczuciem, inni z politowaniem. Ten niedorozwinięty umysłowo człowiek wzbudzał mieszane uczucia.

Jean Paul Dubois przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nie często spotyka się idiotów na wakacjach. Ciekaw był, jak sobie debil poradzi. Nikt z kolejki nie kwapił się zbyt do pomocy.

„Forrest Gump” wychwycił wzrok Francuza i uznając to za znak życzliwości, przydreptał do niego. Dubois przeklął się w duchu. Jeszcze tego brakowało, żeby się do niego jakiś kretyn przyczepił. Mężczyzna podszedł blisko, za blisko jak na gust Jeana Paula.

- Spieprzaj - syknął szeptem były legionista.

Nie zamierzał się wdawać w dyskusję z tą karykaturą człowieka. Mężczyzna z torbami nadstawił ucha. Najwyraźniej nie dosłyszał.

- Proszę? Ja mam trochę niedosłuch. Mama mówi, żebym przykładał rękę do ucha, to lepiej będę słyszał. Co pan mówił?

„Forrest Gump” przybliżył się jeszcze bardziej, tak, że torbami dotykał Duboisa. Wtedy Francuz poczuł na dłoni zadrapanie. Szarpnął się. Skóra była lekko przecięta, ale drobna ranka nie wymagała opatrunku, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Kurwa - zaklął półgłosem legionista. - Co ty tam, do cholery, w tych torbach nosisz? Skaleczyłeś mnie.

Kolejkowicze obrzucili go oburzonymi spojrzeniami. Zdecydowanie nie podobał im się sposób, w jaki traktował tego nieszczęśliwego człowieka.

- Ja przepraszam, ale mama mi tu spakowała jedzenie do tej torby. Na drogę, jakbyśmy głodni byli. To wtedy można coś zjeść, bo wie pan...

- Idź mi stąd - warknął Dubois. Był wściekły. - Tu twojej matki nie ma.

Z kolejki wyszła starsza pani. Ciskała pioruny w jego stronę. Wzięła nedorozwiniętego turystę pod ramię. Uśmiechnęła się do niego życzliwie.

- Chodź ze mną. Zaraz znajdziemy twoją mamę. Tu niedaleko jest punkt ochrony. Tam ci na pewno pomogą znaleźć mamę.

- Naprawdę? - rozpromienił się „Forrest Gump”.

Poszli w głąb sali. Kolejka zaczęła się szybko przesuwać. Odprawa paszportowa przebiegła szybko i bez zakłóceń. Trochę ponad pół godziny oczekiwania i Jean Paul Dubois oddychał z ulgą, siedząc w niezbyt wygodnym fotelu na pokładzie samolotu. Postanowił podróżować klasą ekonomiczną, żeby wtopić się w tłum. Stewardesy pomagały innym schować bagaż ręczny do półek nad głową. Za niedługo wystartują. Wszystko wskazywało na to, że udało mu się uniknąć losu Faustena. Teraz razem z Eriką i ich pieniędzmi zakamuflują się w jakimś kraiku w Ameryce Południowej lub na Karaibach i przeczekają. Mało prawdopodobne, żeby zabójca go aż tak usilnie szukał. Co prawda posiadał wiedzę, która przez niektórych mogła być uznawana za niebezpieczną, ale jak odpowiednio szybko zniknie im z oczu, mogą o nim zapomnieć i dać mu spokój. Na to liczył.

Samolot wystartował. Pasażerom wolno było rozpiąć pasy i chodzić po samolocie.

- Proszę.

Uśmiechnięta stewardesa wyciągnęła do niego tacę z cukierkami. Dubois wziął jednego. Rozwinął i włożył do ust. Cukierek pomagał na zatykanie uszu przy wznoszeniu się.

Emocje opadały z niego powoli. Dopiero teraz poczuł się całkowicie bezpiecznie. Pomyślał o czekającej na niego Erice i ich wspólnych upojnych nocach. Przymknął oczy. Nie miał w tej chwili ochoty na rozmowy z sąsiadką siedzącą obok i zerkającą w jego stronę. Była kobietą w średnim wieku, jak widać podróżującą samotnie. Nie wyglądała na kogoś, kto stroni od przygodnych znajomości. Dubois nie był akurat w nastroju.

Minęło jeszcze kilka minut, kiedy Francuz poczuł mrowienie na całym ciele. Mrowienie przeszło w niekontrolowane napięcie mięśni i problemy z oddychaniem. Coraz trudniej było mu złapać powietrze. Chwycił się za gardło. Pasażerowie, widząc, jak sinieje, zaczęli głośno wzywać pomocy. Duboisowi oczy wychodziły z orbit. Podbiegły stewardesy. Sąsiadka wyszła na przejście między fotelami. Wolą się odsunąć na bezpieczną odległość. Mogła to być jakaś tropikalna choroba. To samo zrobili pasażerowie z jego prawej strony.

Pojawił się kapitan. Zbadał Francuza. Mężczyzna się nie ruszał. Puls był niewyczuwalny. Pasażer nie żył. Kapitan powiedział coś stewardesom i wrócił do swojej kabiny.

- Proszę państwa, proszę zachować spokój i wrócić na swoje miejsca. - Stewardesa

zwróciła się do pasażerów tłoczących się, by coś zobaczyć. - Wszystko jest pod kontrolą. Musimy zawrócić do Nowego Jorku po fachową pomoc medyczną. Proszę wrócić na miejsca.

\*

- O, tam jest moja mama, na schodach. - Gawlik pokazał palcem nieokreśloną osobę. - Mama! - Zawołał i zaczął machać.

- No widzisz. I wszystko dobrze się skończyło. - Staruszka uśmiechnęła się do niego. - Idź do mamy i pilnuj się, bo się znowu zgubisz.

Gawlik poczłapał w stronę schodów, a starsza kobieta wróciła do kolejki na drugim końcu hali. Kiedy już stracił ją z oczu, poszedł prosto do toalety. Przebrał się w normalne spodnie i ciemną koszulkę z krótkim rękawem. Potem poszedł do przechowalni, gdzie zostawił bagaże. Wyraz przygłupa na jego twarzy zniknął bez śladu. Stał przed tablicą odlotów i przylotów. Trucizna w ciele Duboisa powinna już zrobić swoje. Nagle zaczęło się niewielki zamieszanie. Domyślał się, dlaczego. Jeden z pasażerów w jednym z samolotów dokonał żywota. Pewnie kapitan zawrócił maszynę, by pozbyć się niewygodnego problemu, póki jeszcze nie odlecieli daleko. Trzeba było go przyjąć.

Polak rzucił krótkie spojrzenie na swój sygnet. Prawie niewidoczna, ostra jak brzytwa końcówka wykończenia przy owalnym kamieniu szlachetnym wpuszczała truciznę do ciała ofiary. Wystarczyło zadrapanie na wierzchu dłoni Jeana Paula Duboisa, by wyeliminować go z gry. Pozostał jeszcze Morgan. Nim ma zająć się Alice. Powinna się sprawić. Teraz już czas na samego Witalija Jakuszyna.

Gawlik zatrzymał taksówkę przed lotniskiem i kazał się wieść na Manhattan.

### *Więzienie stanowe, Youngstown, Ohio*

Jessica Morgan podniosła słuchawkę. Za więzienną szybą siedział Ronald Barber, mężczyzna, którego jeszcze do niedawna darzyła głębokim, wydawałoby się bezwarunkowym uczuciem, a co do którego tak strasznie się pomyliła. Jednak czuła się w obowiązku odwiedzić go choćby ten jeden, jedyny raz.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyszedłeś - usłyszała w słuchawce jego głos brzmiący trochę jak z zaświatów. - Jessie, ja jestem niewinny. Musisz mi uwierzyć. Musisz.

- Widziałam dowody - powiedziała cicho i spuściła wzrok.

Widać było, że samo wspomnienie materiałów jest dla niej niezwykle bolesne.

- To wszystko kłamstwa. Sfabrykowane. Ktoś mnie próbuje zrobić. Przecież mnie znasz, Jessie.

- Wydawało mi się, że cię znam.

Zacisnęła mocno powieki. Odłożyła słuchawkę i wyciągnęła z torebki chusteczkę. Wytarła kąciaki oczu. Ponownie przyłożyła aparat do ucha.

- Jessico, proszę cię, przysięgam na wszystkie świętości, że to wszystko nieprawda. Podłożyli mi te świństwa.

- Po co ktoś miałby robić coś takiego?

- Nie wiem, ale się dowiem. Jak tylko stąd wyjdę, bo przecież prawda musi zwyciężyć.

- Rozmawiałam z twoim adwokatem. Mówi, że jak się przyznasz, prokurator pójdzie na ugodę. Dostaniesz może pięć lat, wyjdiesz po trzech. To dobra oferta. W tych okolicznościach...

- Jessica, o czym ty mówisz? Do czego mam się przyznać? Nie jestem pedofilem!

Dziewczyna milczała przez dłuższą chwilę. Spojrzała mu w oczy.

- Żegnaj, Ronald. Już się więcej nie zobaczymy. - Odłożyła słuchawkę.

- Jessica! Poczekaj! Jessica!

Jego słowa słyszał jedynie strażnik, który podszedł i wyprowadził go siłą z sali spotkań.

Jessica Morgan wyszła przed bramę więzienia. Ze spuszczoną głową skierowała się do zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy mercedesa kabrioletu. Nie zwróciła uwagi na stojący kilkanaście metrów dalej czarny chrysler bus. Wsiadła z niego kobieta i mężczyzna. Oboje elegancko ubrani. Trochę zbyt elegancko, jak na panującą tego dnia aurę. Ciemne marynarki przyciągały palące promienie słoneczne. Oboje w ciemnych, przeciwsłonecznych okularach pośpieszyli w stronę młodej panny Morgan.

Dostrzegła ich, gdy otwierała drzwi swojego samochodu.

- Pani Jessica Morgan? - zagadnął ją mężczyzna i nie czekając na potwierdzenie, wyciągnął legitymację. - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Agent Anthony Silvestri. To jest agentka Alice Perkins z CIA. Chcielibyśmy zamienić z panią parę słów, jeśli można.

- W jakiej sprawie?

Jessicę uderzył zadziwiający fakt. Agent NSA razem z agentką z CIA. Niebywałe. Czego taki niespotykany normalnie zespół może od niej chcieć? Chodziło o interesy ojca? Kompletnie nic na ten temat nie wiedziała. Nigdy zresztą to ją specjalnie nie obchodziło. Tata był biznesmenem prowadzącym interesy na całym świecie i ta wiedza w zupełności jej wystarczała. Dlatego obecność agentów bardziej ją intrygowała niż niepokoiła.

- Między innymi w tej, tutaj. - Alice ruchem głowy wskazała więzienie.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. - Nastroszyła się. - Ten rozdział jest już dla mnie definitywnie zamknięty.

- Obawiam się, że nie ma pani racji, panno Morgan - włączył się Silvestri. - Agentka ma dla pani informacje, które rzucą zupełnie inne światło na sprawę pani chłopaka. - Alice skinęła głową na potwierdzenie słów kolegi. - Zapraszam do naszego samochodu. Trudno się rozmawia w takim upale.

Jessica zmierzyła ich wzrokiem. Przez chwilę zastanawiała się, czy się zgodzić. Nie musiała z nimi rozmawiać. Z drugiej strony chodziło o Ronalda. Przecież wciąż go kochała. Mimo wszystko. Jeżeli jest coś, co faktycznie podważy jego winę... Pojawiła się iskierka nadziei.

- Chodźmy więc - powiedziała Jessica.

Wsiadli do klimatyzowanego przestronnego busa. Kierowca siedział do nich tyłem. Wydawał się być zupełnie niezainteresowany pojawieniem się młodej kobiety.

- Panno Morgan... - zaczęła Alice.

- Jessica. Mam na imię Jessica.

- Więc posłuchaj, Jessico - ciągnęła agentka. - Pierwsza rzecz, to twój chłopak jest niewinny. Został bardzo sprytnie i fachowo wrobiony w pedofilię. Materiały zainstalowano mu na komputerze, podrzucono te wszystkie świństwa do mieszkania i zrobiono parę innych rzeczy, żeby prokurator nie miał niepotrzebnych wątpliwości.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie miała powodu nie wierzyć w słowa agentki CIA. Oni się tam znają na swojej robocie i jeśli agentka mówi, że Ronniego wrobili, to najpewniej tak właśnie jest. Pojawiło się w niej uczucie ulgi, autentycznej ulgi. Więc jednak Ronnie mówił prawdę. Tylko jak to udowodnić?

- Skąd to... skąd masz takie informacje, Alice? - Za późno zdała sobie sprawę, że zadaje wyjątkowo głupie pytanie. Siedzi przecież przed pracownikiem Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Znaczy...

- Ronald Barber z całą pewnością nie powinien tam siedzieć. Co więcej, jest całkiem realna szansa, że to się wszystko da odkręcić. Ale...

- Kto mógł zrobić Ronniemu coś tak niewyobrażalnie podłego? I w ogóle dlaczego? Jak to możliwe?

- Do tego właśnie zmierzam, Jessico - kontynuowała cierpliwie Alice. - Tym kimś jest twój ojciec.

Słowa agentki spadły na Jessicę jak grom z jasnego nieba.

- Słucham?! - Poczwała napływającą falę gniewu.



- Henry Morgan zlecił robotę, a samo wykonanie to Matt Harper, prawnik rodziny i zaufany twojego ojca.

- Jak śmiesz?! - Jessica nie posiadała się z oburzenia. - To podłe kłamstwa! Znam wasze metody.

Wstała z fotela i chwyciła za klamkę drzwi. Nie miała ochoty przebywać z tymi ludźmi ani sekundy dłużej. Alice wyciągnęła do niej dłoń z niewielkim magnetofonem.

- Posłuchaj tego, zanim wysiądziesz. - Głos agentki był beznamiętny.

- Co to jest?

- My to nazywamy dowodem, Jessica - wtrącił się Silvestri.

Jessica Morgan wzięła magnetofon do ręki. Nacisnęła przycisk „play”. Usłyszała głos swojego ojca. Jego rozmowę telefoniczną z Mattem Harperem. Ojciec pytał, czy sprawa załatwiona, a Matt podał mu kilka szczegółów co do tego, w jaki sposób Ronald Barber został wpakowany w kłopoty, z których miał się już nie wyplątać.

Morgan ucieszył się, że jego córka nie będzie związana z byle kim.

Jessica odłożyła magnetofon na siedzenie. Wyglądała na zdruzgotaną tym, co przed chwilą usłyszała.

- Skąd to macie? - wyszeptała pytanie.

- System ECHELON jest w stanie podsłuchać wszystkich i wszędzie - odparła Alice.

- Wiecie, że to niezgodne z prawem? Nie wolno podsłuchiwać ludzi bez formalnych powodów.

- To nagranie? - Alice wzięła magnetofon do ręki, popatrzyła na niego i schowała do kieszeni marynarki. - Tego nagrania nie ma. Nigdy nie powstało. Nie ma przestępstwa.

- Czyli niby co słyszałam?

- Sama zdecyduj.

- Czego ode mnie tak naprawdę chcecie? Bo w życiu nie uwierzę, że chodzi wam o sprawiedliwość dla Ronalda.

- Chcemy, żebyś dowiedziała się, kim naprawdę jest twój ojciec - powiedział Silvestri.

- Wiem, kim jest mój ojciec. - Przeniosła na niego wzrok. - Nie potrzebuję wykładów na ten temat.

- Twój ojciec przewodzi niezwykle potężnej tajnej organizacji - mówił niezrażony agent - zdolnej do wywoływania wojen dla zysku, wywoływania kryzysów gospodarczych, dokonywania skrytobójczych morderstw niewygodnych osób i wielu jeszcze innych rzeczy.

- To jakieś brednie. Mój ojciec jest uczciwym biznesmenem.

- Za sprawą tego uczciwego biznesmena zginęły setki tysięcy ludzi w lokalnych

konfliktach zbrojnych. Drugie tyle zostało kalekami na całe życie, nie wyłączając dzieci. Wszystko dlatego, że organizacji Henry'ego Morgana to się po prostu opłacało.

- Jeżeli macie dowody, to idźcie na policję, do FBI, nie wiem. Skoroście tacy pewni...

Oboje agenci westchnęli ciężko jak na komendę.

- Nic z tego - powiedziała Alice. - Zbyt wielu niezwykle wpływowych ludzi jest w sprawę zaangażowanych. Twój ojciec jest praktycznie nietykalny.

- Więc po co mi to wszystko mówicie?

- Jego organizacja sprzymierzyła się z jednym bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Niebezpiecznym dla kraju i ładu na świecie. Chcielibyśmy, żebyś pomogła przekonać nam Henry'ego Morgana, by wycofał się z tej współpracy.

Dziewczyna popatrzyła na nich tak, jakby ich pierwszy raz zobaczyła.

- Chyba żartujecie. Tato nie będzie rozmawiał ze mną o swoich interesach. Mowy nawet nie ma. Zresztą jak wy to sobie wyobrażacie? Pójdę i powiem: „Tatusiu kochany, zerwij kontakty z takim owakim, bo...”, bo co? Bo CIA prosi? Odbiło wam.

- Niepotrzebnie ironizujesz. - Alice cały czas zachowywała stoicki spokój. - Właściwie co ci szkodzi spytać o pewne fakty? Zobaczysz, jak twój ojciec zareaguje. Może będziesz w stanie sama stwierdzić, czy mówimy prawdę, czy nie. Kto wie.

- Dobra. Spytam: „Tatusiu, czy dzięki twoim działaniom setki tysięcy ludzi straciło życie? Czy przewodzisz mafijnej organizacji?”

Agentka nie dała się wyprowadzić z równowagi.

- Zalecałabym raczej: „Tatusiu, czy to prawda, że zleciłeś sfabrykowanie dowodów przeciwko Ronaldowi Barberowi? W pewnych agencjach rządowych chodzą takie słuchy”. Może właśnie tak?

- Co się stanie z Ronniem?

- W ciągu tygodnia będzie wolnym człowiekiem, jeżeli oczywiście...

- Zamierzacie podjąć jakieś kroki przeciwko ojcu?

- Mówiłam ci, Jessico, twój ojciec jest nie do ruszenia. Nawet gdybyśmy chcieli go dopaść, a tak naprawdę nie bardzo chcemy się podkładać, nie ma szans. Za mocne ma układy nawet dla nas.

Jessica milczała. Analizowała coś w myślach.

- Nie boicie się, że skoro tato jest taki potężny, to dobierze się wam do tyłków, jak mu opowiem o naszej rozmowie?

- Nie - stwierdziła krótko Alice.

- Naprawdę?

- Naprawdę.
- Pewnie nie muszę podawać swojego telefonu jakby co?
- Nie musisz.

Jessica otworzyła drzwi i wyszła z klimatyzowanego samochodu. Poczowała na ciele uderzenie gorącego powietrza. Pogoda tego dnia ludzi nie oszczędzała.

- Ty naprawdę uważasz, że ona coś ze starym załatwi? - Silvestri był sceptyczny.
- Skąd. To bogata głupia pipka. Bez żartów.
- Czyli co?

- Jak zacznie gadać, to zasieje w Morganie ziarno niepewności. Zacznie sprawdzać, dzwonić po ludziach. My go namierzemy, jak coś chlapnie nieumyślnie. Wtedy go odwiedzimy i złożymy propozycję nie do odrzucenia.

- Jak w *Ojcu Chrzestnym*.

Alice uśmiechnęła się na porównanie.

- Coś w tym stylu.
- A młody Barber? Chcesz go z tego wyciągnąć?
- Chyba zgłupiałeś. Po co mi to?
- Będzie kiblował?

- Nie sądzę. Jak się stary dowie, co jest grane, to sam go wyciągnie. Szybciej niż najlepsi prawnicy na świecie.

- Czyli czekamy?

- Czekamy. Myślę, że nie będziemy czekać długo. - Alice Perkins spojrzała przez okno na wsiadającą do mercedesa Jessicę Morgan. - Stary pierdził się wkurwi i szybko zacznie wydzwaniać do grubych ryb, że ktoś mu robi koło dupy. Zrobi się zamieszanie, a my znajdziemy się we właściwym miejscu, we właściwym czasie.

Już wkrótce agent Silvestri miał się naocznie przekonać, że scenariusz napisany przez agentkę Alice Perkins sprawdzi się w najdrobniejszych szczegółach. Witalij Jakuszyn jeszcze nie miał świadomości, że właśnie traci kluczowego sojusznika. Wiedział jednak, że musi ukarać generała Iwanowa za zdradę, wymierzyć sprawiedliwość agentce CIA i niebawem zmierzyć się ze swoim byłym dowódcą, który jeszcze do niedawna był dla niego godną najwyższego podziwu i szacunku chodzącą legendą. Szacunek pozostał. Podziw zniknął. Pojawił się instynkt ściganej zwierzyny, która w takich okolicznościach staje się śmiertelnie niebezpieczna.

*Moskwa, Rosja*

Odkąd Iwanow dostał informację od służb, że Jakuszynowi najprawdopodobniej udało się jakoś wydostać z Federacji Rosyjskiej, poczuł się trochę pewniej. Oczywiście, wołałby, żeby Witalij wpadł w łapy polujących na niego agentów na terenie Rosji, ale cóż, dobre i to. Przynajmniej będzie mógł poluznić środki bezpieczeństwa, które zaczynały mu się już porządnie dawać we znaki. Każdą trasę przejazdu trzeba było starannie planować, rodziny pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę, co wcale nie było łatwe, biorąc pod uwagę gorącą krew jego synów, a i sam musiał podlegać momentami dokuczliwym ograniczeniom. Co prawda jeśli chodzi o jego żonę i dzieciaki, to mógł być i był raczej spokojny. Jakuszyn przejął pewne zasady kodeksu honorowego od Gawlika - rodzina żołnierza jest nietykalna. Ale zawsze lepiej było dmuchać na zimne.

Trzech wielkich chłopów z ochrony lustrowało otoczenie. Śledzili bacznie każdy ruch przed luksusową kamienicą. Wiedzieli, czego szukać, ale w promieniu kilkuset metrów nie znajdowali niczego, co mogłoby wzbudzić ich niepokój i narazić generała na niebezpieczeństwo. Teren był czysty.

Iwanow czekał cierpliwie na sygnał od swoich ludzi. Uważał, że chłopaki przesadzają z tą ostrożnością, lecz uznał, że nie będzie im specjalnie utrudniał roboty. W końcu dbają o jego bezpieczeństwo. Jego i jego rodziny.

Generał zapalił papierosa. Zaczął się niecierpliwic. Minęło już chyba z pięć minut, a limuzyny nie podstawiono. Spojrzał na zegarek.

- Pietia - zwrócił się do swojego osobistego ochroniarza - powiedz im, niech ruszą dupy i podstawiają samochód. Nie będę tu sterczał do wieczora.

Zaciągnął się dymem i zaczął wypuszczać kółka.

- Panie generale, proszę o trochę cierpliwości - odpowiedział Pietia Kryłow. - Dostał pan naszych najlepszych ludzi. Oni wiedzą, co robią. Samochód zaraz będzie.

- Przeginają, cholera. Weź ich pogoń, bo ja to zrobię.

Ochroniarz przyłożył mankiet do ust.

- Co tam jest u was? Generał się niecierpliwi.

Kryłow przyłożył palce do słuchawki w uchu. Słyszac odpowiedź, pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No i? - Generał rzucił papierosa na marmurową podłogę, co było rzeczą niesłychaną, biorąc pod uwagę lśniące czystością otoczenie klatki schodowej. Mieszkali tu ludzie wyłącznie o wysokiej kulturze lub z niezwykle zasobnymi portfelami. Zachowanie generała niejednego z nich by śmiertelnie oburzyło. - Już?

- Tak jest. Samochód zajechał.

- Szlag by was trafił z tymi środkami ostrożności. Jakbym wiedział, to w ogóle bym was nie brał - powiedział Iwanow kwaśno. - Słyszałeś, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu?

Ruszył do wyjścia z budynku. Przed samą bramą, w odległości nie większej niż trzy cztery metry, stała czarna limuzyna z pancernymi szybami. Goryl otworzył drzwi, wciąż rozglądając się wokół.

Iwanow jeszcze raz zbrukał nieskazitelnie czystą podłogę, spluwając pod nogi. Kręcił głową zde gustowany. Gdyby nie to, że mają do dyspozycji niebieskiego koguta na dach, pewnie spóźniłby się jak nic do ministerstwa. Korki w Moskwie są horrendalne. Czasem nawet pojazd uprzywilejowany, taki jak jego, utknie na dobre. No cóż, jak się spóźnia, to ochrona dostanie opierdół. Następnym razem dwa razy pomyślą, zanim będą chcieli się wykazać, pętaki.

Kiedy Iwanow wyszedł na otwartą przestrzeń, skarcił wzrokiem trzymającego drzwi ochroniarza. Chciał pochylić głowę, by wsiąść do samochodu. Nie zdążył. Pocisk karabinowy roztrzaskał mu czaszkę. Runął na krawężnik, zalewając krwią ulicę. Ochroniarze zareagowali natychmiast. Otoczyli generała, uniemożliwiając kolejny strzał z którejkolwiek strony. Sprawnie wrzucili go na tylne siedzenie. Samochód z piskiem opon i na sygnale ruszył spod wejścia do kamienicy. Dwóch ludzi zostało. Wyciągnęli broń, lecz nie wiedzieli, dokąd strzelać. Skryli się w bramie i mówili gorączkowo do mikrofonów w mankietach. Byli w stanie określić kierunek, z którego przyleciała kula, ale niczego ani nikogo podejrzanego nie byli w stanie dostrzec.

\*

Niecałe półtora kilometra dalej, na dachu nierzucającego się szczególnie w oczy budynku mieszkalnego jeszcze z czasów komunistycznych, Witalij Jakuszyn rozkręcał karabin. Ułożył części w specjalnie przygotowanym futerale na skrzypce. Wstał, starannie otrzepał garnitur i pochylony poszedł w kierunku wyjścia z dachu. Kiedy schodził po drabinie na klatkę schodową, zobaczył starszego, szczupłego mężczyznę zamykającego mieszkanie na klucz. Lokator bloku odwrócił głowę w jego stronę.

- A pan co tu robi? - spytał intruza z wyrzutem w głosie.

Witalij stanął na podłodze.

- Bo wie pan - zbliżył się do staruszka - ja jestem muzykiem i... - Nie było czasu na myślenie. - Tam na dachu ja...

Mężczyzna z surową miną słuchał tego dziwnego człowieka, który włóczył się po dachu, mając na sobie elegancki garnitur. Witalij stanął przy nim i kantem dłoni zmiądzzył

staruszkowi tchawicę. Nie czekał, aż człowiek się udusi. Otworzył mieszkanie kluczem, którego właściciel nie zdążył wyciągnąć z zamka i wepchnął ofiarę do przedpokoju. Rozejrzał się szybko, czy aby na pewno nie ma w domu innych świadków. Nie powinno nikogo być. W końcu człowiek zamykał mieszkanie na klucz. W razie czego ich również musiałby wyeliminować. Nie znalazł nikogo. Wyglądało na to, że staruszek mieszkał sam.

Zostawił ciało na wyświechtanym dywanie. Wytarł klucze chusteczką. Rzucił je na staruszka. Zamknął za sobą drzwi, trzymając klamkę przez materiał. Zszedł cicho na dół po schodach. Nikogo więcej nie spotkał. W dziesięciopiętrowym budynku, gdzie ludzie byli raczej anonimowi, i tak nikt nie zwróciłby na niego większej uwagi. Mieszkańcy takich bloków mają teraz swoje problemy, głównie natury finansowej i przetrwania od pierwszego do pierwszego.

Jakuszyn poszedł do stacji metra. Pojedzie jeden przystanek. Wiedział, że teraz w Moskwie służby i policja będą wyskakiwać ze skóry, żeby go dopaść. Szybko się zorientują, kto stoi za zamachem na generała. Witalij nagrał sobie transport śmigłowcem poza stolicę. Na niewielkim lotnisku już czeka prywatny samolot, który wywiedzie go do Gruzji. Tam rosyjskie macki go nie dosięgną. Wtedy pomyśli, jak wyciągnąć Tamarę. Na pewno będą ją dyskretnie obserwować.

Kolejny akt zemsty, w tym przypadku za zdradę, został dokonany. Następna ofiara pewnie się nawet nie spodziewa, że znajduje się na jego liście ludzi do odstrzelenia.

*Warszawa, Polska*

Nowy Świat tętnił życiem. Mężczyzna około pięćdziesiątki siedział na jednej z ławeczek. Leniwym wzrokiem śledził przechodniów. Chwilę potem przysiadł się do niego Adam Gawlik. Bez słowa wyciągnął rękę na powitanie. Uścisnęli sobie dłonie.

Jasiu rozpakował gumę do żucia. Papierek zwinął w kulkę i pstryknięciem posłał celnie do kosza ustawionego nieopodal ławki.

- O cyrku nie myślałeś? - zagadnął Gawlik z lekką ironią à propos popisowo celnego „strzału”.

- Myślałem, ale za mało płacą - odparł Jasiu swoim charakterystycznym ironicznym tonem.

- Pomyślałaby kto, że ktoś taki jak ty kasy potrzebuje.

- Każdy potrzebuje. Coś ty myślał, że laska na Karaibach za darmo ci da?

- Trypra się nie boisz?

- Wszystko jest dla ludzi. - Jasiu żuł, otwierając usta. - Byle w umiarze.

- O to akurat to bym cię nie podejrzewał.

- No widzisz, życie jest pełne niespodzianek. - Jasiu się zreflektował i podsunął Gawlikowi paczkę z gumami. - Żujesz?

- Plomby wyciągają. - Adam popatrzył z niesmakiem na zawiniątko. - Zresztą cholera cię wie, coś ty tam jeszcze naładował. Powiedz lepiej, czego się dowiedziałeś o naszym przyjacielu.

- Nic się nie dowiedziałem. - Jasiu wzruszył ramionami. - Nic. Zero. Twój gościu zapadł się pod ziemię.

- Kurwa, Jasiu, ty się nie dowiedziałeś? - Gawlik wbił w niego wzrok. Był zdumiony.

- Jak to możliwe?

- No właśnie. Jak to możliwe. Ten twój Witia to lepszy cwaniak. Nic na niego nie ma. Karty kredytowe, meldunek w hotelu, czy cokolwiek... Nic. Normalnie w łeb sobie strzelić.

- Toś mnie zmartwił, chłopie. - Adam rozparł się na ławce.

- Wiesz, może jakżeście z Amerykańcami mu koło dupy zrobili, to się postanowił zakamuflować i w sumie macie spokój.

- Nic z tych rzeczy. Wiadomości nie oglądasz. Nie słyszałeś, że ktoś rozpieprzył generała Władimira Iwanowa?

- On?

- Na sto procent.

- Pięknie.

- Niestety.

- Iwanow go w chuja zrobił, to mu pomógł przejść w stan spoczynku. Ale po cholere jeszcze kłopoty? Ja bym na jego miejscu się schował w ciepłych krajach i dupcył, aż bym zawału dostał. Kasiorę przecież ma. Daj se spokój. Myślisz, że będzie głupi i cię poszuka?

- Nie znasz Witalija. Dla niego to sprawa honoru. On jest jak taki, kurwa, ruski samuraj. Dorwie każdego, kto mu wszedł w drogę. Znajdzie mnie prędzej czy później. Wtedy będzie miał przewagę i tę przewagę wykorzysta. Wolałbym, żeby było odwrotnie.

- No to dupa błada, jak to mawiali starożytni Rzymianie.

Gawlik posłał mu spojrzenie typu: „Nie pieprz”.

- Naprawdę nic? Kompletnie? Pomyśl, Jasiu.

- W sumie coś bym ci poradził.

- Mam nadzieję, że nie to, bym pilnował jego baby?

- Nie. Na to jest za sprytny. Poza tym Ruscy już pewnie nie spuszczaają z niej oka. Ja

bym na twoim miejscu pilnował tej twojej agentki CIA.

- Alice Perkins?

- No, chyba tak jej było.

- Po co?

- Była przy tym, jak Rusczy babie Jakuszyna zafundowali niechcący aborcję. Bodajże sama spotkanie zorganizowała. Na mojego nosa, on jej nie przepuści. Laska trupem jest. Tylko kwestia czasu.

- Czyli wypadłoby ją ostrzec. - Gawlik zrobił cierpiętniczą minę.

- Nie bądź głupi. Uratujesz jej dupę, to zapłacisz swoją. Bądź w pobliżu, a spotkasz swojego Witalija. Kto wie, może nie trafi. Wszystko się może zdarzyć.

- Jakuszyn nie trafi? Jasiu, nie wiesz, co mówisz. Szlag by to trafił, ale chyba nie ma rady.

Jasiu plunął przezutą gumą w stronę kosza. I tym razem nie spudłował.

- Potrafiłbyś tak? - spytał Gawlika z niewinną miną.

- Idź w cholere, ludzie patrzą. Stary pierdziel, a zachowuje się jak świnia.

- Wyluzuj, Adaś. Zabiorę cię kiedyś na Karaiby Nawet sobie nie wyobrażasz, ile tam dziewczyny mogą mężczyźnie szczęścia dać. Od razu ci się światopogląd zmieni.

- Żonaty jestem. Zapomniałeś?

- A co to, żonaty to eunuch?

Gawlik zignorował uwagę.

- Idę. Trzeba coś robić. Jak byś się czegoś dowiedział, to wiesz, jak mnie łąpać.

- Jasne.

Adam wstał z ławki i poszedł w stronę placu Zamkowego.



## ROZDZIAŁ 43

### *Demokratyczna Republika Konga, Afryka*

Maciek siedział na pustej beczce po paliwie. Wodził posępnym wzrokiem dookoła za przechodzącymi w pobliżu pracownikami fizycznymi w drelichach i inżynierami, którzy co jakiś czas przystawali i konsultowali płachty papierów z planami. Wszyscy mieli przepisowe, kolorowe kaski na głowach. Teren kopalni nie różnił się tak naprawdę niczym od typowego zachodniego przedsiębiorstwa. Może tylko od razu rzucający się w oczy kolor skóry w większości miejscowych pracowników fizycznych i panujący skwar nie pozwalały zapomnieć, gdzie człowiek się znajduje.

Wiktor wyszedł właśnie z budynku administracyjnego, gdzie omawiał z dyrektorem technicznym ostatnio wynikłe problemy z niektórymi pracownikami, którzy nie zastosowali się ściśle do poleceń ochroniarzy przy okazji krótkiego wypadu na zewnątrz, przez co narazili na niebezpieczeństwo życie swoje, jak i żołnierzy przywołujących ich do porządku. Potrzebne były konsekwencje dyscyplinarne, naturalnie przy pełnym poparciu szefostwa. Techniczny był Polakiem, więc łatwo im zawsze było dojść do porozumienia.

Maciek splunął przed siebie. Widać było już na pierwszy rzut oka, że coś go strasznie gryzie. Co zyczliwsi próbowali go wcześniej zagadywać, ale odpowiadał zdawkowo, chwilami nawet opryskliwie. Ewidentnie nie miał ochoty na rozmowy towarzyskie.

Podobnie jak wielu pracowników, Wiktor wiedział doskonale, co Maćka gryzie. W administracyjnym przekazali mu właśnie wiadomość, która może okazać się lekiem na bólączki chłopaka, a przynajmniej z pewnością je złagodzi. Podeszedł do młodego pewnym krokiem.

- Co jest? - spytał, jakby nie wiedział, o co chodzi. - Jakiś problem?

Maciek obdarzył go „łaskawie” spojrzeniem. Wymownym spojrzeniem, które mówiło: „I co się głupio pytasz?”

- Rzygać mi się chce - odparł student ponuro i splunął po raz kolejny. - To jest.

- Przeżywasz tych gówniarzy?

- Wiktor, kurwa, to były dzieci. Rozumiesz? Zamordowałem trójkę dzieci. Oni mieli matki, ojców, dla których byli szczęściem i radością, a ja ich, kurwa, zastrzeliłem.

- Ich rodzice pewnie też nie żyją.

- Pewnie. Czyli tylko się cieszyć - burknął chłopak z nieukrywanym sarkazmem w głosie. - Wszystko w takim razie jest w najlepszym porządku.

- Czułbyś się lepiej, gdybym to ja leżał z przestrelonym łbem? Ty zresztą najprawdopodobniej też i może jeszcze paru innych chłopaków?

- Wiktor, po co ty mi takie pytania zadajesz? Chcesz mnie jeszcze bardziej zdołować? Proszę bardzo.

- Maciek, nie chciałem cię z nami brać. Sam żeś się upierał. A wtedy nie było czasu na gadki umoralniające.

- Wiem - powiedział ze spuszczoną głową. - Przecież nie mam do ciebie żalu. Na siebie jestem wkurwiony.

- To dobrze.

- Co dobrze? - chłopak podniósł głowę.

- Że tak reagujesz. Znaczy, nie jesteś jeszcze zepsuty. Lepiej żeby tak zostało.

- Fajnie. Kurwa, fajnie. Tylko jak ja mam z tym żyć? No jak?

- Wrócisz do normalnego świata i z czasem zapomnisz.

- Wiesz, popraw mnie, jeśli się mylę, ale mam dziwne wrażenie, że ciebie jakoś to w ogóle nie obeszło.

- Nie mylisz się.

- Jezu - jęknął chłopak. - To ty, Siergiej czy Amir nie macie ludzkich uczuć? Jacyś popierdoleni psychicznie jesteście?

- Wiesz, co się mówi o diable?

- O diable? A co, cyrograf jakiś podpisałeś?

- Mówi się - ciągnął niezrażony ironią Maćka Wiktor - że jest taki niebezpieczny nie dlatego, że jest mądry, tylko że długo żyje.

- No i?

- Z nami jest podobnie. Siedzimy w tym interesie od lat. Jesteśmy na pewne rzeczy uodpornieni, ale zdziwiłbyś się, jak bardzo ludzcy potrafią być ludzie z naszego fachu.

- Znaczy, mam się czuć pocieszony?

Maciek zrobił kwaśną minę.

- Znaczy, mam dla ciebie niespodziankę. - Wiktor uśmiechnął się.

- Tak? Wal.

- Dostałem cynk od Gawlika. Możesz wracać do Polski. Nic ci już nie grozi.

Student popatrzył przed siebie. Spodziewał się, że któregoś dnia Wiktor wypowie te

słowa. Któregoś dnia będzie wolnym człowiekiem. Któregoś dnia zobaczy znowu Magdę Frank.

- Czyli wszystko się skończyło - powiedział z westchnieniem.

- Jakoś nie widzę, żebyś się cieszył.

- Tam w Polsce zostawiłem dziewczynę. Prawie narzeczoną. Może już nie będzie chciała mnie znać.

- Trochę wiary, młody. Wytłumaczysz jej wszystko i będzie po sprawie.

- Tak? Co jej powiem?

- Prawdę. Że miałeś kłopoty i musiałeś się tu schować.

- A jak mnie spyta, co tu robiłem, to jej opowiem o odstrzeliwaniu malutkich czarniutkich chłopczków. Świetna zabawa.

- Maciek, zaczynasz mnie wkurwiać. Przestań wreszcie jęczeć jak stara baba i weź się chłopie w garść. Powiesz jej, że oglądałeś piękne afrykańskie widoczki i już. Ja mam cię uczyć? Nigdy nie mówi się wszystkiego. Starczy już tego użalania się nad sobą. Zachowuj się wreszcie jak mężczyzna, bo do ciebie, kurwa, szacunek stracę.

Maciek splunął jeszcze raz.

- Nie stracisz - powiedział i zacisnął usta. Wstał z beczki. - Trzeba by się za jakąś robotę wziąć. Masz coś dla mnie?

Wiktor walnął go w ramię.

- Będą z ciebie ludzie człowieku. Nie musisz się już martwić o robotę. Powolutku się pakuj. Mam coś jeszcze. - Włożył studentowi do ręki aparat łączności satelitarnej. - Zadzwoń do swojej lubej. Pewnie się stęskniła.

- Nie pamiętam nawet jej numeru - odpowiedział Maciek zrezygnowany.

- Nie musisz.

Żołnierz wyciągnął świstek papieru z napisanymi odręcznie cyframi.

- Najpierw wbijasz kod, potem numer i dalej już wiesz.

- Skąd to masz?

Wiktor wzruszył ramionami.

- Czary - stwierdził pogodnie i odszedł.

Maciek jeszcze dłuższy czas patrzył na telefon i numer do Magdy. Serce zaczęło mu bić szybciej. Co ma jej powiedzieć? Jak rozmawiać? Od czego zacząć?

Wystukał numer i przyłożył słuchawkę do ucha. Minęło kilka sekund zanim zabrzmiał sygnał połączenia.

*Wrocław, Polska*

W knajpie było głośno. Mimo że była to impreza zamknięta, tylko do VIP-ów, jak jej Bartek powiedział, czuło się panujący ścisk. Magda nie znała tu nikogo, a przynajmniej nikt znajomy nie rzucił się jej jeszcze w oczy.

W końcu przysła z Bartkiem zaledwie przed kwadrans. Rozejrzała się dyskretnie dookoła. Bartek gdzieś na chwilę zniknął. Mówił, że zaraz wraca i ma dla niej jakąś niespodziankę. Ludzie wokół popijali szampana i wino na stojąco. Stali w małych grupkach. Słuchać było śmiechy, żarty i głośne rozmowy. W tle leciała rytmiczna muzyka. W innej części sali parę osób tańczyło. Dla wszystkich tutaj jedna rzecz była bardzo charakterystyczna. Wszyscy epatowali zamożnością przejawiającą się w markowym, drogim ubiorze, pewnością siebie i nierzadko arogancją. Śmietanka Wrocławia, ale i nie tylko. Bartek mówił, że będzie miała okazję poznać tutaj ludzi naprawdę wielkiego kalibru. Ciekawa była, kogo miał na myśli. Nie chciał nic zdradzać.

Płynąca z głośników muzyka chwilami przeszkadzała w normalnej rozmowie. Magda szczególnie lubiła atmosferę, gdzie trzeba było specjalnie podnosić głos, by rozmówca usłyszał, co się do niego mówi. Ludziom wokół hałas wydawał się nie przeszkadzać nawet w najmniejszym stopniu.

Zobaczyła Bartka manewrującego między innymi gośćmi niczym kelner przemykający zręcznie między stolikami. Trzymał w dłoniach dwa kieliszki z szampanem. Uśmiechał się do niej z daleka. Poczła ulgę na jego widok. Zaczynała się czuć trochę nieswojo.

W kieszeni zakietu poczuła wibrowanie telefonu komórkowego. Dźwiękowy sygnał połączenia w panującym tu hałasie był ledwie słyszalny. Wyciągnęła aparat i spojrzała na wyświetlacz. Jakiś przedziwnie długi numer. Nacisnęła przycisk „odbierz”. Bartek stanął przy niej. Czekał cierpliwie, aż skończy rozmawiać.

- Halo, halo! - podniosła głos.

Odgłosy imprezy nie dawały wielkich szans na skuteczną rozmowę. W słuchawce odezwał się głos cichy, niewyraźny, jakby z zaświatów. Dodatkowo słyszała dziwny metaliczny pogłos, który jeszcze bardziej utrudniał zrozumienie dzwoniącego. Jedyne kilka słów pozwoliło jej się zorientować, że mówi po polsku. Głos też jakby znajomy. Nie było czasu się zastanowić. Połączenie zostało przerwane. Bartek wręczył jej kieliszek. Stuknął swoim kieliszkiem w jej.

- Napijmy się - powiedział i podniósł dłoń z szampanem na wysokość twarzy - Jest

przecież okazja.

- Okazja? - Magda starała się skojarzyć, o co mu może chodzić. Na próżno. Nic jej nie przychodziło do głowy. - Jakaż to okazja?

- Znamy się już trzy tygodnie. - Zerknął na zegarek. - A tak dokładnie, to trzy tygodnie, dwie godziny i dwadzieścia trzy minuty.

Patrzyła na niego spod przymrużonych filuternie powiek. Nigdy by nie pomyślała, że będzie liczył czas tak skrupulatnie. Ten mężczyzna coraz bardziej jej się podobał. Szczególnie ujął ją fakt, iż decyzja pójścia do łóżka wyszła bardziej z jej strony niż z jego. On tylko stworzył odpowiednią atmosferę i odpowiednie warunki. Pierwszy krok wykonała Magda, a Bartek postarał się, by tego nie żałowała. Pod tym względem był ewenementem. Przynajmniej wśród mężczyzn, których do tej pory знаła. No może Maciek zachowywał się równie szarmancko i dżentelmeńsko, czule i delikatnie, ale Maćka już nie było. Jego obraz powoli zaczynał się zacierać w jej pamięci. Stawał się odleglejszy z każdym dniem, za to Bartek systematycznie podbijał jej serce.

- Taki jesteś skrupulatny?

- W pewnych, wyjątkowo dla mnie ważnych sprawach, aż do przesady.

- Jak ważnych? - spytała kokieteryjnie.

- Szalenie ważnych - odpowiedział bez zastanowienia. - Ale pij, bo chcę, żebyś kogoś poznała. Kogoś bardzo ciekawego.

- Tak? - wychyliła połowę zawartości kieliszka i odstawiała na stolik pod ścianą. - Kogo?

- Zobaczysz. Chodź.

Wziął ją pod rękę i poprowadził przez salę. Po drodze przywitał się z kilkoma znajomymi, z których większość była płci żeńskiej. Magda poczuła się niewyraźnie, widząc, jak te kobiety patrzą na Bartka. Pożądliwie i zalotnie. Były bardzo atrakcyjne. Doszła do wniosku, że mogła ich łączyć nie tylko przygodna znajomość. Złapała się na tym, że jej to przeszkadza. Była zła na siebie. Zazdrość? Co za absurd. Przecież znają się zaledwie trzy tygodnie. Próbowała przemówić sobie do rozumu, jednak z marnym skutkiem.

Stanęli przed dwójką mężczyzn. Jeden z nich w eleganckim, jedwabnym garniturze, z krótkim, zadbanym zarostem na twarzy, drugi ubrany w stylu Indiany Jonesa z *Poszukiwaczy zaginionej arki*. Brakowało mu tylko skórzanego kapelusza na głowie. Obaj byli w trochę ponad średnim wieku, z włosami lekko przyprószonymi siwizną. Magda natychmiast zwróciła uwagę na starannie wypielęgnowane dłonie brodatego. Robił znacznie lepsze pierwsze wrażenie niż jego towarzysza. Uśmiechnięty, patrzący życzliwie. „Indiana Jones” zerkał z

ukosa i co jakiś czas krzywił się z niesmakiem, jakby chciał dać do zrozumienia, że wyraźnie mu się tu nie podoba.

- To jest właśnie ta dziewczyna, o której wam mówiłem - powiedział do nich Bartek w płynnej angielszczyźnie. - Nazywa się Magda Frank. Madzia, poznaj Grega i Larsa Mastersów, producentów filmowych. - Mówił dalej po angielsku, zakładając, że Magda nie ma z tym językiem problemów. Nie mylił się. - Pewnie nie słyszałaś, bo laury zbierają reżyserzy. A producenci kasę - dodał z uśmiechem.

Greg Masters, dotąd skwaszony, rozchmurzył się. Trudno było stwierdzić, czy to z powodu wspomnienia o pieniądzach, czy na widok Magdy, która tego dnia wyglądała nadzwyczaj atrakcyjnie.

- Miło mi panów poznać. - Podała rękę najpierw jednemu, potem drugiemu.

- Greg i Lars planują zrobić część swojego nowego filmu w Polsce i szukają młodych talentów do ról drugoplanowych. Powiedziałem, że ty świetnie byś się nadała. - Bartek objął ją.

- Ja? - Magda otworzyła szeroko oczy zaskoczona. - Przecież ja nigdy nie miałam nic wspólnego z aktorstwem.

- Niejeden aktor nigdy wcześniej nie miał nic wspólnego z aktorstwem - stwierdził chłopak. - Na przykład taki Harrison Ford był cieślą.

- Bartek ma rację - przytaknął Greg, który, sądząc po stylu ubierania się, był fanem postaci odgrywanej przez Harrisona Forda. - Nie potrzebujemy zepsutych profesjonalistów. Takich już mamy. Teraz trzeba nam prawdziwych talentów. Amatorzy często mają w sobie więcej życia.

- Moim zdaniem powinnaś spróbować - wtrącił się Lars Masters. - Pojutrze w Holiday Inn robimy casting i zdjęcia próbne. Będzie reżyser i w końcu i tak on podejmie ostateczną decyzję.

Widać było, że Magda im się spodobała.

- A co to za film? - spytała dziewczyna. - Jeśli to nie tajemnica, oczywiście.

- Żadna tajemnica - odparł Lars. - Komedia romantyczna, która dzieje się w Europie i Stanach. Takie rzeczy dobrze się sprzedają. Powiedziałbym, że u was w Polsce to szczególnie.

- Naprawdę myślicie, że bym się nadawała? - spytała Magda sceptycznie.

- Wszystko wychodzi na zdjęciach próbnych - powiedział Greg. - Okaże się, czy kamera cię lubi, czy nie. Ale zawsze warto dać szczęściu szansę.

- Nie ma się nad czym zastanawiać, dziewczyno - stwierdził Bartek. - Może właśnie

szczęście się do ciebie uśmiecha.

- Co prawda będziesz jedną z bardzo wielu kandydatek - powiedział Lars - ale coś czuję, że nie jesteś bez szans. Powiedziałbym więcej, masz w sobie to coś. Zobaczymy jeszcze, co reżyser powie, ale na mojego nosa, może coś z tego być. W każdym razie masz moje poparcie.

- I co powiesz? - spytał ją Bartek.

- Nie wiem. Może rzeczywiście warto spróbować. Co mi szkodzi. Zawsze to jakieś nowe doświadczenie. - Wzruszyła ramionami. - Przyjdę. Na luzie.

- Mądra decyzja - powiedział Lars. - Życie trzeba brać za rogi.

- Panowie teraz wybaczą, ale my idziemy tańczyć - powiedział Bartek i wziął Magdę za rękę. - Chodź, Magda. Grają mój ulubiony kawałek.

W tańcu Bartek również okazał się świetny. Doskonale poczucie rytmu i wyuczone kroki tańców klasycznych. Widziała, że może się przy nim niejednego nauczyć.

Po którymś z kolei szaleństw na parkiecie odprowadził ją do stolika i posadził na krześle.

- Bartek, gdzieś ty się tak tańczyć nauczył? - spytała zasapana. - Na jakieś kursy chodziłeś?

- Nie. Jestem samorodny talent. Ale różne rzeczy się w życiu robiło. - Nie usiadł obok niej. Rozejrzał się po sali. - Poczekaj tu na mnie. Zaraz wracam.

- Gdzie idziesz?

- Daj mi minutkę. Muszę coś załatwić - odpowiedział i poszedł w głąb sali.

Magda widziała, jak po drodze zaczepił go jakiś mężczyzna. Bartek powiedział mu coś na ucho. Mężczyznę zmroziło i wycofał się jak niepyszny. Chwilę potem chłopak zniknął wśród tańczących i rozmawiających głośno ludzi.

Dziewczyna była lekko oszołomiona. Wciąż nikogo tu tak naprawdę nie знаła, nie licząc oczywiście niezobowiązujących znajomości zawartych na miejscu i polegających na wymianie zwyczajowych grzecznościowych formułek. Jednak dzięki Bartkowi bawiła się znakomicie. Nawet te zupełnie nic nieznaczące, zdawkowe rozmowy z przygodnymi znajomymi Bartka, których pewnie nigdy więcej nie zobaczy na oczy, i którzy następnego dnia wymażą jej obraz z pamięci, sprawiały jej swego rodzaju przyjemność.

- Cześć, Magda - usłyszała nad głową.

Podniosła wzrok. Przed nią stał nie kto inny, tylko Patryk Herman. Nie uśmiechał się do niej złośliwie, jak to miał ostatnio w zwyczaju. Przeciwnie. Miał poważną, wręcz ponurą minę. Rzecz raczej rzadko spotykana w jego wykonaniu. Zawsze pełen życia i radości.

- Patryk? - Zdziwiła się na jego widok. Właściwie nie powinna się dziwić. Impreza dla elit. A on przecież zawsze starał się być na topie. - Nie powiem, żeby miło mi było ciebie widzieć.

- Widziałem, że przyszedłeś z Bartkiem Kellerem. - Nie zwrócił uwagi na jej uszczypliwy ton.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to chyba nie twoja sprawa.

Miała nadzieję, że jak będzie nieprzyjemna, to się go pozbędzie, jeszcze zanim wróci Bartek. Nie chciała, żeby się spotkali. Musiałaby się jakoś zachować i przedstawić ich sobie, a na to stanowczo nie miała ochoty.

- Magda, posłuchaj. - Nachylił się nad nią. - Keller to jest facet, od którego trzeba się trzymać z daleka. Wykpij się jakoś. Powiedz, że cię głowa boli i wyjdź na zewnątrz. Odwiozę cię do domu.

- Patryk, czy ty przypadkiem za dużo nie wypiliśmy? Chcesz mi dyktować, z kim mam się spotykać, a z kim nie? Byliśmy razem, ale to już historia. Pogódź się z tym.

- Magda, mówię ci jak przyjaciel. Bartek to nie jest facet dla ciebie. Wyjdźmy na zewnątrz i porozmawiamy.

- Coś ci się w głowę stało. Ja jestem dorosłą dziewczynką i nie potrzebuję z tobą rozmawiać.

- Magda, proszę cię, posłuchaj...

Bartek stanął przy nich z butelką wina.

- Mamy niespodziewanego gościa?

To, czego Magda chciała uniknąć, stało się faktem. Westchnęła.

- Bartek, to jest... - zaczęła prezentację.

- My się dobrze znamy. - Keller nie dał jej dokończyć. - Prawda Patryk?

- Tak, tak. To co, ja nie przeszkadzam. Bawcie się dobrze.

Patryk dyskretnie usunął się z pola widzenia.

- Coś chciał? - spytał Bartek.

- Gadał coś od rzeczy. Moim zdaniem za dużo alkoholu. Zawsze miał słabą głowę.

- Skąd się znacie?

- Byliśmy kiedyś, można by powiedzieć, parą.

- Proszę, jaki ten świat mały. - Bartek postawił na stoliku butelkę. - Najprawdziwsze Chateau Margaux. Piłaś kiedyś?

- Przyznam, że nie jestem koneserką win. Nie miałam okazji.

- Czyli na coś się przydałem. Ale poczekaj, to się popisałem. Cholera, kieliszków nie



przyniosłem. Chyba że z gwinta będziemy pić?

- Wolałabym nie. - Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Minutka. - Szybkim krokiem ruszył w stronę baru.

Kiedy Magda straciła go z oczu, zboczył z drogi. Odszukał Patryka. Jak zwykle był otoczony pięknymi dziewczynami.

- Patryczek - Bartek klepnął go w ramię - chodź na słówko.

Patryk posłusznie dał się poprowadzić w kąt sali, gdzie nie było akurat nikogo.

- O co chodzi? - spytał niepewnym głosem.

Bał się Bartosza Kellera. Znał go aż za dobrze i doskonale sobie zdawał sprawę, że nie należy mu się narażać. Czyżby Magda zrelacjonowała mu ich rozmowę? Byłoby niedobrze.

- Lubię cię, gościu - zaczął Bartek przyjaźnie i objął go ramieniem. - Masz swój pomysłu i to mi się w tobie podoba. Inteligentny jesteś, co tu dużo mówić. Dlatego powiem raz jeden, szczerze, jak na spowiedzi. Jak się dowiem, że coś komuś chlapnąłeś... wiesz, o co mi chodzi, to cię znajdę, wyrwę język, pozbawię słuchu i wydłubię oczy - powiedział, ścisząc głos. - Ale pozwolę żyć - dodał tonem łaskawcy. - W końcu jesteśmy przyjaciółmi. To co, Patryczek, rozumiemy się?

- Rozumiemy - wydusił Patryk przez zęby.

- No widzisz. Jak chcesz, to potrafisz. - Ucieszył się sztucznie Keller. - Leć teraz do tych swoich dupeniaków. Szkoda, żeby się marnowały.

Klepnął go w plecy i pchnął lekko. Patryk poszedł z powrotem do swojego, głównie damskiego towarzystwa. Natomiast Bartek wziął z baru czyste lampki na wino i wrócił do Magdy.

- Już cię nie opuszczę, Magdaleno. - Postawił przed nią kieliszek i otworzył butelkę.

- Tak? To teraz mnie pewnie upijesz?

- Kochana, tym winem należy się delektować - zwrócił jej uwagę z czarującym uśmiechem - a nie je pić. Pod tym względem jesteś całkowicie bezpieczna.

- Pod tym względem? A pod innym?

- Życie jest pełne niespodzianek. - Nalał jej. - Ogrzej lampkę dłonią od dołu i poczuj bukiet.

Impreza trwała do późnej nocy. Producentki wyszły wcześniej. Bartek przedstawił ją jeszcze kilku kobietom i mężczyznom. Nie była w stanie pamiętać, kto jest kto.

Podawane imiona w panującym hałasie umykały z pamięci, o ile w ogóle były słyszalne. Magda czuła, że zostaje wprowadzana do swego rodzaju elitarnego towarzystwa. Na początku czuła się z tym niepewnie, lecz potem zaczynało się jej to nawet podobać.

\*

Przed hotelem kłębił się spory tłum młodych ludzi żądnych kariery filmowej. Nie wszyscy zmieścili się w holu. Casting ogłoszony zaledwie tydzień temu przyciągnął ludzi w różnym wieku, od podlotka do wieku przedemerytalnego włącznie, choć z góry było wiadomo, że poszukuje się osoby, przynajmniej z wyglądu, maksymalnie dwudziestoparoletniej.

Bartek zajechał swoim motocyklem niemal pod samo wejście. Magda zeszła z tylnego siedzenia i ściągnęła kask z głowy. Poprawiła zmierzwioną fryzurę.

- O kurczę - dziewczyna powiodła wzrokiem po zgromadzonych kandydatkach na aktorkę. Niektóre były ze swoimi chłopakami. Pewnie dla dodania im otuchy. Niektóre trzymały kurczowo w dłoniach ulubione maskotki, na szczęście. - No to sobie poczekamy.

- Chyba żartujesz - Bartek nawet nie spojrzął na tłumek. - Ja nie czekam. Nigdy. A ty jesteś ze mną.

- Tu wolno parkować? - zdziwiła się jego niefrasobliwością.

- Mi wolno.

Wziął ją za rękę i poprowadził do wewnątrz. Przy wejściu starszawy, hotelowy portier poznał go i uklonił się z uśmiechem.

- Dzień dobry, panie Bartku - powiedział. - Miło pana znowu u nas gościć.

- Cześć, panie Kaziu. Ruch tu dzisiaj u pana, co?

- A, jakiś film będą kręcić. Zeszło się ludzi. Tylko kłopot, bo pilnować trzeba. Ta dzisiejsza młodzież, cholewka. Jeszcze co zrobią głupiego.

- Nasza młodzież to skarb narodu. Nie słyszał pan, panie Kaziu?

Bartek nie czekał na odpowiedź. Wszedł z Magdą do holu i od razu skierował się do hotelowej kawiarni. Posadził ją przy stoliku, a sam podszedł do baru. Zamienił parę słów z barmanem i wrócił do niej, uśmiechając się tajemniczo.

- Nie powinniśmy się tam gdzieś ustawiać do tego castingu? - spytała.

- Na razie to powinniśmy się napić. Po co ci trema?

- Alkohol? Przed castingiem? Zdaje się, że nie wypada.

- Daj spokój. Co ty myślisz, że aktorzy zawsze na trzeźwo grają?

Kelner przyniósł małe piwo i drinka ze słomką. Piwo postawił przed Bartkiem, a drinka przed Magdą. Magda była zadziwiona. Stał przed nią jej drink nazywany „Białą Damą”.

- „Biała Dama”. Mój ulubiony. Skąd wiedziałeś?

Keller w mig zorientował się, że właśnie trafił w dziesiątkę. Niejednokrotnie przedtem

serwował kobietom tego właśnie drinka i prawie zawsze przypadła im do gustu. Pierwszy raz zdarzyło się, że ktoś go nie tylko zna, ale jeszcze lubi. Ucieszył się w duchu z niespodziewanego sukcesu.

- Pomyślałem sobie, że ty i ten drink doskonale do siebie pasujecie - skłamał bez zająknięcia. - Widać się nie pomyliłem.

Magda popatrzyła na niego z uznaniem. Wciąż ją zaskakiwał. Lubiła być zaskakiwana. Jak każda kobieta zresztą. Sączyła powoli napój alkoholowy przez słomkę. Bartek nalał piwa z butelki do szklanki. Odwrócił się i spojrzał na czekających młodych ludzi za szklaną ścianą. Jednocześnie kątem oka obserwował Magdę. Z satysfakcją stwierdził, że zawartość kieliszka zniknęła systematycznie w ustach dziewczyny.

- Tak z ciekawości, to jak chcesz ominąć kolejkę? - Magda wytarła papierową serwetką kąci ust. - Tłum nas zlinčuje.

- Madziu, powiedziałem ci, że nie będziesz czekać i tak będzie - odparł - Zaufaj mi.

- Co ty kombinujesz?

- Staram się otworzyć przed tobą wielki świat.

- Tak? - spytała z nutką sceptycyzmu w głosie. - No to chodźmy do tego wielkiego świata, bo nam umknie.

Dopiła drinka. Bartek wychylił resztkę piwa. Butelka została w połowie pełna. Wstając, Magda zatoczyła się lekko. Mężczyzna podtrzymał ją za rękę.

- Wszystko OK? - zapytał z troską w głosie.

Dziewczyna przyłożyła rękę do czoła.

- Chyba poszło mi do głowy - uśmiechnęła się zakłopotana. - Uuch, jakiś mocny musiał być ten drink. Już w porządku. - Odzyskała równowagę. - Możemy iść.

Wziął ją pod ramię. Przecisnęli się przez grupę czekających. Magda poczuła, że coraz bardziej szumi jej w głowie. Czyżby się upiła jednym drinkiem? Ogarniała ją bardzo przyjemna błogość. Wszystko wokół wydawało się piękne i przyjazne. Zaczęła uśmiechać się do siebie. Przyłgnęła bokiem do Bartka. Czowała się fantastycznie, wręcz cudownie. Zachciało jej się śpiewać ze szczęścia. Roześmiała się w głos. Bartek przytulił ją do siebie mocno. W tym momencie była niewymownie wdzięczna losowi, że ma tego człowieka przy sobie.

Prowadził ją długim hotelowym korytarzem. Było jej zupełnie obojętne, gdzie idą. Świat przecież był taki wspaniały.

Weszli do jednego z pokoi. W środku było dwóch mężczyzn i kobieta. Magda rozpoznała Larsa Mastersa. Obdarzyła go czarującym uśmiechem i pomachała dłonią na przywitanie. Lars skinął jej głową. Wysoka kobieta o urodzie Hiszpanki zmierzyła Magdę od

stóp do głów. Pokiwała z uznaniem głową. Podeszła do dziewczyny, odkleiła ją od Bartka i posadziła na rozłożonej kanapie. Magda zachwiała się na siedząco. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Lars włączył ustawioną na stojaku kamerę i skierował ją na dziewczynę.

- Jest dobrze - powiedział do towarzyszki po angielsku. - Rozbierz ją. Ty idź się przygotuj - zwrócił się do młodego blondyna.

Młodzian bez słowa wszedł do łazienki. Magda kołysała się na kanapie. Miała półprzymknięte oczy. Bartosz Keller obserwował ją z zaciekawieniem. Nigdy wcześniej nie widział kobiety tak podatnej na w sumie niewielką ilość narkotyku. Wcześniej obawiał się, że mogą być drobne kłopoty. Jak widać, niepotrzebnie.

- Rozbierz się, kochanie. - Hiszpanka mówiła łagodnie do Magdy najczystszą polszczyzną. - Będzie ci dużo wygodniej.

Magda popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem i roześmiała się po raz kolejny tego dnia. Bez cienia sprzeciwu pozwałała ściągać z siebie ubranie, najpierw wierzchnie, potem bieliznę, aż siedziała przed nimi naga i szczęśliwa.

Kobieta położyła ją delikatnie na plecach i rozsunęła nogi. Spojrzała na Larsa. Kiwał głową z aprobatą, przyglądając się łonu dziewczyny.

- Bardzo ładna. Piersi też super. Będzie się podobać - stwierdził. - Postaw ją na kolana, tyłem do kamery.

Kobieta pomogła Magdzie się podnieść i ustawić w odpowiedniej pozycji.

- Tak może być?

- Tak, bardzo dobrze. Posadź ją teraz. - Masters zapukał do drzwi łazienki. - Kajus, wychodź.

Młodzian pojawił się w pokoju przepasany białym ręcznikiem, który wypychał lekko podniesiony wzwodem członek.

- Chodź, chodź - zachęciła go kobieta po polsku. - Ona już jest gotowa.

Chłopak zrzucił ręcznik i nagi stanął przed Magdą. Krocze miał na wysokości jej twarzy. Wziął prącie w dłoń i przysunął jej do ust. Drugą ręką leciutko pchnął jej głowę w swoją stronę. Dziewczyna jakby od razu zrozumiała, o co chodzi. Bez najmniejszego oporu otworzyła usta i zaczęła mu lizać członka. Masters przybliżył kamerę, żeby mieć odpowiednie ujęcie. Popatrzył na Bartka.

- Spisałeś się.

- Będę spadał. Moja kasa? - Keller wyciągnął do niego dłoń.

- Nie chcesz popatrzeć?

- Sto razy widziałem.

Lars Masters sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę, którą wręczył Polakowi.

- Tak jak się umówiliśmy, plus drobna premia.

- Fajnie.

Bartek wyciągnął plik banknotów i zaczął je przeliczać.

- Nie ufasz mi? - Amerykanin zrobił minę urażonej niewinności.

- Nie widziałeś, co macie na jednodolarówce napisane? „*In God we trust*”<sup>7</sup> Ty na Boga nie wyglądasz.

- Miło się z tobą robi interesy - powiedział Masters z przekąsem.

Na kanapie akcja przybrała inny obrót. Młody człowiek brał Magdę od tyłu. Ona pojękiwała z rozkoszy. Pigułka gwałtu zmieszana z narkotykiem działała znakomicie.

- Pewnie, że miło. - Keller schował pieniądze do kieszeni spodni. - Młoda gdzie pójdzie?

- Sprzedamy ją Arabusom. Fajna jest. Zrobi furorę. Będzie niezła licytacja.

- Zmywam się. Jak coś ciekawego ustrzelę, to dam znać.

Bartek wyszedł z pokoju. Szybko dotarł do holu hotelu. Przecisnął się przez czekających na swoją szansę ludzi. Po drodze wcisnął portierowi banknot w dłoń. Mężczyzna rozejrzał się dyskretnie i schował pieniądze. Pożegnał Kellera ukłonem. Na zewnątrz Bartek odpalił motocykl i ruszył w miasto. Polowanie zaczyna się od nowa.

---

<sup>7</sup> In God we trust (ang.) - W Bogu pokładamy ufność (przyp. aut.).

## ROZDZIAŁ 44

*Waszyngton, Stany Zjednoczone*

Witalij Jakuszyn wystukał na laptopie kod połączenia telefonicznego. Założył na głowę słuchawki i poprawił mikrofon przy ustach. W piwnicy budynku garażowego panował przyjemny chłód. Na zewnątrz ledwie dało się wytrzymać, szczególnie że on sam przyzwyczajony był bardziej do rosyjskich zim niż wilgotnego klimatu wschodniego wybrzeża USA.

Połączenie zostało nawiązane. Po trzech sygnałach usłyszał głos Tamary.

- Szyszkińska, słucham. - Przedstawiła się z nazwiska jak miała w zwyczaju.

- To ja, Tamaro - powiedział półgłosem. Po drugiej stronie zapadła grobowa cisza. -

Witalij - dodał, choć było mało prawdopodobne, by nie rozpoznała rozmówcy. - Jak się czujesz?

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

- Witalij, byli u mnie ze Służby Bezpieczeństwa - odezwała się wreszcie. - I jeszcze jakaś Amerykanka. Straszne rzeczy o tobie mówili. Powiedz, że to nieprawda.

- Co mówili?

- Że ludzi zabijałeś. Że bronią handlowałeś i w ogóle, że zły człowiek jesteś. - Łamał jej się głos. - Powiedz, że to wszystko nieprawda. Zaprzecz. Proszę.

- Uwierzyłabyś mi?

- Tak - potwierdziła skwapliwie. - Powiedz, a uwierzę - dodała z wyraźną nadzieją w głosie.

- Tamara, ja byłem żołnierzem. - Postanowił operować półprawdami. - Pracowałem dla rosyjskiego rządu i wykonywałem rozkazy. Przeprowadzałem tajne misje. Ale nie jestem pospolitym mordercą.

Znowu cisza. Lekarka chciała wierzyć. Nie dopuszczała do siebie innej myśli.

- Gdzie jesteś? - spytała cicho.

\*

W centrum nasłuchowym NSA zawrzało. Jeden z pracowników potwierdził identyfikację głosu Jakuszyna. Przywołał zwierzchnika do swojego stanowiska

komputerowego, jednego z wielu na tej sali, przy których ludzie ze słuchawkami na uszach wpatrywali się w monitory.

- Namierzaj, skąd dzwoni. - Mężczyzna nachylił się nad podwładnym.

- Ameryka... Północna...

Czas płynął. W napięciu czekali, aż najszybsze komputery na świecie przetworzą dane. Oby połączenie trwało odpowiednio długo.

- Masz?

- Zaraz, zaraz... - pracownik popatrzył na odczyty komputera ze zdumieniem. - Co jest, do diabła? Nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? - Niecierpliwł się jego szef.

- On dzwoni z... Australii.

- Jak to z Australii? Mówiłeś z Ameryki Północnej.

- Jezu, nie z Australii. Z Chin.

- Co?

- Komputer chyba zwariował. Teraz mamy odczyty, jakby dzwonił z Finlandii w Europie. Co jest? Włochy... Francja... Szlag by to trafił, Tajlandia.

Mężczyzna wyrzucił ręce do góry w rozpacz. Jego szef wyprostował się. Witalij Jakuszyn okazał się sprytniejszy, niż by się mogło wydawać.

- Próbuj dalej.

- Próbuję. - Operator zaczął uderzać w klawiaturę niczym wytrawny pianista na koncercie.

\*

- Jeszcze ci nie mogę powiedzieć - odparł Witalij. - Zabiorę cię, jak tylko pewne sprawy się uspokoją.

- Szukają cię. - Tamara szepnęła do słuchawki.

- Nie znajdą. Nie martw się. Niedługo wszystko się ułoży i wyjedziemy razem, gdzieś, gdzie nikt nas już nie będzie niepokoił. Ale jak się czujesz?

- Poroniłam.

- Wiem, słyszałem. Zapłacą za to.

- Witalij, ja nie chcę, żeby ktokolwiek za cokolwiek płacił. Ja chcę normalnie żyć. Z tobą. Słyszysz? Normalnie. Jak wszyscy inni ludzie. Czy możesz mi obiecać, że tak będzie?

- Tamaro, posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj, Witalij. Ja chcę normalności. Codziennej rutyny. Zwykłego nudnego życia. Możesz mi to obiecać?

- Tamaro...
- Możesz? - zażądała stanowczo.
- Mogę - potwierdził w końcu.
- Mną się nie wolno bawić, Witalij. Pamiętaj o tym.
- Wiem, Tamaro. Wiem. Muszę kończyć. Odezwę się.

Naciśnięciem klawisza przerwał połączenie. W centrum nasłuchowym operator kręcił głową zrezygnowany. Ostatni namiar dostał z Albanii. „Jak to, do jasnej cholery, możliwe?” - pomyślał.

\*

Bezdomny spenetrował kosz na śmieci przy ulicy. Nie znalazł nic ciekawego. Pociągnął wózek za sobą. Miał ogromną siwą brodę i długie włosy. Wyglądem skutecznie odstraszał przygodnych przechodniów. Co niektórzy patrzyli na niego z wyraźnym niesmakiem. Zajrzał do kolejnego śmietnika. Pogrzebał najpierw kijem, potem ręką. Wyciągnął niedopałek najprawdziwszego cygara i schował za pazuchą jak najdroższy skarb. Rozejrzał się wokół. Nikt nie zwracał na niego większej uwagi.

Podreptał dalej. Daleko za rogiem wszedł do publicznego szaletu. W kabinie zrzucił z siebie wierzchnie ubranie. Odkleił brodę i zdjął perukę. Zostawił wszystko przy muszli. Wyszedł, przejrzał się w lustrze i wymył dokładnie ręce. Teraz miał na sobie zielone spodnie i czarną koszulkę typu T-shirt. Znów był w cywilu.

Wyszedł na zewnątrz. Jeśli Jakuszyn obserwował okolicę, to szanse, że nie udało się Gawlikowi wywieźć go w pole były minimalne. Przebranie było bardzo przekonujące. Musiał jeszcze raz sprawdzić teren i upewnić się, że ewentualny strzał z daleka może paść tylko z jednego kierunku, tylko z jednego budynku, oddalonego od tego miejsca o jakiś kilometr. Idealny dystans dla Witalija.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął komórkę. Kupił ją przedwczoraj. Nie było szans, żeby Witalij zdążył ją namierzyć. Była „czysta”. Wystukał na klawiaturze zapamiętany numer i poczekał na połączenie. Wrześniowe słońce przygrzewało solidnie.

- Tak? - odezwał się męski głos w słuchawce.
- To będzie budynek mieszkalny naprzeciwko placu. Jedyne miejsce. - Gawlik rozmawiał, nie zatrzymując się.
- Mogę nieoficjalnie załatwić paru policjantów do pomocy.
- Chyba zwariowałeś. - Adam warknął do telefonu. - Ani mi się waży. Jakuszyn by ich rozpieprzył w pierwszej kolejności. Żadnych przypadkowych ofiar. Wszystko ma być po cichu. Tam ludzie mieszkają. Po co nam jatka.



- OK. Jak każesz. Ty tu jesteś szefem.

- Z Alice załatwione?

- Tak jak kazałeś. Mark Spinelli do niej zadzwonił i umówił się na spotkanie o piątej na tym skwerze, co mówiłeś.

- Łyknęła?

- Powiedziała, że przyjdzie.

- Miejmy nadzieję, że Witalij podsłuchał i będzie chciał skorzystać z okazji, żeby ją odstrzelić. Bo jak nie, drugiej szansy nie będzie.

- Co robimy?

- Secesyjna kamienica. - Gawlik westchnął. - Mamy pół godziny. Trzeba wejść. Najlepiej jakoś od tyłu. Do sprawdzenia są dwa piętra. Wy pierwsze, ja drugie.

- Nic Alice nie powiedziałeś?

- Nie.

- Jak nie zdążymy, Ruski jej łeb przestrzeli.

- Dlatego ruszajcie dupy. Musimy zdążyć. Nie trzeba nam kolejnego pogrzebu.

Gawlik rozłączył się. Spojrzał na zegarek. Musi się dostać do kamienicy niepostrzeżenie. Jego dwaj ludzie też. Witalij ich nie zna. Dadzą sobie jakoś radę. Jemu będzie trudniej. Skradający się przy ścianie facet może wzbudzić podejrzenia. Wścibski sąsiad zadzwoni na policję, a wtedy cały plan szlag trafi. Będzie musiał zaryzykować.

Kiedy dotarł do budynku, zobaczył starszego mężczyznę wychodzącego z dalmatyńczykiem. Pozdrowił go skinieniem głowy i uśmiechnął się. Starszy mężczyzna odwzajemnił uśmiech. Gawlik nie przystanął. Starął się trzymać blisko muru. Jakuszyn musiał być w środku, w mieszkaniu. Okno otworzy w ostatniej chwili. O ile tam w ogóle był.

Na klatce spotkał dwóch towarzyszy. Byli przebrani za monterów - standard. Niedaleko kamienicy stał minivan z odpowiednimi napisami na karoserii, żeby uwiarygodnić ich obecność tutaj. Weszli po schodach.

- Tylko niech mi żaden nie struga bohatera - powiedział szeptem do agentów. - Chcę żebyście z tego wyszli żywi. Jasne?

Pokiwali głowami na znak, że rozumieją.

Rozdzielili się na pierwszym piętrze. Adam poszedł na drugie. Przyłożył ucho do drzwi, za którymi mógł być Jakuszyn albo Bogu ducha winni lokatorzy. Zaraz się pewnie przekona.

Poniżej agenci zapukali do mieszkania. Na wszelki wypadek głośno przedstawili się jako służby konserwacyjne do sprawdzenia instalacji. Nie było odpowiedzi. Dalsze pukania

nic nie dały. Jeden z nich nacisnął klamkę i... drzwi ustąpiły. Mieszkanie było otwarte. Kiedy weszli do dużego pokoju, zobaczyli dwoje emerytów leżących na łóżku. Byli fachowo skrepowani taśmą i mieli zaklejone usta.

Agenci nie mieli czasu na właściwą reakcję. Sięgnęli po pistolety, lecz nie na wiele się to zdało. Przygotowana przez Witalija pułapka zadziałała. Z obu stron uderzyły w nich ramiona naszpikowane długimi gwoździami, które boleśnie wbiły im się w ciało. Mężczyźni zostali unieruchomieni. Zaczęli wołać pomocy.

Gawlik zbiegł po schodach z pistoletem w dłoni. Przyłgął plecami do ściany obok wejścia do mieszkania.

- Alex! - zawołał do towarzysza. - Co jest?

- Kurwa - padła odpowiedź. - Pułapkę zrobił. Nadział nas gwoździami.

- Widzisz go?

- Tu go nie ma. Chodź tu i pomóż, kurwa - jęczał Alex. - Preston dostał w brzuch.

Rany boskie! Gawlik zdał sobie sprawę, że wróg jest piętro wyżej. Został ostrzeżony. Zerknął na zegarek. Była punktualnie piąta. „Alice, spóźnij się” mówił sobie w duchu. Wiedział, że kobieta nie spóźnia się nigdy. Zawsze była niezwykle punktualna. Wpadł do mieszkania, gdzie na podłodze leżeli agenci. Deska z gwoździami wbiła się Alexowi w bok. Preston dyszał ciężko. Nie miał nawet siły jęczeć. Gawlik wyciągnął z torby Alexa okrągły przedmiot i urządzenie wyglądające jak minitelewizor. Rzucił towarzyszowi komórkę.

- Dzwon po pomoc - powiedział, wychodząc.

Popędził schodami na drugie piętro. Ranni koledzy będą musieli poczekać.

\*

Alice Perkins usiadła na ławce. Zerknęła na zegarek. Piąta. Gdzie, do cholery, jest ten Spinelli? Nie znosiła spóźnialskich. Powie mu do słuchu, jak przyjdzie. Brak szacunku dla czasu drugiego człowieka. Z drugiej strony Mark brzmiał dość tajemniczo. Czemu chciał się spotkać akurat tutaj?

Ze swojej prawej zobaczyła zbliżającą się parę młodych ludzi. Wtuleni w siebie wydawali się zapominać o bożym świecie. Poczowała ukłucie zazdrości. Rozmawiali po cichu.

W tym samym momencie uderzyła ją w nogi kolorowa piłka. Spojrzała przed siebie na stojącego przed nią kilkuletniego chłopczyka. Ewidentnie czekał, aż odrzuci mu piłkę. Schyliła się i... nad głową usłyszała świst, zaraz potem paniczny krzyk dziewczyny. Podniosła głowę. Młody mężczyzna upadł. Z przestrzelonego barku obficie płynęła mu krew. Alice w mgnieniu oka zorientowała się w sytuacji. Rzuciła się na ziemię i podczołgała za ławkę. Strzał musiał paść od północnej strony.

- Mały, uciekaj stąd!! - wrzasnęła na przyglądające się sytuacji dziecko. - Już!!! - Wyciągnęła pistolet, choć wiedziała, że raczej nie na wiele jej się przyda. - Na ziemię!! - krzyknęła do młodych ludzi. - I nie ruszać się!

Dziewczyna padła plackiem. Ani drgnęła. Chłopak wył z bólu. Alice wymacała w kieszeni komórkę. Całe szczęście. Jej jedyna szansa. Potrzebowała wsparcia, i to szybko.

\*

Gawlik potężnym kopnięciem wywalił drzwi i wrzucił do środka kulę, którą wziął z torby Alexa. Najnowszy sprzęt popularnie nazywany „eye ball”. Spełniał dwie funkcje. Pierwsza, to zaskoczenie przeciwnika, który uznawał ją za jakiś ładunek wybuchowy i szukał schronienia, tym samym popełniając błędy. Druga, to funkcja obserwacyjna. „Eye ball” w rzeczywistości był kamerą penetrującą wnętrze i przekazującą obraz na zewnątrz, umożliwiając w ten sposób precyzyjny atak.

Adam patrzył na monitoru trzymanym w dłoni, jak Jakuszyn wpada w panikę, opuszcza karabin i gorączkowo szuka miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Był to najlepszy moment na wejście. Zaskoczenie nie potrwa długo.

W jednej chwili wpadł do środka z pistoletem wycelowanym w przestrzeń, gdzie powinien stać Rosjanin. Powinien, ale nie stał. Solidny kopniak w nadgarstek sprawił, że broń Gawlika poszybowała w powietrze.

Wylot lufy pistoletu Jakuszyna dotykał głowy Polaka. W podobnej sytuacji, bodajże z każdym innym przeciwnikiem, Gawlik zrobiłby unik i zlikwidował wroga jego własną bronią. W przypadku Witalija nie wchodziło to w grę. Rosjanin znał umiejętności swojego byłego dowódcy i w razie czego wiedział, jak sobie radzić. Gawlik sam go przecież kiedyś szkolił. Gorączkowo próbował coś wymyślić. Ale dlaczego Witalij nie strzela?

- Na twoim miejscu bym nie próbował - powiedział Jakuszyn całkowicie spokojnie. - Nie dasz rady.

Adam wiedział, że przeciwnik ma rację. Okazał się lepszy.

- Za chwilę nasi ludzie otoczą dom - powiedział Gawlik i rozluźnił mięśnie, tak by Jakuszyn to dostrzegł.

Liczył, że Witalij zrobi to samo, co mogłoby oznaczać jakąś szansę.

- Nie wcześniej niż za jakieś pięć, sześć minut.

Rosjanin zrobił za to rzecz zupełnie niespodziewaną.

Schował pistolet za pasek na plecach.

- „Eye Ball”. Myślałeś, że się wystraszę? - spytał wręcz przyjaznym tonem. - Zapomniałeś, że handlowałem bronią. Tą nowoczesną też. Pudło.

Adam mógł się teraz na niego rzucić i z dużą dozą prawdopodobieństwa go unieszkodliwić. Nie zrobił tego.

- Co z Alice?

- Nic. Twoja pani James Bond miała szczęście. Uszła mi. Uwierzyłybyś? - Witalij się uśmiechnął.

- Czego ty chcesz, Witia?

- Teraz już tylko świętego spokoju. Wygrałem z tobą. Moja próżność została zaspokojona. Za chwilę zniknę i fajnie by było, żeby nikt mnie nie szukał. Mam swoje sprawy osobiste. Łapiesz, o co mi chodzi?

- Co będziesz robił?

- Żył jako przykładowy obywatel gdzieś daleko.

Adam znał go na tyle, żeby nie mieć wątpliwości. Witalij chciał się wycofać. Honor przede wszystkim. Miał dla kogo żyć. To koniec rozgrywki. Definitywny.

- Wynoś się, zanim przyjadą. - Gawlik odsunął się od wejścia. - Spróbuję coś dla ciebie zrobić. Jak ty zrobiłeś dla mojej rodziny - dodał ciszej.

- Praszczaj towarzyszu lejtnancie.

Rosjanin wybiegł na korytarz. Jeszcze kilka chwil i Witalij Jakuszyn raz na zawsze przestanie spędzać sen z powiek amerykańskim służbom wywiadowczym.

Adam przetarł dłońmi twarz. „Cholera, chyba się starzeję” - powiedział do siebie. - „Dałem się podejść. Przynajmniej nie było komu...”

W budynku zaroilo się od funkcjonariuszy policji i antyterrorystów. Trzech wpadło do mieszkania i kazali Gawlikowi podnieść ręce i położyć się na podłodze twarzą w dół. Wykonał ich polecenie bez szemrania. Jeszcze będzie czas na wyjaśnienia co do jego tożsamości.

\*

Krzesło było małe i niewygodne. Adam odsunął się od kwadratowego stolika, założył ręce na kark i wyciągnął przed siebie nogi. W takiej pozycji było mu trochę wygodniej. Pomieszczenie, w którym go ulokowali, musiało być pokojem przesłuchań - ciasne, prawie puste z wielkim weneckim lustrem na połowę ściany.

Policjant w cywilu, któremu nakazano mieć na niego oko, wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia siedem - osiem, maksymalnie trzydzieści lat. Kazano mu nie tyle Gawlika pilnować, co nie dopuszczać do niego nikogo z zewnątrz, kogokolwiek, kto mógłby zadawać jakies niepotrzebne pytania. Dostał wyraźny rozkaz, by czekać do przybycia ludzi z FBI i kogoś z CIA. Mężczyzna stał przy drzwiach jak posąg. Starał się nie patrzeć na

zatrzymanego. Dało się zauważyć, że sytuacja była dla niego dość niezręczna. Nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje, i jak ma Gawlika traktować - jako podejrzanego, czy może chronionego świadka. Powiedziano mu jedynie, że człowiek pod jego opieką nie jest aresztowany.

Adam przeciągnął się.

- Jak masz na imię, chłopie? - zagadnął pilnującego go funkcjonariusza.

- Bob - odpowiedział policjant po krótkiej chwili wahania.

- Napiłbym się whiskey, Bob. Macie może Jacka Danielsa?

- Nie mamy - padła sucha odpowiedź.

- A co macie?

Bob nabrał do płuc powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

- Kawę - wydusił z siebie.

- Kawę macie gównianą. Może chociaż herbatę zieloną?

- Kawę.

- Niech będzie ta wasza amerykańska lura. Daj.

Policjant otworzył drzwi i krzyknął w stronę sali pełnej kolegów:

- Zatrzymany chce kawę.

- Niech se zrobi - usłyszał lekceważącą odpowiedź.

- Kurwa, niech ktoś ruszy dupę i przyniesie. - Bob podniósł głos poirytowany.

Gawlik spojrział na niego z ukosa. Młody był. Pewnie nie zdążył jeszcze wyrobić sobie szacunku wśród starszych funkcjonariuszy.

Kawę jednak przyniesiono. Była gorąca, ale smakowała tragicznie. Nawet sztuczna śmietanka z plastikowego jednorazowego pojemniczka nie była w stanie ukryć podłej jakości napoju. Gawlik mimo wszystko zdecydował się na wypicie. Szlag wie, ile czasu minie, zanim ktoś kompetentny uzna, że można już go wypuścić. Mogła go czekać długa noc. Warto więc było się choć trochę pokrzepić. Potem może sobie zażyczy hot doga. Te akurat mają nie najgorsze.

Nie dalej jak dziesięć minut później do pokoju weszła Alice we własnej osobie, w towarzystwie dwóch mężczyzn ubranych w ciemne garnitury. Gdyby jeszcze mieli ciemne okulary na nosie, można by odnieść wrażenie, że człowiek znalazł się na planie kolejnej części produkcji filmu *Faceci w czerni* z niezapomnianymi rolami Tommy'ego Lee Jonesa i Willa Smitha.

- Alice Perkins, CIA - zwróciła się do młodego policjanta. - To agenci Lindo i Jimenez z FBI. Przejmujemy zatrzymanego.

Detektyw wyszedł bez sprzeciwu.

- CIA pod rękę z FBI - Gawlik przechylił głowę lekko na bok. - Trza by zapisać w kalendarzu - stwierdził pogodnie.

- Przestań się wygłupiać, Gawlik - ucięła ostro Alice. - Podobno wiedziałeś, że Jakuszyn dzisiaj będzie chciał mnie załatwić.

- Pewnie, że wiedziałem. Sam to zorganizowałem.

- Skurwysynie - podniosła głos. - Mógł mnie zabić.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy, agentko Perkins. - Polak nie zmienił pogodnego tonu ani na moment.

- Szlag by cię trafił. Powinnam ci do dupy nakopać.

- Niedobry pomysł. - Zatrzymany skrzywił się z niesmakiem.

- Bo co?

- Bo będę krzyczał, że mnie bijesz i panowie policjanci cię zaaresztują.

Agenci Lindo i Jimenez wymienili spojrzenia. Słyszeli o Gawliku i jego wyczynach. Co najmniej trudno im było sobie wyobrazić, jak Alice go bije. Uśmiechnęli się pod nosem.

- Gawlik, kurwa, długo się będziesz jeszcze zachowywał jak idiota? Czy możemy porozmawiać poważnie?

- Alice, znowu się niepotrzebnie unosisz. Wyluzuj. Co ja ci takiego złego zrobiłem?

Kobieta odwróciła się do agentów FBI.

- Ja go zabiję. - Westchnęła. - Ja go, kurwa, zabiję.

Mężczyźni ani drgnęli. Poczuli męską solidarność z tym dziwnym Polakiem.

- OK, Alice - odezwał się Gawlik pojednawczo. - Chciałem tylko rozluźnić atmosferę.

- No to ci się udało - syknęła.

- Kiedy mnie puścicie?

- Co z Rosjaninem? - Puściła jego pytanie mimo uszu.

- Witalij Jakuszyn za jakieś... - Adam popatrzył na zegarek - może cztery, pięć godzin przejdzie do historii. Myślę, że gdzieś w Meksyku.

- Może by tak łaskawie trochę jaśniej. - Alice zaczynała się uspokajać. Pojawił się sarkastyczny ton. - Jeśli wolno.

Gawlik podniósł prawą dłoń i pokazał sygnet na palcu serdecznym. Dotknął go i wysunęła się maleńka igielka.

- Udało mi się go zadrapać - skłamał bardzo przekonująco. - Trucizna jest niezawodna. Wynałazek Indian południowoamerykańskich. Wy też moglibyście się od nich czegoś nauczyć, zamiast ich eksterminować dla biznesu.

- Czyli co?

- Czyli możecie uznać sprawę Witalija Jakuszyna za zamkniętą.

- A jak się mylisz?

- Nie ma takiej możliwości. Nie mógłbym sobie pozwolić na takie ryzyko. Jakuszyn by mnie dopadł prędzej czy później. Pomyłka nie wchodzi w grę.

Alice usiadła na krześle przy jego stoliku.

- Dali ci coś zjeść? - W tonie jej głosu nastąpiła zadziwiająca transformacja. Dało się usłyszeć ulgę i troskę jednocześnie. - Czy tylko to świństwo z automatu? Chodź, postawię ci hot doga, zanim cię wykopię z naszego kraju.

- Lejesz miód na moje serce, Alice. - Gawlik wstał.

- Co?

- W naszym kraju się tak mówi. Nieważne.

Chwilę potem pokój przesłuchań był wolny dla następnych potencjalnych delikwentów.

## ROZDZIAŁ 45

*Wrocław, Polska*

Wrześniowa aura we Wrocławiu rzadko sprawia zawód. Tak było i tym razem. Maciek cieszył się z powrotu do kraju i do tego miasta, które swoim urokiem zniewoliło i jego. Jednak nie samo miasto, tylko jedna z jego mieszkanek. Bez niej życie tutaj byłoby nieporównywalnie mniej zachęcające.

Podjechał autobus miejski. Maciek wszedł, skasował bilet i usiadł przy oknie. Będzie jechał dobre pół godziny. Uspokajający telefon do rodziców miał już za sobą. Mama zasypała go pytaniami i żądaniem przyjazdu do domu, ale wykręcił się, mówiąc, że ma tu jeszcze parę spraw na uczelni i przyjedzie za parę dni. Tradycyjnie pytała, co tam u cioci Basi i wuja Adama. Udzielił typowej odpowiedzi w stylu „wszystko w porządku, jak zwykle”.

Rozmowa telefoniczna z ciotką Basią była nieco trudniejsza. Co prawda, wuj już zdążył do niej zadzwonić ze Stanów z wiadomością, że wraca, ale ciotka żadna była szczegółów ich „wakacyjnych przygód”. W końcu cały czas się o nich martwiła. Ciężko jej było wytłumaczyć, że Maciek i Adam przebywali cały czas w dwóch różnych częściach świata. Skończyło się na tym, że dzisiaj wieczorem, a najpóźniej jutro do niej przyjdzie i opowie wszystko co wie. Z tego, co mu powiedziała, Gawlik zapowiedział swój przyjazd najdalej na pojutrze. Niecierpliwiła się strasznie. Dzieciaki zresztą też.

Maciek chciał najpierw załatwić sprawę dla siebie najważniejszą. Magda z jakichś powodów nie odbierała telefonów. Za każdym razem słyszał komunikat: „abonent jest poza zasięgiem”. Postanowił pójść do niej do domu. Nie wiedział, co tam na niego czeka. Bał się, że Magda mogła najzwyczajniej w świecie nie zechcieć z nim rozmawiać.

Była to najgorsza ewentualność, na którą też, niestety, musiał być przygotowany.

Patrzył przez okno na przesuwane się obrazy tętniącego życiem miasta. Układał w głowie słowa. Zdawał sobie sprawę, że łatwo nie będzie.

Autobus niespecjalnie stał w korkach. Widać sezon wakacyjny dla wielu wrocławian wciąż jeszcze się nie skończył. Maciek wysiadł na przystanku niedaleko domu państwa Frank. Zrobił kilka głębokich wdechów i ruszył na spotkanie tego, co nieuniknione. Zadzwoił dwukrotnie do drzwi i czekał. Nikt nie otwierał. Czyżby nie miał szczęścia i



gospodarzy nie było w domu?

W końcu usłyszał kroki za drzwiami. Ktoś schodził po schodach. Bez pośpiechu. W progu stanęła matka Magdy. Krystyna Frank wyglądał jakoś inaczej. Miała podkrążone oczy i była jakby przygaszona, przytłoczona problemami.

- Dzień dobry, pani Frank. - Maciek skinął głową. - Czy mogę się zobaczyć z Magdą?  
Kobieta patrzyła na niego przez moment półprzytomnym wzrokiem.

- Jezu, Maciek. Gdzieś ty się podziewał? - spytała wyraźnie przygnębionym głosem.

- W Afryce. Dużo by mówić. Chciałbym z Madzią porozmawiać, wyjaśnić wszystko...  
Matka westchnęła ciężko. Pomyślał, że nie jest to dobry znak.

- Madzi nie ma. - Spuściła wzrok. - Ale wejdź.

- Nie ma? A kiedy wróci? Poczekać? Przyjść później? - pytał niepewnie.

Zaprowadziła go do pokoju i posadziła na fotelu. Usiadła naprzeciwko.

- Miałam nadzieję, że się z tobą spotkała, i nie wiem... - Potrząsnęła głową. - Magda przedwczoraj nie wróciła do domu. Nie ma jej. Zaginęła.

- Co? Jak to zaginęła? - Maciek podniósł się.

- Poszła na casting z kolegą do Holiday Inn. Niby do jakiegoś filmu amerykańskiego, i nie wróciła.

- Z kolegą? A ten kolega? - Poczł ukłucie zazdrości.

- Bardzo miły i grzeczny młody człowiek. Strasznie się przejął. Wyszedł przed Magdą i nie wie, co się z nią dalej stało. Zostawił numer telefonu i obiecał, że będzie szukał na własną rękę.

- Dobry Boże. Byliście państwo na policji?

- Na policji? Wszędzie byliśmy. Pogotowie, szpitale i Bóg wie co jeszcze. Mąż ma duże znajomości. Ruszył wszystkie. Policja przesłuchiwała pracowników hotelu, ludzi od tego castingu. Wszyscy potwierdzają, że Magda była, ale nie wiedzą, co się z nią mogło dalej stać. Jesteśmy bezradni. - Krystyna Frank rozplakała się i zasłoniła dłońmi twarz.

- Pani Frank, proszę się nie martwić. Na pewno wszystko się ułoży - próbował ją pocieszyć. - Madzia się znajdzie. Obiecuję pani.

Przestała szlochać. Podniosła na niego zapłakane oczy.

- Myśleliśmy, że może ją porwali dla okupu, ale nikt się nie zgłosił z żadnymi żądaniami. Nic zupełnie. A przecież zapłacilibyśmy każde pieniądze.

- Wie pani co, mój wujek niedługo wraca do kraju. On dużo może. Porozmawiam z nim. Na pewno jakoś będzie mógł pomóc.

- Jest może prywatnym detektywem? Mąż właśnie załatwia jednego...

- Nie jest detektywem, ale...

- Kim jest?

- Byłem wojskowym.

- Maciek, co ty mówisz? - stwierdziła zrezygnowana. - Co tu były wojskowy pomoże?

- To nie jest taki zwykły wojskowy. Wyciągnął mnie ostatnio z koszmarnych problemów. - Sam starał się wierzyć w to, co mówi. - Ale ten kolega, z którym Madzia...

- Nazywa się Bartek Keller. Jak chcesz, to dam ci do niego numer. Może razem coś wymyślicie.

Podeszła do szafki i wyciągnęła skórzaną torebkę. Podała mu kartkę z zapisanym telefonem.

- Pani nie potrzebuje? - spojrzał na karteczkę.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może rzeczywiście, przepiszę ci.

Z tej samej szafki wyjęła karteczkę typu „post-it” i zapisała mu kontakt do Bartka Kellera.

- Ten Bartek, to jakiś bliski kolega?

- Maciek, daj spokój. Ja nie wiem. Magda spotyka się z różnymi ludźmi. Zniknąłeś bez słowa... - nagle zreflektowała się, że powiedziała troszeczkę za dużo.

Do Maćka dotarło, że w czasie jego nieobecności pojawiła się konkurencja. Ubodło go to boleśnie. Najgorsze, że być może z tą „konkurencją” trzeba będzie współpracować, by odnaleźć Magdę. I co wtedy?

- To ja już będę szedł. - Wstał z fotela. Krystyna Frank nie zatrzymywała go. - Proszę mi dać znać, gdyby państwo się czegoś dowiedzieli. Postaram się też coś zrobić.

Pokiwała tylko głową. Nieszczególnie wierzyła w jego zapewnienia. Odprowadziła go do drzwi.

\*

Magda obudziła się w samochodzie. Siedziała między dwoma obcymi, wygolonymi na łyso mężczyznami na tylnej kanapie. Jechali przez las. Obok kierowcy na miejscu pasażera zobaczyła czarnowłosą kobietę. Poprawiała makijaż przed lusterkiem.

- Gdzie ja jestem? - spytała półprzytomnie. Pasażerka odwróciła się do niej. Posłała jej przyjazny uśmiech. Magdzie wydawało się, że rozpoznaje te południowouropejskie rysy twarzy. Jednak nie miała pojęcia, skąd je może znać. - Dokąd mnie wieziecie?

- Do lepszego świata, kochanie. Twoje życie się teraz bardzo zmieni.

- O czym pani mówi? Jak ja się tu znalazłam?

Próbowała sobie przypomnieć, co się z nią wcześniej działo. Pamiętała jedynie, jak

Bartek jest z nią w hotelowej kawiarni i piją drinki. Chyba to były drinki. Nie miała pewności. Potem była czarna dziura, choć nie do końca. Jak przez mgłę jacyś ludzie mówili, żeby się rozebrała... Pamiętała uczucie euforii... i nic więcej.

- Wszystkiego się dowiesz. - Kobieta mówiła łagodnie. - W swoim czasie. Już niedługo.

- Gdzie jest Bartek?

- Bartek cię sprzedał, kochanie.

- Co znaczy sprzedał?

- Normalnie, za pieniądze. Muszę przyznać, że kosztowałaś całkiem sporo.

- Co pani wygaduje? - Magda była w szoku. Mężczyźni obok niej nie reagowali. Zachowywali się jak posągi. - Ludzi się nie sprzedaje. Czasy się pani pomyliły.

- Sprzedaje się. Sprzedaje. I to z całkiem niezłym zyskiem.

- To jakiś absurd. Nie dam się w to wciągnąć. Proszę się zatrzymać. Wsiadam. - Samochód nie zwolnił. - Halo! - Dziewczyna podniosła głos. - Panie kierowco. Niech się pan zatrzyma. Ma pan coś ze słuchem?

Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Zaczęła wpadać w panikę. Docierało do niej, że nie zamierzają jej wypuszczać.

- Czego ode mnie chcecie? - spytała z natychmiast wyczuwalnym strachem w głosie.

Kobieta jeszcze raz się do niej odwróciła.

- Jak ci się poszczęści, złotko, to będziesz żyła jak księżniczka w jakimś ciepłym kraju.

- Nie chcę żyć jak księżniczka. Chcę wracać do Wrocławia.

- Zdaje się, że nie masz wyboru. I proponuję, żebyś się zamknęła, bo ci panowie - wskazała wzrokiem siedzących obok niej osiłków - nie lubią hałasu i mogą się zdenerwować. A wtedy twoja śliczna buźka przestanie być już taka śliczna.

Dziewczynie zaokrągliły się oczy z przerażenia. Więc jednak. Porwanie. Tylko że nie dla okupu. Z całą mocą uświadomiła sobie straszną myśl. Stała się obiektem handlu żywym towarem.

- Moi rodzice są zamożni. Zapłacą wam - powiedziała błagalnym tonem. - Wypuście mnie. Proszę.

Reakcji nie było. Sytuacja stawała się beznadziejna.

Zaledwie kilka minut później zajechali przed elegancką willę usytuowaną praktycznie w lesie. Kazali jej wysiąść z samochodu i zaprowadzili do domu. W środku eskortujący ją faceci zabrali ją na górę. Wepchnęli do niewielkiego pokoju, gdzie stało dwuosobowe łóżko.

- Rozbieraj się - warknął osilek numer jeden.
- Dlaczego? - jęknęła.
- Rozbieraj się, bo ci pomogę. - Założył na palce kastet i podsunął jej pod nos.

Wzdrygnęła się i zaczęła powoli ściągać ubranie. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma na sobie bielizny. Mężczyzna się zniecierpliwiał i zdarł z niej garderobę. Nagą pchnął na łóżko. Drugi wyciągnął gruby sznur i zaczęli przywiązywać jej ręce do rogów łóżka. Magda łkała. To samo zrobili z nogami.

Więzy nie były bolesne, ale skutecznie ją unieruchomiły. Faceci wyszli z pokoju i zamknęli za sobą drzwi. Lampa na suficie rzucała przytłumione światło. Przerazona dziewczyna czekała, spodziewając się najgorszego.

Po chwili do pomieszczenia wszedł grubo ponad sześćdziesięcioletni starzec w jedwabnym szlafroku. Uśmiechnął się lubieżnie na jej widok. Zsunął szlafrok z ramion i zobaczyła, że nie ma nic na sobie. W dłoni trzymał skórzany pejcz. Zaczęła krzyczeć na cały głos. Dосkoczył do niej i zakneblował jej usta kawałkiem szerokiej taśmy samoprzylepnej. Rzucała się, próbując się uwolnić. Na próżno. Mężczyzna obszedł łóżko dookoła.

- Byłaś dzisiaj bardzo niegrzeczna - mówił półgłosem. - Bardzo. Ale jak będziesz miła, to tatuś cię nie ukarze.

Stanął u jej stóp i przesuwał jej dłoń po wewnętrznej stronie uda do krocza. Następnie włożył jej palec do pochwy i z lubością obserwował, jak się wije.

\*

Maciek całą noc rzucał się na łóżku. We śnie jeszcze raz przeżywał zaginięcie Magdy. Kłębily mu się w głowie koszarne obrazy. Ucieczki, pogonie, wykrzywione twarze jakichś ludzi, Magda wołająca go z oddali. Obudził się zlany zimnym potem. Wstał i rzucił okiem na dziurę w szybie od kuli snajpera. Całe szczęście, że właściciel mieszkania wyjechał na rok. Nie trzeba było się tłumaczyć. Postanowił załatwić wymianę szyb jak najszybciej. W końcu za jakiś czas przyjdzie jesień.

Wziął prysznic, ubrał się i wszedł do pokoju. Pościelił łóżko i spojrzał na komórkę. Ma zadzwonić do tego Kellera? Przedstawi mu się jako chłopak Magdy Frank? Cholernie głupia sytuacja. Postanowił poczekać. Obiecał ciotce, że przyjdzie. Przynajmniej da mu jakieś śniadanie. Była ósma czternaście. Najwyższy czas. Na Jagodno powinien dotrzeć w jakieś dwadzieścia do trzydziestu minut, zależy jak autobus podpasuje.

Niedługo czekał na przystanku. Za dwadzieścia dziewięta był już przed drzwiami mieszkania państwa Gawlików.

- Maciek, no nareszcie. Wchodź. - Barbara Roszak wciągnęła go do mieszkania i

uściskała. Nie było łatwo. Był od niej o głowę wyższy. - Nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiłam. Rodzicom nic nie mogłam powiedzieć, bo Adam zabronił. - Mówiła półgłosem, co Maćka zaskoczyło. - Wszystko sama musiałam dźwigać. Całe szczęście, że już po wszystkim.

- A o wujka się ciocia nie martwiła? - Wszedł za nią do pokoju stołowego.

- Wujek z nie takich kłopotów kiedyś wychodził. Ale pewnie, martwiłam się, a co ty myślisz. Ale ty Maciuś, to co innego. Chociaż, muszę przyznać - zmierzyła go od stóp do głów - zmeźniałeś w tej Afryce. Teraz to już z ciebie prawdziwy mężczyzna.

- A wcześniej to co, baba byłem? - udał obruszonego.

- Siadaj. Zrobię ci coś do jedzenia.

- Czemu ciocia tak cicho mówi? Dzieciaki jeszcze śpią? - Popatrzył na zegarek. - Trochę długo.

- A co ty. Franek w przedszkolu, a Michałek z Kasią w szkole. Wujek śpi. Przyjechał w nocy. Niespodziankę nam zrobił i wrócił wcześniej. Niech sobie chłopisko odpocznie.

- To Adam już jest?

Zauważyła, że Maćka ta informacja wyraźnie poruszyła.

- A coś ty taki rozgorączkowany? Spokojnie, jeszcze sobie zdążycie pogadać.

- Kurczę, ciociu, nie wiem, czy zdążymy.

- Co się stało? - kobieta się zaniepokoiła.

- Czekam na wujka jak na zbawienie. Nie wiem co robić. Jak on nie pomoże, to...

- Maciek, ale co się stało? Mówże wreszcie. - Przysiadła na krześle. - Chyba się nie wpakowałeś znowu w jakąś awanturę?

- Skąd. Ja nie. Ale Magda zaginęła.

- Twoja Magda?

- Poszła na jakiś casting do filmu, z jakimś kolegą, i nie wróciła do domu. Już trzeci dzień, jak jej nie ma.

- Spokojnie, Maciuś. Trzy dni to jeszcze nic nie znaczy. Różne rzeczy się dzieją. Może wszystko niedługo się wyjaśni. A ten kolega, co z nim poszła, to co? Też zaginął?

- Nie. Policja z nim rozmawiała. Podobno bardzo się przejął. Wyszedł z hotelu wcześniej, bo to w hotelu był ten casting. Holiday Inn.

- Naprawdę, Maciuś, nie ma co panikować. Z tego co słyszałam, większość ludzi się odnajduje. Jakies zaśląbnienia, niegroźne wypadki albo zwyczajnie przypadki losowe. Będzie dobrze. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Poczekaj, zaraz cię nakarmię.

W drzwiach stanął Adam. Miał na sobie spodnie od dresu i koszulkę z krótkim

rękawem. Przetarł dłonią twarz.

- I kogóż my tu mamy? - zakrzyknął pogodnie. - Nasz bohater. Jak tam w Afryce sobie bez ciebie teraz poradzą, chłopie? - Maciek otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Gawlik nie dał mu dojść do słowa. - Wiktor mówi, że na ludzi wyszedłeś. Jak jest?

- Magda zaginęła - powiedział wreszcie student.

- Co?

- Magda. Już trzy dni, jak do domu nie wróciła.

- To wy se pogadajcie. Ja zadbam o wasze chłopskie żołądki.

Barbara wstała i poszła do kuchni. Gawlik popatrzył za nią, a następnie przeniósł wzrok na Maćka.

- Skąd nie wróciła?

- Z castingu do filmu. Z jakimś kolegą poszła. On wyszedł wcześniej, ona jeszcze została i ślad się urywa. Policja szuka, obdzwonione szpitale i w ogóle. Rozmowy z ludźmi, którzy ją widzieli. Nic kompletnie. Jej matka załamana jest totalnie. Z ojcem nie rozmawiałem, ale też pewnie nie lepiej.

- Jezu, Maciek. Ty to masz, cholera, szczęście. Jak nie urok, to sraczka. Można by powiedzieć, że kłopoty to twoja specjalność.

- Ciocia mówi, żeby nie panikować.

- Tak mówi? I ma racje. Z panikowania nigdy nie ma nic dobrego.

- To co, kurczę, czekać? Nic nie robić? A jak jej się coś stało?

- Casting, mówisz. - Adam zamyślił się. - Ten jej kolega też zaginął?

- On nie. Wyszedł jakoś wcześniej. Policja już go przepytala. Podobno przejął się gościu.

- Nie wkurza cię, że jakiś kolega koło Magdy się plątał?

- Daruj sobie, wujek. Nie pora na takie gadki - spochmurniał student.

- Masz na niego jakiś namiar? Nazwisko, telefon?

Maciek wyciągnął zmiętą karteczkę, którą dostał od Krystyny Frank, i podał Adamowi.

- Nazywa się Bartosz Keller. Chcesz do niego dzwonić?

- No. - Gawlik przyjrzał się numerowi, jakby czegoś w nim szukał.

- Można spytać po co?

- Można - odpowiedział Maćkowi bezczelnie i wyszedł do przedpokoju.

- Możesz dzwonić z mojej komórki - zawołał chłopak i wyszedł za nim.

- Nie. Stacjonarny mu się nie wyświetli. Jeszcze nie wiemy, czy facet jest czysty.

- Co znaczy „nie wiemy, czy czysty”?

Gawlik puścił pytanie mimo uszu. Poczekał na połączenie. Kiedy usłyszał głos odbierającego, przedstawił się.

- Tu komisarz Olgiert Halski. - Gawlik spontanicznie posłużył się nazwiskiem bohatera popularnego serialu *Ekstradycja*. - Czy rozmawiam z panem Bartoszem Kellerem?

- Tak, słucham. Czym mogę służyć, panie komisarzu? - padła życzliwa odpowiedź.

- W sprawie Magdaleny Frank. Chciałbym panu zadać kilka pytań. Możemy się spotkać?

- Naturalnie. Chętnie odpowiem. Bardzo bym chciał jakoś pomóc. Mam nadzieję, że Magda się szybko znajdzie. - Brzmiał na przejętego. - Proszę powiedzieć, gdzie i kiedy. Jestem do dyspozycji.

- Albo ja osobiście, albo mój partner się z panem skontaktuje i jakoś się umówimy. Proszę na razie nie opuszczać Wrocławia.

- Oczywiście, panie komisarzu. Będę czekał na telefon.

Gawlik odłożył słuchawkę. Spojrzał na Maćka przeciągle.

- I co? - spytał student.

- Nie podoba mi się ten facet.

- Bo?

- Bo był zbyt chętny do współpracy.

- To źle?

- Policja już go pewnie przesłuchała w tę i z powrotem. Normalny człowiek by się wkurzył, że go znowu ciągną. A on aż się palił do spotkania.

- Może rzeczywiście się przejął.

- Może.

- Śniadanie gotowe - zawołała Basia z kuchni.

Usiedli przy stole. Adam się nie odzywał. Coś analizował. Kobieta postanowiła przerwać niezręczną ciszę.

- Maciuś, opowiedz, jak to tam w tej Afryce było.

- Ciociu, co ja tej Afryki widziałem. Siedziałem cały czas na terenie kopalni. Nie wolno było wyjeżdżać, bo w Kongo teraz jest bardzo niebezpiecznie. Uzbrojone bandy grasują. Raz tylko zrobiliśmy wypad do misji katolickiej.

- To musiałeś się tam strasznie nudzić. Tyle tygodni...

Maciek przeżuwał pyszną, warzywną kanapkę.

- O nie. Zawsze było coś do roboty. Poza tym ochroną kopalni zajmowali się

profesjonalni żołnierze. Uparli się, żeby zrobić ze mnie jednego z nich. Nawiasem mówiąc na wyraźną prośbę wujka. - Gawlik nie zwracał najmniejszej uwagi na ich rozmowę. Był pochłonięty myślami. - Nie miałem czasu się nudzić.

- Biedaku, to cię pewnie nie oszczędzali ci wojskowi.

- Nie było tak źle.

- Maciek, posłuchaj - włączył się Gawlik. - Jak zjesz, to idź do domu. Oczekaj parę godzin i umów się z tym Kellerem. Daj mi znać, gdzie i kiedy. Tak na wszelki wypadek. Wybadaj gościa.

- Mam się podawać za policjanta?

- Chyba lepiej będzie. Jak powiesz, kto jesteś naprawdę, to może nie chcieć się z tobą spotkać.

- A jak będzie chciał zobaczyć moją legitymację?

- Wątpię. Facet garnie się do współpracy. Nie sądzę. W razie co, coś mu nakłamię.

- Dobra.

Maciek kończył śniadanie.

Adam wyszedł do przedpokoju. Na komórcie odnalazł dobrze sobie znany numer. Ze słuchawką przy uchu poczekał na zgłoszenie się abonenta.

- Co jest? - Jasiu brzmiał jakby coś właśnie przeżuwał.

- To, co zwykle - powiedział Gawlik bez wstępów. - Informacji potrzebuję. Trzeba kogoś sprawdzić.

- No?

- Nazywa się Bartosz Keller. Jest z Wrocławia, a przynajmniej tu od jakiegoś czasu przebywa.

- Czego mam szukać?

- Czy nie jest w coś umoczony. Rozumiesz, jakieś ciemne interesy, kontakty kryminalne, takie tam sprawy.

- Popytam. Na kiedy?

- Na wczoraj, niestety.

- Będzie ekspres. Płatne ekstra.

- Rozumie się.

- Niedługo się odezwę. Bądź pod telefonem.

- Dobra.

Jasiu swoim zwyczajem rozłączył się bez słowa pożegnania.

Barbara od dłuższej już chwili nie wychodziła z pokoju dzieci. Adamowi dało to do



myślenia. Zostawił studenta przy stole i poszedł do niej. Uchylił drzwi i włożył głowę. Żona prasowała dzieciakom ubrania. Po jej minie od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Nawet na niego nie popatrzyła. Bardzo starannie układała ubrania na łóżku Franka. Trochę za bardzo starannie jak na jego gust.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Odłożyła gorące żelazko i spojrzała mu w oczy.

- Znowu cię nie będzie? - spytała, choć znała odpowiedź doskonale.

- Krótko i ten jeden ostatni raz.

Usiadła. Pociągnęła go, żeby usiadł koło niej.

- Ciągle naprawiasz świat - powiedziała, patrząc w podłogę. - A gdzie tu jest miejsce dla nas? Masz przecież rodzinę.

- Ktoś mu musi pomóc.

- Zgadzam się - odparła bez wahania. - Od tego jest policja. Ja naprawdę bardzo Maćka lubię, ale dlaczego ty znowu musisz się w to pakować?

- Może wcale nie muszę. Może dziewczyna zabalowała i jutro wróci do rodziców. - Próbował ją udobruchać. - Nie ma co zakładać najgorszego.

- Najgorszego? To znaczy czego?

- Że ją na przykład porwali.

- Maciek nic nie mówił, że ktoś się zgłosił z żądaniem okupu.

- No właśnie. Czyli wszystko może się dobrze skończyć.

- Może. A jak nie?

Tym razem Gawlik spuścił głowę.

- Wtedy zrobię dokładnie to, co mi powiesz - powiedział stanowczo. Podniósł na nią wzrok. - Jesteś dla mnie najważniejsza. Ty i dzieci. Powiesz: „zostań w domu”, zostanę bez szemrania.

Pogładziła go wierzchem dłoni po policzku.

- Eh, Gawlik, Gawlik. Co ja z tobą mam. Całego zła na świecie i tak nie naprawisz.

- Pewnie nie. Ale to jest jak z tą dziewczynką na plaży.

- Z jaką znowu dziewczynką?

- Tysiące małych żółwików z miejsc lęgowych próbowało dostać się do morza, gdzie będą bezpieczne. Po drodze cała masa drapieżników urządzała sobie z nich ucztę. Dziewczynka biegała tam i z powrotem i wrzucała pojedyncze żółwiki w morze. Ktoś ją spytał, po co to robi. Przecież i tak giną setkami. Te kilka żółwików to żadna różnica. Odpowiedziała, że dla tych kilku to ogromna różnica.

Basia westchnęła.

- Jakby doszło co do czego, to będzie niebezpieczne?

- Raczej czasochłonne. Nie ten kaliber akcji.

Wstała i wzięła żelazko do ręki.

- Idź. Maciek nie będzie przecież sam tak siedział. - Położyła na desce kolejną część dziecięcej garderoby. - Zaraz do was przyjdę.

Pocałował ją czule w głowę.

\*

Tymczasem Bartosz Keller też nie próżnował. Obdzwonił komendy. Nikt nie słyszał, żeby komisarz Halski pracował we Wrocławiu. Podejrzewano nawet, że ktoś robi sobie głupie żarty. To dało Kellerowi do myślenia. Sprawą zaczął się interesować jakiś bliżej nieokreślony człowiek, może prywatny detektyw, który może sprawiać kłopoty. Trzeba będzie raz na zawsze zniechęcić go do wciskania nosa w nie swoje sprawy. Może obejdzie się bez konieczności pozbycia się ciała w gaszonym wapnie. Może będzie wystarczyła solidna perswazja. Zobaczy się. Czekał na kolejny kontakt. Nie miał wątpliwości, że takowy nastąpi i to już niebawem.

Nie mylił się. Maciek zadzwonił, tak jak mu wuj kazał. Z umówieniem spotkania nie było naturalnie żadnych problemów. Tyle tylko, że to Bartosz Keller wyznaczył miejsce - niewielki dom na obrzeżach Wrocławia. Maciek nie sprzeciwił się. Nie chciał człowieka spłoszyć. Sprawdził dojazd na planie miasta. Dojeżdżał tam tylko jeden autobus. Do samej pętli i jeszcze trochę piechotą. Da radę.

Gawlik kazał mu być ostrożnym i w razie co nie bawić się w Jamesa Bonda, tylko spieprzać, ile sił w nogach. Adam z jednej strony miał nadzieję, że Keller ma coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyny i będzie można „skłonić” go do gadania, lecz z drugiej strony bał się o chłopaka. Jeżeli mają do czynienia z gangsterem, Maciek może znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jednak nie było innego sposobu sprawdzenia faceta. Razem nie mogli pójść, bo mógłby zacząć coś podejrzewać, a wtedy ewentualny trop diabli biorą, o ile takowy w ogóle wchodził tu w grę. Musieli zaryzykować.

Maciek bez większego trudu odnalazł adres. Dom wyglądający jeszcze na ponemiecki stał trochę na uboczu. Zaniehbany ogród wokół nie za bardzo zachęcał do wejścia na teren posesji. Na tyłach stał samochód. Widać było tylko jego tył, ale Maciek rozpoznał markę - BMW. Obok ciężki motocykl. Widać człowieka, z którym miał się spotkać, nie stronił od luksusu. Ciekawe, czy był też właścicielem tego ponurego, ale posiadającego swój specyficzny urok, domu.

Drzwi otworzył mu wysoki, młody człowiek z klasyczną fizjonomią kryminalisty.

Typowe mongoloidalne rysy twarzy zdradzały solidne braki intelektualne i pociąg do brutalnej, często bezmyślnej przemocy.

- Jestem umówiony z Bartoszem Kellerem. - Maciek starał się przybrać służbowy ton.  
- Przysłała mnie komisarz Halski.

Kryminalista wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A co mnie to obchodzi. Jak już żeś przylazł, to włącz”. Otworzył szerzej drzwi.

- Prosto - burknął, wskazując korytarz prowadzący do podpiwniczenia.

Zeszli po schodach. Na dole znajdowała się przestronna sala bilardowa. Trzech mężczyzn zajętych było grą. Dwóch o podobnej posturze i wyglądzie jak „odźwierny”. Trzeci się wyraźnie wyróżniał. Miał na sobie skórzaną, czarną kurtkę. Jego długie, ciemne włosy przykrywały kołnierz. Wyprostował się znad stołu i oparł kij o krawędź. Zmierzył Maćka wzrokiem.

- Podkomisarz Andrzej Kowalski - przedstawił się student. - Komenda Wojewódzka. Jestem umówiony z panem Bartoszem Kellerem. To pan? - zwrócił się do człowieka w skórze.

- To ja.

Keller przyglądał mu się z wyraźnym zainteresowaniem, jak wyjątkowo ciekawemu przedstawicielowi świata zwierzęcego. Maciek poczuł się nieswojo. Nie tego się spodziewał.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie Magdaleny Frank. Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

- Tutaj. Ale to ja zadam parę pytań tobie, nie ty mnie.

- Nie rozumiem.

- Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno nie gliną. Zaraz się wszystkiego o tobie dowiemy, kochasiu. Sam wybierzesz. Albo po dobroci, albo znajdziemy trochę boleśniejszy sposób. To jak będzie? Gadasz czy chłopaki mają ci pomóc?

Gracze odłożyli kije i obchodząc stół, zaczęli się do Maćka zbliżać. Ten, który mu otworzył drzwi frontowe, stał z boku gotowy do działania. Chłopak odruchowo napiął mięśnie. Wyglądało na to, że nadszedł czas sprawdzenia lat szkoleń u Gawlika i miesięcy niemal morderczych treningów w Afryce pod okiem Siergieja, Jonasa i Amira.

- Gdzie jest Magda? - warknął Maciek.

Wiedział, że w tej chwili nie ma już nic do stracenia. Keller okazał się sprytniejszy niż myśleli.

- Tu cię boli. To ty pewnie jesteś ten jej były przydupas. Coś mi wspominała o tobie. Oczywiście po tym, jak mi obciągnęła. Niezła jest w tych sprawach.

Maciek się zagotował. Miał ochotę skoczyć mu natychmiast do gardła. Cudem się powstrzymał. Przypomniawszy sobie to, co mówił mu wuj i żołnierze w Kongo. „Stracisz panowanie nad sobą, przegrasz. Koncentracja przede wszystkim”. Miał do czynienia z trzema potencjalnymi przeciwnikami. Nie sądził, żeby Bartosz Keller chciał się angażować w ewentualną bójkę.

- Gdzie Magda? - Student powtórzył pytanie dobitniej.

- Gdzie? Powiem ci. Co mi tam. I tak już długo nie pożyjesz. Sprzedałem ją. Pewnie teraz jest już w jakimś burdelu. Używają sobie z twoją Magdą. Nago, muszę przyznać, prezentowała się imponująco.

- Zapłacisz za to - wycedził Maciek.

Bartosz Keller zniecierpliwiał się. Skinął głową na kumpli. Doskoczyli do chłopaka. Nie przewidzieli tylko, że nie mają do czynienia ze zwykłym zjadaczem chleba, który na sam ich widok powinien struchleć ze strachu. Maciek Burdzik szkolił się u najlepszych. Szczególnie intensywnie podczas swojego pobytu w Kongo. Bandzior, choćby najbardziej bezwzględny i pewny siebie, nie mógł się z nim równać. Nawet trzech oprychów w sprzyjających okolicznościach nie powinno stanowić problemu. A sprzyjające okoliczności były - zaskoczenie. Nie spodziewali się większego oporu i to ich zgubiło.

Pierwszy dostał kopnięcie w podbrzusze, co wyeliminowało go na kilka długich sekund. Wystarczyły do zadania ciosu kantem dłoni w szyję drugiego, który runął nieprzytomny na podłogę. Trzeci zaatakował z boku, wypuszczając uderzenie pięścią. Maciek odchylił głowę do tyłu, pięść „odźwiernego” przeszła powietrze. Chłopak pociągnął go za rękaw i łokciem wymierzył mu cios w podbródek. Każdy bokser wie, że cios taki powoduje wstrząs, który posyła przeciwnika na deski. Kwestia precyzji. Z tym akurat Maciek Burdzik nie miał problemów. Jeszcze tylko podskok dla lepszego zamachu i podbicie stopy studenta zmiotło głowę prostującego się oprycha numer jeden. Poleciał na plecy i rąbnął potylicą o parkiet. Już się nie podniósł.

Kiedy Maciek spojrział na Kellera, zobaczył, że mierzy on do niego z pistoletu. Ręka mu nie drżała. Widać umiał obchodzić się z bronią.

- Pięknie, panie Bruce Lee. A co powiesz na to? Rączki.

Maciek uniósł dłonie do góry. Oceniał odległość. Za duża. Amir uczył go, jak sobie poradzić w takiej sytuacji, ale Bartek stał za daleko.

Chłopak podniósł ręce wyżej i wtulił głowę w ramiona. Wykrzywił twarz, starając się nadać jej wyraz strachu.

- Dobra, już dobra. Nie strzelaj - mówił jęklwym głosem. - Powiem wszystko, tylko

mnie nie zabijaj. Proszę, błagam.

Zaczął się kulić, by brzmieć przekonująco. Łypał okiem na Bartka. Widział, jak się rozluźnia. Keller ewidentnie poczuł się panem sytuacji.

- Co ty, kurwa, kutasie, do mnie z tym swoimi sztuczkami?! - wykrzyknął. Maciek skulił się jeszcze bardziej. - Z czym do ludzi, pedałku. Pewnie, że powiesz, a potem zastanowię się, co z tobą zrobić. Rozumiesz, ciulu bosy?

- Tak, proszę pana - stęknął student.

Bartosz Keller wciąż nie ruszał się z miejsca.

- To teraz na kolana! Już!

- Nie mogę - odpowiedział Maciek zmienionym głosem. Liczył na to, że niespodziewanym oporem sprowokuje przeciwnika. Nie przeliczył się.

- Coś ty, kurwa, powiedział? - Keller zrobił krok w jego kierunku. - Mam ci pomóc?

Wymierzył na wyprostowanej ręce w głowę Maćka. To wystarczyło. W tym momencie nastąpiło coś, co wprawiło przestępcę w totalne osłupienie. Maciek zaatakował błyskawicznie. Amir Perez byłby dumny z poczynań swojego niedawnego ucznia. W ułamku sekundy Bartosz Keller został pozbawiony broni i sam stał się celem. Zdębiały gapił się na studenta, który mierzył do niego, fachowo trzymając pistolet w obu dłoniach. Maciek nie strzelił. Jednym ruchem palca wypuścił magazynek na podłogę i rzucił broń za siebie.

- Teraz mamy równe szanse - powiedział przez zęby. - Pedałku. Boisz się?

Keller zaatakował bez ostrzeżenia. Rzucił się do przodu całym ciałem. Chciał go powalić na podłogę swoim ciężarem. Miałby wtedy jakieś szanse w starciu z człowiekiem obeznanym ze sztukami walki. Wydawało mu się, że zaskoczy Maćka. Wciąż jednak nie do końca zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Kilka lat szkoleń u Gawlika i fachowa opieka ludzi z najlepszych jednostek specjalnych na świecie nie pozostawiały wątpliwości, kto tu musi być górą. Maciek odsunął się niczym torreador przed szarżującym bykiem. Keller złapał powietrze i poleciał głową do przodu. Zanim padł na podłogę jak długi, dostał solidne uderzenie w tył głowy. Solidne i bolesne, lecz zadane z wyczuciem. Burdzik nie chciał tak od razu pozbawiać go przytomności.

Keller gramolił się na nogi dobre kilka sekund. Wstał. Widać było, że nie zamierza rezygnować. Podniósł pięści na wysokość głowy. Maciek założył ręce na brzuchu. Ten człowiek nie stanowił już dla niego praktycznie żadnego zagrożenia.

Keller wyprowadził zaskakująco szybko cios prawym prostym. Niestety dla niego, nawet jego ponadprzeciętna szybkość (musiał mieć kiedyś co nieco do czynienia z boksem) okazała się dalece niewystarczająca. Maciek chwycił go za przedramię swoją lewą ręką,

pociągnął do siebie, wykorzystując impet ciosu, i prawym łokciem uderzył w twarz. Bartosz zachwiał się i złapał za policzek. Siniak pod okiem pojawił się natychmiast. Okolice lewego oka z każdą sekundą puchły coraz bardziej. Wkrótce widział już tylko na prawo. Nie poddawał się. Był zdecydowany walczyć do końca, który zresztą coraz bardziej się przybliżał. Kopnięcie jak strzał bicia wylądowało na jego splocie słonecznym. Zgiął się wpół bez tchu. Kolejne, silne kopnięcie w bok głowy posłało go na podłogę. Pojedynek się zakończył. Bartosz Keller leżał nieprzytomny.

Maciek poczuł wibracje telefonu komórkowego w tylnej kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał.

- Maciek, wypierdalaj stamtąd - usłyszał podniecony głos Gawlika. - Ten koleś to handlarz żywym towarem. Właśnie dostałem cynk. Jak coś zwącha, to cię rozwali. Wykpij się czymś i wynoś się. Ja już jadę.

- Za późno - powiedział Maciek spokojnie.

- Jezu, jak to za późno? Pozwolili ci zatrzymać telefon? Ilu ich jest?

- Czterech.

- Dobra. Graj z nimi na czas. Udawaj, że srasz ze strachu i nie wkurwiasz ich. Postaram się niedługo być.

- Na to też już za późno.

Głos Maćka był beznamiętny.

- Co się dzieje?

- Teraz już nic. Ten Keller szczerzy był. Przyznał się, że Magdę sprzedał. Jego koleś mi nakopał do dupy. On mi pistoletem machał przed nosem. To mu pokazałem, jak to się robi w izraelskich komandosach. Leżą tutaj wszyscy. Chyba żyją, tylko nieprzytomni. - W słuchawce odpowiedziała mu cisza. - Halo, jesteś tam?

- Maciek, ja ci chyba sam do dupy nakopię. - W głosie Gawlika dało się wyczuć, że się uśmiecha. - Osobiście.

- Możesz nie dać rady. Młody jestem. Szybki. I dobry, tak w ogóle.

- Niech cię... kurde.

- To szybko, wujek. Bo zaraz mi się pobudzą.

- Już jadę. Będę za jakieś pięć do dziesięciu minut. Spróbuj ich czymś pozwiązywać.

Tacy goście mają zwykle jakąś taśmę pod ręką. Rozejrzyj się.

Maciek długo nie szukał. Trzy rolki szerokiej taśmy leżały w kącie pomieszczenia. Gawlik miał rację. Byli przygotowani na pobyt ofiary w tym miejscu.

Jeden z oprychów doszedł do siebie podczas związywania i próbował sprząść

kłopoty. Celne uderzenie w okolice skroni pozbawiło go chęci do dalszej walki i przedłużyło stan „błogiego snu”.

Gawlik, wchodząc, zobaczył sprawnie unieruchomionych ludzi z zaklejonymi ustami. Dwóch obudziło się. Patrzyli nienawistnym wzrokiem na swojego pogromcę i jego towarzysza.

- Tych trzech zostawiamy - stwierdził Adam. - Zabieramy Kellera. Pomóż mi go wpakować do bagażnika. Widziałem, że stoi tam jakieś BMW. Pewnie jego. Tym razem pojedzie jako pasażer.

Na zewnątrz było ciemno. Oddalone światło latarni drogowych nie docierało na tył domu. Bartosz Keller wciąż nieprzytomny znalazł się w bagażniku czarnej limuzyny, do której kluczyki na szczęście miał przy sobie.

- Co teraz? - spytał Maciek, gdy już się uporali z ciałem.

- Masz tu moje kluczyki. Jedź do domu i czekaj na mój telefon. Ja z niego wyciągnę, gdzie jest Magda. Wtedy po ciebie zadzwonię.

- Jak to czekaj? - obruszył się student. - Żartujesz chyba.

- Maciek, posłuchaj. Świetnie się spisałeś, ale ja sam z nim chcę pogadać. - Gawlik w żadnym razie nie chciał, by Maciek był świadkiem jego specyficznych metod przesłuchania rodem z Afganistanu. - Rób, co mówię.

- Mowy nie ma. - Maciek ani myślał rezygnować. - Idę z tobą.

- Maciek, do cholery. Normalnie porwana, jeżeli nie zostanie odbita w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to przepada na amen. Tu ten czas już dawno minął, ale jest szansa, że nasi handlarze nie działają tak szybko. Jak będziesz utrudniał, to dziewczyny już nigdy nie zobaczysz.

Student wyszarpnął kluczyki z ręki Gawlika.

- Nie pójdziesz po Magdę beze mnie? - upewnił się.

- Za stary jestem na samodzielne operacje. Teraz spadaj. Każda minuta może się liczyć.

Maciek poszedł przez zaniedbany ogród w stronę furtki. Gawlik odpalił silnik BMW. Musiał jeszcze wpaść po drodze w jedno miejsce. Miejsce, w którym ukrywał „podręczne” przybory. Za najdalej pół godziny będą mieli okazję sobie pogawędzić.

\*

Bartosz Keller obudził się w pomieszczeniu wyglądającym na opuszczoną, niewielką halę fabryczną. Był przywiązany do solidnego, metalowego krzesła. Zza jego pleców wyszedł postawny mężczyzna z czapką typu balaclava na głowie. Młody człowiek odruchowo drgnął

na jego widok. Jego pojawienie się z pewnością nie wróżyło niczego dobrego.

- Wiesz, dlaczego mam na głowie kominiarkę, gnojku? - spytał Gawlik niemal łagodnym tonem.

- Bo jesteś tchórzem? - spytał sarkastycznie Keller.

- Nie. Bo daję ci szansę, żebyś wyszedł stąd żywy. - Gawlik mówił przerażająco spokojnym głosem. - Za chwilę będzie bolało. Bardzo bolało. Powiesz wszystko, co wiesz, a nawet, czego nie wiesz. Jak uznam, że sprawa się przedłuża, to kominiarkę ściągnę i wtedy pójdziesz stąd prosto do piekła. Tak gwoli wyjaśnienia. Żeby nie było niedomówień. - Wyciągnął zza pasa wojskowy nóż. - Wiesz, jak w Afganistanie Mudżahedini sprawiali radzieckich żołnierzy? - Nie czekał na odpowiedź. - Rozpruwali im brzuch i wyciągali powolutku jelita. Przywiązywali i przypalali. Zaraz z tobą zrobię to samo.

- Kurwa! Ja nic nie wiem! - wrzasnął przerażony Keller. - Ratunku! Na pomoc! Pali się!

- Tracisz czas, chłopie - stwierdził Gawlik tym samym nadzwyczaj spokojnym tonem.

- Tu nikt nie usłyszy. Oszczędzaj głos. Zaraz będziesz miał okazję sobie pokrzyknąć.

Rozerwał mu koszulę na brzuchu.

- Kurwa! Powiem wszystko! - Bartek Keller nie zamierzał zgrywać bohatera.

- Jesteś pewny, że mnie to zainteresuje?

- Wiem, gdzie jest Magda Frank.

Gawlik odczekał chwilę.

- Nie przekonałeś mnie.

Zaczął powoli wiercić ostrzem dziurę w podbrzuszu ofiary. Popłynęła strużka krwi.

- Jezu! Czekaj! Jak mnie puścisz, to cię zaprowadzę.

- Wciąż mnie nie przekonałeś.

Ostry jak brzytwa nóż wbijał się coraz głębiej. Keller krzyczał na całe gardło.

- Przestań! Rany boskie! Powiem, gdzie jest!

Gawlik odsunął ostrze od ciała młodego człowieka i wbił w niego wzrok.

- Myślę, że masz ostatnią szansę. Nie zmarnuj jej.

Bartek dyszał ciężko.

- Pod Zieloną Górą jest taka willa na uboczu pod lasem. Wioska nazywa się Rędziny. Nie sposób nie znaleźć. Tam wszystkie dziewczyny trzymają, sprawdzają i wywożą do burdeli na Zachód albo sprzedają Arabusom. Dom jest zaraz przy drodze, przy wjeździe do wsi. Pierwszy. Wygląda jak góralski. Od razu widać. Nie wiem, czy ta twoja laska jeszcze tam jest, bo się podobała, ale tam się dowiesz, gdzie ją wysłali. Musisz pytać Pektusa. On



rządzi interesem. Stary, łysawy, przysadzisty facet. Tylko nie mów, że ja ci powiedziałem.

Gawlik rozejrzał się po hali. Podniósł kawałek deski i założył na nią stalową obręcz, na której migąło zielone światelko. Obręcz zacisnęła się na desce, miażdżąc drewno. Odblokował urządzenie i jednym ruchem założył je na szyję Bartka.

- Co to, kurwa, jest? - wyjęczał Keller przerażony - Przecież ci wszystko powiedziałem.

- Moja gwarancja, że nie robisz mnie w konia. Poczekasz tu na mnie, aż wrócę. Jak będziesz darł mordę, to... - Adam pokazał wzrokiem zniszczoną deskę. - Mechanizm jest bardzo czuły, więc lepiej nic nie gadaj.

Następnie Gawlik przyczepił do nogi krzesła coś, co wyglądało na bombę zegarową domowej roboty. Detonator ustawił na dwanaście godzin opóźnienia i uruchomił. Czas zaczął płynąć.

- A to? - Młody człowiek drżał na całym ciele.

- Materiał wybuchowy. Jak o czymś mi zapomniałeś powiedzieć, to nie wrócę. Sam się domyśl, co się wtedy stanie.

- Kurwa, wszystko ci powiedziałem - wyjąkał Keller.

- To się nie masz czego bać. Jeszcze mi się możesz przydać.

- A jak mi się łać zechce? Albo srać? Mam w pory walić?

Gawlik roześmiał się.

- Dobrze. Dobrze - powiedział. - Masz, chłopie, poczucie humoru. Na razie.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia z hali. W pierwszej chwili Bartek chciał za nim krzyknąć, ale w ostatnim momencie powstrzymał go metalowy chłód obręczy na szyi. Przełknął ślinę. Gardło miał wysuszone na pieprz. Nie wiedział, że bomba przyczepiona do krzesła to zwykła atrapa, zupełnie niegroźna w normalnych warunkach. Jednak obecne warunki trudno było nazwać normalnymi.

Kiedy Gawlika już nie było, „bomba” zaczęła syczeć. Keller wpadł w panikę. Lada chwila spodziewał się wybuchu, który rozerwie go na strzępy. Przerażony zaczął się szarpać na krześle. Jednak, ku jego zdziwieniu, wybuch nie nastąpił. Usłyszał tylko kilka głośnych trzasków i zapadła cisza. Odetchnął z ulgą. Był spocony. I wtedy poczuł na szyi zaciskającą się powoli obręcz. Zdążył tylko zdać sobie sprawę z tego co się właśnie stało. Głośnie trzaski uruchomiły mechanizm. Nie mógł już krzyczeć. Gardło miał ściśnięte w metalowym uchwycie. Po chwili stracił możliwość oddychania. Tchawica była sukcesywnie miażdżona. Bartosz Keller umierał jeszcze przez ponad minutę.

Maciek wsiadł na miejsce pasażera. Gawlik dotrzymał słowa. Zabierał go ze sobą. Adam rzucił mu na kolana pistolet, który jeszcze nie tak dawno był własnością Bartosza Kellera.

- Nie zostawia się takich rzeczy za sobą - powiedział z wyrzutem w głosie. - Pełno tam było twoich odcisków palców.

- Przepraszam, nerwy.

- Schowaj go. Może będziesz potrzebował.

Maciek wsunął broń za pasek z tyłu.

- Gdzie jedziemy?

- Pod Zieloną Górą mają chyba punkt przerzutowy. Jest jakaś szansa, że twoja Magda tam jeszcze będzie.

- Pewnie będzie obstawa. - Student patrzył przed siebie. Jego wuj łamał chyba wszystkie przepisy drogowe. - Mogą mieć giwery.

- To będziesz miał okazję, żeby się wykazać. Wiktor mówił, że dobry jesteś. Zobaczymy.

Maciek nie odpowiedział. Myślał w tej chwili o Magdzie. Czy faktycznie ją tam znajdą? Czy uda się ją uwolnić?

- A jak jej już tam nie będzie?

- Widzę, że optymista jesteś. - Adam rzucił mu karcące spojrzenie. - To wtedy się dopiero będziemy martwić. Na razie się skup. Trzeba będzie paru gości załatwić. To na pewno. Pod nogami masz sprzęt. Wiktor mówił, że umiesz się tym posługiwać?

Maciek opuścił wzrok. Zobaczył wciśniętą w przestrzeń przed fotelem czarną torbę podróżną. Otworzył. Znalazł w środku miniaturową kuszę, dwa noże wojskowe i złożoną saperkę.

- Z kuszą nic nie robiłem. Z saperką nie problem. W Kongo był jeden Rosjanin ze Specnazu. Siergiej. Nauczył mnie.

- To dobrze, bo strzelać będziemy tylko w ostateczności. Nie miałem tłumików pod ręką. - Gawlik ani na moment nie zwalniał. Wyprzedzał na trzeciego. Jechał brawurowo, ale pewnie. - Jeszcze jedno. Robisz dokładnie co mówię. Żadnych „ale”. Rozumiesz?

- Jasne. Jak w Afryce. Bo inaczej ktoś przeze mnie zginie.

- Dokładnie. Widzę, że ci Wiktor wbił parę ważnych rzeczy do łba.

Przed Zieloną Górą skręcili w boczną drogę prowadzącą przez las. Było dokładnie tak, jak opisał Keller. Stylizowana na góralską willa wyłoniła się za drzew. Była doskonale widoczna mimo ciemności. Teren posesji od frontu, jak i sam budynek, był solidnie

oświetlony.

Gawlik wycofał samochód. Zaparkował w lesie kilkaset metrów dalej, tak by był niewidoczny dla przejeżdżających drogą aut. Przebrali się w czarne ubrania. Adam wysmarował Maćkowi policzki. Sobie zrobił to samo.

- Jak w filmach sensacyjnych - skomentował chłopak.

- Może. Ale przynajmniej nikt cię nie zobaczy.

Podobnie jak wuj, Maciek włożył pistolet za pas, przypiął nóż do przedramienia i zakrył rękawem. Nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać. Następnie chwycił mocno rękojeść saperki. Gawlik podał chłopakowi miniaturowe urządzenie ze słuchawką na kabelku skręconym w sprężynę.

- To co?

- Założ. Będziemy cały czas w kontakcie.

Maciek włożył słuchawkę do ucha i poprawił małe mikrofon przy ustach.

Obserwowali dom przez kolejne dwie godziny. Przez okna i na zewnątrz naliczyli pięciu ludzi, których trzeba będzie „uciszyć”. Około trzeciej nad ranem światła w większości pomieszczeń pogasły. Był to doskonały moment na wejście. Ludzie wewnątrz poszli spać. Na nogach pozostało dwóch mężczyzn. Przechadzali się leniwie po posesji. Rozmawiali półgłosem i palili papierosy. Byli uzbrojeni w krótką broń maszynową. Maciek i Gawlik nie musieli się do nich zbliżać. Zrobili trochę hałasu. Dwa celne strzały z kuszy załatwiły sprawę, w momencie kiedy ochroniarze zbliżyli się do pogrążonego w mroku ogrodu, by sprawdzić, co się dzieje. Ciała zostały odciągnięte w miejsce, gdzie nie dochodziło światło. Pozostało jeszcze co najmniej trzech w środku, plus ewentualni inni, których nie udało im się wypatrzeć. Musieli działać szybko.

Z dostaniem się do wewnątrz nie było problemów. Drzwi pozostawiono otwarte. Najwidoczniej nikt tu nie przewidywał żadnego poważniejszego zagrożenia. W hallu nie zastali nikogo.

- Magda powinna być na górze - szepnął Gawlik. - Ja zrobię porządek tutaj.

Maciek, starając się stąpać jak najciszej, poszedł na piętro. Gawlik wpadł do salonu i błyskawicznie ocenił sytuację. W fotelach siedziało dwóch osiłków i nieduży, korpulentny człowieczek wyglądający na ich szefa. Na widok zamaskowanej czarnej postaci osiłki poderwały się i obydwoj sięgnęli po broń. Wojskowy nóż przeciął powietrze i wbił się do połowy ostrza w pierś osiłka numer jeden. Osilek numer dwa zatrzymał dłoń na kaburze. Patrzył w wymierzoną w siebie lufę Glocka. Był zaskoczony szybkością, z jaką pistolet znalazł się w ręku intruza. Nie zamierzał ryzykować ruchu, który ten człowiek mógł uznać za

niewłaściwy. W pewnych środowiskach nie ma bohaterów.

- Siadaj. - Gawlik wypowiedział te słowa niskim, grobowym głosem. Nie krzyczał, jak to często w takich sytuacjach bywa. Tym bardziej wywierał piorunujący efekt na obecnych. Osilek opadł posłusznie z powrotem na fotel. - Pistolet w dwa palce i do mnie.

Mężczyzna wykonał polecenie. Korpulentny facet łypał na przybysza sprytnymi oczkami. Można w nich było wyczytać strach, ale nie panikę. Gość czekał, aż sytuacja się uspokoi, by podjąć ewentualne negocjacje, do czasu, kiedy zejść jego ludzie z góry i skutecznie zajmą się nieproszonym gościem. Jeszcze nie wiedział, że przybysz nie działa sam.

Tymczasem Maciek miał do sprawdzenia cztery pomieszczenia na piętrze. Z najbliższego dochodziły damskie pojękiwania. Nacisnął klamkę i pchnął lekko drzwi. Zobaczył coś, czego się właściwie spodziewał. Stojący tyłem do wejścia potężny, zupełnie nagi mężczyzna, poruszał miarowo biodrami w przód i w tył. Przed nim klęczała oparta na łokciach naga kobieta. Nie zauważyli jego wejścia. Maciek zorientował się, że mężczyzna, sądząc po posturze, musi być jednym z bandziorów zajmujących się ochroną przybytku. Nie czekał. Szybkie uderzenie w potylicę amatora erotycznych wrażeń natychmiast pozbawiło go przytomności. Facet padł jak ścięte drzewo. Jeszcze dwa sprawne cięcia ostrzem saperki i ścięgnię Achillesa delikwenta zostały przecięte. To na wypadek, gdyby obudził się w niewłaściwym momencie i chciał sprawiać kłopoty. Teraz z pewnością nie będzie w stanie stanąć na nogi. Kobieta odwróciła głowę. Otworzyła usta, by krzyknąć, lecz powstrzymał ją wymierzony w nią palec wskazujący zamaskowanej postaci, podczas gdy drugi znajdował się na widocznych w otworze kominiarki ustach. Nakazywał jej bezwzględną ciszę. Dziewczyna nie odważyła się nawet drgnąć. Wydawała się być unieruchomiona w pozycji, w której ją zastał.

- Nie zabijaj mnie - wyjąkała. - Ja nie jestem z nimi. Porwali mnie. Zmuszają mnie do... - Wydawała się być zbyt skrepowana, by dokończyć.

Maciek odsunął miniaturowy mikrofon daleko od ust, żeby Gawlik nie myślał, że mówi do niego.

- Załóż coś na siebie - powiedział do niej szeptem. Zeskoczyła z łóżka i chwyciła części garderoby, którymi przykryła piersi i biodra. - Kto jest w tych drugich pokojach?

- Naprzeciwko jeszcze jeden taki. - Ruchem brody pokazała leżącego. W dwóch trzymają dziewczyny. Jak się jakiś klient pojawi, to go tam prowadzą. Dziewczyna musi się nim zająć. Inaczej strasznie biją.

Siedziała na łóżku, przyciskając do wciąż nagiego ciała ubranie jak najdroższy skarb.

- Posłuchaj mnie uważnie. Wracasz do domu. Ja zajmę się tym drugim. Nic ci już nie

grozi. Rozumiesz? - Począł, aż potwierdzi. Pokiwała energicznie głową. - Jest tutaj gdzieś jeszcze jedna dziewczyna, nazywa się Magda Frank. Znasz ją?

- Była, ale zabrali ją rano.

- Zabrali? Kto zabrał? Gdzie?

- Ja nic nie wiem. Przychodzą klienci i jak się dziewczyna podoba, to ją zabierają.

Maciek wypadł z pokoju i kopnął drzwi z przeciwka. Kolejna naga kobieta leżała na brzuchu przywiązana za ręce i nogi do łóżka. Wiła się w próbach wyzwolenia się z więzów. Barczysty mężczyzna trzymał w ręku amatorską kamerę cyfrową. Obchodził łóżko i kręcił film z leżącą na łóżku kobietą w roli głównej. Na widok Maćka rzucił kamerę i skoczył w jego kierunku. Nie miał pod ręką broni, więc widać postanowił załatwić delikwenta w kominiarce gołymi rękoma. Tak by się pewnie też stało, gdyby na miejscu studenta był ktoś inny. Mężczyzna został powstrzymany szybko i skutecznie. Uderzenie saperki spadło na niego jak błyskawica. Upadł na kolana. Z rozplątanej czaszki buchnęła krew.

Przywiązana dziewczyna starała się odwrócić głowę i zobaczyć, co się dzieje. Z uwagi na krępujące ją więzy było to wyjątkowo trudne. Maciek podszedł do wezglowia łóżka. Kiedy go zobaczyła, wydała z siebie okrzyk przerażenia, który natychmiast stłumił, zakrywając jej usta dłonią.

- Uspokój się. Mam cię stąd wyciągnąć. Wracasz do domu. Rozumiesz? Zaraz zabiorę rękę. Nie krzycz, bo narobisz biedy i nigdy stąd nie wyjdiesz. Nie będziesz krzyżeć? - Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Nie była spokojna, ale słowa Maćka do niej dotarły. - Dobra. - Student szybko poprzecinał więzy. - Narzuć coś na siebie i jak powiem, schodzisz na dół. Razem z innymi dziewczynami. Potem uciekacie stąd jak najszybciej.

- Na dole jest jeszcze dwóch, co nas pilnują - wyszeptwała z przestraczem.

- Już nie - odpowiedział Maciek, nie patrząc na nią. Wyjrzał na korytarz. - Mój przyjaciel ich uciszył.

- Uciszył? - Dziewczyna ubierała się w pośpiechu.

Maciek nie odpowiedział. Nacisnął klamkę ostatniego pokoju. Był zamknięty na klucz. Silne kopnięcie na wysokości zamka załatwiło sprawę. W środku znalazł dwie młode dziewczyny. Mogły mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Siedziały w kącie przerażone jak dzikie, bezbronne zwierzątka złapane w pułapkę i obejmowały się. Były do siebie podobne. Wyglądały na siostry. Patrzyły na chłopaka rozszerzonymi strachem oczyma. Widać było, że już zdążyła je tu spotkać jakaś krzywda. Zresztą wiadomo było jaka. Nie odważyły się krzyknąć. Bały się nawet odezwać. Drżały na całym ciele.

- Wychodźcie - powiedział do nich najłagodniej jak mógł. - Wracajcie do domu. Nic

wam już nie grozi. - Dziewczyny ani drgnęły. Człowiek w masce nie wzbudzał w nich zaufania. - Nie bójcie się. Nikt wam nic nie zrobi. Jesteście wolne. Naprawdę.

Podniosły się. Najpierw jedna, potem druga. Szły ostrożnie w jego kierunku, trzymając się za ręce. Maciek wyszedł i kazał pozostałym dziewczynom iść za sobą. Przysunął do ust mikrofon.

- Magdy nie ma.
- Rozumiem - usłyszał potwierdzenie w słuchawce.
- U ciebie?
- Czysto. Masz kogoś?
- Wyprowadzam cztery.
- Jakież kłopoty były?
- Chwilowe. Już po sprawie.
- Schodź.

Zeszli po schodach do pustego hallu. Wyglądało na to, że Gawlik sprawił się idealnie. Student otworzył dziewczynom drzwi frontowe.

- Biegnijcie do drogi. Złapcie jakąś podwózkę do miasta. Tu we wsi bandziory mogą mieć jakichś kumpli. Lepiej nie ryzykować.

Dziewczyny wybiegły z budynku i pognały ile sił w nogach przez posesję do otwartej bramy.

W ciemno oświetlonym salonie chłopak zastał Adama stojącego przy łysawym człowieku przypominającym bardziej buchaltera niż przestępcę. Człowiek stał pochylony w bardzo niewygodnej pozycji. Miał związane z tyłu ręce. Od nadgarstków szedł sznurek przeciągnięty przez hak żyrandola, którego koniec Adam przywiązał do uchwyty żaluzji. Mężczyzna miał boleśnie wykręcone stawy barkowe. Pojękiwał cicho. Trochę dalej leżały bezwładne ciała dwóch potężnych facetów. Maciek przyjrzał się bliżej przywiązanemu gangsterowi i dopiero wtedy odkrył, że z lewego oczodołu obficie kapie mu krew. Oko zostało wydlubane. Usta miał zaklejone szeroką taśmą samoprzylepną.

Maciek, choć wciąż żądnym krwi za Magdę, był poruszony tym widokiem. Co innego eliminować przeciwnika w walce. Wtedy jest wybór: albo ty, albo on. Zupełnie czym innym były tortury dla wymuszenia zeznań. Jednak w żadnym razie nie chciał dać tego po sobie poznać. Chciał uchodzić w oczach Gawlika za twardego i bezwzględnego dla wrogów. Nie było to zresztą aż takie trudne, biorąc pod uwagę fakt, że ci ludzie porwali mu ukochaną, której wyraźny obraz wciąż miał w pamięci.

- Co, pośliznął się na mydle? - zagadnął Gawlika niby mimochodem.

Adam popatrzył na niego uważnie. Od razu zorientował się, że ten wrażliwy chłopak za wszelką cenę chce udawać twardziela. Wiedział, że student ze swoją psychiką nigdy nie będzie takim jak on i jemu podobni żołnierze najemni, dla których śmieć i okrucieństwo wojen są chlebem codziennym. I całe szczęście. Nadal ma szanse na normalne życie, daj Boże u boku dziewczyny, której szukają. Mimo tej jego nieszczęsnej afrykańskiej przygody, gdzie doświadczył na własnej skórze rzeczy, o których przeciętny zjadacz chleba dowiaduje się z filmów wojenno-sensacyjnych.

- Zbieramy się. - Gawlik nie podjął jego ironicznego tonu.

- Coś powiedział?

- Wszystko, co trzeba.

Wuj poszedł w kierunku hallu.

- Chcesz go tak zostawić? - Maciek niniejszym zdradził się ze swoimi ludzkimi uczuciami.

Gawlik zatrzymał się w progu.

- Opowiedział mi też, co robił z Magdą. Chcesz posłuchać?

Ludzkie odruchy w stosunku do cierpiącego nieszczęśnika nagle się ulotniły. Maciek podążył za towarzyszem. Zanosilo się na to, że bandzior będzie musiał znosić męczarnie jeszcze przez wiele godzin.

\*

Pierwszą część drogi do Wrocławia Gawlik prowadził w pełnym skupieniu. Maciek też się nie odzywał. Obawiał się, że usłyszy na temat Magdy coś, z czym później będzie mu bardzo trudno sobie poradzić. Wolał, by pewne szczegóły zostały w sferze domysłów. Dlatego nie zadawał zbędnych pytań, na które odpowiedź mogłaby okazać się zbyt bolesna.

- Co robimy? - Chłopak uznał, że trzeba wreszcie przerwać milczenie. Adam nie odpowiadał. - Jakiś plan?

- Jedziemy do Włoch.

- Do Włoch? - jęknął Maciek. - To coś znaczy?

- To znaczy, że jedziemy do Włoch.

Maciek nabrał głęboko powietrza, żeby uspokoić nerwy. Przewrócił oczami. Trafiało go, gdy wuj traktował go jak nic nierozumiejącego gówniarza.

- Dowiem się chociaż kiedy?

- Jak najszybciej.

- Czyli?

- Dzisiaj w nocy. Tylko spakujemy parę niezbędnych rzeczy i wykonam parę

telefonów.

- A teraz jedziemy...

- ...do Wrocławia. Poczekaś na mnie u siebie. Przyjadę po ciebie najpóźniej nad ranem.

- A ty co będziesz robił?

- Już ci mówiłem. Muszę podzwonić. I wpaść w jedno miejsce.

- Po broń?

- A masz pozwolenie na broń? - spytał Gawlik z ironią.

- To co mam zrobić z pistoletem?

- Zostawisz go we Wrocławiu.

- Dowiedziałeś się, gdzie jest Magda?

- Dowiedziałem.

- I kiedy mi zamierzasz powiedzieć?

- We właściwym czasie.

- A ten właściwy czas będzie kiedy?

- Maciek, nie mówił ci ktoś już kiedyś, że za dużo gadasz?

- Nie.

- No to ja ci mówię. Przymknij się teraz, bo muszę pomyśleć.

Reszta drogi upłynęła w niczym niezmaconej ciszy. Jedynie samochodowe radio sączyło delikatną muzykę filmową.



## ROZDZIAŁ 46

Z neapolitańskiego lotniska odebrał ich niezbyt rozmowny mężczyzna w średnim wieku i zawiózł ich swoim amerykańskim pickupem przez centrum na przedmieścia miasta. Maciek miał świetną okazję, by zweryfikować prawdziwość popularnego powiedzenia: „Zobaczyć Neapol i umrzeć”. Weryfikacja nie wypadła zbyt korzystnie dla metropolii. Pierwsze wrażenie to brud, smród i ubóstwo, gacie setkami suszące się na sznurach rozwieszonych między budynkami. Wszechobecny nieład i bałagan.

Przebiwszy się przez miejskie korki, zajęchali w ciemną, wąską uliczkę. Przywitało ich kilkanaście par oczu, których właściciele człowiek z pewnością nie chciałby spotkać w pewnych miejscach o pewnych porach dnia, lub bardziej nocy. Towarzysze Maćka całkowicie zignorowali przyglądających się im bacznie miejscowych zakapiorów. Cała trójka weszła do obskurnego budynku. Strone ciasne schody prowadziły do chłodnej piwnicy.

Pomieszczenie, w którym się po chwili znaleźli, w niczym nie przypominało raczej zniechęcającej atmosfery panującej na zewnątrz. Wyglądało jak nowoczesne biuro prezesa prężnie działającej firmy. Jediną różnicą mógł być tylko brak okien, ze zrozumiałych względów. Za wielkim mahoniowym biurkiem stał starszy mężczyzna o fizjonomii i posturze oficera wojskowego. Skinieniem ręki dał do zrozumienia człowiekowi, który przyprowadził do niego tych dwóch Polaków, że już nie będzie potrzebny. Mężczyzna wycofał się dyskretnie i zamknął za sobą drzwi.

Gospodarz podszedł do nich z wyciągniętą dłonią.

- Przysłała nas Alice Perkins - zaczął Adam. - Mówiła, że u pana znajdziemy konkretną pomoc.

- Wszystko wiem, panie Gawlik - odparł mężczyzna. - Jestem Ricardo Martinelli. Pułkownik w stanie spoczynku.

- To mój towarzysz - Polak wskazał na Maćka. - Maciej Burdzik. Pracujemy razem.

Martinelli przywitał się z Maćkiem.

- Nawiasem mówiąc, niemało o panu słyszałem, panie Gawlik.

- Coś dobrego też?

Martinelli roześmiał się.

- Pana akcja w Mogadiszu w 1998 stała się legendą<sup>8</sup> w pewnych kręgach. Cieszę się, że mogę osobiście panu pogratulować.

- Dawne dobre czasy. Młodym się było.

Pułkownik przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

W jego oczach dało się wyczytać uznanie graniczące z podziwem.

- Nie odmówią panowie lampki naszego miejscowego wina?

Maciek spojrzał na Gawlika. Czy można było temu emerytowanemu włoskiemu żołnierzowi całkowicie ufać? Co, jeżeli do wina zostanie coś dosypane? Gawlik wydawał się niczym nie przejmować. To uspokoiło Maćka. Wuj zawsze wiedział, co robi i miał psi nos do potencjalnych zagrożeń.

- Nie odmówimy - potwierdził Adam.

Gospodarz wyciągnął z barku trzy lampki i butelkę wina. Otworzył i rozlał gościom. Przysiadł się do stołu i jeszcze raz spojrzał na przybyszów, jakby chciał się upewnić, że ma do czynienia z właściwymi ludźmi.

- Domyślam się celu panów wizyty w naszym pięknym mieście - powiedział, obserwując ich ewentualną reakcję.

- Tak? - Adam sięgnął po trunek i wypił łyk. - Faktycznie, znakomite - pochwalił. - Czyli możemy od razu przejść do rzeczy. Bez zbędnych wyjaśnień.

- Oczywiście. Zapewniam sprzęt, jaki panowie sobie tylko zażycycie. - Pułkownik podniósł swój kieliszek.

- Doskonale - ucieszył się Gawlik. - Będziemy potrzebowali...

- Jest tylko jedno ale - przerwał mu pułkownik. Miał zafrasowaną minę. - Pewien problem.

- Problem? - Gawlik odstawił naczynie z winem na stół.

- Jacht, który chcecie przejąć, jest pod opieką tutejszej mafii.

- Znaczy, powinienem się martwić?

- Niestety - potwierdził smutno Martinelli. - Zakładając, że akcja się uda, będą pana szukać i wcześniej czy później znajdą. To wyjątkowo zawzięte sukinsyny.

- Domyślam się, że miałby pan, pułkowniku, jakieś rozwiązanie tego problemu.

- Zawsze jest jakieś rozwiązanie. Najlepsze są te najprostsze, oczywiście.

- Słucham, pułkowniku. - Gawlik ponownie sięgnął po wino.

- Lokalnymi strukturami zarządza dwóch braci. Sandro i Gavino Canova.

---

<sup>8</sup> Nawiązanie do wydarzeń opisanych w powieści Męska sprawa (przyp. aut.).

Nierozłączni. Dla nas to akurat dobrze, ale po kolei. To młode wilki. Aroganccy, agresywni, bez żadnych zasad, bez szacunku dla starszych. Plują na nasz stary system wartości.

- I góra to toleruje?

- Góra ich toleruje, bo są skuteczni. Poza tym zarabiają dla organizacji niezłe pieniądze. Przynajmniej na razie. Ale mają też swoich wrogów. Tyle że jak na dzisiaj za słabych.

- Co pan proponuje?

- Cholernie dobrze się pilnują. W grę wchodzi strzał z dużej odległości. Słyszałem o pana umiejętnościach w tym względzie. Podobno szkolił pana jakiś tam legendarny Rosjanin...

- Podobno - odparł Gawlik. - Jak ich odstrzelę, to skąd mam wiedzieć, że szefostwo mafii nie dobierze mi się do dupy?

- To biorę na siebie. Dam radę zorganizować odpowiednią grupę poparcia dla sprawy. Tak jak mówiłem, bracia Canova mają wrogów w organizacji.

- Dobra. Śpieszy mi się, pułkowniku.

- Mi też. - Włoch wyraźnie się ucieszył. - Proponuję dzisiejszy wieczór.

- Namiary, transport na miejsce i rekonesans?

- Wszystko będzie.

- Będę też potrzebował doświadczonego obserwatora.

- To oczywiste.

Adam popatrzył na dyskretnie milczącego Maćka.

- Mam dla ciebie robotę, chłopie - zwrócił się do niego po polsku. - Trzeba jak najwięcej dowiedzieć się o jachcie, załodze i w ogóle. Jacht nazywa się „Stella”. Pójdiesz w miasto, do portu, i popytasz.

- Przecież ja słowa po włosku nie umiem, a makarony po angielsku nie bardzo... - odpowiedział student.

- Fakt. - Spojrzał na gospodarza. - Pułkowniku, mój towarzysz nie zna języka. Potrzebuje pogadać z ludźmi w mieście. Przydałby się ktoś, kto by potłumaczył.

- Pomyślałem i o tym. - Włoch wstał i podszedł do biurka. Nacisnął przycisk interkomu. - Laura już jest?

- Czekaj - odezwał się głos z urządzenia.

- Niech wejdzie.

Drzwi otworzyły się. Na progu stanęła młoda Włoszka w wieku Maćka. Jej kruczoczarne, bujne włosy opadały na odsłonięte ramiona. Miała na sobie białą sukienkę,

która wspaniale kontrastowała z kolorem jej fryzury i śniadą karnacją. Zachwycała dziką urodą. - Jestem, tato - powiedziała do pułkownika.

- To moja córka, Laura. - Przedstawił dziewczynę będącym pod wrażeniem Polakom.  
- Pomoże zbierać informacje. Zaprowadzi, gdzie trzeba i będzie w razie co tłumaczyć.

Maciekowi oczy zaświeciły się na myśl o współpracy z tą młodą, zabójczo urodziwą Włoszką. Gawlik dostrzegł jego cielecy wzrok natychmiast. Klepnął go otwartą dłonią w tył głowy.

- Co jest? - obruszył się chłopak.

- Jajco - zgromił go wuj po polsku. - Robotę masz. Przestań wybałuszać ślepią, bo mi wstyd przynosisz. Nie jesteś na wakacjach.

Maciek zacisnął zęby. Nienawidził, kiedy Adam strofował go jak uczniaka. Szczególnie teraz, w obecności włoskiej piękności.

- A ty co będziesz robił? - burknął chłopak.

- Spać idę.

- Fajnie. - Maciek skrzywił się. - A ja będę zapierniczał.

- Nie udawaj, że ci się nie podoba. Tylko żeby ci nic durnego do łba nie strzeliło. Ruszaj tyłek. Dziewczyna nie będzie tak tu stała.

Maciek podszedł do Laury Wyciągnął rękę na powitanie i przedstawił się. Laura dygnęła kokieteryjnie i posłała mu czarujący uśmiech. Chłopakowi mimo najszczerzych chęci, by było inaczej, serce zabiło mocniej.

Kiedy wyszli, Gawlik pozwolił sobie na komentarz.

- Udała się panu córka, pułkownika.

- Też tak sądzę - odpowiedział mężczyzna z uśmiechem.

- Da się tu gdzieś złapać parę godzin snu?

- Naturalnie. Zaraz coś zorganizujemy.

Ponownie podszedł do interkomu. Wydał kilka poleceń po włosku.

\*

Laura pędziła na swoim skuterze przez miasto, zręcznie omijając korki. Nie obyło się miejscami bez jazdy po chodniku, tam, gdzie nie sposób było przecisnąć się między samochodami. Maciek obejmował ją w pół, tak jak mu przykazała, zanim wsiedli na jej skuter. Czuł się dość nieswojo, trzymając, jak by nie było, w objęciach zachwycającą Włoszkę. Jej brawurowa jazda wymuszała niejednokrotnie wzmocnienie uścisku. Jego szarmancka natura wykazywała obiekcje, lecz męskość zachowywała się momentami wręcz niesfornie.

Laura zatrzymała się na parkingu w pobliżu portu. Oboje zsiadli. Maciek popatrzył

wokół. Miejsce tętniło życiem. Wszędzie było mnóstwo ludzi rozmawiających ze sobą i pokrzykujących po włosku. Przy nabrzeżu zatrzesienie jachtów wszelkiej maści i rozmiaru.

- Skąd niby mam wiedzieć, kogo pytać? - spytał retorycznie.

- Zapomniałaś, że masz mnie - zauważyła Laura. - Chodź ze mną.

Wyciągnęła do niego rękę. Zrobiła to całkiem naturalnie. W Polsce mężczyzna chodzi za rękę w raczej niedwuznacznych sytuacjach. Tutaj jak widać było zupełnie inaczej. Czuł się w pewnym sensie nobilitowany, trzymając dłoń tej pięknej dziewczyny, która przyciągała wzrok bodajże wszystkich mijanych mężczyzn. Niejeden z nich głośno wyrażał zachwyt na jej widok.

- Podobno przyjechałeś tu po swoją ukochaną - zagadnęła.

- Dużo wiesz. Ojciec ci mówił?

- Nie musiał. Ma swoich informatorów. Niektórych znam. Czasem w pewnych sytuacjach bywają rozmowni. Nawet bardzo rozmowni.

Maciek popatrzył na nią, marszcząc brwi. Domyślał się, co mogło oznaczać pojęcie „w pewnych sytuacjach”.

Wyglądało na to, że Laura nie jest znowu taką grzeczną dziewczynką. Życie bywa pełne niespodzianek.

- W „pewnych sytuacjach”? - postanowił sprawdzić.

- W pewnych. Ty też jesteś niczego sobie - powiedziała i popatrzyła na niego uwodzicielsko.

Sprawdził. Laura doskonale wiedziała, jak korzystać ze swoich nadzwyczajnych wdzięków. Ogromnym wysiłkiem woli starał się skupić na swojej robocie. Nie zanosilo się na to, że będzie łatwo, ale zdawał sobie sprawę, że jej powab może być zabójczy.

Laura okazała się świetną przewodniczką. Dowiadywali się różnych rzeczy od wydawałoby się przygodnych ludzi, barmanów i właścicieli portowych knajp, z którymi dziewczyna była ewidentnie blisko zaznajomiona. Nie marnowali czasu.

\*

Wieczorem, na głębokich przedmieściach Neapolu, Adam Gawlik leżał na dachu kamienicy. Przez lunetę karabinu snajperskiego obserwował wydarzenia toczące się kilometr dalej na posesji rodziny Canova. Czekał na instrukcje od obserwatora. Wśród grupy ludzi bawiących się przy barbecue znajdowały się dwa cele. Jeszcze nie wiedział, kto nimi jest. Mógł się tylko domyślać. Nie wolno mu było jednak zadziałać jedynie na podstawie domysłów. Musiał strzelić celnie dwa razy. Biorąc pod uwagę odległość i sam fakt podwójnego strzału, zadanie było nadzwyczaj trudne. Drugi cel musiał zostać

wyeliminowany natychmiast, zanim się zorientuje, że jest obiektem polowania.

Jeden z mężczyzn na posesji odszedł od pozostałych i skierował się w stronę domu. Miał na sobie czerwoną koszulkę polo i białe krótkie spodnie. „Cholera, niedobrze” - pomyślał Gawlik. Jeśli to jeden z braci, akcja może się nie udać. Musi dopaść dwóch razem, jednego po drugim, od razu. Inaczej nic z tego nie będzie.

- Jak wygląda cel? - powiedział do mikrofonu.

- Jeszcze nie wiem - odezwał się informator. - Czekaj.

Mijały sekundy, a informacji o celu wciąż nie było.

Zaczynał się denerwować. Przesunął karabin minimalnie w lewo. Miał ogłąd domu. Przez oszkloną werandę zobaczył młodego mężczyznę, który chwilę temu opuścił towarzystwo. Siedział rozparty na skórzanej kanapie i rozmawiał przez komórkę. Uśmiechał się. Gawlik pomyślał, że w razie czego będzie w zasięgu, o ile szyby nie są kuloodporne.

W słuchawce usłyszał ciche trzaski.

- Podaję dane celów. - Obserwator mówił beznamiętnym głosem.

- Słucham.

- Pierwszy: czerwona koszulka polo i białe krótkie spodnie.

„Cholera, więc jednak” - pomyślał Gawlik i skierował lunetę na dom. Facet wstał z kanapy i położył telefon na ławie. Za chwilę zniknie z pola widzenia. Nie było innego wyjścia. Trzeba było ryzykować, czyli strzelać, zanim dostanie dane drugiego celu. Pociągnął za spust. Z roztrzaskanej głowy Włocha trysnęła krew. Padł na podłogę. Pozostali ludzie bawili się dalej w najlepsze. Nikt nawet nie podejrzewał, że właśnie zostało popełnione morderstwo. Jeszcze nie.

- Drugi? - spytał strzelec.

- Drugi: biała koszula w niebieskie paski. Granatowy krawat.

Adam odszukał mężczyznę przy stole. Nachylał się do blondwłosej kobiety i coś jej szeptał do ucha. Kobieta wybuchnęła śmiechem. Adam odczekał, aż cel się wyprostuje. Musiał mieć pewność strzału. Istotnie, drugi z braci Canova założył ręce na kark. Na twarzy malowało mu się zadowolenie. Pocisk uderzył go prosto w czoło. Panika wybuchła, dopiero gdy walnął głową o stół i na blacie pojawiła się kałuża krwi.

Adam nie czekał. Złożył sprzęt. Trzeba się teraz jak najszybciej ewakuować. Za chwilę mogą się tu pojawić nieproszeni goście. Zadanie wykonane. Teraz musi się skupić na następnym. Transport na nabrzeże wraz z zamówionym sprzętem już czekał.

Kierowca na widok Polaka wysiadł z granatowego minivana. Rozejrzał się dyskretnie. Wokół nie było nic podejrzanego. Jacyś ludzie przechadzali się, korzystając w pełni z

ciepłego, choć bardzo już późnego wieczoru. Adam podszedł do młodego mężczyzny i wziął od niego kluczyki do samochodu. Nie padło ani jedno słowo. Wszystko zostało ustalone już wcześniej. Mężczyzna natychmiast zniknął wśród ciasnych uliczek neapolitańskiego przedmieścia.

Gawlik ruszył w kierunku umówionego wcześniej miejsca, skąd rozpoczną akcję odbicia Magdy Frank. Muszą zdążyć, jeszcze zanim organizacja braci połapie się, że ktoś postanowił wtrącić się w ich interesy. Wtedy mogłoby być już za późno na cokolwiek.

\*

Laura zatrzymała skuter przy krawężniku. Poczekala, aż Maciek zsiądzie. Polak rzucił kilka krótkich spojrzeń na boki. Miejsce faktycznie wydawało się odludne. Strome zejście do wąskiej kamienistej plaży nie przyciągało amatorów nocnych spacerów. Szczególnie że niebo było zasnuwane chmurami. Zaczął siąpić drobny deszczyk. Na taką pogodę Gawlik czekał. Dość nietypowa aura, biorąc pod uwagę klimat Półwyspu Apenińskiego. Załamanie pogody miało trwać tylko jeden dzień, a właściwie jedną noc. Ta noc musiała im wystarczyć.

Na kamienistym wybrzeżu było zupełnie pusto. Trudno żeby było inaczej. Plaża krótka i wąska, otoczona wysokimi wzniesieniami, nieszczególnie sprzyjała nocnym kąpielom.

- Mam nadzieję, że jest tego warta. - Laura spojrzała mu głęboko w oczy. - Niczego sobie jesteś, Polaku.

- Jest warta - odparł Maciek trochę wbrew sobie, tym samym zniechęcając Włoszkę do wykazywania dalszego zainteresowania swoją osobą. W duchu musiał uczciwie przyznać, że mu się spodobała ta przepiękna dziewczyna, pełna życia i energii. - Ale naprawdę cieszę się, że cię poznałem, Laura.

- Jakby coś wam nie wyszło, no wiesz, ty i ta twoja luba, to daj znać. Chętnie bym cię poznała bliżej, romantyczny Polaku.

- Dlaczego romantyczny?

Laura nie odpowiedziała. Nacisnęła na gaz i skuter wkrótce pochłonęły ciemności.

Chwilę potem podjechał wuj w ciemnej półciężarówce. Wsiadł i otworzył tylne drzwi samochodu.

- Bierz się za robotę - rzucił do chłopaka. - Nie będę sam tego dźwigał.

Można było zaczynać operację.

Wyciągnęli wojskowy ponton wyposażony w cichy silnik motorowy i załadowali sprzęt. Zdobycie go nie było proste. Jednak i tym razem zadziałała magia pieniędzy, ale przede wszystkim kontaktów, tym razem agentki Alice Perkins. Poza odpowiednią

gratyfikacją pieniężną do odpowiednich rąk, wystarczyła obietnica, że sprzęt wróci na swoje miejsce, jeszcze zanim nastanie poranek.

Przebrali się szybko w czarne uniformy. Maciek wskoczył do pontonu i odsunął wiosła na przód. Na razie nie będą potrzebne.

- Jak podpłyniemy do jachtu? Wykryją nas radarem - wyraził wątpliwość student.

- Nie wykryją - odrzekł krótko Gawlik, sadowiąc się w środku i zapuszczając silnik, - Nie przejmuj się.

- Jak nie wykryją? Taki radar wszystko wyłapuje.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, chłopie.

- To znaczy?

Ponton ruszył na pełne morze. Według ręcznych przyrządów jacht znajdował się jakieś dwa kilometry od nich. Widać go było na horyzoncie.

- Jacht jest w ruchu. Podpłyniemy od strony rufy po kilwaterze. Trochę będzie zarzucało, ale tam radar nie widzi. Dostaniemy się na pokład i robimy swoje, tak jak ustalaliśmy.

Udało się zdobyć plany sporego, luksusowego jachtu. Rozmieszczenie korytarzy i pomieszczeń. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było ustalić, gdzie znajduje się obiekt, czyli Magda Frank. W porcie zebrali też informacje o załodze. Uzbrojoną ochronę stanowiło pięciu ludzi. Pozostali to służba i szeregowa obsługa łodzi. Nie stanowią zagrożenia, a przynajmniej taką Gawlik miał nadzieję. Zsunęli na twarz kominiarki.

Operacja była niezwykle ryzykowna, ale dawała spore szanse na sukces. Maciek z Laurą zrobili solidny rekonesans. Dyskretnie porozmawiali z ludźmi, którzy mieli cokolwiek do czynienia z jachtem. Zdawali sobie sprawę, że będą mieli jedną, jedyną szansę. Jeśli się nie uda, Magda Frank przepadnie na zawsze gdzieś w jednym z krajów arabskich.

Podpłynęli do jachtu od rufy. Tak jak się Gawlik spodziewał, nie podniesiono alarmu i nie zmobilizowano uzbrojonych ochroniarzy. Adam jako pierwszy wskoczył na dolny pokład. Osilek z ochrony patrzył w morze. Odwrócił się za późno. Ostrze wojskowego noża przejechało mu po gardle. Z otwartych ust nie wydobył się krzyk. Człowiek zniknął w morskich głębinach. Maciek też był już na miejscu. Przystanął przyklejony plecami do ściany nadbudówki.

Wstępnie ustalili wcześniej, kto co robi. Maciek miał pilnować, żeby nie było żadnych niespodzianek na zewnątrz. Do Gawlika należało wejście do środka, eliminacja niepożądanych „elementów”, odnalezienie i uwolnienie dziewczyny. Miał ją zidentyfikować po zdjęciu, które dostał od Maćka i je sobie dokładnie obejrzał. Dziewczyna może być pod



wpływem narkotyku i ewentualne wywoływania po imieniu mogą się na nic nie zdać. Musiał wiedzieć, jak wygląda. Ich największym sprzymierzeńcem było zaskoczenie. Cała operacja musiała potoczyć się błyskawicznie. W przeciwnym wypadku mogą pojawić się nieprzewidziane przeszkody i trzeba będzie improwizować. W takiej sytuacji wszystko może się zdarzyć.

Na szczycie nadbudówki pojawiła się uzbrojona postać. Krótki rzut oka wystarczył, żeby mężczyzna zauważył intruza na dolnym pokładzie.

„Kurwa” - Gawlik zaklął pod nosem. Wyglądało na to, że ciche załatwienie sprawy właśnie szlag trafił. Za duża odległość na rzut nożem. Ochroniarz miał Maćka na muszce. Trzeba strzelać, ale jeśli ochroniarz zdąży wystrzelić, zanim zginie? A jak ktoś jeszcze jest na górze i zobaczy, że facet pada, zrobi się awantura i szlag wie, co z tego wyjdzie? Nie było innego wyjścia. Wycelował, lecz w ostatniej chwili rozluźnił nacisk palca na spuście. Jakaś ciemna postać pojawiła się za gorylem i sprawnym uderzeniem w kark pozbawiła go przytomności, a sądząc po stylu zadanego ciosu, najpewniej i życia.

Adam wstrzymał oddech. Wahał się. Maciek zdążył już dostrzec zagrożenie i schował się za przybudówką. Co jest grane? Ktoś jeszcze ma tu robotę?

Ciemna postać zeskoczyła na pokład dolny i lekko pochylona ruszyła pewnie w stronę Gawlika. Polak chwycił rękojeść noża. Był gotów. Kimkolwiek okazałby się intruz, jego życie nie miało już żadnej wartości.

Postać przystanęła przed nim. Kominiarka uniemożliwiła rozpoznanie rysów twarzy.

- Trza się brać za robotę, towarzyszu lejtnancie. - Człowiek powiedział szeptem po... rosyjsku. - Nie ma co czekać.

Jasna cholera. Gawlik znał ten głos i pobrzmiewającą w nim charakterystyczną ironiczną nutkę. Czy to możliwe? Jakim cudem i dlaczego?

- Co tu robisz, Witalij? - spytał przybysza.

- To samo, co ty i twój nieudaczny kumpel. - Rzucił okiem na przybudówkę, za którą chował się Maciek. - Uprawdzili krewną przyjaciółki. Modelkę. Jak widzisz, mamy wspólny interes. Pomyślałem, że podziałamy trochę razem, jak za starych, dobrych czasów.

- Skąd wiedziałeś?

- Nie doceniasz mnie, poruczniku. Ja wciąż naprawdę dużo mogę. Dowiedziałem się, kiedy będziecie działać. Pomyślałem, że się podłączę i przy okazji załatwię swoją sprawę.

- Co wiesz?

- Dwóch z ochrony posłałem rybkom na kolację. Zostało jeszcze czterech.

- Trzech - poprawił go Gawlik.

Maciek usłyszał ich szepty i wysunął głowę z ukrycia.

- Nie. Czterech. Dwóch na zewnątrz, plus trzech z załogi, i dwóch w środku. Wy zajmijcie się gorylami i załogą. Chronicie mi dupę w razie czego. Ja wchodzę i odbijam kobiety. Ta wasza to Magdalena Frank, tak?

- Dokładnie.

Gawlik błogosławił los, że postawił im na drodze Jakuszyna. Lepszego sojusznika w tej sytuacji nie mogli sobie wymarzyć. Bez jego wsparcia byłoby im o wiele trudniej. Z drugiej strony zdumiewała go precyzja, z jaką ten zdobywał wiedzę. Wydawało się, że nic i nikt nie jest w stanie się przed nim ukryć.

Adam przywołał Maćka. Witalij tymczasem się ulotnił.

- Słuchaj, Maciek. Idziesz prawą burtą i likwidujesz wszystko, co się rusza. Jak na akcji w Afryce. Tyle że strzelasz tylko w absolutnej konieczności. Pamiętaj, oni skrzywdzili Magdę. Rozumiesz?

- Jasne. - Maciek zacisnął zęby. - A ty?

- Biorę lewą burtę.

- Kto tu był?

- Nieoczekiwane wsparcie. Dzięki niemu wyciągniemy ci narzeczoną na sto procent. Spraw się, chłopie.

Rozdzielili się. Wszystko zaczęło działać jak w zegarku. Okazało się, że Maciek nie ma za dużo roboty. Gawlik z kolei dopadł jeszcze jednego przeciwnika, kiedy ten nieomal nacisnął spust swojej krótkiej broni maszynowej. Dwóch nieuzbrojonych członków załogi poddało się natychmiast na sam widok zamaskowanego człowieka. Ani myśleli strugać bohaterów. Zostali sprawnie ogłuszeni i związani. W ten sposób w ciągu kilku chwil „tyły” Witalija Jakuszyna były opanowane i pod pełną kontrolą Polaków.

Tymczasem Rosjanin penetrował wnętrze. Znał plan jachtu, więc nie musiał działać po omacku. Największe pomieszczenie było na końcu długiego, wąskiego korytarza. Tam właśnie spodziewał się odnaleźć kobiety. Domyślał się, że tutaj będzie odbywała się licytacja, na której każda z kobiet uzyska swoją cenę i zostanie sprzedana nabywcy.

Korytarz był pusty. „Niedobrze” - pomyślał Witalij. Będzie musiał najpierw odnaleźć i zlikwidować uzbrojonych goryli. Miał nadzieję, że natknie się na nich od razu. Powinni pilnować wejścia do newralgicznej części jachtu. Widać czuli się całkowicie bezpieczni i pewni. Z drugiej strony trudno było się im dziwić. Byli przecież pod opieką mafii. Nic nieprzewidzianego nie miało prawa się stać. Nie mogli przecież wiedzieć, że Jakuszyn i Gawlik są ludźmi całkowicie nieprzewidywalnymi, ludźmi, którym nigdy nie wolno

wchodzić w drogę, nawet nieumyślnie.

Witalij podszedł cicho jak kot do drzwi pierwszej kajuty. Zapukał.

- Wlazł! - rozległ się tubalny głos z wewnątrz. - Co się wygłupiasz? Wersal czy co?

Rosjanin przekręcił gałkę i pchnął lekko drzwi do środka. W głębi pokoju siedział olbrzymi facet w garniturze. Opychał się czipsami i oglądał film pornograficzny na ekranie wielkiego telewizora. Nie zdążył zareagować na widok stojącego w progu intruza. Wojskowy nóż przeszył powietrze i utkwiał w szyi potężnego mężczyzny. Ofiara nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Jedynie resztką chrapliwego oddechu była oznaką rozpaczliwej walki o życie.

Witalij wszedł do pomieszczenia. Miał nadzieję, że zastanie tam obu pozostałych ochroniarzy. Niestety, drugiego trzeba będzie jeszcze poszukać, zanim pójdzie uwolnić przetrzymywane kobiety. Nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek niespodzianki, nawet mając wsparcie w postaci Gawlika i jego towarzysza. Wyłączył pilotem telewizor. Wyjął z rany swój nóż, wytarł o ubranie denata i przeszukał martwego. Zabrał mu pistolet maszynowy i schował pod fotel. Mógłby dostać się w niepowołane ręce i kłopot gotowy.

Kiedy wyszedł ponownie na korytarz, usłyszał męskie głosy z największego pomieszczenia. Padały liczby. Domyślił się, że licytacja była w toku. Nie mógł interweniować. Jeszcze nie.

Drugiego ochroniarza znalazł w aneksie kuchennym. Natychmiast sięgnął po broń leżącą na stole. Witalij wykonał półobrót i z całej siły wbił nóż w potylicę mężczyzny. Ostrze przebiło czaszkę i zagłębiło się w mózgu. I tym razem wszystko odbyło się w przerażającej ciszy. Sytuacja była w pełni opanowana. Mógł wreszcie dokonać rozliczenia z handlarzami żywym towarem i ich klientami.

Do pomieszczenia wpadł jak dzikie, wściekłe zwierzę. Już wcześniej postanowił nie oszczędzać nikogo. Handlarze szybko wróciliby do swojej profesji, a chętna klientela zawsze stanowi popyt. Nie chciał tego. Wiedział, że Gawlik poparłby go całkowicie. W środku zastał trzech siedzących mężczyzn. Wszyscy w podeszłym wieku, siedzieli rozparci na szerokiej kanapie. Rysy twarzy i śniada cera sugerowały, że pochodzą z któregoś z krajów Bliskiego Wschodu. Naprzeciwko nich stał rząd sześciu dziewczyn. Były zupełnie nagie. Stały ze spuszczonej głowami. Sprawiały wrażenie całkowicie pogodzonych ze swoim losem. Miały związane z przodu ręce jednym sznurem, którego koniec trzymała kruczowłosa, elegancko ubrana kobieta o południowoeuropejskiej urodzie. Gdyby nie strój, wyglądałaby jak nadzorczyńni niewolnic rodem z czasów starożytnych, gdzie kobiety były obiektem normalnego handlu. Po drugiej stronie, krok przed dziewczynami, stał mężczyzna w średnim

wieku. Miał na sobie jasny jedwabny garnitur. Serdeczny palec prawej dłoni ozdabiał mu wielki złoty sygnet.

Obecni w pomieszczeniu zdążyli jedynie zrobić zdziwione miny, widząc zamaskowaną, uzbrojoną postać. Dziewczyny nawet nie podniosły wzroku. Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Człowiek z sygnetem zorientował się w sytuacji jako pierwszy. Sięgnął dłonią za pas z tyłu, gdzie najprawdopodobniej miał schowaną broń. On też jako pierwszy dostał postrzał w głowę i padł na podłogę niczym rażony piorunem. Klienci zostali zastrzeleni w ciągu jednej sekundy. Umarli szybko i bezboleśnie od strzału w czoło. Nagie dziewczyny zdały sobie nagle sprawę z zagrożenia i skuliły się na podłodze, wtulając się w siebie. Wyglądały jak kłębiące się nowo narodzone szczeniaki. Zaczęły krzyczeć rozpaczliwie.

Czarnowłosa kobieta puściła sznur i skoczyła w kierunku intruza. Wypuściła fachowe i bardzo szybkie kopnięcie na twarz Witalija. Wprawne oko od razu mogło dostrzec, że w sztukach walki przewyższała niejednego mężczyznę. Witalij był przygotowany i na taki obrót spraw. Zrobił unik. Uderzenie trafiło w powietrze. Nie dostała szansy na kolejne. Rosjanin złapał jej nogę na wysokości kolana, pociągnął w swoją stronę i nieomal tanecznym półobrotem uderzył zaciśniętą dłonią w plecy napastniczki na wysokości nerek. Dłoń miał uzbrojoną w nóż. Pchnięcie nożem w nerkę jest zawsze śmiertelne. Kobieta umierała krótko. W oczach miała przerażenie i zdumienie jednocześnie. Jak jeden człowiek w ciągu zaledwie kilku sekund mógł dokonać takiego dzieła zniszczenia?

Witalij przeładował i schował pistolet z tłumikiem. Odczekał chwilę. Dziewczyny przestały krzyczeć. Pojękiwały tylko rozpaczliwie, spodziewając się najgorszego. Dwie z nich odważyły się rzucić ukradkowe spojrzenia w jego kierunku. Nie strzelał do nich. To dobry znak. Czyżby pojawienie się tego człowieka oznaczało, że ktoś chce przejąć cenny towar, którym niewątpliwie były?

- Irina Bondarczuk - powiedział Rosjanin głośno i dobitnie. Żadna z młodych kobiet nie podniosła głowy. - Irina Bondarczuk - powtórzył głośniejszym głosem. - Jestem od twoich rodziców - dodał po rosyjsku. - Mam cię zabrać do domu, do Petersburga.

Jasna blondynka o delikatnych rysach twarzy uniosła nieśmiało głowę. Popatrzyła na mężczyznę z obawą i nadzieją jednocześnie.

- Ja jestem Irina Bondarczuk - wyszeptwała.

- Załóż coś na siebie. Jedziesz do domu. Wszystko przygotowane.

Dziewczyna rozejrzała się bezradnie. Ubranie im odebrano. Nie wiedziała, dokąd zostało zabrane. Witalij zwałił trupy trzech Arabów na podłogę. Ściągnął jedną z bogato

zdobionych i wyglądających na wyjątkowo drogie narzut przykrywających kanapy i rzucił dziewczynie. Irina wstała i wtuliła się w nią jak w kokon.

- Jestem gotowa. - W jej głosie zabrzmiała ufność do tego strasznego człowieka. - Możemy iść.

- Jeszcze *Magaliena* Frank. - Wypowiedział imię Magdy z charakterystycznym rosyjskim akcentem. Dalej starał się mówić po polsku. - Ty *toże* wracasz *doma*. Do *Wrocław*i. Wuj Maćka Burdzika kazał mi *ciebia* zabrać.

Magda wstała. W nią też wstąpiła nadzieja. Zaraz jednak zorientowała się, że jest naga i natychmiast z powrotem przykucnęła, zasłaniając się rękoma. Jej też Rosjanin rzucił narzutę z kanapy. Owinęła się nią i stanęła obok Iriny.

- Już - powiedziała Polka śmieiej.

- Wy czekajcie, aż przyjedzie policja - zwrócił się do pozostałych dziewczyn po angielsku. - Nic wam już nie grozi. Nikt wam nie zrobi żadnej krzywdy. Za jakąś godzinę, może dwie, policjanci was stąd zabiorą.

Puścił dziewczyny przodem i wyszedł z nimi z pomieszczenia. Na końcu korytarza spotkał się z Gawlikiem i Maćkiem.

- Jak jest? - spytał Adam po rosyjsku.

- Cisza i spokój - odparł Rosjanin.

Weteranowi podobnych akcji nie trzeba było wyjaśniać, co to oznacza. Co najmniej kilku ludzi pożegnało się dzisiaj z życiem.

Dziewczyny z pomocą mężczyzn wsiadły do pontonów. Magda do jednego, Irina do drugiego, przywiązanego od strony lewej burty, którym przyplłynął Witalij. Maciek nie odzywał się. Gawlik mu zakazał. Nie chciał niepotrzebnego w tej sytuacji wybuchu czułości.

Zanim wsiedli, mężczyźni przystanęli chwilę na pokładzie.

- Ten twój towarzysz, to... to, co myślę? - spytał Witalij po rosyjsku i spojrzał na Maćka.

- To właśnie ten chłopak, co go chciałeś rozwalić - odpowiedział Gawlik w tym samym języku.

- *Biez* urazy, *młodyj*. - Witalij rzucił pojednawczo do studenta. - Czasem tak bywa. Ważne, że się nie dałeś.

- Uhu - mruknął nieprzekonany student.

Jakuszyn zwrócił się do Gawlika.

- Za jakiś czas cię poszukam - powiedział na odchodnym. - Pochlejemy jak prawdziwi towarzysze.

- Co ci się stało, Witia?

- Mi?

- Porządny człowiek się robisz, czy jaka cholera?

Witalij roześmiał się.

- Miłość, bracie, miłość.

- Nie pieprz.

- Zdziwiłbyś się, towarzyszu.

Gawlik nie miał pojęcia, czy jego były podwładny mówił szczerze, czy tylko się wygłupiał. Kto wie, może będzie kiedyś okazja się dowiedzieć.

Witalij z Iriną odplynął pierwszy, w innym kierunku niż Gawlik i Maciek.

Przez całą drogę na brzeg Magda milczała. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z wydarzeń, które miały miejsce zaledwie kilkanaście minut temu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ci Rosjanie naprawdę zabiorą ją do domu. Wciąż była pełna obaw. Nie miała wyboru. Musiała im zaufać. Trzymała kurczowo poły koca. Pęd powietrza sprawiał, że czuła przenikliwie zimno. Co jakiś czas rzucała ukradkowe spojrzenia na zamaskowanych mężczyzn. Jej wybawcy wydawali się nią zupełnie nie interesować. Drżała na całym ciele nie tylko z zimna, ale i ze strachu.

Ponton uderzył o kamieniste dno nabrzeża. Obydwaj wyskoczyli i wciągnęli go na twardy grunt razem z pasażerką. Gawlik ściągnął kominiarkę i pierwszy przerwał milczenie.

- Na górze jest półciężarówka - powiedział do niej po polsku i ruchem głowy pokazał nasyp, na który dziewczyna miała się wspiąć. Wyciągnął do niej rękę z kluczykami. - Znajdziesz kombinezon roboczy, jednoczęściowy. Załóż go. W mieście kupimy ci jakieś ubrania.

Magda niepewnie i z niemałym trudem, manewrując ręką spod narzuty osłaniającej jej nagość, wzięła od niego kluczyki.

- Panowie są Polakami? - odważyła się w końcu spytać.

- No - potwierdził Gawlik mrukliwie i nachylił się nad pontonem, by wypakować sprzęt.

- Naprawdę zabierzecie mnie do domu?

- Naprawdę. - Maciek ściągnął kominiarkę i uśmiechnął się do niej. - Naprawdę, Magdusiu.

Dziewczyna w pierwszej chwili zdębiała. Patrzyła na Maćka oniemiała z otwartymi ustami. Nie wierzyła we własne szczęście. Maciek ją odnalazł i uwolnił. Specjalnie po nią tu przyjechał. Chciała mu się rzucić na szyję i wycałować go czule, ale w ostatniej chwili się

zreflektowała. Nie mogła przecież tego zrobić, nie mając nic na sobie. Gdyby tylko przestała kurczowo trzymać krawędzie narzuty, stanęłaby przed nim, jak ją Pan Bóg stworzył. Uczucie wstydu przeważało.

- Maciek - wypowiedziała jedynie jego imię i rozszlochała się ze szczęścia i emocji.

Wtulila się w niego całym ciałem. Objął ją i przycisnął do siebie.

- No właśnie - mruknął Adam. - Czułości zostawcie na później, gołąbeczki, bo jak się nie pośpieszymy, to mafia może nam się dobrać do dupy. Magda, idź do samochodu się ubrać.

Dziewczyna zwróciła ku niemu splakane oczy. Posłusznie podreptała na wzniesienie. Zaczęła się wspinać trochę nieporadnie, zważywszy, że cały czas musiała oburącz trzymać okrycie. Wreszcie dotarło do niej z pełną mocą, że ten koszmar się już skończył. Była wolna i wraca do domu. Był z nią jej ukochany. Chłopak, który na pewno już nigdy nie pozwoli zrobić jej żadnej krzywdy.

Gawlik zaczął spuszczać powietrze z pontonu.

- Posłuchaj, Maciek. - Wyprostował się. - Magda poleci do Polski osobnym rejsem. Nie z nami.

- Chyba żartujesz. Jak ona ma sobie niby dać radę? Po tym, co przeszła?

- Musi. Nie ma wyjścia.

- Nie ma wyjścia? - Maciek nie przyjmował słów Adama do wiadomości.

- Możliwe, że „makarońska” mafia się połapała i będą nas szukać. Znaczący będą szukać dwóch facetów z młodą dziewczyną. Jak pojedzie sama, to wyjdzie z tego. Z nami będzie ryzykować.

- Jasna cholera!

- Spokojnie. Nie mówię, że na pewno będą problemy, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Jak mam jej to powiedzieć? - Maciek spojrzał w niebo.

- Normalnie. Jak chcesz, ja jej powiem.

- Daj spokój. Dostyc miała terapii szokowych.

Odwrócili głowy w stronę szczytu skarpy. Magda, ubrana w czerwony uniform roboczy, wyglądała jak pensjonariusz chińskiego więzienia. Machała do nich.

- Bierz się, Maciuś. - Gawlik sarkastycznie zdrobnił imię studenta. Stanął nad sprzętem. - Sam nie będę dźwigał.

Maciek otworzył czarną torbę podróżną i włożył broń do środka. Trzeba było wszystko odstawić do włoskiego pułkownika i jeszcze zdążyć na samolot.

Magda Frank siedziała w fotelu samolotu. Inni pasażerowie wciąż wsiadali. Głośni, zaaferowani podróżą. Wstawiali bagaże podróżne do luków nad fotelami. Nierzadko nie mogło obejść się bez pomocy stewardes. Opaleni, pogodni, zwyczajnie szczęśliwi. Nawet by im przez myśl nie przeszło, że ktoś inny na tym pokładzie wspomina właśnie zakończony pobyt w słonecznej Italii jako największy koszmar swojego życia.

Dziewczyna trzymała kurczowo wysłużony, kieszonkowy egzemplarz książki *Przygody Tomka Sawyera* autorstwa Marka Twaina. Gawlik dał jej powieść, kiedy wchodziła do hali odlotów. Kazał jej czytać, nawet na siłę, żeby zająć czymś myśli, choćby na krótki czas. Zapewniał ją, że jak doleci do Polski, poczuje się już trochę pewniej i emocje będą powoli opadać.

Obejrzała od niechcienia okładkę. Szata graficzna raczej nie przyciągała wzroku. Przed oczami stanął jej obraz Maćka. Kilka wspólnych chwil tam na wybrzeżu i w samochodzie. Nie padło zbyt wiele słów. Nie pojawiły się też oczekiwane w takiej sytuacji gesty. Maciek nie zalał ją uczuciem, czułością, jak to często wcześniej miewał w zwyczaju. Natychmiast dało się u niego wyczuć swego rodzaju rezerwę. Owszem, objął ją i przytulił, ale zabrakło tego charakterystycznego ciepła, które zawsze od niego biło. Wydawał się być jakby czymś przytłoczony, niezbyt skory do wylewności. Zadawała sobie pytanie „dlaczego?”. Czy mógł dowiedzieć się o jej przelotnym romansie z Bartoszem Kellerem? Mężczyźni dziwnie reagują na pewne sprawy. Obawiała się, że fakt ten może bardzo zaważyć na ich związku. A przecież za skarby świata nie chciała go stracić. Szczególnie teraz, gdy uwolnił ją z rąk porywaczy, gdy już straciła nadzieję na ocalenie. Nie było wątpliwości, że nadal łączyło ich coś wyjątkowego. Zdawała sobie w pełni sprawę, że w żadnym razie nie wolno jej tego zaprzepaścić. Nie było alternatywy.

Chciała gorąco, żeby byli razem i żeby im się udało. Miała nadzieję, że Maciek wybaczy i zapomni. Ona już dawno mu wybaczyła jego niespodziewane zniknięcie. Zresztą Gawlik pokrótce zdążył jej wytłumaczyć, czym to było spowodowane. Spodziewała się, że Maciek sam opowie jej tę dziwną historię ze szczegółami.

Otworzyła książkę. Przeczytała kilka pierwszych akapitów. Przewróciła stronę i uświadomiła sobie, że praktycznie nic nie zapamiętała z przeczytanego właśnie tekstu. Wpatrywała się z zacięciem w tańczące przed oczami litery. Umysł odmawiał posłuszeństwa. Skupienie nie przychodziło.

- O, też jesteś z Polski? - usłyszała nad sobą młody damski głos. - Fajnie. Wreszcie będzie można pogadać normalnie, a nie tylko po włosku i po włosku.

Magda spojrzała w bok. Dziewczyna w mniej więcej jej wieku mocowała się przez



chwilę z podręcznym bagażem, który starała się upchnąć na półce. Wreszcie jej się udało. Usiadła na fotelu obok. Sprawiała wrażenie całkiem miłej. Uśmiechnięta, okrągła buzia, dość pulchna sylwetka i wesołe oczy budziły sympatię. Jednak Magda z całą pewnością nie miała ochoty ani nastroju na nawiązywanie przygodnych znajomości. Nie chciała też być niegrzeczna, więc uśmiechnęła się sztucznie.

- Z Polski - potwierdziła. - To widać?

- Widać, widać. - Dziewczyna ubrana była jak klasyczna, młoda turystka: jasne krótkie spodenki odkrywające jej nieszczęśliwie zgrabne nogi i ciemna koszulka na ramiączkach doskonale sprawdzająca się podczas południwoeuropejskich upałów. Na nogach białe buty sportowe nieokreślonej marki. - Masz książkę po polsku.

- Faktycznie - stwierdziła Magda z lekkim zmieszaniem.

Zerknęła w małe okienko. Ludzie na płycie lotniska coś transportowali, przewozili wózkami elektrycznym bagażem i przemieszczali się w pośpiechu. W każdej chwili spodziewała się, że samolot zacznie kołować.

Oparła głowę o fotel. Poczwała ogromne, obezwładniające zmęczenie. Takie, przy którym człowiek najchętniej by usiadł lub najlepiej się położył i nie ruszał całymi godzinami, tępo wpatrując się w jeden punkt przed sobą.

- Jestem Karina. - Głos współpasażerski wyrwał ją z chwilowego letargu. Magda ponownie zwróciła głowę w jej stronę. - Karina Penderecka. Jak ten muzyk, ale to nikt z rodziny. Sprawdziłam. A ty jak masz na imię?

- Magda - padła cicha odpowiedź.

Karina Penderecka wyciągnęła dłoń do przypieczętowania nowo zawartej znajomości. Magda poczuła zadziwiająco silny jak na kobietę uścisk.

- Co czytasz? - Bezceremonialnie chwyciła książkę i spojrzała na okładkę. - Mark Twain *Przygody Tomka Sawyera* - przeczytała głośno. - Rany, w podstawówce to przerabialiśmy, ale fajne. Też mi się podobało. Ja teraz przegryzam się przez *Baudolino* Eco. Trudne, ale ma coś w sobie. Znasz?

- Słyszałam, ale jakoś nie miałam okazji...

- Polecam. Literatura najwyższej próby. Zmusza do myślenia.

- Kto wie. - Magda odpowiedziała zdawkowo.

- A jak ci się podobały Włochy? Bajeczne, prawda? A ci Włosi... - westchnęła głośno na samo wspomnienie męskiej części społeczeństwa słonecznej Italii. - Byłaś tylko na południu? Udało ci się zobaczyć coś oprócz Neapolu? - Nie poczekała na odpowiedź. - Bo ja praktycznie całe Włochy zjeździłam. Florencja, Siena. Po prostu bajka.

Magda zagryzła wargi. Do oczu napłynęły jej łzy. Z całą mocą uderzyło ją ewentualne porównanie czasu spędzonego we Włoszech przez Karinę i przez nią samą. Za wszelką cenę starała się opanować emocje. Przecież nie może ot tak nagle wybuchnąć płaczem, mimo że jak nikt inny tutaj miała ku temu wszelkie powody. Wyciągnęła z kieszeni spodni paczkę chusteczek higienicznych, w które Gawlik również ją przezornie zaopatrzył. Otarła dyskretnie oczy. Nie uszło to uwadze współpasażerski.

Zabrzmiał w głośnikach komunikat o zapięciu pasów. Rozpoczął się start maszyny. Karina nachyliła się w stronę Magdy, na tyle, na ile pozwalał jej na to zapięty pas.

- Źle się czujesz? - spytała z autentyczną troską w głosie. - Coś nie tak? Może zawołać stewardesę?

Położyła jej dłoń na przedramieniu. Była naprawdę przejęta niedyspozycją nowo poznanej koleżanki. Nie czekając na odpowiedź, podniosła rękę, starając się zasygnalizować obsłudze, że jest jakiś problem.

- Nie, nie - powstrzymała ją Magda. - Nic mi nie jest. To tylko z wrażeń. Trochę się rozkleiłam.

Karina przyjrzała się jej podejrzliwie.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Naprawdę nic mi nie jest. - Próbowała się uśmiechnąć przez łzy. Skutek był raczej oplakany. - Zaraz mi przejdzie. Czasem człowiek potrzebuje się rozryczeć, tak po babsku, nie?

Penderecka nie wyglądała na przekonaną, ale dała za wygraną. Jej instynkt opiekuńczy uspokoił się, lecz w każdej chwili był gotów do działania.

- Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. - Sięgnęła do kieszeni spodni. - Chcesz tic taca? Dobrze mam. Pomarańczowe.

Na twarzy Magdy Frank ponownie zagościł uśmiech. Tym razem prawdziwy, nie wymuszony. Sytuacja była tak absurdalna, że aż śmieszna. Dziewczyna z bagażem koszmarnych, wciąż jeszcze świeżych wspomnień, dostaje propozycję poczęstowania się tic taciem jako remedium na kłopoty. W sumie była wdzięczna Opatrzności, że zesłała jej tę pulchniutką towarzyszkę podróży.

Kilkugodzinny lot do Polski z przesiadką w Rzymie przebiegł pod hasłem solowych popisów Kariny w zakresie opowieści i wszelakiej maści komentarzy na przeróżne sytuacje bardziej lub mniej życiowe. Magda słuchała, słuchała i odpoczywała psychicznie. Bolesne myśli odsuwały się w cień.

Na wrocławskim lotnisku Karina była kompletnie zaskoczona powitaniem, jakie

zgotowali Magdzie rodzice. Wszyscy płakali jak bobry. Ewidentnie ze szczęścia. Uściski i obcałowywania wydawały się nie mieć końca. Niezłym dla niej szokiem była obecność policjantów. Próbowali z Magdą porozmawiać, ale ich wysiłki nie na wiele się zdały. W tej chwili dziewczyna była dla mamy i taty, i tylko dla nich. Policjanci szybko to zrozumieli i opuścili port lotniczy z postanowieniem, że skontaktują się, jak dziewczyna trochę dojdzie psychicznie do siebie. Karina Penderecka zachowała na tyle trzeźwości umysłu, żeby napisać na kartce telefon do siebie i wcisnąć ją Magdzie w dłoń z wyraźną prośbą o kontakt. Nie mogła przecież przepuścić okazji, by dowiedzieć się w końcu, o co tu tak naprawdę chodzi.

## ROZDZIAŁ 47

Podmuch ciepłego wiatru rozwiał Magdzie włosy. Siedzieli naprzeciwko siebie w jednym z ogródków na wrocławskim rynku. Słońce zaszło za chmury. Zrobiło się trochę chłodniej, choć aura jak na koniec września rozpieszczała mieszkańców stolicy Dolnego Śląska. Rynek jak co dzień tętnił życiem. Tłumy wrocławian, jak i turystów z całej Europy i nie tylko, korzystały z może ostatnich sprzyjających spacerom dni tego lata.

Dziewczyna spuściła wzrok. Zaledwie kilka chwil temu spotkali się na spokojnie po raz pierwszy od czasu, kiedy Maciek wyjechał do Kongo. We Włoszech nie dane im było normalnie porozmawiać. Adam Gawlik pędził na samolot prawie że na złamanie karku. Ubrania kupił jej na lotnisku. Maćka szybko odesłał z samochodem do jakiegoś pułkownika. Niewiele chciał jej wytłumaczyć. Tylko parę zdawkowych zdań. Nie odpowiadał na pytania. Powiedział, że na wszystko przyjdzie czas, gdy wrócą do Polski. Rozglądał się tylko dyskretnie na wszystkie strony, jakby obawiał się, że ktoś ich zobaczy.

Czekała na to spotkanie tu, we Wrocławiu, w miejscu, gdzie mogła się już czuć całkowicie bezpieczna. Słyszała od rodziców, że gang Bartosza Kellera został rozbity, a on sam zginął w bardzo dziwnych i tajemniczych okolicznościach. Wcześniej została przesłuchana przez policję. Przesłuchanie odbywało się z udziałem adwokata wynajętego przez Gawlika, który dokładnie poinstruował ją, co ma mówić, a czego nie. Przede wszystkim w żadnym razie nie wolno jej było w jakikolwiek sposób wspominać o uczestnictwie Gawlika i Maćka w całej sprawie. Mogliby mieć przez to trudne do określenia kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. Nie pisnęła ani słówkiem na ich temat. Odgrywała rolę przerażonej, niewiele lub wręcz nic nie pamiętającej ofiary, co przychodziło jej zresztą z łatwością, zważywszy wydarzenia, jakie niedawno przeżyła.

Maciek patrzył na nią jakoś inaczej. Wcześniej przywitał się z nią czule, całując ją w usta. Nie dało się jednak nie zauważyć, że i samo przywitanie nie było takie samo jak kiedyś. Ledwie kilka miesięcy temu czuła i widziała, że chłopak za nią szaleje. Był spontaniczny, pełen życia i pragnienia bycia przy niej cały czas i niezmiennie. Dzisiaj jakby przygasł. Momentami odpływał gdzieś myślami. Zmienił się. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Zadawała sobie tylko pytanie „dlaczego?”. Nie chciała odpowiadać. Bała się tej odpowiedzi. Ale wiedziała, że wcześniej czy później ta odpowiedź padnie, bo paść musi.

Może lepiej wcześniej. Różne myśli kłębiły jej się w głowie. Czy ostatnie wydarzenia zaważą na ich związku? A jeśli tak, to do jakiego stopnia?

Popatrzyła na niego ponownie. Nie spuszczał z niej wzroku. Po raz pierwszy nie udawało się jej odgadnąć, o czym myśli. Jeszcze do niedawna rozumieli się bez słów. Jeszcze nie tak dawno.

- Zmieniłeś się - powiedziała szeptem.

Westchnął.

- To prawda - potwierdził jakby zmęczonym głosem.

- Nie wiedziałam, że gustujesz w mocnych alkoholach. - Zatrzymała wzrok na jego szklance z whiskey.

- Od niedawna.

Zapanowała niezręczna cisza. Coś ewidentnie było na rzeczy.

- Już mnie nie chcesz? - odważyła się w końcu zapytać.

Nie odpowiadał dłuższą chwilę. Wciąż na nią patrzył.

Wpadła w panikę. Więc jednak?

- Nie mów tak - odezwał się wreszcie.

Nie takich słów oczekiwała.

- Przecież po mnie pojechałeś, tam, do Włoch. Nie rozumiem.

Oczy jej się zaszklily.

- Adam ci mówił, po co byłem w Kongo i co tam robiłem?

- Coś wspominał. Podobno wpakowałeś się w jakąś międzynarodową aferę i ktoś groził, że cię zabije.

- Nic więcej?

- A powinnam wiedzieć coś więcej?

- Rzecz w tym, że nie powinnaś.

- Jak to?

- Nie wiem, co ci powiedzieć i jak ci to powiedzieć. Jeszcze pewnie bardzo długo nie będę wiedział. Może nigdy.

- Maciek, jesteśmy dorośli. Powiedz po prostu. Poznałeś kogoś?

Student spojrział w niebo.

- Magda, posłuchaj...

- Ja zrozumiem. Po prostu mi powiedz. Tylko tyle.

Pokręcił głową. Zrobił głęboki wdech. Pociągnął łyk ze szklanki.



- Dostałem propozycję dokończenia studiów w Stanach. Proponują mi też pracę w jednym z najlepszych instytutów na świecie. Na razie na stażu.

Informacja ta była dla niej jak dźgnięcie nożem. Zabolało. Dotkliwie.

- Na długo? - spytała nienaturalnym od emocji głosem.

- Na razie na rok. Potem jest szansa, że na dłużej.

Zakręciło jej się w głowie. Więc to naprawdę koniec?

- Kiedy wyjeżdżasz? - zdołała jeszcze z siebie wydusić.

- Pojutrze.

- Cieszę się, że ci się coś takiego trafiło. Naprawdę. - Spróbowała się uśmiechnąć. Na jej twarzy pojawił się tylko żalony grymas. - Maciek, powiedz mi tylko dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego to już koniec?

- Koniec czego?

- Koniec nas.

- Madzia, o czym ty mówisz?

- Dlaczego? - Głos uwiązał jej w gardle.

Wreszcie dotarło do niego, co dziewczyna ma na myśli. Postawił na stoliku małe pudełeczko i przesunął w jej stronę.

- Co to jest? - spytała zaskoczona.

- Zobacz.

Otworzyła. W środku był pierścionek. Podniosła na Maćka zdumiony wzrok.

- Nigdzie nie wyjadę, jeżeli mi nie obiecasz, że kiedyś w przyszłości za mnie wyjdiesz.

Magda wybałuszyła na niego oczy.

- Maciek, ty mi się oświadczasz?

- Mam uklęknąć?

- Nie zaskodziłoby - powiedziała prawie bezgłośnie. Chłopak natychmiast ukląkł na jedno kolano.

- Magdaleno Frank, czy zostaniesz moją żoną?

Magda odruchowo rozejrzała się wokół. Ludzie przy sąsiednich stolikach przyglądali się im w napięciu. Jakaś starsza pani kiwała głową i kilkakrotnie wyraźnie, lecz bezgłośnie wypowiedziała słowo „tak”, sugerując dziewczynie właściwą odpowiedź.

- Naprawdę tego chcesz? - spytała go.

- Wiem, co mówię. Przecież pojechałem po ciebie. Położyła mu dłoń na głowie.

- Tak, Maćku Burdziku, jak najbardziej tak.

Usiadł z powrotem na krześle. Trzymał ją za rękę.

- Wybuduję dla ciebie dom - powiedział, patrząc jej w oczy. - Chcesz?

- Bardzo chcę.

W kawiarnianym ogródku rozbrzmiewały rzęsiste brawa.

KONIEC